

AUTOR - FRANCESCO SACCHIA»

Robin
MOORE



**Moskiewski
Łącznik**

ORGANISMO DOKUMENTAZIONE I RICERCA

Robin
Moore

TLUMACZYŁA MARIA GĘBICKA-FRĄC

Moskiewski
łącznik

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI
WARSZAWA 1998

Tytuł oryginału The Moscow Collection

Copyright © 1994 by Robin Moore

Redaktor Andrzej Kamiński

Skład i łamanie Wydawnictwo Adamski i Bieliński,

For the Polish edition Copyright © 1998 by Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Wydanie pierwsze

ISBN 83-87454-15-X

Wydawnictwo Adamski i Bieliński

Warszawa 1998

E-mail: aibpubli@pol.pl

ark, wyd. 21; ark, druk. 20,5

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca SA

w Krakowie, ul. Wadowicka 8

zam. 462/98

*Powieść tę poświęcam mojej pięknej i ukochanej żonie,
Oldze, która stała przy mnie w ciągu
trzyletniej pracy nad książką, dwa razy ją czytała
i pomogła w korekcie manuskryptu.*

Podziękowania

W ciągu trzech lat, jakich wymagało napisanie „Moskiewskiego łącznika”, John i Gloria Strong umożliwili mi i uprzyjemnili rozległe badania.

Ważnej pomocy technicznej udzielił Alexander N. Rossolimo, prezes International Strategy Associates z Newton w Massachusetts.

Na ulicy Pietrowka 38, w komendzie głównej milicji w Moskwie, pomogli mi liczni mądrzy przyjaciele.

I oczywiście Walerij, zacięty bokser, który zwyciężył wszystkich przeciwników z amerykańskiej policji i podarował mi czerwoną legitymację Partii Komunistycznej. Dziękuję za pomoc również Moskiewskiemu Stowarzyszeniu Pisarzy Kryminałów.

Wgląd w rosyjskie poczynania przestępcze w Ameryce umożliwił mi Peter Grinenko, agent specjalny w prokuraturze okręgowej Kings County.

Moja śliczna moskiewska tłumaczka, Nina Martinowa, pomogła mi wielce w badaniach terenowych.

Centrum Badań Rosyjskich Uniwersytetu Harwarda w czasie pracy udzielało cennych wskazówek i winieniem podziękowania dyrektorowi, doktorowi Marshallowi I. Goldmanowi, jak również Marvinowi Kalbowi, który pierwszy uświadomił mi, że po nieudanym puczu za określoną sumę można kupić rosyjskie balistyczne pociski międzykontynentalne, i Janet Vaillant, która wprowadziła mnie do Ośrodka i dostarczyła tłumaczenia rosyjskich dokumentów.

W czasie lat pracy nad książką korzystałem z pomocy wielu innych doradców, przewodników i redaktorów. Szczególne podziękowania kieruję do Jay Fraser, która przeprowadziła ostateczną redakcję tekstu i doprowadziła go do obecnego stanu w ciągu dziesięciu dni, które - mam nadzieję - wstrząsną światem albo przynajmniej czytelnikami. We wcześniejszych dniach jako redaktor współpracował ze mną Anthony Schneider, redukując 800 przegadanych stron do znośnych proporcji. Marie Reid w krytycznej chwili zrobiła korektę rękopisu. I, oczywiście, nie mogę zapomnieć o Księciu Hoboken, Joe Koehlerze, który zawsze miał dla mnie słowa otuchy. Serdecznie dziękuję wszystkim zainteresowanym.

PROLOG

Ojciec chrestny rosyjskiej mafii, który miał zasłynąć i budzić powszechną grozę pod pseudonimem Japończyk, swoją pierwszą ofiarę zabił w wieku dwunastu lat.

Stało się to w Samarkandzie w 1948 roku, w środkowej części radzieckiej Azji Centralnej. Chłopiec miał na imię Sława, zdrobnienie od Wiaczesława. Jego ojciec, Kirił Jakowlew, rdzenny Kazach, przybył do Uzbekistanu w poszukiwaniu pracy. Osiadł z żoną i synem w słynnej stolicy republiki, Samarkandzie. Kazachscy robotnicy doskonale zdawali sobie sprawę, że ich praca polega na wytwarzaniu wielkich ilości narkotyków z powszechnych w tym rejonie plantacji maku i indyjskich konopi. Szefem zakładu był bogaty uzbecki komunista Mamatagdi zwany Szakalem, jeden z bossów potężnej narkotykowej rodziny. Uzbek zatrudniał Kazachów, ponieważ mógł im mało płacić i mieć nad nimi całkowitą kontrolę. Kazachska gmina w Samarkandzie była nieliczna i nie posiadała żadnych wpływów.

W mieście znajdowały się sale gimnastyczne, gdzie trenerzy nauczali młodzież boks, zapasów i gimnastyki. Sława był bystrym uczniem rosyjskiej szkoły, jednak jego prawdziwą miłością był boks. Szkolny trener, wielki, twardy jak skała Niemiec ze złamanym nosem, lubił tego upartego, chudego kazachskiego chłopca, który nigdy nie cofał się pod gradem ciosów nawet silniejszego przeciwnika.

- Masz bojowego ducha, chłopcze - mawiał stary Niemiec. - To najważniejsze, muskuły są na drugim miejscu. Zawsze musisz dokładnie wiedzieć, co chcesz zrobić, i uderzać bez chwili zastanowienia. Pamiętaj, twój przeciwnik też się boi, niezależnie od tego, jaki jesteś mały.

Pewnej przerażającej nocy życie Sławy Jakowlewa zmieniło się nieodwracalnie - na lepsze, jak stwierdził z perspektywy czasu. Gdyby nie to dramatyczne wydarzenie, prawdopodobnie do końca życia mieszkałby w Samarkandzie. Przez cały wieczór razem z matką byli zaniepokojeni, ponieważ ojciec spóźnił się na kolację. Wreszcie drzwi ich domostwa z wypalanej na słońcu cegły stanęły otworem. Ojciec wtoczył się do środka i upadł na podłogę. Zamiast twarzy miał krwawą miazgę, jedno oko skryło się pod olbrzymią opuchlizną, zęby zniknęły. Oddychał chrapliwie.

Sławie udało się, przy pomocy szlochającej matki, zanieść ojca do łóżka i ściągnąć z niego brudną koszulę. Po ułożeniu we w miarę wygodnej pozycji i przełknięciu kilku łyków zimnej wody, Kirił Jakowlew opowiedział im, co się wydarzyło.

Uzbek, Mamatagdi, odmówił wypłacenia Kazachom ich miesięcznych zarobków. Jedyne Kirył zaprotestował. Na znak Mamatagdi jego goryl zaczął okładać go żelaznym prętem. Nikt z pracowników nie rzucił się na pomoc, żaden nawet się nie odezwał. W końcu puszczono go po godzinnej kaźni i Kirył jakoś doczołgał się do domu.

Nad ranem jęki ucichły i Sława uświadomił sobie, że ojciec nie żyje. Tego dnia chłopiec włamał się do domu sąsiada, milicjanta, gdy ten był na służbie. Z szuflady biurka wyciągnął pistolet, który policjant często czyścił w jego obecności.

O siódmej wieczorem zapadł zmierzch przesycony fiołkowym światłem, jak jest to możliwe tylko w Samarkandzie. Mamatagdi siedział sam w swoim biurze w fabryce. Sprawdzał księgi rachunkowe i przeliczał pieniądze, które własne nadeszły od kupców z Kotliny Fergańskiej. Należność za kilkaset kilogramów opium i tonę *anaszy*, rafinowanych rodzimych konopi, nadeszła z jednodniowym opóźnieniem, musiał więc przesunąć wypłatę kazachskim robotnikom. Było mu to na rękę; dostaną swoje pieniądze nazajutrz albo nawet parę dni później, żeby nie mogli skojarzyć wizyty Uzbeków z Namanganu z opóźnieniem wypłaty.

Mamatagdi miał przygarbione ramiona, wielki irański nos i skośne czarne oczy w szerokiej śniadej twarzy. Złoty ząb skrzył się w lewym kącie ust, kiedy uśmiechał się lub palił papierosa. Dolną wargę miał mięsistą i wysuniętą do przodu, co nadawało jego twarzy pogardliwy wyraz. Przyjaciele i wrogowie nazywali go Starym Szakalem.

Chłopiec nie pukał. Otworzył kopniakiem drzwi biura kierownika i stanął na progu z rękoma założonymi do tyłu. Na tle półmrocznego nieba rysowała się jego ciemna sylwetka.

Sława zaciskał dłonie na rękojeści pistoletu.

Mamatagdi podniósł głowę znad biurka. Kiedy się odezwał, błysnął złoty ząb.

- Hej, synku, czego chcesz?
- Jestem Sława Jakowlew. Mój ojciec, Kirył, pracował dla ciebie.
- Jak wielu innych, chłopcze. Mów, czego tu szukasz?
- Już nigdy nie będzie dla ciebie pracował. Zmarł dziś rano.
- Biedne dziecko - mruknął Mamatagdi. - Przykro mi.

Sława zacisnął ręce z większą siłą, gdy zauważył, że Mamatagdi wyczuwa niebezpieczeństwo.

- A co mu się stało?
- Kazałeś go zabić, ponieważ upomniął się o zarobione pieniądze.
- Nie, nie! Na Allacha, mylisz się! - Mamatagdi zaczął się podnosić.
- Siadaj! - rozkazał Sława, wyciągając ręce zza pleców. Przed twarzą Mamatagdi zawisła lufa oksydowanego pistoletu, który w małych dłoniach chłopca wydawał się olbrzymi. Pokrywały ją ciemne, wżarte w stal plamki, dowody częstego używania.

- Hej, chłopcze! Bez żartów. To może wystrzelić! Jesteś złym dzieckiem! Allah ukarze ciebie i twoją rodzinę! Co jeszcze...?

Nagle Mamatagdi wyprostował się za biurkiem.

- Słuchaj, dam ci trochę forsy.

Mamatagdi otworzył stojący obok sejf. Wewnątrz znajdował się stos rubli i innych walut, a pod nimi broń: uzbecki zakrzywiony *pczak* o ostrzu z nierdzewnej stali. Kierownik wsunął rękę do sejfu, jak gdyby po pieniądze, i wyciągnął nóż ze skórzanej pochwy.

Sława odniósł wrażenie, że zaraz zemdleje. Usta miał suche, w oczach mu się ćmiło. Pistolet ciążył jak ołowiana kula. Nagle stary bandyta rzucił się na niego, wznosząc do ciosu śmiertelność broń. Sława odskoczył, nóż o włos minął jego prawe ramię. Przerazenie zakradło się do jego serca: Mamatagdi przygotowywał się do następnego pchnięcia. Instynktownie nacisnął spust. Wielki pistolet bluzgnął ogniem i chmurą dymu.

- Sukinsyn! - wrzasnął Mamatagdi, znowu zamierzając się *pczakiem* na chłopca. Jednak kula strzaskała mu kręgosłup i Uzbek runął na biurko. *Pczak* utkwiał w drewnianym blacie.

Niespodziewanie pistolet stał się lekki jak piórko. Twarz Mamatagdi znajdowała się teraz blisko twarzy Sławy, w jego szeroko otwartych czarnych oczach gorzała nienawiść.

Druga kula weszła w czoło, tuż nad brwiami. Tył głowy Mamatagdi eksplodował i w ułamku sekundy krwawa miazga zbryzgała ścianę za biurkiem i sejfem. Ciało osunęło się na podłogę, pociągając za sobą księgi i rachunki. Na blacie został jedynie *pczak*.

I w tej oto chwili Sława stał się Japończykiem. Obszedł biurko, zatrzymał się nad ciałem, spokojnie zabrał banknoty z sejfu i upchnął je w kieszeniach. Nie wiedział, co znajduje się w skórzanej sakwie, ale ją również wziął - dopiero później odkrył, że była wypełniona złotym piaskiem. Potem włożył pistolet do pustego teraz sejfu i zatrzasnął metalowe wieko. Milicjanci po zawiadomieniu o morderstwie mieli skoncentrować się na poszukiwaniu pospolitego rabusia oraz na przesłuchiwaniu licznych wrogów Starego Szakala i handlarzy narkotyków, z którymi robił interesy.

W tym czasie Sława, jego matki, oraz pieniędzy zabranych z sejfu Mamatagdi, już od dawna nie było w Samarkandzie.

KSIĘGA

PIERWSZA

Król podziemia

1.

Obóz pracy w Tulun otaczały zasy wystarczająco głębokie, by zakryć dorosłego człowieka. Jodły wokół łągru zostały wycięte, przez co powstał wolny pas ostrzału o szerokości niecałego kilometra, a dopiero za nim rosła gęsta syberyjska tajga. Brygada dygocących z zimna więźniów codziennie odrzucała świeży śnieg za spiętrzone za drutami białe hałdy. Wielkie sterty sięgały wysokości wieżyczek, na których marzli wartownicy z karabinami maszynowymi, zajęci omiataniem wyludnionego placu apelowego i posępnego krajobrazu przez oblodzone oddechem lornetki.

Żołnierze pilnowali dziesięciu długich baraków, w których gnieździły się setki rosyjskich kryminalistów. Łagiernicy, odziani w co tylko mieli, kulili się na gołych drewnianych pryzkach. Przytulali się do siebie w próbie zachowania resztek cennego ciepła, podciągali kolana do piersi i próbowali spać.

Na środku obozu wznosiła się piętrowa budowla z cegły i betonu, pełniąca rolę wewnętrznego więzienia. Oficerowie dyżurni, po obejrzeniu programu w telewizji i wypiciu przydziałowej połowy butelki podłej wódki, również ułożyli się do snu.

Obóz Tulun, leżący niedaleko Irkucka, jednego z największych miast Syberii, gościł pięciuset więźniów, wliczając w to pięciu „generałów”, czyli szefów grup przestępczych, i ich mniej więcej trzydziestosobowe gangi, podlegające zaufanym adiutantom. Przysłowie mówi, że w ZSRR najłatwiejszą do załatwienia rzeczą jest kilkuletni pobyt w łągrze. Więzień, zapytany za co dostał piętnaście lat, odpowiada zazwyczaj, że nic nie zrobił, a wtedy pada nieuchronna riposta: „Niemożliwe, za nic dają tylko dziesięć lat”.

Największą podziemną celę wewnętrznego więzienia w obozie zajmowała najważniejsza osobistość Tulun, jeden z bossów rosyjskiej mafii zwany Japończykiem. Japończyk nie spał. Popijając koniak, wpatrywał się z zadumą w ogień.

Został umieszczony w celi, którą dzięki hojnym łapówkom specjalnie przygotowano na jego przyjęcie. Sam nigdy nie musiał pojawiać się w zonie roboczej, gdzie w nie ocieplanych barakach z betonu i drewna tłoczyli się pospolici kryminaliści. Syberyjska zima trwa osiem miesięcy, a średnia temperatura jest raczej stała: dwadzieścia pięć stopni poniżej zera.

Przymione światła i płonący na kominku ogień stwarzały w celi przytulną atmosferę. Przy kominku stały dwa wygodne fotele. Podłogę z polerowanych desek okrywały

futrane chodniki, na ceglanych ścianach wisiały zwierzęce skóry.

W przyległej celi urządzono *banię*, a trzecie pomieszczenie służyło Japończykowi za garderobę i podręczną spiżarnię. Na niskim stoliku pod ścianą stał kolorowy telewizor i magnetowid.

Odblask płomieni pełgał po butelce koniaku. Obok stała długa taca z płatkami świeżo uwędzonego króliczego mięsa, łososia i armeńskiej basturmy. Głęboką drewnianą misę wypełniała sałatka z ogórków i pomidorów polanych oliwą.

Japończyk ubrany był w białą koszulę i zwykłe czarne dzinsy. Na lewym nadgarstku nosił tradycyjny gangsterski znak firmowy: złoty zegarek marki Rolex. Nogi miał bose, lubił czuć pod stopami wypolerowane drewno i futra.

Skończył pięćdziesiąt lat, ale wyglądał co najmniej o pięć lat młodziej, co jest typowe dla ludzi należących do rasy mongoloidalnej. Jego włosy zachowały młodzieńczą czerń i gęstość. Nie był wysoki, ale mocno zbudowany, miał trochę pałkowate nogi, szerokie barki, krótki kark i długie potężne ręce. Smagłą twarz o lekko skośnych oczach szpecił złamany nos boksera, pod którym rysowały się wąskie i okrutne usta.

Komendant więzienia, major Karamuszew, zrobił wszystko, co w jego mocy, by Japończyk odbywał karę w jak najbardziej komfortowych warunkach. Oczywiście nie za darmo - łapówki hojnego więźnia zapewniały jemu i jego rodzinie zasobną przyszłość. Komendant zadbał, na przykład, o urządzenie *bani*, czyli rosyjskiej łaźni parowej, oddzielonej od celi Japończyka grubymi dębowymi drzwiami. Rolę basenu spełniał olbrzymi żelazny kocioł, znaleziony po żmudnych poszukiwaniach w wiosce oddległej o sto pięćdziesiąt kilometrów od obozu i sprowadzony na życzenie gangstera. Dzięki trosce komendanta Japończyk po godzinnym czy dłuższym spływaniu potem na deskach, mógł orzeźwić się kąpielą w lodowatej wodzie.

Strażnicy rzadko zachodzili do jego celi z obawy przed zabrudzeniem podłogi. Nawet komendant zawsze zdejmował buty, kiedy - a zdarzało się to często - składał mu wizytę w jego podziemnym apartamencie, by delektować się koniakiem i smakowitymi zakąskami, oglądać filmy wideo czy zabawiać się z dziewczynami sprowadzonymi z pobliskiego łagru kobiecego. Poza tym ucinał sobie z uprzywilejowanym więźniem pogawędkę o interesach. Japończyk, chcąc zachować kontrolę nad wielorakimi interesami, siłą rzeczy potrzebował pośrednika, co w efekcie przysparzało majątku majorowi Karamuszewowi.

Wśród więźniów, którzy spali w zatłoczonych ponad miarę barakach, Japończyk znany był jako „Król Podziemia”. Los pospolitego łagiernika nie dawał się porównać

z komfortowym życiem króla. Więźniowie byli narażeni na udręki nieskończone surowych zim oraz bicie przez nadgorliwych strażników i sadystycznych kryminalistów uprawnionych do wymierzania kary za złamanie zasad ustalonych przez więziennych szefów. Byli niewolnikami skazanymi na ciężką pracę, której kres kładło nie zwolnienie po odsiedzeniu wyroku, lecz w większości przypadków - śmierć.

Ale Japończyk był nie tylko bandytą, nie tylko dzikim zabójcą, którego samo imię terroryzuje ofiary wymuszeń. Należał do elity świata przestępczego, był uznanym generałem, którego ludzie, chociaż on sam siedział w więzieniu, wzbudzali lęk w całym Związku Radzieckim i Europie Wschodniej.

Generał stał na szczycie piramidy przestępczej. Tę rangę mogło nadawać jedynie zgromadzenie innych uznanych generałów. Poświadczali oni swoją wolę specjalnymi certyfikatami; odpowiadającymi dyplomom doktora praw albo filozofii w świecie akademickim. Taki dokument, podpisany pseudonimami nieodłącznymi generalskim szlifem, był dowodem uznania nowego członka przez innych generałów.

Generał zgodnie z prawem *blatnych*, czyli prawdziwych złodziei, nie mógł pracować - byłoby to poniżej złodziejskiej godności - nie mógł czerpać zysków z działalności innej niż przestępcza, nie mógł służyć w wojsku, nie mógł się żenić albo, jeśli to robił, żona musiała być mu poslušna i jak najmniej widoczna, był zobowiązany do stałego sprzeciwiania się władzom i administracji więzienia, do organizowania własnego gangu na terenie obozu i rządzenia pospolitymi więźniami oskarżonymi o drobne przestępstwa. Jego uświęconą broń stanowił nóż.

Japończyk nalał koniaku do szklanki i sączył trunek powoli, rozkoszując się każdą kroplą. Jego nozdrza rozdymały się, gdy alkohol rozgrzewał mu wnętrzności.

Ponuro dumiał nad pogarszającym się stanem swoich interesów. Wytężone próby podejmowane przez działającą na wolności organizację, mające na celu doprowadzenie do jego wcześniejszego zwolnienia, zaowocowały jedynie tym, że komendant moskiewskiej milicji i wrogowie Japończyka w Biurze Politycznym KPZR postarali się o ograniczenie mu możliwości kontaktowania się ze światem zewnętrznym. Nie mógł już rządzić swoimi ludźmi poprzez dekryty przekazywane przez licznych kurierów.

Otworzyły się drzwi prowadzące do *bani*. Do celi mieszkalnej Japończyka weszła dumnie na wpół naga kobieta w pantoflach ze skóry. Jej wielki brzuch przelewał się nad szerokim pasem, który podtrzymywał skórzaną spódnicę, ale bujne piersi były jędrne i sprężyste. Kobieta miała szeroką słowiańską twarz, mały zadarty nos, lekko

skośne brązowe oczy i pełne usta. Cechowała ją pewność siebie, świadcząca o tym, że nauczyła się cierpliwie akceptować ciężkie życie. Chłubiła się licznymi tatuażami, które opowiadały o kolejnych etapach jej ponurej biografii.

Japończyk uwielbiał siadać przy kominku z wyciągniętymi w stronę ognia nogami i słuchać historii kryjących się za każdą z tych wątpliwych ozdób. Najstarsze tatuaże, które pokazywała bez śladu zmieszania, pochodziły z okresu, gdy miała około czternaśtu lat. Chuligani z moskiewskiego gangu rządzącego jej dzielnicą rozebrali ją w jakimś ciemnym zaułku i po kolei zgwałcili. Ze śmiechem za pomocą zardzewiałego gwoźdźcia wydziergali tatuaże na jej wielkich gołych pośladkach i innych częściach ciała. Te wczesne dekoracje spłwiałały z wiekiem, a później w obozach jej ciało zaznamiło się z bardziej wyrafinowanymi przykładami sztuki tatuażu.

Wzory pokrywały jej plecy, ramiona, pośladki, uda i piersi. Na plecach widniało kilka wież cerkiewnych, które reprezentowały każdy z jej wyroków. Zakrzywiony sztylet na lewym ramieniu był reminiscencją pchnięcia nożem brutalnego alfonsa. Japończyk wiedział, że jasna, ośmioramienna gwiazda na prawym ramieniu jest oznaką aktywnego lesbijstwa i wysokiej rangi wśród więźniarek. Na rękach i goleniach miała wypisane starannie imiona licznych mężczyzn - kryminalnych kochanków. Teraz wzniosła się na szczyt piramidy społecznej łagru w Tulun.

Maria zbliżyła się do kominka i odwróciła plecami do trzaskającego ognia. Japończyk wskazał stojącą na niskim stole drugą szklankę koniaku, trochę niecierpliwie czekając na to, co miało nastąpić. Kobieta podeszła do stolika, podniosła szklaneczkę i, wróciwszy do kominka, zaczęła sączyć trunek.

Japończyk uśmiechnął się do Marii stojącej z obnażonymi piersiami między nim a ogniem. Wyobraził sobie dwa motyle na jej udach, symbolizujące dwie próby uciezki, oraz czerwoną i niebieską różę po wewnętrznej stronie lewego uda, które oznajmiały, że jest „dobrą dupą”.

Maria i Japończyk spełnili toast, a potem oboje popatrzyli na gładką podłogę z polerowanych sosnowych desek, zarzuconą skórami niedźwiedzi i rysiów - mieszkańców miejscowych lasów. Uśmiechnęli się do siebie ze zrozumieniem. On nie potrzebował wielu mebli poza trzema niskimi stolikami: na jednym stał telewizor i magnetowid, na drugim wieża stereo, trzeci służył do jedzenia. Wychował się w Azji Centralnej i nie lubił europejskiego umeblowania. Koce i poduszki leżały schludnie zwinięte w kącie - wolał spać na podłodze.

- Chcesz najpierw usłyszeć wieści z Moskwy? - zapytała z szelmowskim wyrazem twarzy.

- Czy jest coś, co dziś wieczorem mógłbym w związku z tym zrobić? - Pogodzenie się z losem i oczekiwanie na to, co miało nastąpić, zniżyło ton jego głosu.

Maria z figlarnym uśmiechem pokręciła głową, wypita koniak i rzuciła pantofle. Przeszła po futrzanych chodnikach do Japończyka, który odstawił szklanekę, gdy zaczęła rozpinąć mu świeżą wykrochmaloną koszulę. Jego garderoba mieściła się w trzeciej celi, również połączonej z pokojem mieszkalnym. Rzeczy przeznaczone do prania strażnicy zabierali do leżącego osiem kilometrów dalej obozu kobiecego. Lubił porządnie wyprasowane jasne koszule, codziennie zmieniane.

Wkrótce rozebrała go do naga, a wówczas położył się na brzuchu. Rozciągnięty na niedźwiedzim futrze patrzył w ogień, gdy Maria wysuwała się ze swej skórzanej spódnicy. Naga usadowiła się nad nim, obejmując kolanami jego uda, zaczęła masować mu plecy. Westchnął głęboko i poddał się jej zabiegom, gdy silne palce wyszukiwały zgrubień, które utworzyły się w jego mięśniach.

Po raz pierwszy przyprowadził ją do jego celi z sąsiedniego obozu kobiecego major Karamuszew, razem z kilkoma innymi dziewczynami. Okazało się, że Maria jest ich seksualnym impresariem. Wkrótce została opiekunką kwatery Japończyka, a on zaznał się z jej życiem w obozie kobiecym. Szybko dowiedział się, że szokująco różni się on od męskiego.

Jej rewelacje zawsze podniecały go w dziwny i erotyczny sposób - szczególnie opowieść dotycząca tatuażu na lewym pośladku: kobieca dłoń zaciśnięta na odciętym penisie, z którego ścieka krew. Maria pokazała, co potrafi, w brutalnym akcie, który na zawsze wrył się w pamięć strażników skłonnych do gwałcenia więźniarek. Teraz, gdy zmysłowy masaż dobiegł końca, Maria sięgnęła między uda Japończyka. Umiejętnie pieszcząc palcami pachwinę wywołała jego jęk rozkoszy. Wiedziała, jak przedłużać te erotyczne manipulacje i wreszcie, gdy już nie mógł wytrzymać, doprowadziła go do orgazmu.

Uwolnwszy się przy pomocy Marii od seksualnego napięcia, naciągnął spodnie i koszulę. Z zadumą wpatrywał się w palenisko, gdy kobieta po włożeniu skórzanej spódnicy napełniła mu szklaneczkę.

- Znasz mnie zbyt dobrze, Mario - stwierdził miękko. Potem jego ton uległ dramatycznej zmianie. - No, co słyszałaś?

- Ostatnio przysłano dziewczynę z Moskwy. Dowiedziała się, że jestem ci, no... bliska, i zaczęła wychwalać gang Tofika. Mówi, że Tofik niedługo przejmie wszystkie twoje interesy.

- Tak? - zapytał z niedowierzaniem.

- Powiedziała mi, że jej były kochanek, Gruzin, jeden z poruczników Tofika, zostawił ją i wyjechał do Nowego Jorku tuż przed jej aresztowaniem za współudział w

wymuszeniu. Według niego gang Tofika przejmuje twoje interesy w Ameryce.

Usta Japończyka ściągnęły się w cienką linię, czarne źrenice rozbłyły.

- Podejrzewałem, że jeden z generałów próbuje przejąć moje amerykańskie kontakty, ale po raz pierwszy usłyszałem coś na potwierdzenie swoich domysłów. Co jeszcze mówiła?

- Cóż, przechwalała się tylko. Powiedziała, że jej chłopak i jeszcze jeden facet mają przejąć w Nowym Jorku jakiś interes związany z drukowaniem.

- Z drukowaniem?! - Japończyk aż podskoczył. - Wymieniła jakieś nazwiska?

- Chyba nie. Powiedziała, że w zeszłym miesiącu już załatwili jednego z twoich ludzi w Nowym Jorku.

- Zapytaj ją, czy słyszała nazwisko Zekki Dekka.

Japończyk przez chwilę wpatrywał się gniewnie w ogień, potem podjął:

- Tofik jest tutaj, w Tulun. Nie po raz pierwszy mam powody, by wierzyć, że próbuje przejąć moje interesy na wolności.

- O co chodzi z tym drukowaniem?

Po dłuższej chwili milczenia Japończyk zaczął mówić tak, jakby wyjaśniał coś samemu sobie.

- Zaufanymi kanałami dotarł do mnie pewien Amerykanin z CIA. Było to jedenaście lat temu, w listopadzie 1979 roku, w ten sam dzień, gdy nasi kosmonauci wrócili do domu po 139 dniach pobytu w kosmosie. Amerykanin chciał przy pomocy moich generałów utopić komunistów w powodzi miliardów fałszywych rubli, które był w stanie dostarczyć. Nasza ekonomia, i tak balansująca na krawędzi, ległaby w gruzach. Amerykanin miał rację, że my, generałowie, przejęlibyśmy władzę w finansowo zrujnowanej Rosji i podzielili imperium między wojujące z sobą frakcje.

Maria rzadko widywała Japończyka tak zatroskanego. Chciała uśmierzyć jego obawy, ale nie pozostawało jej nic, jak tylko słuchać i pozwolić mu mówić.

- Trzy razy byliśmy gotowi rozpocząć operację i trzy razy Amerykanie zmieniali zdanie. Zdałem sobie sprawę, że źródłem planu są najwyżsi urzędnicy rządu Stanów Zjednoczonych. Gdy miałem jeszcze regularny kontakt ze światem za drutami, dowiedziałem się, że Amerykanin - nigdy nie poznałem jego nazwiska - nadal używa Zekkiego jako łącznika z naszą organizacją. - Japończyk podniósł się nagle i nalał koniaku do szklanki Marii. - Mówisz, że dwóch ludzi?

Maria przytaknęła ruchem głowy.

- Prawdopodobnie już są w Ameryce. Wygląda więc na to, że mamy podwójny problem. - Odwrócił się do niej. - Twoja lojalność musi zostać nagrodzona. Wydostanę cię stąd, Mario. Obiecuję.

Uśmiechnęła się do niego z nadzieją.

- Ale teraz muszę przekazać słówko Pawłowi. Wątpię, czy wie o tym, co mi właśnie powiedziałaś. Jeżeli to prawda, musimy szybko przystąpić do działania.

- Pewna dziewczyna, która od kapitana straży dostała pochwałę za dobre sprawowanie, wkrótce wyjdzie do domu. Każę jej przekazać wiadomość Pawłowi.

- Kiedy wychodzi?

- Za parę dni. Kapitan zrobił jej dziecko i dziewczyna musi wrócić do Moskwy na czas, aby dokonać aborcji.

- Niech znajdzie Pawła w restauracji „Pekin” i powie mu, że mamy kłopoty w Nowym Jorku. Ludzie Tofika próbują przejąć nasze amerykańskie interesy. Paweł musi ostrzec Zekki Dekkę i naszych ludzi w Nowym Jorku. Trzeba wyeliminować ten problem. Niech przypomni Pawłowi, że Tofik zawsze wysyła dwóch ludzi. Ma do rozwiązania dwa problemy.

Maria skinęła.

- Dwóch ludzi - powtórzyła.

Japończyk podszedł do metalowej kasetki. Wyjął złotą monetę i podał ją Marii.

- Daj to swojej przyjaciółce. Niech sobie kupi bilet lotniczy do Moskwy. Chcę, żeby Paweł jak najszybciej otrzymał moje instrukcje. Później przedyskutuję z nim strategię.

- Pozwolą ci się z nim zobaczyć?

- To najbardziej skomplikowana sprawa. Karamuszew mówi, że pierwszy sekretarz obwodu irkuckiego, Nikołaj Martinow, jest władny pomóc mi się stąd wydostać. Mówi mi też, że Martinow ma w Moskwie córkę, Oksanę, która studiuje w Instytucie Języków Obcych imienia Maurice'a Thoreza. Powiedz swojej przyjaciółce, że Paweł musi znaleźć Oksanę Martinową i obmyślić jakiś sposób jej wykorzystania.

- Myślisz, że może to zrobić? - zapytała z niedowierzaniem.

- Paweł jest najbardziej pomysłowym człowiekiem w całej mojej organizacji. Będzie wiedział, jak się do tego zabrać.

- Japończyk - Maria miała zmartwiony wyraz twarzy - wiesz, że dochodzą do mnie różne słuchy. Co takiego dzieje się za drutami, że wszyscy w Tulun zaczynają się na ciebie wściekać?

Wzruszył ramionami.

- Co słyszałaś?

- Paru generałów przysłało swoim w Tulun wieści, że ważni członkowie Politbiura pracują nad twoim uwolnieniem.

Japończyk uśmiechnął się.

- Moją sprawą musi zająć się obwodowy sekretarz Martinow.
- Jacyś ludzie interesu na zewnątrz boją się, że przejmiesz kontrolę, kiedy znów znajdziesz się za drutami. Chcą, żebyś tu został zabity.
- Tak słyszałaś? Od kogo?
- Nie bezpośrednio od dziewczyny jakiegoś tutejszego generała. To tylko wrażenie, jakie odnoszę z pogłosek.

Z dezaprobatą pokręcił głową.

- Powiniennem porozmawiać o interesach w chwili, gdy Karamuszew cię przyprowadził, zamiast... - Wzruszył ramionami i uśmiechnął się do niej przyjaźnie. - Jestem tutaj zbyt długo. Interesy spadły na drugie miejsce po przyjemności.

Japończyk przerwał, jakby zastanawiając się nad swoimi słowami, a potem westchnął.

- Niech Karamuszew przyprowadzi cię jutro, po tym, jak przekażesz moje rozkazy swojej przyjaciółce. Razem skorzystamy z *bani* i może pogramy w szachy. Najważniejsze, aby ta dziewczyna przekazała moje rozkazy. I powiedz jej, że Paweł załatwi i opłaci jej aborcję. Później zadba, żeby miała właściwą opiekę.

- To ją uszczęśliwi, Japończyk.

Razem podeszli do drzwi celi.

Japończyk załomotał w ciężką metalową płytę.

- Mario, sprawa, nad którą pracujemy w Ameryce, to coś wielkiego. Nikt nie wejdzie mi w drogę - ani Tofik, ani ktokolwiek inny. Ta dziewczyna musi bezzwłocznie skontaktować się z Pawłem. Musi mu powiedzieć, że mamy dwa problemy, które mogą zagrozić naszej amerykańskiej operacji, i które należy zlikwidować.

Szczęknął rygiel i w celi odbił się echem skrzyp otwieranych ciężkich drzwi.

- Postaram się, aby dziewczyna zrozumiała, Japończyk - zawołała Maria, wychodząc za strażnikiem z kwatery generała.

2.

Agent specjalny Peter Nikhilov wyskoczył z prawie bezludnego biura prokuratury okręgowej w Brooklynie, wsiadł do samochodu zaparkowanego na miejscu dla pojazdów uprzywilejowanych, na wprost przed biurowcem i popędził przez zimową noc Ocean Parkway. Wycieraczki z maksymalną szybkością oczyszczały przednią szybę z brei wyrzucanej spod kół wyprzedzanych wozów. Peter zerknął na zegar na desce rozdzielczej. Jeszcze dziesięć minut i znajdzie się w Brighton Beach.

Minął rok od czasu, gdy Hugh MacDonald, były oficer operacyjny CIA, jego partner w dochodzeniu dotyczącym mafii rosyjskiej, do którego Peter został przydzielony przez nowojorski wydział policji, kontaktował się z nim po raz ostatni. Peter miał właśnie zamiar iść do domu, kiedy Hugh zadzwonił do jego biura.

- Spotkajmy się w restauracji „Kiev”, w Brighton Beach, jak najszybciej. Potrzebuję twojej pomocy.

Peter z nawyku nastawił radio na policyjne pasmo i gdy zbliżał się do miejsca, gdzie Ocean Parkway kończy się nad Atlantykiem, usłyszał rzeczowy głos dyspozytora mówiący o strzelaninie przy restauracji „Kiev” na Surf Avenue, w Brighton Beach.

Peter dotarł do skrzyżowania Ocean Parkway z Surf Avenue, skąd zobaczył białe grzywacze i pianę wyrzucaną na piasek przez przypyływ. Skręcił w lewo i pojechał na wschód, równoległe do promenady, prawie bezludnej w zimnych podmuchach hulającego nad oceanem wiatru.

Morderstwa w Brighton Beach, zwanej również Małą Odessą, od stolicy rosyjskiego świata przestępczego nad Morzem Czarnym, nie były niczym niezwykłym. Ale co tam robił oficer wywiadu? Na czym polegała jego rola w przypadku tych zabójstw, dwóch, jak podawano przez radio?

Peter zaparkował przy szerokim chodniku na jasno oświetlonej Surf Avenue, jak najbliżej restauracji. Wystawił w oknie plakietkę prokuratury, włączył elektroniczny alarm i wysiadł. Przed pilnowanym przez paru policjantów wejściem do lokalu kłębił się tłum ciekawskich. Peter rozejrzał się i w tej samej chwili stanął przed nim rumiany mężczyzna w średnim wieku o rzadziejących białych włosach.

- Hugh! - Peter przywitał byłego partnera. - Kawał czasu.

- Dobrze cię widzieć - odparł Hugh, gdy uścisnęli sobie dłonie.

Starszy mężczyzna, lekko zadyszany, od razu przeszedł do rzeczy.

- Zrobił się piekielny bałagan. Od paru dni mieliśmy na oku tych dwóch Rosjan. - Machnął ręką w stronę restauracji. - Kontaktowali się z członkiem misji Iraku przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Obaj nie żyją.

- Wiem. Właśnie słyszałem o tym przez radio. Dla kogo teraz pracujesz? - zapytał Peter.

- Dla NEST. To rządowy zespół kontroli energii atomowej. Naszym obowiązkiem jest zapobieganie kryzysom nuklearnym. Nasi ludzie mają oko na misje tych państw, które są potencjalnymi źródłami terroryzmu nuklearnego. Moim celem jest facet o nazwisku Azziz, z misji irackiej.

Hugh i Peter w trakcie rozmowy obserwowali wejście lokalu od strony rzeźbiście oświetlonej Surf Avenue.

W przeciwieństwie do większości barów i restauracji, które mieściły się przy bocznych ulicach, „Kiev” wychodził na ocean. Stał wśród budynków mieszkalnych w stylu art deco, w których rezydowali zamożni rosyjscy uchodźcy. Ciekawscy tłoczyli się przy zamkniętych drzwiach w nadziei zobaczenia wynoszonych zwłok.

- Dlaczego do mnie zadzwoniłeś? - zapytał Peter.

- Jak najszybciej potrzebowałem kogoś, kto mówi po rosyjsku. Wcześniej tego wieczora widziałem, jak ci dwaj Rosjanie weszli z Azzizem do irackiej misji, a kiedy godzinę później wyszli bez niego, przyjechałem za nimi metrem tutaj, do Brighton Beach. Naturalnie pomyślałem o tobie i zadzwoniłem, gdy weszli do tej restauracji.

- Miałeś szczęście, byłem do późna w biurze.

- Złapałbym cię na pagerze i też byś przyszedł.

- Racja.

- Chciałem, żebyś mi pomógł dowiedzieć się, kim są ci faceci. Właśnie odkładałem słuchawkę, kiedy usłyszałem wrzaski i strzały. Nim wyskoczyłem z budki i wróciłem do lokalu, ci dwaj już nie żyli. Niech to diabli, gdybym zaczekał chwilę z tym telefonem, byłbym świadkiem morderstwa.

- I może sam byś zarobił. W Małej Odessie nie lubią świadków.

- Muszę wiedzieć, kim byli ci faceci.

- Zobaczymy, czego się uda dowiedzieć.

- Dzięki. Mnie nigdy by nie wpuścili - poskarżył się Hugh. - A legalnymi kanałami straciłbym kupę cennego czasu. Przy okazji, Peter, nie wspominaj nikomu, że śledziłem tych dwóch od misji Iraku. Ten nadzór jest ściśle tajny.

- Być może kiedyś będę musiał coś powiedzieć. Ale tym zajmiemy się później. - Peter Nikhilov przepchnął się przez tłum i gdy drogę zagrozdził mu dwaj policjanci strzegący wejścia, machnął im przed nosami legitymacją biura prokuratora. Hugh szedł tuż za nim.

Znaleźli się w krzykliwej imitacji „Pekinu”, znanej moskiewskiej restauracji. „Kiev”, wyludniony, przypominał przepastną jaskinię, na środku której leżały dwa ciała.

Wokół nich skupili się mundurowi policjanci i ludzie z wydziału zabójstw.

Wielki, ubrany po cywilnemu porucznik Tom Egan podniósł głowę znad trupów.

- Jezu Chryste, Nickeloff - powiedział, przekręcając nazwisko. - Do diabła, skąd się tu wzięłeś tak szybko? Nie dzwoniłem do prokuratury.

- Cześć, Tom. Poznaj Hugh'a McDonalda. Stary przyjaciel z czasów przydziału specjalnego do Firmy.

- Miło cię poznać, Hugh - rzucił zdawkowo Egan, a potem zwrócił się do Petera: - Nie pieprz, Nickeloff, kto ci dał cynk? - Popatrzył podejrzliwie na Hugh'a.

- To tylko instynkt, Tom. Instynkt gliniarza.

- Aha - mruknął bez przekonania Tom, nadal mierząc wzrokiem McDonalda.

Peter Nikhilov był szczupłym, jasnowłosym mężczyzną po czterdziestce. Jego tweedowa sportowa marynarka, robiony na drutach czarny krawat, koszula z obciągniętymi płótnem guzikami, szare wełniane spodnie i błyszczące brązowe mokasyny sprawiały, że wyglądał bardziej na wykształconego na wschodnim uniwersytecie prawnika, niż na byłego detektywa, obecnie pracującego jako agent specjalny w prokuraturze okręgowej.

Policyjni fotografowie krążyli ostrożnie wokół kałuż krwi, które otaczały torsy ofiar jak nierówne, szkarłatne aureole.

- Robota typowego czeczeńskiego cyngla - powiedział Peter. - Tacy albo strzelają trzy razy więcej, niż potrzeba do takiej roboty, albo używają granatów. Jakies dokumenty?

- Tylko to. - Egan skinął na stojącego w pobliżu umundurowanego funkcjonariusza, który przez rękawiczkę trzymał zwitek szeleszczących studolarówek. - Z takimi papierami nie trzeba dokumentów.

- Żadnych świadków, jak przypuszczam?

- W chwili zabójstwa musiało być tu od pięćdziesięciu do stu osób. Ale... - Egan bezradnie wzruszył ramionami - *Ja niczego nie znam* - nikt nic nie wie. Nikt nawet się nie przyznał, że słyszał strzały.

- Być może zabójca używał tłumika. - Peter przykląkł obok wywróconego stołu i obejrzał dokładnie ciała. - Nie byli w Stanach na tyle długo, by kupić amerykańskie ubrania i buty. Prawdopodobnie Gruzini. Macie broń?

- Sprawdzamy pobliskie kosze na śmieci.

Peter podniósł się po dłuższej chwili.

- W tej chwili sprawca jest już na JFK i czeka na samolot lecący gdzieś do Europy, prawdopodobnie do Frankfurtu, skąd są codziennie dwa loty do Moskwy.

- Dokładnie tak samo pomyślałem.

- Rozkazy wykonania zamachu nadeszły z Moskwy - stwierdził Peter. - Jestem tego pewien. Czarna ręka z Moskwy sięga prosto do Brighton Beach. To kwestia stylu. Nigdy nie znajdziemy zabójcy, o ile nie pojawi się jakiś informator, co jest bardzo mało prawdopodobne.

- A miałem nadzieję, że ten rok będziemy mieli spokojny - westchnął Egan.

- Myślisz, że dasz radę ich zidentyfikować? - Hugh wskazał na ciała.

- Jasne, kiedyś - odparł Egan. - To przyjeźdźni. Może trochę potrwać, nim ktoś się o nich upomni.

Peter popatrzył na pieniądze w dłoni sierżanta.

- Ciekaw jestem, czy to fałszywki - powiedział, przyglądając się z bliska plikowi banknotów. - Tom, sprawdź je.

W tej chwili w drzwiach kuchni pojawił się smagły, mocno zbudowany mężczyzna z tłustymi czarnymi włosami i kilkudniowym ciemnym zarostem na policzkach i brodzie.

Zaczął mówić po rosyjsku w tempie szybkostrzelnego karabinu. Peter odpowiedział mu równie szybko i po chwili uspokajająco poklepał mężczyznę po plecach.

Odwrócił się do swoich towarzyszy.

- Niko, właściciel restauracji, jest zdenerwowany. To zrozumiałe. To już druga masekara, jak to nazywa, do jakiej doszło w restauracji tej zimy.

- Widział, kto to zrobił? - zapytał Hugh.

Peter wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście, że nie. Widzieć znaczy umrzeć. - Powiedział coś pocieszająco do restauratora, który tego wieczora nie mógł już raczej liczyć na zarobek. Potem odwrócił się do Hugh'a i zaproponował: - Przejeźdźmy się na lotnisko i rozejrzyjmy. Może zobaczymy kogoś, kto nie będzie tam pasował. - Był to doskonały sposób zabrania Hugh'a ze sceny zbrodni, zanim ktokolwiek zacznie zadawać pytania.

3.

W trakcie szybkiej jazdy po Ocean Parkway na północ z Brighton Beach, Hugh podziwiał luksusowe, wybite błękitno-szarą skórą wnętrze pojazdu detektywa.

- Czy to brooklyńska prokuratura dała ci Lincolna Town Car na przejażdżki? - zapytał.

- Nie. Jest mój.

- Niezły. Nawet w CIA nie mogliśmy rozbijać się nowymi Lincolnami czy Cadillacami.

- W tygodniu poświęcam prokuraturze dwa dni pracy nad sprawami rosyjskimi. Reszta czasu należy do mnie. *Pieriestrojka* Gorbaczowa jest dobra do robienia interesów, jeżeli mówi się po rosyjsku i zna się Rosjan.

- Jakie interesy robisz z Sowietami?

- Pośredniczę.

- Na przykład?

Peter wzruszył ramionami.

- Dam ci przykład. Tona aluminium na Zachodzie kosztuje obecnie tysiąc trzysta dolarów. Regulowana przez rząd radziecki cena wynosi tysiąc trzysta rubli za tonę. Obecnie... - znacząco zawiesił głos - pewne radzieckie instytucje oferują trzydzieści rubli za dolara. - Uśmiechnął się szeroko. - Jeżeli więc możemy płacić czterysta dolarów za tonę aluminium w Rosji i sprzedawać ją kilkaset kilometrów dalej w Finlandii po tysiąc trzysta, mamy śliczny czysty zysk.

- Zatem dlaczego wszyscy tego nie robią?

- Bo my pierwsi na to wpadliśmy, i ponieważ radzieckie Ministerstwo Surowców może udzielać koncesji na zakup aluminium miejscowym przedsiębiorstwom, które mają zgodę rządu, tylko do wykorzystania na terenie kraju.

- Na czym więc polega twoja rola?

- Przekonałem Ministerstwo Zdrowia, że Rosji grozi epidemia AIDS, i że reprezentowana przeze mnie firma jest przygotowana do wyrobu i dystrybucji prezerwatyw taniej, niż wszystkie inne na świecie. Każdy kondom ma być pakowany oddzielnie, w aluminiową folię.

Hugh wyszczerzył zęby.

- Zaczynam kojarzyć.

- Wszyscy komunistyczni biurokraci są sprzedajni - ciągnął Peter. - Im wyżej siedzą,

tym bardziej. Minister zdrowia i minister surowców szybko przekonali Politbiuro, że taka firma kondomiarska jest dobrodziejstwem dla narodów Związku Radzieckiego. Teraz moja firma bez przeszkód nabywa nieograniczone ilości aluminium w Rosji, sprzedaje je po sąsiedzku w Finlandii z zyskiem tysiąca dolarów na tonie, importuje folię aluminiową z Holandii i lateksowe prezerwatywy z Tajwanu, składa to do kupy w Moskwie i sprzedaje z niewielką stratą na sztuce, ale ogromnym zyskiem ze sprzedaży tysięcy ton aluminium.

- Władze się nie czepiają?

- Ministrowie nie dopuszczają do tego, oczywiście nie bez motywacji z naszej strony i, ostatecznie, zapobiegają epidemii AIDS w Rosji.

Hugh tylko pokręcił głową, wyglądając przez szybę oczyszczaną z mokrego śniegu przez szybko pracujące wycieraczki.

- Musisz znać innych ludzi, którzy robią na tym pieniądze - ciągnął Peter.

- Tak. W takie interesy prawie zawsze wchodził byli gliniarze i... - Hugh zerknął na Petera znacząco - byli komandosi z Zielonych Beretów? - Znów urwał i wyszczerzył zęby. - Odpowiem na własne pytanie. Wchodzi w interesy związane z bronią i ochroną. Mamy udokumentowane wszystkie tego typu transakcje na świecie, kto co kupuje, za ile i od kogo.

- Interesujące - przyznał Peter. - Kto jest szefem NEST?

- Nie ma jednego szefa, jak w przypadku CIA czy FBI. NEST podlega Federalnemu Departamentowi Energii z Las Vegas w połączeniu z programem testowania broni jądowej. Jesteśmy koordynowani przez FBI, ale wielu pracowników to byli agenci CIA, jak ja. Naukowcy z Departamentu Energii powołali zespół kontroli nuklearnej. Na świecie rośnie groźba terroryzmu nuklearnego. Prawdopodobnie za parę lat całkowicie wymknie się spod kontroli. - Zamilkł i spojrzał na Petera szacujące - Myślę o tobie od czasu do czasu. Ludzie z Sił Specjalnych są cenni, zwłaszcza ci nieliczni, którzy mówią po rosyjsku jak rodowici Rosjanie. I eksperci od demontażu radzieckich instalacji nuklearnych w Niemczech Wschodnich.

Peter pokiwał głową.

- W moich aktach nie ma nic, co by wskazywało, że kiedykolwiek robiłem coś takiego, prawda?

Hugh uśmiechnął się enigmatycznie.

- Nie. W służbowych aktach Sił Specjalnych pomija się sporo rzeczy. Ale niektórzy z nas wiedzą.

Przed nimi na Van Wyck Expressway rozbłyły światła międzynarodowego portu lotniczego JFK. Natężenie ruchu wzrosło i Peter musiał zwolnić.

- Czy to rozmowa rekrutacyjna?

- Jeszcze nie. Po prostu myślę.

Przez dziesięć minut Peter jechał bulwarami prowadzącymi do różnych terminali. Wreszcie zahamował wprost przed wejściem na dworzec Lufthansy i umieścił na szybie prokuratorскую plakietkę. Razem skierowali się do środka. Pobieżne spojrzenie na stanowiska odprawy bagażowej wykazało, że większość pasażerów już została obsłużona. Ruszyli po schodach do poczekalni na piętrze.

Peter pierwszy skręcił ku stanowiskom odpraw paszportowych i zatrzymał się przy bramce kontrolnej. Wyjął z kieszeni coś, co wyglądało na wielki kieszonkowy zegarek, większy i grubszy od czasomierza konduktora, i położył na tacy obok elektronicznej ramy. Zabrał zegarek po przejściu przez kontrolę i wsunął z powrotem do kieszeni.

- Więc udało ci się przywłaszczyć z Sił Specjalnych zegarek kieszonkowy z ładunkiem kumulacyjnym - zauważył Hugh.

- Pokazuje mi czas wszędzie na świecie.

- Ochrona lotniska dostałaby zawału, gdyby wiedziała.,

- To bezpieczna przykrywka. - Mrugnął. - Chyba nie ma nic złego w tym, że człowiek chce wiedzieć, która godzina jest w Moskwie i Tokio.

Peter kręcił głową, obserwując pasażerów czekających na lot o dwudziestą trzecią.

- Oczywiście są inne samoloty, którymi mógłby lecieć zabójca - powiedział. - Ale moskiewska mafia lubi Lufthansę, bo w pierwszej klasie mają mnóstwo Stolicznej. I w chwili, gdy postawią nogę na pokładzie samolotu zagranicznej linii, są poza Ameryką.

- Poważnie? Nie wiedziałem. Ja wchodzę na pokład, kiedy chcę. I aresztuję, jeśli chcę. Nikt nigdy nie próbował mi przeszkodzić.

- Dobra, rozejrzyjmy się.

Peter obserwował przejście wiodące do podstawionego samolotu, które wkrótce miało zostać otwarte, a Hugh przechadzał się niedbale po poczekalni. Zajrzał do dwóch barów, lecz nie zobaczył niczego interesującego. Wreszcie, gdy nadszedł już prawie czas wsiadania na pokład, podszedł do windy z plakietką KLUB DLA PASAŻERÓW PIERWSZEJ KLASY.

Wkrótce znalazł się w dyskretnie oświetlonym wnętrzu poczekalni dla uprzywilejowanych i natychmiast stanął jak wryty. Jego uwagę przyciągnęli dwaj mężczyźni siedzący w mrocznym kąci. Jeden - z wypomadowanymi wąsami, z przedziałkiem na środku głowy, ubrany w prążkowane spodnie i czarne palto z szarymi lamówkami - przypomniał mu minione operacje CIA. Elegantowi towarzyszył śniady osobnik o gęstych włosach, którego rysy i postawa przywoływały na myśl mieszkańca Kaukazu, prawdziwego zabójcę z rosyjskiego świata przestępczego.

Z nadzieją, że nie został zauważony, Hugh zawrócił, wyszedł spacerkiem z klubu i,

znalazłszy się w holu na parterze, ruszył do bramki Lufthansy. Peter obserwował przygotowujących się do wyjścia pasażerów, kiedy Hugh podszedł i napomknął o swoim odkryciu. Peter skinął głową i razem skierowali się do klubu. Na miejscu Peter szybko zajrzał do kąta.

- To Zekki Dekka. Jak zwykle wygląda tak, jakby wybierał się na dyplomatyczne spotkanie. Nigdy nie widziałem typu, który mu towarzyszy, ale wygląda mi na Czeńczyka. To muszą być oni. Pozwól, że sam się tym zajmę. OK?

- Nie będę wchodził ci w drogę, Peter - obiecał Hugh. Peter z uśmiechem ruszył przez szybko opróżniające się wnętrza klubu w stronę zaskoczonych cudzoziemców. Stał nad nimi i zagadnął po rosyjsku. Zekki i jego towarzysz popatrzyli na detektywa ze zdumieniem.

Po chwili błyskawicznej wymiany zdań Zekki Dekka nagle poznał stojącego z boku Hugh'a McDonalda. Bez słowa powitania i tak, jakby widok byłego agenta CIA był zjawiskiem powszednim, zawołał po angielsku: - Hej, Hugh! Powiedz temu detektywowi, że nie ma tu nic do roboty. - Wskazał na śniadego mężczyznę. - Mogę poręczyć, gdzie ten człowiek był przez cały dzień - dodał urażonym tonem.

- Byliście tu przez cały wieczór? - warknął Peter.

Zekki z wahaniem zerknął na starszą blondynę z obsługi za biurkiem.

- Nie, przyszliśmy parę minut temu.

- Chciałbym zabrać twojego przyjaciela do Brighton Beach, do restauracji „Kiev”.

Zekki zerknął na zegarek i pokręcił głową.

- To niemożliwe. Za pięć minut musi być w samolocie do Frankfurtu.

- Frankfurt do jutra nie zniknie - stwierdził Peter. - Chcę poza tym przesłuchać go w biurze prokuratora okręgu Brooklyn.

- A niby z jakiej racji?

- Dzisiaj dwóch Sowietów, z Gruzji jak mi się wydaje, zostało zamordowanych przez innego obywatela Związku Radzieckiego. Słyszałem, że po Odessie łązi człowiek zwany Burłakiem - szukając kogoś. Myślę, że jest nim twój obecny tu przyjaciel.

Przedmiot konwersacji przenosił spojrzenie z Petera na Zekkiego i odwrotnie. Nagle wstał - krzepki mężczyzna ponad metr osiemdziesiąt - i spojrzał na Petera groźnie. Z jego ust dobył się potok chrapliwych rosyjskich słów.

- Zekki - rzucił ostrzegawczo Peter - powiedz temu goryłowi, że mogę zaarrestować go za zakłócanie porządku publicznego. Chcę zobaczyć jego dokumenty. Ale już!

Mężczyzna na znak Zekkiego wyjął z kieszeni dokumenty oraz bilety i podał je Peterowi.

- Ten paszport wygląda na podrabiany. - Peter potrząsnął głową, czytając ujęte w rosyjskich paszportach pochodzenie etniczne. - Ten człowiek jest w takim samym stopniu rosyjskim Żydem-uchodźcą nazwiskiem Josef Zilinski, jak ja.

- On jest pod ochroną NANA, Nowojorskiej Agencji do spraw Nowych Amerykanów - odparł Zekki. - Wiesz, co oni mogą zrobić z gliną oskarżonym o nastawienie antysemickie.

- Dlaczego stroisz tego Czeczeńca w piórka żydowskiego emigranta politycznego? - zapytał Hugh.

- On ma pełną akredytację NANA i zieloną kartę - upierał się Zekki. - Detektyw Nikhilov czepia się pana Zilinskiego na własną odpowiedzialność.

Podeszła do nich hostessa.

- Pasażerowie do Frankfurtu właśnie wchodzą na pokład - upomniała nagłoco.

Peter wiedział, że musi ich puścić. Niech to diabli, zaklął w myślach.

- OK. Zekki, masz jutro o jedenastej stawić się w biurze prokuratora okręgowego Kings County. Punktualnie!

- Będę tam, *gaspadin* Nikiłow - wymówił jego nazwisko z właściwym rosyjskim akcentem. Porozumiewawczo wyszczerzył zęby. - Zapewniam.

Gdy emigrant wstał, Peter dodał parę słów po rosyjsku. Jedyne, jakie zdołał wyłapać Hugh, brzmiało Japończyk. Coś jakby zaskoczenie, a nawet strach, odbiło się na twardych rysach podejrzanego. Potem on i Zekki, a za nimi Peter i Hugh, opuścili bar dla VIP-ów. Peter doszedł za nimi aż do bramki i przyglądał się, jak podejrzany podaje bilet hostessie. Gdy tylko stanął na rampie prowadzącej do samolotu, odwrócił się i pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

Zekki Dekka pomachał Peterowi.

- Zatem do jutra. - Odwrócił się i odszedł niespiesznie. Peter popatrzył za nim i pokręcił głową.

- Jadę do domu. Wyślę faks do facetów z Pietrowki 38, z opisem tej scenki. Chodź ze mną na drinka, potem odwiozę cię do miasta.

Peter mieszkał w schludnym domu w Forest Hills, blisko lotniska i biura, do którego dojeżdżał Brooklyn Queens Expressway. Zajechał na podjazd i poprowadził Hugh'a do drzwi na tyłach budynku.

- Mieszkasz tu sam? - zapytał Hugh po wejściu do kuchni.

- Zależy - odparł enigmatycznie Peter. Włączył światła. - Prosto. - Wskazał dobrze oświetlone schody do piwnicy. Nie byle jakiej piwnicy, pomyślał Hugh, gdy pokonał ostatnie stopnie i znalazł się w zalanym światłem wygodnym biurze-salonie.

- To centrum dowodzenia - objaśnił z dumą Peter. Na ścianie, na lewo od schodów,

widniała wystawa fotografii, obrazów, oprawionych listów. Na tablicy z zielonego filcu wisiały niezliczone pamiątkowe odznaki i medale. Ściana była równie rosyjska jak cerkiew Wasyla Błogosławionego. W rzeczy samej, nie brakowało zdjęcia Petera z przyjaciółmi na Placu Czerwonym; za ich plecami wznosiły się cebulaste złote kopuły. Peter wskazał portret surowego starca w mundurze.

- To mój pradziadek. Był generałem w armii carskiej, jednym z pierwszych straconych przez bolszewików.

Przeniósł rękę na zdjęcie piersiastej damy w koronkowym szalu.

- To babka. Zabrała moją matkę i ciotkę do rodzinnego domu w Kijowie. Wychowały się na Ukrainie, a potem, widząc co się dzieje w Rosji Radzieckiej, ruszyły w drogę do Ameryki.

- Twój ojciec był Amerykaninem? - zapytał Hugh.

Peter pokręcił głową.

- Urodziłem się w Niemczech. Tata dostał się do niemieckiej niewoli w czasie wojny, jak wielu Rosjan i Ukraińców. Skoro moi rodzice nie byli Żydami, a ojciec podał się za Ukraińca, Niemcy zamiast go rozstrzelać, wywieźli do Niemiec na roboty. Ja urodziłem się tam pod koniec wojny. Przysięgli, że nie powrócą do Rosji, dopóki Stalin będzie dyktatorem.

Gorycz ściągnęła jego rysy.

- Roosevelt w Jałcie dogadał się ze Stalinem i obiecał deportować wszystkich obywateli radzieckich, niezależnie od ich woli. Ojciec ukrywał się z nami w Niemczech przez parę lat po wojnie. - Po dłuższej chwili milczenia bezbarwnym tonem podjął: - Ale Amerykanie znaleźli go i przekazali Rosjanom. Już nigdy o nim nie słyszeliśmy.

- Ja!ta. - Hugh z odrazą wypluł to słowo. - Roosevelt był strasznym sukinysem.

Peter wzruszył ramionami.

- Ja miałem szczęście. Moja matka, babcia i ciotka zdołały wyemigrować do Nowego Jorku. Wychowałem się w Brooklynie.

Peter otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju i zapalił światła, w których blasku ukazał się dobrze zaopatrzony bar.

- Napij się, a ja wyślę faks do komendy głównej moskiewskiej milicji. Muszą wiedzieć, kto właśnie do nich leci. - Peter westchnął, rozmyślając nad decyzją o wypuszczeniu Czeczénca. - Nie warto byłoby narażać się na rozróbę, jaka nastąpiłaby w biurze prokuratury, gdybym go aresztował.

- Nadal więc jesteś czynnym detektywem?

Peter usiadł przy komputerze.

- Przysłuzenie się tamtejszym glinom nie zaszkodzi moim nowojorsko-moskiewskim interesom.

- Zrobić ci drinka?

- Jasne. Gin z tonikiem.

- Zimą?

- To mój ulubiony drink.

Peter napisał i wysłał wiadomość do Moskwy, a potem wziął szklaneczkę z rąk Hugh.

- Czy twoja matka nadal mieszka z tobą? - zapytał Hugh.

- Kupiłem jej ten dom po śmierci ciotki i babki, ale teraz mieszka w domu spokojnej starości. Nigdy nie mogły dogadać się z moją żoną, irlandzką katoliczką, która chciała mieć ten dom dla siebie. Ale ledwo matka się wyprowadziła, żona doszła do wniosku, że tak naprawdę to tylko utrudniam jej życie i też się wyniosła.

- I zostałeś sam?

- W dzień w tym biurze jest raczej tłoczno.

- Może mógłbym rzucić nieco światła na Zekkiego Dekkę - zmienił temat Hugh.

Peter spojrział na niego zaskoczony.

- Wiemy, że jest świetnym fałszerzem.

- CIA wyciągnęła go z więzienia, by dla nas pracował.

- Do diabła, dlaczego? - warknął Peter.

- Firma miała plan zdestabilizowania radzieckiego rubla. - Hugh napił się łąpczywie. - W każdym razie, zamierzaliśmy podrobić ogromne ilości rubli.

- I nigdy tego nie zrealizowaliście?

- Mało brakowało. To było w czasie najciemniejszych dni tego, co prezydent Reagan nazwał „imperium zła”. Pamiętasz, kiedy w 1983 zestrzelili ten koreański samolot rejs 007? Na pokładzie było kilku wysoko postawionych urzędników rządu USA. Wśród dwustu sześćdziesięciu dziewięciu ofiar znajdował się kongresman Larry McDonald, który był przyjacielem prezydenta i członkiem Komisji Spraw Zagranicznych.

- Więc szef CIA, Bill Casey, z powrotem wysunął operacje na pierwszy plan - skonkludował Peter.

Hugh skinął głową.

- Doszło nawet do tego, że wraz z Redem Rolfem nakłoniliśmy Zekkiego Dekkę do pomocy w wytrawianiu matryc rubli o wysokich nominałach. Spece z Langley uważają go za najlepszego fałszerza w tym biznesie.

- A potem, po raz kolejny, rozkazano wam odwołać operację - uzupełnił Peter. - I

zostawić Zekkiego na wolności, żeby miał zajęcie. Wielkie dzięki. - W jego głosie zabrzmiało gorzkie sztyderstwo.

- A jeżeli plan CIA zostanie jednak wprowadzony w życie, powiedzmy teraz? - założył Hugh. - Przez paru facetów, którzy go tworzyli. Na własną rękę.

- Wtedy należałoby skoncentrować się na Zekkim.

- Też tak myślę.

- Cóż, pozostajmy zatem w kontakcie.

- Będziesz z nami pracował, Peter?

- Pomogę wam przypilnować Zekkiego. Poza tym będziemy musieli pogadać.

- Wielu doświadczonych starych szachrajów, jak ja, potrzebuje takich facetów jak ty. Jeżeli będziesz pilnował Zekkiego i prowadził dochodzenie w sprawie tych morderstw, będę ci bardzo wdzięczny.

- W porządku, Hugh. Odwiozę cię do Nowego Jorku, a potem wstąpię do „Rosyjskiego Samowara” i zobaczę, czy z Rosji nie przybył jakiś nowy talent. Dziewczyny znad Wołgi rozumieją takich cynicznych skurwielu jak ja. I vice versa. Mogę być gliną na pół etatu, ale niedługo zamierzam założyć nową rodzinę.

Wyciągnął opasty zegarek.

- Na Manhattanie prawie północ. - Przez chwilę zaciskał czasomierz w dłoni. - Mam przeczucie, że wkrótce będę musiał użyć tej perełki do tego, do czego została stworzona.

Było to w 1988 roku, pod koniec jej pierwszego roku w Instytucie Języków Obcych im. Maurice'a Thoreza. Oksana Martinowa i jej najbliższa przyjaciółka, Tania, z którą dzieliła sekrety i czytała angielskie książki, właśnie zdały kolejny zestaw testów z niemieckiego i angielskiego. Po odebraniu stypendiów postanowiły zapomnieć o zbliżających się egzaminach i kupić butelkę wina, paczkę papierosów i może jakieś czekoladki, a następnie pojechać do mieszkania Oksany. Było ono własnością jej ojca, który zatrzymywał się w nim w czasie przyjazdów do Moskwy na zebrania Politbiura i Zjazdu KPZR.

Ruszyły ulicami Moskwy osnutej jesienną mgłą, jarzącą się różowawo w promieniach słońca. Na rogu Arbatu znalazły niewielki sklep z alkoholem i stanęły w kolejce przed wejściem.

Wokół rozciągał się pchli targ. Przy stołach ustawionych na szerokich chodnikach można było kupić dosłownie wszystko. Szampana też nie brakowało, ale Tania uparła się, że będą czekać w kolejce do sklepu. Powiedziała, że nigdy nie wiadomo, co znajduje się w butelkach sprzedawanych na ulicy, i wskazała niedoświadczonej Oksanie smagłych mężczyzn wystających na rogach bocznych uliczek. Każdy uliczny handlarz miał własnego rekietera, który brał procent od dziennego utargu w zamian za „ochronę” przed konkurencją.

Wreszcie nadeszła ich kolej i weszły do sklepu. Na dobrze zaopatrzonych półkach stały butelki z winem i wódką. Stary, zmęczony sprzedawca o potężnych bokobrodach poznał Tanię i gdy z własnej woli zapłaciła więcej niż należało za dwie butelki ra-dzieckiego szampana, nie wbił na jej talon stempla potwierdzającego wykupienie tygo-dniowej racji.

Mieszkanie Oksany znajdowało się niedaleko centrum handlowego, w jednym z czteropiętrowych budynków.

O jedenastej wieczorem jedna butelka szampana była pusta, druga szybko zmierzała w jej ślady, a papierosy już się skończyły. Oksana czuła się w Moskwie okropnie osamotniona. W dalszym ciągu brakowało jej domu nad Bajkałem i rodzinnego mieszkania w Irkucku. Była w duszy Sybiraczką i przygnębiał ją betonowy ogrom Moskwy.

Tania pomogła jej przystosować się do moskiewskiego życia. Teraz, gdy popijały wino, rozmowa zeszała na temat afrodyzjaków i narkotyków.

- Wiesz co? - zapytała sugestywnym tonem Tania. - Słyszałam, że jak się doda do wina nieco Demerolu, to taka mieszanka wywołuje najdziwsze fantazje i podniecające wizje.

- Na przykład? - zaciękaowała się Oksana.

- Faceci dają to dziewczynom na imprezach, żeby się podnieciły.

- Facetów też to podnieca?

- Oni są zawsze napaleni, nie trzeba im Demerolu - zaśmiała się Tania.

- Znasz tego Igora z grupy niemieckiej? Kiedy ze mną rozmawia, nigdy nie patrzy wyżej piersi.

- Tak - przyznała z chichotem Tania. - Wątpię, czy nasi chłopacy poznaliby nas z fotografii paszportowych.

Wybuchnęły beztrioskim śmiechem. Tak miło było siedzieć naprzeciw siebie w kuchni. Tania wyciągnęła przed siebie długie szczupłe nogi w czarnych nylonowych pończochach. Była niską i drobną, ale proporcjonalnie zbudowaną blondynką. Nagle wstała i sięgnęła do miękkiej czarnej torebki.

- Przekonajmy się, czy Demerol z winem naprawdę działa na dziewczyny - zaproponowała ze śmiechem. - Mam tu pudełeczko.

Wysypała kilka tabletek na rękę, wróciła do stołu i rozlała do kieliszków resztę musującego wina. Wrzuciła tabletki i zamieszała łyżeczką. W trakcie picia gawędziły z ożywieniem, ale wkrótce zrobiły się senne, zaczęły się zaśmiewać bez powodu i zgubiły wątek rozmowy.

- Czas do łóżka - oznajmiła wreszcie Oksana - bo inaczej zaśpimy na wykłady.

Razem poszły do sypialni. Oksana czuła się oszołomiona i wyzwolona ze wszelkich zahamowań. Jakoś udało jej się ściągnąć bluzkę i stanik przez głowę, potem jednym płynnym ruchem zrzuciła spódnice, rajstopy i cienkie białe figi. Skoczyła na łóżko i zaczęła mościć się pod kocem.

Tania też się rozebrała do naga i wsunęła do niej. Koc wydawał się zimny i obcy, objęły się więc bez namysłu. Po pół godzinie zrobiło im się ciepło i przytulnie, ale poza tym czuły coś więcej. Dotyk ich młodych ciał był dla Oksany czymś zdumiewającym, czymś niespodziewanym. Zaczęły przepływać między nimi fale czułości i gorąca. Ich myśli, lekkie jak powietrze, zataczały leniwe kręgi, niczym żółte liście sphywające z drzewa w jesiennej mgle.

Oksana popatrzyła na Tanię i nie uczyniła najmniejszego ruchu, gdy przyjaciółka przyłożyła ciepłe wilgotne usta do jej prawej piersi i zamknęła je na sutku. Język wciśnął brodawkę w miękkie ciało i zaczął wędrować kolistymi ruchami. Oksana aż sapnęła ze zdziwienia; nie potrafiła uwierzyć w to, co Tania robi - nigdy nie dopuszczała do

siebie myśli, że w jej życiu dojdzie do takiej zażyłości z inną dziewczyną. Niezależnie od tego jej piersi stwardniały, sutki skurczyły się, zaś w dół kręgosłupa spływały fale gorąca, które stapały się gdzieś w wilgotnej głębi między udami.

Tania objęła ją, ich nogi splotły się i zaczęły pocierać o siebie. Tania wzięła w usta lewą pierś Oksany, sunąc ręką w dół napiętego brzucha. Jej palce zaczęły pieścić miękkie włosy i wnikać w gorącą wilgoć. Dwie dziewczyny nie czuły ani nie widziały niczego poza gorącymi kształtami piersi, bioder i pośladków. Ich usta spotkały się w pocałunku, języki dziko naparły na siebie.

Usta Tani powędrowały w dół ciała Oksany.

- Nie, nie rób tego, nie... proszę...

A po chwili: - Tak, tam, och, co ty robisz? - wyjęczała Oksana do bardziej doświadczonej przyjaciółki. Przycisnęła rękoma jej głowę, ścisnęła ją udami. Piersi jej nabrzmiały, uchwycone między wyciągniętymi rękoma, fale rozkosznego żaru zaciskały jej gardło, z którego dobywały się dzikie, triumfalne długie krzyki, którym towarzyszyło szaleńcze kołysanie całego ciała.

Później Oksana, kierowana szeptanymi instrukcjami i zachętami, obdarowała tą samą nieskończoną rozkoszą swą pierwszą kochankę. Zadrżała, gdy Tania głośnym okrzykiem oznajmiła, że osiągnęła spełnienie.

Wreszcie, gdy pierwsze blade światło dnia wpadło przez okno, wyczerpane dziewczyny zapadły w sen.

Przebudziwszy się rankiem poczuły ogromną radość i satysfakcję; śmiejąc się i obejmując, pogratulowały sobie wstąpienia do klubu prawdziwych lesbijek. Pod prysznicem, w deszczu gorących igieł, gdy pieściły namydlone ciała, znów ogarnęło je pożądanie i spędziły w kąpieli parę godzin. Po wyjściu z łazienki były prawie odrętwiałe od nadmiaru rozkoszy. Wykłady tego dnia poszły w niepamięć.

Romans trwał bez przeszkód przez cały rok. Spotykały się co najmniej dwa razy w tygodniu w mieszkaniu Oksany albo u Tani, aby odrabiać zadane prace i doskonalić angielski i niemiecki. Czasami narastało w nich podniecenie, szły wówczas do łazienki i prawie zdzierały z siebie ubrania - staniki i inne części garderoby fruwały po całym pokoju. Dzięki lekturze anglojęzycznych książek, w których opisywano lesbijskie poczynania, udoskonaliły technikę. Wypróbowały wszelkie możliwe sposoby podniecania z delikatnym nakłuwaniem sutków i łechtaczek włącznie.

Odkryły, że lesbijska społeczność w Instytucie Języków Obcych jest naprawdę ogromna, obejmuje co najmniej sto dziewcząt. Ale większość z nich wolała pozostać wierną tylko jednej kochance.

Po roku sytuacja zaczęła ulegać zmianie. Tania poznała chłopaka, który okazał się

niezmiernie zazdrosny i chciał spędzać z nią jak najwięcej czasu, co ograniczyło schadzki z Oksaną.

Oksana i Tania, gdy ich stosunki zaczęły wygasać, postanowiły pójść na ostatnią wspólną kolację.

Był wczesny, jesienny wieczór 1991 roku, w czasie ich trzeciego roku nauki w instytucie. O siódmej restauracja „Pekin” zaczynała napełniać się klientelą. Chmury dymu z setek papierosów, niektórych aromatycznych amerykańskich Marlboro, innych ostrych, z krajowych konopi, unosiły się wśród filigranowych chińskich kolumn. Ściany i sufit zdobiły barwne chińskie płaskorzeźby połączone z tradycyjnymi motywami buddyjskimi, skomplikowane sieci kwiatów, smoków, lwów i okropnych masek mongolskich bogów. Lokal był urządzony tak, by bawić i karmić około tysiąca gości na raz, i co wieczór miał ich komplet.

Klientela składała się z gości hotelu „Pekin”, cudzoziemców wszelkich nacji: od Wietnamczyków, Koreańczyków, Japończyków i Arabów po Europejczyków i rosnącej liczby Amerykanów, którzy na fali głoszonej przez Gorbaczowa *pieriestrojki* i *glasnosti* szukali okazji do zrobienia interesów.

Wyżsi funkcjonariusze KGB mieszały się z bossami mafii i *naczalstwem* Partii, a ich podwładni z moskiewskimi studentami, prostytutkami i przestępcami wszelkiego autoramentu.

Oksana i Tania zajęły narożny stół w pobliżu niewielkiej fontanny w przyściennym basenie. Sala już była pełna. Miejscowi zamawiali kolacje i rozmawiali o interesach przy butelce zielonego Chartreuse i kawie, prostytutki polowały na klientów, a przyjezdni rozkoszowali się francuską kuchnią.

W powietrzu unosił się gwar akcentowany szczękiem talerzy, szklanek i sztućców; kłęby papierosowego dymu wokół żyrandoli gęstniały z każdą upływającą minutą.

Oksana i Tania przez godzinę plotkowały przy kawie o studentach i wykładowcach z instytutu, a potem zwróciły uwagę na kobietę, która zajęła miejsce przy sąsiednim stole. Obie przyglądały się jej bez skrępowania. Nieznajoma była wysoka, szczupła, niesamowicie zgrabna. Miała piękną twarz i wyrafinowany makijaż. Fale ciemnych włosów spływały kaskadą na jej delikatne ramiona. Nosila białą bluzkę, która wspaniale kontrastowała z jej ciemnymi oczyma i włosami, oraz obcisłą minispódniczkę ze złotego jedwabiu, która odsłaniała w całej okazałości długie, smukłe nogi w czarnych pończochach. Towarzystwo jej trzech niecałkiem trzeźwych mężczyzn. Oksana zirytowała się, gdy jeden z nich wsunął rękę pod stół, położył ją na udzie nieznajomej i próbował przesunąć dłoń wyżej. Czarnowłosa piękność z absolutną obojętnością sprzeciwała się z drugim kompanem. Od czasu do czasu, jakby odganiając muchę, odsuwała

rękę natręta i rzucała mu jedno czy dwa ostre słowa. Pozostali dwaj mężczyźni tylko się podśmiewali.

Oksana spojrzała współczująco w oczy kobiety, gdy ta zerknęła na dwie tak z pozoru niewinne dziewczyny przy sąsiednim stoliku. Wymieniły porozumiewawcze uśmiechy i Oksana poczuła natychmiastową sympatię do kobiety. Nieznajoma była czarująca. Oksana cały czas zastanawiała się, co też ona robi z tymi trzema nieokrzesanymi gburami. Tania przerwała jej rozmyślenia. Chciała wyjść, prawdopodobnie dlatego, że już wydała lwią część swoich rubli, więc i ona odliczyła pieniądze na zapłacenie rachunku oraz napiwek i zebrała się do wyjścia.

Oksana i nieznajoma skinęły sobie na pożegnanie. Tania powiedziała: - Wstąpię do toalety - i ruszyła przejściem między stolikami. Oksana wzruszyła ramionami i podążyła za nią. W toalecie było pusto. Oksana zaczęła, aż Tania wyjdzie z kabiny. Kiedy razem odwrócili się do wyjścia, okazało się, że drzwi tarasowała dziwaczna kreatura, niewiarygodnie brudny karzeł z drewnianą laską w lewym ręku. Jego ubranie było wymięte i paskudnie poplamione. Na głowie miał brudną szarą czapkę. W czerwonych, zmrużonych oczach błyszczał obłęd i okrucieństwo. Dolną część twarzy pokrywała lepka od brudu szczecina.

Tania i Oksana spojrzały z przerażeniem na tę zjawę. Nikt przy zdrowych zmysłach nigdy by nie przypuścił, że coś takiego może zdarzyć się w centrum Moskwy, w drogiej restauracji. A jednak ohydny karzeł był tam, stał z prawą dłonią schowaną w rękawie kurtki. Po chwili na oczach przerażonych dziewcząt wysunął pięść z kryjówki. Błysnęło długie, wąskie ostrze. Dziewczyny zamarły.

- No, panienki - wychrypiał karzeł - nie ma pośpiechu. Mamy mnóstwo czasu na zabawę.

Krew odplynęła Oksanie z twarzy; gdy zerknęła na Tanię, zobaczyła, że przyjaciółka jest bielsza od glazury. Budzący grozę stwór ruszył w ich stronę, usta mu się trzęsły, w oczach płonął czerwony obłęd. Przenosił spojrzenie z jednej na drugą, jakby się zastanawiał, która ma pójść na pierwszy ogień. Oksana i Tania poczuły za plecami ścianę, już nie mogły się cofać.

- Do licha, co się tu dzieje? - rozbrzmiał ostry kobiecy głos.

Dziewczyny i ich prześladowca odwrócili się w stronę drzwi.

Stała w nich piękna, ciemnowłosa nieznajoma w uwodzicielskiej, pewnej siebie pozycie, z jedną ręką na biodrze, z długim brązowym papierosem w drugiej. Wysokie obcasy sprawiały, że jej figura wydawała się jeszcze bardziej smukła.

- Zjeżdżaj, dziwko. Nie potrzeba cię tutaj - warknął karzeł, z nożem nadal wymierzonym w Tanię i Oksanę.

- Aha! - zawołała kobieta, jakby wszystko stało się dla niej jasne, łącznie z tym, jak ma sobie poradzić w tej niesamowitej sytuacji. Wsunęła papierosa w usta, zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła chmurę dymu. Potem wyciągnęła rękę i leniwie strzepnęła popiół, zrobiła niedbały, długi krok w kierunku pokurcza o świńskich oczkach i wyprowadziła nagle, potężnego kopniaka na wysokość piersi karła. Jej długi obcas trafił go w podstawę szyi.

Nóż poszybował w jedną stronę, laska w drugą. Karzeł zatoczył się, stracił równowagę, wpadł do kabiny i znieruchomiał na posadzce.

- Wyośmy się stąd w diabły - powiedziała wybawicielka. - Chodźcie, złapiemy taksówkę.

W taksówce dziewczęta dowiedziały się, że kobieta ma na imię Nadia. W ciągu paru minut odkryły, iż zawdzięczają ratunek zawodowej prostytutce.

- Zabawiam facetów po pięćset rubli za sesję - oznajmiła nonszalancko Nadia. - A wy co robicie?

- Jesteśmy studentkami - odparła Oksana.

- Gdzie nauczyłaś się tak pięknie kopać? - zapytała Tania.

- Mój mąż bił mnie, gdy się upił, a ja nauczyłam się oddawać.

Oksana zaprosiła Tanię i Nadię do siebie, ale musiała przeprosić, że nie ma nic do picia. Nadia roześmiała się, podała taksówkarzowi adres, na miejscu wysiadła i wróciła z butelką koniaku. We trójkę poszły do mieszkania Oksany.

Nadia uśmiechała się lekko, idąc z nowymi przyjaciółkami.

5.

Japończyk dosłużył się generalskiej potęgi po tym, jak przeznaczenie w jego życiu zmaterializowało się pod postacią Galiny, córki sekretarza generalnego KC KPZR, Leonida Breżniewa. Pierwszym mężem Galiny był poznany w cyrku treser niedźwiedzi, krzepki, miły człowiek; Galina już wówczas cieszyła się reputacją renomowanej dziwki. Po długich, uciążliwych latach wspólnego życia cyrkowiec udał się do teścia i powiedział, że nie ma odwagi bić swojej żony. Tym samym zażądał rozwodu. W czasie lat małżeństwa Galinie nie brakowało kochanków - a gust miała raczej niewybredny - i notorycznie nie wracała do domu przez kilka dni z rządu.

Breżniew westchnął, wyraził zgodę i za lata małżeńskiej udręki z Galiną wynagrodził młodego człowieka stanowiskiem dyrektora cyrku „Nowa Moskwa”.

Jurij Czurbanow, zwyczajny inspektor w jednostce specjalnej wydziału kryminalnego komendy milicji przy ulicy Pietrowka 38, miał wówczas dwadzieścia osiem lat i był przystojny niczym Apollo. W chwili, gdy Galina ujrzała go na milicyjnym przyjęciu, oładnęło ją nieprzemienne pożądanie. Czurbanow też nie mógł się oprzeć żądzy - żądzy władzy - i poślubił czterdziestoletnią, tłąstą, brzydką i wąsatą córkę sekretarza generalnego KPZR.

Breżniew, w gruncie rzeczy człowiek hojny i uprzejmy, obsypywał nowego męzczenika-męża swojej córki - prezentami, awansami i prestiżem. W ten sposób w niedługim czasie zwyczajny milicjant został generałem i współpracownikiem ministra spraw wewnętrznych, generała Sziełokowa, najbardziej skorumpowanej postaci w kręgu Breżniewa.

Jurij szybko zjednał sobie przychylność wschodzących postaci moskiewskiej elity przestępczej. Dowiedział się, że niedawno mianowany generał, zwany Japończykiem, jest jednym z najbardziej niezawodnych zabójców do wynajęcia w moskiewskiej mafii i adiutantem samego Mongoła. Milicja nawet nie dopuszczała do siebie myśli o aresztowaniu tych wysoko postawionych kryminalistów. Wszyscy razem, a Mongoł w szczególności, podlegali ochronie ze strony potężnych członków Biura Politycznego KPZR, którzy za te usługi byli nad wyraz szczerze nagradzani.

Jesienią 1974 roku, późnym wieczorem, Japończyk zabawiał się z piękną, młodzieńką blondynką, która właśnie przybyła do Moskwy z Mińska, stolicy Białorusi.

Uwielbiał blondynki i niezmiernie zależało mu na tym, aby zostać pierwszym mężczyzną tej małej. Nic dziwnego, że wściekł się, gdy ktoś ostro zapukał do mieszkania, które uważał za tajne. Z *pczakiem* w pogotowiu, podszedł do drzwi i krzyknął, żeby intruz natychmiast się wyniósł, bo inaczej pokroi go na kawałki.

- Milicja! - padła głośna odpowiedź. - Wiaczesław Kiriłowicz Jakowlew, otwierać!

Japończyk był zaskoczony, słysząc swoje prawdziwe nazwisko. Niewielu ludzi w Moskwie je znało. Otworzył drzwi i ze zdumieniem zobaczył na progu generała Czurbanowa w cywilnym ubraniu. Widział zięcia Breżniewa dwa razy wcześniej, gdyż jego mentor, Mongoł, prowadził bezpośrednie interesy z samym ministrem Szielokowem. Bez wahania schował nóż do pochwy ukrytej pod spodniami i wyszedł za Czurbanowem na ulicę, do lśniącej Wołgi z kierowcą w milicyjnym mundurze.

- Doniesiono mi, że jesteście poważnym człowiekiem. To poważna sprawa. Proszę więc zachowywać się odpowiednio.

Japończyk w milczeniu pokiwał głową, nadal pod wrażeniem, że Czurbanow zna jego prawdziwe nazwisko. Przybrał potulny wyraz twarzy - wiedział, jak sprawiać pozory wiernego przyjaciela.

Samochód zatrzymał się obok wysokiego budynku na nabrzeżu Kotielnik, niedaleko Taganki. Było wpół do dwunastej w nocy. Przed nimi na co najmniej dwadzieścia pięter wznosiła się podobna katedrze monstrualna budowla, ze szczytem spowitym w nocnej mgle. Razem wspięli się po szerokich marmurowych schodach do masywnych drewnianych drzwi i po chwili znaleźli się w hotelu, który zajmował środkową część tego radzieckiego drapacza chmur.

Winda zabrała ich na piętnaste piętro. Niewielu ludzi wiedziało, że na górnych kondygnacjach tego hotelu, luksusowego bloku mieszkalnego i biurowca w centrum Moskwy, mieści się najbardziej ekskluzywny burdel stolicy. Przybytek był zarezerwowany dla przywódców partyjnych i najwyższych bossów mafii.

Przy wejściu do apartamentów stanowiących burdel przywitali ich dwaj nieskazitelnie ubrani i zadbani ludzie - miejsce to pozostawało pod skrupulatnym nadzorem KGB.

Po rutynowym sprawdzeniu dokumentów Jurija wartownicy dosłownie odskoczyli od niego i natychmiast wpuścili obu przybyłych do środka. Impreza trwała na całego. W długim holu wisiała gęsta chmura dymu papierosowego i *anaszy*, odmiany konopi indyjskich rosnących w Azji Centralnej.

Wszędzie kręciły się półnagie dziewczyny w kokieteryjnej bieliźnie. Siedziały mężczyznom na kolanach, z papierosami i drinkami w dłoniach, albo krążyły po sali, zabawiając gości. Towarzysze w średnim wieku, z zaczerwienionymi i uszczęśliwionymi

twarzami, z rozluźnionymi krawatami i rozpiętymi kołnierzykami, gromadkami spacerowali wśród ożywionych dziewczyn, które siedziały z założonymi jak najwyżej nogami, aby ujawnić w pełni swoje wdzięki.

W rozległym pomieszczeniu rozbrzmiewał kobiecy śmiech, okrzyki podniecenia pijanych mężczyzn i głośna zachodnia muzyka.

Na spotkanie Jurija wybiegł niski grubas w błękitnej koszuli, najwyraźniej Cygan - miał czarne włosy i złoty łańcuch na włochatym karku.

- Tędy - wysapał. - I po cichu.

W trójkę weszli do zaciemnionego pokoju. Ciężkie czerwone kotary wiszące na przeciw drzwi przysłaniały przejście do dalszego pomieszczenia. Cygan ostrożnie zbliżył się do zasłon i rozsunął je odrobinę. Skinął na Jurija i Japończyka. Początkowo Japończyk niczego nie widział, częściowo dlatego, że za kotarami było ciemno. Poza tym Jurij też zaglądał do sąsiedniego pokoju i jego szerokie plecy przysłaniały mu widok. Nagle Czurbanow odwrócił się gwałtownie. Nawet w przyćmionym świetle Japończyk dostrzegł, że jego przystojna twarz jest wykrzywiona z gniewu, a oczy przemieniły się w zimne i okrutne szpary.

Przysunął się do kotary i zerknął. Z początku nie potrafił rozróżnić w ciemności niczego konkretnego, potem zobaczył poruszające się nagie ciała. Kilka dziewczyn uprawiało seks oralny, dwie leżały na podłodze z klientami, którzy podrygiwali na nich konwulsyjnie w rytm donośnego posapywania.

Nagle jego uwagę zwróciły trzy osoby w kącie. Kobieta po czterdziestce, gruba, owłosiona, z wielkim brzuchem, pochylała się, wsparta na rękach i nogach. Jej ogromne, bezkształtne piersi chwiały się rytmicznie, wprawione w ruch przez stojącego za nią włochatego i tustego mężczyznę. Kobieta jednocześnie zaspokajała ustami drugiego mężczyznę, który leżał pod jej głową, z rozrzuconymi nogami, parskając i próbując wprawić się w jeszcze inny rytm.

Sylwetka kobiety wydała się Japończykowi jakby znajoma. Kobieta nagle przetoczyła się na plecy i szeroko rozłożyła nogi, jej potężne brzuch wysztytowało w górę, obwisłe piersi rozlały się na boki. Przez chwilę widział szeroką, mięsistą, wąsatą twarz, nim smagły mężczyzna, który wcześniej leżał pod nią na plecach, nie opadł na kolana nad jej głową. Drugi włochaty aktor tego obleśnego dramatu wspiął się na nią i kontynuował swoje zabiegi w bardziej konwencjonalnej pozycji. Twarz zniknęła za podrygującymi pośladkami... ale Japończyk widział ją wystarczająco długo. Poczł zimny pot na czole i kręgosłupie. To nie był żart, nie zwyczajne perwersyjne przedstawienie dla specjalnych gości podglądających zza kurtyny. Kobieta była nikim innym, jak Galiną Breźniew, żoną Jurija, córką wiadomo kogo... Cholera! Posunęła się za daleko. Odwrócił się do Jurija.

Cygan wdał się w pośpieszne wyjaśnienia.

- Nie mogłem nic zrobić! Nie chciała mnie słuchać, wiecie, jak jest, gdy się spije... Zadzwoiłem po was od razu. Poza tym... poza tym... - oblizła nerwowo usta - oni jej zapłacili...

- Co?! - wyskrzecztał Jurij. - Coś ty powiedział? - Złapał Cygana za kołnierz i szarpał w bezbrzeżnej furii.

Cygan zbliżył usta do jego ucha i zaczął szeptać gorączkowo: - Zapłacili jej! W diamentach! Ona sprzedawała nas wszystkim wrogowi, razem ze swoim papą, za garść tych cholernych kamyczków!

Jurij powoli odzyskiwał zimną krew. Japończyk był przerażony, ale zachował niewzruszony wyraz twarzy. Jurij przecesał dłonią czarne włosy i szturchnął go palcem w piersi.

- Widziałeś wszystko, wszystko słyszałeś. - Gniew i odraza zniekształcały mu głos. - Chcę dorwać tych dwóch sukinsynów, nieważne jak, chcę dobrać się im do pieprzonych tyłków! Dowiesz się, kim są, skąd pochodzą, a potem mają zniknąć. Ale zanim umrą...

- Rozumiem - zapewnił Japończyk. - Nigdy nie zostaną znalezieni, i będą cierpieć, mogę wam to obiecać. Nikt niczego się nie dowie. Możecie być pewni.

Jurij skinął głową i odetchnął głęboko. Wyjął szklankę z drżącej dłoni Cygana i zachłannie wypił parę łyków wódki. Potem powiedział do Japończyka: - Jeżeli będziesz potrzebował czegoś od strony technicznej, broni, czegokolwiek, po prostu zadzwoń. - Podał Japończykowi białą wizytówkę, na której widniał tylko numer telefonu. - Dodaj jeden do każdej cyfry.

- Będzie mi potrzebny walec drogowy.

- Co? - zapytali prawie jednocześnie Jurij i Cygan.

- Walec drogowy - powtórzył Japończyk. - W Rosji jest wiele dróg, które wymagają naprawy - dodał w formie wyjaśnienia. - I jeszcze jedno, jeśli można. Jeden z waszych milicyjnych aparatów fotograficznych.

Scena, jaka rozegrała się kilka dni później, miała podbudować nadszarpnięte morale Jurija Czurbanowa.

W nie dokończonym bloku na odległym placu budowy, na żelaznym teowniku, który biegł pod sufitem, wisieli za ręce dwaj Gruzini. Pojmali ich ludzie Japończyka, gdy wychodzili z gruzińskiej restauracji „Iwertia” czterdzieści kilometrów od Moskwy, gdzie spożyli swój ostatni w życiu posiłek. Zostali przewiezieni w upatrzone miejsce i najpierw brutalnie pobici. Wybrani przez Japończyka Czecczeńcy zgwałcili ich po kolei, potem pod groźbą pistoletu zmusili do wzajemnych aktów oralnych. Następnie powiesili

Gruzinów za ręce, na ich nagich pośladkach zgasił kilka tuzinów niedopałków, a wreszcie obciął im genitalia. W czasie tortur Japończyk drobiazgowo przestudiował ich dokumenty. Obaj byli oficerami KGB z Gruzji - pułkownik i major, ludzie Eduarda Szewardnadze. Diamenty, jakie dali Galinie, trafiły do nich w formie łapówki.

Japończyk dowiedział się od gangsterów operujących na południu sporo na temat Szewardnadze, który stał na czele KGB w Gruzji. Człowiek ten cieszył się praktycznie nieograniczoną władzą. Brał haracz od wszystkich bossów mafii, których przestępcza działalność miała miejsce w sferze jego wpływów, a poza tym osobiście kierował jeszcze bardziej zyskową operacją.

KGB posiadało pełne dane na temat działalności przestępczej w najwyższych kręgach KPZR. W myśl tajnego zarządzenia wydanego przez Chruszczowa po śmierci Stalina i upadku tajnej policji Berii, KGB otrzymało rozkaz zniszczenia wszystkich dokumentów świadczących o nadużywaniu stanowisk przez wyższych urzędników partyjnych. To odnosiło się do całej hierarchii partyjnej, do najniższego szczebla, czyli sekretarza dzielnicowego włącznie. W ten sposób przywódcy partii zostali wyłączeni spod jakiegokolwiek prawnej kontroli państwa i zyskali prawie nieograniczoną władzę. Wszystkie dowody ich przestępstw, które mogły wyjść na światło dzienne albo przyciągnąć uwagę milicji, były natychmiast likwidowane, podobnie zresztą jak wszelkie raporty zebrane w czasie ewentualnego dochodzenia.

Szewardnadze zabronił swoim podwładnym niszczyć obciążające materiały i zachęcał ich do gromadzenia obszernych danych na temat nielegalnej działalności tych aparatczyków, którzy uważali się za nietykalnych.

Dzięki tym materiałom systematycznie szantażował przywódców Gruzińskiej Partii Komunistycznej, skorumpowanych poza wszelkie granice, i tym samym dorobił się znacznego majątku. Lokował kapitał na tajnych kontach szwajcarskich banków i inwestował w legalne przedsiębiorstwa kierowane przez sycylijską mafię w Europie Południowej. Jego najbliższym współpracownikiem był pierwszy sekretarz komitetu obwodowego partii w Stawropolu, prostoduszny z wyglądu chłopak ze znamieniem na łysinie, niejaki Michaił Gorbaczow. Ale Gorbaczow wcale nie był taki prostoduszny. Jego zamiłowanie do brania łapówek wyrobiło mu w Stawropolu przezwisko „Sakiewka”.

Japończyk nie poprzestał na lekturze dokumentów znalezionych przy dwóch oficerach KGB. Przesłuchał ich, w trakcie przesłuchania czyniąc nadzieję, że daruje im życie, jeżeli wyśpiewają wszystko, co wiedzą. Szybko zrozumiał, że Szewardnadze jest zdecydowanie niebezpiecznym człowiekiem, co było dodatkowym argumentem

przemawiającym za ostatecznym zniknięciem ludzi z KGB. Wiedział, że w przypadku kłopotów jego przyszłość stanie pod dużym znakiem zapytania.

Dwaj gruzińscy agenci mówili dalej, między okresami omdlenia spowodowanego upływem krwi. Zaproponowali Japończykowi kolosalny okup w gotówce i biżuterii, ale on pozostał niewzruszony. Na jego rozkaz rozpustnicy, którzy baraszkując w burdelu z Galiną zaskarbili sobie dożgonną nienawiść Jurija Czurbanowa, zostali zawinięci w plandeki i wywleczeni z nie wykończonego budynku na gruntową drogę, gdzie już czekał walec i sterta gorącego asfaltu.

Wrzucono ich do wykopanego dołu i pomagierzy Japończyka zaczęli szufłować na nich gorący asfalt. Kiedy ofiary zostały całkowicie przykryte, przejechał po nich walec. Ale gładka czarna powierzchnia zmarszczyła się i zafalowała - coś szamotoło się pod nią gwałtownie. Czezeńcy dorzucili parę łopat asfaltu, walec wykonał kilka dodatkowych przejazdów i wreszcie wszystko znieruchomiało. Drogi ZSRR wydłużyły się o kolejny odcinek.

Japończyk obsługiwał aparat fotograficzny, więc jego nie było na żadnym ujęciu. Zniszczył negatywy, a fotografie sprezentował Jurijowi Czurbanowowi. Jurij przyjął go w swoim wspaniale urządzonej gabinecie w komendzie głównej milicji na Pietrowce. Obejrzał dokumentację z wyrazem głębokiej satysfakcji, a następnie wysłuchał informacji Japończyka na temat Szewardnadze.

- To interesujące - rzekł z entuzjazmem. - To cholernie, kurwa, interesujące. Papa z przyjemnością tego posłucha.

W owym czasie Japończykowi przez myśl nie przeszło, że zamiast zniszczyć karierę szefa KGB Gruzji, wyświadczył mu bezcenną przysługę.

Szewardnadze, działający na terenie Gruzji jako generał KGB i zarazem szantażysta, przysporzył sobie nie tylko pieniądze, ale też całą armię zagorzałych wrogów. Liderzy Komunistycznej Partii Gruzji postanowili pozbyć się szefa republikańskiego KGB. Wszyscy uczestnicy zapowiedzianego Zjazdu Partii Komunistycznej, który miał odbyć się w stolicy Gruzji Tbilisi, potajemnie zgodzili się przegłosować jego natychmiastową dymisję. Później, kiedy utraci stołek, Szewardnadze miał drogo zapłacić delegatom za poniżenie i, przyciśnięty przez bandziorów z mafii, wynagrodzić im straty finansowe.

Szef Komunistycznej Partii Gruzji poinformował Breżniewa, że Szewardnadze nie jest akceptowany przez jej członków, i że nie jest właściwym człowiekiem na stanowisku, które wykorzystywał dla własnych korzyści.

Późnym wieczorem, w przeddzień zjazdu w Tbilisi, „niewłaściwy człowiek” został zapakowany do samolotu przez ludzi Czurbanowa i dostarczony do Moskwy.

Szewarnadze był człowiekiem oszczędnym, ale nie dusigroszem. Przybył do Moskwy z dwiema aktówkami pełnymi diamentów i w ciągu godziny jedną sprezentował Szełokowowi, ministrowi spraw wewnętrznych, a drugą Breżniewowi, sekretarzowi generalnemu Komunistycznej Partii ZSRR. Tego samego wieczora przywódca Związku Radzieckiego, przesiewając diamenty w palcach, zadzwonił do Tbilisi i wydał rozkazy dotyczące kluczowych członków Komunistycznej Partii Gruzji.

Gdy następnego dnia rano Szewarnadze wrócił do Gruzji, obrady Zjazdu Partii już się rozpoczęły. Czcigodne zgromadzenie po raz kolejny podkreśliło niezachwianą jedność Partii Komunistycznej i ludu pracującego. Partia potwierdziła swój zamiar dalszego podążania kursem nakreślonym przez wielkiego Lenina, a prowadzącym do dalszych zwycięstw i zdobyczy pracy w imię dobrobytu ludu radzieckiego i światowego pokoju.

Szacowny syn socjalistycznej Gruzji, prawdziwy leninowski komunista, Eduard Ambrozij Szewarnadze, jednogłośnie został wybrany na pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Gruzji; jego poprzednik zrezygnował ze stanowiska ze względu na poważne problemy zdrowotne.

6.

Pod koniec semestru, na początku czerwca, Oksana w ramach letniej praktyki otrzymała posadę tłumaczki w zlokalizowanym w centrum Moskwy hotelu „Rossija”. Wreszcie miała tłumaczyć dla cudzoziemców, ale jej zadowolenie przygasło nieco, gdy zaczęła pojmować, na czym polega prawdziwa rola instytutu.

Instytut Języków Obcych Maurice'a Thoreza, noszący imię założyciela i przywódcy Francuskiej Partii Komunistycznej, był w rzeczy samej nieformalnym wydziałem KGB funkcjonującym pod przykrywką placówki edukacyjnej. Studenci w chwili ukończenia uczelni w taki czy inny sposób stawali się narzędziami KGB; mniej więcej jedna czwarta zostawała jego oficerami. Kariera tłumacza nie była możliwa bez protekcji KGB. W zamian liczni tłumacze rewanżowali się wszelkiego rodzaju drobnymi usługami - dostarczaniem informacji o zagranicznych gościach, przeszukiwaniem bagaży pod ich nieobecność, umieszczaniem w walizkach paczuszek z narkotykami, gdy KGB chciało wywołać skandal, i wieloma innymi tego typu operacjami.

Oksanę zapoznano z tym stanem rzeczy już pierwszego dnia pracy. Jej grupę, składającą się z pięciu studentów, trzech dziewcząt i dwóch chłopców, wezwano do pokoju dziekana w instytucie. Czekał na nich młody człowiek o pozbawionej wyrazu twarzy, ubrany w schludny szary garnitur. Oksana zauważyła, że omiół spojrzeniem jej nogi w nowych nylonowych pończochach.

- Zatem, towarzysze - zagał - jutro zaczynacie pierwszy dzień pracy i my, „żołnierze niewidzialnej granicy”, nauczymy was, jak nie popełniać błędów.

Ideologiczny wykład skończył się uwagą:

- Mieszkańcy Zachodu mogą sobie być bardzo uprzejmi i sympatyczni, ale musicie pamiętać, że pod przyjaznymi maskami kryją się potencjalni wrogowie.

Młody człowiek przez dwie godziny ostrzegał ich przed dysydentami, zdrajcami i najemnikami CIA. Przykazał studentom meldować o każdym ruchu i słowie przyjezdnych oraz szukać w ich bagażach narkotyków, materiałów pornograficznych (zwłaszcza „Playboya”) i urządzeń podsłuchowych.

Wreszcie otrzymali numery hotelowych pokoi wykorzystywanych przez funkcjonariuszy KGB w pracy inwigilacyjnej. Kiedy grupa została zwolniona, oficer ruchem ręki zatrzymał Oksanę. Dziewczyna wyczytała w jego oczach pożądanie i wściekłość, że nie może ono zostać zaspokojone na miejscu. Znalazła się w sytuacji, nad którą nie

miała żadnej kontroli, i poczuła się nieswojo. Oficer KGB wydawał się równie skrępowany.

- Towarzyszko Martinowa, liczymy na was... - przerwał i przełknął ślinę zbierającą się w gardle.

- Przepraszam... Pod jakim względem?

- Cóż... jesteście atrakcyjną młodą kobietą. Niektórzy cudzoziemcy będą zapraszać was do swoich apartamentów...

- No i co? - zapytała, przejmując ster rozmowy. - Jesteście zazdrośni?

- Musicie odrzucać te propozycje - nakazał surowo.

- Czy ja wyglądam na kurwę? - zapytała zaczepnie.

- Nie! Wcale tak nie uważam.

- Wobec tego, jeżeli nie macie nic przeciwko, pójdę już.

Oficer zerwał się zza biurka. Demonstrując zaskakującą zwinność, dotarł przed nią do drzwi i zatarasował wyjście.

- Tak przy okazji, nazywam się Marat...

- Miło mi - odparła oschle Oksana. Minęła go i wyszła, czując między łopatkami jego palące spojrzenie.

W ciągu następnych dni Oksana zorientowała się w skali nadzoru, jakiemu podlegał hotel „Rossija”. Była zdumiona.

W rozległej betonowej jaskini w podziemiach budynku mieściło się centrum inwigilacyjne wyposażone w elektroniczny sprzęt najnowszej generacji. Dwa tysiące dziewcząt, absolwentek szkół KGB, na zmianę pełniło w nim służbę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Dyżurne ze słuchawkami na głowach przez dwanaście godzin podsłuchiwały pokoje, z którymi były połączone. Kiedy działo się coś interesującego, włączały magnetofon i nagrywały wszelkie informacje - poczynając od rozmów, a na odgłosach оргiетек kończąc. Wiele z tych taśm ze względu na rangę uczestników stanowiło „gorący materiał” na poziomie dyplomatycznym i wywiadowczym.

Operatorki urządzeń podsłuchowych przybywały do pracy podziemnym korytarzem z lokali KGB mieszczących się po drugiej stronie Placu Czerwonego i wychodziły tą samą drogą. Ani personel hotelu, ani goście nie widywali operatorek „niewidzialnej granicy”. Oksana dowiedziała się o istnieniu centrum podsłuchu od lesbijskiej przyjaciółki, która w nim pracowała. Później doszła do wniosku, że wszystkie inne moskiewskie hotele dla cudzoziemców też są wyposażone w takie centra w podziemnych pomieszczeniach. Co więcej, personel tych lepszych hoteli w większości składał się albo z ludzi KGB, albo milicji. Nawet prostytutki w holach, hotelowych barach i restauracjach musiały być informatorkami KGB, bo inaczej portierzy nie wpuściliby ich do budynku i nie pozwolili im na uprawianie procederu.

Oksana stwierdziła, że tłumaczenie jest bardzo interesującym zajęciem. Cudzoziemcy przyjeżdżali do hotelu głównie wieczorem, kiedy na lotnisko Szeremietiewo przylatywały samoloty z miast Europy Zachodniej. Przyjemnie było zajmować się uprzejmymi i przyjacielskimi gośćmi. Ostatnią rzeczą, o jakiej myśleli dobrze ubrani, swobodni i zamożni cudzoziemcy, było szpiegowanie. Przyjeżdżali zwabieni propagandą *pieriestrojki*, żeby robić interesy, nawiązywać kontakty i przyjaźnie.

Niewielu przybyszy zdawało sobie sprawę, że od pierwszych kroków w Moskwie otacza ich KGB. Bezosobowi portierzy, tłumacze, kelnerzy, pokojówki, barmani tworzyli sieć wszechobecną, niewidzialną, milczącą i grzeczną, ale też zawsze czujną, przebiegłą i rejestrującą najdrobniejsze drobiazgi. Tysiącletnie *samodierżawia* zwieńczone siedmioma dekadami ateizmu wszczepiło w psychikę moskwičan nieufność i podejrzliwość w stosunku do cudzoziemców.

Marat nie był uczciwy w stosunku do swoich pięciu studentów. Jeden z nich, Igor, już podporucznik KGB, był jego wewnętrznym szpiegiem wypatrującym wszelkich oznak nielojalności ze strony pozostałych członków grupy.

Oksana była zadowolona ze swojej pracy; rozmawianie z cudzoziemcami sprawiało jej dużą przyjemność. Zazwyczaj pracowała nocami i odsypiała zaległości w dzień w swoim mieszkaniu - czasami ulegając zalotom jakiejś lesbijskiej przyjaciółki, chociaż było to coś, z czego już powinna wyrosnąć. Jej życie wyszło na prostą, mówiła ojcu, który od czasu do czasu przyjeżdżał do Moskwy na posiedzenia Politbiura. Ale, jak to się zwykle dzieje, szybko nadciągała niespodziewana burza, która miała wstrząsnąć jej życiem.

Była ciepła wrześnieowa noc, dobrze po północy, gdy Oksana spotkała Andersa Kundsena. Siedziała za biurkiem tłumaczy niedaleko drzwi od północnej strony hotelu, gdy nagle zobaczyła coś niezwykłego.

Szklanymi obrotowymi drzwiami weszli dwaj mężczyźni. Jednym był portier bez bagażu, co już odbiegało od normy, ale drugi stanowił zdecydowanie bardziej niezwykły widok. Istny olbrzym: mierzył ponad dwa metry wzrostu, a w barach był dwa razy szerszy od przeciętnego rosnącego mężczyzny. Miał dobrze umięśnione, niezmiernie silne ręce i równie potężne nogi. Białe gęste włosy, nie poddające się zabiegom szczotki czy grzebienia, tworzyły niesforną grzywę nad pokrytą siecią zmarszczek męską twarzą. Wielki nos, wąskie oczy ukryte pod ciężkimi brwiami i wydatne kości policzkowe upodabniały go do jastrzębia.

Cerę miał ciemnobrązową, co mogło być rezultatem wielu lat wystawiania się na surowe wichry i słońce. Wszystkie te szczegóły były doskonale widoczne, gdyż był ubrany tylko w niebieskie jedwabne spodnie i bawełnianą koszulkę bez rękawów.

Zatrzymał się na środku holu i przenikliwie rozejrzał po otoczeniu. Hol był prawie pusty.

Po pół godzinie cała grupa siedziała na fotelach wokół dziwnego, owiniętego teraz w koc klienta. Jego ogromna postać górowała nad studentami. Przybysz skrzył papierosa i wsunąwszy go w szerokie usta o wąskich wargach wydmuchiwał kłęby wonnego dymu. Złota papierośnica z bibułkami i woreczek z tytoniem stanowiły jego cały bagaż. Przedstawił się i po angielsku wyjaśnił swoje położenie.

Był w drodze na wakacje do Aten, z międzylądowaniem w Moskwie. Noc była ciepła, kiedy więc znaleźli się na lotnisku Szeremietiewo, postanowił wysiąść i poszukać baru. Tymczasem samolot odleciał.

Oksana przyglądała się temu wielkiemu, pełnemu życia, teraz nieco zakłopotanemu mężczyźnie. Pierwszy raz widzę kogoś takiego, ten Anders Kundsens to prawdziwy Wiking! - myślała. Przez chwilę zastanawiała się, jakiego ma wielkiego... a potem oblała się rumieńcem, czując narastający gdzieś głęboko dziwny żar.

Tymczasem Kundsens rozmawiał z tłumaczami, innymi dziewczętami i chłopcami z instytutu będącymi tu na letnich praktykach. Opisał niebezpieczną pracę na Morzu Północnym na platformach wiertniczych i opowiedział o latach harówki, której, jak doszli do wniosku młodzi ludzie, zawdzięczał swą tężyźnię fizyczną.

Po kilku minutach rozmowy Kundsens, udrapowany w koc, ruszył do baru i za ostatnie dolary kupił wielką butelkę wódki.

- Co pan robi? - zbesztła go Oksana. Nie mogła rozstać się z Wikingiem nawet na chwilę i poszła za nim do baru, jakby ciągnięta niewidzialnym sznurem. - Nie starczy panu pieniędzy na pokój.

- Do diabła z pokojem! - zagrzmiął Anders. - Wygodny fotel, papierosy i dobry trunek, oto wszystko, czego mi trzeba. Po wielu miesiącach na morzu człowiek szybko uczy się cenić proste przyjemności: ciepły kominek, gorącą kąpiel, omlet... może pełną zrozumienia kobietę.

Uśmiechnął się do Oksany i zabrał butelkę z baru. Oksanę najsilniej uderzyło to, że Wiking był pierwszym mężczyzną, który nie okazywał najmniejszej chęci wsunięcia ręki w jej majtki.

Znów zasiedli w holu. Wiking popijał wódkę prosto z butelki, jakby to była woda selcerska, bez zakąszania, chociaż przyniesiono mu kanapki. Rozgadał się na całego.

- Rosjanie to porządni goście. Nigdy wcześniej nie byłem w Rosji, ale wiele razy spotykałem Rosjan na morzu. A na morzu po pięciu minutach wiadomo, ile kto jest wart. Od razu poznaje się szumowiny. Nie widziałem takich wśród prawdziwych rosyjskich ludzi morza. - Przerwał, zastanawiając się nad własnymi słowami. - No, kilka

razy widziałem na rosyjskich statkach wrednych facetów, nie przypominających innych marynarzy. Moi rosyjscy przyjaciele później mi mówili, że to sukinsyny z KGB.

- Pamięta pan, jaki to był statek? - zapytał od niechcenia Igor, jeden ze studentów.

- Daj spokój, stary. Jestem prostym człowiekiem, starym skandynawskim palaczem. - Pociągnął kolejny długi tyk z butelki. - Ale widziałem dość, żeby na pierwszy rzut oka poznać, które z was jest trzymane na niewidzialnej smyczy. Jedno ci powiem: na morzu, wśród prawdziwych twardych facetów szybko byś się skończył. Pomyśl nad tym.

W grupie zapadło niespokojne milczenie; Wiking zdemaskował podporucznika tak bezpardonowo, że wszyscy zmartwieli z przerażenia. Formalnie ich zadanie polegało na przekonywaniu cudzoziemców, że tajna policja nie ma nic wspólnego z tłumaczami - wszędzie demokracja, niech żyje Gorbaczow! Ale prawda była tak oczywista, wiedza i siła tego człowieka tak niezachwiane, że nikt nie wydusił ani słowa.

Dwie dziewczyny, które najwyraźniej nie chciały napytać sobie biedy, szybko odeszły pod jakimś pretekstem. Niedługo później chłopcy doszli do wniosku, że ich czas pracy dobiegł końca, i też się oddalili.

Igor udał się prosto do lokalu KGB na pierwszym piętrze, żeby zameldować o prowokującym zachowaniu Norwega, rażącym braku szacunku dla tajnej policji i jego otwartej propagandzie antykomunistycznej. W głębi duszy był wściekły, że Wiking zdemaskował go z taką łatwością w obecności innych studentów.

Oksana i Anders Kundsens spotykali się przez dwa kolejne dni. Dziewczyna przyniosła z domu jedzenie, żeby Wiking nie głodował w czasie koczowania w holu. Hotel nie zapewnił utrzymania pozbawionemu grosza klientowi, ale pozwolono mu spać i myć się w pustym pokoju. Jego dokumenty i walizka wróciły z Aten i Wiking zadzwonił do żony, by przesłała mu pieniądze do hotelu „Rossija”. Dopiero wtedy stał się cennym, pełnoprawnym gościem, płacącym w twardej walucie.

Wiedząc o podsłuchu KGB, Oksana nie chciała chodzić do jego pokoju, dlatego większość czasu spędzali w holu. Wiking opowiadał oczarowanej dziewczynie o surowym życiu na morzu. Jego wizyta przedłużała się, gdyż nie mógł załatwić wizy wyjazdowej z Moskwy.

W ostatnią noc pobytu Andersa Kundsena w Moskwie zajęli dwuosobowy stolik w łoży o ścianach wybitych czerwoną skórą.

Wiking zamówił bliny z kawiozem. Stawił się w granatowym garniturze, miał śnieżnobiałą koszulę z diamentowymi spinkami i złotą szpilką w czarnym krawacie. Jego tors górował nad stołem - był tak wysoki, że twarz stojącego obok kelnera znajdowała się na wysokości jego głowy.

Oksana założyła wieczorową suknię. Odkryte ramiona przysłaniała jedynie fala jej czarnych włosów, głęboko wcięty stanik ukazywał szczelinę między pełnymi piersiami. Anders miał odlecieć samolotem wcześniej rano do Aten i Oksana chciała, by jej wizerunek pozostał mu w pamięci. Oboje czuli się skrępowani i trudno im było znaleźć słowa.

- Zostawię ci swój adres - powiedział Anders. - Chociaż z drugiej strony, przez osiem miesięcy w roku jestem na morzu i, szczerze mówiąc, moja żona nie byłaby zbyt zadowolona, gdyby zaczęła wydzwaniać do mnie młoda dziewczyna.

Potem wzruszył ramionami i uśmiechnął się ciepło.

- Ale diabli wiedzą, może życie wykręci ci jakiś numer, może będziesz potrzebować kogoś w Europie Północnej, a wtedy zrobię co w swojej mocy, aby ci pomóc. Słowo starego wilka morskiego, na takim naprawdę możesz polegać.

Oksana spontanicznie wyciągnęła rękę nad stołem i ujęła jego dłoń.

- Wiem, Anders. Jest pan najbardziej... Jest pan najprawdziwszym mężczyzną ze wszystkich mi znanych. Faceci w większości, bez względu na wiek, myślą tylko o sobie, nawet nie wiedzą, jak sprawić przyjemność kobiecie, wcale nie są mężczy...
- Masz chłopaka?

- Cóż, miałam paru, ale... nie wyszło z tego nic dobrego, więc... rozumie pan? - zawałała się, potem spojrzała na niego, błagając wzrokiem o zrozumienie. - Wolę dziewczyny; i nie wiem... może to złe?

Anders spojrzał w bok, na chwilę przygryzł dolną wargę. - Nie, chyba nie; ostatecznie człowiek powinien kierować się uczuciem chwili, ale też dawać przyszłości szansę na wykreślenie kursu swego życia.

Pochylił się nad stołem, patrząc w jej wyraziste brązowe oczy.

- Ale musisz pamiętać, Oksano, że zawsze powinnaś być czujna, bo nawet na spokojnym morzu czasami niktąd nadchodzi zabójcza fala. - Urwał i pokiwał głową. - Nigdy nie zapominaj, że ten ma szczęście, kto zawsze jest przypięty liną do relingu... Możesz liczyć tylko na siebie. Nikt inny cię nie przypnie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Dość morałów na dzisiejszy wieczór. Napij się. Dobrze, zwłaszcza z czekoladą.

- A pan?

- Zamówię gorącą wódkę z cukrem i pieprzem. To prawdziwie morski trunek.

Wyszli z restauracji po północy, nie zauważając, że obserwują ich Marat i Igor siedzący przy dalekim stoliku. Zabójcza fala już wznosiła się na horyzoncie, niewidzialna, ale gotowa pochłonąć wielu, nim załame się i rozmyje. Oksana i Anders stanęli przed restauracją w mrocznym korytarzu na pierwszym piętrze. W pobliżu nie było nikogo.

Zdrowy rozsądek nakazywał rozstanie, ale oboje chcieli odwlec tę chwilę.

- Możemy iść do mojego pokoju na ostatniego drinka - zaproponował nieśmiało Anders.

- Nie. Mówiłam panu, że w pokojach jest podsłuch. Poza tym na dzisiaj wystarczy picia, bo znów ucieknie panu samolot.

Wzruszył ramionami, przyciągnął ją do siebie i delikatnie pocałował.

- *Do swidanja*. To jedyne rosyjskie słowa, jakich wolałbym nie wypowiadać. - Uśmiechnął się ze smutkiem.

Oksana odetchnęła głęboko, serce tłukło się jej w piersiach jak oszalałe.

- Nie, niech pan tak nie odchodzi. Chcę kochać się z panem przed rozstaniem.

Anders wbił oczy w podłogę, przygryzł wargi.

- Widzisz, Oksano... Naprawdę jestem stary, mogłabyś być moją córką. Nie chcę cię urazić, dzięki tobie mój niespodziany przystanek w Moskwie stał się piękny, ale... nie mogę tego zrobić. - Odwrócił się do odejścia, lecz ona złapała go za ramię.

- Czekaj... Nie odmawia się młodej spragnionej miłości dziewczynie! Nie jesteś Wikingiem! Dlaczego to robisz?

Zaskoczony jej wybuchem Anders odwrócił się ponownie.

- Jak mnie nazwałeś? Wikingiem?

- Tak.

Na chwilę zapadła cisza.

- Wybacz mi, Oksano - rzekł wreszcie. - Popełniłem błąd. Sam zapomniałem o prawdziwym kursie życia. Masz rację, jesteś usprawiedliwiona. To ja powinienem poprosić, błagać cię... Po prostu jestem tyle lat starszy.

- Chcę tylko starszego. Kiedy będę gotowa do małżeństwa, znajdę sobie mężczyznę w wieku mojego ojca.

- OK... mówisz więc, że pokój jest na podsłuchu?

Skinęła głową i powiedziała:

- Przed hotelem stoi autokar, jest otwarty i pusty. Pasażerowie pojawiają się co najmniej za dwie godziny... nikt się nie domyśli. - Jej głos był rzeczowy i twardy, jakby planowała napad na bank. Olbrzym poczuł się nagle słaby w konfrontacji z namiętnością emanującą z tej pięknej, czulej, młodej kobiety, tak szczerzej w swoich pragnieniach.

- Dobrze. Zabiorę swoje rzeczy z pokoju, ty idź pierwsza, żeby nikt nie widział nas razem. Przyjdę za parę minut. - Pokręcił głową, w jego głosie zabrzmiało zdumienie. -

Na Odyna, w autobusie, kto by pomyślał...

Stało się to na tylnym siedzeniu moskiewskiego autokaru turystycznego w środku pięknej wrześniei nocy. Anders i Oksana najpierw wypalili odrobinę haszyszu, napełniając wnętrze autokaru piżmowym słodkim zapachem; w głowach im zaszumiało, otoczenie stało się jakby nierealne.

Oksana zapamiętała tylko jego potężny tors, rozbudowane mięśnie piersi i ramion, twarde jak skała, ale zarazem gładkie niczym marmur, ciepłe i ekstatycznie zmysłowe. Nie mogła sobie przypomnieć chwili, kiedy jej wieczorowa suknia zsunęła się z ciała, delikatnego i gorącego pod jego wielkimi dłońmi. Dziwne, nie były szorstkie, gdy przebiegały po jej plecach, pośladkach i między piersiami. Potem poczuła słodkie mśnięcia po wewnętrznej stronie wilgotnych ud i rozsunęła nogi, objęła go i splótła kostki za jego plecami. Potężne ręce pieściły i masowały całe jej ciało, wprawiając je w niepohamowane drżenie.

Oksana krzyknęła cicho, chwytając zębami skórę na jego ramieniu. Jego dłonie zamknęły się na jej biodrach, wznosząc je ku wytęsknionej przez nią męskości. Zagryzła zęby, gdy ogromny, twardy organ wdarł się w nią niewiarygodnie głęboko, a potem cofnął, by zadać kolejne, gładkie, niewyobrażalnie rozkoszne pchnięcie. Jej krągłe, lśniące od potu biodra podrywały się na jego spotkanie w rozkołysanym, oszałamiającym rytmie. Oksana po raz pierwszy zrozumiała, co to znaczy osiągnąć orgazm dokładnie w tej samej chwili, gdy męczyzna napełnia ją nasieniem. Czytała o tym w anglojęzycznych książkach, ale teraz - cudownie! - poznała to doświadczenie w całej pełni.

Przez godzinę leżeli nadzy, całkowicie wyczerpani, ich ubrania pozostały porozrzucane na podłodze. Muskularne ciało Wikinga ledwo się mieściło na poduszkach tylnego siedzenia. Oksana rozłożyła się obok, na podłodze, wyciągając przed siebie wilgotne, lśniące nogi. Doświadczyla niewiarygodnej ulgi, czuła lekkość, jak gdyby ptaki wyśpiewywały melodie w każdej komórce jej ciała.

Wczesnym rankiem, w pomiętych ubraniach, Anders i Oksana stali w pobliżu autokaru. Grupa zaspanych turystów leniwie wsiadała do autobusu, który miał zawieźć ich na lotnisko Szeremietiewo.

Jego bagaż już był w autokarze, ale Wiking jeszcze próbował powiedzieć Oksanie *Do swidanja*. Żadne z nich nie mogło zdobyć się na słowa pożegnania. Dopiero wtedy, gdy autobus miał ruszyć, a kierowca machnął na nich niecierpliwie, Anders sięgnął do kieszeni i wyjął srebrną zapalniczkę. Wsunął ją w jej dłoń i zacisnął palce.

- Myśl o nas, kiedy będziesz zapalała papierosa. Nie mówię do widzenia. Znów będziemy razem.

- Proszę, Anders, tak - błagała.

Przybrał poważny wyraz twarzy.

- Oksano, strzeż się zabójczej fali. Przypnij się do relingu.

A potem zniknął. Oksana patrzyła, jak autokar kieruje się do autostrady biegnącej wzdłuż rzeki Moskwy i roztapia w strumieniu porannego ruchu.

Gdy Oksana weszła do swojego mieszkania zadzwonił telefon.

- Mówi Marat. - Głos oficera KGB brzmiał surowo. - Towarzyszko Martinowa, musimy porozmawiać w pewnej sprawie. Będę na was czekał w naszym biurze na pierwszym piętrze hotelu „Rossija”, o trzeciej po południu. Proszę się nie spóźnić.

O wyznaczonej porze została przyjęta w holu przez portiera z KGB. Wzięła się w garść. Ostatecznie nic nie zrobiła. Krótki romans z Andersem przecież nie może spowodować wielkich kłopotów, pomyślała. Ale była w błędzie.

Marat był sam, siedział rozparty w fotelu za biurkiem.

Przywitał Oksanę uprzejmie i wskazał jej proste drewniane krzesło naprzeciwko siebie. Jego oczy pożądliwie omiatały jej pełną figurę i klasycznie piękną twarz. Oksana nie zrobiło się niedobrze, gdy poczuła, jak rozbiera ją wzrokiem.

- A więc, towarzyszko Martinowa - zaczął, zapalając papierosa - albo może wystarczy Oksana, nie macie nic przeciwko, prawda? Nie jestem od was dużo starszy.

- Nie, nie mam nic przeciwko. - Potrząsnęła głową. Usta miała suche jak pieprz.

- Doskonale. Dobry początek. - Pochylił się ku niej, strzepując papierosa nad porcelanową hotelową popielniczką.

- Więc, Oksano, co słyhać?

- Myślałam... myślałam, że chcecie porozmawiać o czymś. - Oksana próbowała ukryć zdenerwowanie. Zastanawiała się, czy Marat wie o jej ostatniej nocy z Wikin-giem.

- Tak. Porozmawiajmy o interesach. - Przeszył ją długim, twardym spojrzeniem. - Więc... chcielibyśmy wiedzieć wszystko, czego dowiedziałaś się od Andersa Kundse-na.

- A co jest do powiedzenia? Odpowiedział na wszystkie wasze pytania na lotnisku, tego wieczora, gdy uciekł mu samolot...

- Widzisz, Oksano, interesuje nas to, co ty możesz o nim powiedzieć. Jesteś kobietą radziecką, prawda? Chcesz nam pomóc?

- Tak.

- Więc?

- No cóż... Mówił głównie o swojej pracy, o tym, co przeżył na morzu.

- Tak, dysponujemy tym materiałem. Hole też są na podsłuchu, jak wiesz. Nagrali-śmy nawet wasze rozmowy w restauracji, gdzie uczyniłaś zaskakujące wyznanie. Nie

lubisz mężczyzn. Może jesteś lesbijką. Wiemy, o czym rozmawialiście przy drzwiach jego pokoju przed odejściem do tego przytulnego autokaru. - Marat spojrział na nią twardo. - Czy mogłabyś powtórzyć rozmowę, jaka tam miała miejsce?

Oksana poczuła, że twarz ją pali, ale odpowiedziała spokojnie: - Nie ma nic do powtórzenia. Po prostu nie pamiętam, to wszystko.

- Tak, oczywiście byliście tak zajęci pieprzeniem się, że wcale nie mieliście czasu na rozmowę.

Oksana, drżąc na całym ciele, zerwała się na nogi.

- To nie twój cholerny interes! Czego ode mnie chcesz?

- Prawdy, niczego więcej. I uspokój się. Pozwolisz, przypomnę ci, że po pierwsze, w tym kraju wszystko jest naszym interesem, a po drugie... - rzucił jej twarde spojrzenie - w naszym kodeksie karnym jest paragraf dotyczący prostytucji.

- Co?

- Tak, oczywiście; zaprzeczysz, że pieprzyłaś się z tym facetem za pieniądze? Daj sobie spokój z tymi bzdurami o miłości. Tak przy okazji, ile ci zapłacił?

- Brednie! Musisz to udowodnić.

- Och, dowodów nie zabraknie - odparł łagodnie. - Mamy nagrane wszystkie wasze rozmowy, mamy taśmy wideo - nawiasem mówiąc bardzo interesujące - z tego, co robiliście w autobusie. Możemy również przeszukać twoje mieszkanie i możesz być pewna, że znajdziemy to, co chcemy.

Oksana miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Znała metody KGB. W czasie przeszukiwania wsunęliby gdzieś plik dolarów, koron czy marek i później twierdzili, że znaleźli u niej walutę. Nikt by jej nie uwierzył. Prostytutce? Była głupia, że działała tak otwarcie.

- Czego naprawdę ode mnie chcesz? - zapytała.

- Mówiłem ci. Ten facet udawał głupka twierdząc, że uciekł mu samolot. Czego chciał?

- Czy próbujesz dać do zrozumienia, że był szpiegiem?

- Nie próbuj nas kantować! - zawołał z rozdrażnieniem. - Po co dał ci swój adres?

Oksana ledwo mogła uwierzyć w to, co słyszy.

- Budujecie spisek szpiegowski na pustych spekulacjach. Anders Kundsén nie jest szpiegiem. Po prostu próbujesz strugać waźniaka. Myślisz, że jestem głupia? Nie masz dowodów. Nie widzę sensu w kontynuowaniu tej rozmowy.

- Rozumiem... - Ściągnął brwi i zdawało się, że zadumał się nad sprawą. - Cóż, towarzysko Martinowa, muszę wam powiedzieć, że myliliśmy się co do waszego prawdziwego oblicza. Wygląda na to, że nie jesteście naszym przyjacielem. Szkoda.

Rozpocznie się dochodzenie. Przesłuchamy was ponownie i mam nadzieję, że będziecie bardziej skłonna do współpracy.

Młody oficer KGB, starając się zachowywać jak doświadczony śledczy, stanął za stołem w rozkroku.

- Możecie odejść, ale nie wolno wam opuszczać miasta. Jeśli zmienicie zdanie, przypomniecie sobie coś i zdecydujecie się na współpracę, macie mój numer telefonu.

- Wątpię - powiedziała zimno. - Do widzenia.

- Pożałujecie swojego uporu - usłyszała, gdy wychodziła, słaba i złana potem. Pragnęła wrócić do swego mieszkania.

Dwa dni później Oksana siedziała przed dziekanem Instytutu Języków Obcych. Ni-ski, łysy tłuścioch pod sześćdziesiątkę przechadzał się po gabinecie. Przed chwilą poinformował Oksanę, że z ważnych względów społecznych została skreślona z listy studentów. W przyszłym tygodniu może odebrać swoje dokumenty.

- Wasze zachowanie, studentko Martinowa, jest zawstydzające. Jako dziekan tego instytutu nie mogę pozwolić, byście wywierali zły wpływ na innych studentów, waszych kolegów, w taki ohydny sposób. Czy macie coś na swoją obronę?

Oksana rozpaczliwie pragnęła zapalić, ale coś takiego było nie do pomyślenia w trakcie oficjalnej rozmowy w gabinecie dziekana. Zastanawiała się, co jeszcze ma w zanadru KGB. Zabiorą jej mieszkanie? Byli do tego zdolni, chociaż, oczywiście, mieszkanie należało do ojca, członka Biura Politycznego. Zadrzała na myśl, że może się znaleźć w takiej sytuacji.

- Studentko Martinowa, słyszeliście moje pytanie? - syknął dziekan.

- Nie macie prawa mnie wyrzucać. Nie zrobiłam niczego...

- Szkoda, że nie wyrażacie skruchy - przerwał jej obcesowo.

- Nie jestem zobowiązana do zdawania wam sprawozdań z mojego życia osobistego.

- Odrażające! I pochodzicie z takiej lojalnej radzieckiej rodziny.

- Nie tykajcie mojej rodziny. - Jej głos stał się nieco piskliwy. - Nie zrobiłam nic przeciwko radzieckiemu prawu ani władzom tego instytutu. Dlaczego tak bezkrytycznie wierzycie we wszystkie brudne kłamstwa, jakie oni mówią o waszych studentach?

- Oni? - wyskrzeczwał. - Jacy oni?!

- KGB.

Spazm strachu wykrzywił mu rysy.

- Towarzyszko Martinowa, nie mamy o czym rozmawiać. Proszę natychmiast opuścić teren uczelni.

Oksana następnego dnia rano zadzwoniła do Marata. Jego głos brzmiał formalnie.

- Co macie do powiedzenia? - zapytał chłodno.

- Powiedzieliście, że jeśli coś sobie przypomnę...
- Aha, więc wróciła wam pamięć. Spotkajmy się jutro wieczorem.
- W hotelu?

- Nie. Podam wam adres. Sprawa jest zbyt poufna. Okazało się, że wasz norweski przyjaciel to twardy orzech do zgryzienia.

Oksana zapisała adres. Było to w pobliżu Arbatu, w labiryncie bocznych uliczek.

- Zadbajcie, żeby nikt nie wiedział, dokąd idziecie - uprzedził. - I nie spóźnijcie się.

Był wczesny wieczór, gdy Oksana szła przez Arbat. Przemykała między ustawionymi wzdłuż głównej ulicy kramami wiecznego targowiska, handlarze zachwalali swoje towary w próżnym wysiłku sprzedania jej czegoś. Skręciła z Arbatu i wspięła się do stojącego na wzgórzu starego czteropiętrowego domu licowanego szarym piaskowcem. W westybulu znalazła skrzynki pocztowe i przyciski dzwonek. Sprawdziła podany przez Marata numer i zadzwoniła do mieszkania na ostatnim piętrze. Wyglądało na to, że inne mieszkania są puste. Wszystkie okoliczne budynki były opuszczone i przeznaczone do rozbiórki.

Marat, w trzyczęściowym szarym garniturze stanowiącym cywilny mundur KGB, czekał na nią przy drzwiach. Jego twarz była posępna i poważna. Oksana znalazła się w długim, ciemnym korytarzu z trzema parami drzwi. Dwoje było zamkniętych, trzecie prowadziły do oszczędnie umeblowanego wąskiego pokoju. Okno na jego końcu wychodziło na ścianę stojącego naprzeciwko domu, który odcinał dopływ gasnącego światła dnia. Na podłodze leżał dywan, na środku pomieszczenia stał wielki dębowy stół i kilka foteli ustawionych jak na konferencję. Jeden zajmował Igor, siedzący ze skrzyżowanymi nogami. Palił i patrzył na nią nieruchomym wzrokiem.

Oksana przeniosła spojrzenie z niego na Marata.

- Po co go wezwaliście? - zapytała ostro.

- On jest, albo raczej był, oficerem prowadzącym waszej grupy. - Machnął w stronę fotela. - Siadajcie.

Kiedy oboje usiedli, zapytał:

- Co zamierzacie nam powiedzieć?

- Jestem... jestem gotowa wam pomóc. Zrobię, co chcecie, tylko pozwólcie mi zostać na uczelni.

- Nie mamy nic wspólnego z instytutem. To była decyzja dziekana. My zaledwie zawiadomiliśmy władze o waszej zabawie w autobusie z potencjalnym szpiegiem. Co jeszcze macie do powiedzenia?

Oksana stanęła jak wryta. Kłamcy! Kazali dziekanowi wyrzucić ją bez żadnego powodu. Ze słów dziekana wyniosowała, że stary głupiec wypełniał jedynie rozkazy.

- Ty sukinsynu! - ryknęła. - Co to znaczy, że nie macie z tym nic wspólnego?! - Oksana zerwała się od stołu.

Marat uderzył ją w twarz najpierw wnętrzem, potem grzbietem dłoni. Krew pociekła jej z nosa. Opadła na fotel, skryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

- Zwierzę! Nie masz prawa mnie bić... - wyszlochała.

- Zamknij się, dziwko! Przeczytaj to i podpisz!

Marat przesunął po stole arkusz papieru i pióro. Palce jej drżały, gdy wzięła kartkę i zaczęła czytać. Był to kontrakt między kandydatem płci żeńskiej a KGB ZSRR. Z jego treści wynikało, że kandydatka zgadza się przez sześć miesięcy uczęszczać do tajnej szkoły KGB dla kobiet i pod karą więzienia przysięga nigdy nie zdradzać żadnej informacji dotyczącej szkolenia.

Obiecywano, że pod koniec kursu otrzyma specjalny przydział jako agentka KGB. Niżej wykropkowana linijka na podpis.

Oksana z przerażeniem przypominała sobie słowa Nadii. Prostytutka prowadziła dla KGB specjalny kurs sztuki seksu oralnego, po ukończeniu którego dziewczyny stawały się, jak to nazwała, dyplomowanymi kobrami. Wszystkie były piękne i miały mniej niż dwadzieścia sześć lat. Wypróbowywały jej wskazówki na szczególnie uprzywilejowanych oficerach KGB, którzy poza tym uczyli je wszystkich technik stosunków płciowych.

Więc to tak, pomyślała bezradnie. Chcieli zrobić z niej kurwę na państwowej posadzie.

- Co to znaczy, specjalne przydziały za granicą? - wydukała.

- Brzmi atrakcyjnie, co? - zachichotał Marat. - Cóż, to znaczy, że po kursach możesz znaleźć się w haremie jakiegoś szejka z Arabii Saudyjskiej. Mamy tam niewielu dobrych agentów.

Oksana milczała przez dłuższą chwilę, wycierając chusteczką krwawiący nos. Marat i Igor w milczeniu mierzyli ją wzrokiem.

- Jeśli według ciebie to atrakcyjne, to sam się podpisz. - W jej oczach zapłonął ogień. - Jakiś arabski książę z przyjemnością przeleciałby takiego białego palanta!

Obaj mężczyźni wstrzymali oddech z szoku i zaskoczenia. Potem Marat skoczył na nogi i rzucił się ku niej wokół stołu.

- Ty brudna kurwo, nauczę cię posłuszeństwa!

Oksana zerwała się, przewróciła fotel i pchnęła go między nich. Skręciła do drzwi, ale Igor przyłączył się do Marata i obaj ją schwytali. Marat jednym gwałtownym ruchem zdarł jej sukienkę. Potem, gdy szamotała się i kopała, przewrócili ją na podłogę i przykuli kajdankami do nogi ciężkiego stołu. Jej krzyki nie wywołały żadnej reakcji

ani w budynku, ani na ulicy.

Igor siłą rozsunął jej nogi. Jej walka tylko ich podniecała. Oksana poczuła przeszywający ból. Po tym, jak każdy z nich osiągnął orgazm, przewrócili ją na brzuch, wykręcając ręce przykute do stołu, i zgwałcili ją od tyłu. Oksana straciła poczucie czasu. Zalała ją fala bólu i popadła w omdlenie.

Kiedy odzyskała przytomność, leżała na własnym łóżku; najwidoczniej przywieźli ją do mieszkania. Sukienka przemieniła się w podartą i brudną szmatę, a to, co zostało z majtek, miała wepchnięte w usta. Wypchnęła knebel suchym, drętym językiem i rozejrzała się po pokoju. Zamarła na widok Marata. Stał obok jej łóżka i palił papierosa, a gdy zobaczył, że odzyskała przytomność, zaczął mówić złowieszczo.

- Słuchaj, dziewczyno, to nie żarty. To męska gra. Chcemy, żebyś dla nas pracowała. Zastanów się nad tym. Jeżeli nie przestaniesz z nami walczyć... - popatrzył na nią twardo - przekazemy cię szajce *blatnych*. Oni zerzną cię dużo ostrzej i wydziergają ci tatuaże na cyckach i pośladkach. Nie wychodź z mieszkania do naszego powrotu. Jeden niewłaściwy ruch będzie oznaczał, że życie ci zbrzydło.

Obolała, odwróciła się, nie chciała słuchać tej ohydy. Potem usłyszała trzask zamkniętych drzwi. Spróbowała wstać, ale znieruchomiała na widok tego, co zobaczyła w lustrze. Patrzyła na dziwne stworzenie o czerwonej i podrapanej obcej twarzy, z narbrzmiałą dolną wargą, z sinymi plackami na piersiach, gdzie zaciskały się palce. Góra sukienki była rozdarta do pasa, dół poszarpany i brudny, pończochy w strzępach. Czowała ból w miednicy i w dole brzucha, a ostry skurcz przypominał, co ją spotkało. Znow osłabła i bezwładnie opadła na łóżko.

Po przebudzeniu nie miała pojęcia, która może być godzina, a nawet jaki jest dzień. Czowała pustkę w głowie. Na czworakach dobrnęła do łazienki, przekręciła kurek i patrzyła na strugę gorącej wody. Wgramoliła się do wanny, nadal w podartym i brudnym ubraniu, i leżała bez ruchu przez parę godzin. Stopniowo wracała do rzeczywistości. Zdjęła zeszmączone ubranie i umyła się niemrawo. Wreszcie wyszła z wanny, owinęła się kocem i zapadła w kojącą głębię snu.

Przebudziła się po kilku godzinach z okropnym bólem głowy. Poszła do kuchni i znalazła w lodówce pół butelki wódki. Wypiła wszystko, jak pijaczka na kacu. Po chwili poczuła rozchodzące się we wnętrzu ciepło i trochę się rozluźniła. Zapaliła papierosa i usiadła, próbując uporządkować myśli, ale jej umysł w dalszym ciągu bronił się przed analizowaniem faktów.

Straciła poczucie czasu, gdy dzwonek nagle przywołał ją do rzeczywistości. Zastygła, patrząc przez mały korytarz na drzwi. Dzwonek zadzwieczał po raz drugi, lecz ona nadal siedziała w milczeniu. Kto to może być, u diabła? Może Tania? Nie, Tania się na

nią gniewała. Może Nadia. Ona się zna na takich facetach, pomyślała z nadzieją. Będzie wiedziała, jak rozprawić się z tymi bydlakami z KGB.

Dzwonek zabrzmiał po raz trzeci, a potem Oksana z przerażeniem usłyszała zgrzyt klucza wsuwanego do zamka. Przypomniała sobie, że nie zabezpieczyła drzwi łańcuchem. Mogła tylko skulić się pod kocem i patrzeć w stronę wejścia. Usłyszała, jak klucz się przekręca, a potem rozległ się skrzyp zawiasów. Rozszerzonymi ze strachu oczyma patrzyła na sylwetki, które zarysowały się na tle światła padającego z korytarza.

Zmartwiła na widok Marata, Igora i jeszcze jednego mężczyzny, starszego, może pod pięćdziesiątkę, w czarnym płaszczu. Igor i Marat nieśli wypchane torby. Ogarnęła ją panika.

- Hej, gospodyni, goście przyszli! - zawołał wesoło Marat, jakby wszyscy byli dobrymi przyjaciółmi. - „Niewidzialnej granicy” nie oprą się żadne drzwi.

Usłyszała własny chrapliwy skrzek.

- Czego chcecie? - Wiedziała, że nie wolno jej okazać strachu, ale było to niemożliwe.

- Napijemy się, pogadamy; nawiasem mówiąc, ten twój koc jest naprawdę świetny.

- Marat odwrócił się do starszego mężczyzny. - Nie uważacie, pułkowniku, że to sam szyk?

- Proszę zostawić mnie w spokoju - poprosiła Oksana. - Mało wam było?

- Ho-ho, taka śliczna dziewczynka, a tak się stawia - powiedział ten nazwany pułkownikiem. Popatrzył na nią i kazał Maratowi zedrzeć z niej koc.

- Odejdźcie! - krzyknęła. - KGB czy nie, jest przecież jakieś prawo! - Ale w matych, bezbarwnych, błyszczących oczach starszego zobaczyła, co ją czeka. Igor i Marat rzucili ją na podłogę, a pułkownik sięgnął do torby i wyjął napełnioną strzykawkę. Wypuścił parę kropel w powietrze i nagle wbił igłę w żyłę po wewnętrznej stronie jej łokcia. Oksana krzyczała, póki Marat nie nakrył jej ust dłonią. Próbowwała go ugryźć. On roześmiał się i w odpowiedzi wbił palce w jej policzki, unieruchamiając jej głowę. Nie musiał długo trzymać. Oksana poczuła najpierw słabość, potem przyjemne i dziwne otumanienie, a w końcu ogarnęła ją euforia.

Igor pomógł jej wstać i nagał oprowadził po pokoju, żeby pozostali mogli napatrzeć się do syta. Ich słowa docierały do niej jak przez mgłę. Intruzi certowali się, komu ma przypaść pierwszeństwo. Słyszała własny śmiech, gdy starszy mężczyzna opuścił spodnie i obnażył się, a potem prosił, by była grzeczną dziewczynką i usiadła mu na kolanach. Pozwoliła mu się usadzić i nie protestowała, gdy w nią wtargnął. Nie opierała się, bezwolna jak we śnie, gdy podrzucił ją parę razy, odstawił szklankę i przyciągnął

ją oburącz do siebie. Była świadoma, że Marat i Igor zachęcają pułkownika, który skończył nad wyraz szybko.

Marat nie tracił czasu na zaciąganie jej do sypialni i rzucanie na łóżko. Stanął nad nią i chwytając rękoma jej pośladki wszedł w nią gwałtownie. Ona z drwiącym śmiechem zauważyła - co rozwścieczyło go na chwilę - że skończył jeszcze szybciej niż pułkownik. Potem przysła kolej na Igora, najmłodszego członka tego tria zwyrodnialców.

Później, chodząc naga po mieszkaniu, wykonywała ich polecenia. Mechanicznie przyrządzała przyniesione przez nich jedzenie, rozlewała koniak i podawała talerze, oni zaś wsuwali jej ręce w krocze i poszczypywali w sutki. Pułkownik, nie odkładając papierosa, raz jeszcze ściągnął ją na kolana i posiadł z zaskakującym wigorem. Wszyscy wlewali jej koniak do gardła i gwałcili jeden po drugim, aż wreszcie, otumaniona alkoholem, ciągłym wykorzystywaniem i narkotykiem, straciła przytomność.

8.

Kiedy Oksana otworzyła oczy następnego dnia rano, słońce wpadało przez okno do jej sypialni. Leżała naga na podłodze, z rozrzuconymi nogami. Uda miała wilgotne i lepkie, i czuła ból, gdy usiadła ostrożnie, próbując przypomnieć sobie wypadki ubiegłej nocy. Powoli wróciła jej pamięć.

Najbardziej przeraziło ją to, że chętnie spełniała ich poniżające zachcianki. Ze wstydem wspomniła, jaki efekt wywarł na niej zastrzyk.

Niewidzącym wzrokiem popatrzyła przez okno na słońce. Założyła koszulę, ale jej palcom brakowało i siły, i zręczności, by zapiąć guziki. Siedziała bezmyślnie przez kilka godzin, paląc i strzepując popiół na podłogę. W jej mieszkaniu panował odrażający bałagan, wszędzie wałały się puste butelki, a na dywanie, na jej udach, biodrach i łonie widniały plamy zaschniętej spermy. Zawsze myślała, że po osiągnięciu orgazmu facet jest wykończony. Jak mało wiedziała.

To ona była wykończona.

Popęłniła poważny błąd. Powinna była od razu zadzwonić do ojca, parę dni temu, gdy została wydalona z instytutu. Prawdę mówiąc, podjęła taką próbę i zamówiła rozmowę do Irkucka na dalekiej Syberii.

Uzyskanie połączenia było procesem ciągnącym się w nieskończoność. W trakcie oczekiwania zastanawiała się, jak najlepiej przyznać się do romansu z Wikingiem i pewnych innych intymnych szczegółów swego życia. W końcu odwołała rozmowę.

Chodziło jej nie tylko o siebie. Bała się wplątać Nikołaja Martinowa w walkę z KGB, które, jak się domyślała, miało pod kontrolą nawet Politbiuro. Po raz pierwszy zaczęła uświadamiać sobie, że Związek Radziecki jest skłonny nie tyle pomagać swoim obywatelom w walce z usankcjonowaną przez państwo niesprawiedliwością, ile niszczyć ich życie. Postanowiła wydostać się z tego szamba na własną rękę.

I co się z nią stało? W ciągu dwóch dni przemieniła się w odrażające, wyuzdane stworzenie, w kurwę - nawet przeglądanie się w lustrze stanowiło torturę. Wstręt do samej siebie był największym krzyżem do udźwignięcia i żałowała, że wstrzyknięty przez gwałcicieli narkotyk nie wymazał jej wspomnień.

Oksana spróbowała wstać i złapała za gałkę szuflady biurka, ale szuflada wypadła na podłogę. Bezmyślnie zaczęła przeglądać rozsypane drobiazgi. Jednym z nich była ostra brzytwa ojca. Patrzyła na nią przez dłuższą chwilę. Fale winy i rozpacz zalewały

jej świadomość, w której kiełkował desperacki pomysł. KGB nie będzie przesłuchiwać jej ojca. Tak będzie dla niego najlepiej.

Oksana przyłożyła brzytwę do lewego nadgarstka, ale nie mogła się zmusić do przecięcia żyły. Przycisnęła ostrze płasko do skóry, rozkoszując się chłodnym dotykiem metalu.

Trzymała tak, póki stal nie rozgrzała się do temperatury jej ciała. Kiedy przestała odczuwać chłód, nagłym, energicznym ruchem przekreśliła ostrze i przecięła głęboko nadgarstek. Ciemny gorący strumień krwi trysnął z rany, wielkie krople zaczęły skapywać na podłogę.

Niejasno zdała sobie sprawę, że otworzyły się drzwi mieszkania. Ostatnim zarejestrowanym przez nią świadomie obrazem był widok wchodzącej do pokoju Nadii. Nadia zawsze reagowała szybko i teraz, zorientowawszy się w sytuacji w ułamku sekundy, wytrąciła brzytwę z palców Oksany.

Nadia rzuciła się na kolana i złapała zakrwawiony nadgarstek, żeby zatamować krew. Oksana była zbyt słaba, by stawiać opór, i Nadia bez większych problemów zaciągnęła ją do kuchni. Tam złapała ścierkę do naczyń i założyła opaskę uciskową pod przeciętą żyłą. Otworzyła wszystkie szuflady i znalazła apteczkę pierwszej pomocy, wyposażoną w bandażę i środki do przemywania ran. Oksana osunęła się bezwładnie na podłogę, w oszołomieniu patrząc na przecięty nadgarstek. Potem Nadia zadzwoniła do przyjaciółki, która pracowała na pół etatu w szpitalu, i kazała jej przywieźć pod podany adres środki uspokajające, leki przeciwhistaminowe, antybiotyki, strzykawki i roztwory do zdezynfekowania rany. Po godzinie znajoma stawiała się pod drzwiami.

Nadia nie wpuściła jej do mieszkania, choć z wdzięcznością przyjęła paczkę z lekami. Natychmiast zrobiła pogrążonej w szoku Oksanie zastrzyk z antybiotyków i założyła jej opatrunek ze sterylnej gazy. Potem przygotowała gorącą kąpiel, włożyła dziewczynę do wanny i umyła ją dokładnie mydłem i środkami dezynfekującymi.

Pod koniec kąpieli otworzyła Oksanie usta i wlała jej do gardła pół filiżanki koniaku. Owinęła ją w kilka koców, jakby młoda kobieta była dzieckiem, i położyła do łóżka. Środki uspokajające w połączeniu z alkoholem sprawiły, że Oksana szybko zapadła w sen. Na koniec Nadia przetarła siniaki na jej twarzy roztworem jodyny, żeby szybciej zniknęły.

Teraz miała czas na sprawdzenie mieszkania. Dzięki własnym burzliwym przeżyciom posiadała doświadczenie godne emerytowanego oficera milicji. Było dla niej jasne, że Oksana została poddana działaniu narkotyku i zgwałcona przez kilku mężczyzn. Siniaki wokół śladu po igle sugerowały, że gwałcители niewiele wiedzieli o technice

iniekcji. Tym samym nie byli narkomanami, ale ludźmi, którzy poddają działaniu narkotyków innych. Mogli być z milicji albo, co gorsza, z KGB. Trzy szklanki z resztkami koniaku powiedziały jej, że dziewczynę zgwałciło trzech mężczyzn. Napoczęta, ale zakorkowana butelka wskazywała, że sprawcy mogą wrócić.

Nadia jeszcze nie spotkała człowieka z KGB - a spała z wieloma - który zapomniałby o nie dokończonym butelce. Przysłowiowo mówiło się, że prawdziwy oficer KGB pracuje nie głową, a wątrową. Nic dziwnego; założyciel tajnej policji, Feliks Dzierżyński, sam brał narkotyki, pił i wykorzystywał młode dziewczęta.

Nadia zdała sobie sprawę, że pozostanie w mieszkaniu Oksany mogło okazać się niebezpieczne dla nich obu. Nie zaryzykowała wezwania taksówki przez telefon - tam, gdzie w grę wchodziło KGB, człowiek zawsze musiał się liczyć z podsłuchem.

Wyszła z mieszkania, złapała taksówkę na ulicy, dała kierowcy suty napiwek i poprosiła, by chwilę zaczekał. Wróciła na górę i spakowała trochę ubrań i kosmetyków. Zbiegła do taksówki i wrzuciła rzeczy do środka, potem wróciła do mieszkania. Wpół ciągnąc, wpół niosąc sprowadziła bosą, owiniętą w kocie dziewczynę do samochodu.

Wyjaśniła zdumionemu kierowcy, że jest lekarką i zabiera zatrutą alkoholem pacjentkę do szpitala.

W szpitalu zaprowadziła Oksanę na oddział obsługiwany przez pielęgniarkę, która dostarczyła do mieszkania środki medyczne. Obie zajmowały się półprzytomną dziewczyną przez parę godzin, zmieniając opatrunki i smarując siniaki oraz zadrapania.

Na ich ostatnie zabiegi złożył się natrysk i dawka pigułek antykoncepcyjnych, które zażywa się po stosunku. Potem zrobiły Oksanie zastrzyk, który postawił ją na nogi, i Nadia pomogła jej opuścić szpital tylnym wyjściem. Pojechały na dworzec kolejowy i trzy godziny później przybyły na dację jednej z najbliższych przyjaciółek Nadii. Właścicielka ze zdumieniem popatrzyła na oszołomioną dziewczynę, ale bez słowa pomogła ułożyć ją na kanapie w bawialni.

W wiejskim zaciszu próbowały zdecydować, co dalej.

- To śmierdząca sprawa, moja droga - mówiła Nadia. - I najgorsze wcale nie jest za tobą. Ci trzej skurwiele popełnili okropne przestępstwo i nigdy o tobie nie zapomną. Nie mam pojęcia, co zaproponować. Zawsze starałam się trzymać z daleka od KGB. Miałam dość kłopotów z milicją.

- Co zrobią? - zapytała ze strachem Oksana.

- Będą cię szukać, po cichu. Ale tutaj cię nie znajdą.

- Jesteś pewna?

- Na sto procent. To tylko banda bezczelnych pijaków o zbyt wielkiej władzy. Zabiorę cię za jakiś czas.

- Jak weszłaś do mieszkania?

- Ci dranie zostawili otwarte drzwi. Po prostu pchnęłam je i weszłam. Zastałam niezły widok.

- Będą wiedzieli, że ktoś mi pomógł.

- Poskładanie wszystkiego do kupy zajmie im trochę czasu. Będą działać na własną rękę, bez pomocy maszyny KGB. Oficjalnie nie mają nic na ciebie. Przeciwnie, boją się, żeby ich szefowie nie dowiedzieli się o przestępstwie. Pieprzyłam się z wieloma facetami z KGB i mogę ci powiedzieć, że to, czego boją się najbardziej, jest ujawnienie ich draństw.

- Może powinnam spróbować skontaktować się z ojcem. Bałam się, ale on będzie wiedział, co zrobić. Jest wysokim urzędnikiem partyjnym.

- Kim jest twój ojciec?

- Pierwszym sekretarzem komitetu obwodowego.

- Jakiego obwodu?

- Irkuckiego.

Nadia drgnęła.

- Irkuckiego? Chyba znam faceta, który może nam pomóc.

- Jak?

- Widzisz, lepiej, żeby twój tata nie dowiedział się, co cię spotkało, póki wszystko nie zostanie załatwione.

- Kim jest człowiek, który miałby według ciebie obronić nas przed KGB?

- Nie całym KGB, pamiętaj. Tylko przed trzema łajdakami, którym sperma padła na mózg i którzy nadużywają swojej władzy. Mówisz, że tego starszego zwali pułkownikiem?

- Tak.

- To marnie, ale damy sobie radę. Zostaniesz tutaj, a ja rano wrócę do Moskwy. Twoja nowa przyjaciółka, Sofia, zajmie się tobą. Załatwimy tych sukinsynów. Nie pozwolę im zrobić z ciebie kurwy, wystarczy, że ja nią jestem.

Restauracja „Bajkał”, mieszcząca się nad wielkim moskiewskim centrum handlowym na Arbacie, była ulubionym lokalem słynnych osobistości oraz przestępców. W trzecią noc po odratowaniu, o siódmej wieczorem, Oksana siedziała z Nadią w odległym kącie restauracji. Nadia zamówiła szampana i wielką czekoladę: była to jej ulubiona zakąska. Wrzuciła kawałek czekolady do wina i patrzyła, jak wiruje wznoszony przez złociste bąbelki. Po pewnym czasie podniosła głowę.

- Aha, idzie - powiedziała.

Oksana spojrzała w tę samą stronę i zobaczyła mężczyznę, który szedł ku nim

wąskim przejściem między stolikami. Wydawało się, że jest tu znany; wiele osób odwracało głowy i witało się z nim. Mężczyzna był dość wysoki, jasnowłosy, miał szerokie ramiona i dużą głowę. Szeroką twarz zdobił cienki, prosty nos. Małe szare oczy skrywały się częściowo pod powiekami, przez co wyglądał na zaspanego. Nosił szyty na zamówienie garnitur. Kiedy dotarł do ich stolika, Oksana poczuła subtelny zapach drogiej wody kolońskiej. Wielkie białe zęby błysnęły w powściągliwym uśmiechu. Był to Paweł.

- Cześć, dziewczyny - przywitał je przyjemnym, niskim głosem. - Jak leci?

- Cześć, Paweł. - Nadia zapaliła papierosa. - Miło, że nie zapomniałeś o staruszkach.

- Nie należysz do tych, o których się zapomina. Jesteś jak promyczek słońca w pochmurny zimny dzień - powiedział, zajmując miejsce.

Oksana popatrzyła na niego z zaciekawieniem, ale się nie odezwała.

Przy stoliku pojawił się kelner. Paweł zamówił karafkę wódki i jesiotra z sałatką. Z powodu wielkiej popularności tej restauracji często mijała godzina, nim zamówione danie docierało do klienta, ale on nie musiał czekać.

Dziewczyny nie dały się skusić na solidny posiłek, więc Paweł zamówił im kawę i deser. Zatknął szeroką serwetkę pod szyję i zaczął jeść.

- Więc ty jesteś Oksana - powiedział po chwili.

- Tak. - Wzięła papierosa od Nadii.

Paweł przyjrzał się jej bacznie, zauważając ślady siniaków pod pudrem. Pokiwał głową.

- Możesz mi mówić Paweł. - Nalał sobie, posmakował, pociągnął długi łyk i odstawił kieliszek, wracając do jedzenia. - Byłem wstrząśnięty tym, co powiedziała mi Nadia. - Pokręcił głową jakby z niedowierzaniem i zaczął przeżuwać następny kawałek jesiotra. - Mam pewne możliwości, ale najpierw chciałbym usłyszeć wszystkie szczegóły od ciebie... - Podniósł rękę, ucinając jej protesty. - Rozumiem, to trudne. Ale muszę wiedzieć wszystko, jeżeli mamy załatwić tę sprawę.

- Od czego zacząć? - zapytała Oksana.

- Skończmy kolację, pogawędzimy chwilkę, ale prawdziwą rozmowę odbędziemy gdzieś indziej.

Paweł uśmiechnął się z sympatią, odwrócił do Nadii i poklepał ją po kolanie.

- Brzmi rozsądnie - przyznała Nadia. - Dokąd pójdziemy?

- Zobaczysz. - Paweł był wesoły, witał się z ludźmi, którzy podchodzili do stolika.

Oksana miała wrażenie, że gdyby pozwolił, całowałiby go po rękę - tyle podziwu zmieszanego ze strachem wyzierało im z oczu. Wreszcie Paweł wstał. Była już

dziesiąta. Zostawił na stoliku sto rubli, chociaż rachunek opiewał na pięćdziesiąt. - Mój wóz będzie czekał za godzinę po drugiej stronie ulicy, blisko teatru - rzucił na odchodnym. - Bawcie się, zamówcie trochę szampana, ale pamiętajcie, żeby się nie spóźnić.

Godzinę później Nadia i Oksana zajęły miejsca w czarnej Wołdze, Nadia obok Pawła, który prowadził, Oksana z tyłu. Niewiele rozmawiali w czasie jazdy ulicami. Wkrótce znaleźli się na autostradzie łączącej Moskwę z Leningradem. Oksana zauważyła, że jedzie za nimi jakiś samochód. Paweł zachichotał.

- W moim interesie zdrowy rozsądek nakazuje mieć w pobliżu przyjaciół.

W ciągu godziny Moskwa została za nimi. Samochód pędził wśród nie kończących się pól i lasów. Przejechali przez małe miasteczko Klin na północ od Moskwy. Pod koniec drugiej godziny jazdy znaleźli się niedaleko Wołgi. W swym górnym biegu, blisko źródeł, Wołga jest wspaniała - szeroka na ponad półtora kilometra, z błotnistymi brzegami porośniętymi niskim, gęstym lasem. Przerzucony przez rzekę most mierzy dwa kilometry długości.

Za mostem szosa przez prawie dwa kilometry biegnie szpalerem stuletnich topoli. Tutaj Paweł zwolnił i zatrzymał wóz na poboczu. Na jego znak Oksana wysiadła, otulając się czarnym płaszczem. Był dopiero wrzesień, lecz chłód już dawał się we znaki. Poszła za Pawłem i Nadią w sosnowy las na brzegu Wołgi. Ujrzała wyspy porośnięte gęstymi krzakami i drzewami, które, jak się wydawało w poświacie księżyca, unosiły się po rzece.

Po drugiej stronie drogi było widać kilka wielkich posiadłości.

- Czyje to domy? - zapytała Nadia.

Paweł wskazał na najbardziej okazałe.

- Ten należy do dyrektora warzywnych magazynów regionu moskiewskiego, Giwi Gigauriego.

- Nie żartuj! - zawołała Nadia. - Znam tego tłuściocha.

- Teraz siedzi na Butyrkach, toczy się przeciwko niemu postępowanie.

- Wywinie się, jest cwany - stwierdziła z przekonaniem.

Paweł poprowadził Oksanę i Nadię w zaciszne miejsce, z którego roztaczał się widok na wody Wołgi błyszczące w świetle księżyca jak srebrzysta wstęga.

- Oksano, chciałbym usłyszeć wszystko. Nie pomijaj niczego, nie śpiesz się. Mamy mnóstwo czasu. Nikt nam nie przeszkodzi. - Skinął w stronę wozu eskorty, w którym żarzyły się trzy ogniki papierosów.

Słowo po słowie, milknąc czasami, Oksana opowiedziała, co ją spotkało, łącznie ze szczegółami lesbijskich stosunków z Tanią. Stała plecami do swoich towarzyszy i mówiła w ciemność nocy, na wiatr, do majestatycznej rzeki. Paweł słuchał uważnie,

pałac, czasami wtrącał pytanie, ale nie przerywał jej.

Kiedy Oksana wreszcie skończyła, przez chwile wszyscy milczeli. Paweł wyjął kolejnego papierosa i zapalił.

- Niezła powiastka, prawda?

- Tak. - Paweł pokiwał głową. - Tak. Cóż, musimy z tym żyć. Życie ma swoje prawa. Oksano, o ile rozumiem, chcesz nie tylko wybrnąć z tego szamba, ale też się zemścić, prawda?

- Tak. - Jej głos był zimny, ostry. Pawłowi spodobała się reakcja dziewczyny.

- Więc wyjaśnijmy sobie coś. Jestem... powiedzmy, że jestem człowiekiem interesu. Jeżeli jesteś ze mną przeciw nim, to powinniśmy wygrać. Ale już nigdy nie będziesz panią samej siebie. Ta sprawa zwiąże nas na zawsze, dopóki śmierć nas nie rozłączy, jak mówią na ceremonii zaślubin. - Z zadumą zaciągnął się dymem. - Nie znaczy to, że faktycznie będziesz uczestniczyła w moich interesach, nie, ale staniesz się jedną z nas, i kiedy nadejdzie czas, poproszę cię o pomoc. Nie poproszę o nic, czego nie będziesz w stanie zrobić, ale może się zdarzyć, że pomagając mi, zaryzykujesz własnym życiem. Zastanów się więc.

- Rozumiem - odparła bez chwili namysłu Oksana. Zapaliła papierosa wielką srebrną zapalniczką, patrzyła na nią przez chwilę. - Nadeszła fala. Czas przypiąć się do relingu.

- Słucham? - zapytał zaskoczony Paweł.

- Możesz na mnie polegać - powiedziała. - Nigdy nie zapomnę, że mi pomogłeś.

Zadowolony z jej odpowiedzi Paweł pokiwał głową.

- Nadia, kochanie, zajrzyj do schowka w samochodzie. Jest tam flaszka koniaku, przynieś mi ją.

Nadia zrobiła, o co prosił.

- Dzięki - powiedział i pociągnął łyk, potem podał piersiówkę Hennessy Oksanie. Ona też się napiła. Targ został przypieczętowany.

- Mogę sprawić, że znikną bez śladu, porąbać ich na kawałki, przypiekać na wolnym ogniu, przynieść ci ich głowy, z fiutami w zębach. Tylko powiedz.

Oksana milczała przez chwilę.

- Po prostu - bez śladu.

Paweł skinął głową.

- Ty też możesz oddać mi wielką przysługę.

- Czego chcesz?

- Te męty z KGB zostaną zlikwidowane, a ty wrócisz do instytutu. Potem przedstawisz mnie swemu ojcu.

- Chcesz go skorumpować?

- Czy jesteś tak naiwna, by wierzyć, że komunista na takim stanowisku już nie jest skorumpowany? Twój ojciec pomoże mi w pewnej sprawie w zamian za to, co zrobię dla ciebie.

- Więc opowiesz mu o tym całym świństwie - stwierdziła ponuro.

Paweł uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Pominiemy szczegóły z Wikingiem, to twoja osobista sprawa. Ale powiemy mu o twoich kłopotach i zapewnimy, że nie jesteś niczemu winna. Twój tata zrozumie, że nie było legalnego sposobu rozwiązania takiego problemu.

Paweł napił się ze srebrnej piersiówki i podał ją Oksanie, która skorzystała skwapliwie.

- Mógłby prawdopodobnie spowodować, by ci dranie spadli ze stołków, ale wtedy będziesz miała na głowie całe KGB. A oni potrafią wykazać, że każde kłamstwo jest prawdą. Udowodnią, że od dzieciństwa jesteś prostytutką; że to ty zgwałciłaś tych trzech niewinnych facetów, czułych mężów i troskliwych ojców.

Paweł przerwał i popatrzył na nią taksująco.

- Jeśli się boisz...

- Przestań - warknęła Oksana. - Tata pomoże ci, obiecuję.

Paweł skinął i pociągnął kolejny łyk koniaku. Przez następną godzinę omawiali szczegóły, w gęstym lesie, na brzegu wielkiej rzeki. Koniuszki papierosów żarzyły się w nocnym wietrze.

9.

Perspektywa zatelefonowania do biura Marata w hotelu „Rossija” była emocjonalnie wyczerpującą, ale Oksana zdawała sobie sprawę, że powodzenie planu Pawła zależy od jej fortelu. Nadia stała obok i dodawała jej otuchy.

- Cześć, człowieku - wygruchała Oksana. - Jak się masz?

Przywołała cały swój kobiecy wdzięk i postarała się, żeby jej głos brzmiał sennie, rozkosznie, uwodzicielsko - młoda seksowna dziwka, która dopiero co wyszła z kąpeli i siedzi otulona w koc. Oksana mogła sobie wyobrazić lubieżny uśmiezek rozmówcy i to, jak Marat już fantazjuje o nagrodzie za zwerbowanie nowej agentki. Uśmiechała się ponuro, stojąc ze słuchawką w dłoni, z pobladłą i opuchniętą twarzą, w czarnym płaszczu o surowym kroju w środku burdelu, jaki zrobił z jej mieszkania. Podpuszczanie człowieka, którego skazała na śmierć, sprawiało jej dużą przyjemność.

- Miło cię słyszeć - powiedział. - Jak się masz?

- Trochę kiepsko, nie tego się spodziewałam.

- Ale podobało ci się? - W jego głosie zabrzmiała nuta niedowierzania.

Zmusiła się do śmiechu.

- A tobie? Co wyście mi zaaplikowali?

- Byłaś na niezłym haju. Za drugim razem jest lepiej. - Nadal był nieco podejrzliwy. - Jak z tymi papierami do podpisu?

- Właśnie dlatego dzwonię. Chcę mieć to z głowy.

- Naprawdę chcesz zostać naszą agentką? - Teraz niedowierzanie zabrzmiało już wyraźnie.

- Jeżeli zdołałam zająć tak daleko, to stać mnie na wszystko. Chciałabym dowiedzieć się dokładnie, czego ode mnie oczekujecie.

- Byliśmy dla ciebie nieco twardzi. Przepraszam.

- Pokazaliście mi, co potraficie. Przypuszczam, że to był jakiś test.

- Życie agentki czasami bywa trudne. - Teraz znów mówił jak Marat-gorliwiec. - Ale możesz zostać prawdziwą bohaterką naszego kraju - ciągnął entuzjastycznie.

- To brzmi ekscytująco.

- Pułkownik cię polubił.

- Och, naprawdę?

- Tak, powiedział, że możesz być jedną z naszych najlepszych agentek. - Urwał. -

Naprawdę się nie gniewasz? Proszę, nie wściekaj się. Możemy dokonać wielkich rzeczy.

- Wiesz, że byłam oburzona. Nigdy wcześniej nie robiłam czegoś takiego. Mogłeś być bardziej delikatny. Chodzi mi o to, że ci faceci i wszystko to... - zawiesiła głos.

- Sądzę, że nas trochę poniosło. Niektóre kobiety, rozumiesz, to lubią. Poważnie. Ale kiedy zaczniesz dla nas pracować, wszystko będzie zależało od ciebie. Staniesz się cenioną i godną szacunku agentką. Jedną z nas - zakończył dumnie.

- Co mam zrobić? - zapytała słabo, uświadamiając sobie, że jeszcze nie wróciły jej siły.

Marat chętnie chwycił przynętę.

- Może spotkamy się we trójkę i porozmawiamy?

Pozwoliła, by do jej głosu zakradło się powątpiewanie.

- Tym razem tylko porozmawiamy?

- Oczywiście, Oksano. Towarzyszko Martinowa. To będzie poważne, formalne zebranie. Obiecuję.

- Kiedy?

- Może dzisiaj po południu?

- Odpoczywam.

- No to kiedy chciałabyś się z nami spotkać? - Jawne zniecierpliwienie Marata sprawiło, że Oksana uśmiechnęła się sardonicznie.

- Proszę, dajcie mi jeszcze dzień czy dwa na odpoczynek.

- W porządku... będziesz w domu?

- Nie spotkamy się tutaj - warknęła.

- Rozumiem. Zadzwoń do ciebie. Bądź grzeczna. Powściągnęła gniew, jaki ogarnął ją na to bezczelne upomnienie.

- Będę czekała. Daj mi parę dni.

Ale Marat nie wytrzymał. Zadzwoił do Oksany następnego popołudnia. We trójkę mieli na nią czekać w jego lokum na Arbacie o ósmej wieczorem.

O wpół do ósmej biały Żiguli zatrzymał się na bocznej ulicy Arbatu. Z przodu siedział Paweł. Sprawa była zbyt poważna, żeby do wykonania roboty wyznaczać kogoś innego. Kierowca patrzył na niego, czekając na instrukcje. Misza, ponury osobnik w długim czarnym płaszczu, zajmował miejsce z tyłu, obok Oksany. Miał trzydzieści parę lat, czarne jak smoła włosy, głęboko pobruźdowaną twarz, ciemny zarost i oczy, wiecznie zmrużone, jakby chowały się przed słońcem. Paweł odwrócił się do Oksany.

- Siedź cicho w samochodzie i nie waz się wychodzić bez Miszy czy mnie. To właściwy adres?

- Tak, możesz być pewien, że nigdy go nie zapomnę.

Paweł był pewien. Jego ludzie sprawdzili adres wczesnym rankiem, od razu po powrocie z brzegu Wołgi. Oksana nic o tym nie wiedziała ani nie była świadoma, że od szóstej w sąsiedztwie aż roi się od ludzi Pawła. Strzelcy uzbrojeni w karabiny leżeli na dachach, nie spuszczać oka z mieszkania oficera KGB. Przed siódmą zameldowano Pawłowi, że trzej osobnicy, którymi był zainteresowany, właśnie przybyli. Zachowywali się jak wczasowicze na pikniku.

Paweł otworzył drzwi wozu, wysiadł i podszedł do bagażnika. Wyjął dużą czarną skrzynkę, którą razem z Misza zanieśli do frontowych drzwi na wpuł opuszczonego domu.

Po cichu wspięli się na czwarte piętro i Misza postawił pojemnik w korytarzu przed drzwiami mieszkania. Czarny płaszcz, który sięgał mu do kostek, zakrywał *Katalsznikowa*.

Paweł podszedł do drzwi, sprawdził numer, wyjął metalowy pręcik z haczykiem na końcu i wsunął go w zamek. Rozległ się cichy szcęk i zamek ustąpił.

- Ach, Szwajcaria! - westchnął Paweł. - Oni to robią cudowna techniki. Tak przy okazji, Misza, byłeś w Szwajcarii?

- Nie. Tylko w Afganistanie.

- Tak, to duża różnica... Nieważne, bądź dobrym chłopcem, a zadbam, żebyś wyjechał na zakupy do Szwajcarii.

Marat, Igor i pułkownik siedzieli w fotelach wokół solidnego dębowego stołu, na którym wśród paczek papierosów stały butelki z wódką i koniakami oraz talerze z zakąskami. Mężczyźni sprawiali wrażenie odprężonych i po wypiciu paru kolejek koniakowi w dobrym nastroju czekali na przybycie namiętnej, ciemnowłosej piękności.

Z korytarza dobiegł jakiś szmer.

- To na pewno Oksana - zawołał Marat z podnieceniem i zerwał się spiesznie.

Kotary wiszące w drzwiach rozsunęły się. Trzy pary płonących z żądy oczu rozszerzyły się w szoku, gdy do pokoju wsunęła się dłoń zaciśnięta na rękojeści pistoletu *Luger* kalibru 9 mm; na lufę był nakręcony tłumik. Marat zamarł.

- Witajcie płomienne serca i czyste ręce, jak zwykły był mawiać papa Feliks - oznajmił radośnie Paweł, nawiązując do patrona KGB. Wszedł do pokoju, za nim Misza. - Jak się macie, towarzysze?

Igor i pułkownik skoczyli na nogi. Misza machnął groźnie lufą *Katalsznikowa*, mierząc w ich twarze.

- Czego chcecie? - zapytał chrapliwie pułkownik.

- Siadajcie, proszę - kontynuował zimno Paweł. - Ostatecznie nie jestem ani

sekretarzem generalnym, ani szefem KGB. Nie ma potrzeby stać w mojej obecności. Musimy pogadać.

- Czego chcesz? Jestem pułkownikiem KGB. Mogę dobrać się wam do tyłków. Odlóżcie broń, natychmiast! - ryknął pułkownik.

Paweł zachichotał, wysuwając *Lugera* przed siebie. - Wydaje się, pułkowniku, że nie panujecie nad sytuacją.

- Co to znaczy, do cholery?

- Dokładnie to, co mówię. No, nie traćmy czasu. Jestem człowiekiem interesów i przywiodła mnie tu chęć zysku. Wszystko wyjaśnię, tylko przestań wrzeszczeć, bo inaczej zdenerwujesz moich strzelców, którzy siedzą na dachu naprzeciwko tego okna. Mogą zrobić w tobie dziurkę, nim zdążysz pierdnąć. A to byłaby szkoda, bo musimy dojść do porozumienia - i dojdziemy. Nigdy nie spotkałem ludzi, z którymi bym się nie dogadał. Już taki mam ustępliwy charakter. - Uśmiechnął się ponuro.

- Sukinsyn - mruknął pułkownik, aczkolwiek po cichu. - Jak śmiesz sprzeciwiać się KGB? Do jakiego gangu należysz?

- Przejdźmy do rzeczy. Parę dni temu wraz z tymi dwoma zgwałciliście dziewczynę, narażając ją na uszczerbek emocjonalny i fizyczny. To był błąd, poważny, i teraz za to zapłacicie.

Twarze winowajców zrobiły się popielate; Igor i Marat zaczęli dygotać.

Pułkownik zgarbił się w fotelu, nagle kompletnie trzeźwy.

- Kim jesteście? - zapytał. - Jej krewnymi?

- Tak, w pewien sposób. Wszyscy jesteśmy dziećmi jednej i tej samej rodziny, jeżeli chwytasz, o co chodzi, i nie pozwalamy nawet samemu Bogu krzywdzić naszych ludzi.

- My... Możemy jakoś się dogadać - zaskamlał pułkownik stłumionym głosem.

- Tak, jasne, właśnie o tym mówiłem, gdy przerwałeś mi swoim wrzaskiem.

- Co mamy zrobić? - Pułkownik wreszcie zrozumiał swoje położenie.

- Nareszcie coś rozsądnego. - Paweł skinął na Miszę. - Widzisz, jak czekał ci nagle zaczynają iść człowiekowi na rękę, gdy patrzą w lufę pistoletu?

Raz jeszcze zwrócił się do pułkownika:

- Nie chcemy wiele. Po pierwsze, akta dotyczące Oksany Martinow, spłodzone przez tego wszawego kutasa, który siedzi na prawo od ciebie. Po drugie, taśmę ze sceną w autokarze: Po trzecie, tylko jeden telefon.

- Akt tutaj nie ma - wybełkotał Marat.

- Tak? Mam poszukać?

Marat zerwał się i podbiegł do stołu, otworzył szufladę i wyjął schludną teczkę. Żwawo podał ją Pawłowi. Misza nie spuszczał oczu i lufy *Katasznikowa* z agentów KGB.

W teczce było niewiele materiału. Fotografia Oksany z wysokim mężczyzną o białych włosach, świadectwo z instytutu, kilka notatek skreślonych przez Marata i transkrypcje nagranych rozmów.

- Gdzie jest taśma? - zapytał Paweł.

- Nie ma jej tu. Jest w centrum nadzoru.

- A kasetę wideo?

- Nie ma żadnej...

- Jesteś pewien? - Paweł wepchnął mu lufę *Lugera* pod brodę. - Zastanów się dwa razy, zanim ponownie odpowiesz.

- Nie ma taśmy - wyskrzecztał Marat. - To był żart, tylko żart. W nocy nie da rady filmować, trzeba by specjalnej kamery, nie mieliśmy takiej. Jestem tylko porucznikiem.

Paweł pokiwał głową.

- Dokładnie tak myślałem. W porządku. - Misza wbił płonące oczy w pułkownika.

- Popatrz na tego szacownego oficera KGB, gwałciciela młodej dziewczyny.

- Szuja - pułkownik spiorunował Miszę wzrokiem. - Zakazana kaukaska szuja...

Misza zrobił krok w jego stronę i trzasnął go w twarz kolbą karabinu. Chrzęst pękającej kości policzkowej odebrał resztki odwagi Maratowi i Igorowi, którzy wrzasnęli z przerażenia, gdy pułkownik z hukiem runął na podłogę.

Paweł udał oburzenie.

- Michaił, czyś ty oszalał? Opanuj się. Musimy ubić interes.

Pułkownik wsparł się o fotel i pozbierał się z podłogi. Z nosa i ust płynęła mu krew, mówił niewyraźnie.

- Nie mam pojęcia, o co chodzi temu wariatowi.

Nagle Igor osunął się na kolana, na czworakach podpełzł do Pawła i, próbując objąć go za kolana, krzyknął:

- On kłamie! Dał Oksanie zastrzyk. Zgwałcił ją. Ja nie. Nie zabijaj mnie. Zrobię wszystko, wszystko. Nie zgwałciłem Oksany! Przysięgam! To był jego pomysł - wskazał na Marata - kiedy zobaczył ją z tym Norwegiem...

- On łże! - wrzasnął Marat, bliski omdlenia.

Paweł wymierzył Igorowi kopniaka.

- Misza, trzymaj tych dwóch na muszce. - Do Marata powiedział: - A ty, rycerzu niewidzialnej granicy, przestań drzeć mordę. Nie jestem głuchy. Gdyby tak was posłuchać, to nikt jej nie zgwałcił. Zadzwoń do dziekana instytutu.

- Do dziekana? Po co? Teraz jest na pewno w domu.

- Powiesz mu, że KGB popełniło okropną pomyłkę. Studentka Martinowa jest oddaną,

szczerą agentką KGB i jeśli ją wyrzuci, sam straci robotę.

Paweł położył na stole przed Maratem telefon komórkowy.

- Nie będziemy niepokoić tą rozmową waszego wewnętrznego centrum nadzoru.

Marat spiesznie znalazł w książce numer telefonu i po chwili rozmawiał z dziekanem, zacinając się i dygocąc. Przez parę minut wychwalał cnoty Oksany i podkreślał jej znaczenie dla KGB, a potem zakończył:

- Przekażcie pozdrowienia żonie i powiedzcie jej, że przepraszam za niepokojenie was w domu. Dobrej nocy.

- Zrobione - zameldował Pawłowi. - Zrobiliśmy wszystko, o co prosiliście, czego jeszcze chcecie?

- Niczego - odparł Paweł, zabierając mu telefon.

Marat znów zaczął płakać i błagać o darowanie życia. Paweł popatrzył na niego obojętnie.

- Czy okazaliście miłosierdzie tej młodej kobiecie? - zapytał. - Nie - odpowiedział cicho na własne pytanie. Sterroryzowaliście ją i zgwałciliście. I planowaliście powtórzyć to tej nocy. No, teraz może zrozumiecie, co to znaczy być ofiarą przemocy.

Marat zobaczył, że Paweł wycelował w jego jądra.

Z wrzaskiem rzucił się na podłogę, ale Paweł zdążył nacisnąć spust. Wyjąc z bólu, zaciskając ręce w kroczu, Marat wił się w rosnącej kałuży krwi. Paweł odwrócił się do Igora, który skamlał, zawodził, płakał i wzywał swoją matkę.

- Ona ci nie pomoże - stwierdził zimno. - Już nigdy nie będziesz gwałcił.

Igor złapał się za krocze, jakby mogło to powstrzymać kulę, która strzaskała mu dłoń i worała się w jego genitalia. Z wrzaskiem upadł obok wyjącego Marata.

Pułkownik osunął się na podłogę i poczołgał do Pawła i Miszy.

- Nie. Proszę, nie. Zostałem zmuszony...

- Misza, decyzja należy do ciebie. - Paweł zachichotał bezlitośnie. - Osobiście wołałbym go puścić, żeby zdechł w sposób, na jaki zasłużył, rozmyślając o swoich grzechach przy kominku.

- Tak, masz rację, jak zawsze, Pawle. Zrobimy to po twojemu.

Misza nagle odwrócił się do bełkocącego pułkownika. Przesunął przełącznik na ogień pojedynczy i celnie wpakował mu dwa pociski w krocze. Pułkownik runął głową do przodu i legł obok dwóch skrzęcających się z bólu młodych ludzi.

- A teraz przynieś skrzynkę - zakomenderował Paweł. - Szybko! Zanim ktoś usłyszy śmiech tych szakali.

Otworzyli pojemnik. Zawartość jednego kanistra benzyny rozlali po mieszkaniu, dwa następne postawili na środku pokoju. Paweł wysypał na trzech wijących się kagiebiów pudło tlenku żelaza zmieszanym ze sproszkowanym aluminium. Powstała w

wysokiej temperaturze masa żelazowo-aluminiowa miała otoczyć ciała jak pancierz i uczynić je nierozpoznawalnymi. Paweł wiedział, że nawet pociski stopią się w żarze, co tym samym wyeliminuje wszelkie dowody.

Szybko opuścili mieszkanie i gdy tylko znaleźli się na ulicy, człowiek Pawła zajmujący stanowisko w samochodzie przy sąsiedniej przecznicy dał znak obserwatorowi ulokowanemu na dachu pobliskiego budynku. Obserwator z kolei pomachał do snajpera i w ciemne okno poleciał fosforowy pocisk zapalający.

Gorący podmuch grzmiącej eksplozji wstrząsnął budynkiem i na czwartym piętrze chylącej się ku ruinie starej kamienicy rozszalał się huragan ognia. Głośne echa odbiły się po całym Arbacie. W niebo poszybowały stada przerażonych gołębi.

Paweł podał teczkę Oksanie.

- Trzymaj. Nic poważnego, ale radzę ci spalić to w domu i splukać popiół w toalecie. Nie ma żadnej taśmy wideo, tak jak myślałem.

- Dziękuję, Pawle. Zawsze będę ci wdzięczna. Jak poszło?

- Na wszelki wypadek nie powiem ci ani słowa. W ten sposób, gdybyś kiedykolwiek była przesłuchiwana, nie dasz się złapać w pułapkę. Powiem ci tylko, że już nie będziesz cierpiała. Zdechli jak psy, na kolanach, błagając o łaskę.

Przemknął obok nich wóz straży pożarnej. Kierował się w stronę Arbatu, gdzie w wieczorne niebo wznosił się słup gęstego oleistego dymu.

- Jak mam się zrewanżować za to, co dla mnie zrobiłeś?

- Wiesz, na czym mi zależy, to wszystko. Jeżeli poproszę cię o inną przysługę, wtedy dostaniesz zapłatę. Teraz należysz do naszej rodziny.

- Jakiej rodziny?

Paweł roześmiał się.

- Zobaczysz. Niedługo wybierzemy się razem do Irkucka i odwiedzimy twojego ojca. My pomożemy tobie, a ty pomożesz nam. Osobiście poznasz naszego przywódcę, który chwilowo rezyduje w pobliżu Irkucka. Polubi cię.

- Kim on jest, Pawle?

- Wkrótce zobaczysz. - Drugi wóz strażacki z wyciem popędził w stronę kolumny dymu. Paweł zerknął za nim przez ramię. - Tak, Oksano Martinowa, jesteśmy związani przez ogień i śmierć.

Oksana zadrzała. Paweł delikatnie ujął jej rękę.

- Nie musisz się nas obawiać. Ale chciałbym wiedzieć, co myślisz o systemie, w jakim żyjemy. O KPZR, KGB, Politbiurze? Wiem, twój ojciec jest partyjną szycią. I pomoże nam ze względu na ciebie. Czy naprawdę jesteś towarzyszką Martinowa, gotową wmawiać następnemu pokoleniu leninowskie ideały?

Gwałtownie pokręciła głową.

- Zatem myślimy podobnie, Oksano. I zadbamy, żebyś dalej studiowała języki, albo w instytucie, albo prywatnie.

Samochód zatrzymał się niedaleko amerykańskiej ambasady, na ulicy Sadowej.

- No, zmykaj, dziewczyno - powiedział Paweł. - Jedź do domu metrem, i nie zapomnij od razu spalić dokumentów. Zaufałem ci, nie było łatwo je zdobyć, więc nie zrób mi zawodu.

- Nie zrobię.

- Wiem. Jesteś teraz dorosłą kobietą i na własne oczy zobaczyłaś, jak się sprawy mają. Zadzwoń do ciebie, gdy nadejdzie odpowiednia pora. Zaczynij przygotowywać ojca na naszą wizytę. *Do swidanja.*

Samochód odjechał. Oksana ruszyła chodnikiem w strumieniu moskwiczian, przyciskając do piersi tekturową niebieską teczkę z białymi tasiemkami.

10.

Pod bacznym okiem urzędnika Nowojorskiej Agencji Nowych Amerykanów rosyjscy emigranci-turyści pracowicie pstrykali zdjęcia Statule Wolności. Zostali zagnani do Battery Park w dolnej części Manhattanu w ramach obowiązkowej pielgrzymki, jaką musieli odbyć w celu złożenia hołdu symbolowi wolności uzyskanej przez wyrzeczenie się byłej ojczyzny. Peter Nikhilov był zadowolony, że oparł się pokusie poleniuchowania po długiej nocy spędzonej z przyjaciółmi z moskiewskiej milicji, którzy przybyli do miasta na pierwszy pojedynek bokserski między wydziałami policji Moskwy i Nowego Jorku. Wskoczył, aby się rozejrzeć i traf chciał, że w tłumie zauważył Zekki Dekkę z kaukaskim bandziorem, smagłym, z granatową szczecina na policzkach i szczęce.

Peter wycelował swój specjalnie skonstruowany aparat w Statuę Wolności wznoszącą się po drugiej stronie portu. W przeciwieństwie do fotografów-amatorów, którzy zwracali aparaty w tym samym kierunku, on w wizjerze widział scenę rozgrywającą się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w stosunku do normalnej linii widzenia. Poprawił ostrość, koncentrując się na Zekkim i jego krzepkim kompanie w źle dopasowanym garniturze, prawdopodobnie dopiero co kupionym w sklepie z używaną odzieżą w Brighton Beach. Pstryknął im fotkę, a potem zrobił zbliżenie głowy człowieka, który udawał emigranta, ale na pewno był zabójcą sprowadzonym do wykonania mokrej roboty dla Zekkiego. Po trzech zdjęciach dostrzegł, że Zekki go zauważył.

Peter opuścił aparat na pasek i ruszył z wolna w kierunku Zekki. Przedstawiciel NANA właśnie gryzmołił w podrobionych papierach swoje inicjały na potwierdzenie, że fałszywy emigrant obejrzał świątynię wolności.

- Dzień dobry, Zekki - przywitał fałszerza Peter. - Statua Wolności rzeczywiście jest inspirująca.

- Ach, pan Nikhilov! Widzę, że szuka pan kłopotów w ciemniejszej społeczności rosyjskich Żydów.

- A ja widzę, że sprowadziłeś kolejnego importa z Kaukazu.

- On ma certyfikat NANA.

- Twoje dokumenty muszą być prawdziwym dziełem sztuki, skoro ktoś uwierzył, że ten facet jest żydowskim emigrantem. - Roześmiał się drwiąco. - Ile wpłaciłeś na konto NANA, żeby wydali zaświadczenie temu dzygitowi?

Bandzior podniósł głowę, słysząc znane sobie słowo.

Peter po rosyjsku powiedział do niego:

- Nie pozwól, zakapiorze, by twój sponsor wrobił cię w coś nielegalnego, na przykład w jakąś rozwałkę, bo osobiście dopilnuję, żebyś nigdy nie wyszedł z tutejszego pudła.

- Zastraszanie biednego, samotnego żydowskiego emigranta! - krzyknął Zekki. Jego towarzysz zamarł z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczyma, zaskoczony płynną ruszczyzną w ustach Amerykanina.

Zekki uczynił ruch, jakby miał zamiar wezwać przedstawiciela NANA.

- Śmiało - zakpił Peter. - Zawołaj pana Epsteina i powiedz mu, że biuro prokuratora okręgu Brooklyn nęka jednego z ciemieżonych zabójców, któremu w NANA dopiero co wystawili świadectwo świeżo upieczonego *refuznika*.

- Pewnego dnia posuniesz się za daleko, Nikhilov.

- Ty już to zrobiłeś, Zekki. - Kaukaski goryl spojrzął na Petera groźnie i zrobił krok w jego stronę. Peter wyszczerzył zęby. - Śmiało. Jak się mówi, ulżyj sobie, a zrobisz mi uprzejmość. - Po rosyjsku dorzucił: - Będę cię miał na oku, dżygicie.

Zekki spieszenie powstrzymał groźne dziecko Kaukazu od zademonstrowania czczeńskiego temperamentu.

Z rejonu paska Petera dobiegła seria elektronicznych sygnałów. Peter odszedł od Zekkiego i, zobaczywszy na wyświetlaczu pagera numer Hugh'a McDonalda, pomaszcerował do najbliższej budki telefonicznej przy kasie.

- Wynikło coś ważnego - wysapał Hugh bez słowa powitania.

- Wczoraj zrobiłem zdjęcie i chciałbym, żebyś je obejrzał.

- Czekaj na mnie za dwie godziny w hotelu „Beverly” na rogu Lexington i Pięćdziesiątej - zdecydował Peter.

Hotel „Beverly” przyciągał rosyjskich gości i to tutaj zatrzymał się zespół pięściarzy moskiewskiej milicji w czasie tournée po czterech amerykańskich miastach. Hugh McDonald czekał w holu. Peter zajął miejsce na kanapie obok niego.

- Co jest grane, Hugh? - zapytał.

- Obserwowaliśmy misję Korei Północnej przy ONZ. Dwa razy widzieliśmy, jak dystyngowany Rosjanin... nauczyłem się rozpoznawać Rosjan - dodał w ramach wyjaśnienia - kręci się w tę i nazad. Za czwartym razem, wczoraj, zrobiłem mu zdjęcie przez teleobiektyw. Agenci FBI z Kontroli Misji Zagranicznych nie potrafili go zidentyfikować. Powiedzieli, że nie jest akredytowanym dyplomatą. Pomyślałem, że może ty mi pomożesz.

- Jeżeli mnie się nie uda, być może powiedzie się tym facetom z góry, którzy przygotowują się do wieczornej walki.

Peter obejrzał zdjęcie i pokręcił głową.

- Zajrzyjmy do generała Bodajewa. Może on zdoła nam pomóc.

Parę minut później Peter przywitał generała w jego pokoju i, nie tracąc czasu, pokazał mu zrobione przez Hugh'a zdjęcie. Bodajew aż sapnął ze zdumienia.

- On jest teraz w Nowym Jorku?

- Jak najbardziej. - Peter w udawanej przyganie pogroził generałowi milicji palcem.

- Dwa razy odwiedził misję Korei Północnej. Myślałem, że już nie robicie interesów z Koreańczykami.

- Mój rząd jest od tego daleki - odparł Bodajew. - Ten na zdjęciu to jeden z ważnych szefów gruzińskiego syndykatu przestępczego. Jest również członkiem Rady Najwyższej, co daje mu immunitet. Z przyjemnością postawilibyśmy go w stan oskarżenia i przymknęli. Ma szerokie koneksje. Przywódcę jego organizacji, niejakiego Tofika, wpakowaliśmy na dziesięć lat do obozu pracy, ale jego gang przybrał na sile. - Postukał palcem w zdjęcie. - To Eduard Gardenadze. Ciekaw jestem, co też robi w Nowym Jorku.

- Tak, i to w misji Korei Północnej - dopowiedział Hugh, gdy Peter przetłumaczył mu słowa generała.

- Zobaczmy, czy to czegoś nie wyjaśni. - Peter podał generałowi zdjęcie, które zrobił w Battery Park swoim przemysłnym aparatem.

- Nie znam go. Wygląda na kaukaski produkt. Pokażę innym. - Podniósł słuchawkę i po chwili w pokoju zebrali się starsi stopniem członkowie bokserskiej ekipy. Gdy przekazywali sobie zdjęcie z rąk do rąk, Peter przedstawił Hughowi Borysa Burienczuka, szczupłego, schludnie ubranego, około trzydziestopięcioletniego mężczyznę. Peter wyjaśnił, że Borys, niedawno awansowany do rangi majora, jest nie tylko detektywem, ale rzecznikiem prasowym moskiewskiej milicji. Borys natychmiast rozpoznał polityka-kryminalistę, podobnie jak trener zespołu, major Jurij Ugłanow. Ale nikt nie potrafił zidentyfikować rosyjskiego bandziora, dopóki w pokoju nie pojawił się kapitan Walerij Kutuzow.

- Walerij to nasza pięściarska gwiazda - oznajmił z dumą Bodajew. - Żaden Amerykanin nie da mu rady. - Podał młodemu oficerowi zdjęcie Petera.

Kutuzow rzucił na nie okiem i pokiwał głową.

- Tak, widziałem go dwa razy podczas identyfikowania podejrzanych w sprawie o morderstwo. To Gruzin, który wstąpił do moskiewskiego gangu Wiktora Kaliny.

- Kalina! - zawołał Bodajew. - To bękart Jakowlewa czy Japończyka, jak go nazywają.

- Tak. Słyszałem o Japończyku - powiedział Paweł. - Jak myślisz, co pomagier jego syna robi tutaj z Zekkim Dekką?

- Mamy go w kartotece - dodał Walerij.

- A gdybym tak przesłał faksem to zdjęcie Lisowi w Moskwie? - zasugerował Peter.

- Dobry pomysł - przyznał Bodajew. - Która jest u nas godzina?

Peter wyciągnął swój imponujący czasomierz.

- Ósma wieczorem.

- Zatem skontaktowanie się z Władimirem Iwanowiczem jest niemożliwe do jutra rana.

Hugh McDonald nie miał pojęcia, o czym mowa, więc Peter streścił mu najważniejsze.

- Wszyscy znają twojego faceta, ale mój stanowi pewną zagadkę. Pułkownik Władimir Iwanowicz Nieczajew jest szefem detektywów na Pietrowce, w komendzie głównej milicji. Nazywają go Lisem. Przefaksuję mu zdjęcie i zobaczymy, co otrzymamy w odpowiedzi.

- A co mówią o tym polityku-kanciarzu, który odwiedza koreańską misję przy ONZ?

- Tylko tyle, że nie są to wizyty oficjalne.

- Dla NEST jest podejrzany każdy, kto odwiedza misje państw popierających ugrupowania terrorystyczne.

- Wiesz, gdzie zatrzymał się ten Gardenadze?

- Jeden z moich ludzi poszedł za nim, jak zrobiłem zdjęcie, ale zgubił go gdzieś w Brighton Beach.

- Chciałbyś obejrzeć walki dziś wieczorem? - zapytał Peter. - Mam kupę darmowych biletów, a w przerwach po ringu będzie chodzić pięć czy sześć najładniejszych rosyjskich dziewczyn.

- Nie, dzięki. Teraz, gdy już wiem, kim jest ten facet, muszę dowiedzieć się jak najwięcej o Eduardzie Gardenadze. Mógłbyś poprosić swoich przyjaciół w Moskwie o przysłanie jego dossier? Wiemy, że Korea Północna próbuje skonstruować broń atomową. Może on jest jakimś łącznikiem w handlu plutonem.

- Zrobię, co będzie można, jak zawsze.

Kapitan Walerij Kutuzow zasypywał przeciwnika gradem lewych prostych i prawych sierpowych.

Gong oznaczający koniec trzeciej i ostatniej rundy uratował amerykańskiego pięściarza przed dalszym laniem. Major Jurij Ugłanow, trener reprezentacji rosyjskiej, zarzucił bokserowi ręcznik na ramiona. Sędzia wyszedł na środek ringu i uniósł wysoko rękę Walerija, ogłaszając jego bezapelacyjne zwycięstwo. Wybuchły brawa i okrzyki radości. Pokonany przeciwnik podszedł do rosyjskiego narożnika i dwaj pięściarze uścisnęli sobie rękawice. Rosjanie wygrali cztery z pięciu spotkań i teraz byli gotowi udać się na przyjęcie w pobliskiej restauracji, wydane na ich cześć przez nowojorską policję

Tuż przed północą do lokalu zawitał komisarz nowojorskiej policji. Pogratiulował generałowi Bodajewowi zwycięstwa, a potem podszedł do Petera Nikhilova, który właśnie zapraszał jedną z dziewczyn do swego domu na drinka.

- Mam poważny problem, Nikhilov. - Komisarz był ponury. - Może zdoła mi pan pomóc! Próbowałem skontaktować się z panem, ale nie zabrał pan pagera.

- Myślałem, że na tę noc mam wolne. W czym problem, komisarzu?

- Parę godzin temu zamordowano rosyjskiego polityka, przebywającego w tym kraju z wizytą nieoficjalną. Jeszcze nie zawiadomiliśmy konsulatu ZSRR. Pomyślałem, że pan mógłby to zrobić.

Peter klepnął się w czoło.

- O Jezu, powinienem był przewidzieć. Ten sam schemat.

- O czym pan mówi? - zapytał komisarz.

- Czy ofiarą nie jest przypadkiem Eduard Gardenadze?

- Skąd pan wie?

- I jest za późno, by jechać na lotnisko.

- A co to ma do rzeczy?

- Kolejny zabójca daje nogę z tego kraju. Musimy porozmawiać z generałem Bodajewem.

- Będę musiał przeprosić za to, że nie byliśmy w stanie ochronić członka ich kongresu, czy jak tam to w Moskwie nazywają.

- W tym przypadku Bodajew będzie zadowolony. Ale zanosí się na coś poważniejszego.

- Może pan to wyjaśnić?

- Później. - Peter odwrócił się do dziewczyny i powiedział jej, że tej nocy musi popracować, ale nie ma nic przeciwko spotkaniu w innym terminie. Kiedy komisarz poinformował Bodajewa o morderstwie, generał nie okazał cienia żalu. Obaj szefowie policji, za pośrednictwem Petera, uzgodnili sposób postępowania. Komisarz odczuł ulgę na wieść, że nikt w ZSRR nie będzie przejęty śmiercią Gardenadze - poza członkami gruzińskiej mafii, dla której zamordowany najwyraźniej wypełniał jakąś misję.

Peter skorzystał z okazji i nacisnął komisarza, by ten latem wysłał go do Moskwy w celu nawiązania kontaktu i współpracy między policją obu miast. Bodajew poparł tę prośbę z entuzjazmem i komisarz, teraz, gdy z jego barków został zdjęty poważny problem polityczny i dyplomatyczny, zgodził się użyć swoich wszystkich wpływów, aby sfinalizować taką próbę. Przyjęcie trwało, ale Peter wyszedł wraz z komisarzem, aby w pełni wyjaśnić mu znaczenie zabójstwa Gardenadze.

W niedzielę rano Peter i Hugh szczegółowo przeanalizowali okoliczności towarzyszące zabójstwom. Dwa razy Rosjanie złożyli nieoficjalną wizytę w misjach państw popierających terroryzm. Dwa razy doszło do aktów przemocy na osobach tychże. Za każdym razem na horyzoncie pojawiał się Zekki Dekka, z kaukaskim zabójcą u boku.

11.

Mroząca krew w żyłach rewelacja, że naprawdę istnieje coś takiego, jak moskiewska mafia, była ostatnią lekcją w edukacji Oksany Martinowej jako tłumaczki angielskiego. Spoglądała przez okno pasażerskiego pociągu Moskwa-Irkuck na rozległe zasłane śniegiem równiny, które zdawały się ulatywać w tył i roztopiać w leżących za nimi górach. Za barierami, chroniącymi tory przed zawianiem śniegiem, rosły strzeliste syberyjskie sosny i jodły.

Pociąg nadrobił kilkugodzinne opóźnienie spowodowane przez śnieżycę i miał pojawić się na irkuckim dworcu kolejowym prawie o wyznaczonej porze. W każdym wagonie tłoczyło się ponad stu pasażerów. Bijatyka dwóch pijanych żołnierzy kończących służbę w wojsku zaowocowała zniszczeniem toalety i wybiciem szyby w oknie, przez które wpadał strumień lodowatego powietrza. Ale tam, gdzie siedziała Oksana, w pierwszej klasie na końcu składu, wagony były czyste i luksusowe, z wygodnymi dwuosobowymi przedziałami z kuszetskami. Zajmowali je głównie przedstawiciele miejscowych władz.

Czterodobowa podróż pociągiem była okropną męką. Przelot samolotem trwał tylko jeden dzień, ale z powodu burz zawieszono wszystkie loty w tym regionie. Oksana nie miała wyboru - musiała jak najszybciej dotrzeć do miejsca przeznaczenia.

Cztery lata temu, kiedy jej matka zmarła w czasie szczególnie surowej syberyjskiej zimy, ojciec, pierwszy sekretarz ogromnego irkuckiego obwodu Syberii, załatwił Oksanie wyjazd do Moskwy, gdzie zaczęła studiować angielski w Instytucie Języków Obcych Maurice'a Thoreza. Była młodą i naiwną, ukochaną córeczką potężnego przywódcy partyjnego; wszystko wówczas wydawało się jasne i piękne, czekały ją przygody młodości oraz obiecująca kariera.

A teraz trudno jej było uwierzyć w to, co ją spotkało w ciągu minionych sześciu miesięcy. Wracała do ojca w sprawie przestępcy, Wiaczesława Jakowlewa, znanego jako Japończyk. Główny współpracownik Jakowlewa siedział naprzeciwko niej w przedziale. Paweł był nienagannym towarzyszem podróży. Doszła do wniosku, że ma około czterdziestu pięciu lat, jest przystojny, a jego zachowanie, zachodnie w stylu, nie budzi najmniejszych zastrzeżeń. Zaczesał włosy w kolorze piasku prosto do tyłu i, z wyrazistymi rysami i błękitnymi oczyma, z pewnością nie wyglądał na gangstera.

Oksana podniosła głowę, wyczuwając, że ktoś przygląda się jej przez otwarte drzwi

przedziału. Był to młody człowiek, który od czasu wyjazdu z moskiewskiego dworca próbował nawiązać z nią znajomość. Rozmawiała z nim niezobowiązująco na korytarzu, ale nie przyjęła zaproszenia do jego przedziału na lampkę koniaku. Misza, ochroniarz Pawła o kamiennej twarzy, w czarnym płaszczu do kostek, pojawił się obok młodego człowieka i odepchnął go na bok.

W czasie, gdy Oksana rozmyślała nad wypadkami, które poprzedziły długą podróż przez Syberię, Wiaczesław Jakowlew niecierpliwie czekał na wieści o staraniach mających na celu wyciągnięcie go z łagru. Zasobny *obszak** umożliwił mu kupienie luksusów w obozie pracy, lecz znaczenie Japończyka na wolności malało. Odsiedział dopiero dziewięć z piętnastu zasądzonych lat. Nie mógł dłużej czekać i narażać się na całkowitą utratę władzy.

* Bank złodziejski [przyj. red.].

Gdy pociąg zbliżał się do Irkucka, w oddali zaczęły rysować się ostre sylwetki wieżyczek wartowniczych obozów pracy. Paweł, Misza i Oksana przeszli do wagonu restauracyjnego na śniadanie.

Paweł usiadł obok Oksany i jeszcze raz powtórzył, co ma powiedzieć Japończykowi. Paweł był niezwykle drobiazgowy w interesach.

- Po pierwsze, zadanie w Nowym Jorku zostało wykonane. Po drugie, przekażesz mu szczegóły przygotowań do jego zwolnienia. Powiesz mu też, że Zekki Dekka w Nowym Jorku ma gotowy plan, a wtedy Japończyk da ci informacje dla mnie.

- Wiem - odparła Oksana. - Już to przerabialiśmy.

- Po prostu chciałem być pewny. Być może nawet ty nie będziesz mogła odwiedzić go drugi raz.

Dochodziło południe, gdy pociąg wjechał na dworzec w Irkucku. Chociaż słońce świeciło jasno, na peronie zalegała warstwa mokrego, topniejącego śniegu, który spadł poprzedniej nocy. Przed nimi wznosił się stary, podniszczony dworzec z cegły i betonu; wzniesiono go ponad sto lat wcześniej i wyglądał jak katedra.

Na peronie było niewiele osób. Oksana rozejrzała się, zarzucając płaszcz na ramiona. Paweł zatrzymał wzrok na niskim, barczystym mężczyźnie, który ruszył ku nim zważnym krokiem.

Oksana pobiegła, nie zważając na łąty topniejącego śniegu. W następnej chwili przytuliła się do mężczyzny, a on podniósł ją w radosnym uścisku.

Obejmując się, podeszli do towarzyszy podróży Oksany. Paweł był przynajmniej o głowę wyższy od Martinowa, ale cechowało ich uderzające podobieństwo. Misza, w grubym czarnym płaszczu zapiętym szczelnie pod szyję, zachowywał milczenie.

- Tatusiu - powiedziała Oksana - to mój przyjaciel, Paweł.

Martinow wyciągnął szorstką szeroką dłoń.

- Miło cię poznać. Mów mi Nikołaj.
- Twoja córka mówiła mi o tobie same dobre rzeczy. Jestem jej prawdziwym przyjacielem, chociaż nie najbliższym.
- Aha. - Martinow zerknął na Miszę. - A kim jest ten dzygit? Misza bez słowa czujnie obserwował partyjnego notabla.
- To mój sekretarz - odparł Paweł bez mrugnienia okiem. - Jest doskonały w pisaniu.
- Poważnie? - zapytał Martinow z chrapliwym chichotem. Nie miał wątpliwości, że patrzy na specja od mokrej roboty.
- Tak. Wyjątkowo dobrze pisze obiema rękoma.
- I z każdej pozycji?
- Oczywiście.
- Rozumiem. A kim ty właściwie jesteś?
- Biznesmenem, jak bez wątpienia wyjaśniła wcześniej Oksana.
- Tak - przyjął do wiadomości Nikołaj. - Cóż, a ja oczywiście jestem politykiem zajmującym się jedynie interesami państwa.
- Rozumiem. Przyjechałem, aby przedyskutować pewne interesujące dla nas obu sprawy, jeżeli nie masz nic przeciwko.

Nikołaj odwrócił się do grupki swoich ludzi, którzy stali pod dachem dworca. Wskazał im bagaż wynoszony z pociągu i wszyscy ruszyli pomóc Miszy.

Żołnierze i więźniowie zwolnieni z pobliskich łagrów czekali w kolejce przy małym okienku kasy. Przed stacją stała półciężarówka, dwa wozy terenowe i nowy amerykański Cadillac. Z rozległych badań na temat Nikołaja Martinowa Paweł wiedział, że Cadillac jest dosłownie czołgiem - został wzmocniony pancierzem w fabryce w Zapożu. Martinow otworzył drzwi przed Oksaną i gestem zaprosił Pawła i Miszę do środka. Sam zajął miejsce obok Oksany z tyłu. Misza przysiadł na środkowym siedzeniu ze starym zausznikiem Nikołaja imieniem Tuwa.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Oksana.
- Do naszej wiejskiej posiadłości. Kazałem zanieść twoje rzeczy do twojego ulubionego pokoju na piętrze.

Dotarcie na przedmieścia Irkucka, wielkiego miasta założonego w drugiej połowie szesnastego wieku przez Kozaków, zabrało konwojowi prawie godzinę.

W przeszłości okolica słynęła z obfitości ryb, dzikiego ptactwa i zwierząt futerkowych. Były to również tereny złotodajne. Za czasów carskich miasto chlubiło się licznymi domami handlowymi, restauracjami i sklepami należącymi do Rosjan, Chińczyków i Anglików. W tamtych latach mieszkańcy Irkucka oburzali się, gdy na straganach

wystawiano mniej niż piętnaście gatunków ryb. Komunistyczna gospodarka położyła kres zamożności miasta, a wielkie zakłady papiernicze zatrąły ryby w okolicznych rzekach. Miasto stało się ponure, wyludnione i głodne. Wyróżniało się głównie jako stolica regionu obozów pracy, w których tysiące obywateli radzieckich zaharowywało się na śmierć w surowym klimacie.

Trzy godziny po odjeździe spod dworca przybyli do bramy posiadłości Martinowa nad jeziorem Bajkał. Kierowca wcisnął guzik zdalnego sterowania na tablicy rozdzielczej i brama rozsunęła się gładko, a potem automatycznie zamknęła za pojazdami.

Paweł podążył za swoim gospodarzem i Oksaną do wspianego holu. Z wysokości pięciu metrów zwisały się żyrandole z brązu i kryształu. Na lśniącem parkiecie leżały skóry kilku polarnych niedźwiedzi. Na ścianach wisiały pejzaże i portrety w złotych ramach, razem z ozdobnymi mongolskimi i chińskimi mieczami, tarczami i hełmami.

W kątach pomieszczenia stały ciężkie antyki z palisandru. Dwa ciągi szerokich schodów łączyły się na wysokości piętra. Żaden zachodni hotel nie mógłby być urządzony z większym przepychem.

Paweł kręcił głową, chłonąc wzrokiem to bogactwo. - Tak, przyjacielu, lubię piękne rzeczy - rzekł ze śmiechem Martinow.

Gdy Oksana skierowała się do wysłanych grubym chodnikiem schodów, Paweł i Misza poszli za swoim gospodarzem. Martinow otworzył dwuskrzydłowe drzwi i wyprowadził ich na dziedziniec za domem. Ruszyli ścieżką wśród wielkich cedrów, skręcili w las i zobaczyli wielką, podobną do stajni budowlę otoczoną mocnym, wysokim na trzy metry ogrodzeniem z żelaznych prętów.

- To miłe miejsce, spokojne i cicho - powiedział Martinow. - Łatwo tu pracować. Nikt mi nie przeszkadza, gdy jestem w swoim gabinecie. Wkrótce zobaczycie, dlaczego.

Zbliżyli się do drewnianego, długiego budynku. Kierowca Martinowa, który szedł przed nimi, odsunął rygiel dwuskrzydłowych wrót i otworzył je. Wewnątrz znajdowała się żelazna krata, a na prawo od nich, w połowie długości stajni, wznosiło się drewniane przepierzenie. Zza kraty dochodził dziwny zwierzęcy zapach. Martinow podszedł do klatki, złapał żelazny pręt i uderzył nim w kratę. W klatce natychmiast rozległ się ryk i w prostokącie wpadającego drzwiami światła pojawiła się wielka pręgowana bestia.

- Lubicie koty? - zapytał ze śmiechem Martinow. - To tygrys syberyjski. Przy nim jego indyjskie krewniaki wyglądają jak karły.

Paweł i Misza, oniemiałszy ze zdumienia, wlepiali oczy w zwierzę, które znów ryknęło potężnie. Dosłownie poczuli, jak zawirowało powietrze.

- Straciłem trzech ludzi podczas chwytania tego kota - kontynuował Martinow. -

No, chodźmy do gabinetu. Zapewniam was, że nikt nam nie przeszkodzi, gdy przejdziemy do interesów.

Poprowadził ich do drzwi w ścianie, która dzieliła stodołę. Po drugiej stronie znajdowało się pomieszczenie zajmujące połowę całego wnętrza, z przeszkloną ścianą wychodzącą na polanę i drzewa na brzegu jeziora. Na trzech pozostałych ścianach wisiały półki z książkami i trofea myśliwskie. Drewnianą podłogę pokrywały zwierzęce skóry. Na środku gabinetu stało wielkie drewniane biurko zwrócone w stronę ogromnego okna.

- Napijemy się? Wódka czy koniak? Może koniak. - Martinow odwrócił się do stojącego przy drzwiach Mongoła. - Tuwa, napijemy się koniaku. Zadbaj, żeby nam nie przeszkadzano.

Po dopiciu pierwszej kolejki Martinow nalał drugi raz, a potem wskazał na okno. Syberyjski tygrys podkraść się do szyby i przyglądał się im ciekawie.

- Teraz możemy porozmawiać o powodach, jakie skłoniły moją córkę do złożenia wizyty swojemu staremu ojcu. Jestem pewien, że i wy naraziliście się na trudy podróży nie tylko po to, by ujrzeć nasze Święte Morze. - Skinął w stronę Bajkału.

- Oksana doszła do przekonania, że będziesz mógł się zrewanżować za przysługę, jaką wraz z Miszą jej oddaliśmy. Zawdzięcza nam uratowanie kariery i reputacji.

Martinow przeszył Pawła stalowym spojrzeniem.

- A co ty możesz wiedzieć o jej reputacji?

- Kiedy była, hmm... w opresji, pomogłem jej ją zachować.

- Co się przydarzyło Oksanie?

- Miała kłopoty z KGB.

- Moja Oksana? Dlaczego do mnie nie zadzwoniła?

- Dlaczego jej nie zapytasz? Miała zatarg z raczej prostackimi agentami. Z najgorszymi mętami. My ją wyciągnęliśmy. - Paweł dał Martinowowi chwilę na przyswojenie tych informacji, po czym dodał: - Jestem pewien, że wiesz, dlaczego tu przyjechałem.

Martinow usadowił się za biurkiem i postawił przed sobą butelkę koniaku.

- Rozmawiałem z naczelnikiem obozu Tulun i przeprowadziłem dochodzenie w sprawie Japończyka.

Paweł usiadł niedbale w skórzanym fotelu przy biurku. Misza przycupnął czujnie na krześle naprzeciw biurka, rzucając niespokojne spojrzenia na tygrysa krążącego po drugiej stronie szklanej ściany.

Paweł zagrał pierwszą kartą.

- Wiesz, ty i Japończyk macie coś wspólnego.

- Tak?- zapytał zdziwiony Martinow.

- Tak. Obaj doszliście do władzy dzięki dobrej woli towarzysza Breżniewa.
- Japończyk go znał?
- Jasne. Współpracował z generałem Czurbanowem z milicji, zięciem *genseka*.
- Chyba o tym słyszałem - przyznał niezobowiązująco Martinow. - Oczywiście tutaj, pięć stref czasowych na wschód, niewiele wiemy o tym, co się dzieje w Moskwie. - Znów nalał koniaku do trzech szklanek i wszyscy wypili za Japończyka.
- A teraz - podjął Martinow - Czurbanow jest za kratkami, a wy prosicie, żebym użył swoich wpływów w celu wcześniejszego zwolnienia Japończyka. Czy rozumiecie polityczne ryzyko, na jakie się narażam, stając w obronie tego gangstera?
- Robiłeś to już wcześniej - przypomniał Paweł. - Kilka razy, jak mi mówiono, kontaktowałeś się z tobą naczelnik obozu. Wstawał się za więźniem, który dobrze wszystkich opłacił i załatwił sobie zwolnienie. Obozy są dla was wielkim źródłem darmowej siły roboczej. W dodatku raz na jakiś czas pojawia się taki Japończyk i wtedy masz tak, jakbyś rozbił bank.
- Na nieszczęście ta sprawa jest dużo trudniejsza. Japończyk ma na wysokich stanowiskach nie tylko przyjaciół, ale i wrogów.
- Martinow wyrecytował liczne trudności związane ze zwolnieniem więźnia.
- Paweł wysłuchał litanii w milczeniu, a potem zmęczonym głosem rzekł: - Mogę zaproponować sto tysięcy dolarów.
- Martinow krzyknął niczym pchnięty nożem.
- Uważasz mnie za żebraka? Myślisz, że zaryzykuję wszystko, co mam, dla takich groszy?
- Wobec tego ile chcesz?
- Milion.
- Paweł wybuchnął śmiechem.
- Czemu nie dwa?
- Martinow uśmiechnął się protekcjonalnie.
- To byłoby miłe, ale jeden wystarczy... na początek.
- Dwieście tysięcy - zaoferował Paweł.
- Po dalszej debacie ustalono cenę na pięćset tysięcy. Martinow rozlał trzecią kolejną koniak i westchnął.
- I nie martwcie się. Wasz Japończyk do czasu zwolnienia będzie miał w Tulun jak u Pana Boga za piecem.
- Paweł z satysfakcją pokiwał głową i sięgnął do kieszeni po małą skórzaną sakiewkę. Odwrócił ją do góry dnem i znieruchomiał.
- Pamiętasz, jak zrobiłeś coś podobnego dla Breżniewa?

Zaskoczenie szybko zniknęło z twarzy Martinowa, gdy po biurku potoczyły się roziskrzony sześć-, ośmiokaratowe żółte diamenty.

- Na przypieczętowanie targu - powiedział Paweł. Martinow przez długą chwilę wpatrywał się w kamienie.

Oblizał usta, wychylił szklankę i pozbierał diamenty.

- Skąd wytrzasnąłeś takie śliczności? - wysapał.

- Są bardzo rzadkie - zgodził się Paweł ze śmiechem, podając sakiewkę gospodarzowi. - Pochodzą od właściwych ludzi na właściwych stanowiskach. I w ten sposób krążą.

Martinow przez chwilę pieścił kamienie, potem wrzucił je z powrotem do skórzanego woreczka i odwrócił się w stronę drzwi.

- Tuwa! Zabierz kota na kolację. Idziemy do *bani*.

Kiedy tygrys znalazł się z powrotem w klatce, Martinow wyprowadził Pawła z gabinetu i zabrał go do *bani*. Misza nie chciał skorzystać z parowej kąpieli. Pozostali trzeźwieli, pocąc się w parze i kąpiąc w naturalnej mineralnej sadzawce, nad którą zbudowano budynek *bani*.

Tej nocy salon był pełen służących, którzy z uszanowaniem krążyli wokół najwyżej postawionych współpracowników Martinowa, jego partyjnych kolegów oraz ich małżonek. Mężczyźni stawili się w czarnych garniturach, a kobiety w najlepszych sukniach. Stół z białym obrusem, srebrnymi lichtarzami i złotymi sztucami zastawiono iście po królewsku, ale w końcu Nikołaj Martinow faktycznie był królem tej części Syberii, w przybliżeniu równej terytorium Francji.

12.

Oksana z trudem opanowała drżenie rąk, gdy za drutem kolczastym i wieżyczkami pojawiły się mury wewnętrznego więzienia łagru Tulun. Misza, siedzący z przodu obok kierowcy Martinowa, odwrócił się, aby obdarzyć ją uśmiechem, który uważał za krzepiący. W rzeczywistości jego zarośnięta twarz skrzywiła się w raczej odpychającym grymasie. Machnął ręką w stronę ceglanej budowli stojącej zaraz na prawo od bramy.

- Wszystkie łagry są takie same. To krematorium.

Oksana zadrżała, patrząc na wiszący nad pojedynczym kominem całun szarego dymu.

Brama otworzyła się. Tuż za nią czekał major Karamuszew. Misza wyskoczył i otworzył drzwi przed Oksana. Dziewczyna wysiadła, rozglądając się niespokojnie.

- Odwiedziny córki pierwszego sekretarza obwodu są dla nas wyjątkowym, acz nieczęstym zaszczytem, towarzyszeko Martinowa. - Komendant więzienia spojrzął na zamszą torebkę, którą trzymała na ramieniu. - Sława Jakowlew niecierpliwie czeka na wasze odwiedziny.

Karamuszew skłonił się i poprowadził ją obok uzbrojonych w *Kałasznikowy* strażników, którzy stali przy podwójnych żelaznych drzwiach do administracyjnej sekcji budynku z kamienia i betonu.

Oksana zeszła szybko za oficerem po kamiennych schodach i wysoko podniosła głowę, gdy otworzył ostatni żelazny rygiel. Nagle znalazła się w nieoczekiwanie przyjemnie urządzonej pomieszczeniu, które dzięki skórcom zwierząt na ścianach i grubym futrom na gładkiej drewnianej podłodze przypominało jej gabinet ojca. Trzaskający w kominku ogień rzucał wesoły blask na otoczenie i na długi, niski stół z butelkami koniaku i win, kryształowymi kieliszkami i talerzami kanapek. To miejsce przypominało nie tyle więzienną celę, ile przytulny salonik komfortowej daczki.

Obok płonącego ognia przy końcu pokoju stał ze szklaneczką koniaku w ręce elegancki mężczyzna o lekko orientalnych rysach. Na jej widok jego, zazwyczaj nieodgadnione, oblicze rozjaśnił uprzejmy uśmiech. Mężczyzna był ubrany w świeżo wyprasowaną błękitną koszulę i czarne dżinsy. Na nogach miał futrzane pantofle.

Odstawił szklanekę i podszedł do niej. Pomógł jej zdjąć futro i powiesił je na moście haku obok drzwi.

- Więc ty jesteś Oksana - powiedział ciepło. - Jesteś taka piękna. Czekałem na twoją wizytę.

- Towarzyszu Jakowlew - wyciągnęła rękę. - Przynoszę wam pozdrowienia od waszych przyjaciół i mojego ojca, Nikołaja Martinowa.

Japończyk ujął jej dłoń i, skłaniając głowę, złożył na niej delikatny pocałunek.

- Proszę, mów mi Sława - powiedział ze śmiechem. - Nie jestem komunistą, nigdy nie byłem, a to towarzyszkowanie i tak niedługo odejdzie w przeszłość.

- Zgoda, Sława.

- Napijesz się po długiej podróży? Jestem pewien, że nasz przyjaciel... - skinął z uśmiechem na komendanta więzienia - przyłączy się do nas.

Karamuszew przyjął poczęstunek. Oksana potrząsnęła kruczymi lokami, co przyciągnęło uwagę obu mężczyzn. Gdy zdjęła buty, zobaczyli w całej okazałości jej doskonałą, młodzieńczą figurę. Piersi ponętnie wypychały stanik jej czarnej sukienki. Dopasowana spódniczka sięgająca do kolan podkreślała biodra, a jedwabne pończochy wysmuklały długie, podniecające nogi. Mężczyźni wstrzymali oddech.

Oksana uśmiechnęła się do Karamuszewa i wyjęła z torebki kwadratowe puderko z niebieskiego zamszu.

- Mój ojciec prosił, żeby to wam przekazać.

Major otworzył szkatułkę i wpił oczy w dwa skrzące się, błękitno-białe diamenty w kształcie pereł. Aż sapnął z przejęcia.

- Są piękne, moja droga. Będę ich strzegł jak oka w głowie i nigdy nie zapomnę szacunku, jaki okazał mi twój ojciec.

Oksana, zerkając znacząco na Karamuszewa, powiedziała do Japończyka: - Twoja żona Olga przesyła ci wyrazy miłości i życzenia wcześniejszego zwolnienia. - Prosząc o zezwolenie na odwiedziny więźnia Oksana stwierdziła, że jest przyjaciółką rodziny bez żadnych powiązań z działalnością Japończyka. Zwróciła się do Karamuszewa: - W moim samochodzie jest koszyk jedzenia i nieco specjalnego wina. Czy możecie sprawić, żeby go tu dostarczono?

- Oczywiście. - Karamuszew zacisnął w rękę aksamitne pudełeczko i wyszedł.

- Przesyłanie takiego подарunku komendantowi więzienia to hojny gest ze strony twojego ojca - powiedział Japończyk.

- Diamenty dostarczył Paweł. Kazał mi przekazać wiele rzeczy. Nie chciał pisać, więc nauczyłam się wszystkiego na pamięć.

Japończyk zajął się nalewaniem wina, a ona wyrecytowała:

- Paweł jest w Irkucku. Mówi, że tracisz władzę w organizacji w Nowym Jorku i w kraju.

Japończyk ponuro pokiwał głową.

- Konferuje z moim ojcem codziennie od tygodnia - podjęła Oksana. - Linie telefoniczne i fakсы między Irkuckiem i Moskwą są przeciążone od informacji w twojej sprawie. A teraz, w tej chwili, obaj aranżują zapłatę dla przyjaciół w Radzie Najwyższej.

Przed końcem wiosny prawdopodobnie będziesz z powrotem w Moskwie.

- Powiedz Pawłowi, że muszę wyjść jak najszybciej, bez względu na koszty.

- Paweł mówi, że robi, co może. Dodatkowy problem polega na tym, że w Moskwie pewien deputowany z Samarkandy próbuje przeforsować twoje przeniesienie do obozu w Uzbekistanie.

- Nie wolno do tego dopuścić - powiedział stanowczo Japończyk.

- I najważniejsze - kontynuowała Oksana - kazał ci powiedzieć, że zadanie w Nowym Jorku zostało wykonane, ale inni Gruzini próbują wejść w twoje interesy z Amerykanami. Pyta, czy ma kazać twoim ludziom wykonać więcej zadań.

- Ci Gruzini podlegają gangsterowi, który siedzi tutaj, w Tulun. Ostrzegałem Tofika, żeby nie pozwalał swoim ludziom wtrącać się w moje interesy. Powiedz Pawłowi, żeby robił wszystko, co uzna za konieczne. Możemy mieć kłopoty z adiutantem Tofika w Moskwie, niejakim Giwi, ale miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Nie szukam z nim wojny.

- Powtórzę mu, Sława.

- Coś więcej o moim zwolnieniu? - zapytał z ożywieniem.

- Ojciec rozmawiał przez telefon z deputowanym, dyrektorem generalnym Instytutu Chirurgii Oka, Swiatosławem Fiedorowem.

Japończyk z uznaniem pokiwał głową.

- On jest najbogatszym i najbardziej szanowanym lekarzem w Rosji.

- Tak, i słynie ze swojej międzynarodowej praktyki. Wystosował prośbę w twojej sprawie do Gorbaczowa.

Oksana przysunęła się bliżej.

- Ojciec napisał do swego przyjaciela, przewodniczącego Komisji Praw Obywatelskich w Radzie Najwyższej ZSRR, i osobiście rozmawiał z ministrem spraw wewnętrznych.

- Jesteś wspaniała, Oksano. - Japończyk ujął jej rękę.

- Po powrocie do Moskwy nadal będę przypominać się tym ludziom.

- A kiedy wieści dostarcza taka piękna i błyskotliwa kobieta, czyni je to sto razy wymowniejszymi.

- Paweł kazał przekazać, że poprzez swoje źródła dotarł do zastępcy przewodniczącego Sądu Najwyższego, Anatolija Mierkuszewa, który zobowiązał się ci pomóc. To Mierkuszew musi przedłożyć sądowi petycję o ułaskawienie. Paweł zasugerował też, żebym osobiście spotkała się z twoim starym przyjacielem, deputowanym ZSRR, tym śpiewakiem i aktorem, Jozefem Kobzonem. To takie ekscytujące.

- Jestem pewien, że on będzie równie poruszony twoim widokiem. - Japończyk mrugnął żartobliwie. - Znam dobrze Jozefa. Niczego w świecie nie uwielbia bardziej od pięknych kobiet.

- Paweł powiedział, że kiedy skończy płacić za wszystko, będziesz mógł wydrukować własne pieniądze, i że na szczęście Zekki Dekka czeka w Nowym Jorku na rozpoczęcie operacji.

Japończyk pochylił się ku niej i znów złapał ją za rękę. - Zekki Dekka musi natychmiast zorganizować przerzut maszyn i materiałów do Moskwy. Rozpoczniemy operację natychmiast po moim zwolnieniu. Przed końcem roku komunizm przekształci się w anarchię, zatem musimy być gotowi.

Japończyk odetchnął ciężko, podkreślając wagę przekazywanej informacji.

- Upewnij się, żeby Paweł dobrze zrozumiał znaczenie utrzymania kontaktów z naszymi handlowymi partnerami, zwłaszcza Koreą Północną i Irakiem. I nadal musimy eliminować konkurencję. No, dość interesów. Chciałbym usłyszeć trochę o tobie. Co robisz?

Oksana opisała mu pracę tłumaczki w hotelu „Rossija”. Opowiedziała, jak poznała Nadię i jak zostały przyjaciółkami.

W tym czasie wrócił major Karamuszew z koszykiem jedzenia. Chociaż Japończyka zainteresowała opowieść Oksany, był zbyt grzeczny, by nie zaproponować poczęstunku komendantowi. Karamuszew przyjął zaproszenie z wdzięcznością. Rozmowa zeszła na luźne tematy, takie jak długa podróż pociągiem do Irkucka.

Przy drugim kieliszku Karamuszew, niezdolny oderwać oczu od Oksany, raz jeszcze nawiązał do niezwykłego zainteresowania Moskwy losem Jakowlewa.

- Daj spokój, szefie - zadudnił serdecznie Japończyk. - Niedługo pójdziesz na emeryturę i będziesz wiódł życie bogatego człowieka.

- Poszedłbym już teraz, ale co wtedy stanie się z tobą? - Major rzucił więźniowi żartobliwe spojrzenie. - Mam nadzieję, że wkrótce znajdziesz jakiś sposób na wyrwanie nas obu z tego diabelskiego placu zabaw. - Karamuszew wypił ostatni łyk koniaku i zostawił ich samych.

- Możesz powrócić do swojej interesującej opowieści - poprosił Japończyk. - Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie wyjdzie ten szubrawiec, zawsze szukający kolejnego pretekstu do wydebienia łąpówki.

Oksana pokrótce opisała krótki romans z Norwegiem, po czym wdała się w szczegółową relację z psychicznego i fizycznego gwałtu zadanego jej przez trzech oficerów KGB. Japończyk z obrzydzeniem wysłuchał początku, a z rozkoszą zakończenia historii. - Paweł podał Oksanie nieco szczegółów dotyczących śmierci kanalii, żeby mogła mu je powtórzyć.

- Niedługo wszyscy ci państwowi gwałciciele, oprawcy i mordercy zapłacą drogę za swoje czyny.

Oksana pominęła milczeniem wyczyny, które przypisywano Japończykowi.

W milczeniu skosztowali przywiezionych przez Oksanę delikatesów, zapijając je francuskim winem z piwnic Nikołaja. Potem Japończyk popatrzył na nią pytająco.

- Powiedz mi, czy to nie dziwne, że ty, z takim pochodzeniem i wykształceniem, wchodzisz w skład organizacji uważanej przez państwo za nielegalną?

Oksana przez chwilę w zadumie sączyła wino. Odstawiła kieliszek.

- Nigdy nie zapomnę, co mi zrobili ci, jak ich nazwałeś, państwowi gwałciciele. Nie miałam do kogo się zwrócić, by uciec przed dalszym poniżaniem. Potem, po pożarze na Arbacie, doznałam czegoś, co mógłbyś nazwać objawieniem.

Japończyk ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Jedną z rzeczy, na których brak nie mogę narzekać, są książki. Chciałbym usłyszeć o twoim objawieniu.

- Sprawdza się do pojmowania dobra i zła. W życiu nie przypuszczałam, że państwo komunistyczne, poszanowania którego zostałam nauczona, może nie tylko nie współczuć mi z powodu tego, co zrobili pułkownik i dwaj młodzi oficerowie KGB, ale będzie chciało mnie ukarać przez wyrzucenie z instytutu.

Potrząsnęła głową jakby w niedowierzaniu.

- Próbowалам się zabić. Nadia, prostytutka, i twój kolega Paweł, uratowali przed systemem naiwną dziewczynę, jaką niegdyś byłam. Nie żałuję układu, w jaki weszłam z Pawłem.

- Postąpiłaś właściwie. Ci trzej zrujnowaliby ci życie. Jak pisał Dostojewski: „Niegdyś dopuścił się wobec mnie okropnej niesprawiedliwości i od tej pory już nigdy mi nie wybaczył”. Oni nigdy nie zapomnieliby tego, co ci zrobili, a wina i strach fermentowałyby w ich głowach dopóty, dopóki by cię nie zabili.

Japończyk czekał cierpliwie na jej dalsze słowa. Oksana pociągnęła łyk wina. W swoim nieprawdopodobnym powierniku, mimo jego wątpliwej reputacji, znajdowała coś, co podnosiło ją na duchu. Doszła do wniosku, że rozmowa z nim sprawia jej przyjemność.

- Zaczynam rozumieć, że nie ma czystego dobra i zła - podjęła. - Większość ludzi odróżnia jedno od drugiego opierając się na religii, ale ja nie zostałam wychowana w takim duchu, choć matka nauczyła mnie szanować Boga. W tym czasie ojciec, zagorzały komunista i ateista, kazał burzyć cerkwie. Człowiek może osądzać dobro i zło tylko po tym, co go osobiście spotkało.

- Masz rację, Oksano - przyznał Japończyk. - Moralność, jak wszystko inne, jest subiektywna.

Odetchnął głęboko, znów sięgnął po rękę Oksany i zamknął ją w swoich dłoniach. Skierował na dziewczynę pełne wyrazu brązowe oczy.

- Twoje wyznanie sprawia, że wierzę ci bez zastrzeżeń, Oksano. - Puścił jej rękę i wstał. Przespacerował się po celi, nalał sobie koniaku i wina Oksanie.

- Odcięcie od świata stawia mnie w niekorzystnym położeniu. Cieszę się, że przynajmniej Burlakowi powiodło się w Nowym Jorku. Myślę, że Tofik też już o tym wie. Co jeszcze?

- Paweł myśli, że niektórzy Gruzini Tofika z bandy Giwiego nadal próbują ruszyć z operacją w Moskwie. Chcesz, żeby Burlak zrobił coś więcej?

- Nic, absolutnie - powiedział z nagłym podnieceniem Japończyk. - Paweł musi przystopować Burlaka w Moskwie. Nie chcemy wojny. - Zamilkł na dłuższą chwilę. Potem na jego twarzy zajaśniał leniwy uśmiech. - Powiedz Pawłowi, żeby spróbował umieścić kogoś w organizacji Giwiego. Najlepszy byłby Misza, jest Gruzinem jak oni. I że Wiktor musi doprowadzić przynajmniej do chwilowego pokoju z Giwim.

W Oksanie wezbrała naturalna ciekawość.

- Kim jest Wiktor? Biznesmenem jak ty?

- Wiktor Kalina jest moim nieślubnym synem. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Stara się być biznesmenem, ale jest młody i popełnia błędy. Dał się przyłapać na handlu narkotykami i miał szczęście, że dostał tylko trzy lata, dzięki moim kontaktom w milicji.

- I po wyjściu wrócił z powrotem do interesów?

Japończyk z westchnieniem pokiwał głową.

- Dobrze, że niedługo wyjdę, bo Wiktor próbuje doprowadzić do otwartej konfrontacji z Giwim i Tofikiem, a jeszcze nie jest na to gotowy.

- Jesteś naprawdę z niego dumny - zauważyła Oksana. - Widziałeś go od czasu osadzenia w obozie?

- Pozwolono mu odwiedzić mnie w Tulun dwa razy, zanim generał Jurij Czurbanow, zięć Breżniewa, sam nie znalazł się za kratkami.

Rozmawiali jeszcze przez godzinę, a potem przyszedł major Karamuszew, żeby odprowadzić Oksanę do samochodu.

- Przykro mi, że nie możemy przedłużyć tych odwiedzin, może na całą noc. - Oksana zignorowała jego poufały uśmiezek. - Ale jak powiedziałem, z Moskwy bez przerwy napływają pytania o mojego przyjaciela, Wiaczesława Jakowlewa.

- Próbujemy zająć się tymi rzeczami, majorze Karamuszew - powiedziała Oksana. - Mój ojciec pyta, czy możemy coś dla was zrobić?

- Proszę mu powtórzyć, że gdy dostrzegę nadciągające kłopoty, natychmiast dam mu znać - odparł komendant.

Odwrociła się do Japończyka.

- *Do swidanja*, Sława. Może następnym razem spotkamy się już w Moskwie.

Japończyk podszedł z nią do żelaznych drzwi. Podniósł jej rękę do ust. Impulsywnie pocałowała go w policzek.

- Przekażę Oldze wyrazy miłości. - Potem szybko wyszła za Karamuszewem na korytarz.

Japończyk słuchał, dopóki nie ścichł stukot jej wysokich obcasów na betonowej posadzce. Wrócił przed kominek, nalał sobie koniaku i zaczął rozmyślać o Oldze.

Spotkali się całkiem przypadkowo w 1978 roku, prawie cztery lata przed jego ześłaniem do obozu. Zawsze przestrzegał gangsterskiego prawa zakazującego małżeństwa - do chwili, w której ją zobaczył. Była dla niego dobrą i wierną żoną. Na szczęście zawsze była zajęta i cieszyło ją aktywne życie wśród moskiewskich biznesmenów i śmietanki towarzyskiej. Jego szczodre prezenty pieniężne - i argumenty siłowe, gdy trzeba było - wyrobiły Oldze Jakowlewej prestiż i poważanie wśród znajomych i współpracowników.

Poznali się dzięki Jozefowi Kobzonowi. Słynny śpiewak zadzwonił do Japończyka i ze zwykłą sobie arogancją zaprosił go na spotkanie. Traktował gangsterów z takim tupetem, że każdy mógł myśleć, iż to oni są jego dłużnikami, a nie odwrotnie. Gangsterzy, zastraszając właścicieli teatrów i producentów filmowych, zmusili ich do wykreowania Jozefa Dawida Kobzona na gwiazdę.

- Spotkamy się w Domu Kina za pół godziny - oznajmił Kobzon.

Dom Kina, usytuowany niedaleko Dworca Białoruskiego, blisko ulicy Gorkiego, w centrum Moskwy, to wielka, przysadzista, dwupiętrowa budowla z mieszczącą się poniżej poziomu ulicy restauracją, paroma zacisznymi barami i salą wystawową.

Japończyk spotkał się z Kobzonem w restauracji przy małym stoliku w rogu. Szybko omówili nielegalne interesy, Japończyk obiecał wywiązać się ze swojej części umowy, i Kobzon odszedł. Tego dnia był najbardziej oczekiwanym artystą na koncertach i rządowych przyjęciach. Japończyk został jeszcze chwilę, żeby dokończyć drinka. Potem wstąpił do holu i miał właśnie zamiar wejść do kina, w którym wyświetlano ostatni film Felliniego, gdy zobaczył Olgę. Stała w korytarzu słabo oświetlonym przez czerwone lampki i poprawiała fryzurę przed lustrem.

Oczarowała go jej pełna wdzięku figura, krótkie blond włosy i szczupła twarz z szarymi oczyma i drobnymi, a jednak obiecującymi ustami. Miała na sobie szytą na zamówienie garsonkę z brązowego zamszu; spódnica była dopasowana, sięgała przed kolana, szare rajstopy i wysokie obcasy sprawiały, że jej sylwetka wydawała się jeszcze bardziej proporcjonalna i smukła. Wyczuła, że na nią patrzy, i odwróciła głowę. Japończyk przyglądał się jej. Na jej twarzy odbiła się irytacja.

Nagle odwróciła się i ruszyła w dół schodów. Zastanowił się chwilę i podążył za nią; pożądanie paliło mu mózg i czuł, jak serce tłucze mu się w piersiach. Na dole

ściany były wyłożone płytami szarego marmuru, a światło przyćmione przez brązowe klosze. Zobaczył kolejny bar i kilka szaf, w których goście mogli wieszać okrycia. Zalany zielonym blaskiem bar świecił pustkami, nie było nawet barmana. Jego oczy padły na drzwi toalet.

Wspomniał incydent sprzed lat, gdy celował z pistoletu do starego uzbeckiego bandziora. Wówczas miał dość odwagi, by pociągnąć za spust. Co się z nim dzieje teraz? Z tą myślą otworzył drzwi damskiej toalety i wszedł do środka. Nieznajoma stała przed wielkim ściennym lustrem, w pobliżu umywalki. Nawet nie mrugnęła okiem, gdy zobaczyła jego odbicie.

Twarz Japończyka była poważna, nawet ponura. Zbliżył się do niej powoli, bez żadnych spiesznych ruchów. Ona odwróciła się, jej szczupłe pośladki wsparły się na umywalce. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem Japończyk opuścił głowę. Jej długie smukłe nogi w szarych jedwabnych pończochach mocno zapierały się o kafelki. Wsunął rękę pod rąbek jej spódnicy i sięgnął wyżej, pod jedwab i elastik po wewnętrznej stronie ud. Ona odepchnęła jego dłoń i trzasnęła go w twarz tak mocno, że mało brakowało, a runąłby na posadzkę.

Stała przed nim bez słowa, z twarzą pozbawioną wyrazu, i spokojnie mierzyła go wzrokiem. W następnej chwili on oddał policzek; strumień krwi popłynął jej z nosa. Sapnęła, ale poza tym jej reakcja ograniczyła się do zamknięcia oczu. Japończyk znów wsunął delikatnie rękę między jej uda, zmiął spódnice i szarpnął ją w górę. Kobieta złapała go za ramię długimi, starannie wypielęgnowanymi palcami, gdy jego dłoń już sięgała w jej jedwabne majtki. Niewiarygodne: opuściła ręce, rozpięła mu pasek i spodnie. Teraz nie było odwrotu, ani dla niej, ani dla niego, gdy przesunęła się lekko.

Pół godziny później siedzieli razem w barze, zgrzani, lekko zażenowani, ale nie żałujący swego postępcu.

- Jak ci na imię? - zapytała, wyjmując papierosa.

- Ja... - zająknął się. - Eee... Sława.

- Ja jestem Olga.

Tydzień później, łamiąc złodziejskie prawo, Wiaczesław wziął ślub z Olgą. Ona, parę lat młodsza, różniła się od niego pod każdym względem. Była o głowę wyższa, szczupła, prawie chuda. Zawsze nosiła krótkie włosy.

Jako jeden z dyrektorów hotelu „Rossija” była kobietą zamożną, o szerokich koneksjach. Doskonale wiedziała, kim jest Japończyk i na czym polegają jego „interesy”. Mimo wszystko wyszła za niego.

Japończyk wznosił szklanekę.

13.

Borys Burienczuk, awansowany do stopnia majora w jednostce specjalnej wydziału kryminalnego tuż przed pięściarskim tournée po Ameryce, po powrocie zespołu na Pietrowkę otrzymał własne biuro. Jego okna wychodziły na wewnętrzny dziedziniec komendy. Poskręcane korzenie olbrzymich lip pokryły nierówny asfalt siecią spękań. Kilku milicyjnych kierowców stało przy swoich samochodach, w czapkach z czerwonymi otokami zsuniętych na tył głowy, z pękami kluczy na łańcuszkach u skórzanych pasów obok skórzanych brązowych kabur. Tego jesiennego dnia pod koniec października w Moskwie zrobiło się zimno, więc milicjanci założyli płaszcze.

Borys czekał całe popołudnie na wezwanie do gabinetu pułkownika Władimira Nieczajewa, szefa detektywów brygady kryminalnej. Drzwi były uchylone i z wąskiego, dobrze oświetlonego korytarza wpadał pomruk głosów. Inspektorzy przechodzili z jednego biura do drugiego, za nimi dryfowały smugi papierosowego dymu.

W przeciwieństwie do innych oficerów, którzy rozpinali kołnierzyki i rozluźniali krawaty, Borys był ubrany bez zarzutu. Szary blezer zarzucony na oparcie krzesła stanowił jedyne ustępstwo na rzecz stęchłej atmosfery biura. Pod lewą pachą miał pustą kaburę. Pistolet *Makarowa* spoczywał zamknięty w sejfie.

Na biurku, otoczona stosami papierów, stała maszyna do pisania. Z wałka zwisał gęsto zadrukowany arkusz. Była to ostatnia strona raportu dotyczącego potrójnego morderstwa dokonanego na osobach agentów KGB. Jednostka Burienczuka prowadziła nietatwą współpracę z KGB w próbie rozwiązania sprawy. „Masakra na Arbacie”, według określenia prasowego, wydarzyła się pod koniec lata i teraz, prawie dwa miesiące później, niczego konkretnego nie osiągnięto.

W próbie wykazania, że wart jest niedawnego awansu, Borys skatalogował wszystkie dostępne sobie fakty. Nieznani sprawcy zabili i następnie spalili trzech oficerów KGB: pułkownika i dwóch poruczników, na ich własnym terenie, w lokalu kontaktowym na Arbacie, w samym środku Moskwy.

Przestudiował wszystkie szczegóły i przesłuchał okolicznych mieszkańców. Tuziny ludzi słyszały wybuch, ale nikt nie zameldował o podejrzanych czy niezwykłych okolicznościach. Stali informatorzy milicji okazywali jedynie zdumienie i zakłopotanie. Przestępcy byli profesjonalistami. Jaki miał być cel wyzwania, rzuconego tak otwarcie KGB?

Zgodnie z protokołem, KGB dopiero po dwóch tygodniach po wybuchu powiadomiło milicję, że brakuje im trzech oficerów. Minęły dwa kolejne tygodnie, nim przekazano dane stomatologiczne trzech zaginionych agentów i porównano z zębami - bardziej odpornymi na wysoką temperaturę niż metal - które starannie zebrano z miejsca zbrodni. Wreszcie dokonano pozytywnej identyfikacji. Eksperci od zbierania dowodów w swoim raporcie wyszczególnili również poczerńiałe kawałki butelek i szklanek, co sugerowało nierzadką w tym środowisku libację. Pułkownik Nieczajew rozkazał swoim ludziom zgłębić przeszłość ofiar, ale KGB udzieliło oszczędnych informacji. Poza tym Borysowi i innym inspektorom milicji odmówiono wglądu w taśmy, które mogły zostać nagrane na miejscu przestępstwa, zanim ogień zniszczył pluskwy.

Tymczasem miejski prokurator stale dopominał się o wyniki dochodzenia, co jeszcze bardziej pogarszało napięte stosunki z KGB.

Borys Burienczuk, lubiący usuwać się w cień i działać dyplomatycznie, był Ukraińcem, absolwentem uniwersytetu w Kijowie.

Pochodzenie sprawiło, że w moskiewskiej milicji nie został powitany z otwartymi ramionami; zawsze musiał zdobywać się na uprzejmość i usłużność w stosunku do kolegów i przełożonych.

Kierowany przecuciem generał Aleksy Bodajew, szef brygady kryminalnej, z dnia na dzień awansował Burienczuka na majora i przydzielił mu sprawę „masakry na Arbacie”.

Wezwano go w końcu o szóstej wieczorem. Borys pokonał długi korytarz na drugim piętrze i wszedł do gabinetu pułkownika Nieczajewa. Był podniecony perspektywą spotkania ze Lisem, jak nazywali pułkownika milicjanci i przestępcy, i oficjalnym przekazaniem wszystkich aspektów sprawy na Arbacie.

W biurze Nieczajewa czekał wysoki, chudy major Jurij Ugenow w swoim firmowym marmurkowym komplecie z džinsu. Nad lewą kieszenią na piersi widniała miniaturka amerykańskiej flagi, którą dostał po meczu bokserskim. Specjalizował się w ulicznych przestępstwach jako oficer chodzący po cywilnemu. Przezywany Jankesem, wyglądał jak Brudny Harry i podobnie jak on nosił wielki pistolet.

Nieczajew nalał hojnie wódki do szklanek stojących przed każdym oficerem.

- Cóż, chłopcy - zaczął kwaśno - może zrobić się niewesoło, gdy ci wojownicy „niewidzialnej granicy” wpakują cholerne paluchy w nasze dochodzenie.

Starsi oficerowie wychylili szklanki do dna. Borys stanowił wyjątek - popijał grzecznie po troszku. Obecnie koledzy z milicji odnosili się do jego wstrzemięźliwości z wyrozumiałością. Ostatecznie był Ukraińcem, więc tym samym osobnikiem nieodgadnionym i tajemniczym.

Nieczajew nalał po jeszcze jednej szklance.

- Muszę wam powiedzieć, że odniosłem nieodparte wrażenie, iż te dziwaczne zabójstwa zostały popełnione w wyjątkowych okolicznościach. Gdyby Jakowlew nie siedział w Tulun, miałbym go tutaj na ciężkim przesłuchaniu. Ta robota nosi jego znak firmowy.

- Czy odwiedził go ktoś, komu mógłby udzielić instrukcji? - zapytał Borys.

- Nie ma zezwolenia na kontaktowanie się ze starymi kumplami. Jak zrozumiałem, żona czy też jej przyjaciółka odwiedziła go w zeszłym tygodniu, ale było to długo po zabójstwach na Arbacie.

Nieczajew po chwili milczenia dodał:

- Miejmy nadzieję, że Japończyk odsiedzi pełny wyrok, jeszcze pięć lat. - Do Borysa powiedział: - Majorze Burienczuk, przekazuję wam tę groteskową sprawę wraz z ostatnią radą. To nie jest zwyczajne morderstwo. Nikt, nawet szaleniec, nie rzuca się na KGB, o ile nie ma dostatecznie dobrych powodów i odpowiedniego zaplecza.

- Tak jest - zgodził się Borys.

- Powiem wam, że masakra na Arbacie jest jak *matrioszka*. Widzimy tylko zewnętrzną powłokę, pod którą może się kryć wiele następnych. Wiem, że KGB będzie zaważać w dochodzeniu, ale przedrzyjcie się przez tę skorupę i znajdźcie coś interesującego.

- Dokładnie sprawdzę przeszłość ofiar - powiedział Borys. - Zacznę od ponownego przesłuchania studentów z grupy Igora Warankowa z Instytutu Języków Obcych i najwyższej za dwa-trzy dni złożę wam raport.

- I jeszcze jedno. - Nieczajew wpatrywał się w pustą szklankę po wódce. - Nie sądzę, by ta sprawa wiązała się z morderstwem na Arbacie, więc nie wspominałem o niej wcześniej, ale równie dobrze może to być jeszcze jedna *matrioszka* z kompletu. Nasz kolega, Peter Nikhilov, powiedział nam w czasie pobytu w Nowym Jorku, że zabójstwo deputowanego Gardenadze było powiązane ze śmiercią dwóch Gruzinów, którzy zostali zastrzeleni w Brighton Beach dwa miesiące wcześniej. W obu przypadkach Peter widział podejrzanych zabójców, Czeczeńców, w towarzystwie tego samego człowieka, niejakiego Zekkiego Dekki, którego, jak sądzi Peter, łączy coś z naszym drogim Japończykiem.

Nieczajew z krzywym uśmiechem rozlał resztę zawartości butelki.

- Te sprawy mogą być w pewien sposób powiązane. Morderstwa w Nowym Jorku mogą oznaczać początek wojny na naszych ulicach.

Następnego dnia Borys Burienczuk wezwał ośmioro studentów z grupy nieżyjącego oficera KGB do jednego z najmniej odpychających pokoi przesłuchań w komendzie na

Pietrowce. Żaden ze studentów nie zameldował o niczym dziwnym, co mogłoby mieć miejsce w dzień poprzedzający zniknięcie Igora. Dwaj chłopcy powiedzieli, że gdy widzieli go po raz ostatni, wyglądał na zadowolonego.

- Z jakiego powodu? - zapytał Borys.

Studenci wzruszyli ramionami.

- Koniec lata, śliczne dziewczyny - odparli. - Instytut słynie z dobrych lasek.

Przez całe przesłuchanie Borys wyczuwał wahanie, z jakim podchodzili do rozmowy na temat pewnych aspektów życia Igora. Potem, kiedy dał do zrozumienia, że milicja doskonale wie, iż Igor był porucznikiem KGB, pokiwali głowami.

Ostatni świadek, Oksana Martinowa, zainteresowała Borysa najbardziej. Była ubrana z wyrafinowanym smakiem, czarny kaszmirowy sweter podkreślał jej zgrabną figurę. Spodobała mu się, nie mógł nic na to poradzić - Oksana była atrakcyjną kobietą. Uderzył go niezdefiniowany wyraz bólu, jaki dostrzegł w jej brązowych oczach.

Oksana poczekała na zaproszenie, a potem usiadła w nieświadomie prowokujący sposób, nonszalancko odsuwając krzesło od stojącego między nimi stołu. Borys zerknął na jej długie, skrzyżowane nogi w nylonowych pończochach i szybko odwrócił wzrok. Oksana była pewna siebie, prawie wyniosła.

- Mogę zapalić? - zapytała.

Borys skinął. Dziewczyna wyjęła z kieszeni paczkę i wielką srebrną zapalniczkę, zaproponowała mu papierosa, ale on odmówił. Zapalniczka okazała się dosłownie miotaczem ognia. Musiała należeć do mężczyzny, pomyślał, prawdopodobnie takiego, który dużo czasu spędza na otwartej przestrzeni. Borys przybrał zmęczony i roztargniony wyraz twarzy. Naśladował Nieczajewa, bo jego zachowanie okazywało się niezwykle skuteczne w prowokowaniu świadków do czynienia mimowolnych uwag.

Zeznanie Oksany było krótsze, niż pozostałych, jej odpowiedzi szybkie i precyzyjne.

- Więc... Jak mówicie, nie znaliście go dobrze?

- To prawda.

- Ale studiowaliście razem przez parę lat. Dlaczego nie zostaliście przyjaciółmi?

- Przynależność do tej samej grupy niekoniecznie musi być równoznaczna z przyjaźnią, nie mówiąc o czymś więcej.

- Wiecie, że on był porucznikiem KGB?

- Nie, nie mam najmniejszego pojęcia.

Borys zwrócił uwagę, że tylko ona z grupy wyparła się wiedzy o dodatkowym zajęciu Igora.

- Czy uderzyło was coś szczególnego, gdy dowiedzieliście się o jego śmierci?

Oksana pokręciła głową.

- Żadne dziwne szczegóły nie przychodzą wam na myśl?

- Żadne - odparła stanowczo.

- Został zabity razem ze swoim zwierzchnikiem, porucznikiem Maratem Ogurcowem. Znałyście go?

- Tak, był instruktorem KGB w instytucie. Mówił nam mnóstwo bzdur o cudzoziemcach i uczył, jak kraść i szpiegować.

- Nie lubiliście go?

- Pokażcie mi kogoś, kto go lubił. Był odrażającą kreaturą.

- Miał wrogów?

- Prawdopodobnie. Wszyscy albo pomagają KGB, albo trzymają się od nich jak najdalej.

- Co wy wolicie?

- Trzymać się z daleka. Zawsze z tego powodu dochodziło do konfliktów między mną a porucznikiem Maratem Ogurcowem.

- Na przykład?

- Nachodził mnie i prosił, żebym przetrząsnęła bagaż pewnego cudzoziemca.

- I jak zareagowaliście?

- Powiedziałam mu, że to on jest tajnym agentem. Że może sam to zrobić. Moja praca polega na tłumaczeniu, nie na szperaniu w cudzych rzeczach.

Borys roześmiał się. Zaczynał lubić tę dziewczynę. W jej makijażu było jakieś zdecydowanie, bardzo rzadkie wśród tak młodych kobiet.

- Przypuszczam, że nie był tym uszczęśliwiony?

- Oczywiście, że nie. Nawet poskarżył się dziekanowi instytutu, że marksistowskie wychowanie studentów pozostawia wiele do życzenia. Dziekan popędził mi kota.

- Rozumiem. - Mało brakowało, a Borys powiedziałby jej, jakie problemy KGB stwarza milicji, ale pohamował się. Pomyślał, że ta dziewczyna ma dar zmuszania mężczyzn do otwierania przed nią duszy. - Często widywaliście Igora i Marata razem?

- powrócił do tematu.

- Parę razy.

- Czy zaszło coś niezwykłego w przeddzień ich śmierci?

- Miałam wtedy wolne.

- W porządku. Czy kiedykolwiek widzieliście jednego z nich z tym mężczyzną? -

Borys przesunął po stole fotografię. Oksana obojętnie popatrzyła na zdjęcie, smużka dymu leniwie wznosiła się z jej papierosa. Pułkownik, w nieskazitelnym mundurze, z gładko wygoloną stanowczą twarzą i lekką brawurą w oczach, prezentował się niezmiernie elegancko. Zdjęcie ostro kontrastowało z prawdziwym człowiekiem, jakiego znała - twarz opuchnięta i czerwona od alkoholu, dziwnie bezbarwne oczy, lepkie ręce,

które w trakcie gwałtu obłapiały jej nagie, otumanione narkotykiem ciało. Oddała fotkę Borysowi.

- Nie, nigdy ich nie widziałam. A kto to jest, jeśli można...? - Borys zauważył, że jej głos zdrzął lekko. Chociaż wyparła się znajomości z Nazarowem, odniósł wrażenie, że go znała.

- To pułkownik Nazarów, trzecia ofiara. - Odetchnął głęboko i odsunął krzesło od biurka. - W porządku, starczy na dzisiaj.

Borys wstał i wyrzucił zawartość popielniczki do kosza. Potem zdjął marynarkę z oparcia krzesła, założył ją powoli. Niedbałym tonem zapytał:

- Towarzyszko Martinowa, powiedzcie mi prywatnie, jak to się dzieje? Człowiek żyje, studiuje, ma kolegów i przyjaciółki, pracuje dla KGB, a potem pewnego ślicznego wieczora z jakichś nieznanych powodów zostaje zamordowany. I nikt, ani jego przyjaciele, ani koledzy czy krewni nie mogą rzucić ani jednego promyka światła na tę tragedię?

Oksana obojętnie wzruszyła ramionami.

- Zapytajcie KGB. Mogę już iść?

- Jasne. Miło było was poznać. Życzę dobrej nocy.

Oksana wstała i szybko wyszła z pokoju przesłuchań. Borys stanął w drzwiach i patrzył, jak oddala się korytarzem. Zauważył pełne podziwu spojrzenia innych oficerów. Gdy dziewczyna zniknęła za szarymi drzwiami na końcu zadymionego korytarza, był przekonany, że Oksana wie zdecydowanie więcej, niż powiedziała.

Przyjęło się, że podczas *schodów*, spotkań gangsterskich generałów, wszyscy obecni są rozebrani do pasa, żeby nikt nie mógł ukryć broni. Z tego powodu Maria, która wyłoniła się z *bani* w celi Japończyka krótko przed rozpoczęciem nocnego zebrania, miała na sobie tylko skórzaną spódnicę podtrzymywaną w talii szerokim paskiem. W *bani* pocili się czterej tuluńscy szefowie zorganizowanej przestępczości: Maksym, Tofik, Potma i Josik. Zebranie miało się rozpocząć zaraz po tym, jak odprężą się dostatecznie i ochłoną w zimnej kąpieli.

Japończyk siedział przed kominkiem i wpatrywał się w drzwi *bani*.

- Powiedzieli, że będą gotowi za pół godziny - oznajmiła Maria, wycierając ręcznikiem pot z wielkich piersi i spod pach.

- Nie śpieszą się - skomentował Japończyk.

Dzisiejszy *schod* nie był jego pomysłem, lecz skoro po Tulun zaczęły krążyć pogłoski, że konkurencyjne gangi odbierają mu władzę, poczuł się zmuszony do skonfrontowania ich z przywódcami. Zgodnie z niepisanym obozowym protokołem, Japończyk zapytał komendanta wewnętrznego więzienia, majora Karamuszewa, czy on i jego przyjaciele mogą razem zażyć *bani* po długim dniu pracy. Japończyk zajmował najbardziej luksusową celę w kompleksie, jedyną wyposażoną w *banię*. Karamuszew wyraził zgodę, jak zawsze, i gdy pospolici więźniowie wrócili do swoich ciemnych, zimnych baraków, uzbrojeni strażnicy przyprowadzili czterech generałów do luksusowej celi Japończyka.

Drzwi *bani* stanęły otworem i do celi weszło czterech nagich do pasa mężczyzn. Na lśniących torsach widniały tatuaże i blizny, świadczące o ich przestępczym autorytecie. Japończyk przywitał ich i wszyscy wymienili gorące uściski. Maria przygotowała cztery dywaniki do siedzenia i przyniosła dwie butelki koniaku oraz cztery kieliszki. Na stole stały już półmiski z soloną rybą i plasterkami świeżo uwędzonego króliczego mięsa, a nawet czarny i czerwony kawior. Japończyk usiadł za stołem, plecami do ściany.

Tofik, Gruzin, zajął miejsce obok niego. Pod ciemnymi włosami, które pokrywały jego piersi i plecy, widać było ozdobne tatuaże. Największy, wydziergany za młodu, przedstawiał orła ze skrzydłami rozpostartymi poza kontur rosyjskich granic, co oznaczało, że właściciel jest bandytą, który odbywał przestępcze wojaże po całym kraju.

Obok niego zasiadł Potma, chudy, ale silny gangster ze szkarłatnym sztyletem wytatuowanym na obojczykach - rękojeść z jednej strony szyi, czubek ostrza po drugiej - co ilustrowało karę wymierzoną niewiernej dziewczynie. Po drugiej stronie stołu siedział Josik, szef żydowskiego gangu z Leningradu, a przy nim Maksym, najstarszy z tej piątki, stary generał z Odessy, którego całe ciało pokrywała sieć skomplikowanych tatuaży.

Wypili toast i Tofik, były zapaśnik z rękoma małpy i potężnym brzuchem, przemówił:

- Musimy wybrać przewodniczącego. Myślę, że tym razem będzie nim Maksym. Jest z nas najstarszy.

Wszystkim poprzednim zebraniom przewodniczył Japończyk. Wybieranie przewodniczącego było normalną procedurą - jak na zebraniu Partii. Na tym polegała gangsterska demokracja.

Japończyk starannie ukrył zdziwienie i natychmiast powiedział: - Zgadzam się, Maksym jest odpowiednią osobą.

Zauważył, że twarz Potmy, potężnie zbudowanego Białorusina, zmieniła się na ułamek sekundy. Więc to tak! Myśleli, że zaskoczą go tą propozycją, sprowokują do okazania niezadowolenia. Bardziej niż kiedykolwiek zdał sobie sprawę, że znalazł się w paskudnym położeniu. Od czasu wizyty Oksany w Moskwie musiało wydarzyć się coś poważnego. Zastanowił się szybko. Kto ma najbliższe powiązania z Moskwą, powiązania, które uniemożliwiają jemu, Japończykowi, dostęp do informacji z zewnątrz?

Maksym operował na południu, nad Morzem Czarnym. Krzepki Potma, z polskimi koneksjami, pochodził z Mińska. Josik był leningradzkim Żydem, chudym, żylastym miejskim szczurem, który dostał się za kratki za jakiś błąd w sztuce. Prowadził wielki interes w Leningradzie, kontrolując handel dziełami sztuki i ikonami z Zachodem. Tacy ludzie zwykle nie trafiają za kratki - są nietykalni jak prawie wszyscy milionerzy w radzieckim systemie. Josik był bardzo młody według gangsterskich standardów - miał tylko dwadzieścia osiem lat. Japończyk wiedział, że Josik kupił sobie złodziejski tytuł za cenę pięćdziesięciu tysięcy dolarów na spotkaniu uznanych generałów, którzy wystawili mu podpisany certyfikat.

Tofik był jedynym człowiekiem operującym w Moskwie. Wszyscy Gruzini żywili nabożny podziw dla tego miasta i zlatywali się do niego jak pszczoły do miodu. Tofik ubijał interesy z handlarzami narkotyków i sutenerami, ale miał też powiązania z mafią kupiecką. Oni robili w obcej walucie i stąd gangster wiedział o operacji fałszerskiej, jaką zaproponował Japończykowi Amerykanin.

Przegłosowano wybór Maksyma. Japończyk szybko się zorientował, że generałowie nie mają poważnych spraw do omówienia. Skorzystał z okazji, by poruszyć

kwestię, którą uważał za najważniejszą.

- Musimy pracować razem, a nie walczyć z sobą o drobiazgi - zaczął z przejęciem.
- Ameryka! To stamtąd przyjdzie siła i energia do zasilenia naszego systemu. Dzięki bliższej współpracy nasze zyski staną się nieograniczone.

- Brzmi przyjemnie - powiedział Tofik. - Nasze bandy stworzą jeden wielki syndykat rządzony przez komitet, na czele którego stanie przewodniczący.

Potma zjadliwie sarkastycznym tonem oznajmił:

- Przypuszczam, Japończyk, że tym przewodniczącym nie będzie nikt inny poza tobą?

- Jeżeli taka jest wasza wola - odparł potulnie, ale wewnątrz gotował się z gniewu.

- Właśnie. Nie podoba mi się, jak tu się rządysz! - zawołał Potma.

- Co to znaczy? - odwrzasnął Japończyk. Zauważył, że Maksym, słysząc ten bezsensowny wybuch Potmy, tylko zagryzł wargi. Zgodnie z „prawem” jako przewodniczący powinien pohamować Potmę, młodszego gangstera.

Ale Potmie pozwolono wygłaszać orację dalej.

- Kim ty właściwie... za kogo ty się, do cholery, uważasz? Za jakiegoś, kurwa, króla, czy co?

Japończyk rzucił Potmie zimne spojrzenie, które powinno było go powstrzymać.

- Mam nadzieję, że kiedy znów wszyscy znajdziemy się na wolności, ponownie zwołamy radę przywódców, by uporządkować kwestie sporne.

- I jak się domyślam, to ty będziesz szefem, przewodniczącym rady - parsknął Potma. - Przez to swoje podziemne królestwo uważasz się za lepszego od reszty. - Ruchem ręki omiół wewnątrz luksusowej celi.

- Uważam, że jestem generałem, który nie musi słuchać pieprzenia takiej szumowiny. - Japończyk mówił niskim, spokojnym i złowieszczym tonem. - Bądź uprzejmy się zamknąć i przestań wrzeszczeć, bo inaczej ściągniesz strażników.

Potma skoczył na nogi i stanął na środku celi.

- Tutaj! - Wskazał palcem na podłogę przed sobą. - Stawaj! Chcę z tobą pogadać.

Japończyk odepchnął stół, kieliszki i butelki potoczyły się na podłogę. Przeszedł po skorupach i stanął przed Potmą. Gangsterski aksjomat mówił, że walka na pięści jest dla frajerów. Bronią generała był nóż, ale tutaj nie mieli noży. Potma, wysoki i barczysty, miał potężny umięśniony kark i głowę okrągłą jak melon. Japończyk był niższy, ale bardziej krzepki, pięści miał wielkie jak kufle do piwa. Minęła nieprzyjemna chwila. Maksym podniósł się i stanął między nimi.

- Przestańcie - warknął. - Jako przewodniczący rozkazuję wam przestać. To nie miejsce ani pora na bijatyki.

Japończyk wbił w Maksyma płonące oczy. Sukinsynu, pomyślał. Ty to zaplanowałeś. Twoja fałszywa misja pokoju podrywa mój autorytet. Jutro rozejdzie się po całym obozie, że jakiś wszawy drobny złodziej obraził Japończyka i uszło mu to na sucho. Potem wieść o upokorzeniu Japończyka wyjdzie poza Tulun i dotrze do wszystkich generałów i ich band w republikach, w Europie i Ameryce.

Nie było już odwrotu. Jeżeli Król Podziemia pozwoli Potmie bezkarnie szargać swoje imię, to podkopie jego autorytet na zawsze.

Japończyk przeniósł spojrzenie kolejno z jednego mężczyzny na drugiego. Ciekawość wyczierała im z oczu, usta mieli zacięte, szczecina na ich policzkach drgała, gdy nerwowo zaciskali szczęki. Wszyscy widzieli siebie na jego miejscu, tutaj w Tulun i później w Moskwie, Odessie, Kijowie, Mińsku i Tbilisi. Japończyk wolałby to przenegocjować, ale zrozumiał, że teraz dyplomacja tylko by go poniżyła.

- W porządku - powiedział do Maksyma pojednawczo. - Chyba dałem mu za dużo koniaku. Nie jest przyzwyczajony do takiej ilości. - Patrzył na Potmę z pogardliwym uśmieszkiem i czuł, jak gniew narasta w jego adwersarzu. - Masz wielkie szczęście, Potma, że mam miękkie serce. Przepróż teraz, przyznaj, że byłeś niegrzeczny, i wróćmy do interesów. - Cofnął się o krok od gotującego się ze złości bandziora.

- Czemu ja? - Potma mówił do Maksyma tak, jakby Japończyka wcale nie było. - Nie boję się go. Czemu miałbym przepraszać?

Gdy oni rozmawiali, Japończyk udał, że odgarnia włosy z oczu. Przycisnął nadgarstek do czoła i bransoletka rozpięła się, złoty zegarek zawisł luźno. Kiedy opuścił rękę, zegarek się zsunął. Ciężkie złoto stuknęło o podłogę, kryształowe szkiełko wyskoczyło.

- O kurwa! - zaklął z udawanym przejęciem. - Mój zegarek!

Pochylił się, ale nie chodziło mu wcale o zegarek. Obok przewróconego stołu leżał stłuczony kieliszek. Japończyk błyskawicznym ruchem złapał poszarpaną broń, skoczył na Potmę, który sprzeczał się zażarcie z Maksymem i, nim gangster zdołał zareagować, Japończyk oburącz wbił mu kawał kryształowego, ostrego jak brzytwa szkła w zagłębienie między szyją a lewym obojczykiem. Broń z cmoknięciem wyszła z ciała i ścięgien. Wrzaski Potmy zawibrowały w celi, gdy Japończyk odrzucił od siebie zaimprovizowany sztylet i w tym samym momencie uderzył ofiarę w piersi.

Potma zatoczył się na drzwi, a potem pochylił do przodu. Wściekłość płonęła mu w oczach, gdy zacisnął prawą rękę na szyi. Nagle dłoń osunęła się w dół, a rana otworzyła jak sakiewka. Gruba czerwona fontanna strzeliła z głębokiego rozcięcia. Siła tego gejzera była tak wielka, że krew odbiła się rykoszetem od niskiego sufitu i spadła na pokój w deszczu wielkich ciemnoczerwonych kropeł. Wszystko i wszyscy w ułamku sekundy zostali pokryci setkami czerwonych plam. Kolumna czerwieni tryskała w

górze, jakby w ciele Potmy była jakaś pompa. Krew zbryzgała żarówkę i w pokoju zrobiło się czerwono jak w nocnym barze. Strumienie czerwieni spływały ze ścian, po ekranie telewizora i nagich torsach czterech mężczyzn.

Potma runął twarzą do przodu. Jego ciało szarpnęło się dwa razy i znieruchomiło. Fontanna zmaląła, ale krew nadal wypływała z rany, rozlewając się po podłodze i wsiąkając w dywany. Przez chwilę panowała martwa cisza. Japończyk pierwszy zaczął wycierać twarz, rozsmarowując krew ręką. Nagle Maksym otrząsnął się i złapał go za gardło.

- Ty pieprzony sukinsynu! - wrzasnął. - Coś ty zrobił? Kurwa mać, coś ty zrobił? Komendant dobierz się nam do tyłków!

Japończyk odepchnął go pogardliwym ruchem. Z obojętnym wyrazem twarzy rozglądał się po scenie, jaką sam stworzył.

- Potma złamał wszystkie gangsterskie prawa, jakich przysięgliśmy przestrzegać. Nie mogłem pozwolić mu żyć po okazaniu takiego braku szacunku. - Rzucił przewodniczącemu wymowne spojrzenie. - Czemu go nie powstrzymałeś?

Maksym w milczeniu wpatrywał się w kałuże czerwieni u swoich stóp. Josik stał pod ścianą, dygocąc na całym ciele jak w febrze, jęczał coś niezrozumiale, z oczyma wbitymi w Japończyka, który odpowiedział mu bezlitosnym spojrzeniem.

Tylko Tofik zachował spokój. Obojętnym ruchem wytarł krew z twarzy i powiedział:

- Zawsze wiedziałem, że Japończyk jest mężczyzną, prawdziwym gangsterem, nie jak wszystkie te ścierwa.

Potem podniósł głowę.

- Hej, wy dwaj, Maksym, Josik, zamknijcie się i siadajcie. - Odwrócił się. - Słyszysz mnie, Japończyk? Nalej mi trochę koniaku... cholera, krew jest nawet w szklance... Zaschło mi w gardle. Polej też Josikowi, bo inaczej zapaskudzi spodnie... Maksym! Siadaj, stary głupcze. Coś ci powiem: jaki z ciebie, kurwa, przewodniczący? Hej, Japończyk. Zawołaj z *bani* tę swoją tatuowaną cipę... trzeba tu posprzątać...

Maria weszła do pokoju i rozdziawiła usta. Nie mogła powstrzymać okrzyku zaskoczenia i grozy.

- Święta dziewico... O cholera, o jasna cholera. Co my teraz zrobimy?!

- Przynieś następną butelkę - rzucił w zadumie Japończyk. - Musimy pogadać...

15.

Następnego ranka czterej generałowie zostali wezwani do biura majora Karamuszewa. Karamuszew był niższy rangą od komendanta obozu, ale szef nie chciał ponosić odpowiedzialności za przestępstwa, a zwłaszcza morderstwa, popełniane w jego więzieniach, więc jurysdykcja spadła na barki jego zastępcy. Komendant byłby również wygodnym kozłem ofiarnym w wypadku, gdyby coś poszło nie tak.

Biuro majora Karamuszewa było małe i schludne. Na szerokim dębowym biurku leżały precyzyjnie poukładane papiery, pióra i szklany kałamarz.

Za jego plecami wisiał portret Feliksa Dzierżyńskiego, założyciela CzeKa, tajnej policji, a na parapecie stały jasnożółte chryzantemy w wazonie, rozweselające nieco zakratowane i pokryte lodem samotne okno.

Czterej gangsterzy już przedłożyli pisemne zeznania z wypadków, jakie miały miejsce poprzedniego wieczora, i zostali przesłuchani, każdy z osobna, przez personel majora. Teraz mieli odpowiedzieć na pytania komendanta więzienia wewnętrznego, i on miał zdecydować, czy dalej prowadzić dochodzenie. Karamuszew odchylił się w fotelu. Chudy mężczyzna po sześćdziesiątce, o ostrych rysach i niebieskich, wodnistych oczach, z szarym zarostem na policzkach, wyglądał jak zadowolony dziadunio. Tylko czarny mundur, wojskowy pas, skórzana kabura ze standardowym pistoletem *Makarowa* psuły łagodne, beztroskie wrażenie, jakie sprawiał. Karamuszew przewertował zeznania, a potem spojrzał w niewzruszone oblicza ich autorów. Według raportów pięciu gangsterów spotkało się, by zażyć *bani* w wewnętrznym więzieniu. Podczas gdy rozmawiali i odpoczywali, Potma przeprosił, wyszedł z *bani* i popełnił samobójstwo, podcinając sobie szyję kawałkiem stłuczonej szklanki. Wszystko stało się tak szybko, że nim pozostali wybiegli za nim, zaniepokojeni dobiegającymi z celi hałasami, Potma już nie żył. Natychmiast wezwali strażników i udzielili administracji więzienia wszelkiej możliwej pomocy.

- Dobra, chłopcy - powiedział Karamuszew. - Chyba rozumiecie, że wszyscy czterej, a raczej pięciu, postaraliście się, żebym w oczach władz wyszedł na durnia. Co zrobimy?

- Kurwa, co za historia - zaczął Tofik. - Taki wypadek, taka tragedia... Ledwo sami możemy uwierzyć.

- No, ja tam nie wierzę - uciął major. - Strażnicy twierdzą, że nie słyszeli niczego, póki nie zostali zawołani przez Japończyka... hmmm... to znaczy, więźnia Jakowlewa.

- Nigdy nie zrobilibyśmy mu krzywdy, komendancie - rzekł z przekonaniem Maksym. - Kochaliśmy Aleksieja jak brata. To było tragiczne samobójstwo...

- Wiem, wiem - przerwał mu niecierpliwie Karamuszew. - Wy wszyscy się kochacie. Chociaż czasami jeden z kochanków ginie na miłosnych schadzkach. Tego nigdy nie potrafiłem zrozumieć w waszym „gangsterskim prawie”.

- Gdyby było inaczej, komendancie, byłbyś jednym z nas.

Komendant rzucił Maksymowi groźne spojrzenie.

- Lepiej przestań pieprzyć. Nie chcę kłopotów w Tulun; nie wnikam w wasze interesy. Pamiętajcie, jestem starym, zmęczonym przykiem. Chcę doczekać emerytury bez problemów. Mówię do was w ten sposób po raz ostatni. Następnym razem ten, kto pozostanie przy życiu, będzie rozmawiał ze mną wisząc za ręce z sufitu. I może być pewien, że nie wykpi się żadną wszawą powiastką o samobójstwie. Czy wyraziłem się jasno?

- Przepięknie - zachichotał Tofik.

Karamuszew wcisnął guzik na biurku, by wezwać wartowników.

- No, idźcie już, i zachowujcie się jak na grzecznych chłopców przystało.

Później tego samego dnia Karamuszew odwiedził Japończyka w jego kwaterze. Ślady krwi zniknęły. Nawet dywany zostały zmienione. Japończyk skinął w milczeniu i, ruchem ręki prosząc komendanta o zajęcie miejsca, nalał mu szklankę koniaku. Po wypiciu Karamuszew pochylił się w jego stronę.

- Słuchaj, Japończyk - zaczął konfidencjonalnym tonem - coś wisi w powietrzu.

Japończyk szączył drinka. Karamuszew ciągnął:

- Więc nie chcesz mi powiedzieć? Świetnie. Ale spodziewam się, że mnie uprzedzisz, gdy będzie się zanosilo na kłopoty.

- Jeszcze nic nie wiem, lecz masz rację. Musisz zrozumieć, że nie będę twoim gościem na wieki. To, co się dzieje w twoim łagrze dzisiaj, jest przygotowaniem do jutra, kiedy wszyscy znów znajdziemy się na wolności. I możliwe, że wyeliminowanie tego generała... - wskazał kciukiem na własną pierś - jest naczelnym celem innych gangsterów w obozie Tulun.

- Mogę zapytać, kiedy będziesz wiedział, co się naprawdę dzieje? - Karamuszew wyraźnie był zatroskany o własną przyszłość.

- Nie martw się. Powiem ci, jak się dowiem.

- Będę czekał.

- Przykaż strażnikom, żeby dziś wieczorem wypełnili moje instrukcje - przypomniał Japończyk, gdy komendant zebrał się do wyjścia.

Karamuszew skinął i wyszedł z celi.

Prawie świtało, kiedy Japończyk opuścił swoją kwaterę. Strażnik zaprowadził go do celi, w której spał Josik.

Japończyk klepnął Josika w ramię. Żyd usiadł, ale oprzytomniał dopiero po paru sekundach. Kiedy zobaczył Japończyka stojącego blisko łóżka, oczy rozszerzyły mu się ze strachu.

- Czego chcesz, Japończyk?

- Nie bój się - rzekł kojąco niespodziewany gość. - Nie stanie ci się krzywda. Po prostu musimy pogadać.

- O czym?

- Chcę wiedzieć, w jakim celu zwołano ten *schod*.

- Nie wiem. - Josik wzruszył ramionami. - Normalna procedura. Nadszedł czas.

- Ignorancja - rzekł ze zmęczeniem Japończyk. - Wiesz, jak zwykł mawiać Lao-tse?

- Kto?

- Lao-tse, chiński filozof. Powiedział, że ignorancja jest najgorszym z przestępstw. Mówisz, że nie wiesz. Ale ja nie jestem takim ignorantem i chcę ci opowiedzieć pewną historyjkę. Dwa lata temu, w Moskwie, w hotelu „Pekin”, odbyło się zebranie gangsterskie. Przewodniczącym był Rolik Kabadgan, Ormianin. Na tym spotkaniu nadano stopień generała bardzo młodemu człowiekowi, który nigdy nie siedział w więzieniu, nigdy nie zabił wroga, nigdy nie został poddany surowym testom *blatnych*. Ale ten młody facet miał pięćdziesiąt tysięcy amerykańskich dolarów, które zostały rozdzielone na spotkaniu. Generałowie przychyliłi się do jego prośby i dali mu certyfikat z własnymi podpisami.

W przyćmionym świetle rzucanym przez wiszącą w korytarzu żarówkę Josik widział błyszczące niebezpiecznie oczy Japończyka. Zadrżał, gdy Król Podziemia podjął:

- Czy wiesz, Josik, co się dzieje z takimi fałszywymi generałami w więzieniach i obozach, kiedy bractwo dowiaduje się o wszystkim? Są krzyżowani na ścianie, a później zakłuwani - nożem w brzuch.

- Ty nie... - zaczął błagalnie Josik.

- Nie. Ale pozwól, powtórzę ci, co rzekł inny filozof, Gratian Baltazar „Prawda należy do nielicznych i musi być trzymana w świątyni milczenia”.

- Tak, to był mądry człowiek. Czego chcesz?

- Och, Josik, czegoż mam chcieć? Znam prawdę o tobie, ale zatrzymam ją w świątyni milczenia, jeżeli staniesz po mojej stronie. Więc co z tym zebraniem?

Josik już się nie wahał.

- To był pomysł Maksyma. Potma i Tofik go poparli.

Japończyk zdumiał się. Nigdy nie podejrzewał, że Maksym, stary mądry wyga, też jest przeciw niemu. Najwyraźniej się pomylił. To źle. Tracił władzę nad łagrem i swoimi ludźmi na wolności.

- Dlaczego Maksym? - zapytał.

- Maksym dostał cynk od swoich facetów w rządzie, że zostaniesz przeniesiony do obozu w Azji Centralnej. Tamtejsi Uzbegy mają coś do ciebie.

Oczywiście wyobraźni Japończyk zobaczył Mamatagdiego - tył głowy uzbeckiego bandyty roztrzaskany na ścianie - i małego Sławę opróżniającego kasetkę. Tamtejsze rodziny potrafiły żywić urazę przez wiele pokoleń. Uzbeków, głównych handlarzy narkotyków, stać było na wyznaczenie nagrody za głowę Jakowlewa.

- Maksym doszedł do wniosku, że i tak jesteś trupem, więc jeżeli sam cię zabije, odziedziczy twoją władzę w łagrze oraz za drutami, i umocni swoje powiązania na rynku narkotykowym. Ale Maksym chciał to zrobić rękoma Potmy. Sam Potma jest... był tylko głupcem. A Tofik... Tofik chce, żeby jego Gruzini przejęli twoje fałszerskie operacje w Nowym Jorku i Moskwie.

- Skąd wie aż tyle? - zapytał zdumiony Japończyk.

Josik odetchnął głęboko parę razy i popatrzył na niego, jakby szukając aprobaty.

- Tofik jest dla ciebie najbardziej niebezpieczny.

Japończyk pokiwał głową.

Jeszcze bardziej niebezpieczny od Tofika był brak wiadomości z zewnątrz. Tofik miał pod tym względem niewymierną przewagę i mógł polegać na pozostających na jego usługach wiarygodnych źródłach informacji.

Zbyt długo był wyłączony z obiegu. Musi sprowokować w Tulun coś poważnego, strajk, powstanie, coś, co zapobiegnie jego przeniesieniu do Azji Centralnej.

Pochylił się, jego twarz zawisła parę centymetrów od przerażonych oczu Josika.

- Josik, słuchaj, co zrobisz. Jeden z ludzi z twojego gangu musi obrazić jednego z facetów w barakach w taki sposób, żeby w efekcie został zabity albo raniony członek bandy Maksyma albo Tofika. Rozumiesz?

- Kurwa mać, Japończyk, to będzie... wiesz, co nastąpi?

- Nie ma innego sposobu, Josik. Albo przeżyjemy, albo... Pamiętaj, jeżeli mnie zabiją, ty będziesz następny. Jesteś zbyt słaby, a poza tym mogą dowiedzieć się tego, co ja wiem: że nie jesteś prawdziwym generałem. Wszystko będzie w porządku, jeżeli zrobisz to, co każę.

Josik energicznie pokiwał głową na zgodę.

- W porządku, Japończyk. Zrobię, co każesz.

- Mamy niewiele czasu. Musimy pracować razem. - Ostrzegawczo podniósł palec. - Świętynia milczenia.

I z tymi słowami wyszedł równie nagle, jak się pojawił.

16.

Było wiosenne, niedzielne popołudnie. Peter Nikhilov bez większych problemów pokonał trasę od bloku mieszkalnego na Upper East Side w Nowym Jorku, gdzie mieszkała piękna blondynka Lena, przez Manhattan i Lincoln Tunnel do portowego miasta Hoboken w New Jersey. Health Club Mills, wielki odzieżowy dom towarowy, stał dziesięć ulic od rzeki. Parkując w pobliżu budynku, Peter zauważył wielki kontener przysunięty do rampy ładunkowej z boku domu towarowego.

- Wygląda na to, że kupa ciuchów wyruszy do Moskwy - powiedział po rosyjsku do siedzącej obok Leny.

Dziewczyna przytuliła się do niego z wdzięcznością i odparła w rodzimym języku: - Nie, dopóki nie dostanę tego, czego chcę.

Hugh McDonald, który czekał przy wejściu, wprowadził ich do środka magazynu. Rumiany, w szklach bez oprawek, w szarym garniturze z niebieskim krawatem, wyglądał jakoś anonimowo.

- Jest tutaj mnóstwo Rosjan - powiedział. - Dzisiaj sprzedaż specjalna dla dyplomatów i urzędników. Zaopatrują się na doroczną wizytę w domu.

Peter klepnął Lenę w ramię.

- Wszystko należy do ciebie, kochanie. Zabierz do domu tyle, ile zdołasz unieść.

- Ooooch - Lena pisnęła z radości. - Kocham cię. - I przyłączyła się do chmary Rosjan przekopujących się przez sterty odzieży.

Hugh patrzył za nią z szerokim uśmiechem.

- Niezła sztuka. Jak się tu dostała?

Peter zachichotał.

- Jak wiele innych. Jakiś podstarzały Amerykanin poznał ją w Moskwie, stracił dla niej głowę, załatwił jej wizę, kupił bilety i wynajął mieszkanie. Niedługo później Lena znalazła sobie ciekawsze zajęcie. I teraz jest prawie Amerykanką.

Peter z dobrotliwym uśmiechem patrzył, jak dziewczyna przyciska do piersi sweterrek z angory.

- Wszystkie te Rosjanki dbają o siebie nawzajem, zahaczają się jako szatniarki w rosyjskich restauracjach, dopóki nie trafi im się coś lepszego, podrywają dzianych chłopaków, i pomagają sobie w rozwiązywaniu problemów imigracyjnych. W większości tylko o krok wyprzedzają łapaczy z urzędu imigracyjnego, który ściga je i naraża

biedaczki na różne rodzaje poniżenia i szantażu. Pomagam im, jak tylko mogę.

- Nic dziwnego, że nie jesteś żonaty - zażartował Hugh.

- Prawdę mówiąc pewnego dnia mogę sam sobie zrobić niespodziankę. One są wspaniałe. Lenę wziąłem z sobą dla przykrywki.

Stojąc za hałdami koszulek, bluz i swetrów, poza zasięgiem słuchu rosnącej ciszy Rosjan, Peter powiedział: - OK, Hugh, tu powinno być dość bezpiecznie. Co się dzieje, u licha?

- Nie spuszczaamy oka ze starego Zekkiego, co nie jest łatwe, gdyż nie ma stałego adresu czy telefonu. Jest nas pięciu, i zapewniam cię, że się nie nudzimy. Zekki to ruchliwy facet.

- I czego się dowiedziałeś?

- Cóż, jest nie byle kim w klubie delegatów przy Narodach Zjednoczonych. Wydaje się, że zna bogatych delegatów muzułmańskich, i dwa razy widzieliśmy go z obserwatorem północnokoreańskim. To musi mieć związek z zamordowaniem Gardenadze po opuszczeniu misji KRLD. Ci, którzy próbują rywalizować z Zekkim, umierają. Zekki urabia sobie państwa popierające terroryzm, które marzą o zdobyciu broni jądrowej.

Peter wzruszył ramionami i rozejrzał się po wnętrzu domu towarowego.

- A co NEST robi w magazynie z ciuchami?

- Śledziliśmy Zekkiego w zeszłym tygodniu. Wstąpił tu na chwilę i rozmawiał z Joe Koehlerem, właścicielem. Okazuje się, że Książę Hoboken, jak wszyscy nazywają Joe'ego, wysyła co tydzień jeden kontener pełen towaru wartego pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Nabywcy płacą mu z góry tu, na miejscu, i sprzedają towar w Moskwie pięć do dziesięciu razy drożej.

- I co z tego? O to chodzi w *pieriestrojce* i *glasnosti*. Mam paru rosyjskich znajomych, którym by to przypało do gustu. Co ma do tego Zekki?

- Jeszcze nie wiem. Ale wiemy, że z mennicy i wytwórni papierów wartościowych Departamentu Skarbu została ukradziona matryca do drukowania studolarowych banknotów. Wiemy też, że dwaj z ludzi, których z Redem Rolfem wsadziliśmy parę lat temu do tej drukarni, nie pokazują się od miesiąca. To może być jakoś powiązane z Zekkim.

- Myślałem, że to ruble miały być fałszowane.

- Red wysunął dowcipny pomysł, że jeśli zdołamy przyłapać Rosjan na przekazywaniu przez europejskie banki miliardów w podrobionych studolarówkach, to rozłożymy ich system rozliczeń międzynarodowych.

- I ten plan został zaaprobowany? - zapytał z niedowierzaniem Peter.

- Nie. Opracowaliśmy go po prostu na wszelki wypadek. Ale, oczywiście, teraz

wymknął się spod kontroli. I zginęła autentyczna matryca.

Hughowi przerwały okrzyki kilku Rosjanek. Tuląc czule zamszowe garsonki piszczały, że za jedyne piętnaście dolarów spełniły marzenie swojego życia.

- No to przedstaw mi swoją teorię dotyczącą Zekkiego - powiedział Peter, gdy kobiety uciszyły się nieco.

- Zrobię to jak najkrócej. Gdy się poznaliśmy, Księżę powiedział mi, że Zekki jeszcze nie siedzi w tym ciuchowym interesie, ale jest zainteresowany nabyciem całego kontenera towaru i wysłaniem go do Rosji.

Peter w zadumie pokiwał głową.

- To rzeczywiście dziwne. Z pewnością zależy mu nie na ubraniach, a na kontenerze.

- Najwidoczniej. Przemyt. I Red Rolf odszedł z CIA. Możliwe więc, że razem z Zekkim Dekką planują uruchomić operację na własną rękę. Zekki byłby idealnym człowiekiem do dostarczenia matrycy studolarowego banknotu.

- Potrzebowaliby Rosjan z doskonałymi powiązaniem, żeby plan się powiódł.

- I ciężkiego sprzętu drukarskiego - dodał Hugh. - W takim kontenerze, w ciuchach, mogłoby się zmieścić sporo sprzętu.

- Może zamienimy parę słów z Księciem - zaproponował Peter.

Podeszli do kasy, gdzie Hugh przedstawił Petera właścicielowi Health Club Mills, rozradowanemu osobnikowi po pięćdziesiątce, który rozkoszował się sukcesem swego przedsięwzięcia.

- Wygląda tak, jakbyś wyprzedawał tę budę, Księżę. Co z tym kontenerem przy rampie? - zapytał Hugh.

- Jutro ten kontener wyrusza do Helsinek ze wszystkim, czego dzisiaj nie sprzedam. Po południu przychodzi dziesięciu nowych kontrahentów. Szybki obrót, szybki zysk.

- Co się dzieje z towarem w Finlandii? - zapytał Peter. - Kiedy dociera do portu, ciężarówka z Huolintakesus...

- Hej - zawołał Księżę - wiecie, ile poszło kontenerów, nim nauczyłem się wymawiać nazwę tego przedsiębiorstwa transportowego z Helsinek?

- Co się dzieje? - naciskał Peter.

- Ciężarówka zabiera kontener do Leningradu w sześć godzin albo do Moskwy, co zajmuje dwadzieścia cztery.

- I kupcy czekają, aby rozładować kontener i rozprowadzić towar?

- Sprzedają odzież od ręki, natychmiast po dostarczeniu.

- A cło?

Joe roześmiał się.

- To ich sprawa. Słyszałem, że celnicy i ich rodziny należą do najlepiej ubranych ludzi w Rosji.

Peter odwrócił się do Hugh'a i skinął głową. W tej samej chwili rozległ się głośny pisk hamulców i klakson.

- Kolejny autobus z Białego Domu. - Księżę wyszczerzył zęby.

- Skąd? - w tonie Hugh'a zabrzmiało zdumienie.

- Tak Rosjanie nazywają wielki biały blok na Riverdale, w którym mieszka wielu z nich - poinformował ze śmiechem Peter.

- Tak, wynajmują parę autobusów, żeby tu przyjeżdżać. - Joe odwrócił się do jednego z pomocników. - Hej, Tom, przygotuj piwo.

- Księżę... - Peter przysunął się bliżej do właściciela domu towarowego i zniżył głos. - Robię mnóstwo interesów w Związku Radzieckim. Mógłbym kupić kontener towaru, powiedzmy w przyszłym miesiącu, dla moich moskiewskich klientów?

- Tym się przecież zajmuję. Przyjźdź, kiedy tylko zechcesz, zaplanujemy załadunek. Gwarantuję ci najniższe ceny.

Pomachało do podnieconych Rosjan. Mężczyźni i kobiety w różnym wieku wpadli tłumnie do wnętrza, gdzie rzucili się na towar i piwo z beczki.

- Hurtem mogę sprzedawać tylko tym, którzy wywiozą towar z Ameryki. Mam możliwość kupowania ciuchów o pięćdziesiąt procent taniej, o ile tylko opuszczają ten kraj.

- Czy byłoby w porządku, gdybym w kontenerze z ubraniami wyprawił do Moskwy małą maszynkę? - zapytał Peter.

Joe Koehler rzucił mu długie, pytające spojrzenie, w jednej chwili rozumiejąc, o co chodzi. Nie odpowiedział.

Do kasy zbliżyła się Lena, z zamszową garsonką na wierzchu naręcza ubrań. Peter odwrócił się do dziewczyny.

- Lena, poznaj Księcia Hoboken, Joe Koehlera - powiedział do niej po rosyjsku, a po angielsku do Joe'ego: - Kazałem jej kupić wszystko, co zdoła stąd wynieść.

- Piękne dziewczyny te Rosjanki - zauważył Joe. - Podlicz ją, Tom - powiedział do pomocnika. Potem zwrócił się do Petera: - Przyjźdź jutro, albo kiedy będzie ci wygodnie, omówimy tę wysyłkę. I w odpowiedzi na twoje pytanie, jeżeli kupujesz ubrania, kontener należy do ciebie. Możesz zapakować do niego wszystko, co chcesz, o ile weźmiesz ode mnie towaru za pięćdziesiąt tysięcy. Ja sprzedam ci towar oraz pomogę w znalezieniu kontenera i uzgodnieniu ceny za przewóz do Rosji. Niedaleko stąd jest urząd celny. Skompletowanie dokumentów przewozowych i deklaracji celnych to sprawa twoja, towarzystwa przewozowego albo kogo tam chcesz.

Odwrócił się do pary Rosjan, aby dopomóc w sortowaniu zakupów.

- Co myślisz o mojej teorii? - zapytał Hugh, gdy odsunęli się od kasy, żeby zrobić miejsce dla innych. Lena została i układała ubrania, a Peter i Hugh odeszli w spokojniejsze miejsce.

- Zekki nie mógłby znaleźć lepszego sposobu na przerzucenie do Rosji pras, farby, chemikaliów i papieru potrzebnego do drukowania fałszywych pieniędzy - powiedział Peter. - Ale tam, na miejscu, muszą mieć potężną, jak cholera, organizację ochronną. W milicji jest paru uczciwych gliniarzy, jednak nie mają oni żadnej władzy nad służbami celnymi. Wysyłka sprzętu do drukowania, papieru i tuszy z Nowego Jorku nie narusza amerykańskiego prawa celnego. W Rosji ten typ sprzętu i wyposażenia jest kontrabandą, lecz w Nowym Jorku nie możemy zrobić praktycznie nic, aby uniemożliwić przerzut.

- Jak powiedziałem, kiedyś musieliśmy opracować plan. Możliwe, że Red Rolf i Zekki już nawiązali kontakt z Moskwą, być może nawet z samym Japończykiem albo przynajmniej z jego gangiem. - Hugh obrzucił Petera długim spojrzeniem. - Co wiesz o Japończyku? Słyszałem, jak Burłakowi na lotnisku mówią coś o Japończyku.

- Moi informatorzy donoszą mi, że niedługo wyjdzie na wolność.

- Pomyśl tylko o diamentach, platynie, ikonach, nie wspominając o strategicznych metalach, jakie będą mogli kupić za fałszywki i sprzedawać na Zachodzie za legalne akredytywy i prawdziwe pieniądze.

Peter ponuro potrząsnął głową.

- Mogliby je drukować, ale wpadliby przy wydawaniu. Jeżeli są cwani, pójdą na jeden wielki interes. Co, zakupione za piętnaście czy dwadzieścia milionów w fałszywkach, można natychmiast odsprzedać za prawdziwe pieniądze?

- Broń nuklearną.

- Właśnie. Gardenadze i Rosjanie, którzy zostali zamordowani w Brighton Beach, także muszą być z tym powiązani. Wszyscy mieli do czynienia z państwami popierającymi terroryzm.

- Pamiętasz, jeden z tych zastrzelonych miał plik studolarówek.

- Podrabianych. I to prymitywnie, drukarką laserową.

- Właśnie. I wydaje się, że Zekki urabia nuklearnych klientów. Pomożesz nam?

Peter powoli pokiwał głową.

- Już to robię. Latem ruszy moja moskiewska operacja. Może nawet zacznę z kontenerem od Księcia. Będę potrzebował pełnego wglądu we wszystkie twoje dane na ten temat.

- Dostaniesz wszystko, co zechcesz, obiecuję.

- Chcę również mieć dostęp do waszych akt dotyczących handlu bronią na świecie.
 - Po co? Aha, nie mów.
 - Chyba nie spodziewasz się, że będę pracował za darmo?
 - Nie. Oczywiście. Coś jeszcze?
 - Tak. Będę musiał załatwić ten wyjazd do Moskwy w swojej prokuraturze. Komisarz policji nowojorskiej mnie popiera.
 - My też pomożemy, jeśli będzie trzeba. Wszystko, co sobie życzysz.
- Peter odszukał Lenę, zarzucił na ramię jej torbę z zakupami i poprowadził ją przez tłum w kierunku wyjścia, żegnając się z Joe'em i płacąc mu po drodze.
- Będziemy w kontakcie - powiedział.

Przed dwiema toaletami stała już kolejka Rosjanek. Inne wychodziły na pusty plac przed domem towarowym i kucąły za wielkim kontenerem. Mężczyźni pozbywali się darmowego piwa na ulicy przed magazynem, ku konsternacji policjanta, którego zadaniem było utrzymywanie porządku w tym niesfornym niedzielnym tłumie.

17.

Burlak był szczęśliwy z powodu powrotu do Moskwy. Wstrząsnęła nim obecność amerykańskiego detektywa na lotnisku w Nowym Jorku - przez kilka minut był pewien, że zostanie aresztowany i skazany za morderstwo w Ameryce. Przez całą drogę do Frankfurtu popijał wódkę i marzył o zapaleniu *anaszy*. Nigdy nie potrafił przystosować się do Nowego Jorku. Nie cierpiał amerykańskich ubrań, które musiał zakładać, żeby nie wyróżniać się w tłumie, a szczególną nienawiścią darzył mydła i prysznice, które zmywały jego czeczeński zapach. Wierzył w przesąd swoich starożytnych mongolskich przodków, że kąpiel spłukuje z człowieka szczęście. Ale to wszystko nie znaczy, że miał coś przeciwko wypadom do Ameryki.

Japończyk zawsze dobrze płacił Zekkiemu i z tego względu Burlak też nie miał powodów do narzekań.

Dobrze było znów zamieszkać w Czeczeńskiej Brygadzie, kaukaskiej enklawie w Moskwie. Zapłata za robotę w Nowym Jorku miała zapewnić jego rodzinie dobre jedzenie przez parę lat.

Jego jedyny prawdziwy problem w tej chwili polegał na tym, że skończyły mu się konopie z Północnego Kaukazu i gotówka. Na szczęście wiedział, dokąd ma iść po pieniądze. Burlak wysiadł z metra na stacji Uniwersytet i żwawo ruszył wzdłuż Prospektu Werdańskiego, z rękoma w kieszeniach, z wyprostowanymi ramionami, patrząc prosto przed siebie, w futrzanej czapie głęboko nasuniętej na czoło. Był ubrany w grubą kożuszek z jagnięcych skór, krótkie białe futro szerokiego kołnierza kontrastowało z ciemną twarzą porośniętą kilkunniowym zarostem. Myśl o niedługim zapaleniu haszyszu dodawała mu skrzydeł. Przechodnie przezornie schodzili mu z drogi.

Za parę minut miał się znaleźć u Miszy, kumpla z bandy Pawła, w wielkiej piętnastopiętrowej budowli w pobliżu Prospektu Werdańskiego. Gmach zamieszkiwali studenci i asystenci Państwowego Uniwersytetu Moskiewskiego. Misza zajmował pokój na dziesiątym piętrze, opłacając kierownika w haszyszu i gotówce. Było to doskonałe lokum. Kto szukałby zabójcy wśród studentów prestiżowej uczelni?

Burlak wszedł do budynku, przedarł się przez tłum studentów i wepchnął do windy. Pokonanie dziesięciu kondygnacji zajęło prawie dziesięć minut, gdyż na każdej ktoś wysiadał i wsiadał, często przytrzymując drzwi dla znajomego, który pędził z krzykiem korytarzem. Tłum składał się z dziewcząt i młodych mężczyzn o wszelkich możliwych odcieniach skóry i w równie zróżnicowanych ubraniach. Akademik był wielkim centrum

kwitnącego bujnie czarnego rynku. Na dziesiątym piętrze Burlak zapukał do drewnianych drzwi pokoju Miszy.

- Otwarte! - krzyknął Misza.

Burlak pchnął drzwi i wszedł. Zalany światłem pokój był niewielki, z oknem wychodzącym na miasto. Ściany pokrywała wystrzępiona tapeta. Misza wylegiwał się na szerokim materacu, który zajmował znaczną część podłogi. Przed nim na kocu siedziały dwie nastolatki. Miały ordynarne makijaże, nosiły krótkie spódniczki i czarne rajstopy. Jedna była rozebrana do pasa i widok jej sterczących piersi w kształcie gruszek wywołał mrowienie w kroczu Czeczena. Widząc notatnik i podręcznik domyślił się, że to studentki. Na podłodze stało kilka butelek piwa. Cała trójka grała w *rikszit*, grę podobną do rozbieranego pokera. Misza wygrywał.

Na widok Burlaka zerwał się z materaca. Miał na sobie czystą białą koszulę, którą założył na pasiasty wojskowy podkoszulek.

- Co jest, Arsen? - zapytał, nazywając Czeczena pospolitym kaukaskim imieniem.

- Widzę, że dobrze się bawisz. - Burlak chrząknął. - Potrzebuję trochę forsy. Pamiętajasz?

- Jasne. Ile tego było? Byłem pijany, gdy brałem ją od ciebie.

- Dwa kawałki. Masz?

Misza podszedł do wiszącego na ścianie płaszcz, wyjął z kieszeni plik pomiętych banknotów i podał je Burlakowi. Burlak przeliczył i podniósł głowę.

- Słuchaj, Arsen. Jeżeli nie masz nic przeciwko, mogę oddać ci resztę w amerykańskich dolcach.

- Do diabła, poważnie? Ile?

- Mam studolarówkę. Będziesz wielkim człowiekiem w Bieriozce*. Masz dzisiaj fart.

* Odpowiednik polskiego Pewexu [przyp. red.].

- Dobra. Dawaj.

Misza sięgnął do kieszeni spodni i wyjął pognieciony banknot. Burlak wziął go i prawie w tej samej chwili w jego głowie zadźwięczały dzwonki alarmowe. Spędził w Ameryce dość czasu, żeby przyzwycząić się do tamtejszych pieniędzy, i wiedział, że ten banknot jest jakiś dziwny. Pomiętosił go w palcach. Papier był zbyt gładki i śliski. Podniósł go pod światło. Znak wodny wydawał się w porządku, prawdę mówiąc był idealny. Ale ten banknot nie pochodził z amerykańskiej drukarni. Podniósł notes leżący obok na wpół rozebranej dziewczyny, otworzył na czystej stronie i potarł banknot o papier. W Ameryce nauczył się paru sztuczek, wśród których nie najgorszą było rozpoznawanie podrobionych banknotów o wysokich nominałach. Na kartce nie został ślad zieleni.

- Coś nie tak? - zapytał Misza, podejrzliwie obserwując zabiegi Czeceńca.
- Drukowany na laserze! - krzyknął Burlak. - Żydowska sztuczka, Zekki mnie ostrzegał. - Rzucił banknot i wrzasnął: - Chciałeś mnie okantować! Skąd to masz, sukinyśnu?

- Zabieraj forszę, i to biegiem. - Głos Miszy był chrapliwy ze złości i oburzenia.

- Jebał cię pies za takie numery! - Burlak sięgnął po pistolet schowany w wewnętrznej kieszeni na piersi, ale nim zdołał podnieść broń, Misza trzasnął go prawą pięścią w szczękę. Burlak stracił równowagę i upadł na dziewczyny, piwo, karty i stertę ubrań. Studentki skoczyły w kąt pokoju i zaczęły wrzeszczeć. Misza błyskawicznie sięgnął na półkę po groźnie wyglądający sztylet. Burlak klęczał, próbował wstać, kiedy Misza przyskoczył i dźgnął go w pośladek. Niezależnie od jakości palonego po południu haszyszu Burlak poczuł przesywający ból. Zerwał się niezdarnie, zatoczył na półkę i znów upadł. Dziewczyny, na wpół nagie, czmychnęły z pokoju.

Burlak podniósł się z wyciągniętym pistoletem. Czuł ciepły lepki płyn w prawej nogawce i palący ból w pośladku. Ale to, co zobaczył, ogłupiło go kompletnie. Misza stał plecami do okna, ze skrawionym nożem w lewej ręce i kanciasty przedmiot z szarej stali, wielkości dużej pomarańczy, w prawej. Jego palce przyciskały łyżkę do ponacinanej powierzchni granatu.

Burlak spojrział na podłogę u stóp Miszy i w kłębowisku kocy, kart i butelek zobaczył mały pierścień z jasnej stali, który wcześniej zabezpieczał granat. Wystarczyło, żeby Misza rozluźnił palce, a połowa piętra wyleciałaby w powietrze.

- Rzuć pistolet, ty mużułmański pomioście! - ryknął Misza.

Burlak, nie odrywając oczu od granatu, puścił pistolet, który ze stłumionym stukotem spadł na koc.

- Hej, Michaił, co chcesz zrobić? - zapytał. - Cholera, to nie żarty. W porządku, przepraszam, myliłem się, bracie, jeżeli chcesz to usłyszeć.

- W porządku. - Misza wyglądał na ugłaskanego. - I nigdy czegoś takiego nie mów. Jestem z Kaukazu, jak ty, i lepiej, żebyś mnie nie obrażał.

- Załóż z powrotem zawleczkę - przynaglił Burlak.

- Nie mogę - odparł speszony Misza. - Już nie można go zabezpieczyć.

Burlak zrobił się popielaty na twarzy.

- Jak długo zdołasz go utrzymać?

- Nie wiem, sprężyna jest silna, najwyższej godzinę.

Zimny pot zrosił czoło Czeceńca.

- Pomogę ci się ubrać. Pojedziemy gdzieś i wyrzucimy to gównu. Nie rób żadnych gwałtownych ruchów. Diabli wiedzą, czego trzeba, żeby eksplodował.

- W Afganistanie jedna taka cytrynka rozwalila ciężarówkę na kawałki. Podaj mi płaszcz.

Ubranie delikwenta trwało parę długich minut. Wreszcie Misza wbił prawą rękę do kieszeni płaszcza.

- Jak się czujesz?

- Palce mi drętwieją. Pośpieszmy się.

Ale utknęli w windzie na kolejne piętnaście minut.

W Czeceńcu serce zamierało z każdym piętrem, strugi potu spływały mu po kręgosłupie. Oczy Miszy były nieobecne i pełne napięcia. Kiedy wreszcie dotarli na parter, on też był zlany potem.

Zostali zatrzymani w holu, co przyprawiło ich o dodatkowe katusze. Do budynku wchodziła hałaśliwa grupa studentów, najwyraźniej na hajku. Wysoki czarny chłopak zbliżył się do Miszy i poklepał go po ramieniu.

- Cześć, Michaił! Co się stało?

- Nic - burknął Misza. - Słuchaj, śpieszę się.

- Śpieszysz się? Daj spokój. Chodź, napijesz się z nami.

Burłak sięgnął do pistoletu i nagle przypomniał sobie, że zostawił go na podłodze w pokoju. Misza próbował grzecznie wymówić się studentom, ale oni nie przestawali go namawiać, więc wreszcie powiedział:

- Dobra, ale napiję się tutaj. Daj mi butelkę.

- Tutaj? Człowieku, aleś ty dzisiaj dziwny. W porządku, panowie, dajcie mu flaszkę.

Misza złapał butelkę lewą ręką.

- Hej, człowieku, co z twoją prawą? Trzymasz się za jaja?

Misza chciał wrzasnąć, że wszyscy stracą jaja, jak go natychmiast nie puszczą, ale zamiast tego opróżnił pół butelki. W głowie mu zaszumiało i poczuł przyjemne ciepło. Sprężyna w granacie jakby osłabła. Przez chwilę był pełen takiego animuszu, że prawie puścił łyżkę. Przerazenie ścięło mu krew w żyłach - zacisnął obolałe palce, które powoli zaczynały odmawiać mu posłuszeństwa.

- No to co jest z twoją ręką? - zapytał wysoki.

- Bolą mnie palce.

- Następnym razem nie wtykaj ich tam, gdzie nie trzeba! - Cała kompania ryczała ze śmiechu, gdy Misza wypadł przez podwójne drzwi na ulicę.

Szedł szybkim krokiem, prawie biegiem, Burłak ociągał się kawałek za nim.

- Hej, Michaił, dokąd idziemy?

- Tu niedaleko jest staw.

- Staw?

- Tak, nie ma innego wyjścia. I nie myśl, że jesteś poza zasięgiem. Odłamki lecą na sto metrów.

W ciągu paru minut znaleźli się nad stawem, w bezpiecznej odległości od najbliższych budynków, od których odgradzały ich drzewa. Powierzchnię sztucznej sadzawki pokrywała cienka warstewka topniejącego lodu. Misza wyjął rękę z granatem z kieszeni płaszcza. Ledwo mógł poruszać zdrętwiałymi palcami. Spojrzał po raz ostatni na stalową kulę i niezdarnie cisnął ją w powietrze. Burłak bez tchu patrzył, jak granat leniwie wznosi się nad powierzchnią stawu, a potem nagle przebija lód i znika.

- Wynośmy się stąd - powiedział Misza, odwracając się plecami do stawu i masując prawą rękę.

Z dna zbiornika dobiegł głośny wybuch. Wielki garb wody strzaskał lód, wzniosł się nad powierzchnię i opadł z głośnym pluskiem.

Po powrocie do pokoju Miszy Burłak podniósł pistolet z podłogi i schował go do kabury pod pachą. Potem usiedli na kocu i zapalili. Burłak w końcu zapytał:

- Słuchaj, Michaił, skąd masz te cholerne dolary?

- Nie wiedziałem, że są fałszywe. Przysięgam na grób ojca.

Burłak nagle spoważniał.

- No to słuchaj, wiem, że paru facetów z bandy Tofika w Nowym Jorku i Niemczech mogło przerzucić te laserowe kopiarki, albo części, po jednej na raz, do Moskwy. Mam ich znaleźć i zlikwidować. Rozglądałem się po całej Czeceńskiej Brygadzie, i nic. A nagle ty wyskakujesz z czymś, czego szukam. Skąd to masz?

- Reso w zeszłym miesiącu wypłacił mi nim pensję.

- Reso? - zapytał ze zdziwieniem Burłak. - Reso jest kapitanem u Giwiego i Tofika. Co ty z nimi robisz?

- To był pomysł Pawła i lepiej nie wspominać o tym nikomu, jeśli nie chcesz wpakować się w szambo. Reso jest bossem u Giwiego i płaci nam fałszywymi dolcami. Lepiej natychmiast zawiadom o tym Pawła.

- Jasne. Gdzie można znaleźć Resa?

- Wraz z dwoma porucznikami Giwiego, Żurabą i Czaczą, zajmują apartament w hotelu „Rossija”, numer 539.

Burłak jeszcze raz obejrzał fałszywą studolarówkę.

- Wydrukowana na laserowej kopiarce Xerox, i obrazek jest w porządku. Gdzie trzymają tę maszynę?

- Myślę, że robią to w hotelu.

- Trzeba z tym skończyć. Zekki będzie wściekły, jak się dowie, że ktoś zapaskudza mu rynek przygotowany na porządny towar. - Burłak podszedł do skrzynki, w której Misza przechowywał granaty. - Nie boisz się trzymać tego w pokoju?

- Wysprzedają je stopniowo. Przywiozłem dwa tuziny z Afganistanu. Teraz zostało mi jedenaście.

- Odstąp mi parę.
- Ile?
- Pięć, może sześć.
- Dziesięć tysięcy - oświadczył zdecydowanie Misza.
- Żartujesz?
- Dobrze amerykańskie czy belgijskie spluwy chodzą po sto tysięcy. Jedna cytrynka może narobić więcej szkody niż dziesięć *Coltów*. Myślę, że to rozsądna cena.
- Wezmę jeden, jeśli można zapłacić później.
- Nie ma problemu. Zanim go rzucisz, sprawdź, czy masz się gdzie schować. Odłamki mogą zabić z przeszło pięćdziesięciu metrów.
- Będę uważał - odparł Burlak.

Paweł siedział w restauracji „Kaspijskiej”, zajęty konsumpcją czarnego kawioru na toście i mrożonej wódki, gdy Burlak znalazł go i przywołał ruchem ręki. Paweł niechętnie wstał od stołu i spotkał się z Burlakiem przy drzwiach. Razem ruszyli chodnikiem do czarnej Wołgi. Wsiedli i Burlak rzucił Pawłowi studolarówkę. Paweł uważnie obejrzał banknot.

- Psują interes - mówił Burlak. - Prędzej czy później gliny zauważą podróbki i zrobią się czujne.
- Co chcesz zrobić? - zapytał Paweł.
- Pozwól mi załatwić tych sukinsynów. I co robi Misza w gangu Tofika? Myślałem, że pracuje dla nas!
- Nie twój interes. Nie wspominaj o tym nikomu. A co do nich, nic nie zrobimy.
- To znaczy, że mamy zostawić ich w spokoju? - zapytał z niedowierzaniem Burlak.

- Jeżeli Giwi może rzucać fałszywki na rynek, to inni też nie próżnują. Po prostu przyczaimy się i zaczekamy z produkcją prawdziwego towaru. Niepotrzebnie odrywałeś mnie od kolacji. Wsiadaj i trzymaj gębę na kłódkę.

Burlak stanął na ciemnej ulicy i patrzył, jak tylne światła Wołgi nikną w dali. Najpierw dźgnięcie w tyłek, potem doświadczenie z granatem i zagrożenie planu, nad którym pracował z Zekkim w Nowym Jorku, a teraz źle skrywana pogarda Pawła. Wrzała w nim wściekłość i w głowie miał tylko jedno. Hotel „Rossija”, apartament 539. Pomacał stalową skorupę granatu w kieszeni.

Od hotelu dzieliło go dziesięć minut szybkiego spaceru. Po wejściu od północnej strony zobaczył znajomą, ostrą twarz kapitana Giwiego, Resa. Starał się schować w tłumie, ale bystre oczy Resa wypatrzyły go. Burlak wiedział, że Reso go poznał, chociaż ostatni raz widzieli się przed paroma miesiącami. Na szczęście Reso musiał mieć

umówione ważne spotkanie, bo inaczej zatrzymałby się i zaciekał, co członek rywalizującego gangu robi w hotelu, w którym mieszkają jego ludzie.

Burłak pojechał windą na czwarte piętro i minął etażową siedzącą za biurkiem. Niedbale machnął ręką w stronę, z której dochodziła wrzawa hulanki.

- Czekają na mnie - mruknął.

Kobieta skinęła głową. Impreza trwała na całego. Od strony drugiej windy nadeszło dwóch mężczyzn z krzykliwie wymalowanymi dziewczynami w jaskrawych sukniach. Towarzystwo z daleka pokiwało etażowej i ruszyło w głąb korytarza. Burłak podążył za nimi. Minął kelnera wychodzącego z apartamentu po dostarczeniu drinków i patrzył, jak witane okrzykami dwie pary przyłączają się do zgromadzenia.

Staął w drzwiach z rękoma w kieszeniach baraniego kożuszka, omiatając biesiadników czarnymi, wypranymi z emocji oczyma. Wokół długiego, niskiego stołu siedziało kilku ludzi Giwiego, zajętych piciem i zabawianiem zmysłowych dziewczyn. Tuż za drzwiami stała wielka paka z niemieckimi napisami. Burłak założył, że zawiera kopiarke, na której drukują fałszywe dolary.

Wyrwał zawleczkę i rzucił stalowy pocisk na stół, między butelki i szklanki. Jedna z dziewczyn krzyknęła przeraźliwie. Burłak wypadł na korytarz i uciekł od ściany skazanego na zagładę apartamentu. Ułamek sekundy później huragan ognia i stalowych odłamków zmasakrował obecnych, poszatkował wielką pakę, wypchnął okna z futrynami, zniszczył telewizor i nawet przebił się przez ścianę na korytarz. Zbłąkany odłamek lekko drasnął Czeczeńca w policzek.

Zamachowiec, dusząc się w kłębach dymu, rzucił się pędem do windy. Na chwilę stracił słuch i nie był świadom wycia alarmu pożarowego ani pisków pracowniczki hotelu, której biała twarz mignęła mu przed oczyma. Drzwi windy otworzyły się i wpadł do środka, nie zwracając najmniejszej uwagi na ludzi, którzy z grozą przyglądali się jego dzikiej, ciemnej twarzy poznaczonej smugami krwi i czarnymi cętkami popiołu. Na parterze zamarł na widok Resa, który widocznie z jakiegoś powodu musiał zawrócić. Kapitan zauważył Burłaka i zaczął przepychać się przez tłum, by dopaść człowieka, który, jak teraz wiedział, musiał być przyczyną zamieszania.

Burłak skulił się i schował głowę w ramiona. Udało mu się ominąć Resa i wydostać na ulicę. Pomachał na taksówkę i wskoczył do środka. Krzyknął adres, upychając banknoty w kieszeni kierowcy.

Opadł na fotel i schował twarz w brudnych dłoniach.

W jego głowie kołatała się jedna myśl: musi zejść na dno i przyczaić się na długi, długi czas.

18.

Po śmierci Potmy pozostali gangsterzy zastanawiali się, jak najlepiej poradzić sobie z Bugajem, potężnym i okrutnym adiutantem zamordowanego. On i jego banda, pozabawiona generała, który by nimi kierował, stanowiła zagrożenie dla złodziejskiej dyscypliny w obozie. Maksym wysłał do Bugaja swojego adiutanta z propozycją współpracy i obietnicą przyznania generalskiego tytułu.

Taka oferta dowodziła, jak potężnym człowiekiem był Bugaj i jaki wzbudzał lęk. Wśród adiutantów uchodził za żywą legendę. Wysoki na ponad dwa metry, cechował się wrodzoną porywcznością i agresją. Został zatrzymany i skazany za zgwałcenie i zamordowanie trzech dziewcząt oraz sześciu chłopców - wolał ich, bo walka z nimi stanowiła większą podniętę. Sąd skazał go na śmierć, ale skoro prawo nie zezwalało na przeprowadzanie egzekucji skazanych poniżej osiemnastego roku życia, zmieniono wyrok na piętnaście lat w obozie pracy. Kara nie wpłynęła na charakter Bugaja. Po odsiedzeniu pięciu lat przeniesiono go z kolonii dla nieletnich do łagru w Tulun i przydzielono do baraku, w którym rządził Potma.

- Złamać go z miejsca! - rozkazał komendant.

W ciągu godziny czterech z poruczników Potmy zostało paskudnie poranionych, a dwóch innych uciekło z baraku przed szalejącym olbrzymem.

Incydent stał się znany w całym obozie, wywołując wiele śmiechu i plugawych żartów. Administracja obozu też uznała zdarzenie za dobry kawał. Dwaj tchórzliwi porucznicy stracili stanowiska i wkrótce zostali cwelami - biernymi partnerami homoseksualnymi, należącymi do najbardziej poniżanej i dręczonej kategorii więźniów.

Maksym, wysuwając potężnemu bandycie ofertę współpracy i zatroszczenia się o jego przyszłą karierę, postawił jeden warunek: we właściwym momencie Bugaj i jego ludzie pomogą mu zabić Japończyka. Bugaj zgodził się bez namysłu.

Kilka dni po przesłuchaniu w biurze Karamuszewa, strażnicy wpuścili Maksyma do celi Japończyka. Była późna noc, po zgaszeniu świateł. Japończyk, czekając na odwiedziny, ustawił na niskim stoliku butelkę armeńskiego koniaku, talerz z kanapkami i dwa kryształowe kieliszki. Później, w nieskazitelnie wyprasowanej błękitnej koszuli i czarnych dżinsach, zasiadł za stołem.

Maksym pojawił się w stroju więziennym, który składał się z grubej, sięgającej do pasa i ocieplanej bawełną kufajki, ciemnych luźnych roboczych portek i walonek -

filcowych zimowych butów, będących najpospolitszym obuwiem wśród więźniów w obozach na Północy.

Wchodząc do celi zdjął buty, pod którymi miał grube wełniane skarpety - luksus, na jaki mógł pozwolić sobie tylko gangster.

- Słyszałem, że wracasz do baraku - zagadnął Japończyk lekkim tonem. - Planujesz jakąś akcję?

Maksym potrząsnął głową.

- Myślę, że ludzie przez pewien czas chcą mnie mieć pod ręką. - Usiadł na podłodze, nalał sobie pełen kieliszek koniaku i wypił.

- Przekąś coś - zaproponował gospodarz.

Maksym nalał sobie kolejną porcję i wypił, potem wziął plasterek szynki, położył go na kromce chleba i zaczął przeżuwać leniwie.

- Musimy pogadać, Japończyk. Poważna sprawa. Dla nas wszystkich.

- Bez Tofika i Josika?

- Właśnie. Nadchodzą kłopoty. Tobie i mnie grozi niebezpieczeństwo.

Japończyk patrzył na niego zimno.

- Kto zwołał ostatni *schod* i ustawił Potmę tak, by próbował podkopać mój autorytet?

- Tofik. On jest przeciwko tobie, przeciwko nam obu. Spiskował z Potmą i Josikiem, by pozbyć się nas.

- Nie rozumiem. Co złego zrobiłem Tofikowi? Nie mam pojęcia, co łączy go z tobą?

Maksym poderwał głowę i przysunął twarz do oczu Japończyka. - Po tym, jak załkłeś Potmę, Josik bał się sprzymierzyć z Tofikiem przeciwko tobie i mnie. Wczoraj w nocy przyszedł do mojej celi i wyznał mi całą prawdę. Tofik chce cię zabić, bo podejrzewa, że twój Burlak załatwił jego Gruzinów w Nowym Jorku, w restauracji „Kiev”. Co najmniej tuzin osób rozpoznało Burlaka i wiadomo, że to ty wydałeś rozkazy. Z tego powodu jego plan puszczenia w obieg fałszywych pieniędzy odwlekl się o kolejne pół roku.

Japończyk był przygotowany na oskarżenie i przybrał urażony wyraz twarzy.

- Tofik myli się myśląc, że mógłbym sięgnąć z obozu Tulun do Nowego Jorku i każyć zabić jego ludzi.

- Zgadzam się, Japończyk. Powiedziałem Tofikowi, że nie ma racji. Ale jakby było mało, właśnie dostał wiadomość, że twój Burlak załatwił granatem czterech jego ludzi i dwie kobiety w ich apartamencie w hotelu „Rossija”. A dzisiaj posłaniec doniósł mu, że stracił kolejnego człowieka w Nowym Jorku.

Japończyk nie okazał żadnych emocji, gdy usłyszał o samowolnym wybryku Burlaka.

Paweł nigdy nie pozwoliłby na coś takiego. Zamach w hotelu „Rossija” był następną bardzo bolesną wskazówką, do jakiego stopnia utracił kontrolę nad własną organizacją.

- Jeżeli coś takiego się stało, to nie na moje rozkazy.

- Tofik jest innego zdania.

- Co jeszcze powiedział Josik?

- Jest przerażony i chce trzymać się z daleka od całej sprawy.

- Nie uda mu się. Zaproponowałem mu wybór.

- Tak. Poza tym będziemy potrzebowali jego ludzi.

- Co przez to rozumiesz, Maksym?

- Tofik zapłacił milion rubli, żeby Karamuszew namówił szefa łagru i jego zastępcę do wyprowadzenia żołnierzy na parę godzin z obozu. Porucznicy Tofika rozpoczną walkę i zadżgają nas obu.

- Dlaczego ciebie?

- Tofik chce mojej śmierci, bo moi ludzie w Odessie przejęli hazard na wybrzeżu Morza Czarnego. Kilka gruzińskich gangów nieźle mu zapłaci za wykonanie wyroku.

Maksym wychylił trzeci kieliszek koniaku, beknął potężnie i podjął:

- Później żołnierze wrócą i wykończą niedobitki naszych band.

Naczelstwo więzienia zostanie nagrodzone wzmiankami pochwalnymi za stłumienie buntu zorganizowanego przez dwóch uznanych gangsterów: ciebie i mnie.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi celi. Karamuszew, zawsze pełen uszanowania, zaczekał na zaproszenie Japończyka i dopiero wtedy wszedł.

- Komendancie, mój drogi - przywitał go wylewnie Japończyk - co za miła niespodzianka. - Odwrócił się w stronę drzwi *bani*. - Maria!

Maria, na wpół naga i wcale tym nie speszona, pojawiła się z dwiema butelkami koniaku.

- Miło cię widzieć, dziewczyno - huknął komendant, zzuwając buty. - Bądź dobrym kumplem, przynieś szklankę staremu człowiekowi. Na dworzu ziąb jak cholera. Napitbym się czegoś dobrego.

Japończyk skinął na Marię.

- I przynieś nam trochę szynki.

- Dziękuję, Japończyk. Ty naprawdę szanujesz starych ludzi. Taka troska rozgrzewa duszę lepiej od wódki.

Maria pojawiła się u boku komendanta ze szklanką i specjalnie dla niego zarezerwowaną butelką wódki. Karamuszew poczęstował się szynką.

- To dopiero coś - pochwalił, pijąc wódkę i zając przekąski przygotowane przez Marię. - Tylko Ukraińcy wiedzą, jak wędzić szynkę.

Japończyk i Maksym zaśmiewali się z uznaniem, gdy komendant opróżnił butelkę

i wyrażał swoją opinię na temat Madonny, amerykańskiej piosenkarki, którą oglądał na wideo.

- Jeżeli ona ma cycki, to nasze dziewczyny mają prawdziwe bufory!

Po paru dalszych kolejkach i kanapkach Japończyk sprowadził rozmowę na właściwy temat.

- Jesteś teraz bogatym człowiekiem - powiedział do najwyraźniej pijanego komendanta. - Mówisz, że Tofik dał ci milion rubli?

- Pomyślałem, że do miliona od Tofika mogę dodać mały prezencik od was - huknął Karamuszew. - Tofik obmyślił chytry plan wykończenia ciebie i Maksyma pod nieobecność wartowników. Proponuję, żebyście pierwsi uderzyli ze swoimi ludźmi, a odrobinę później pomogą wam moi żołnierze.

- Jaka pewność, że będziemy bezpieczni? - zapytał bez osłonek Maksym.

Karamuszew nalał sobie następną szklankę wódki, wychylił ją duszkiem jak wodę i przegryzł pomidorem. Do Maksyma powiedział:

- Cóż, młody człowieku, powinieneś zawsze ufać starszym od siebie. Ustalono, że dwie trzecie forsy od ciebie i Japończyka odbiorę dopiero po całej imprezie. Tak?

- Ile chcesz? - spytał Japończyk. Karamuszew wzruszył ramionami.

- Niewiele. Drugi milion. A dla was na pół to naprawdę pestka.

- Ja odkryłem spisek! - krzyknął Maksym. - Dam czterysta tysięcy. Resztę niech dołoży Japończyk.

Japończyk skinął głową.

- Zgoda. - Zwrócił się do komendanta: - Twoje informacje i przyjaźń są warte więcej niż pieniądze. Kiedy Tofik ma zaatakować?

- Termin został wyznaczony na poniedziałek. Za cztery dni. Przygotujcie się do ataku w niedzielę, dzień przed nimi. To daje wam dwa dni, jutro i sobotę, na przygotowania.

- Po czyjej stronie staną porucznicy Potmy? - zapytał Japończyk. - Idę o zakład, że Tofik już ich zwerbował. Ten Bugaj to kawał sukinsyna.

- Z broniącymi nas żołnierzami komendanta to żaden problem - zbagatelizował Maksym.

W trakcie jedzenia i picia omówili szczegóły i zdecydowali, że pieniądze zostaną dostarczone Karamuszewowi przez kuriera w sobotę. Kiedy chodziło o płacenie łapówek, nawiązanie kontaktu ze światem zewnętrznym było szybkie i łatwe. Komendant niepewnie stanął na nogi. Pusta butelka po wódce znaczyła miejsce, gdzie siedział.

- No, *gaspada*... - beknął - chyba o niczym nie zapomnieliśmy. Czeka na mnie praca. Jeżeli wyniknie jakiś problem, kontaktujcie się ze mną bez zwłoki. Miło się z wami gawędziło. Niestety, jak się mówi, „mróz i śnieg to nic dobrego, lecz czas odlać się,

kolego”. Na razie. - Wyszedł z celi.

Maksym opróżnił ostatni kieliszek koniaku i też zebrał się do wyjścia.

- Mam kupę spraw do załatwienia w barakach. Nie sądzę, żebym złapał chwilę snu, zanim nie będzie po wszystkim.

- Nigdy nie jest po wszystkim - rzucił cicho Japończyk.

- Masz rację. Szepnąć słówko twoim ludziom?

Maksym, tak samo jak inni generałowie, nigdy nie zaniedbywał okazji, by podkopać autorytet rywala, nawet u jego własnego adiutanta i bandy.

- Sam dam im znać.

Objęli się i pocałowali. Maksym wyszedł, drzwi celi zatrzasnęły się za nim z hukiem. Japończyk wrócił na miejsce i nalał sobie odrobinę koniaku. Drzwi *bani* uchyliły się ostrożnie i na progu stanął Karamuszew, absolutnie trzeźwy, jakby przez cały wieczór nie miał kropli alkoholu w ustach.

- Świetnie to odegrałeś, majorze. Wiedziałem, że te drugie drzwi do *bani* mogą się kiedyś przydać.

Karamuszew wbił w niego niebieskie oczy.

- Jesteś w cholernych opałach, Japończyk - powiedział poważnie. - Chcą cię załatwić. Nigdy nie widziałem takiego przedstawienia, jakie właśnie odegrał nam Maksym.

- Z wyjątkiem tego, jakie sam odstawileś - zachichotał Japończyk.

Przez usta komendanta przemknął konspiracyjny uśmiech. - Maksym i Tofik zapłacili mi pół miliona rubli za twoją głowę, i drugie pół za wyprowadzenie żołnierzy, żeby mogli załatwić Fofę i twoją ekipę. Zgodnie z planem mam cię zastrzelić pod koniec operacji.

Japończyk w milczeniu pokiwał głową.

- I wszystko to z powodu jakichś morderstw w Nowym Jorku, w Ameryce, obrażasz siebie? - medytował Karamuszew. - No, jeszcze ten granat, co rozniósł ludzi Tofika w hotelu „Rossija”. Potrafię zrozumieć, że to mogło ich zgniwać.

- Żałuję, że nie wiedziałem o tym ataku w Moskwie - rzekł Japończyk. - Jak się o tym dowiedziałeś?

- Pozwoliłem Tofikowi przyjąć gościa z Moskwy. - Komendant uśmiechnął się. - Chciałbym zrobić to samo dla ciebie, ale ktoś w prokuraturze jest cholernie na ciebie cięty i sprawdza twoich gości. Nie da rady. Robię, co tylko mogę, ale nie dziw się, że nie mogę zrobić wszystkiego. Do biura naczelnika właśnie przybył nowy młody administrator. Jak oni wszyscy, ma nadzieję, że pewnego dnia zostanie ministrem spraw wewnętrznych. Będę musiał zachować ostrożność, jeśli chcę odejść na spokojną emeryturę.

- Bardzo, bardzo wysoką emeryturę - uzupełnił Japończyk.

- Spróbuję ci pomóc, ale muszę też dbać o siebie i swoją rodzinę. Będę miał przynajmniej dwóch ludzi z karabinami maszynowymi do twojej ochrony.

- Szefie, po dzisiejszym przedstawieniu nie mam wątpliwości, że Tofik i Maksym zaatakują w sobotę. Nigdy nie wierzyłem, że Maksym nagle stał się moim przyjacielem i sprzymierzeńcem.

Karamuszew pokiwał głową.

- Dobrze to oceniłeś, Japończyk.

- To daje nam tylko dwa dni na przygotowania.

- Do jutra Maksym i Tofik już będą sobie gratulować, że nie dożyjesz niedzieli.

Obiecałem usunąć warty w sobotę na czas dostatecznie długi, by zdążyli zabić ciebie i twoją bandę.

- A co z bronią dla moich ludzi?

- Już oni mają czym o siebie zadbać. Ale ułatwię twoim porucznikom dostęp do magazynu z narzędziami.

- I jeśli jutro rano pozwolisz mi zadzwonić do mojego bankiera w Irkucku...

- Oczywiście - zapewnił skwapliwie Karamuszew.

- ...do wieczora będę miał twojego melona.

Karamuszew zerknął na niego badawczo.

- Ty wiesz i ja wiem, że dochodzenie dotyczące buntu w obozie jest jedyną rzeczą, jaka może zapobiec twojemu przeniesieniu z Tulun, dopóki Martinow nie załatwi ci zwolnienia.

Japończyk skinął głową.

- W przyszłym tygodniu dostaniesz następnego melona, jeżeli Tofik i Maksym nie przeżyją tych zamieszek.

Szef więzienia pokiwał głową.

- Uważaj na siebie, Japończyk.

- Nie martw się, komendancie. To frajerzy, a frajerzy zawsze są przegrani. Zawsze. Siadaj i napij się naprawdę, i poważnie pogadajmy o takich rzeczach jak zdobycie oskardów, dłuł i łomów dla moich ludzi. I o pieniądzach, może o diamentach i o tym, w jaki sposób starzy oficerowie stają się bogaci. - Ożywiła go perspektywa bitwy. - Maria! Gdzie ty jesteś, u diabła? Przynieś nam butelkę prawdziwej wódki... i oczywiście szynkę. Komendant lubi szynkę.

Jeden z wartowników Karamuszewa przyprowadził Fofę do siedziby Króla Podziemia. Adiutant z uwagą wysłuchał instrukcji Japończyka. Był niezwykle rozsądnym i zrównoważonym człowiekiem, najbardziej inteligentnym z pięciu adiutantów w obozie.

Znalazłszy się z powrotem w baraku Fofa poinformował swoich poruczników i popolitych łągierników, że konkurencyjne bandy uderzą w sobotę rano. Oddział wartowników miał na ten czas zniknąć z obozu, więc nikt nie mógł pośpieszyć im z pomocą. Japończyk wydał rozkaz przygotowania broni.

Fofa stał przodem do rzędów dwupiętrowych pryzc. Słuchali go ze swoich miejsc.

- No, chłopcy... wygląda na to, że wielu z nas może nie przeżyć. Maksym i Tofik chcą załatwić Japończyka i nasz gang.

- Hej, Fofa - zawołał jeden. - A co z *ziżykami*?

- W tym problem - odparł adiutant. - Japończykowi powiedziano, że Maksym i Tofik dobili targu z komendantem, by zatrzymał wartowników w koszarach.

Nikt nie odezwał się, gdy Fofa kontynuował:

- Mają przewagę trzech na jednego. Czterech na jednego, jeżeli przyłączy się Josik. Nie możemy walczyć z nimi na dworzu. Japończyk powiedział mi, że dogadał się z komendantem i kiedy *ziżyki* wrócą, staną po naszej stronie i skoszą z karabinów maszynowych wszystkich, którzy będą na placu. A teraz ci, którzy mają broń, niech zejść na podłogę. Zobaczmy, czym dysponujemy.

Zwyczajną broń ukrywaną przez więźniów stanowiły „szpikulce”, dłuta, zaostrome pręty albo śrubokręty dobre tylko do dźgania, oraz noże-samoróbki. Noże różniły się długością, czasami więźniowie-rzemieślnicy wyrabiali prawdziwe miecze długie na ponad pół metra. Rzemieślnik w obozie był osobą szanowaną i uprzywilejowaną.

Na nieszczęście na broń, która leżała przed Fofą, składały się tylko pospolite prymitywne szpikulce, około dwudziestu zaostrzonych śrubokrętów, jeden wielki, ostry jak brzytwa kuchenny nóż oraz parę zaostrzonych żelaznych łomów różnej długości, z tępyimi czubkami owiniętymi płóciennymi taśmami i sznurami dla lepszego uchwytu. Dla obrony pięćdziesięciu ludzi przed co najmniej stu pięćdziesięcioma napastnikami był to arsenał zdecydowanie niewystarczający. Mimo wszystko Fofa był zaskoczony ilością znalezionej broni. Ostatnie przeszukanie baraku miało miejsce zaledwie w zeszłym tygodniu i nie zaowocowało znalezieniem ani jednego z tych przyrządów.

- No cóż, chłopcy, to za mało. Musimy dostać się do magazynu z narzędziami, tego obok kantyny. - Rozejrzał się po kręgu więźniów-żołnierzy. - Musimy wybrać do tego najlepszych facetów. Oni zdobędą broń dla reszty.

Oczy Fofy spoczyły na Wołodii, młodym blondynie o czujnym, nawiedzonym spojrzeniu. Podobno miał tylko dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa lata, chociaż głębokie zmarszczki wokół ust, błękitnych oczu i na czole nadawały mu wygląd człowieka co najmniej trzydziestopięcioletniego. Siedział na niedalekiej pryczy. Adiutant wiedział, że jest on, sprawdzonym i zaprawionym w boju człowiekiem.

Jego historia była w barakach legendą. Wołodia dostał się za kratki w wieku siedemnastu lat, niesłusznie oskarżony o gwałt. W kolonii młodocianych zbito go do nieprzytomności, a gdy jako osiemnastolatek został przeniesiony do obozu w północnym Kazachstanie, wpadł w łapy „suk”, łagrowych kapo zaprzędanych administracji, którzy zajmowali się łamaniem więźniów. Wołodia przeszedł przez gehennę, nieledwie zakończoną jego śmiercią z powodu nieustannego katowania, gwałcenia i głodzenia. Później los się odmienił. Wołodia zorganizował własną bandę, wybił wszystkie suki w obozie i nadział ich głowy na szpikulce. Wybór Wołodii do tej kluczowej misji był więc dla Fofy rzeczą najbardziej oczywistą.

Fofa podał Wołodii litrową butelkę wódki.

- Daj to wartownikowi w przejściu. Jak nie weźmie, zabij go. I nie marudź w magazynie. Zabieraj, co potrzeba, i wracaj.

- Będę potrzebował pięciu ludzi - powiedział Wołodia.

- Wybierz, kogo chcesz.

Sześciu ludzi ze szpikulcami pod kufajkami, w czapkach-uszankach na głowach, rozglądając się czujnie, wyszło z baraku. Była prawie piąta nad ranem i na zewnątrz panowały absolutne ciemności. Obóz wydawał się wyludniony, tylko wartownicy stali na posterunkach. Ciemne sylwetki sześciu więźniów wyraźnie odcinały się od bieli śniegu.

Kiedy zbliżyli się do posterunku przy przerwie w drucianym ogrodzeniu, strażnik, osiemnastoletni chłopiec, podniósł *Kalasznikowa* z bagnetem na lufie.

- Stać! - rozkazał.

- Hej, *ziżyk*, nie strzelaj - szepnął Wołodia. - Musimy pogadać. Nie mam broni, ci faceci zostaną tutaj. Mogę podejść bliżej?

- Dobra. Pięć kroków. I bez głupich numerów, bo cię rozwalę.

Wołodia zrobił pięć kroków w stronę wartownika. Pomimo mrozu strugi potu spływały mu po plecach. Wyciągnął butelkę wódki.

- Prosta sprawa. Chcemy przejść, wrócimy dokładnie za pięć minut... wódka dla ciebie.

Wartownik popatrzył z namysłem na butelkę. Do końca służby zostało piętnaście minut. Nawet jeżeli więźniowie coś zmalują, zostanie to odkryte najwcześniej za godzinę, więc pójdzie na konto zmiennika. On wróci spokojnie do koszar, usmaży kartofle ze swoją drużyną, spłucze je wódką i pójdzie spać.

- Dobra - powiedział. - Dawaj.

- Najpierw otwórz.

Wartownik otworzył bramę i wpuścił ich do zony roboczej. Wołodia podał mu butelkę.

- Ruszać dupy! - krzyknął żołnierz. - Za piętnaście minut zmiana warty.

Sześciu ludzi pognało do magazynu. Wewnątrz paliło się światło. Wołodia zajrzał przez oblodzone okno. Przy stole siedział Ormianin, tłusty, kudłaty uprzywilejowany więzień.

Wołodia pchnął drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Zacisnął dłoń na rękojeści schowanego w rękawie śrubokrętu i wszedł. Jego przyjaciel Borys i czterech pozostałych zostało na zewnątrz, tuż poza polem widzenia.

Ormianin podniósł głowę.

- Hej, co tu robisz?

- Wpadłem z wizytą. Musimy pogadać.

- Kurwa, co to za gadanie po nocy? Kto cię wpuścił? Zabieraj dupę!

- Hej, człowieku, nie ma co się rzucać. Mówię ci...

- Wynoś się stąd, do diabła! Dałbym ci kopa, gdybym się nie bał, że but mi utknie w twojej dupie!

- Słuchaj, Ormianin, uspokój się.

- Możesz się wysrać kolczastym drutem!

- Jak ty?

- Zawołam straż!

- Hej, Ormianin, a co tam jest za tobą?

Prosta sztuczka zadziałała. Ormianin przekręcił grubą szyję i obejrzał się. Wołodia zrobił zamach i wbił śrubokręt w jego piersi, w dół znad lewego obojczyka, i natychmiast cofnął rękę. Wzniósł szpikulec do drugiego ciosu. Ormianin odwrócił się, łapiąc ręką za ranę.

- Pomocy! - ryknął na wartownika, próbując zerwać się na nogi, ale jego opasły brzuch zaklinował się pod stołem, co dało Wołodii czas na zadanie kolejnego ciosu. Szpikulec uderzył między nosem a lewym okiem, przebił cienką kość oczodołu i wniknął w głęb czaszki. Krew trysnęła z nozdrzy dwoma strumieniami i Ormianin runął z hukiem na podłogę.

Wołodzia zagwizdał cicho. Jego najbardziej zaufany przyjaciel, Borys, wpadł z pozostałą czwórką do środka, zamykając za sobą drzwi. Więźniowie mieli dwa wielkie worki i kilka poszewek na poduszki, w które zapakowali śrubokręty, młotki, pilniki i łomy. W trzy minuty opróżnili magazyn, zostawiając tylko parę tuzinów starych, potłamanych łopat.

Zginając się pod ciężarem narzędzi pobiegli do przejścia w drutach.

Wartownik ze zdumienia otworzył usta.

- Hej, ludzie, co wy chcecie zrobić? - zawołał, przepuszczając ich przez bramę.

- Dzisiaj wcześniej zaczynamy robotę! - odkrzyknął Borys. W baraku otworzono przed nimi drzwi. Sześciu rabusiów padło na beton, rzucając ładunek i łapczywie chwytając powietrze. Więźniowie natychmiast zaczęli wybierać sobie broń.

Zgodnie z rozkazem Japończyka Wołodzia i jego ludzie przynieśli więcej narzędzi, niż potrzeba, żeby mniej zostało dla wroga.

- Co z Ormianinem? - zapytał Wołodię Fofa.

- Śpi. Wszystko poszło gładko.

- Śpi? Jesteś pewien?

Szeroki uśmiech, z jakim Wołodzia przytaknęła, powstrzymał Fofę od zadawania dalszych pytań.

Tymczasem przed żołnierzem, który przyjął butelkę wódki, stanął dowódca warty.

- Gdzie mój zmiennik? - zapytał chłopak.

- Nie będzie zmiany. Wszyscy wracacie do koszar.

- Tak, ale...

- Zamknij się! Nie twoja sprawa.

Wartownik, zadowolony, że schodzi ze służby, przytulił butelkę wódki do brzucha i podążył za swoim oficerem.

Dwadzieścia minut po zejściu żołnierzy z posterunków i opuszczeniu przez nich głównego obozu, Bugaj wyprowadził z baraków poruczników Potmy. Z nożami za pazuchą, ruszyli główną ulicą obozu. Zatrzymali się niedaleko baraku, w którym czekał Fofa i jego ludzie. Kapitan wybrany do rozpoczęcia rozmowy podszedł do wrót baraku i zapukał głośno. Początkowo nie było odpowiedzi. Potem zaspany głos zawołał:

- Czego, do diabła?

- Wstawać, chłopaki - odpowiedział wesoło bandyta. - Bractwo postanowiło zacząć strajk. Chcemy wiedzieć, co myślisz barak. Otwórzcie drzwi.

Otworzono. Wewnątrz było ciemno. Wydawało się, że wszyscy śpią. Gdy oczy przyzwyczały się do ciemności, kapitan zobaczył otaczający go krąg ludzi Japończyka, z ciężkimi narzędziami w rękach. To była ostatnia rzecz, jaką zdążył zarejestrować. Miażdżący cios młotem w czoło uśmiercił go na miejscu.

Bugaj i jego czterej porucznicy czekali przez jakiś czas. Bugaj właśnie wydawał im rozkaz zdobycia narzędzi z magazynu, gdy drzwi baraku stanęły otworem i ukazał się w nich więzień z paczką w rękach. Świtało. Mężczyzna z baraku pokonał połowę odległości dzielącą go od Bugaja, rzucił mu pakunek, po czym zawrócił i pobiegnął do drzwi, które szybko zamknęły się za jego plecami.

Bugaj wysłał człowieka po rzuconą na śnieg paczkę. Brudna szmata rozwinęła się i w niemrawym świetle brzasku adiutant i jego ludzie zobaczyli odciętą głowę swojego kapitana. Spomiędzy strzępów skóry i mięśni wystawały resztki kręgosłupa.

Stojący najbliżej sapnęli na widok tej przerażającej odpowiedzi. Nim Bugaj zdołał zareagować, wrócił porucznik wysłany do magazynu.

- Bugaj! Siedzimy w gównie po uszy! - wydyszał urywanie. - Ormianin zabity, magazyn pusty! - I wcisnął w rękę Bugaja pokryty krwią śrubokręt.

Bugaj spojrział na narzędzie zbrodni i zaklął.

- Wszyscy do mnie! Zdobędziemy ten cholerny barak! - krzyknął. W jednej chwili cały gang Potmy, kierowany przez Bugaja, przypuścił szarżę na barak. Wszyscy wciskali swoje narzędzia w szczeliny wokół drzwi, ale łomy były wypychane od środka uderzeniami młotów. Gdy drzwi zaczęły ustępować, Bugaj usłyszał krzyki dochodzące z lewej strony. Odwrócił się od wierzei, za którymi czyhali gotowi do walki na śmierć i życie ludzie Japończyka, i zobaczył tłum więźniów wymachujących wszelkiego rodzaju narzędziami.

Na czele oddziału galopował Josik.

Zbity z tropu olbrzym doszedł do wniosku, że magazyn wyczyścili nie ludzie Japończyka, a Żyda. Bugaj zawrzał gniewem, czerwone kręgi zatańczyły mu przed oczyma. Odwrócił się, by stawić czoło atakowi z niespodziewanego źródła i kierunku.

Josik drobiazgowo wypełniał strategię nakreśloną mu przez Japończyka podczas potajemnego spotkania. Jego ludzie nienawidzili Bugaja bardziej, niż innych poruczników czy adiutantów w obozie, co ułatwiło wykonanie planu. Dotarła do nich plotka, ostrożnie rozsiewana przez samego Josika także na polecenie Japończyka - że Maksym ustalił, iż po tej całej imprezie Bugaj ma zostać generałem. Tego było dla nich za wiele. Łagiernicy zażądali, żeby Josik poprowadził ich na Bugaja, na czym właśnie zależało Japończykowi.

Josik szarżował główną ulicą na czele swojej „armii”. Po chwili obaj wodzowie stanęli naprzeciw siebie, ich ludzie znieruchomieli z tyłu. Josik zrobił krok w stronę gotującego się ze złości olbrzyma i nagle zawahał się. Ostrożny handlarz biżuterią spekulował, że może negocjacje położą kres wojnie przed jej rozpoczęciem. Głośno, chociaż jego głos zdradzał zdenerwowanie, krzyknął.

- Słuchaj, adiutancie! - Miał nadzieję, że przypomnienie o dzielącej ich różnicy stanowisk wróci rozsądek oszalałemu Bugajowi. - Musimy pogadać.

- Pogadać?! - ryknął Bugaj i pchnął Josika w brzuch śrubokrętem, którym godzinę wcześniej Wołodia zabił Ormianina.

- Mamo! - krzyknął Josik, osuwając się na kolana. Jego porucznicy wrzasnęli z furii i rzucili się do ataku. Dwa gangi starły się z wyciem i rozpoczęła się bezlitosna bitwa. Mniej więcej dorównywali sobie liczbą, ale stronnicy Bugaja byli rozproszeni. Ludzie Josika zaroiли się wokół nich, poszły w ruch młotki, łopaty i łomy. Bitwa przemieniła się w serię krwawych pojedynków.

Bugaj zlikwidował dwóch napastników uderzeniami potężnej lewej pięści; drugą ręką wymachiwał oskardem. W ciągu paru sekund zabił czterech ludzi i okaleczył trzech dalszych, jego oskard rozłupywał głowy jak melony. Rozległy się przeraźliwe wrzaski rannych.

Ludzie Bugaja też ponosili ciężkie straty, zginęli dwaj jego porucznicy. Martwi i ranni leżeli na śniegu, na białej powierzchni odcinały się plamy czerwieni.

Ludzie Japończyka obserwowali tę jatkę z baraku. Wreszcie Wołodia zbliżył się do Fofy.

- Chyba powinniśmy pomóc Josikowi.

Adiutant pokręcił głową.

- Za wcześniej. Japończyk kazał czekać na przybycie Maksyma i Tofika.

Wołodia wyrzwał przez szparę w drzwiach.

- Niedługo banda Josika przestanie istnieć.

- Japończyk dał taki rozkaz. Czekamy.

Prawie połowa ludzi Bugaja leżała martwa albo paskudnie poraniona na śniegu. W pewnej chwili paru najlepszych poruczników Josika skoczyło na masywnego adiutanta od tyłu. Bugaj był znienawidzony w obozie, wszyscy się go bali, i nadszedł właśnie czas zemsty. Jeden z atakujących dźgnął go w pośladek, drugi w plecy. Bandyta ryknął, odwrócił się i strzaskał młotem głowę jednego napastnika, a piersi drugiego otworzył oskarodem jak konserwę. Trzej pozostali cofnęli się, wysuwając szpikulce przed siebie. Bugaj cały czas tracił ludzi, wokół niego też zamykał się pierścień wrogów. Zginąłby, gdyby z baraku nie wypadła następna chmara więźniów. Prowadzili ich Maksym i Tofik, z siekierami w rękach. Mieli przewagę liczebną, a poza tym zaszli bandę Josika od tyłu, więc wielu jego ludzi padło z rozłupanymi głowami.

Czekający w baraku Fofa doszedł do wniosku, że Japończykowi chodziło właśnie o ten moment.

- Czas ruszać! - krzyknął. Ledwo go było słychać w zgiełku toczącej się na zewnątrz bitwy. - Bo inaczej stracimy przewagę zaskoczenia... Gotować się, chłopaki. - Cisnął na ziemię niedopałek papierosa. - Otwierać wrota! Nie zlejcie się w spodnie! Jestem z wami! Wpakujemy ich do szamba, głowami naprzód!

Skrzydła bramy rozchyliły się i pięćdziesięciu ludzi, dobrze uzbrojonych dzięki wyprawie Wołodii do magazynu, przypuściło milczącą i zajadłą szarżę. Niespodziewany atak zepchnął w tył zaskoczonych wojowników Maksyma i Tofika, zajętych walką z gangiem Josika. Kilku poruczników uplasowało się w tylnych szeregach, by pchać do przodu mniej chętnych łagierników. Ludzie Japończyka wdarli się we wrogi tłum jak stado wściekłych byków, ich ciężka broń zadawała głębokie rany i śmierć, krew bluzgała w twarze walczących. Skłębiona tłuszczą ruszyła na ogrodzenie, jedni więźniowie w próbie ucieczki przed rzezią przecinali druty, drudzy przeczołgivali się pod

nimi, jeszcze inni rzucali wprost na kolczastą przeszkodę.

Maksym i Tofik z determinacją stawili czoło niespodziewanie silnemu gangowi Japończyka. Obaj przywódcy byli czerwoni od krwi płynącej z ran.

Bugajowi udało się zranić jednego z poruczników Japończyka. Poderwał go na nogi jak szmacianą lalkę i ryknął:

- Gdzie jest Japończyk?

Podbiegł do niego Maksym.

- On jest w wewnętrznym więzieniu, ty idioto! Bierz paru ludzi i idź tam! Nie jest strzeżony, załatwiłem to z majorem! Możesz wykończyć tę gnidę...

- Zamknij się. Wiem, co zrobić! - warknął Bugaj. Pociągnął jęczącego porucznika za sobą, podniósł swój oskard i ruszył kulawo w kierunku budynku więzienia. Zraniony pośladek doprowadzał go do szału.

Obie strony poniosły ciężkie straty, tylko połowa więźniów kontynuowała walkę; wielu próbowało odczołgać się w bezpieczne miejsce. Wyczerpany zażartą bijatyką Wołodia uświadomił sobie, że czas się wycofać. W każdej chwili mogli wrócić wartownicy. Wtedy rzucili się na niego trzej ludzie Maksyma. Byli uzbrojeni w szpikulec, oskard i łom. Wołodia nie miał szans i uciekł, a napastnicy z wrzaskiem skoczyli za nim.

Przeskakując nad ciałami leżącymi mu na drodze, Wołodia wbiegł w przejście między barakami. Pościg został z tyłu, ale jemu też brakowało tchu - bieganie po śniegu w walonkach nie należało do łatwych zadań. Potknął się o porzuconą łopatę i upadł, jego młotek poleciał w bok. Usiadł w śniegu, bezbronny, łapczywie chwytając powietrze. Bitwa jeszcze się nie skończyła i jego wrogowie zbliżyli się, zaciskając ręce na broni.

Popatrz, jak wygląda koniec, pomyślał, zaskoczony własną obojętnością i brakiem strachu. Nagle stało się coś dziwnego. Ludzie, którzy już pochylali się, by go zabić, zatrzepotali rękoma i wypuścili śmiertcionośne narzędzia. Skrwawione strzepy materiału frunęły z ich waciaków, z dziur w piersiach wydobył się dym, a potem strumienie krwi. Trzej napastnicy upadli, ryjąc nogami śnieg. Filcowy walonek jednego zsunął się z nogi i poszybował w powietrzu. Dopiero wtedy Wołodia zdał sobie sprawę, że słyszy terkot karabinów maszynowych.

Zagrzebał się w śniegu - w ostatniej chwili. W ciągu paru następnych sekund rozpętało się piekło. Setka karabinów maszynowych siekła pole bitwy, grad kul wzbijał fontanny śniegu. Żołnierze ustawili się w szeregach wzdłuż zasp za drutami wokół zony baraków. Rozwidniło się i więźniowie stanowili łatwe cele.

Kule kosiły ludzi tuzinami, ołowiane pociski przeszywały ciała, roztrzaskiwały mózgi, odcinały ręce i uszy, wydzierały z kufajek kłęby przesiąkniętej krwią bawełny. Więźniowie, którzy byli bliżej linii strzeleckich, w ciągu paru sekund zostali zmieceni huraganowym ogniem.

Przerażeni więźniowie zaprzestali walki i zaczęli uciekać we wszystkie strony, w biegu rzucając broń. Na początku strzelaniny niektórzy z obdarzonych większym refleksem szybko padli na ziemię i zagrzebywali się w śniegu. Inni skierowali się do drzwi baraku, lecz tylko nielicznym udało się skryć wewnątrz. Nawet w środku nie było bezpiecznie, kule wpadały przez uchylone drzwi i okna. Ci, którzy przeżyli, pochowali się pod pierwszym rzędem prycz, gdzie mogli liczyć na względne bezpieczeństwo.

Po kilku minutach plac opustoszał. Na pobojowisku zostali ranni i martwi, niektórzy rozpostarci na kolczastych drutach.

Wołodii udało się przeczołgać z zaspy do baraku. Fofa był jednym z pierwszych, który dotarł do drzwi. Otworzył je i dał nurka do środka, gdy seria już rwała ziemię za jego nogami. Za nim runęli więźniowie z gangu Japończyka, zbroczeni krwią i pokryci ranami. Niektórzy padali, trafieni w chwili, gdy myśleli, że już są bezpieczni. Na podłodze kłębiły się skrwawione, wyjące ciała. Fofa zamykał drzwi przed gradem ołowiu, gdy inni też ruszyli w stronę baraku.

- Nie zamykaj! Kurwa, czekaj! - wrzeszczeli. Wpadli w krzyżowy ogień co najmniej dziesięciu karabinów. Fontanny śniegu, drzazgi i iskry strzeliły w powietrze, gdy padali z krzykiem, jakby zmiotani przez gigantyczną miotłę. Ten, który biegł na czele, rzucił się na zamknięte drzwi, plamiąc podziurawione deski strugą czerwieni.

Fofa cudem wyszedł bez szwanku z tego pogromu, Wołodzia również został oszczędzony przez los.

Ogień karabinów uciął równie nagle, jak się rozpoczął. Zapadła cisza. Wszędzie leżały trupy i porzrzucone narzędzia.

Potem dały się słyszeć pierwsze jęki rannych, coraz głośniejsze, coraz bardziej żałosne. Szok mijał, ból zaczynał ogarniać poszarpane kulami ciała. Wielu rannych zaczęło poruszać się niepewnie, kilku spróbowało popełznąć w kierunku baraków. Rany zadane przez kule i ciężkie narzędzia były okropne, nie do wyleczenia w skromnym obozowym lazarecie. Niektórzy więźniowie mieli odcięte palce i ręce, wystrzępiona skóra zwisała z kikutów jak skrwawione szmaty. W najgorszej sytuacji byli ci z ranami postrzałowymi w brzuch, skazani na okropnie bolesną, nieuchronną śmierć.

Nadszedł czas dla więźniów, którzy udawali martwych.

Wielu zerwało się na nogi i pobiegło do baraków. Znów rozległy się sporadyczne wystrzały, gdy żołnierze i oficerowie zabawiali się w strzelanie do ruchomych celów.

Dwustu żołnierzy i dwudziestu pięciu oficerów w sumie opróżniło po trzy magazynki z trzydziestoma nabojami. Kiedy otrzymali nowe rozkazy, włożyli w gniazda *Katasznikowów* następne magazynki i założyli bagnety, po czym, trzymając karabiny przed sobą, weszli tyralierą do zony.

Ocaleli więźniowie obserwowali ich z okien baraków i przez uchylone drzwi. Wiedzieli, że są bezpieczni, że żołnierze nie mają rozkazu strzelania do niedobitków w barakach. Ale na tych, którzy leżeli na śniegu, został wydany wyrok śmierci. Raz jeszcze w mroźnym powietrzu rozbrzmiał huk wystrzałów. Żołnierze kluli ciała bagnietami, a gdy następowała reakcja, strzelali. Jeden z więźniów wiszących na drutach jęknął i zaczął się poruszać. Żołnierz podszedł do niego od tyłu i posłał serię w tułów, który dosłownie rozerwał się na strzępy.

Do zony, niedaleko baraku Maksyma i Tofika, wkroczył na czele przybocznego oddziału sam major Karamuszew. Jeszcze nie wszystko było wyjaśnione. Gdy zbliżył się do baraku, drzwi zaskrzypiały i w szczelinie ukazała się głowa Maksyma. Żołnierze poderwali lufy, ale dowódca rozkazał im opuścić broń. Skinął na Maksyma, zapraszając go do wyjścia. Gangster, ciężko ranny w nogę, niezdarnie zbliżył się do komendanta. Jego więzienna kufajka, z której sterczały kłaki bawełny, była przesiąknięta krwią, lewa ręka, strzaskana łomem, wisiała bezwładnie. Ale szedł zdecydowanie w stronę majora, nadal myśląc, że podarowany milion rubli zapewnia mu bezkarność. Prawą rękę chował pod połą podartej kufajki.

- Cześć, komendancie - przywitał się. - Jakaś zmiana w planach? Wydaje się, że wróciliście trochę wcześniej. Nie tak się umawialiśmy.

- O jakiej umowie mówisz? - Karamuszew rozpiął kaburę.

- Hej, komendancie... dostaliście pieniądze. To nie w porządku. - Maksym wlepił przerażone i pełne nienawiści oczy w kaburę. - To pomyłka. Możesz za to zapłacić...

- Ja nigdy nie popełniam błędów, Maksym - oświadczył zimno major. Wyciągnął pistolet.

- Możesz... możesz za to skończyć ze szpikulcem w brzuchu! - Maksym krzyknął gorączkowo. Wcisnął guzik na rękojeści sprężynowego noża i wyciągnął go zza pazuchy. Chciał skoczyć na komendanta, ale zraniona noga odmówiła mu posłuszeństwa. Stracił ostatnią szansę.

- Przypuszczam, że to ty się pomyliłeś - warknął Karamuszew i dwa razy strzelił Maksymowi w brzuch.

Maksym osunął się na kolana, z szeroko otwartymi ustami, zaciskając ręce na brzuchu. Nóż upadł w śnieg.

- Aaach... pierdolone bydłę... - wycharczał. Strumyczek krwi spłynął z kącika jego ust. Karamuszew zbliżył się do klęczącego generała i przyłożył mu lufę do czoła. Kolejny strzał rozbrzmiał w mroźnym powietrzu.

Ciało Maksyma potoczyło się w tył, krew buchnęła ze strzaskanej czaszki i wytopiła w śniegu wielką, czerwoną dziurę. Głowa Maksyma wpadła w dołek, zarośnięty podbródek wymierzył w szare, pochmurne niebo.

Karamuszew rozejrzał się i zobaczył nadchodzącego Tofika, w rozpiętej kufajce, ze sterczącym wielkim brzuchem. Wielkie łapska zapaśnika wisały luźno u boków. Sowie gruzińskie oczy patrzyły na komendanta poważnie, obojętnie, jakby skoncentrowane na czymś za jego plecami. Krótkie, kręcone włosy Tofika były prawie białe, lewa skroń wysmarowana krwią.

Karamuszew niecierpliwie machnął na niego pistoletem.

- Na kolana, gnido - warknął. - Szybciej!

Tofik nie zwrócił najmniejszej uwagi na jego słowa.

Głośno i z godnością powiedział:

- Sam jesteś gnidą, komendancie, śmierdzącą gnidą. Wiesz co? Wsadź sobie tę łufę w dupę. Może zrobi ci się cieplej, bo dzisiaj jakoś mroźno.

I splunął. Ślina spadła na buty Karamuszewa. Tofik otarł usta włochatą dłonią i odwrócił się do niego plecami. Zrobił kilka kroków w stronę baraków i wznosił ręce. Zwracając się do więźniów, którzy wyglądali przez zakratowane okna, krzyknął:

- Bracia! Wynieście tę wieść za druty! Japończyk zaplanował tę całą cholerną... - i urwał. Pociski z trzech karabinów maszynowych rozorały mu plecy od prawego ramienia do lewego boku i przelatowały przez niego, wydzierając z potężnych piersi kawałki ciała i potrzaskanych żeber.

Z jego kufajki uniósł się dym. Głowa Tofika odchyliła się w tył, oczy spojrzały w niebo; w ostatnim błysku świadomości zarejestrował szare chmury i stada wron, które już poczuły zapach krwi. Zrobił jeden chwiejny krok i padł twarzą do przodu, martwy w chwili, gdy dotknął śniegu. Jeden z żołnierzy podszedł i opróżnił magazynek w rozpostarte ciało.

Nagle do komendanta podbiegł zasapany żołnierz.

- Drzwi więzienia rozwalone! Dwaj wartownicy nie żyją!

Karamuszew zaklął głośno.

- Wszyscy za mną! - I pobiegł na czele żołnierzy w kierunku budynku więzienia.

21.

Bugaj biegł chwiejnie do budynku wewnętrznego więzienia, ciągnąc za sobą ranne go porucznika Japończyka. Stanął w głównym wejściu w chwili, gdy żołnierze w obozie otworzyli ogień do walczących zażarcie więźniów. Kryjąc się za grubym metalowym skrzydłem słyszał wyraźny grzechot karabinów maszynowych i zrozumiał, że coś tu jest nie tak. Chociaż to już nie miało znaczenia. Jedynym, na czym mu zależało, było dorwanie Japończyka.

- Nie słyszysz, co się dzieje? - krzyknął porucznik. - Lepiej wynieśmy się stąd, bo znajdziemy się w potrzasku.

- Nieważne! - ryknął Bugaj. Ruszył w dół po schodach, wlokąc bezradnego jeńca. Zatrzymał się przy metalowych drzwiach. Przez judasza zobaczył kamienne schody wiodące do cel w piwnicach. Oskardem metodycznie zniszczył zamek, a potem naparł ciałem na drzwi i je wyważył. Nie miał się na czym zatrzymać, więc pokoziołkował po schodach aż do opuszczanej kraty u ich podstawy. Terkot karabinów utonął w zgrzycie kołowrotu, którym podciągnął kratę do góry.

Bugaj prześlizgnął się pod ostrymi prętami kraty, ani na chwilę nie puszczając udrczonego porucznika, i znalazł się przed ciężkimi dębowymi drzwiami sanktuarium Japończyka.

Wzniósł oskard i strzaskał zamek jednym potężnym uderzeniem, potem pchnął przerażonego więźnia na korytarz.

- Ty pierwszy.

Porucznik zdążył zrobić tylko dwa kroki. Wystrzelona z drugiej strony korytarza seria pocisków rzuciła go z powrotem do stóp Bugaja.

- Żadnych wartowników, co? - Bugaj przycisnął potężne cielsko do ściany i znieruchomiał, z oskardem w obu rękach i nożem w zębach. W betonowym korytarzu rozległ się stukot podkutych buciorów i w polu widzenia pojawił się wartownik uzbrojony w karabin. Bugaj uderzył go w piersi ciężkim oskardem. Wprawione w niekontrolowany ruch ciało zderzyło się z drugim wartownikiem, wytrącając go z równowagi. Zaskoczony żołnierz nie zdążył oddać strzału. Bugaj skoczył ku niemu i wbił mu nóż w czoło.

Karabin rozjazgotał się na chwilę, kule zabębniły o sufit, gdy martwy wartownik osuwał się na beton. Porzucając skrwawione ciała i broń - wołał swój nóż - Bugaj zbliżył się do celi Japończyka.

Szarpnął za ostatnie drzwi. Były otwarte. Wpadł do środka, zapominając o zranionym pośladku.

Wygodnie urządzoną celę zalewało światło wiszącej pod sufitem żarówki. Japończyk stał na środku pomieszczenia, przygotowany i milczący, z błyszczącym *pczakiem* w prawej dłoni.

- Już nie żyjesz! - ryknął Bugaj, szykując się do ataku.

- Zobaczmy - odparł Japończyk z kamiennym wyrazem twarzy. Bugaj skoczył, tnąc dzielącą ich przestrzeń szerokimi, półkolistymi łukami noża. Japończyk zrobił unik i sam zadał cios, otwierając długą i głęboką ranę na przedramieniu prawej ręki olbrzyma. Krew trysnęła strumieniem, gdy Bugaj upuścił nóż i odskoczył z wrzaskiem.

Otrząsnął się w ułamku sekundy. Wyciągnął zranioną rękę i złapał Japończyka za gardło. Japończyk otworzył usta, ale stalowe szpony odcinały dopływ życiodajnego powietrza. W oczach mu się zaćmiło i zaczął tracić przytomność.

Potem, jakby we śnie, zobaczył Marię. Kobieta wyskoczyła z *bani* i sięgnęła do paleniska. Złapała płonąca kłodę i natarła na Bugaja z boku, waląc go pochodnią w ucho. Ucisk morderczych palców zelżał, a olbrzym ryknął niczym raniony niedźwiedź. Puścił Japończyka, odwrócił się do kobiety, złapał ją za włosy i uderzył w twarz. Ale Maria nie przewróciła się; czekała w pogotowiu, z nożem upuszczonym przez Bugaja. Z dzikim wrzaskiem wbiła mu ostrze w brzuch aż po rękoność. Czerwony od krwi bandzior przestał ryczeć i złapał ją za gardło. W niesamowitej ciszy Japończyk usłyszał coś, co zabrzmiało jak trzask łamanego kija. Pozbierał się z podłogi, porwał *pczak* i ciął nim po byczym karku. Trzymając masywną głowę za włosy zadawał jeden cios za drugim. Umiejętnymi, świadomymi ruchami dokonywał tego, co na zawsze miało utrwalić legendę Króla Podziemia w łągach. Krew bryzgała na wszystkie strony, ciało Bugaja dygotało konwulsyjnie, ale ruchy noża ustały dopiero wtedy, gdy odcięta głowa zawisła w ręce Japończyka. Głowa zdawała się żywa, jej rysy skurczyły się, gdy cisnął ją w palenisko. Ze skrwawionym nożem w ręku ukląkł obok Marii. Miała złamany kark. Nie mogła mówić. Usta jej zadrżały, źrenice wywróciły się w głąb czaszki. Japończyk w odrętwieniu patrzył na jej twarz. Coś zapiekło go pod powiekami, serce dziko tłukło się o żebra. Zamknął jej oczy, brudząc powieki krwią z własnych palców.

Nadal siedział na podłodze i patrzył na Marię, gdy do celi wpadł Karamuszew, z pistoletem w rękę, w towarzystwie uzbrojonych strażników. Major stanął jak wryty. Cela była zdemolowana, wszystkie meble połamane, naczynia potłuczone. Gdy odwrócił się w stronę kominka, spojrzały na niego szkliste oczy wyczernione osmaloną głową.

22.

Pół godziny później Japończyk i komendant siedzieli wygodnie w czystej *bani*. Na ławie przed nimi stała opróżniona do połowy butelka wódki. Wartownicy w zonie wrzucali trupy do otwartych ciężarówek. Mieli rozkaz spalić wszystkie ciała w krematorium.

- Pierdolony sukinsyn - warknął Japończyk. - Biedna Maria.

- Wiele w życiu widziałem, ale czegoś takiego jeszcze nie.

- Gdzie jest reszta?

- W piekle... możesz rozluźnić się i uspokoić. Już wszystko w porządku.

- Nigdy nie jestem rozluźniony... może dlatego nadal żyję... Jak tam jest na zewnątrz?

- Stosy trupów... całkowite zwycięstwo.

Przed barakami leżało sto dziewięćdziesiąt ciał, patrzących nieruchomymi oczyma w puste niebo. Dalszych dwudziestu pięciu martwych czekało na wyniesienie z baraku. Masakrę przetrwało trzydziestu ośmiu ludzi. Był wśród nich tylko jeden adiutant, Fofa. Wszyscy porucznicy zginęli. Los oszczędził jedyne poza Japończykiem generała, Josika, który został tylko zraniony i przeczekał strzelaninę w śniegu między dwoma trupami.

- Szefie, chciałbym pójść do izby chorych i zobaczyć się z Josikiem, nim zostanie przewieziony do szpitala w Irkucku.

Karamuszew skinął głową, dopił i wyprowadził Japończyka z celi.

Izba chorych, niewielka klatka o gołych ścianach, mieściła się na parterze wewnętrznego więzienia. Josik leżał na brudnej od krwi pryczy. Japończyk przyciągnął sobie krzesło i usiadł.

- No, okazałeś się cwańszy, niż myślałem - powiedział radośnie. - Gratuluję. Wykiwałeś tych cholernych głupców w jak najbardziej profesjonalny sposób.

- Tak, profesjonalista z dziurą w bebeczach. Do diabła, srałem ze strachu! - Josik syknął z bólu, przyciskając ręce do zranionego brzucha. - Kiedy znów znajdę się za drutami, będziesz pierwszym generałem, do którego się zwrócę, o ile ty też już wyjdiesz - dodał z mrugnięciem.

- Ty i Fofa, który też przeżył, i Wołodia, wszyscy niedługo znajdziemy się daleko stąd. Jak ci się udało nakłonić tych dwóch dupków, Maksyma i Tofika, do wykonania takiego idiotycznego ruchu? Czemu zwrócili się do Karamuszewa z prośbą o pomoc?

- Powiedziałem im, że zapłacicieś mu pół miliona za zabicie ich w celach. Zleli się w spodnie ze strachu i z miejsca polecili do majora. Zaproponowali mu dwa razy więcej za to, żeby im pozwolił cię załatwić. Później Karamuszew przyszedł do ciebie i, jak się domyślam, podwoił stawkę. Mam rację?

- Człowieku, to było genialne. Masz. - Japończyk wyciągnął butelkę. - Przyniosłem ci trochę koniaku. Wypijesz go w Irkucku, jak ci załatwią brzuch.

- A wtedy znów tu wrócę - poskarżył się Josik.

- Kiedy stąd wyjdę, spróbuję załatwić ci zmniejszenie wyroku. Czeka nas wielka przyszłość.

- Czuję się tak, jakbym tracił najlepsze lata swego życia.

- Nie wolno w ten sposób na to patrzeć. Dzień, w którym zostaniesz zwolniony, będzie pierwszym dniem reszty twojego życia.

23.

O jedenastej wieczorem, gdy Oksana właśnie skończyła sprzątać mieszkanie po małym przyjęciu dla przyjaciół z instytutu, rozległ się dzwonek. Niespokojnie wyszła z kuchni na korytarz. Wspomnienie trzech oficerów KGB nadal jej nie opuszczało, chociaż Paweł rozwiązał problem i już nie miała wrogów. Zerkając przez wizjer zobaczyła tylko zniekształcony bukiet czerwonych róż i białych lilii. Ostrożnie otworzyła drzwi zabezpieczone łańcuchem.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - usłyszała łagodny męski głos.

Wyjrzała przez szparę i zobaczyła znajomą postać w ciemnym płaszczu i futrzanej czapce. Zdjęła łańcuch i gość wszedł do środka, wysuwając ku niej kwiaty. Przystojny mężczyzna uśmiechał się przyjaźnie, lecz ona nadal nie mogła skojarzyć, skąd się zna ją.

- Mogę wejść? - zapytał, zatrzymując się tuż za progiem. Wręczył jej kwiaty i dodał: - Pomyślałem, że rozweselą wasze mieszkanie w zimną noc.

- Dziękuję. Tak, proszę wejść. Ale... co to wszystko znaczy? Czy ja was znam? Jesteście od Pawła?

- Kto, ja? - Uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Nie. Nie pamiętacie mnie, ale ja o was nie zapomniałem, ani moi koledzy. Major Borys Burienczuk, z milicji. Przypominacie sobie nasze ostatnie spotkanie na Pietrowce?

Niepokój powrócił, ale Oksana zdołała zachować zimną krew.

- Ach, oczywiście. Wejdźcie. Mogę zabrać płaszcz? - Borys był ubrany w brązowy trzyczęściowy garnitur. Oczy miał łagodne i również brązowe. Pamiętała, jak przesłuchiwał ją w dziwnie roztargniony sposób.

- Wówczas był październik, a teraz mamy koniec marca.

Oksana przez parę minut dzieliła kwiaty na dwa mniejsze bukiety. Borys wszedł za nią, gdy ustawiała je w wazonach w bawialni. Oksanie udało się złagodzić nieco męski charakter mieszkania ojca przez rozłożenie na ciemnych meblach jasnych serwetek w kwiatowe motywy.

- Są piękne - powiedziała. - Dziękuję wam, majorze Burienczuk. Przypuszczam, że jest jakiś powód, dla którego milicja chce ze mną rozmawiać.

- Proszę, usiądźmy. Mamy do przedyskutowania pewną kwestię. - Borys rozejrzał się po pokoju. - Przytulne mieszkanie.

Oksana wskazała krzesła przy kuchennym stole.

- Cóż za intryga kryje się za tą dziwną i miłą wizytą prawie nieznanego człowieka?

- Bardzo uprzejmie sformułowane pytanie. Z pewnością jakaś intryga istnieje. Musimy porozmawiać o poważnym problemie, który dotyczy nas obojga, mnie w sposób zawodowy, a was w osobisty.

- Jak pamiętam - Oksana zdobyła się na przepraszający uśmiech - nie mogłam służyć wielką pomocą podczas rozmowy w biurze.

- Ale może teraz wiecie coś więcej i zdołacie mi pomóc.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął małą czerwoną legitymację. Oksana zerknęła na zdjęcie i przeczytała nazwisko. - Wiem, pokazywanie dokumentów wydaje się żałosne. W rzeczywistości wielu facetów wyciera sobie o mnie nogi: oficerowie z okręgowego KGB, prokurator generalny, mój własny szef, pułkownik Nieczajew i również paru bandziorów, taki Japończyk czy choćby Paweł.

Oksana miała wrażenie, że wymierzono jej policzek. Więc to tak! A ona była na tyle głupia, żeby wspomnieć o Pawle zaraz przy drzwiach.

Borys postanowił złagodzić swoje słowa i delikatnie poklepał Oksanę po kolanie.

- Proszę się uspokoić. Chcę tylko porozmawiać i wyjaśnić parę rzeczy. Mógłbym zaprosić was do swojego biura, ale zastanowiłem się i doszedłem do przekonania, że będzie dla was lepiej, jak przyjdę tutaj. Papierosa?

Oksana skinęła i Burienczuk wyjął paczkę Marlboro. Poczęstowała się papierosem, on podał ogień. Sam nie zapalił.

- Próbuję zerwać z nałogiem - wyjaśnił, chowając paczkę. Wrócił do tematu. - Po ostatniej rozmowie z wami o sprawie, którą prasa nazwała „masakrą na Arbacie”, skontaktowałem się z dziekanem instytutu i jego zeznanie pozostawało w całkowitej sprzeczności z waszym. Dziekan już miał was skreślić z listy studentów, z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu związanego z Maratem, gdy nagle chłopak z KGB zmienił zdanie i poradził dziekanowi zatrzymać was w instytucie.

Borys obrzucił ją długim, zagadkowym spojrzeniem. - Może wy potraficie mi wyjaśnić, dlaczego tak nagle zmienił zamiary?

- Nie wiem. Nie miałam żadnych zatargów ani z dziekanem, ani z Maratem.

- Przypuszczam, że mogliśmy zapytać o to dziekana w waszej obecności, ale to drobiazg w porównaniu z tym, co się wydarzyło później. - Na jego twarzy znów zagościł wyraz pełen współczucia, ale też zainteresowania. - Jak z pewnością wiecie, małe kłamstwo może wzbudzić wielkie podejrzenia. Rozumiecie, Marat zadzwonił do dziekana dosłownie pięć minut przed tajemniczym pożarem, który strawił jego ciało na popiół. Przeprowadziliśmy specjalne dochodzenie, aby ustalić dokładny czas. Dziekan przypomina sobie ten moment. Właśnie skończył oglądać mecz w telewizji. Was nigdy

o to nie pytaliśmy, gdyż śledztwo wykazało, że w sprawę są zamieszane osoby dużo groźniejsze. - Umilkł i otaksował ją wzrokiem. - Ale od tego czasu przyglądaliśmy się waszym poczynaniom.

- Wybraliście sobie mało interesujący okres w moim życiu - skomentowała Oksana.

- Tak, ostatnie miesiące były mało ciekawe z romantycznego punktu widzenia - przyznał Borys. - Prawdę mówiąc, nim KGB zdecydowało się otworzyć przed nami i nim zdołaliśmy określić tożsamość ofiar, a potem dotrzeć do ich znajomych, chyba umknęła nam wasza pamiętna wizyta w domu, w Irkucku.

Oksana spieszyła się i przyjęła obronną postawę.

- Czy to dziwne, że wybrałam się w odwiedziny do ojca? Mimo, że od czasu do czasu przyjeżdża do Moskwy na zebrania deputowanych, zawsze z przyjemnością odwiedzam dom, w którym mieszkałam z matką aż do jej śmierci.

- Przykro mi z powodu waszej matki. Ojciec powinien był wysłać ją na zimę na Krym.

- Ona była mu niezwykle oddana i nie zgodziłaby się na wyjazd. - Oksana westchnęła. - Zaczynam rozumieć, ile od niej zależało. Po jej śmierci ojciec stał się innym człowiekiem. Odwiedzam go, gdy tylko mogę.

- Och, odwiedziny u ojca są jak najbardziej normalne, ale byliście również w miejscu bardzo dziwnym jak na młodą dziewczynę, w obozie pracy Tulun. A tam przebywa wielce interesujący człowiek, który, jak się obawiamy, wkrótce zostanie zwolniony.

- Tak, odwiedziłam Sławę Jakowlewa. Znam jego żonę. To była towarzyska wizyta. Zawiozłam trochę jedzenia i wina, by uprzyjemnić mu więzienne życie.

- I wieści z zewnątrz, nie wątpię. Poza tym prawdopodobnie przekazaliście instrukcje Jakowlewa jego adiutantowi, Pawłowi.

- Oskarżacie mnie o coś? - zapytała wojowniczo Oksana.

Borys podniósł rękę, jak gdyby odpierał jej gniew.

- Proszę pozwolić mi mówić dalej. Podczas waszego pobytu w rodzinnym domu, ojciec odbył kilka spotkań z człowiekiem, którego imię wymieniliście zaraz po moim wejściu, z Pawłem. Tak więc wasz ojciec i pomagier słynnego gangstera toczyli długie dysputy, ale wreszcie doszli do porozumienia i wszystko zakończyło się miłą kolacją dla partyjnych notabli w eleganckiej irkuckiej restauracji. Potem wróciliście do Moskwy.

- Wydaje się, że zamiast ścigać przestępców, trwonicie nadzwyczaj dużo czasu na śledzenie mojej skromnej osoby.

Borys uśmiechnął się.

- W pociągu do i z Irkucka towarzyszył wam bardzo dziwny człowiek Rozumiem, że możecie nie wiedzieć, kim on był, ale my doszliśmy, że to niejaki Michaił Czichladze.

Wy nazywacie go Misza. Walczył dzielnie w Afganistanie, zabijając poza mudżahediniami również kobiety i dzieci, które poddawał raczej wyrafinowanym torturom Pracował dla Pawła i teraz wszedł w skład bandy kierowanej przez Giwiego Gigauri, adiutanta świętej pamięci Tofika, generała *blatnych*, niedawno zabitego w tuluńskim buncie.

- Ale co to wszystko ma wspólnego ze mną? - Oksana siłą powstrzymywała się od drżenia.

- Może nic.

- Czy insynuujecie, że wiążą mnie z Misza jakieś stosunki...

- Borys podniósł ręce.

- Nie, nie! Naturalnie, że nie. Prawdę mówiąc, jak na tak młodą i piękną kobietę prowadzicie zaskakująco wstrzemięźliwy tryb życia. Człowiek nie może oprzeć się wrażeniu, że zostaliście poniżeni przez mężczyznę - czy mężczyzn - i nie chcecie mieć do czynienia z tą płcią. Rozmawialiśmy z inną dziewczyną, która została wyrzucona z instytutu. Ona również pracowała w hotelu „Rossija”. Marat bez powodzenia próbował zmusić ją do udziału w brudnych gierkach z nim i jego zwierzchnikami.

- Marat był bydłakiem. - Podniosła głos. - Cieszę się, że nie żyje!

- Podśluch w publicznych telefonach w pobliżu waszego mieszkania zdradził nam, że kontaktujecie się z Nadią Botszokową, zawodową prostytutką i bliską znajomą Pawła.

- Dlaczego mi to mówicie? - Oksana ledwo panowała nad głosem.

- Wydaje się, że Japończyk, Wiaczesław Jakowlew, może zostać zwolniony z więzienia grubo przed terminem. Dokładnie w przyszłym miesiącu. Wiele partyjnych osobistości interweniowało w sprawie jego uwolnienia. Między innymi obwodowy sekretarz z Irkucka, wasz ojciec. - Borys skierował na nią nieruchome spojrzenie. - Doszedłem do wniosku, że jesteście rozsądną dziewczyną i wasze powiązania z tymi gangsterami są co najwyżej nieznaczące. Nie mam zamiaru was straszyć ani krzywdzić; bądź co bądź, mogłem wsadzić was za kratki już jakiś czas temu.

- Czy mam być wdzięczna?

- Kobiece więzienie jest dla młodej dziewczyny raczej paskudnym miejscem. Poza tym, po waszym aresztowaniu wasi tak zwani przyjaciele zostaliby zaalarmowani i mogliby nawet podjąć próbę pozbycia się was. Ostatecznie jesteście tylko amatorką, nie członkiem ich bandy.

- Może kawy? - zapytała z ożywieniem Oksana, zwlekając z komentarzem.

- Tak. - Uśmiechnął się krzywo. - W gardle mi zaschło od tego gadania.

Oksana podeszła do kuchenki i włączyła palnik pod czajnikiem. Stała plecami do detektywa i nasypała kawy do filiżanek. Potem wróciła do stołu i usiadła. Borys pociągnął długi łyk kawy i wrócił do wcześniejszego stwierdzenia.

- Nie zamierzam was aresztować ani stawiać wam zarzutów, nic w tym stylu. Ale potrzebuję waszej pomocy.

Oksana odstawiła filiżankę i patrzyła na Borysa w milczeniu.

- Wiecie, co się dzieje z bandą Japończyka i Pawła. Od chwili powrotu Jakowlewa będziecie choć trochę orientować się w jego planach, informujcie mnie.

Oksana spojrzała z niedowierzaniem na majora milicji. - Nie mogę powiedzieć wam czegoś, czego nie wiem.

- Więc zabójca Czichladze, wasz gruziński ochroniarz...

- Nie widziałam go od czasu powrotu z Irkucka - przerwała mu Oksana.

- Więc ten Misza nadal będzie chodził po ulicach i nawet jeśli znajdziemy jego, Japończyk i Paweł albo Giwi, któremu teraz Misza najwidoczniej służy, zwerbują innych bandytów...

- Mówiłam wam, majorze - zaczęła podniesionym tonem - nie wiem nic o tych sprawach. Proszę zostawić mnie w spokoju. Pracowałam bardzo ciężko, żeby zostać tłumaczką. Tylko to mnie interesuje.

- Niezależnie od waszych zainteresowań, macie powiązania z Japończykiem i Pawłem - upierał się łagodnie Borys.

- Nie!

- Ktoś musiał przekazać rozkazy Japończyka dotyczące podłożenia bomby w apartamencie ludzi Giwiego w hotelu „Rossija”.

Oksana potrząsnęła głową, zszokowana tym oskarżeniem. Borys spokojnie kontynuował:

- Musieliście słyszeć, że Japończyk sprowokował krwawy bunt w Tulun. Zginęło około dwustu więźniów...

- Przykro mi to słyszeć, ale co ja mam wspólnego z tym incydentem?

- Może w czasie waszych odwiedzin powiedział coś, co, gdyby zostało w porę przekazane, zapobiegłoby masakrze.

- Wy jesteście z milicji; wy łapiecie przestępców. To wasza robota!

- Ale w celu efektywnego wykonywania swojej roboty potrzebujemy pomocy przestępujących prawa obywateli - odparł Borys.

- Kiedy byłam w trudnej sytuacji, kiedy chciałam umrzeć, nikt mi nie pomógł poza Nadią.

- I Pawłem - dodał Borys. - Nie proszę was o nic nadludzkiego, tylko o informacje.

- Chcecie zrobić ze mnie milicyjnego szpicla?

Borys zdał sobie sprawę, że dziewczyna ma rację. Właśnie do tego dążył.

- Chcę zostać twoim przyjacielem, Oksano.

Oksana zaczęła protestować, lecz Borys podniósł rękę.

- Znalazłem co najmniej dwie młode kobiety potraktowane z wielkim okrucieństwem przez „wojowników niewidzialnej granicy”. Pamiętajcie, nie mogę udowodnić waszego udziału w sprawie. Nie będę próbował tego zrobić ani prowadzić dalszego dochodzenia. Lecz gdy Jakowlew znajdzie się na wolności, będę potrzebował waszej pomocy. Przykładowo, chciałbym wiedzieć, jakie będzie jego następne przestępcze posunięcie. Jeżeli powiecie, ogromnie ułatwi mi to pracę.

Oksana wyprostowała się.

- Majorze Borysie Burienczuk, jestem tłumaczką angielskiego i niemieckiego, nie donosicielką. To moje ostatnie słowo. - Uśmiechnęła się lekko. - Kawy?

Borys wstał i przez kilka sekund patrzył na Oksanę ponuro.

- Nie, dziękuję. Wystarczy. Nadejdzie czas, gdy będzie wam potrzebna moja pomoc. - Sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę, którą położył na stole. - Pod tym numerem możecie mnie znaleźć przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie zwlekajcie zbyt długo z decyzją. A właściwie to będę z wami w kontakcie. Od czasu do czasu mamy gości z Ameryki i wówczas potrzebujemy tłumaczy.

- Z przyjemnością pomogę wam w taki sposób. I dziękuję za kwiaty. Są piękne.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- Szkoda, że nie doszliśmy do porozumienia, ale mimo to postaram się, żebyście nie mieli kłopotów z milicją.

- A co z inwigilacją?

- To decyzja zawodowa.

- Aha, ładnie. Czy jesteście choć trochę lepsi od KGB?

- Tak, i jestem pewien, że się ze mną zgadzacie. Jeszcze jedno...

- Słucham.

- Nie bądźcie głuptasem i nie informujcie swoich „przyjaciół” o naszej rozmowie, ani słowem, bo inaczej wcześniej, niż się spodziewacie, zobaczycie, że mam co do nich rację. Wasz ochroniarz, Misza, mógłby skończyć jako wasz zabójca. Dobrej nocy.

24.

Oficerowie moskiewskiej milicji czekali niecierpliwie na kilka zdań sławiących alkoholika, narkomana i notorycznego deprawatora nieletnich dziewcząt, który założył Czeka, ich matczyną organizację. Ten pean nieodmiennie oznaczał koniec ciągnącej się w nieskończoność przemowy wygłaszanej przez generała Nikołaja Myrikowa, szefa moskiewskiej milicji. Wreszcie z ulgą usłyszeli:

- I jak zwykł był mawiać nasz błyskotliwy i dzielny założyciel, Feliks Edmundo-wicz Dzierżyński, „muszę teraz iść i skonsultować się z politykami”.

Myrikow odsunął krzesło, wstał i skinął na siedzącego obok rumianego osobnika o siwej grzywie i krzaczastych brwiach, generała Aleksieja Bodajewa, dowódcę kryminalnej brygady milicji.

- Przekazuję zebranie w doświadczone ręce zastępcy komendanta.

Generał Bodajew również się podniósł.

- Życzymy wam sukcesów na spotkaniu z ministrem sprawiedliwości i prokuratorem, towarzyszu generale.

Myrikow rozejrzał się po urządzonej z przepychem Wielkiej Sali Konferencyjnej w gmachu MWD na Pietrowce.

- Przez dwa miesiące opowiadałem się przeciwko zwolnieniu Jakowlewa. - Szef policji bezradnie potrząsnął głową. - Wygląda na to, że ma zbyt wielu wysoko postawionych przyjaciół. Jeżeli nie zdołam przekonać ministra, że poprzez wyrażenie zgody na złagodzenie wyroku wypuszcza na Moskwę jednoosobową falę przestępczości, w nadchodzących latach nie będziemy mieli zbyt wiele spokoju. Tak, rzeczywiście, życzy-cie mi szczęścia.

Myrikow przemierzył szeroki błękitno-czerwono-złoty perski dywan, którego środek zajmował stół konferencyjny z wykończonego na wysoki połysk mahoniu. Nad stołem, w równych odstępach, wisały trzy kryształowe żyrandole. Generał zbliżył się do dwuskrzydłowych drzwi i opuścił salę zebrań.

Bodajew przejął prowadzenie zebrania. Oficerowie zauważyli, że jego oczy powę-drowały do środkowego żyrandola. Generał bardziej niż kiedykolwiek gotów był przy-jąć do wiadomości fakt, że cały kompleks na Pietrowce pozostaje pod ścisłym nadzo-rem departamentu KGB do spraw kontroli milicji. Po chwili skinął na Borysa Burien-czuka, jak zwykle ubranego w nieskazitelny brązowy garnitur.

- Czy przed zamknięciem zebrania macie coś do powiedzenia na temat sprawy na Arbacie?

Borys pozwolił sobie na szybki, oszczędny uśmiech, gdy skierował spojrzenie na środkowy żyrandol.

- Nadal pracuję nad zidentyfikowaniem zabójców trzech oficerów KGB. Ostatnio spotkałem się z Oksaną Martinową w jej mieszkaniu.

- Też chciałbym porozmawiać z Oksaną Martinową w jej mieszkaniu - zachichotał jeden z zebranych.

Borys zmarszczył brwi.

- Jeżeli zrobimy cokolwiek, co ją przestraszy, stracimy kobietę, która może nam pomóc - kontynuował.

Pułkownik Władimir Nieczajew, Lis, popatrzył na żyrandol z krzywym uśmiechem.

- Tak, majorze Burienczuk, wszyscy doceniamy wasze starania mające na celu schwywanie zabójcy tych trzech dzielnych oficerów KGB.

Bodajew pokiwał głową.

- Jakież pytania czy uwagi? Zebranie zakończone.

Detektywi bez słowa wyszli z pokoju konferencyjnego i długim korytarzem udali się do gabinetu Bodajewa.

- Bezpiecznie, Pietia? - zapytał Nieczajew.

- Gwarantuję - odparł z uśmiechem szczerzy, młody człowiek o gęstej, starannie uczesanej czarnej czuprynie. Z kabury pod jego prawym ramieniem wystawała kolba pistoletu.

Major Ugłanow, Jankes, wszedł do biura. Za nim podążał pułkownik Aleksander Kamierow, zastępca generała Bodajewa. W przeciwieństwie do swojego szefa, Kamierow był człowiekiem wysokim, o ciężkiej budowie ciała. Jego szerokie, rumiane oblicze rozjaśniał jowialny uśmiech.

- W stosownej chwili zamelduję generałowi Bodajewowi, o czym będziemy teraz dyskutować. - Lis podszedł do szafki za biurkiem i wyjął butelkę wódki. Pietia znalazł komplet kieliszków i ustawił je na stole, który tworzył z biurkiem literę T. Nieczajew połał i wznosił toast. Pozostali poszli jego przykładem.

- Pierdolić KGB i ich skorumpowanych przydupasów.

- KGB to skurwysyny - podchwycił Jankes.

- KGB-gównojady - dodał rzeczowo Kamierow.

- KGB liże kurewskie cipy. - Pietia potrząsnął detektorem do wykrywania podsłuchu elektronicznego, który zapewniał im swobodę wypowiedzi.

25.

Milicjanci i członkowie zespołu dochodzeniowego MWD oddelegowani do Tulun znaleźli się w stanie szoku, gdy do więzienia przyszło rozporządzenie dotyczące zwolnienia W. K. Jakowlewa. Przeklinając durniów z Sądu Najwyższego zastanawiali się, jak prowadzić śledztwo bez głównego uczestnika całego zajścia. Japończyk tymczasem stał przy wejściu do obozowego posterunku kontrolnego. Czekał na niego wielki, czarny amerykański samochód, który parę miesięcy wcześniej przywiózł do Tulun Oksanę Martinową.

Karamuszew już został zwolniony ze swego stanowiska w administracji obozu Tulun, ale nadal chodził w mundurze i kierował wewnętrznym więzieniem, czekając na przybycie zastępcy. Teraz żegnał się z Japończykiem.

- Karamuszew - powiedział cicho Japończyk - chcę, żebyś wyświadczył mi ostatnią przysługę.

- Jakiego rodzaju?

- Znajdź grób Marii w kobiecym obozie. Przenieś go poza obóz. Jesteś bogatym człowiekiem. Chcę, żebyś wystawił jej pomnik.

- Pomnik? Takiej dziwce?

Oczy Japończyka błysnęły niebezpiecznie, a twarz wykrzywił mu gniew. Karamuszew cofnął się spieszenie i zmienił ton.

- Jaki pomnik, Wiaczesławie Kiryłowiczu?

- Oczywiście, że Maria była dziwką - mruknął Japończyk. - Ale poza tym prawdziwą kobietą. Dzięki niej pobyt za drutami stawał się znośny, nawet przyjemny. I w końcu uratowała mi życie za cenę własnego. - Pokiwał powoli głową, jak gdyby odmawiał za nią ostatnią modlitwę. - Zrób to dla mnie, Karamuszew, i przyslij zdjęcie nagrobka na mój moskiewski adres.

- No... dobra, jasne. Żaden problem. Zrobię to.

Japończyk spojrział po raz ostatni na obóz, w którym spędził dziewięć lat życia. Ciemna chmura już nie wisiała nad kominem krematorium. Po buncie, zanim grupa dochodzeniowa z Moskwy zdołała dotrzeć do odległego Tulun, krematorium w ciągu paru dni wyrobiło kilkuletnią normę, przemieniając ciała w popiół. Chociaż w retortach z ceramiki i żelaza znaleziono zaskakującą ilość bezkształtnych ołowianych brył, nie podjęto prób udowodnienia, że to stopione pociski, wynik masowej, bezładnej strzelaniny do ponad dwustu więźniów.

Obok tylnych drzwi samochodu stał adiutant Japończyka, Paweł, którego major Karamuszew poznał na kilka dni przed osadzeniem w więzieniu zięcia Breźniewa, generała Jurija Czurbanowa. Jurij załatwił Japończykowi możliwość nieograniczonego spotykania się i porozumiewania z Pawłem i innymi współpracownikami. Przywilej został cofnięty, gdy Czurbanow też znalazł się za kratkami. Aresztowanie potężnego poplecznika wywarło nieprzewidywany wpływ na los Japończyka. Nikt, a najmniej ze wszystkich on sam, nie przypuszczał, że spędzi w Tulun aż dziewięć lat.

Z okazji opuszczenia obozu stawiał się w doskonale skrojonym kozuchu.

- No, Japończyk - mówił Karamuszew - bez urazy. Spędziliśmy razem prawie dziewięć lat i nie mogę powiedzieć, że był to najgorszy okres w moim życiu. Mam nadzieję, że nie masz powodów, aby skarżyć się na złe traktowanie.

- Drogi komendancie, jesteś prawdziwym człowiekiem. I nie zwracaj uwagi na tych głupków z komisji. Ciesz się swoimi pieniędzmi i śmiej się z tych palantów. Wszystko, co zostało w celi, należy do ciebie, telewizor, magnetowid, dywany, które nie są... - chrząknął - skalane, jeżeli rozumiesz, o co chodzi. Przyjmij to jako prezent niezależny od wszystkich innych, na pamiątkę naszej przyjaźni.

- Dziękuję. Jesteś jedynym generałem, jakiego kiedykolwiek darzyłem podziwem. Wiesz, dlaczego? Robisz to wszystko nie w imię jakiegoś cholernego „prawa”, ale żeby żyć pięknie. Te inne kutasy: Maksym, Potma, Tofik, po co oni żyli? Żyli jak psy i zdechli jak psy. Może tylko Tofik... tak, on był człowiekiem. Nawet nie mrugnął, gdy patrzył w lufę pistoletu, i splunął. Taa... no, do diabła z tym.

Japończyk zrobił krok w kierunku lśniącego, czarnego wozu, potem odwrócił się jeszcze na chwilę.

- Jeszcze jedno, komendancie. Słyszałem pogłoski, że niektórzy z mojego gangu, Wołodia i Fofa, mają zostać przeniesieni do Krasnołagu 86. Nie pozwól, by tak się stało.

- Spróbuję temu zapobiec, ale obecnie moja władza jest bardzo ograniczona.

- Przynajmniej zawiadom mnie albo Pawła, gdy do tego dojdzie.

- Dam ci znać, Japończyk.

- Tak, chciałbym wiedzieć. - Japończyk odszedł do wielkiego auta.

Karamuszew patrzył za odjeżdżającymi, jego oczy śledziły lśniący pojazd, póki nie zniknął za zakrętem wśród wysokich jodeł otaczających obóz Tulun. Teraz on także mógł opuścić tę przeklętą dziurę i zacząć nowe życie. Jego żona już wybrała miejsce na Krymie, tak daleko od Syberii, jak tylko to w Rosji możliwe.

Japończyk rozsiadł się wygodnie w przestronnym wnętrzu wielkiego amerykańskiego samochodu. Paweł pochylił się i z barku wbudowanego w tył przedniego siedzenia wyjął karafkę koniaku i dwie koniakówki. Napełnił je, podał jedną Japończykowi, a karafkę umieścił na fotelu obok siebie.

- Wspaniały wóz - zauważył Japończyk. - Trudno uwierzyć, że taka maszyna jeździ w tej części świata.

Paweł uśmiechnął się enigmatycznie.

- Poznasz właściciela za jakieś dwie godziny, gdy dotrzemy do Irkucka.

- Ojca Oksany?

- A kogóż by innego, jak nie obwodowego sekretarza? Przed powrotem do Moskwy będziemy gośćmi w jego irkuckim mieszkaniu.

W ciągu dwóch godzin jazdy Paweł zorientował Japończyka we wszystkich przedsięwzięciach.

- Tak więc wyeliminowaliśmy sześciu ludzi Tofika, a sam Tofik zginął w czasie buntu - powiedział z zastanowieniem Japończyk.

- Za co jesteś osobiście odpowiedzialny - dodał Paweł. - I zabiliśmy siedmiu ludzi Tofika. Wiktor wysłał likwidatora do Nowego Jorku, by załatwić Eduarda, który próbował podkopać nasze interesy z Koreą Północną.

Japończyk pokręcił głową.

- Nic dziwnego, że próbowali mnie zabić. Co robi Giwi, gdy dowie się, że wyszedłem na wolność?

- Giwi i Wiktor dzisiaj powinni odbyć pokojowe spotkanie. Unikanie wojny leży w interesie nas wszystkich.

- W tej chwili najważniejsze jest, czy przygotowałeś wszystko na spotkanie z dyrektorem Krasnowa 86.

- Nikołaj Martinow to załatwił. Jewgienij Wołkow przyjmie nas jutro rano w Kopule.

- A inni?

- Zajęło nam to kilka dni, ale zlokalizowaliśmy jego bliskich i mamy ich pod kontrolą - zarechotał Paweł.

- Dobrze. Inaczej nie moglibyśmy zbliżyć się do Koptuły. Galina Brezniew nazywała Wołkowa Chomikiem, bo jest tłusty i puszysty. Chciałby mieć na mnie haka, jak mówią Amerykanie.

Nadzieja błysnęła w jego oczach.

- Tęsknię do ponownego spotkania z Oksaną.

- Tak, ale Olga zaplanowała kolację dla najbliższych przyjaciół. Wiktor też będzie. Do tej pory już powinniśmy podpisać pokój z Giwim, któremu też na tym zależy. Mój kapitan, Hakim od restauracji będzie zajmował się przygotowaniem tej fety.

Japończyk roześmiał się głośno.

- Więc mój stary kazachski przyjaciel, Japończyk Sobowtór, nadal jest wśród nas?

Paweł też się zaśmiał.

- Tak, goście nie wiedzą, kto jest kelnerem, a kto szefem.
- Powiniennem wysłać Hakima do Tulun na moje miejsce - mruknął Japończyk. - Nikt nie zauważyłby różnicy. - Po chwili poprosił: - Opowiedz mi wszystko o ojcu Oksany. Zrobił dużo w sprawie mojego wcześniejszego zwolnienia.
- Za niemałą część twojego *obszaka*. - Paweł wzruszył ramionami. - Ale Nikołaj Martinow będzie jeszcze bardziej przydatny, kiedy rozpoczniemy główną operację. Na razie zarobił na nas całego melona w gotówce i diamentach, i...
- To najlepszy interes, w jaki dotychczas zainwestowaliśmy - warknął Japończyk.
- Cieszę się, że tak to odbierasz. Uzgodnienie, ile mamy zapłacić za pastylki i sprzęt, zostawiam tobie.
- Dziś wieczorem odbędziemy z Nikołajem bardzo interesującą rozmowę. - Japończyk pokiwał głową i rozparł się na fotelu, delektując koniakiem.

26.

Rankiem po zwolnieniu z obozu pracy Tulun, Japończyk stał z Pawłem i Nikołajem Martinowem w odległej dzielnicy mieszkaniowej Irkucka na skraju byłego klubu sportowego, którego tereny zostały przekształcone w lądowisko dla helikopterów. By skrócić oczekiwanie na śmigłowiec, Martinow opowiadał o Kopule.

- Tak, tak - pomrukiwał Japończyk. - Miłe miejsce. Jediną rzeczą, jakiej się boją faceci z Tulun, jest przeniesienie do Krasnołagu 86.

Wreszcie dobiegł ich warkot wirnika.

Nikołaj przyglądał się siadającemu helikopterowi.

- Władcy tajnego miasta Krasnow 86 leżącego u stóp Kopuły odwiedzają uprzywilejowanych administratorów, którzy mieszkają w Irkucku, i codziennie zstępują z nieba w „mechanicznych aniołach”. - Potem z grymasem zauważył: - Jewgienij Iwanowicz nie przysłał po nas dyrektorskiej wazki?

Gdy zielony wojskowy śmigłowiec wylądował, łopaty wirnika nie znieruchomiały, lecz obracały się powoli. Trzej mężczyźni zostali zaproszeni do środka i zajęli miejsca w przedziale pasażerskim za kabiną pilotów. Silnik turbinowy natychmiast wszedł na wysokie obroty, wirnik nośny zaczął obracać się w oszałamiającym tempie i śmigłowiec z ogłuszającym hałasem oderwał się od ziemi. Maszyna wzniosła się na odpowiednią wysokość i skierowała na północny wschód od miasta. Rozciągające się poniżej błękitne wody Bajkału zdawały się czyste, z góry nie było widać zdradliwych zanieczyszczeń chemicznych i skażonych bakteryjnie ścieków z zakładów celulozowych i fabryk, które od czasów drugiej wojny wyrosły wzdłuż setek kilometrów linii brzegowej.

Po prawie godzinnym locie przed śmigłowcem pojawił się skraj zasłanych kamieniami nieużytków. Przez dziesięć lat kruszono wewnątrz góry materiałami wybuchowymi, tworząc w niej tajną podziemną fabrykę, zajmującą pięć kilometrów kwadratowych powierzchni i sięgającą na trzy kilometry od szczytu w głąb. Prace spowodowały katastrofę ekologiczną na obszarze ponad pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych, na którym nie przeżyły ani rośliny, ani zwierzęta. Co najmniej sto tysięcy więźniów poniosło śmierć w trakcie budowy tajnych kopalń uranu, zakładów przetwarzania plutonu, montowni głowic i pocisków jądrowych, a wszystko to mieściło się w gigantycznej, sekretnej Kupule. Tuziny szybów i sześćdziesiąt kilometrów korytarzy łączyły dziesięć

poziomów tej ogromnej fabryki broni. Przez olbrzymie, wyrte przez ludzi jaskinie wiła się wchodząca z zewnątrz linia kolejowa.

Na początku przy budowie harowali więźniowie, ale później zastąpiono ich wysoko opłacanymi fachowcami, którzy zamieszkali w tajnym mieście Krasnow 86, odosobnionej kryjówce w środku pola odpadów powstałych podczas budowy Kopuły. Wszyscy pracowali w Kopule, strzeżonej wokół i we wnętrzu przez dwa tysiące strażników. Krasnołag 86, usytuowany w środku kamienistego pustkowia, dostarczał więźniów przeznaczanych do pracy w komorach przetwarzania plutonu i uranu, narażonych na wysokie promieniowanie.

Śmigłowiec zaczął opadać na wyrównany spłachetek poniżej szczytu górującego nad okolicą pokrytą, jak okiem sięgnąć, zwałami kruszonego kamienia. Warkot silnika, nieskrępowany żadnym materiałem wyciszającym w obrębie kadłuba, uniemożliwił wszelką rozmowę, póki śmigłowiec nie wylądował i łopaty nie zaczęły zwalniać.

Japończyk, Paweł i Martinow wysiedli i popatrzyli na panoramę zasłanej skałami jałowej równiny. Strażnicy stojący wzdłuż skraju lądowiska zabezpieczali teren i wypatrywali innych śmigłowców. Młody człowiek, który towarzyszył im od Irkucka, poprowadził ich w stronę terminalu na skalistym wierzchołku Kopuły.

Po krótkiej rozmowie przez telefon przewodnik gestem zaprosił ich do wnętrza budynku z betonu i cegły. Zatrzymali się przed ścianą, w której umieszczono troje rozsuwanych drzwi. Jedne otworzyły się bezgłośnie. Przewodnik kazał im wejść do kabiny i wcisnął czerwony guzik. Drzwi zamknęły się i winda gładko ruszyła w głąb granitowej góry. Japończyk rozejrzał się. Trzy ściany kabiny były wyłożone lustrami i polerowanym drewnem sekwoi. Taka winda mogła zatrzymać się tylko przy gabinecie dyrektora zajmującego wysoką pozycję w radzieckiej hierarchii ekonomicznej.

Jewgienij Iwanowicz Wołkow siedział za biurkiem na najwyższym podziemnym poziomie Kopuły i czekał na przybycie gości. Dwa kilometry pod nim spoczywały zmagazynowane jedne z największych w Związku Radzieckim rezerw materiałów rozszczepialnych. Dokładną wielkość zapasów znał tylko on i paru podwładnych.

Gabinet nie był duży, ale dobrze wyposażony. Dzięki konsoli telefonicznej Wołkow w jednej chwili mógł połączyć się z każdym ze swoich asystentów z podległych jednostek. Miał również do dyspozycji bezpośrednie linie do ministra obrony i Kremla oraz do prezydentów tych republik, które zaopatrywały go w materiał rozszczepialny.

Jedną ze ścian biura stanowiły rozsuwane drzwi windy prowadzącej do lądowiska helikopterów na wierzchołku góry.

Wołkow przez całe życie był posłusznym - i dobrze nagradzonym - wykonawcą rozkazów wydawanych przez politycznych zwierzchników. Czuł, że wkrótce nadarzy

mu się okazja samodzielnego zdobycia przeogromnego bogactwa, o jakim marzył od dni spędzonych na dworze księżniczki Galiny Breżniew. Taki właśnie był cel tego spotkania. Zabrzęczał wewnętrzny telefon. Dyrektor podniósł słuchawkę. Szef lądowiska śmigłowców zapowiadał przybycie pierwszego sekretarza obwodu i jego znajomych.

- Sprowadź ich - rozkazał Wołkow. Wcześniej był zszokowany, gdy dowiedział się, że czeka go spotkanie z niejakim W. K. Jakowlewem, biznesmenem. Ale nazwisko Jakowlew nie należało do rzadkich i dyrektor miał nadzieję, że prawdopodobnie ten człowiek nie jest słynnym Japończykiem. Niestety, nadzieja okazała się płonna. Patrząc na gości w monitorze systemu podglądu, poznał lekko orientalne rysy Japończyka. Dyrektor słyszał, że Jakowlew został zesłany do obozu pracy, ale aż do tej chwili nie interesował się jego losem. Ponadto informacje o tym, co działo się w Moskwie, zazwyczaj docierały do niego zniekształcone - o ile w ogóle docierały.

Zrozumiał, że Japończyk, który rzeczywiście dostał się za kratki, obecnie był na wolności i na dodatek pod ochroną Martinowa. Faktycznie zanosilo się na interesujące spotkanie. Wołkow postanowił zrobić wszystko, by osobista nienawiść do słynnego kryminalisty nie zaćmiła mu rozsądku w interesach.

Drzwi rozsunęły się i Nikołaj Martinow, Japończyk oraz Paweł weszli do jasno oświetlonego gabinetu dyrektora kompleksu Kopyły. Wołkow stał za biurkiem z chytym wyrazem twarzy. Ciężkie obwisłe policzki, krótki, zakrzywiony nos, małe oczka prawie ukryte pod napuchniętymi powiekami i tuste rzadkie czarne włosy zaczesane do tyłu upodobały go do jego mentora, Leonida Breżniewa.

- Nikołaj - powitał partyjnego no tabla z Irkucka - miło cię znów widzieć. - Potem zwrócił się do swojego sekretarza: - Proszę, zostawcie nas teraz samych i dopilnujcie, żeby nikt nam nie przeszkadzał. - Sekretarz cofnął się do windy, która natychmiast zamknęła się za jego plecami.

- Jewgienij, poznaj moich znajomych z Moskwy. To...

- Nie ma potrzeby przedstawiać naszych drogich gości - przerwał dyrektor. - Znam Japończyka. Ile czasu minęło od naszego ostatniego spotkania?

- Świat jest mały, dyrektorze - odparł gangster. - A tamto było dawno.

- Coś nie tak, Jewgienij? - Martinowa zaniepokoił zimny wyraz twarzy dyrektora.

- Mówiłem ci, Nikołaj, że masz znaleźć odpowiednich ludzi do tego delikatnego interesu! Wiesz, gogo mi przyprowadziłeś?

- Daj spokój, dyrektorze! - rzucił lekko Japończyk. - Popatrz, gdzie wylądowałeś. W końcu to ty wyszedłeś jako zwycięzca. I mogę ci powiedzieć, że z pomocą Nikołaja i mojego kolegi - wskazał na Pawła - zarobisz miliony w twardej amerykańskiej walucie.

Z pewnością to bardziej interesujące od hołubienia urazy z przeszłości, z okresu, który już nie istnieje.

- Znacie się? - Martinow był zaskoczony tą wymianą zdań między dwoma mężczyznami, którzy, jak sądził, widzą się po raz pierwszy.

Japończyk roześmiał się beztrasko.

- Przypuszczam, że obaj z Chomikiem zawdzięczamy nasze powodzenie Leonidowi Breżniewowi. I ty możesz powiedzieć to samo, Nikołaj.

- Z Chomikiem? - powtórzył ze zdumieniem Martinow.

- Tak nazywała go Galina, bo jest tłusty i puszysty. - Japończyk zignorował rozdrażnioną minę Wołkowa. - Więc jak cię życie traktuje, dyrektorze? - Wyjął papierosa, przysunął sobie krzesło i usiadł przed biurkiem. Paweł podążył jego przykładem.

- Co was sprowadza do Kopuły? - zapytał ostro Wołkow.

- Interes. - Japończyk zapalił. - Mógłbyś podać mi popielniczkę?

Wołkow spełnił prośbę.

- Proszę bardzo. Jaki interes, jeśli można? - zapytał, wiedząc, że Martinow w całej rozciągłości musiał przedyskutować z Japończykiem jego dyrektorskie możliwości.

- Wszystko się zmienia. Czekają nas wielkie okazje. - Japończyk tryskał entuzjazmem i optymizmem. - Tak przy okazji, co zrobiłeś z tą małą sumką, jaką dostałeś za umożliwienie Gorbieniu „Sakiewce” i jego poplecznikom z Politbiura sprzedaż Sadamowi Husajnowi trzech tysięcy nie zarejestrowanych pocisków *SK-14*, inaczej mówiąc *Scudów*, wraz z wyrzutniami i paliwem? - Uśmiechnął się na widok zdziwienia, jakie wypełzło na twarz Wołkowa.

- Jesteś dobrze poinformowany, zważywszy, gdzie ostatnio przebywałeś - wykrztusił oschle dyrektor Kopuły.

Japończyk zignorował jego słowa.

- Spodziewałem się, że nasze nieporozumienia z przeszłości mogą nastroić dzisiaj pewien problem. Ale w ciągu godziny wraz ze swoimi kolegami opuścę Kopułę z ubitym interesem i gwarancją, że odnosisz się ze zrozumieniem do naszych przyszłych transakcji, które uczynią cię prawie tak bogatym, jak Gorbaczow.

- Słucham.

- Kiedy KPZR padnie, co stać się musi, a ja wraz z moimi kolegami przejmemy rządy, zostaniemy twoimi największymi klientami. Będziemy od ciebie kupować pociski, głowice jądrowe, pluton 239 i wzbogacony uran, i rozprowadzać ten towar po całym świecie. Ty nie możesz tego robić osobiście, rząd też nie, nawet prezydent nie może. To my będziemy biznesmenami, którzy zajmą się tą stroną interesów.

- Myślisz, że umieram z pragnienia do robienia z tobą interesów? Na swój towar,

kiedy nadejdzie czas, zawsze znajdę klientów.

- A my z powodzeniem możemy kupować to, co chcemy, na Ukrainie.

Wołkow błysnął przebiegłym uśmiechem.

- Prawda. Ale żaden z tych Ukraińców nie zna kodów uzbrajających.

Japończyk wzruszył ramionami.

- Cóż, już teraz jestem przygotowany do nabycia od ciebie trzech pastylek plutonu 239 i zabrania ich do Moskwy jako dowód dla pewnego zagranicznego biznesmena, że we właściwym momencie będziemy w stanie dostarczyć to, co obiecujemy.

Wołkow spojrzał na niego z osłupieniem.

- Mam ci sprzedać pluton? Jedna pastylka, dziesięć gramów, skombinowana z najzwyczajniejszym konwencjonalnym materiałem wybuchowym wystarczy, by skazić na rok kilometr kwadratowy.

- Za odpowiednią sumę? Oczywiście, że sprzedasz. Nie zapominaj o *SK-14*.

- To była transakcja przeprowadzona na bezpośredni tajny rozkaz samego *genseka*. Tutaj ja jestem szefem i popełniłeś poważny błąd, decydując się na złożenie mi wizyty.

Japończyk wzruszył ramionami.

- Nie sądzę, Chomiku. - Pochylił się i strzepnął popiół w popielniczkę.

Wołkow spiorunował go wzrokiem.

- Zastanawiałem się, co z tobą zrobić, kiedy do mnie przyjdiesz. Mógłbym wezwać strażników. Wyprowadziliby cię stąd i rozwalili za próbę spenetrowania tajnego przedsiębiorstwa. Wypytałbym ich na okoliczność wypadku, zrugnął za przekroczenie kompetencji, a potem podpisał im papiery urlopowe na pięć dni.

- Dziwne. - Japończyk odwrócił się do Pawła. - Dlaczego tylko na pięć? W obozie za takie gówno dostaliby po dziesięć dni urlopu.

- Widzę, że mi nie wierzysz? - zapytał Wołkow z szerokim uśmiechem.

Japończyk pokręcił głową.

- Jeżeli za trzy godziny nie wrócę do Irkucka, zostaną przedsięwzięte pewne środki.

Wołkow poczuł ogarniający go chłód. Na chwilę zapomniał o wszystkim, co wiedział o Japończyku, i to było błędem.

- Jakie środki? - Nie było wątpliwości, że głos mu zadrżał.

Japończyk wskazał papierosem na telefon.

- Zadzwon do swojej żony, zapytaj, jak tam dzieciaki.

Wołkow złapał słuchawkę i drżącym palcem wybrał domowy numer w Irkucku.

- Tak? Kto mówi? - wydusił. - Chcę rozmawiać z żoną! - Na chwilę zapadła cisza. Potem Wołkow ryknął: - Kurwa mać! Pozwolenie? Jakie, kurwa, pozwolenie? - Po przerwie wrzasnął: - Japończyka?!

Japończyk zdusił niedopałek w popielniczce.

- Słuchaj, dyrektorze, nie pozwól, by zdekoncentrowały cię rodzinne problemy. Mamy do omówienia poważniejsze sprawy.

- Ty draniu! Drogo za to zapłacisz!

Martinow po raz pierwszy dał znać, że on też jest obecny. - Zwolnij jego rodzinę, bo inaczej nie będzie żadnego interesu. - Głos miał chrapliwy. - Do diabła, co między wami zaszło?

- Czy mam mu opowiedzieć, Chomik?

- To morderca i kanciarz! - krzyknął Wołkow. Widząc zdenerwowanie Martinowa, swego głównego popiecznika, Japończyk cichym głosem przystąpił do udzielania wyjaśnień.

- Jewgienij Iwanowicz był jednym z faworytów Galiny Breżniew. Przypuszczam, że lubiła go za futro, jakie porasta jego pulchne ciało. Jej mąż Jurij i ja byliśmy kolegami. - Uśmiechnął się promiennie do Wołkova. - Gdzie w owym czasie mieścił się jej *katran*, Chomiku? Niedaleko ulicy Gorkiego, jak dobrze pamiętam. - Martinowowi wyjaśnił: - *Katran* to przybytek na Zachodzie znany pod nazwą kasyno. - Zachichotał. - Oczywiście Galina oferowała dodatkowe podniety w postaci młodych dziwek.

- A jak to się ma do naszego dzisiejszego interesu? - zapytał podniesionym tonem Martinow.

- Chcecie opowiedzieć obwodowemu sekretarzowi tę historię, towarzyszu dyrektorze? - zapytał szyderczo Japończyk. - Czy ja mam to zrobić?

Wołkow rzucił mu zabójcze spojrzenie, ale milczał, więc Japończyk swobodnie kontynuował:

- Nie powinno to zaważyć na naszych dzisiejszych interesach, ale przypuszczam, że będzie inaczej. Piętnaście lat temu, w Moskwie, umówiłem się na spotkanie z Jurijem Czurbanowem w *katranie* jego żony na nocną grę w kości. Jurij zapewnił mnie, że wygram, ale gdy przyszedłem, jego nie było. Przy stole do gry w kości zobaczyłem naszego przyjaciela Chomika, a za jego plecami najbardziej egzotyczną młodą Tatarkę, jaką w życiu widziałem. Niedługo później odkryłem, że była jego kochanką.

- Niech cię diabli, kanciarzu! - warknął Wołkow. Japończyk westchnął głęboko.

- Cóż, aby skrócić tę przydługą historię, przegrałem większą część gotówki do naszego przyjaciela zza biurka. - Wskazał na ponurego Wołkova. - Potem pojawił się Jurij i zauważył moje kłopotliwe położenie. W ciągu paru minut szczęście odwróciło się i odegrałem wszystkie pieniądze. Jurij udaremnił swojej sprytniej żonie magnetyczne manipulowanie kośćmi i Chomik przegrał do mnie całą swoją forszę.

- Zostałem oszukany - warknął Wołkow, wlepiając oczy w telefon.

- Odnoszę wrażenie, że to generał Czurbanow dopuścił się oszustwa - zauważył Martinow. - Jego stary nawyk. Ale, Jewgieniju Iwanowiczu, chcecie pozwolić, by po piętnastu latach gra w kości weszła w drogę przedsięwzięciu wartemu milion... nie, miliard dolarów?

- Cóż, Nikołaju - powrócił do opowieści Japończyk - konsekwencje tego zasadniczo nieistotnego wypadku zdają się trwać do dzisiaj. - Uśmiechnął się lekceważąco do Wołkowa. - W zeszłym tygodniu nasi ludzie zainteresowali się twoją rodziną. Po obejrzeniu zdjęć tak czarującej małżonki i dzieci naprawdę nie mogę zrozumieć, dlaczego nadal chowasz do mnie urazę.

Martinow zauważył, że dyrektor Kopyły jest bliski załamania.

- W porządku, dokończ i przejdźmy do interesów.

- Pytałeś mnie, co się stało, więc mówię. W każdym razie, jako dżentelmen, dałem Chomikowi okazję do odegrania wszystkiego w jednej kolejce. Ja postawiłem pieniądze i zaproponowałem, żeby on postawił jedną noc z Tatarką w moim towarzystwie. - Japończyk roześmiał się głośno i machnął ręką w stronę Wołkowa. - Wytrzeszczył na mnie oczy, tak jak teraz. Kiedy dziewczyna wyraziła zgodę, muszę przyznać, że całkiem chętnie, rzuciliśmy kośćmi i wygrałem. Kiedy jednej nocy było mało, dla mnie i dla niej, Wołkow wpadł w szał. Ale cała ta sprawa zakończyła się pomyślnie: Galina namówiła ojca do mianowania Jewgienija Iwanowicza dyrektorem Krasnowa 86.

Martinow skinął i rzucił Japończykowi surowe spojrzenie. - A teraz uwolnij rodzinę dyrektora. Nie pozwolę, by spotkało cię tu coś złego. W jaki sposób jego rodzina została zakładnikami?

- Mój błyskotliwy adiutant, Paweł, zawitał do Irkucka już w zeszłym tygodniu, z paroma najlepszymi porucznikami. Ręczę ci, że nie próżnowali. - Japończyk wzruszył ramionami i wskazał na Wołkowa. Czerwony na twarzy dyrektor kłął jak szewc i parsknął jak byk. - Wątpię, czy on cię posłucha. Jest tutaj szefem.

- Ale ja jestem pierwszym sekretarzem całego obwodu - wydeklamował Martinow.

Dyrektor pogroził Japończykowi pięścią.

- Nie zobaczysz światła słońca! Nigdy!

Japończyk z nikłym uśmiechem spojrzał na Martinowa. - Rozumiesz teraz, skąd te środki ostrożności?

Minęło prawie pół godziny, nim Martinow i Japończyk zdołali ułagodzić Wołkowa. Po czterdziestu minutach czterej mężczyźni siedzieli wokół stołu w koszulach, bez marynarek, spięci, paląc bez przerwy i targując się zapamiętale.

- Za trzy pastylki plutonu zapłacę ci od ręki trzydzieści tysięcy dolarów.

- Niemożliwe! - sprzeciwił się Wołkow.

- Wrzeszczysz tak głośno, że z pewnością żona słyszy cię w Irkucku - zmiłogował go cicho Japończyk.

Dyrektor nagle przypomniał sobie, że gangster ma przewagę. Miał w rękę jego rodzinę.

- A czas ucieka - kontynuował Japończyk. - Sto tysięcy za trzy pastylki.

- Dwieście tysięcy za trzy, trzydzieści gramów - zażądał Wołkow.

- Załatwione.

Japończyk skinął na Pawła, który otworzył przyniesioną aktówkę. Wewnątrz leżały schludnie ułożone paczki szeleszczących, nowych studolarówek.

- Dwieście tysięcy. Dokładnie - oznajmił pieszczotliwym tonem.

Wołkow wlepił oczy w pieniądze, potem podniósł słuchawkę. Po chwili wysłał swojego pierwszego asystenta na dół do komór, w których przechowywano materiał rozszczepialny, z rozkazem dostarczenia trzech odpowiednio zapakowanych dziesięciogramowych pastylek plutonu 239.

- Skąd wiedziałeś, na jakiej cenie staniemy? - zapytał.

- Byłem pewien, że po naszej rozmowie staniesz się rozsądny.

Raz jeszcze Wołkow poczuł w brzuchu lodowate palce strachu.

Japończyk wrócił i jeżeli się zmienił, to na bardziej bezlitosnego niż wcześniej.

- Teraz porozmawiajmy o pociskach i głowicach, które będziemy dla ciebie sprzedawać, oraz o plutonie i wzbogaconym uranie. - Japończyk zerknął na Wołkova.

- Nawiasem mówiąc, w jakiej formie chciałbyś otrzymywać należność? Mamy doskonałe kontakty w Zurychu.

- Od ciebie? Gotówką, Japończyk - odparł ostro Wołkow.

- W amerykańskich studolarówkach, może być?

- Do przyjęcia. Płatne tutaj, w moim biurze, przy odbiorze.

- Oczywiście. Te trzy pastylki plutonu wywołają lawinę zamówień w przyszłości. A ile byś sobie liczył za nowe pociski SS-25, napędzane paliwem stałym?

- Niepodobna odgadnąć przyszłość, ale szacowałbym na jakieś pięć milionów dolarów. - Głos dyrektora zadrzał przy wymienianiu ceny. - Mówimy o prawdziwym cacuku. Ta rakietka będzie przenosić głowicę o mocy piętnastu megaton na odległość dwudziestu tysięcy kilometrów.

- Zakładam, że w tę cenę wchodzi głowica - nacisnął Japończyk.

Martinow wtrącił się w negocjacje.

- Nikt, nawet Saddam, nie zapłaci pięciu milionów dolarów za wyrzutnię z rakieta bez głowicy.

- Oczywiście. Zamontowane głowice plus kody. To będzie waszą kartą atutową. -

W głosie Wołkowa pobrzmiwał triumf. - Zdradzicie nabywcy kod uzbrajający dopiero po dokonaniu zapłaty. - Zamilkł na dłuższą chwilę, wzruszył ramionami. - Ale po co mówić o czymś, co może zdarzyć się dopiero za rok czy dwa? - podjął bez śladu poprzedniej radości. - Istnieje jednak problem, o którym jeszcze wam nie powiedziałem. Mam zastępcę, doktora Mirkowa, który, jak podejrzewam, składa raporty bezpośrednio w Moskwie, z pominięciem mnie. Prawdę powiedziawszy, musiałem dzisiaj dać mu swój helikopter i wysłać z wizytą do innego tajnego miasta. Kiedy nadejdzie czas, trzeba będzie go zneutralizować. Ale...

- Jestem pewien, że poradzimy sobie z tym problemem - wtrącił Paweł.

- Zdecydujemy, co trzeba zrobić, we właściwym czasie. Obecnie nie możemy ustalić ostatecznej ceny.

Japończyk pokiwał głową.

- Tak, masz rację, teraz nie pora na wiążące negocjacje. Podejmiemy decyzje, gdy ukaże się nowe oblicze radzieckiej i rosyjskiej polityki, a wiem, że tak się stanie w ciągu niecałego roku. Poza tym ty, Chomiku, będziesz musiał pomóc nam w opracowaniu metody przetransportowania rakiet, głowic i materiałów rozszczepialnych do nabywców.

- Obawiam się, że załatwienie wojskowego transportowca *An-22* wykracza poza moje kompetencje. To jedyny samolot przystosowany do transportu pocisku *SS-25 Sickle* z wyrzutnią na odległość do dziesięciu tysięcy kilometrów.

- Nie masz dostępu do takiej maszyny?

Wołkow ze smutkiem pokręcił głową. - Kreml w swojej nieskończonej mądrości podzielił odpowiedzialność za dostarczanie i przechowywanie sprzętu między dwa różne ministerstwa. Gdybym miał obie możliwości, mógłbym sprzedawać i rozprowadzać towar po całym świecie.

- Po prostu powiedz mi, gdzie mamy wylądować tym transportowcem - powiedział z pewnością siebie Japończyk.

- Jest pas startowy tuż za głównym tunelem u podstawy góry. Ma ponad trzy kilometry, przyjmie każdy samolot. Wyrzutnia z *SS-25* może być wyprowadzona z Kopyły na pas i po rampie wciągnięta do wnętrza *An-22*.

- Załatwię transport - obiecał Japończyk.

Wrócił asystent Wołkowa i delikatnie położył na biurku pojemnik tak mały, że swobodnie można by schować go w rękę. Pomknął do windy dosłownie jak strzała. Gdy drzwi zamknęły, się za jego plecami, dyrektor wskazał na pojemnik.

- Podnieś, Japończyk.

Gangster sięgnął po ołowianą kapsułkę i z zadowoleniem poczuł jej ciężar w dłoni.

- Pamiętaj, otwierać jedynie z zachowaniem maksymalnych środków ostrożności, najlepiej w hermetycznym pomieszczeniu z rękawami.

- Przyjmuję na słowo, że w środku jest to, co mówisz - powiedział Japończyk, wając ciężki pojemnik w dłoni. - Ale, jak sugerujesz, oceny dokonają eksperci. - Uśmiech skrzywił jego wąskie wargi.

Dyrektor wzruszył ramionami. Podeszedł do sejfu, otworzył go i włożył do środka zawartość aktówki.

- Ja zaś będę musiał uwierzyć ci na słowo, że w tych paczkach jest odpowiednia suma. Ale ponieważ czekają nas wspólne interesy, więc pewna doza zaufania...

Wołkow oddał Pawłowi pustą aktówkę. Paweł umieścił w niej ołowiany pojemnik i zatrzasnął wieko. Wtedy dyrektor odwrócił się do szafki, wyjął butelkę wódki i cztery kieliszki, chwytając je między palce jednej ręki.

- Mam jeszcze jedną prośbę - oświadczył Japończyk.

Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę i podał ją Wołkowowi.

- Tu są nazwiska i numery dwóch więźniów z łagru w Tulun. Jeżeli zostaną przeniesieni do Krasnołagu 86, byłbym zobowiązany, gdybyś mnie zawiadomił i zadbał o ich natychmiastowe zwolnienie.

- Nie jestem władny...

- Jeżeli ktoś zapyta, powiesz, że zmarli, jak wszyscy wasi niewolnicy na chorobę popromienną, tylko szybciej niż zwykle.

- Ale... - zaczął się płatać Wołkow.

- Ci ludzie są dla mnie wari po pięćdziesiąt tysięcy dolarów każdy, wolni i nie narażeni na promieniowanie.

Wołkow zrozumiał układ i możliwe konsekwencje odrzucenia propozycji Japończyka. Pokiwał głową na zgodę.

- Napijemy się pod tę transakcję? - zaproponował, nalewając wódkę do kieliszków. Wypili jednym haustem.

- Mam nadzieję, że wiesz, za co się bierzesz - przestrzegł Wołkow, wskazując na czarną aktówkę. - Pluton musi być przechowywany w atmosferze gazów obojętnych. W powietrzu dochodzi do samozapłonu. I pamiętaj: najmniejszy kontakt ze skórą powoduje raka.

- Pastyłki zostaną przekazane w pewne i doświadczone ręce.

Wołkow nalał jeszcze raz.

Japończyk podniósł kieliszek.

- Wszyscy mamy na względzie bezpieczeństwo twoje, mój drogi Jewgieniju, i twojej rodziny. By zapewnić wam ochronę, moi porucznicy zostaną na stałe przydzieleni

do pięknego miasta Irkucka nad jeziorem Bajkał, perły Syberii i, chociaż nigdy ich nie zobaczysz ani nie będziesz świadom ich obecności, zawsze będą w pobliżu. Dla twojego dobra.

Wołkow wypił wódkę bez słowa, chociaż dygotał wewnątrz. Nawet alkohol nie wyciszył spazmów, jakie targały jego żołądkiem. Samo imię Japończyka budziło grozę w potencjalnych obiektach jego zainteresowania.

- A teraz może odeślesz nas do Irkucka jednym ze swoich śmigłowców - podsunął Japończyk. - Muszę złapać nocny samolot do Moskwy. Mamy wiele do zrobienia przed następnym spotkaniem. Zdobycie transportowca nie jest prostą sprawą.

Spojrzenie Wołkowa padło na szafę pancerną, do której tak niedawno schował dwieście tysięcy dolarów. Z szerokim uśmiechem powiedział: - Oczywiście, Japończyk. Jeszcze po jednym przed wyjściem?

Gangster pokręcił głową.

- Chyba ważniejszy jest mój powrót do Irkucka w ciągu... - zerknął na zegarek - godziny. Pamiętasz?

- Oczywiście. - Wołkow podniósł słuchawkę i wydał rozkaz przygotowania śmigłowca.

- Zadzwoń do żony za godzinę, będzie szczęśliwa, gdy cię usłyszy. I powiedz jej, że już nie będzie miała takich problemów, skoro moi ludzie zaczną ją chronić. Żadne z was ich nie zobaczy, ale będą w pobliżu.

Wołkow poważnie pokiwał głową, przemierzył gabinet i wcisnął guzik windy.

- Cóż, przyjacielu - powiedział Japończyk do Nikołaja - pomyślnie zamknęliśmy pierwszy rozdział naszego biznesu w Kopule. Z niecierpliwością czekam na ciąg dalszy. Wołkowowi wreszcie nadarzyła się wymarzona okazja. Już ma w sejfie równowartość życiowych zarobków inżyniera.

Japończyk wszedł za Martinowem do windy, odwrócił się i skinął do Wołkowa.

- Zatem do szybkiej zmiany, która umożliwi nam prowadzenie jeszcze bardziej opłacalnych interesów.

Paweł zawołał przez ramię:

- I nie przejmuj się swoim zastępcą. Teraz to mój problem.

Była to ta część pracy, do której Władimir Nieczajew nie potrafił się przyzwyczaić. Podniósł policyjny koc i popatrzył na zwłoki Wiktora Kaliny, nieślubnego syna Japończyka, noszącego nazwisko matki. Ciało leżało w miejscu znalezienia, przed windą w holu bloku Wiktora przy ulicy Solanka. Dostał jedną kulę prosto w twarz z bezpośredniej odległości. O popełnieniu morderstwa zameldował anonimowy mieszkaniec tego samego budynku. Dzielnicowi milicjanci, którzy pojawili się po kilku minutach na miejscu zdarzenia, zidentyfikowali ofiarę i, wiedząc o jej pokrewieństwie z Japończykiem, niezwłocznie zadzwonili po Nieczajewa.

- Wiedziałem, że powrót Japończyka sprowadzi na nas kłopoty, a przecież ten sukinsyn jeszcze nawet nie wylądował w Moskwie - narzekał Nieczajew, zakrywając kocem twarz trupa. - To tylko początek.

Milicjanci skończyli zbieranie odcisków palców i wszelkich możliwych dowodów. Nieczajew ponownie rozglądał się po scenie przestępstwa, kiedy Pietia wpadł do budynku i wezwał go do radiotelefonu.

- Przyjeżdż na skrzyżowanie wylotowej na Leningrad i Prawdy! - szczerknął generał Bodajew. - Doszło do masakry przed blokiem Olgi Jakowlewaj. To żona Japończyka.

- O kurwa! - zaklął Nieczajew. - Co jest grane?

- Będę na ciebie czekał.

Nieczajew wskoczył na fotel obok kierowcy.

- Zabierzcie ciało do kostnicy - zawołał do jednego z detektywów, gdy radiowóz ruszył.

Na ulicy Prawda zastał okropny widok. Na chodniku zobaczył trzy posiekane kulemi ciała, przy krawężniku stał spalony samochód ze zwęglonymi zwłokami na podłodze. Na splamionych krwią płytach leżały porzucane łuski i broń, która wypadła z rąk zabitych. Na drugim piętrze budynku stojącego po drugiej stronie ulicy dwaj milicjanci znaleźli jeszcze dymiącą rurę granatnika i stos łusek po nabojach do karabinu maszynowego.

Nieczajew przybył w chwili, gdy ekipa dochodzeniowa robiła ostatnie zdjęcia. Bodajew przemierzył miejsce zasadzki i zatrzymał się obok szefa detektywów.

- Znalazłeś coś w mieszkaniu Kaliny?

Nieczajew pokręcił głową.

- Robota zawodowca, tylko bez tłumika. Ktoś usłyszał huk i złożył meldunek.

Tylko jeden strzał, bez łusek, bez świadków. Był wczesny ranek. Pistolet czekał na zabójcę w skrzynce pocztowej; była otwarta, w środku znaleźliśmy plamy oliwy. - Jego oczy zwężyły się, gdy omiatał jatkę. - A tutaj coś interesującego?

- Pokażę ci. - Bodajew poprowadził szefa detektywów do poszarpanego kulami ciała, które leżało w wejściu do stuletniego dworku przekształconego w wielorodzinny budynek mieszkalny. - Poznajesz?

Nieczajew popatrzył na zakrwawione zwłoki. Twarz była na tyle nienaruszona, że zdołał ją rozpoznać.

- Niemożliwe! - zawołał. - Wygląda jak...

- To nie on. To Hakim, Kazach i sobowtór Japończyka. - Wskazał na drugie zmasakrowane kulami ciało. - Żył jeszcze, gdy tu przybyliśmy, i zdołał nam powiedzieć, co się stało. Porucznicy Giwiego pod kierunkiem Resa wzięli pod obserwację mieszkanie Olgi i czekali na Japończyka. W zasadzkę wpadł Hakim i trzech innych, zajętych przygotowaniami powitalnego przyjęcia w domu Jakowlewów. - Bodajew potrząsnął głową. - Najpierw Wiktor, teraz ci! Jestem pewien, że już wiedzą, iż nie ustrzelili prawdziwego Japończyka. Powinniśmy jechać na lotnisko na jego spotkanie.

Nieczajew zerknął na zegarek.

- Japończyk i Paweł powinni przybyć za parę godzin. Gdzie rezerwy brygady kryminalnej?

- Nie wiesz? - zawołał Bodajew. - Część jednostki rezerwowej ochrania Gorbaczowa, jeden oddział nadal tkwi w Tulun, zajęty dochodzeniem w sprawie buntu, a Japończyk? Jest w powietrzu i zjawi się tu lada chwila. Jeden pieprzony mafioso sprawia, że dwustu milicjantów miota się jak króliki! Ja zostanę tutaj. Przeszukamy mieszkanie. Ty jedź na lotnisko i rozstaw ludzi. Nie możemy dopuścić do dalszych zabójstw.

Na lotnisku krajowym Szeremietiewo I Nieczajew przez dwie godziny rozstawiał ubranych po cywilnemu agentów i strzelców wyborowych. Teren był również pod obserwacją kamer wideo i ochrony lotniska.

- Pomyślałby kto, że przyjeżdża sekretarz generalny - skomentował Ugłanow.

- Na swój sposób on jest sekretarzem generalnym - odparł Nieczajew - i podróżuje z nim jego zastępca, Paweł. - Z odrazą pokręcił głową. - I pomyśleć, że mamy ich ochraniać!

W terminalu do Nieczajewa i Ugłanowa podbiegł Pietia. - Generał Bodajew podał przez radio, że Olga wróciła do mieszkania, i gdy powiedzieliśmy jej, co się stało, wybrała się na spotkanie męża. Aresztowaliśmy jednego z ludzi Japończyka, który pilnował broni.

Ledwo milicjant powtórzył wiadomość, przez radiotelefon poinformowano Nieczajewa, że pod główne wejście terminala zajechał Mercedes z żoną Japończyka, kierowcą i ochroniarzem.

Chwilę później zobaczyli przystojną, wysoką kobietę o krótko ostrzyżonych jasnych włosach. Nieczajew był czujny, omiatał wzrokiem teren w poszukiwaniu potencjalnego zamachowca, ale wbrew jego obawom powrót Japończyka przebiegał bez zakłóceń.

Japończyk wszedł do terminalu. Wyglądało na to, że jest nieco oszołomiony. Olga i Paweł, idący po jego obu stronach, chyba go podtrzymywali. Nieczajew przypuszczał, że Olga powiedziała mu o śmierci Wiktora i o zasadzce przy jej mieszkaniu. Cicho rozkazał, by wszystkie posterunki przepuściły Japończyka i towarzyszące mu osoby.

- Obserwować ich aż do samochodu, a potem śledzić - rozkazał przez radio. Ale ku jego wielkiemu zdziwieniu, Japończyk, Paweł i Olga ominęli Mercedesa i, nawet nie zabierając bagaży, wsiedli do autobusu, który odjeżdżał z lotniska w kierunku Moskwy. Kierowca i ochroniarz w Mercedesie, nie mając innych rozkazów, pozostali przed terminalem. - Zmienili środek lokomocji - zawołał Nieczajew.

- Jechać za autobusem.

Bodajew przekazał mu przez radio rozkaz udania się do mieszkania Olgi. Kilku milicjantów stało przed budynkiem, który po przeszukaniu został zaplombowany. Olga pojawiła się w godzinę po przybyciu Nieczajewa. Była sama. Wyglądała na skonsternowaną.

- Przepraszam za niepokojenie w takiej ciężkiej chwili powiedział Nieczajew. - Niestety, musieliśmy przeszukać wasze mieszkanie i zostawić tu ludzi na posterunku. Wiem, że to niewygodna, ale to dla waszego bezpieczeństwa. I dla dobra waszego męża. Czy wiecie, gdzie on przebywa?

- Mój mąż pojechał na Pietrowkę. Chce porozmawiać z wami i waszymi zwierzchnikami.

Nieczajew wypadł z mieszkania i skoczył do samochodu. Gdy Pietia mknął Szosą Leningradzką w kierunku centrum miasta, Lis podniósł słuchawkę i zadzwonił do własnego biura. Zgłosił się Borys Burienczuk.

- Lisie, nigdy nie zgadniecie, kto tu na was czeka!

- Wiem - odparł Nieczajew. - Co robi?

- Nic. Siedzi na korytarzu. Dałem mu papierosa.

- Powiedz mu, że będę za pięć minut.

28.

Siedzieli po obu stronach biurka Nieczajewa. Japończyk z roztargnieniem wyglądał przez okno. Twarz miał nieruchomą, oczy zwężone w szczeliny. Nieczajew po raz pierwszy spotkał go oko w oko i legendarny generał nijak nie spełniał jego oczekiwań. Prawdę mówiąc, wyglądał jak każdy pograżony w żałobie ojciec, zdruzgotany śmiercią swego syna. Nieczajew na chwilę zapomniał, że martwy chłopak był osławionym gangsterem, a jego ojciec prawdopodobnie budzącym największy strach przestępcą w całej Rosji.

- Napijecie się kawy? - zapytał.
- Dzięki, małą filiżankę.
- Papierosa?
- Poproszę.

Japończyk zaciągnął się, dopiero potem sięgnął do kieszeni na piersiach. Wyjął dwa złożone arkusze, które podał Nieczajewowi. Jednym było zwolnienie z więzienia podpisane przez szefa ekipy dochodzeniowej w Tulun. Lis oddał dokument. Później właściciel miał go wymienić na paszport złożony w siedzibie milicji obsługującej dzielnicę, w której był zameldowany. Drugi dokument był podaniem adresowanym do brygady kryminalnej milicji miasta Moskwa na ulicy Pietrowka 38.

Prośba wystosowana przez obywatela Jakowlewa dotyczyła przeprowadzenia śledztwa w sprawie śmierci obywatela Wiktora Wiaczesławicza Jakowlewa, jego syna. Nieczajew po raz pierwszy spotkał się z połączeniem imienia Wiktor z nazwiskiem Jakowlew. To wzruszające, pomyślał, że Japończyk próbuje uznać pochodzenie syna po śmierci, czego odmawiał mu za życia.

Lis położył podanie na biurku.

- Obywatelu Jakowlew, moje najgłębsze kondolencje. Wiktor był młodym człowiekiem i jego śmierć stanowi prawdziwą tragedię. Z drugiej strony, oczywiście, zdajecie sobie sprawę, że jesteście jednym z nielicznych, którzy mogą przyczynić się do zapobieżenia dalszemu rozlewowi krwi na ulicach Moskwy.

Japończyk przeciągnął ręką po twarzy.

- Komendancie, ja nie chcę rozlewu krwi.
- Znacie tego Resa?
- Tak. To jeden z ludzi Tofika.
- Był dziś rano w pobliżu mieszkania waszej żony. Uważamy, że grupa przestępcza

Giwiego Gigauri, dawniejszy gang Tofika, zamierzała zabić was i waszego syna. Ochranialiśmy was na lotnisku, ale w przypadku Wiktora oni byli szybsi.

Japończyk pokiwał głową.

- Zauważyłem waszych ludzi na lotnisku. Dziękuję. Doceniam waszą troskę.

- Czy posiadacie jakieś informacje na temat dzisiejszego zamachu?

- Zaatakowali moich ludzi niedaleko mieszkania mojej żony. Prawdopodobnie dlatego, że wzięli jednego z nich, Hakima, za mnie.

- Reso go zastrzelił?

- Nie wiem niczego na pewno. Wróciłem do Moskwy parę godzin temu, po prawie dziesięciu latach nieobecności. Jeszcze nawet nie byłem w domu.

- Rozmawiamy całkowicie nieoficjalnie.

- Wyłącznie dlatego cokolwiek mówię - odparł Japończyk.

- Zdradziłem wam nazwiska podejrzanych. Rozumiecie, że jeśli coś się z nimi stanie, zostaniecie postawieni w stan oskarżenia?

- Tak. Mówiłem wam, jestem zmęczony rozlewem krwi. Chcę doprowadzić winnych przed oblicze sprawiedliwości.

- Czy możecie udzielić mi wszelkich informacji o grupie Giwego?

- Jak najbardziej. Odbyłem wiele rozmów z Tofikiem, nim został zastrzelony przez wartowników w Tulun.

- Nie boicie się, że inni generałowie okrzykną was zdrajcą?

- Nie. Przecież nikomu nie powtórzycie naszej rozmowy.

Nieczajew z satysfakcją pokiwał głową.

- W porządku. Żadnych protokołów i nagrań.

Japończyk zapalił drugiego papierosa.

Paweł siedział przy biurku w mieszkaniu, które przygotował na powrót Japończyka. Zerknął na zegarek, a potem na Miszę, który stał po drugiej stronie biurka. Jego długi płaszcz zakrywał *Katasznikowa*.

- Miałeś około dwóch godzin na wypełnienie rozkazów od Giwego i Resa, dotyczących znalezienia i zabicia swoich dawnych mocodawców - powiedział. Nalał koniaku do szklanki i pociągnął długi łyk. - Giwi z niecierpliwością czeka na raport. Skróćmy tej świni oczekiwanie.

Misza skinął głową.

- Kiedy rozstawałem się z Giwim, przez telefon zamawiał bilety do Tbilisi dla siebie, i swoich poruczników na wypadek, gdybym zawałił. Tylko Aleksiej zostaje w Moskwie. Nigdy nie widziałem, by Giwi był tak przerażony.

- I nie bez powodu. - Paweł podniósł słuchawkę i wybrał numer zapisany na skrawku papieru, jaki mu dał Misza.

- Giwi, to ja, Paweł.
- Głos Giwiego brzmiał spokojnie, prawie obojętnie.
- Miło cię słyszeć, stary. O co chodzi?
- Nie czas na żarty, Giwi - wysyczał Paweł. - Co z ciebie za maniak?
- O czym ty mówisz?
- Wojna nie jest sposobem na prowadzenie interesów.
- Powiedz to Japończykowi i jego facetom z granatami - odwarknął Giwi.
- Zamknij się, Giwi. Nie pora na sprzeczki. Chcesz, by ta krwawa łaźnia nie miała końca?
- O co ci chodzi?
- Cholernie dobrze wiesz, o co!
- Słuchaj, Paweł, wydajesz się jakiś dziwny - fałszywa nuta troski w głosie Giwiego niemal wyprowadziła Pawła z równowagi. - I skąd masz ten numer?
- Od tego waszego skurwiela, Miszy.
- Gdzie jest Michaił? - Troska już nie była udawana. Paweł grał jak wytrawny aktor.
- Aha, chcesz rozmawiać z Michaiłem. Cóż, jeśli zwrócisz się do Lucyfera, może on da ci numer, w piekle!
- Co to znaczy? - zapytał spiesznie Giwi.
- Co to znaczy? - wyskrzeczwał Paweł do mikrofonu. - To znaczy, że twój cholerny Michaił zastrzelił Japończyka, i sam przy tym zginął od kul gliniarzy. Znalazłem twój numer w jego kieszeni.
- A co tam robiła milicja?
- Ty cholerny durniu, Japończyk od chwili przylotu jest pod ochroną milicji. Zostali postawieni w stan pogotowia, gdy twoje świry załatwiły Wiktora. W tej chwili przygotowują polowanie na ciebie i twoją bandę, a jeżeli cię nie dorwą, zrobią to nasi ludzie...
- Paweł usłyszał, jak Giwi trzasnęła słuchawką.
- Powstrzymał histeryczny wybuch śmiechu, szczerząc zęby do Miszy.
- Co zrobi teraz Giwi? - zapytał.
- Będzie chciał zniknąć, możesz być pewien.
- Musimy go złapać, nim zaszyje się w Gruzji. Mógłby później wrócić do Moskwy z całym gangiem Tofika.
- Wyszli z budynku i wsiedli na tył czarnej furgonetki. Kierowca wcisnął gaz do de-ski.
- Mam nadzieję, że nie mylisz się co do hotelu „Kosmos” powiedział Paweł. - Wołałbym, żeby Giwi nie zwiął. To byłoby sygnałem, że Japończyk nie może wygrać rozpoczętej przez niego wojny.
- Giwi trzyma swoje manele w apartamencie w „Kosmosie” - odparł Misza. - Bez

nich nigdzie nie pojedzie.

Godzinę później Giwi, skulony niewygodnie na przednim fotelu żółtej taksówki, krzyknął do Resa i dwóch poruczników na tylnym siedzeniu, żeby się obudzili, bo dojeżdżają do hotelu „Kosmos”. Wyciągnął zwitek trzydziestorubłówek z kieszeni kurtki i pochwalił taksówkarza za tempo, w jakim przebyli trasę z postoju na skraju miasta

Gdy taksówka zbliżyła się do „Kosmosu”, w jej stronę ruszył samotny mężczyzna, który przed chwilą wysiadł z ciemnej furgonetki parkującej od jakiegoś czasu po drugiej stronie ulicy.

- Hej, Giwi, kto tam jest za nami? - krzyknął chrapliwie Reso.

Giwi zerknął w boczne lusterko i zamarł z przerażenia. Wlepił oczy w odbicie Miszy oświetlonego jaskrawym blaskiem lamp rtęciowych. Czarne oczy błyszczały złośliwie, twarz była wykrzywiona, usta zaciśnięte w cienką linię.

Misza wyszarpnął lufę *Katasznikowa* spod płaszcza, wycelował w tylne siedzenie i nacisnął spust. Długa seria pruć po wnętrzu pojazdu z prawa na lewo, przeszywając ciała Resa i dwóch poruczników. Kilka pocisków cisnęło Resa między przednie a tylne fotele. Wrzask połączony z ogłuszającym terkotem karabinu sprawił, że przechodnie rzucili się płasko na chodniki.

Misza skierował lufę na zarys potężnej sylwetki Giwiego i posłał drugą serię. Wszystkie pociski utkwily w masywnych plecach gangstera. Kolejna seria dosłownie rozerwała go na strzępy, krew bluznęła na przednią szybę. Kule, które przeszły na wylot przez ciało, w ułamku sekundy przemieniły szybę w szklane konfetti. Głowa Giwiego opadła do tyłu, usta otworzyły się szeroko. Lewa ręka nadal zaciskała zwitek banknotów.

Przechodnie wokół wrzeszczeli i odskakiwali, tłum czekający na przystanku autobusowym runął w tył, tratując tych, którzy wychodzili z metra. Piski kobiet i przekleństwa zawirowały w powietrzu.

Misza opuścił dymiący karabin i szybko zlustrował otoczenie. Plac za nim opustoszał w jednej chwili. Powrót do furgonetki był niemożliwy, gdyż przerażeni przechodnie biegali w panice we wszystkie strony i odcinali mu drogę. Misza odwrócił się i pobiegł w ciemność, w kierunku grupy czteropiętrowych domów. Nikt nie ruszył za nim w pościg.

Podziurawiona kulami taksówka została przy krawężniku.

W ciągu dwóch godzin spędzonych z Japończykiem, Nieczajew dowiedział się więcej o „warzywnej mafii”- Giwiego Gigauri, niż w czasie dwuletniego dochodzenia. Gdyby dysponował takimi informacjami w czasie procesu, Giwi nie wyszedłby z więzienia. Japończyk skończył monolog i zapalił. W stojącej pomiędzy nimi popielniczkę

jeżyły się niedopałki, powietrze było siwe od dymu. W tej chwili otworzyły się drzwi i do biura wszedł generał Bodajew.

Japończyk odwrócił głowę i spojrzął w błękitne oczy generała.

- Dobry wieczór, obywatelu Jakowlew. Zastaję was w dziwnym miejscu.
- Dobry wieczór, komendancie. Cóż, takie jest życie.
- Przyjmijcie, proszę, moje kondolencje w związku ze stratą syna. Nie mogliśmy przewidzieć tej tragedii, a za wami, oczywiście, trudno nadażyć.
- To nie wasza wina, generale.
- Jakie są wasze plany, jeśli można spytać?
- Żyć dalej. Ale czy mógłbym najpierw zobaczyć ciało?
- Oczywiście. Pułkownika Nieczajew, zaprowadźcie obywatela Jakowlewa do kostnicy.

Kostnica, mroczna, wąska i niska, mieściła się w piwnicach komendy. Dziesiątki żarówek rzucały żółte, nierówne światło. Kafelki starej posadzki były popękane i poszczerbione.

Milczący, gładko wygolony, łysy patolog znalazł właściwą szufladę, wyciągnął ją do połowy i jednym, szybkim, wytrenowanym ruchem zwinął poplamione płótno. Ukazał się nagi tors Wiktora. Skóra była niebieskawa, krótkie, jasne włosy potargane. Na czole widniał siniak, a po lewej stronie nosa niewielki otwór, przez który weszła kula. Nie było potrzeby oglądania poszarpanej rany z tyłu czaszki. Wiktor widział nadchodzącą śmierć. Japończyk wyciągnął rękę i dotknął czubkami palców podbródka syna, mruczając coś, czego Lis nie potrafił zrozumieć. Po dłuższej chwili odwrócił się do detektywa.

- Kiedy mogę go zabrać?
- Jutro, po autopsji.
- Czy to konieczne?
- Przykro mi, ale w przypadku przestępstwa autopsja jest niezbędna.
- Rozumiem. - Japończyk spojrzął jeszcze raz na ciało syna i nakrył je prześciera-
dłem. Patolog zamknął szufladę.

Z powrotem w biurze Bodajewa Japończyk zerknął na zegarek i podniósł głowę.

- No to chyba już pójdę - powiedział. - Ta zmiana stref czasu pokręciła mi w głowie. Moglibyście mi powiedzieć, która godzina jest w Moskwie?
- Wpół do dwunastej - odparł Nieczajew. - Dokąd pójdziecie?
- Do mieszkania żony.
- Pod domem stoi patrol milicji. Nie powinno być kłopotów.
- Jeszcze raz dziękuję. Jutro wrócę po ciało.
- Przyjdźcie około piątej - powiedział Bodajew.
- Będę, komendancie.

Nieczajew zadzwonił na oficera dyżurnego.

- Odprowadźcie obywatela Jakowlewa.

Po wyjściu Japończyka Bodajew i Nieczajew słuchali kroków cichnących na korytarzu i żelaznych schodach. Bodajew zapalił papierosa i wydmuchnął chmurę dymu.

- Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że za tą wizytą kryje się coś więcej niż ojcowski żal - mruknął. - Co ci powiedział?

- Dostarczył mnóstwo dowodów przeciwko bandzie Giwiego. Sprawdzenie ich zajmie jakiś czas, ale jesteśmy na najlepszej drodze do wysunięcia oskarżenia.

Skąpy uśmiech skrzywił wargi Bodajewa.

- Nieszczęście jednego może być korzystne dla drugiego. Wspólny wróg rodzi dziwne przymierza. Śmierć Wiktora doprowadziła do tego, że Japończyk zrobił swoich wrogów. Chcę mieć szczegółowy raport, oznaczony jako ściśle tajny. Nawet KGB nie posiada takich informacji.

Zadzwonił telefon. Bodajew podniósł słuchawkę. Nagle twarz mu poczerwieniała i wykrzywiła się z furii. Rzucił słuchawkę na widełki i odwrócił się do Bodajewa.

- Kolejna strzelanina. Tym razem przed hotelem „Kosmos”. Są ofiary.

Zwyczajny tłumek ciekawskich rozprasał się, gdy o północy Bodajew i Nieczajew przybyli na miejsce trzeciej tego dnia strzelaniny. Major Jurij Ugłanow, jak zwykle w marmurkowych dzinsach z amerykańską flagą na lewej kieszeni, spotkał ich przy wejściu do hotelu. Razem obejrzelili taksówkę ze strzaskana szybą, otwartymi drzwiami i ciałami na siedzeniach.

- Czterej nie żyją - powiedział. - Kierowca wyszedł bez szwanku, chociaż narobił w spodnie. Bardzo profesjonalna egzekucja.

Nieczajew zerknął na ciała i zwrócił się do Bodajewa:

- To Giwi i jego ludzie. Robota Japończyka!

- Teraz to jasne - rzekł Bodajew. Trzeci raz tego dnia spece od zbierania dowodów przeczesywali scenę morderstwa, a milicyjny fotograf robił zdjęcia.

Zawrócili do samochodu. Przednie drzwi były otwarte i Bodajew rzucił się na fotel.

- I kto by pomyślał? - zaczął Nieczajew.

- Wiem - przerwał mu ze zmęczeniem generał. - Wydaje się, że myślenie nie jest najmocniejszą cechą naszej brygady, z szefem włącznie. Teraz rozumiesz, dlaczego Japończyk zadbał, żebyśmy potwierdzili, iż był u nas o wpół do dwunastej.

Nieczajew bez komentarza wzruszył ramionami.

- Jestem starym człowiekiem - mruknął Bodajew. - Przed końcem tego tygodnia połowa moskiewskiej milicji, całe KGB i wszyscy z biura prokuratora generalnego będą umierać ze śmiechu. - Ze smutkiem potrząsnął głową. - I czemu nie? Słynny gangster popija kawę z szefem detektywów brygady kryminalnej, podczas gdy jego banda wyrównuje porachunki na ulicach miasta. I czemu mieliby sobie nie použíwać, skoro jedyne, co robimy, to pamiątkowe zdjęcia trupom?

29.

Dwa dni później, na zalany wiosennym słońcem cmentarz Wagankowo zmierzał majestatyczny kondukt złożony z około pięćdziesięciu limuzyn. Na tej jednej z najstarszych moskiewskich nekropoli znajdowano miejsce jedynie dla członków Biura Politycznego KPZR i najbogatszych obywateli. U bramy zgromadziła się śmietanka świata przestępczego, by oddać ostatnią posługę znamienitemu członkowi swej społeczności, Wiktorowi Wiaczesławiczowi Jakowlewowi.

Zebranie się wokół grobu, okrytego olbrzymimi wieńcami i girlandami, wymagało długiego czasu. Stary cmentarz był tak przepełniony, że żałobnicy musieli jeden za drugim lawirować w dżungli nagrobków.

Ceremonia z łatwością mogłaby ująć za staroświecki pokaz mody jakiegoś obdarzonego bogatą wyobraźnią paryskiego projektanta. Mężczyźni prezentowali się w garniturach z najdroższych materiałów, w kolorach od bardzo ciemnych do pastelowych. Złote dewizki przecinały wystające brzuchy, złote sygnety z kamieniami błyskały na owłosionych palcach bossów moskiewskich band, ich adiutantów, konsultantów i doradców finansowych.

Mistrz ceremonii witał sławy moskiewskiego kina i teatru, jak na festiwalu *cz\$-biennale sztuki*: wszyscy byli przyjaciółmi Wiktora, jego dłużnikami do grobowej deski. Niektórzy prowadzili z nim interesy. Śpiewak i aktor Josef Kobzon stawiał się ze swoją nową kochanką, co najmniej dwadzieścia lat od niego młodszą. Poza Kobzonem było obecnych kilku innych deputowanych.

Na trawniku na skraju cmentarza przewidziano stypę na pięćset osób, ale liczba żałobników okazała się o wiele większa. Zdawało się, że cała Moskwa chce oddać hołd Wiktorowi i wziąć udział w najważniejszym od lat wydarzeniu podziemnego świata.

Przybyła również delegacja z moskiewskiej giełdy, by dać wyraz żalowi po śmierci wybitnego biznesmena. Wiktor mimo młodego wieku był człowiekiem przedsiębiorczym i inwestował wszędzie tam, gdzie mógł liczyć na zysk. Nie brakowało też przedstawicieli świata literackiego i artystycznego, łącznie z paroma znanymi pisarzami, poetami i plastykami sponsorowanymi szczerze przez tragicznie zmarłego miłośnika sztuki. Kwartet smyczkowy z moskiewskiej orkiestry symfonicznej wykonywał utwory Sibeliusa.

Japończyk ze zdumieniem myślał o wybitnym gremium. Był dumny z powodzenia,

jakim Wiktor cieszył się w swym krótkim życiu. W pewnej chwili obok niego pojawiła się smukła kobieta w długiej do kostek czarnej sukni.

- Och, Sława, tak mi przykro, tak bardzo mi przykro.

Jej głos był znajomy.

- Oksana. - Po raz pierwszy tego dnia głos mu się załamał. - Miło z twojej strony, że przyszłaś.

- Gdy dowiedziałam się o tej tragedii, mogłam myśleć tylko o tym, co powiedziałeś w Tulun. Wiem, ile Wiktor znaczył dla ciebie i twoich przyszłych planów.

Dotknął dłonią jej ramienia. Przemknął między nimi jakiś prąd, który przyprawił go o drżenie.

- Pewnego dnia powiem ci, jak wiele znaczy dla mnie twoja obecność. Ale dzisiaj nie wolno mi zdradzić swoich prawdziwych uczuć. - Gdy Oksana odsunęła się, by zrobić miejsce dla następnego żałobnika składającego kondolencje, Japończyk poczuł lekkość w duszy; z przybyciem dziewczyny dzień pogrzebu stał się bardziej radosny.

Wiele mów wygłoszono nad trumną Wiktora. Mówcy brzęczeli jak pszczoły, wyśławiając cnoty, jakich nie posiadała ani nie mogła posiadać żadna żyjąca osoba. Peany ciągnęłyby się do późnej nocy, gdyby Japończyk nie przerwał ich zdecydowanym ruchem ręki pod koniec drugiej godziny.

Trumna została opuszczona do grobu. Japończyk otworzył dłoń, grudy gliny uderzyły głucho o wieko.

Matka Wiktora odsunęła woalkę i na trumnę upadła druga garść ziemi. Potem, nie odzywając się słowem do Japończyka, opuściła woalkę i zniknęła w tłumie żałobników.

Japończyk odwrócił się od grobu i z Olgą u boku ruszył przez labirynt nagrobków do zastawionych stołów.

Godzinę później, gdy trwała stypa przeplatana licznymi toastami, przy oddzielnym stole spotkał się z przywódcami moskiewskich gangów. Pogrzeb stanowił doskonałą przykrywkę dla takiego zebrania. Bossowie siedzieli przy długim stole w dwóch rzędach. Stawili się wszyscy, gdyż powrót Japończyka i natychmiastowa wojna zasygnalizowały nastanie nowej ery. Żaden z nich nie życzył sobie, by inny generał rościł sobie prawo do jego interesów. Japończyk doskonale zdawał sobie sprawę, że spektakularna egzekucja Giwiego i trzech jego ludzi, zaledwie w parę godzin po jego powrocie z dziesięcioletniego wygnania, wprawiła innych w przerażenie. Jednakże wiedział też, że w tej chwili wielu obecnych nie chciało uznać go za szefa.

Postanowił okazać swoją wolę bez arogancji czy zachłanności. Stanął u szczytu stołu, z rękoma w kieszeniach, poły czarnego płaszcza łopotąły na wietrze.

Z twarzą bez wyrazu patrzył prosto przed siebie, na nikogo w szczególności, jakby był sam. Jego ściszony głos nakazywał zebranym wyłączenie uwagi.

- Dziękuję wam za przybycie - zaczął. - Jak w swoich Odach napisał Horacy, „Błada Śmierć bezstronnie puka do chaty biedaka i do pałaców królów”. Dość strzelaniny. Koniec rozlewu krwi. To nie wróci mi syna. Jego śmierć nie powinna była mieć miejsca, lecz był młody... - głos mu zadrżał lekko - a ja nie miałem okazji nauczyć go tego, czego sam się w życiu nauczyłem.

Przerwał i rozejrzał się wokół stołu, przy którym siedzieli najwyżsi notable moskiewskiego świata przestępczego.

- Powiedzcie ludziom Gigauriego, że Japończyk nikogo nie tknie. Wszyscy mogą wrócić do swoich interesów. Ale przejmuję handel Giwiego z Azją Centralną.

Właściwie nie planował takiego ruchu, lecz okoliczności zmieniły się tak drastycznie, że był on w imię utrzymania dyscypliny konieczny i, oczywiście, wysoce opłacalny.

- Tak jest uczciwie i sprawiedliwie - mówił. Zgromadzeni zamruczeli chórem na zgodę. - Wszystkie konflikty w przyszłości będą rozwiązywane w sposób pokojowy. - Twardy błysk zapalił się w skośnych szczelinach jego powiek. - Kto naruszy pokój, szybko będzie skończony. Słowo Japończyka. Jesteśmy biznesmenami, nie bandytami. Zapamiętajcie to dobrze. Następna walna konferencja odbędzie się za kilka miesięcy i będzie dotyczyła bardzo poważnej sprawy. Bądźcie gotowi. Wszyscy będą informowani na bieżąco.

Teraz, gdy rzucił im przyjazny uśmiech, jego oczy rozszerzyły się nieco.

- Bawcie się dobrze... i wypijcie za pamięć zmarłego. Powiedzcie krewnym Giwiego, że mogą pochować go, gdzie chcą. Tutaj albo w Gruzji. Nie mam nic przeciwko. Urządźcie jemu i jego ludziom okazały pogrzeb. Giwi był prawdziwym mężczyzną, tak samo jak Tofik.

Odwrócił się, chcąc odejść od milczącej, pogrążonej w zadumie grupy bossów swata przestępczego. Zerknął w prawo i zobaczył wysokiego Gruzina w czarnym stroju. Był to Aleksiej, kapitan Giwiego i spadkobierca tego, co zostało z organizacji Tofika. Zgromadzenie gangsterów przy stole zamarło. Japończyk zrobił krok w kierunku potencjalnego nieprzyjaciela. Aleksiej zbliżył się spokojnie, jego twarz była maską obojętności. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Przyszedłem cię zobaczyć. Przykro mi z powodu tego, co się stało. To... - Wzruszył ramionami, szukając właściwego słowa; nie znalazł jednak odpowiedniego. - Biznes.

Japończyk bez słowa pokiwał głową.

- Przyszedłem sam i nie składałem kondolencji, bo mogłyby się one wydać obłudne. Ale przywiozłem ci prezent. Tam. - Machnął ręką w stronę ogrodzenia cmentarza.

Japończyk odwrócił się do stołu.

- Paweł, chodź z nami.

Paweł podniósł się z miejsca i w trójkę ruszyli między nagrobkami i pomnikami do bramy. Pozostali przy stole bossowie obserwowali ich odejście.

Przy wejściu stała czarna Wołga. Żadnego goryla nie było w polu widzenia, tylko szofer za kierownicą i ktoś na tylnym siedzeniu.

- Aleksiej - zagadnął chrapliwym głosem Paweł - jeżeli to jakiś kawał, to ostatni w twojej biografii.

Aleksiej zachichotał, podszedł do tylnych drzwi auta i otworzył je. Zobaczyli chudzielca z pryszczami na całej twarzy. Wyrostek miał rozkwaszony nos i ręce związane na plecach. Uczynił niezdatną próbę odsunięcia się od drzwi, jakby bał się dziennego światła. Popatrzył koso na Japończyka i Pawła.

- Do diabła, co to jest? - zapytał Paweł, krzywiąc się na widok chłopaka.

Aleksiej zapalił.

- Chłopczyk Zazy, jednego ze zboczonych poruczników Giwiego. To ten mały szczur zastrzelił Wiktora.

Japończyk zgłupiał. Podszedł do drzwi, by lepiej przyjrzeć się twarzy chłopaka. Nagle wyciągnął wielkie ręce, złapał go za kołnierz i wywłócił z samochodu.

- Mów - warknął. - I prawdę, bo pożałujesz.

Chłopak przypadł do boku wozu, z jego ust buchnął potok słów.

- Ja nic nie zrobiłem! Zaza był skurwysynem, pieprzył mnie w tyłek i usta, krzywdził mnie! Pewnego dnia mówi, idź na miejsce, obejrzyj sobie tego faceta, i dał mi zdjęcie. Dał mi też klucz do skrzynki pocztowej, powiedział, że tam będzie pistolet, i kazał mi go zastrzelić.

- Znałeś człowieka, którego zastrzełeś?

- Widziałem go tylko tamtego dnia w domu Giwiego. Zaza wepchnął mnie do wozu Resa i pojechaliśmy za nim, dwie godziny drogi, do mieszkania w Moskwie. Kierowca i inny facet wyciągnęli go z samochodu i wnieśli do budynku.

- Wiktor po pijanemu wdał się w kłótnię z Giwim - wyjaśnił Aleksiej.

Japończyk skinął i rzucił chłopakowi zimne spojrzenie. Gdyby młodzieniec znał generała, odgadłby, że jego dni są policzone.

- I co zrobiłeś?

- Czekałem przez całą noc, wreszcie ten facet wyszedł rano i przeszedł trzy czy cztery kilometry do swojego mieszkania, gdzie Zaza włożył pistolet do skrzynki.

Japończyk nie chciał słuchać tłumaczeń. Następnego dnia Zaza miał sobie znaleźć następnego chłopczyka. Pryszczatemu obiecał forszę i odpalił trochę po zabójstwie. Wiktor nie był pierwszą ofiarą tego półludzkiego gryzonia. Zaza nie wybrałby nowicjusza do wykonania takiego ważnego zadania. Ten pryszczaty szczur mimo młodego wieku musiał mieć długą listę ofiar na sumieniu. Stanowił uosobienie ohydneho trendu w świecie przestępczym: szkolenia nastolatków na morderców. Prawdę mówiąc, takie żółtodzioby okazywały się dużo bardziej okrutne, bezlitosne i obojętne od dorosłych zabójców.

Japończyk wzruszył ramionami, przeżywając ponownie chwilę z przeszłości, kiedy jako małałat zastrzelił z ukradzionego pistoletu Uzbeka Mamatagdi. Czy los go ukarał? Jego własny syn został zastrzelony przez młodocianego bezmózgiego sadystę.

- Doceniam twój gest, Aleksiej - powiedział. - Dalszy rozlew krwi wśród nas jest bezcelowy. Wybaczam ci.

Objęli się i uściskali. Japończyk zapytał:

- Aleksiej, co zamierzasz teraz robić?

- Wróć do Gruzji. Nic innego mi nie pozostaje.

- Możesz zostać, jeżeli chcesz. Ale musisz złożyć datek na pogrzeb Wiktora.

- Ile?

- Pół melona. Niewiele.

- To interes.

Odsunęli się od siebie. Aleksiej poczęstował Japończyka papierosem i podał mu ogień. Po chwili usłyszeli przeraźliwy krzyk i odwrócili głowy. Chłopak próbował uciec, ale Paweł podłożył mu nogę i niedoszły uciekinier z wraskiem runął na ziemię. Paweł nastąpił mu na gardło i odwrócił się do swojego szefa.

- Co robimy?

Japończyk zaciągnął się głęboko i powoli wydmuchnął dym. Wbił oczy w horyzont.

- Aleksiej ma rację - powiedział. - To szczur. Weź go więc i zagrzeb w gorącym asfalcie. Żywcem. Wiktor też widział kulę, która go zabiła.

- No, teraz poznaję starego, dobrego Japończyka - rzekł z uśmiechem Aleksiej.

- W pewnych sprawach powinniśmy odwoływać się do tradycji - zgodził się Paweł.

KSIĘGA

DRUGA

Milicja

Dyrektor Jewgienij Wołkow siedział w swoim gabinecie na najwyższym poziomie Kopuły w tajnym mieście Krasnow 86. Czekał na raport z leżącego kilkanaście kilometrów na wschód poligonu doświadczalnego wielkości boiska do piłki nożnej. Grupa inżynierów i oddział obsługi nadzorowały próbne tankowanie ostatniego pocisku *SS-19*, jaki wyszedł z fabryki. Stalowe białe cygaro o długości prawie dwudziestu metrów spoczywało na masywnej platformie wyrzutni otoczonej przez cysterny. Cysterny zawierały osiemnaście tysięcy litrów paliwa i utleniacza. Przepompowywanie paliwa mogło odbywać się tylko na równym podłożu z jednej cysterny na raz. Uciążliwa procedura zajmowała dwa razy tyle czasu, niż w przypadku przygotowań do rzeczywistego startu pocisku, ponieważ po zatankowaniu załoga musiała wypompować paliwo z powrotem do cystern - transportowanie rakiety z tonami paliwa nie było bezpieczne.

Na poligonie ośmiu żołnierzy w gumowych kombinezonach napełniało zbiorniki pocisku. Opary paliwa były silnie toksyczne; po latach pracy u personelu rozwijały się liczne choroby, od stałych ból; głowy i nerwic po impotencję.

Żołnierze obsługujący tankowanie międzykontynentalnej rakiety balistycznej byli nowicjuszami. Dowodzącego nimi pułkownika brygady raketowej denerwowało to, że napełnianie zbiorników zajmuje zbyt dużo czasu. A trzeba je było jeszcze wypompować.

- Zwiększyć ciśnienie w pompie - rozkazał pułkownik. - Jesteśmy spóźnieni.

Kapitan, stary spec od tej roboty, zaczął wyjaśniać pułkownikowi, że wąż jest stary i wytarty. Poprzedni dowódca po prostu ukradł nowy wąż, kiedy dowiedział się, że zostanie przeniesiony. Pułkownik w odpowiedzi niecierpliwie machnął ręką, więc kapitan podszedł do ciężarówki i kazał zwiększyć ciśnienie.

W bezpiecznej odległości pułkownik zajął się podpisywaniem dokumentów odbioru paliwa, gdy nagle ustąpił sapanie technika. Podniósł głowę i krew odplynęła mu z twarzy. Nad rakieta wznosiła się gęsta brązowa chmura. Jeden z żołnierzy już upadł - jego gumowy kaptur i maska okazały się kiepską ochroną przed śmiertelnościami oparami. Paliwo tryskało z pękniętego węża strumieniem grubym jak męskie ramię i natychmiast parowało, przekształcając się w trujący gaz.

- Zamknąć zawór! - ryknął kapitan.

Ale zamiast tego kierowca cysterny próbował odjechać. Ogarnięty paniką, skręcił w

niewłaściwą stroną i otarł się o stojącą za nim ciężarówkę. Rozległ się zgrzyt metalu, w powietrze skoczyła długa iskra.

Kula ognia jaśniejsza od słońca wzniosła się nad płytą poligonu. Siła wybuchu przewracała ciężarówkę jak zabawki i przemieniała je w odłamki gorącego metalu. Pobliskie budynki i kilkadziesiąt metrów ogrodzenia z drutu kolczastego zostały powalone przez ścianę ognia. We wszystkie strony szybowały płonące fragmenty kadłuba rakiety i ciężarówek. Drżenie wstrząsnęło budynkami stojącymi pięć kilometrów dalej; ogień osmalił cztery kilometry kwadratowe terenu. Osiemnaście ton paliwa i utleniacza wybuchło prawie jednocześnie, przemieniając wszystko wokół, łącznie z oddziałem żołnierzy obsługi, w czarny grzyb dymu sięgający wysoko w poranne niebo.

Naczelnym inżynierem Płotnikow wpadł do gabinetu Wołkowa jak bomba.

- Następna... Kurwa mać, cała rakietka!
- Co się stało?! - wrzasnął Wołkow.
- Nie wiadomo. Płomienie nadal są zbyt gęste, żeby strażacy mogli się zbliżyć.
- No cóż. - Wołkow był poruszony, ale nie za bardzo. - Wypadki wszędzie się zdarzają, a zwłaszcza my jesteśmy na nie narażeni.

Minęło kilka godzin, nim Płotnikow i jego inżynierowie zebrali dość informacji, by Wołkow miał podstawy do złożenia bezpośredniego meldunku telefonicznego. W Moskwie o tej porze był ranek, 21 sierpnia 1991. Wołkow postanowił najpierw poinformować ministra obrony Jazowa, a potem skontaktować się ze swoim przełożonym w Komitecie Centralnym. Dyrektor nie chciał, żeby ministerstwo dowiedziało się o katastrofie z jakiegoś innego źródła. Telefonowanie do Moskwy było czymś niezwykłym. Im rządziej tajne miasto Krasnow 86 kontaktowało się ze światem zewnętrznym, tym lepiej spełniało wymagania procedury bezpieczeństwa narzucone przez Ministerstwo Obrony i MWD.

Bezpośrednie połączenie się z kimkolwiek z hierarchii rządowej w Moskwie nigdy nie przebiegało bezproblemowo, ale mimo wszystko Wołkow był zaskoczony, jak długo przyszło mu czekać. Minister obrony nie kwapił się do telefonu. Gdyby Jazowa nie było w biurze, od razu zgłosiłby się oficer dyżurny. W chwili, gdy Wołkow zdecydował, że spróbuje ponownie po odczekaniu paru godzin, minister podniósł słuchawkę.

- Kurwa, kto tam? - warknął dziwnie obcesowo.
- Towarzyszu marszałku, tu dyrektor Wołkow z kompleksu Krasnow 86...
- Wołkow! Szkoda, że nie możesz się ze mną napić...

Dopiero teraz Wołkow zdał sobie sprawę, że minister jest pijany.

Musiał wyniknąć jakiś poważny problem; przecież w Moskwie była zaledwie dziewiąta rano.

- Towarzyszu marszałku, chcę was poinformować, że na nieszczęście...

- Nie! Nie chcę słyszeć nic, kurwa, złego! Tylko dobre wiadomości!

Minister ryknął z taką siłą, że sześć tysięcy kilometrów dalej dyrektor aż podskoczył w fotelu.

- Wołkow!

- Tak, towarzyszu marszałku...

- Tak, tak - przedrzeźniał go minister. - Jeszcze nie wysadziłeś siebie i Kopuły tym całym gównem?

- Nie, ale jeśli o to chodzi...

- Zamknij się! Milczeć... Natychmiast! Pamiętaj, co powiedział stary dobry Jazow.

Wołkow zaczął tracić cierpliwość.

- Towarzyszu...

- Pieprz się! Myślisz, że nie wiem, jaki burdel wszędzie panuje? Sukinsyny! - warknął zniechęcony. - Sprzedajecie ten pieprzony kraj. Złodzieje. Wszyscy jesteście złodziejami!

- Towarzyszu - błagał Wołkow.

- Milczeć! Zamelduj, komu chcesz! Ale do jutra albo będę kierował całym tym imperium, albo zostanę aresztowany, słyszysz?

- Aresztowany?!

- Jeśli nam się nie uda. Akromiejew już dynda w swoim gabinecie. Ten idiota już raz próbował, ale pękła lina. Za drugim razem wytrzymała. Ślicznie, prawda? Przemysł sobie ten nieszczęśliwy wypadek!

W słuchawce zapadła cisza.

Minęło sześć godzin, nim Wołkow w pełni zdał sobie sprawę, że prąd władzy w Związku Radzieckim odmienił się na zawsze i że KPZR zniszczyła samą siebie. Po licznych telefonach do Komitetu Centralnego w Moskwie, gdzie wszyscy byli zszokowani, skonsternowani i przerażeni, i do „Białego Domu”, gdzie Jelcyn i jego zwolennicy świętowali pełni triumfu, rezultat nieudanego przewrotu zwolenników starego reżimu okazał się jasny. Byli zwierzchnicy Wołkowa zostali unicestwieni równie skutecznie, jak technicy i żołnierze na dymiącym poligonie.

Reakcja Wołkowa była szybka i zdecydowana.

- Płotnikow - zawołał do inżyniera. - Ile rakiet uległo zniszczeniu?

- Tylko jedna.

- Nikt nie przeżył?

- Nie.

- Co za tragedia. Słuchaj, Aleks. Tak na wszelki wypadek, chcę, żeby w twoim raporcie i we wszystkich papierach było napisane, że została zniszczona nie jedna, ale cztery rakiety; tak, cztery! - powtórzył stanowczo. - W tym trzy nasze najnowsze pociski 55-25 na paliwo stałe, najlepsze rakiety międzykontynentalne na świecie.

Płotnikow ze zdziwieniem potrząsnął głową.

- Hmm. Tak, ale jak...? Chodzi mi o to, że doktor Mirkow zobaczy raport i w jednej chwili będzie wiedział, że ukrywamy trzy z naszych najnowszych rakiet.

Wołkow poważnie pokiwał głową, wstał i zaczął przemierzać gabinet. Po chwili namysłu odwrócił się nagle do podwładnego.

- Płotnikow, chcecie zostać numerem dwa w kierownictwie Krasnowa 86?

Na twarzy Płotnikowa odbiło się zaskoczenie.

- Ale doktor Mirkow...?

- Mirkow przez dwa lata klócił się ze mną na każdy temat - uciął mu Wołkow. - Jako szef ochrony laboratorium tajnego miasta Krasnow 86 ponosi odpowiedzialność za to nieszczęście. Ile osób spłonęło żywcem w wyniku jego zaniedbania?

- Jeszcze nie mamy ostatecznego raportu, ale wydaje się, że zostało zniszczone wszystko w promieniu trzech kilometrów od miejsca wybuchu. Musiał wyparować cały batalion obsługi, od pułkownika do szeregowca. To oznacza co najmniej trzystu wykształconych ludzi. Ale nie można obwiniać doktora Mirkowa.

- Zamknij się, dobrze? Twój dyrektor wie, co robi. Osobiście każę aresztować Mirkowa i pod eskortą wyprowadzić z Kopyły. Jego poziom dostępu ulega odwołaniu. Jeżeli nie chce zostać poddany dochodzeniu, które mogłoby skończyć się egzekucją w młodym wieku, niech nie próbuje wracać do swojego biura.

Wołkow poklepał nowego zastępcę po ramieniu.

- Zajmijcie biuro Mirkowa. Wasz awans znajdzie swoje odbicie przy następnej wypłacie.

- Zrobię, co w mojej mocy, towarzyszu dyrektorze. Ale przez cztery lata byłem tylko inżynierem systemów wentylacyjnych.

- Wiem. Teraz musicie zostać ekspertem od pocisków i głowic.

- A co z Mirkowem?

- Zaproponuję mu, żeby poszedł do obwodowego sekretarza, Nikołaja Martinowa, i poprosił o jakąś partyjną posadę. Nawet go zarekomenduję na jakieś stanowisko z dala od tajnego miasta. Będzie mógł zadbać o swoją rodzinę, o ile nie zacznie bruździć.

Wołkow dalej spacerował po gabinecie.

- Cztery! Jasne?

- Co cztery, towarzyszu dyrektorze?

- Cztery nasze rakiety SS-25 zostały zniszczone. I do listy dodaj wyrzutnię. - Wołkova ogarnęło podniecenie. - Stawiamy czoło nowemu światu bez szefów. Jesteśmy panami Krasnowa 86! Płotnikow, jako nowy zastępca dyrektora, przedłóżcie mi raport zniszczeń.

Gdy inżynier wszedł do windy, Wołkow sięgnął do telefonu. Okazja, na którą czekał on, obwodowy sekretarz Nikołaj Martinow i Japończyk, zbliżała się wielkimi krokami.

31.

W Audytorium Towarzyszy na Pietrowce tłoczyło się ponad stu pięćdziesięciu agentów milicji, mężczyzn i kobiet. Niespokojne pytania, kłótnie, ściszone szepty, napięte spekulacje osiągnęły apogeum. Pierwsze rzędy zajmował skłopotany generał Aleksy Bodajew ze swoją brygadą kryminalną.

Ignorując konwencjonalne saluty, generał Nikołaj Myrikow wszedł na podium i zaczął mówić. W sali stopniowo zapadła cisza.

- To ważny i trudny dzień - zaczął w nawiązaniu do trwającego przewrotu. - Nie mamy oficjalnych informacji odnośnie miejsca pobytu ani stanu zdrowia Michaiła Gorbaczowa. Obowiązkiem milicji jest nieustanna obrona obywateli Moskwy przed narastającą przemocą ze strony elementu przestępczego.

Nie powiedziawszy niczego, co mogłoby obrazić którąkolwiek ze stron, i po raz pierwszy nie wspominając słowem o Feliksie Edmundowiczu Dzierżyńskim, generał Myrikow zszedł z podium. Udało mu się zachować neutralność i, jak miał nadzieję, stanowisko - niezależnie od tego, kto zwycięży.

Bodajew był zaniepokojony. Po oświadczeniu Myrikowa zwołał zebranie swoich bezpośrednich podwładnych.

- Nie ma sposobu, aby przewidzieć, czym zakończy się ten konflikt - powiedział. - Możemy tylko, zgodnie z rozkazami generała Myrikowa, zachować neutralność i robić to, czego oczekuje się od milicji. - Zwrócił się do Nieczajewa: - Co nowego wynikło w sprawie fałszywego banknotu studolarowego, który trafił do nas w zeszłym tygodniu?

- Myślę, że stoi za tym Japończyk - spekulował Nieczajew. - Do Moskwy w związku z prywatnymi interesami przybył nasz nowojorski kolega, Peter Nikhilov. Przed wyjazdem z Nowego Jorku odkrył, że w kontenerze z ubraniami z miejscowego domu towarowego zostały wysłane najwyższej jakości maszyny drukarskie i papier. W przemyt jest zamieszany jeden z ludzi Japończyka w Nowym Jorku.

Strzępy wiadomości ze stacji radiowej Moskiewskie Echo informowały o tłumach zebranych wokół Białego Domu, budynku rosyjskiego parlamentu nad rzeką Moskwą, i o nadciągających czołgach. Po niczego nierozstrzygującym zebraniu oficerowie brygady kryminalnej wrócili do swoich biur. Byli lojalnymi demokratami, oddanymi ideałom Borysa Jelcyna, na którego wszyscy głosowali, i prezydenta Gorbaczowa, którego popierali. Major Jurij Ugłanow, Jankes (nosił amerykańską flagę na bluzie od czasu

wizyty w Nowym Jorku z policyjnym zespołem bokserskim) był pierwszym z funkcjonariuszy brygady, który wystąpił z szeregow KPZR w czasie, gdy czołgi toczyły się w kierunku Białego Domu. Wkrótce cały korpus detektywów wrzucił pogardliwie swoje czerwone legitymacje przez otwarte drzwi do siedziby partii na Pietrowce. Było to śmiałe i ryzykowne posunięcie, a jednak oficerowie, jak jeden, czuli, że muszą jakoś zaprotestować przeciwko puczowi.

Od wczesnych godzin porannych CNN, jako jedyna sieć telewizyjna, na żywo informowała świat o przebiegu przewrotu. Radzieckie stacje podlegały kontroli puczystów i w telewizji można było zobaczyć jedynie powtarzany co trzy godziny balet Jezioro Łabędzie”. Jakimś sposobem komuniści przeoczyli CNN i nim zdali sobie sprawę, że wydarzenia są transmitowane przez sieć międzynarodową, stracili poparcie zarządu telewizji krajowej, który był władny odciąć satelitarne łącza CNN i dysponował ku temu odpowiednimi środkami.

W poniedziałek po południu w hotelu „Ukraina”, stojącym naprzeciwko Białego Domu na drugim brzegu rzeki Moskwy, grupa stewardes Pan American tuszem do rżęs wypisała na prześcieradle AMERYKA ZA JELCYNEM i dumnie wywiesiła je z okna na jedenastym piętrze, co wywołało okrzyki radości tłumów gromadzących się po obu stronach rzeki.

We wtorek żołnierze w opancerzonych transporterach i czołgach wdarli się do Moskwy na rozkaz wiceprezydenta Janajewa i jego kolegów-spiskowców. CNN nadal relacjonowała wydarzenia, a radzieckie stacje telewizyjne nadal nadawały tylko Jezioro Łabędzie”, gdy w Leningradzie doszło do masowych protestów przeciwko przewrotowi. Ale nacisk militarny wywierany przez zwolenników reżimu nie zmalał pod żadnym względem.

Po południu zaczęła padać deszcz i tak było przez prawie całą noc. Milicjanci stojący przed Białym Domem w obliczu kamer i popierających pucz agentów KGB nie wątpili, że jeżeli przewrót się powiedzie, wszyscy padną ofiarami czystki, zostaną uwięzieni, zesłani i prawdopodobnie straceni w starym bolszewickim stylu przez swego najwyższego szefa, Borysa Pugo.

Nikt nie śledził przebiegu nieudanego puczu Janajewa z większym zainteresowaniem, niż Wiaczesław Jakowlew. Obok niego w przestronnym, nowym i pilnie strzeżonym moskiewskim apartamencie stał Zekki Dekka, Red Rolf i Paweł. Paweł chełpił się:

- Widzicie, słusznie dałem w łapę, żeby w moskiewskich hotelach można było odbierać amerykański kanał CNN.

- Jak idzie produkcja? - zapytał Japończyk.

- Świetnie - odparł Zekki. - Wkrótce powinniśmy osiągnąć pełną wydajność.

- Co z ochroną?

- Japończyk, już to przerabialiśmy - mruknął ze zmęczeniem Zekki. - Przez dwa-dzieścia cztery godziny na dobę czterej Czeczeńcy stoją na straży.

- Miałeś pięciu. I jeden już siedzi na Butyrkach - wtrącił Paweł. - Ten kutas musiał wypuścić się do Moskwy, żeby zobaczyć się z jakąś przyjaciółką i zrobić zapas z koinopi. Na miejscu, oczywiście, zmienił zdanie i spróbował wymusić haracz od właściciela sklepu. Milicja go zwinęła.

- Słyszeliśmy w Nowym Jorku, że siedzi za kratkami - zawołał z oburzeniem Zekki. - Co się z nim dzieje? Wykonał doskonałą robotę w Brighton Beach, a w domu mu odbija.

- Musimy działać szybko - upomniał Japończyk. - Burlak wie, gdzie operujemy.

- Burlak nie powie - zapewnił Paweł. - Wie, że mamy w ręku jego rodzinę. Nasz prawnik odwiedza go regularnie i powtarza, żeby nie ma powodów do zmartwień, dopóki za nim stoimy.

Nagle rozległ się dźwięk telefonu. Japończyk podejrzliwie zerknął na aparat.

- Kto zna ten numer? - zapytał.

- Praktycznie nikt - odparł Paweł, podnosząc słuchawkę. - *Da.* - Z szerokim uśmiechem popatrzył na Amerykanina, a potem na Zekkiego. - Powiedz panu Rolfowi, że na linii jest jego cizia, Nadia. - Paweł wysłuchał, co Nadia ma do powiedzenia, i zapisał numer w notesie leżącym obok telefonu. - Tak, Nadia, ty, Zekki i Amerykanin wróćcie do fabryki w Zilisi. Może już jutro. Podziękuj w naszym imieniu Oksanie.

- O co chodzi? - zapytał Japończyk, gdy Paweł odłożył słuchawkę.

- Oksana zadzwoniła z budki do Nadii i powiedziała, że telefonował do niej ojciec. Nikołaj chce, żebyś zadzwonił pod jego prywatny numer i jak najszybciej spotkał się z nim w Irkucku.

- Zadzwon do niego.

Przez następną godzinę Paweł albo ze zniechęceniem odkładał słuchawkę, albo ponownie próbował uzyskać połączenie.

- Wygląda na to, że wszyscy próbują dzwonić poza Moskwę - mruknął.

Nagle poderwał głowę znad telefonu.

- Hej, chyba się dodzwoniłem. - Zniżył głos. - Nikołaj, od godziny próbuję się z tobą skontaktować. Zapisz sobie ten numer na wypadek, gdybyśmy zostali rozłączeni. - Paweł podyktował numer.

Z triumfem podał słuchawkę swemu bossowi.

- Nikołaj - zaczął serdecznie Japończyk. - Myślałem o tobie przez trzy ostatnie dni. Bez centralnego rządu jesteś królem obwodu.

Roześmiał się, słysząc odpowiedź rozmówcy.

- Oczywiście, zawsze byłeś królem. Wszystko idzie szybciej, niż rakietą spada na cel, a skoro o tym mowa, przypuszczam, że omawiany z Chomikiem plan jest gotów do wprowadzenia w życie.

Po chwili powiedział:

- Moi specje ręką, że ten telefon jest bezpieczny. Poza tym, zwyczajni szpicle znaleźli się w takich tarapatach, że w tej chwili nie wchodzi w grę. Zatem do szybkiego zobaczenia, Nikołaj. Tak, oczywiście. Osobiście skontaktuję się z Oksaną i przywiozę ci od niej list. Przepraszam, że zerwałem cię w środku nocy. Tak, naprawdę było warto. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i z triumfalnym uśmiechem przemówił do zebranych:

- Wreszcie nastaje całkiem nowy porządek, którego spodziewałem się od wielu lat. Zekki, skontaktuj się ze swoim irackim przyjacielem, Azzizem, i powiedz mu, że jesteśmy gotowi do interesów.

Ma zacząć przygotowywać akredytywy swojego rządu. Poza tym skontaktuj się z Kim Ton Pangiem w Korei Północnej. Powiedz mu, że będziemy w stanie spełnić jego życzenie szybciej, niż myśleliśmy. Ty i Amerykanin wróćcie do Zilisi i jak najszybciej uruchomicie produkcję. Musimy wykorzystać anarchię, zanim inni wpadną na ten sam pomysł.

Zekki przetłumaczył jego słowa Redowi Rolfowi, który dał się ponieść ogólnemu entuzjazmowi, chociaż nie wiedział, co było jego przyczyną. Zekki roześmiał się z jego odpowiedzi.

- Red Rolf pyta, czy pošlemy z nim Nadię.

- To już załatwione - zgodził się Japończyk.

32.

Kilka dni po agonii nieudanego zamachu i rozwiązaniu KPZR, Peter Nikhilov brał udział w zebraniu starszych detektywów w wielkim gabinecie Bodajewa z oknami wychodzącymi na trawiaste podwórze kompleksu na Pietrowce. Peter nie tracił czasu na wstępy.

- Gdzie wasi ludzie zgubili Zekkiego Dekkę? - zapytał.

- W tych zaułkach, które odchodzą od Arbatu - odparł Jurij Ugłanow.

Nieczajew uśmiechnął się chytrze.

- Nie znamy ich meliny? Dajcie tu jednego z nich, a wkrótce będziemy wiedzieli wszystko, co chcemy. Co jeszcze możesz powiedzieć nam o tym Zekkim? - zapytał Petera.

- Jest mistrzem grawernikiem, który zabrał swoje umiejętności do Ameryki.

- Może gdybyśmy ściągnęli Japończyka i przesłuchali go, wyniknęłoby coś ciekawego - podsunął Nieczajew.

Odezwał się milczący dotychczas Borys Burienczuk:

- Nie, to byłoby błędem i zepsuło mój plan.

Bodajew spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Plan? Jaki plan?

Borys wzruszył ramionami i wskazał na sufit. Bodajew pokiwał głową.

Twarz Petera skrzywiła się w uśmiechu.

- Tuż przed opuszczeniem biura prokuratury na Brooklynie, informator doniósł mi, że cyngiel Zekkiego znany jako Burlak, podróżujący pod nazwiskiem Jozef Zilinski, siedzi w moskiewskim więzieniu.

- Czy ten Burlak vel Zilinski mógłby wiedzieć, gdzie jest teraz Zekki? - zapytał z nadzieją Bodajew.

- Zekki opiekował się nim w Nowym Jorku - powiedział Peter.

- Przejrzemy akta aresztowań - zdecydował Lis. - Znajdziemy Zilinskiego.

- Powodzenia, Władimirze - rzucił zniechęconym tonem Peter. - On ma cztery czy pięć nazwisk.

- Znajdziemy go - powtórzył z przekonaniem Nieczajew.

- Proponuję, generale, żebyśmy spotkali się po obiedzie - dodał Nieczajew. - Wyciągniemy akta wszystkich aresztowań przeprowadzonych w ciągu minionego półrocza

i spróbujemy go zidentyfikować.

Peter Nikhilov zabrał Borysa Burienczuka na obiad do restauracji, gdzie zawsze można było w miarę swobodnie porozmawiać.

- Kiedy będziesz gotów na spotkanie z Oksaną? - zapytał Borys.

- Daj mi jeszcze parę dni na zakończenie pewnego interesu. Potem mogę wcielić się w obmyśloną postać, jak zaplanowaliśmy.

- Jaki to interes?

- Nie ma żadnego odniesienia do tego, co próbujemy zrobić - odparł Peter.

- Dlaczego pomagasz nam w tym polowaniu na Japończyka?

- Nadal pracuję w prokuraturze, a cokolwiek Japończyk zrobi w Moskwie, odbije się na moim terenie, w Brighton Beach i Brooklynie. To tak samo mój problem, jak wasz.

- Cieszę się, że tak uważasz - rzekł poważnie Borys.

- Więc dla ciebie stanę się Amerykaninem z rosyjskimi korzeniami, który pragnie robić interesy w kraju swoich przodków. Nie mówię po rosyjsku i potrzebuję tłumacza. W Ameryce niegdyś byłem policjantem i dzięki temu zaprzyjaźniłem się z tutejszymi glinami. Teraz siedzę w handlu bronią. Skoro zgodnie z rosyjską mentalnością każdy, kto jest policjantem, automatycznie jest skorumpowany, znajomi Oksany powinni założyć, że mogą dojść ze mną do porozumienia.

- Zazdroszczę ci, Peter - powiedział Borys z uśmiechem. - Oksaną jest nie tylko świetną tłumaczką, ale i piękną kobietą. Poznasz ją jutro wieczorem.

- Mam nadzieję, że nadal będzie mnie lubić, gdy wszystko się wyda.

33.

Anglojęzyczny tłum złożony z ludzi biznesu i polityki szybko napełniał „TrenMos Cafe”, nazwaną tak na cześć miast bliźniaczych, Trenton z New Jersey i Moskwy. Klienci wyglądali na bywalców drogiej, wielkowiejskiej amerykańskiej restauracji o wysokich notowaniach. Od szóstej do jedenastej bar oblegał tłumek amatorów amerykańskich koktajli i whisky.

W większej części klientami byli przybysze z Zachodu, odwiedzający Moskwę w interesach. Rozmawiano o polityce, o poczynaniach amerykańskiej ambasady albo o interesach prowadzonych w twardej walucie. Z sufitu zwieszają się flagi poszczególnych stanów USA, a na ścianach widnieją zdjęcia dostojników, którzy odwiedzili restaurację.

Borys Burienczuk pomógł Oksanie wysiąść z Mercedesa, wypożyczonego na ten wieczór z Pietrowki. Oksana po raz pierwszy miała zawitać do „TrenMos”, chociaż często słyszała o tym lokalu od turystów.

Amerykański właściciel, Jeffrey Zeiger, przywitał Borysa przy wejściu i otwarcie wyraził podziw na widok Oksany. Gawędzili po angielsku przez chwilę, a potem gospodarz poprowadził ich do spokojnego dwuosobowego stolika pod ścianą.

- Te kwiaty zostały zamówione specjalnie przez Borysa powiedział. - Mam nadzieję, że podobają się pani.

Oksana uśmiechnęła się do swego towarzysza.

- Są piękne. - Była ubrana w stylową czarną sukienkę na ramiączkach. Ametystowy naszyjnik podkreślał głęboki dekolt, który najwyraźniej zauroczył biznesmenów stojących przy barze.

Oksana omiotła wzrokiem dekoracje na ścianach i pod sufitem, fortepian przed panoramicznym oknem wychodzącym na prospekt Lenina, i klientów siedzących i stojących przy barze. Starła się omijać dużą szarą kopertę, którą Borys niedbale położył na stoliku.

Borys zamówił rosyjskiego szampana. Kiedy kelner napełnił kieliszki i umieścił butelkę w wiaderku z lodem, milicjant wznosił toast.

- Twoje zdrowie. I za dobrą przyszłość, dla nas obojga.

Oksana nie spuszczała oczu z Borysa, czujna, wyczekująca. Najwyraźniej oficer milicji miał poważne powody, zapraszając ją na kolację. Leżąca na stole koperta też musiała służyć jakiemuś celowi. Nie musiała długo czekać.

- Jestem pewien, że twój przyjaciel Jakowlew opowiedział ci o interesującym wieczorze, który spędziliśmy razem parę miesięcy temu po śmierci Wiktora Kaliny.

- Nie rozmawiałam z nim - rzekła zimno.

- Podał nam nieco cennych informacji na temat mafii warzywnej. Pomogłyby nam one doprowadzić do skazania Giwiego, ale na nieszczęście Giwi był już martwy, nim Japończyk skończył dzielić się z nami swoją wiedzą.

- Majorze Burienczuk, nie rozumiem, do czego ma to prowadzić - powiedziała z bezradnym uśmiechem Oksana. - Nie ma nic, co mogłabym powiedzieć wam o Sławie Jakowlewie.

- Wiesz, że jest zainteresowany robieniem interesów w Ameryce, gdzie prawdopodobnie będziesz jego tłumaczką. Skoro Japończyk tak bardzo lubi towarzystwo brygady kryminalnej, pomyślałem, że mogłabyś przekazać mu, że w tym miesiącu nie zgłosił się do swojego kuratora i chcielibyśmy zobaczyć, gdzie przebywa.

- Nie widziałam go ostatnio.

Borys podał jej kartę dań.

- Jestem pewien, że znajdziesz tu coś, co lubisz. Skoro tak płynnie mówisz po angielsku, powinnaś również nauczyć się cieszyć potrawami, jakie jadają w Ameryce.

Poprawił się w fotelu i ruchem ręki wskazał na salę.

- I jak ci się podoba?

- Ten lokal? Cóż, wolę nasze restauracje. Są przytulniejsze. Do tej pory mielibyśmy już na stole kawior, mięso, kurczę i szynkę, i zastanawiali się nad głównym daniem. - Spojrzała niespokojnie na kopertę, ale Borys na razie nie miał zamiaru jej otwierać.

- Mam nadzieję, że zmienisz zdanie - powiedział. - Umówiłem spotkanie z Amerykaninem, który potrzebuje tłumacza. Dobrze ci zapłaci.

- Przejmujesz się moim losem?

- Nie. Pomyślałem tylko, że to może być dla ciebie dobra okazja. - Uśmiechnął się.

- A swoją drogą, martwię się o siebie. Nadal mnie naciskają, żebyśmy rozwiązał sprawę na Arbacie.

- Nie cierpię szantaży - prychnęła Oksana.

- Proszę, Oksano, ja tylko sugeruję, że możemy sobie wzajemnie pomóc. I oczywiście nie mogę zaprzeczyć, że przebywanie w twoim towarzystwie jest przyjemne. Poza tym znasz Jakowlewa, którym jesteście zainteresowani.

- Wtedy, gdy po raz pierwszy i jedyny widziałam Sławę, powiedział mi, że jest biznesmenem, nie kryminalistą. Jest przekonany, że niedługo wszyscy w Rosji będą właścicielami prywatnych przedsiębiorstw albo pracownikami prywatnych koncernów, jak ma to miejsce w Europie czy w Ameryce. Powiedział też, że komunizm stopniowo

odejdzie w przeszłość. - Roześmiała się. - Mylił się. Komunizm przestał istnieć w ciągu trzech dni.

- Tylko raz go widziałas? - zapytał Borys.

Przytaknęła ruchem głowy. Była pewna, nie mógł wiedzieć o ich ukradkowych spotkaniach. Gdy Oksana dopiła szampana, jej oczy znów zatrzymały się na kopercie. Borys uśmiechnął się lekko.

- A tak, mam coś, co może chciałabyś zatrzymać.

Sięgnął do koperty i wyjął ziarnistą, zrobioną przez teleobiektyw fotografię. Oksana z wysiłkiem powstrzymała się od okazania zaskoczenia, gdy zobaczyła siebie w chwili, gdy z podniesioną woalką, ze współczuciem w oczach, rozmawiała z Japończykiem na pogrzebie Wiktora.

Borys pozwolił jej obejrzeć fotografię, po czym z powrotem wsunął ją do koperty.

- Wzruszające zdjęcie. Wizyta w Tulun, a potem pojawienie się na pogrzebie syna wywarło na Japończyku o wiele większe wrażenie, niż być może przypuszczasz.

Oksanie nie przyszła na myśl żadna odpowiedź. Zastanawiała się, czy milicji udało się obejść ochronę Japończyka w czasie innych spotkań.

- Proszę je zatrzymać - powiedział. - Wszyscy przyznają, że to najbardziej poruszające ze zdjęć zrobionych na pogrzebie.

Oksana poderwała głowę i spojrzała na ciemnowłosego mężczyznę w amerykańskim garniturze. Jego regularne rysy miały w sobie coś rosyjskiego. Nieznajomy poklepał Borysa po plecach i po angielsku powiedział:

- Borys, miło z twojej strony, że wybrałeś amerykański lokal na nasze spotkanie. Rozumiem, że ta młoda dama mówi po angielsku. - Zwrócił się do Oksany: - Jestem Peter. Peter Nikhilov.

Borys wstał, klepnął Petera po ramieniu i uściśnął mu dłoń.

- Cieszę się, że zastaję mojego dobrego przyjaciela Borysa w towarzystwie pięknej kobiety, która poza tym zna angielski - ciągnął Amerykanin.

- Skąd pan zna Borysa? - zapytała Oksana.

- Poznałem go na spotkaniu bokserskim w Nowym Jorku między policją Nowego Jorku a milicją Moskwy.

Oksana przetłumaczyła słowa Petera Borysowi.

- Co pana sprowadza do Moskwy? - zapytała.

- Jestem biznesmenem. Chociaż nie mówię po rosyjsku, moi współpracownicy poprosili mnie o przyjazd, bo w Nowym Jorku dobrze zaznajomiłem się z moskiewskimi gliniarzami. Poza tym mam rosyjskich przodków. - Kelner postawił przed Peterem kieliszek i nalał mu szampana.

- Rozumiesz - podjął - w moim biznesie człowiek potrzebuje współpracy policji.

Do diabła, sam się do tego przyzwyczyłem, gdy byłem gliną w Nowym Jorku.

Oksana obdarzyła go domyślnym uśmiechem. Peter roześmiał się.

- Wszystko było całkiem uczciwe.

Oksanie spodobał się Amerykanin. Streściła Borysowi, o czym rozmawiali. Milicjant z uśmiechem pokiwał głową.

- Czym się pan zajmuje, panie Nikhilov? - spytała zaciekawiona.

- Proszę, mów mi Peter. A co może robić były glina? Wchodzimy w interesy związane z ochroną albo handlem bronią, albo jednym i drugim. Zbiegiem okoliczności komuchy zrobiły ten nieudany przewrót właśnie wtedy, gdy przybyłem. Wszystko na sprzedaż. Przez cały dzień proponowano mi *Katasznikowy*, wszystko poza pociskami kierowanymi, a założę się, że coś takiego też mógłbym zdobyć, z głowicą włącznie.

- Co byś zrobił z taką rakieta?

- Odsprzedał, za dwa, trzy razy tyle pewnemu Niemcowi, z którym już pracowałem. Jak powiedziałem, jestem biznesmenem.

- Mówisz jak mój przyjaciel.

- Tak? Powiedz mu, co kupuję, za dobre stare amerykańskie dolary. A może przypadkiem *sprechen sie Deutsch*?

Oksana uśmiechnęła się, słysząc tę próbkę.

- Oczywiście, mówię po niemiecku. Od czterech lat przygotowuję się do zawodu tłumaczki.

- Oksano, jesteś zatem odpowiedzią na amerykańską modlitwę. Czy zgodzisz się tłumaczyć dla mnie? - Mrugnął do Borysa. - Powtórz mu, co powiedziałem.

Po rosyjsku powiedziała:

- Nie mogę pracować dla tego człowieka. Jestem bardzo zajęta i nie chcę wchodzić w żadne interesy.

Borys zerknął otwarcie na szarą kopertę.

- Czy to Jakowlew tak cię zajmuje, że nie jesteś w stanie pomóc naszemu przyjacielowi?

- Dlaczego Sława jest taki ważny dla milicji? - Irytacja w jej głosie sprawiła, że Peter aż zamrugał.

Oksana na chwilę nakryła jego dłoń ręką, a potem powiedziała po angielsku:

- Między nami często dochodzi do nieporozumień, to nic poważnego.

Peter skinął i odpowiedział jej uśmiechem.

- Nie podoba ci się? - zapytał Borys. - To bardzo miły człowiek, i kawaler.

- A co to ma do rzeczy? - Oksana przez chwilę patrzyła na Petera. Może nie był przystojny, ale na pewno sympatyczny.

- Oksano, wyświadczysz nam wielką przysługę, jeżeli zgodzisz się zostać tłumaczką Petera i jego przewodnikiem po Rosji. On ci bardzo dobrze zapłaci, a my będziemy wdzięczni, że pomogłaś naszemu przyjacielowi.

Peter był rozbawiony tłumaczeniem Oksany, z którego wynikało, że milicja robi, co tylko możliwe, by pomóc mu w jego zabiegach.

- Oksano, powiedz Borysowi, że wieczór należy do mnie. Chciałabym spróbować amerykańskiego jedzenia?

- Przypuszczam, że skoro mówię tym językiem, powinnam nauczyć się jeść wasze potrawy. Co proponujesz? - zapytała, wyraźnie zadowolona ze zmiany tematu.

- Jesteś głodna?

- Przez cały dzień nie miałam czasu na jedzenie.

- W takim razie nie ma jak nowojorski stek z polędwicy. Powiedz mojemu przyjacielowi, że pora zajrzeć do menu.

Wybrali dania i po zamówieniu kolacji Oksana, popijając szampana, polecała Peterowi najlepsze widoki godne obejrzenia w Rosji.

- Warto, żebyś zobaczył „Bolszoj”, potem, oczywiście, wycieczka do Kremla i...

- Tak naprawdę to chciałbym zobaczyć Syberię i Bajkał- wtrącił Peter. - To ojczyna moich przodków. Znasz ten rejon? Moja matka stamtąd pochodzi.

- Gdzie są teraz twoi rodzice?

- Moja matka mieszka w Brooklynie, ojciec zginął parę lat po moich narodzinach.

Oksana szybko policzyła, że Peter ma około czterdziestu pięciu lat, chociaż wyglądał dużo młodziej.

- Chciałbym dowiedzieć się jak najwięcej o kraju swojej rodziny. Moi współpracownicy w Nowym Jorku i w Niemczech pokrywają wszelkie koszty podróży. Byłbym wdzięczny, gdybyś mi pomogła - ciągnął Peter.

Nie mogła nic na to poradzić: polubiła tego Amerykanina.

- Spróbuję - obiecała.

Dopiła kawę i koniak, i powiedziała do Borysa:

- Chciałabym już pójść do domu. Jutro idę na poranną zmianę do hotelu, a po południu mam wykłady w instytucie.

Gdy wstali, Borys sięgnął po kopertę.

- Jest tam druga odbitka, którą, jeśli chcesz, możesz dać Jakowlewowi.

Oksana wzruszyła ramionami i schowała kopertę do torebki. Na ulicy Borys pomógł jej wsiąść do samochodu, a potem zajął miejsce z przodu obok kierowcy. Peter wsunął się na tylne siedzenie.

- Wasi gliniarze z górnego szczebla mają styl - zauważył.

- Oksano, mam tu butelkę koniaku, gdybyś chciała - namawiał Borys.

- Mam wszystko, czego będziemy potrzebowali - odparła.

Mercedes zatrzymał się na Pietrowce przed monolitycznym gmachem komendy milicji. Borys wysiadł, pokiwał Oksanie i Peterowi na pożegnanie.

- *Do swidanja.*

- Na razie - odparł Peter. Pojechali w milczeniu do mieszkania Oksany. Kiedy samochód zatrzymał się, Peter pomógł jej wyjść na chodnik.

- Potrzebuję tłumacza - powiedział poważnym tonem.

Widać było, że Oksana się waha. Wreszcie westchnęła i odrzekła:

- Wracam z instytutu o szóstej. Daj mi godzinę. A teraz, panie Nihilov, muszę się przespać.

- Świetnie. O siódmej. Tutaj. - Wstał i razem podeszli do drzwi. - Dobrej nocy, Oksano.

- *Do swidanja, Peter.*

34.

Borys Burienczuk czekał z ubranym po cywilnemu milicyjnym kierowcą w nieoznakowanym samochodzie przy krawężniku przed hotelem. Peter musiał opuścić wygodne mieszkanie, żeby uwiarygodnić swoją przykrywkę amerykańskiego biznesmena, który zatrzymał się w moskiewskim hotelu. Zajął miejsce obok Borysa i razem ruszyli labiryntem ulic, który zdawał się ciągnąć kilometrami wśród wielkomiejskiego krajobrazu, nim wreszcie dotarli do miejsca przeznaczenia. Borys był oczekiwany i razem z Peterem poprowadzono go przez brukowany dziedziniec do więzienia, trzypiętrowego gmazyska z cegły i kamienia, z równymi szeregami okien między kamiennymi wieżami na rogach.

Borys przedstawił Petera młodemu oficerowi, któremu skośne oczy i wystające kości policzkowe nadawały orientalny wygląd.

- Jestem kapitan Malik Muchamedow. Naczelnik was oczekuje - powiedział dyżurny i wprowadził ich do wyłożonego boazerią gabinetu.

Pułkownik Arkadij Matłowow podniósł się zza biurka na ich widok.

- Generał Bodajew powiedział mi, kogo szukacie. Oczywiście szukanie jednego z tych bandytów, którzy posługują się dziesiątkami fałszywych dokumentów od początku było bez sensu. Mamy w tym przybytku wielu Czeczeńców. Jak wie każdy milicjant w Moskwie, wszyscy są genetycznie uwarunkowani do przemocy.

Peter uśmiechnął się leciutko.

- Poznam go. - Naczelnik wyprowadził ich na korytarz. Kiedy dotarli do ciężkich metalowych drzwi, Arkadij wyciągnął żelazny klucz, równie starodawny jak cała budowla.

- Czy ktoś kiedykolwiek uciekł z Butyrek? - zapytał Peter.

- Nie słyszałem, by coś takiego miało miejsce w ciągu minionych stu lat - odparł Arkadij. - Mimo antycznego wyglądu, ten budynek jest dobrze zabezpieczony.

Weszli po żelaznych schodach na piętro. Wyłożony płytkami korytarz biegł przez całą długość gmachu.

- Próbowałem wyodrębnić Czeczeńców i zgromadzić ich na spacerniakach - powiedział Arkadij, gdy stanęli na dachu więzienia.

Przeglądali się z góry, jak więźniowie chodzą po małych dziedzińcach, wymachując ramionami i oddychając głęboko ciepłym wrześnieowym powietrzem.

- Po każdej stronie jest dwadzieścia takich wybiegów, razem czterdzieści, i obecnie przebywa w nich czterystu więźniów. Popatrzcie sobie na nich. Jeżeli zobaczycie swojego człowieka, opiszcie mi go, wtedy oddzielimy go od innych. - Gdy ruszyli nierównym pomostem z desek, Peter omiatał wzrokiem wszystkie wznoszące się ku nim twarze.

Wszyscy więźniowie patrzyli na idącego z przodu naczelnika, dzięki czemu Peter mógł przyglądać się im do woli bez zwracania uwagi. Gdy po obu stronach pomostu zostały tylko dwie klatki, serce zaczęło mu bić w szybszym tempie. Wyraźnie zobaczył twarz człowieka, który uśmiechał się do niego beczelnie na lotnisku JFK po morderstwach w Brighton Beach.

Odwróciwszy się plecami do więźnia, Peter opisał go Arkademu. Gdy z powrotem w znaleźli się w przyjemnie urządzonej gabinecie, naczelnik zwrócił się do swego asystenta.

- Podaj mi nazwisko więźnia zidentyfikowanego przez Amerykanina. I spróbuj dowiedzieć się, czy wie, że został rozpoznany. Coś mi mówi, że zorientował się, iż jest celem naszej inspekcji.

- Chyba w porę odwróciłem się plecami - powiedział Peter.

- Może - rzucił z powątpiewaniem Arkadij. - Oddzielić tego człowieka od innych, osadzić w izolatce i przynieść mi jego teczkę - polecił kapitanowi.

Po wyjściu kapitana odezwał się Borys.

- Zawiadomię naszego szefa detektywów, Władimira Nieczajewa, że Peter zidentyfikował człowieka zwanego przez nowojorskich emigrantów Burłakiem.

Arkadij zachichotał.

- Więc rzucisz mojego więźnia Lisowi na pożarcie? Będzie błagał o powrót do jednej z moich cel.

Oczy komendanta rozbłyły, gdy podjął:

- No, teraz możemy się napić. Chcecie umyć ręce? Nigdy nie wiadomo, co człowiek może tu złapać.

Za przykładem Arkadego, Peter i Borys wychylili swoje porcje w tradycyjny rosyjski sposób. Mimo rosyjskiego pochodzenia, takie picie nigdy nie sprawiało Peterowi przyjemności, ale przełknął alkohol i nie dał nic po sobie poznać.

- Kiedy będziemy mogli porozmawiać z naszym człowiekiem? - zapytał Peter.

- Przygotuję Lisowi miejsce na przesłuchanie. A kiedy skończycie, pozostanie w izolatce, póki nie rozwikłacie tej sprawy.

- Dziękuję, naczelniku.

Wrócił asystent Arkadego, Malik, z cienką brązową teczką, którą położył na biurku.

- Niewiele mamy na niego. Może milicja, znając nazwisko, pod którym został aresztowany, powie wam więcej. Miał przy sobie partyjną legitymację, ale nawet nie pamiętał, na jakie nazwisko.

Legitymacja okazała się fałszywa. Musi mieć dobre kontakty - zauważył Malik, wertując dokumenty z teczki. - Odwiedza go bardzo drogi prawnik moskiewskiej mafii.

Arkadij w zadumie pokiwał głową.

- Gdy oddzielimy go od reszty, jego ludzie dowiedzą się, że jest podejrzany o udział w jakimś poważnym przestępstwie.

- Jak często przychodzi ten prawnik? - zapytał Peter.

Malik zajął do akt.

- Był dwa razy w ciągu dwóch miesięcy. Może wrócić w przyszłym tygodniu.

Borys trzepnął pięścią w dłoń.

- Mamy bardzo mało czasu.

- Lis będzie musiał szybko się z tym uwinąć powiedział Peter. - Zekki już mógł ruszyć ze swoją operacją fałszerską.

Arkadij uśmiechnął się ponuro.

- Jeżeli ten Burłak faktycznie może coś wiedzieć, zmiękczyć go dla was bardzo szybko. - Odwrócił się do Malika. - Natychmiast oddzielić więźnia i osadzić go w Dole Katarzyny. - Arkadij sięgnął po butelkę i nalał trzecią kolejkę. - Mógłbym wsadzić tego Burłaka z dwoma czy trzema sukami. W jednej chwili zgwałciłiby go i torturami wycisnęli z niego wszystko, co wie. Taki był styl mojego poprzednika. Ja nie mam przekonania do fizycznych tortur, o ile nie jest to absolutnie konieczne.

- Dół Katarzyny? - zapytał Peter.

Arkadij zaśmiał się z oczywistej ciekawości, jaka odmalowała się na twarzach jego gości.

- Kiedy Katarzyna Wielka budowała to więzienie w 1786, rozkazała przygotować specjalne lochy. W takim pomieszczeniu więźniowie nie mogli ani stać, ani leżeć, jedynie kulić się na kamiennej posadzce i żyć wśród ekskrementów, jeżeli dostawali jedzenie, albo zdychać z głodu, w kompletnej ciemności i ciszy. Wszyscy po wypuszczeniu bełkoczą o duchach, które nawiedzają to miejsce, i są gotowi zrobić wszystko, byle uniknąć powtórnego zamknięcia.

Peter z zadowoleniem pokiwał głową.

- To zdecydowanie bije na głowę środki perswazji, jakimi dysponujemy w Ameryce. Duchy, co?

- Tutaj, w Rosji, jesteśmy pomysłowi - powiedział Borys. - Duchy nie domagają się zapłaty.

W ciągu paru godzin po odizolowaniu Czeceńca od pozostałych więźniów, dzięki wewnętrznemu systemowi telegraficznemu wszyscy w zakładzie karnym dowiedzieli się o tym wydarzeniu. Pierwszy więzień, któremu akurat wypadały odwiedziny prawnika, zapoczątkował reakcję łańcuchową, w efekcie czego jeszcze przed wieczorem Paweł wiedział, że Burlak jest przedmiotem ogólnego zainteresowania na Butyrkach. Japończyk podjął natychmiastową decyzję przeniesienia fabryki pieniędzy. Następnego ranka razem z Pawłem wyruszył do leżącego dwie godziny drogi na północny wschód od Moskwy Zilisi. Za nimi podążał samochód ochrony.

Dimitrij i jego czeceńscy ochroniarze, z *Kałasznikowami* na ramionach, poznali szefa i skłonili głowy. Japończyk i Paweł weszli do środka opuszczonego budynku miejscowego kołchozu i skręcili w prawo na korytarz. Po obu stronach stały wieszaki z garsonkami, garniturami, sukniami, kurtkami i spódnicami. Minęli wyludnione biuro i weszli do „drukarni”. Niegdyś były tu cztery pokoje, ale przez wyburzenie ścian działowych przemieniono je w fabryczną halę.

Zekki Dekka stał przy stole i sprawdzał każdy wyprodukowany banknot. Po sprawdzeniu banknoty były składane w sejfie, do którego tylko on miał klucze. Fałszerz podniósł głowę i zdumiał się na widok Japończyka.

- Co, u licha, was sprowadza?
- Przygotuj się do przeprowadzki, Zekki - warknął Japończyk.
- Do przeprowadzki, szefie? Ale dlaczego? Operacja idzie świetnie.
- Wszystko w ciągu dwóch dni ma zostać wywiezione z Zilisi. Dzisiaj możecie pracować, ale do jutra wieczór ma tu was nie być.
- Kłopoty? W czym problem?
- Później ci powiem. Ile na razie mamy?
- Kiedy wczoraj zamykałem, w sejfie mieliśmy dokładnie osiem milionów dwieście tysięcy dolarów.
- Myślałem, że będzie lepiej.
- Rozruch zabrał więcej czasu, niż się spodziewałem. Drukujemy stronę czołową całymi arkuszami, trzydzieści dwie sztuki na raz z matrycy zwiniętej przez Reda Rolfa w Waszyngtonie. Idzie doskonale. Ale rewersy robimy pojedynczo. Były problemy z zieloną farbą, jak zawsze. Teraz wreszcie doszliśmy do nieco ponad dwustu pięćdziesięciu tysięcy na dzień.

- Cudownie, Zekki, ale i tak się przenosimy.

Zekki wzruszył ramionami.

- Do jutra w południe będziemy mieli następne ćwierć miliona.

W sąsiednim pokoju czterej mężczyźni wnosili nogi w wełnianych skarpetkach i tratowali wysoko do kostek stertę szeleszczących studolarówek.

- Misza, widzę, że uczysz ich uczciwości - Japończyk przywitał swojego goryla.

- Nawet nie śmiały pomyśleć o jakimś kawale - warknął Gruzin.

Na drugim końcu drukarni otworzyły się drzwi. Do Japończyka i Zekkiego podszedł Amerykanin, Red Rolf.

- Zekki, powiedziałeś Japończykowi, że wreszcie drukujemy w pełnym tempie?

Zekki wymownie wzruszył ramionami.

- Szef każe się przenosić.

- To śmieszne.

W tej chwili w drzwiach pojawiła się Nadia. Była ubrana jak na szykowne przyjęcie w obcisłą, długą do kolan sukienkę z rozcięciem na udzie i z głębokim dekoltem, w którym widniała podniecająca szczelina.

- Sława! - zawołała. - Paweł! Nie mieliśmy pojęcia, że dziś przyjedziecie.

- Ubierasz się tak dla pracowników? - zapytał Paweł.

- Przez kilka dni przeglądałam ciuchy, jakie przybyły w kontenerze z maszynami.

Nikt poza mną nie wydawał się zainteresowany. Zarobiliśmy fortunę, sprzedając je w GUM-ie.

- Im mniej pytań w związku z tą operacją, tym lepiej stwierdził Paweł. - Ale nie krępuj się, bierz, co tylko chcesz.

- Zabiorę ze sobą dolary - oznajmił Japończyk. - Zakończcie obróbkę banknotów na górze i przywieźcie je wraz z resztą produkcji do Moskwy.

- Chodź ze mną do biura, gdzie jest sejf - powiedział Zekki.

- Zekki, przeprowadzka to co najmniej pięć dni przerwy w produkcji - sprzeciwił się Red Rolf.

- Robimy to, co każe Japończyk! - odkrzyknął Zekki. - Dzisiaj drukujemy do końca, a jutro wynocha.

Po chwili wrócił Zekki z walizką. Postawił ją na podłodze obok Japończyka, który otworzył wieko i uśmiechnął się na widok paczek studolarówek. Potem podniósł głowę.

- Przekąśmy coś i napijmy się przed wyjazdem do Moskwy - zaproponował.

Zabrał walizkę pełną fałszywych banknotów i wszedł do ostatniego pokoju. Za nim podążyli pozostali, łącznie z Miszą, przydzielonym do ochrony operacji. Japończyk kazał komuś innemu pilnować deptaczy.

W saloniku ozdobionym jasnymi zasłonami Nadia rozstawiła na stole talerze z zimnymi zakąskami, wędzonym łososiem, szynką, plasterkami ananasa i dwoma rodzajami rosyjskiego ciemnego pieczywa. Dodała butelkę amerykańskiego burbona i butelkę koniaku, a potem wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Japończyk skinął na Pawła, Zekkiego i Reda Rolfa, żeby się częstowali.

- Skontaktowałeś się z Azzizem? - zapytał Pawła.

- Jest w Moskwie, w ambasadzie Iraku. Rozmawiałem z nim wczoraj, Red Rolf też.

- To dobrze, bo ten interes to dopiero początek.

- Zatem to nawet dobrze, że przeniesiemy się do Moskwy - podsumował Zekki. -

Red i ja powiedzieliśmy Azzizowi, że możemy mu dostarczyć, cokolwiek zechce.

- Szuka czerwonej rtęci, żeby wysłać ją do Bagdadu - dodał Red Rolf.

Japończyk wybuchnął śmiechem.

- Czerwonej rtęci? Po co mu takie gówno? Różni cwaniacy próbują sprzedawać je do robienia małej bomby atomowej. Ja mam dla niego parę gramów plutonu 239, niech pokaże swoim, czym dysponujemy.

Oczy Rolfa rozszerzyły się, gdy Zekki przetłumaczył. - Naprawdę masz pluton?

- Jeżeli nie, to pewien dyrektor i jego rodzina wkrótce będą martwi. Tak, możemy dostać wszystko, co chcemy, ale najpierw musimy wyprodukować pieniądze.

- Osobiście dam pluton Azzizowi - zgłosił się na ochotnika Red. - Razem sprzedaliśmy trochę broni do Iraku w 1988, kiedy Stanom zależało na wykończeniu Iranu.

- I powiesz mu, że możemy dostarczyć jego szefowi głowice jądrowe z raketami o zasięgu z Bagdadu do Nowego Jorku - dodał radośnie Japończyk. - Wiem, że wprost marzą o czymś takim.

Red Rolf aż zagwizdał.

- Dostałbym minimum piętnaście milionów dolarów, gdybym dostarczył ostatni model pocisku międzykontynentalnego na paliwo stałe, takiego jak *Sickle*.

- Dokładnie to miałem na myśli. I kiedy Irak będzie miał taką zabawkę, każdy pomylony dyktator od Korei Północnej po Libię będzie chciał kupić raketę albo przynajmniej parę kilogramów plutonu 239... - niemal nabożnie zniżył głos - po milion dolarów za kilo. To najdroższa substancja świata.

36.

Kapitan Malik Muchamedow i dwaj strażnicy wyciągnęli Burląka z Dołu Katarzyny, w którym spędził dwadzieścia cztery godziny. Zaprowadzono go do zaciemnionego pomieszczenia pod więzieniem na Butyrkach, pchnięto na krzesło i oślepieno jaskrawym światłem. Peter Nikhilow wysunął się z mroku i stanął przed bladym więźniem, który przycisnął pięści do oczu w obronie przed oślepiającym blaskiem.

Z mroku dobiegł dźwięczny głos naczelnika.

- No, Burlak, czy jak tam się naprawdę nazywasz, spędziłeś pewien czas tam, gdzie możemy wpakować cię na zawsze, żebyś cierpiał w towarzystwie dusz tych, którzy umarli przed tobą.

Burlak zdobył się na słabą próbę buntu.

- Chcę się zobaczyć ze swoim adwokatem.

Arkadij roześmiał się zjadliwie.

- Nikt w Moskwie nie może ci pomóc z wyjątkiem tego Amerykanina.

Burlak zobaczył przed sobą twarz Petera Nikhilova.

- Więc to byłeś ty! - wydyszał po angielsku. - Mówiłem im w celi, że chyba widziałem nowojorskiego glinę. Co tutaj robisz?

- Nadal szukam zabójcy dwóch Gruzinów w Brighton Beach - odparł po rosyjsku Peter. - Masz mi coś do powiedzenia?

Burlak milczał. Po upływie pół minuty Peter zwrócił się do Arkadego.

- Wpakujcie go z powrotem do dziury. Nic mi po nim.

Arkadij skinął na Malika.

- Wrzucić go z powrotem.

- Nie! Tylko nie to - wyskrzecztał po rosyjsku Burlak. Głos miał piskliwy ze strachu. - Czego ode mnie chcesz? Spróbuję ci pomóc.

- No to kim jesteś? - warknął Peter. - Josef Zilinski? A może używałeś tyłu nazwisk, że nie pamiętasz prawdziwego?

- Moje nazwisko jest nieważne. Czego chcesz?

- Gdzie jest Zekki Dekka?

- Nie wiem - odwarknął Burlak. - Daj mi wody.

Peter wzruszył ramionami.

- Skoro nic nie wiesz, jesteś dla mnie bezużyteczny. Szkoda, że nie możesz pomóc mi w znalezieniu Zekkiego. Mógłbym załatwić ci wyjazd z Rosji i powrót do Brooklynu.

Mógłbym nawet zapomnieć o tych dwóch Gruzinach.

Burłak milczał. Peter powiedział do Arkadego:

- No cóż, naczelniku, on nie jest mi potrzebny. Nadal myśli, że mam go traktować jak jakiegoś uprzywilejowanego gościa w Ameryce.

Malik złapał Burłaka za ramię.

Burłak nie dał się postawić na nogi. Leniwy uśmiech wykrzywił orientalne rysy Malika.

- Mogę zamknąć cię z dwiema sukami, i dopiero potem wrzucić do dołu.

- Daj mi wody - wychrypiał Burłak.

Na znak Arkadego strażnik przyniósł kubek.

- Zaczynj mówić - rozkazał Arkadij. - Jeżeli spodoba nam się to, co usłyszymy, może dostaniesz pić.

- I nie wrócę do Dołu? - wycharczał Burłak.

- To zależy od twoich informacji.

W tej chwili w osłepiający krąg światła wszedł Nieczajew. Jego czarne źrenice popatrzyły z góry na więźnia.

- Zekki jest z Dimitrijem - zaczął.

- Oczywiście, że jest z Dimitrijem - zadrwił Lis. Potem przysunął twarz do głowy więźnia. - Ale gdzie jest Dimitrij?

- Stale się przenosi. Nie wiem.

Nieczajew sięgnął po kubek i chlusnął wodą w twarz Burłaka. Więzień zlizął wilgoć z ust, a potem skulił się jak zbity pies i wybełkotał:

- Zekki wysłał mnie z Nowego Jorku, żebym kazał Dimitrijowi znaleźć lokal gdzieś na wsi niedaleko Moskwy, gdzie miałby dość prądu, aby uruchomić swoją maszynę.

Strażnik przyniósł wodę. Nieczajew wziął kubek i trzymał go tuż poza zasięgiem Czeceńca.

- Jakie urządzenia do fałszowania przybyły do Moskwy w ciągu minionych trzech miesięcy? - zapytał.

- Nic o tym nie wiem - odparł Burłak, sięgając po wodę. Nieczajew pozwolił, by wyciągnięte palce zacisnęły się na kubku i pociągnęły w stronę spękanych ust. Wtedy zrećnie puścił naczynie i w chwili, gdy więzień przyciskał usta do krawędzi, uderzył go w twarz. Woda spłynęła po brodzie Burłaka, który chciwie zlizał krople.

Peter Nikhilov włączył się do przesłuchania.

- Pracowałeś z Zekki Dekką w Brighton Beach i w Moskwie. Z pewnością możesz powiedzieć nam coś więcej.

- I co wiesz o matrycach ukradzionych z drukarni? Gdzie drukują pieniądze? Byłeś

z Zekkim i Amerykaninem, Redem Rolfem, w Waszyngtonie, gdy zginęły matryce - dorzucił Nieczajew.

Peter zobaczył zaskoczenie na twarzy Burlaka i odczytał jego myśli. Więzień myślał, że Japończyk go wyciągnie, jeżeli niczego nie powie. Peter i Lis wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Peter potrząsnął głową i ruszył do drzwi.

- Żegnaj, Burlak, Josef, czy jak tam się nazywasz. Ty nie pomożesz mnie, ja nie pomogę tobie. - Wyszedł z kręgu światła i ruszył do wyjścia, Nieczajew zaś zbliżył się do wstrząśniętego i przerażonego Czeczęca.

- No, po wyjściu Amerykanina... - zaczął Nieczajew - dokończymy rozmowę po naszymu.

- Panie Nikhilov! Powiem wam wszystko! Chcę wrócić do Nowego Jorku!

Peter i Arkadij wyszczerzyli się do siebie. Obaj pokiwali głowami i zawrócili do złamanego więźnia. Peter wyjął z kieszeni małą magnetofon.

- Po pierwsze, podaj mi swoje nazwisko, prawdziwe nazwisko. Wiemy, że połowa dokumentów, jakie macie wy, emigranci, od moskiewskich praw jazdy po paszporty i akty urodzenia, jest podrobiona. Natychmiast sprawdzimy twoje dane.

- Nazywam się Dżaba Muschadow - zaczął urywanym głosem.

- Dlaczego wróciłeś do Moskwy? - Lis z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Dlaczego zamordowałeś tych dwóch Gruzynów w Brighton Beach?

Burlak popatrzył na niego w milczeniu.

- Co wiesz o zamachu w hotelu „Rossija”? - zaczął z innej beczki pułkownik.

- Nic - sapnął Burlak. - Powiem wam, jak znaleźć Zekkiego.

- Powiesz mi więcej, dużo więcej. Gdzie jest ten lokal na wsi? - zapytał Peter.

- W Zilisi. Jeździłem tam z Dimitrijem dwa razy.

- Jak znaleźć ten dom?

Burlak po chwili namysłu powiedział:

- Stoi niedaleko szkoły - Pamiętam, jak mówili, że we wrześniu dzieci przechodzą przy nim na pola, by zbierać ziemniaki.

- Jak ukradliście z Zekkim matryce do drukowania studolarówek?

- Słyszałeś pytanie - rzekł niskim głosem Nieczajew. - Jak ukradłeś matrycę?

- Nie wiem. Zrobili to Zekki i Amerykanin, który miał jakieś kontakty w amerykańskim rządzie. Mieli kogoś, kto pracował z nimi w drukarni.

- Kto jeszcze brał w tym udział? - warknął Lis. - Podaj nam nazwiska, rysopisy.

- Amerykanin jest wysoki, chudy i rudy.

- Co jeszcze pamiętasz? - przynaglił Nieczajew.

- Zekki powiedział, że Amerykanin spędził wiele lat na opracowywaniu planu podrabiania najpierw rubli, a potem dolarów. Teraz ten sam rudy Amerykanin nadal

pracuje z Zekkim i Dimitrijem, i jest też jakiś Arab - sypał Burłak. - Z Iraku. Spotkałem go z Zekkim. Ten Irakijczyk zna Saddama Husajna i handluje bronią. Nie znam jego nazwiska. Nosi ciemne garnitury, ma wąsy i nawet przypomina Saddama.

Zapadło długie milczenie, gdy Peter i Nieczajew wymieniali spojrzenia.

- Sprawdźmy wszystko, co powiedziałeś, i odwiedzimy Zilisi. Poprosimy komendanta, by tymczasem znalazł ci wygodniejszą izolatkę.

- A co z wyjazdem do Ameryki? - zapytał błagalnie Burłak.

- Jeżeli twoje informacje pomogą nam znaleźć Zekkiego i Dimitrija, i wszystkich innych, którzy produkują fałszywe pieniądze, dopilnuję, żebyś wrócił do Brooklynu. - Peter wyszczerzył się do Burłaka. - Nadal będziesz podejrzany o morderstwo, ale myślę, że chętniej staniesz przed amerykańskim sądem.

- Powiedziałem wszystko, co wiem.

- Wszystko? - zapytał Peter. - Nawet nie wspomniałeś o Japończyku.

Na dźwięk pseudonimu Burłak pobladł.

- Nic o nim nie wiem - wydyszał w końcu.

- Czy jest powiązany z Zekkim?

- Nic nie wiem - powtórzył. - Pracowałem tylko z Zekkim.

- Jak znajdziemy Zekkiego, pogadamy z tobą o Japończyku. - Nieczajew zwrócił się do Arkadego: - Naczelniku, trzymajcie go w pojedynce.

37.

Minęły dwadzieścia cztery godziny od czasu przesłuchania Burłaka, nim brygada kryminalna otrzymała zezwolenie na przeprowadzenie nalotu na podejrzaną fabrykę fałszywych pieniędzy. Zilisi leżało sto kilometrów poza obszarem stołecznej jurysdykcji, a w biurach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na Pietrowce nadal panował bałagan po puczu i nikt nie był w stanie podejmować szybkich decyzji.

Dopiero rankiem trzeciego dnia po tym, jak Peter Nikhilov zidentyfikował podejrzanego o morderstwa w Brighton Beach, Pietia zawiózł milicyjnym Mercedese Nieczajewa, Borysa i Petera na przedmieścia Zilisi. Za nimi jechał drugi samochód z Jurijem Ugłanowem za kierownicą i trzema innymi milicjantami.

Kapitan Walerij Kutuzow dowodził ubranymi po cywilnemu milicjantami z okolicznych komend rejonowych. Udał się ze swoimi ludźmi prosto do Zilisi. Dwa stare i poobijane cywilne samochody parkowały już niedaleko szkoły.

Nieczajew, Peter i Borys wysiedli z Mercedesa. Jurij zatrzymał się za nimi i zaczął wyjmować z samochodu swoją ulubioną strzelbę, śrutówkę kalibru 12.

- Nie chcemy ich alarmować przed zajęciem pozycji. Będziemy musieli poradzić sobie z bronią krótką, jeżeli zajdzie taka potrzeba - sprzeciwił się Nieczajew.

Jurij westchnął z zalem i schował broń pod przedni fotel Wołgi.

- Nigdy nie widziałem Czeceńca, który dałby się spokojnie aresztować - mruknął.

Peter i Nieczajew ruszyli w kierunku budynku.

Od strony kołchozowych pól znajdowały się wąskie drzwi. Z otwartej szopy, która stała zaledwie parę metrów za domem, wystawał przód błyszczącej, czarnej limuzyny. Samochód, prawdopodobnie amerykański, wydawał się nie na miejscu w tym wiejskim otoczeniu. Jacyś dwaj chłopcy skierowali się prosto do wejścia. - Co te szczeniaki tu robią? - zapytał Ugłanow. - Powinni być w szkole.

Borys popatrzył na chłopców.

- Czujki - powiedział Jurij. - Zauważyli nas.

Bez chwili namysłu Kutuzow wprowadził swoich ludzi do środka. Wewnątrz zobaczyli wieszaki pełne koszul, płaszczy, sukni, spodni, zajmujące długość dwóch pokoi, oraz toboły różnorodnej odzieży, od bawełnianych koszulek po dresy. Dowódca rejonowej policji odwrócił się i krzyknął:

- Co to jest, pieprzona Bieriozka?!

Borys i Nieczajew popędzili przez cegły i chwasty w kierunku Kutuzowa. Pietia i

Jurij Ugłanow skierowali się do szopy, w której stał amerykański samochód. Peter, na rozkaz Nieczajewa, trzymał się z tyłu i obserwował.

Nieczajew zbliżał się do wejścia budynku, gdy Walerija Kutuzowa i jego ludzi, osaczonych przez sterty ubrań, przywitał Czeczeniec z granatem. Zawlecza już była wyciągnięta. Nieczajew wszedł na korytarz w chwili, gdy Czeczeniec poturlał śmiercionośne jajo po podłodze między stertami ubrań, jak na kręgielni.

- Schowajcie się za czymś! - ryknął Lis. Zdążył wyskoczyć za drzwi i przypaść do ziemi, ale milicjanci nie mieli gdzie się schronić. Desperacko wcisnęli się w fałdy ubrań wiszących pod ścianami. Granat eksplodował, siekąc stalowymi odłamkami ściany.

Sekundę później Nieczajew rzucił się do drzwi. Kutuzow wziął na siebie całą siłę wybuchu, jego ciało, rzucone na stos poszarpanych ubrań, samo wyglądało jak podarta i skrwawiona szmata. W strzępach pociętej odłamkami odzieży kulili się dwaj ciężko ranni podkomendni. Czerwony strumień krwi płynął po podłodze. Nieczajew krzyknął o pomoc.

Jurij Ugłanow i Pietia zatrzymali się, gdy z budynku wyskoczyli trzej mężczyźni w garniturach i pobiegli do limuzyny.

Rozległ się terkot *Kałasznikowa*. Jurij i Pietia zostali przyciśnięci do ziemi przez ogień czeczeńskiego strzelca. Peter starał się przyjrzeć trzem uciekającym. Jednym z nich był Zekki Dekka, drugi z pewnością wyglądał na Czeczeńca. Prawdopodobnie kierowca, pomyślał.

Potem, zerknąwszy w kierunku garażu, ujrzał w przelocie rudzielca, który był ubrany w typowo amerykańskie szare spodnie i ciemną kurtkę. Mężczyzna wyskoczył tylnymi drzwiami i wsiadł do czarnego wozu w chwili, gdy pojazd z rykiem wypadał z szopy i skręcał na drogę biegnącą skrajem miasta. Czeczeńcy zablokowali drogę pościgu, poświęcając się dla dobra swoich szefów.

Jurij podał Pietii pistolet i, zgięty w pół, pobiegł w stronę swojego samochodu. Pietia krył go najlepiej, jak potrafił, opróżniając najpierw magazynek własnej broni, potem kolegi. Ugłanow dotarł do Wołgi, złapał strzelbę i *Kałasznikowa*, przerzucił przez ramię torbę z magazynkami, skrzył za róg budynku i otworzył ogień do Czeczeńców nadal strzelających w stronę Pietii.

Peter skoczył do wejścia i w korytarzu aż sapnął z grozy. Krew ochlapała wszystkie ubrania wiszące na stojakach w korytarzu. Młody kapitan milicji nie żył. Stalowe odłamki zmasakrowały mu twarz, wydarły dziury w kurtce i spodniach.

- Nie możemy nic zrobić dla niego - powiedział Nieczajew.

Ściągnął płaszcz z wieszaka i okrył nim ciało.

Peter wyszedł z zalanego krwią korytarza w popołudniowe słońce. Pietia i Jurij,

zgięci nisko przy ziemi, zbliżali się do szopy. Czeczeńcy wyrzucili broń na zewnątrz i wyszli z wysoko uniesionymi rękoma.

Peter wszedł do budynku drzwiami na tyłach i zaczął przeszukiwać pomieszczenie.

Otworzył drzwi lodówki. Na półkach stały butelki szampana i wódki oraz słoiki czerwonego i czarnego kawioru. Przeszedł do opróżnionej hali produkcyjnej, powstałej po wyburzeniu ścian działowych między czterema pokojami.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odwróciwszy się zobaczył kobietą nogę wystającą z fałd tkaniny, która przysłaniała ścienną szafę.

Podszedł do draperii i rozsunął ją na boki. Jego oczom ukazała się skąpo odziana czarnowłosa kobieta o pełnej figurze, która minęła go błyskawicznie i skoczyła do drzwi. Nie uciekła daleko - wpadła na wchodzącego właśnie Lisa. Pułkownik w chwili zderzenia upuścił pistolet, ale zdołał złapać uciekinierkę. Nieczajew wykręcił jej ręce za plecy i przycisnął ją do ściany. Wolną ręką podniósł pistolet z podłogi.

- Chodź, kochanie, jesteś aresztowana.

- Ty żalosny beznamiętny psie, puszczał! Będę miała siniaki od twoich brudnych łap.

- Uważaj, kochanie, zachowuj się. I pilnuj języka, bo zdenerwujesz mojego gościa, który, jak większość Amerykanów, jest człowiekiem naiwnym i sentymentalnym. Nadal dostrzega coś czystego we wszystkich kobietach. - Odwrócił się do Petera. - Znalazłeś coś interesującego?

Peter starał się omijać wzrokiem pełne piersi ledwo mieszczące się w staniku. Kobieta miała na sobie tylko bieliznę. Jej rozszerzone ciemne oczy strzelały we wszystkie strony.

- Kto to jest? - zapytał. - Puść ją, Władimir.

Nieczajew rozluźnił palce. Kobieta skoczyła do szafy, owinęła się kusym szlafrocikiem, a potem popatrzyła wyzywająco na obu mężczyzn. Władimir roześmiał się drwiąco.

- To Nadia Bołszokowa, dama wielce sympatyczna pod wieloma względami i wysoce szanowana w pewnych kręgach. - Odwrócił się do niej z gardłowym warknięciem.

- Wdepnęłaś w gówno, kochanie?

- Jestem w gównie przez całe życie, gnoju. Im bliżej stoisz, tym głębiej w nim siedzę! - wysyczała, masując obolałe nadgarstki.

- Jeszcze trochę pyskowania, a naprawdę pożałujesz, mała. Tam leżą dwaj martwi milicjanci. Mogę oskarżyć cię o współudział w morderstwie.

- Pieprz się! Nie mam z tym nic wspólnego!

- Wygląda na to, że do końca życia za darmo będziesz obciążała fiuty w pudle.

Zirytowaną twarz prostytutki wykrzywił pogardliwy uśmiech.

- Za jeden numer biorę tyle, ile ty dostajesz miesięcznie.

Lis poczerwieniał. Ze złością wysyczał:

- W porządku. Proszę się o prawdziwe kłopoty. Jesteś aresztowana. - Złapał ją za ramię.

- Czekaj - wtrącił Peter. - Jest prawie naga.

- W taki sposób spędza większość czasu. - Zaczął popychać ją do drzwi.

- Chwileczkę. Chciałbym zadać jej parę pytań.

Nieczajew miał zamiar coś warknąć, gdy w pokoju pojawił się Borys Burienczuk.

- Chodź, Lis, niezły widok. Nie uwierzysz. - Zerknął na kobietę.

- Nadia, miło znów cię widzieć, kochanie.

Nieczajew puścił rękę kobiety.

- Pilnuj jej - powiedział do Petera i poszedł za Borysem.

Nadia podniosła wywrócone krzesło i usiadła.

- Masz papierosa?

Podał jej paczkę Marlboro i zapalniczkę.

- Więc jesteś Nadia?

- Tak. - Wyjęła papierosa i zapaliła.

- Zatrzymaj resztę - powiedział, odbierając zapalniczkę.

- Kim jesteś i czego chcesz? - Kobieta zaciągnęła się głęboko.

- Szukam przyjaciela. Nazywa się Zekki Dekka. Podobno tu był.

- Kto ci powiedział? - zapytała wyzywająco.

- Nasz wspólny znajomy. Burłak o wielu fałszywych nazwiskach.

- Więc Japończyk miał rację - powiedziała. - Puścił farbę.

- Co robi w tym wszystkim Japończyk?

Nadia popatrzyła na niego w milczeniu, zaciągnęła się. Zdała sobie sprawę, że jej reakcja była głupia i przekreśliła szanse na oczyszczenie się z udziału w przestępstwie.

- Moglibyśmy sobie wzajemnie pomóc - zasugerował Peter.

- Japończyk, Zekki i inni mają zamiar jechać na Syberię, żeby kupić coś specjalnego za fałszywe dolary. Może diamenty albo złoto, albo platynę.

- Kto tu jeszcze był? Dwaj ludzie wybiegli stąd i wskoczyli do samochodu.

- Słuchaj, wiem dość, żeby wam pomóc. Jeżeli powiem ci wszystko, zabierzesz mnie do Ameryki? Jeżeli nie, jestem trupem.

- Zrobię, co będę mógł.

- Był tu Amerykanin nazwiskiem Rolf.

- A ty go zabawiałeś?

- Nie przyjechałam tu na konsultacje w interesach. A kim ty jesteś, że tak wypytyjesz? Amerykaninem z CIA?

Peter uśmiechnął się. Spodobał mu się tupet dziewczyny. - Swego rodzaju.

- Pieprzyłam się z kagebistami, milicjantami, wojskowymi i bankierami, ale nigdy z agentem CIA. Umówimy się?

- Nie teraz. I, nawiasem mówiąc, pieprzyłaś się z agentem CIA, a przynajmniej byłym agentem, który okazał się zdrajcą.

Nadia była zaskoczona.

- Myślałam, że to amerykański mafioso.

- To czasami się pokrywa. Z jakiego powodu Rolf był taki ważny?

- Dawno temu obmyślił z Japończykiem pomysł drukowania pieniędzy. I ma kontakty z jakimś Irakijczykiem Azzizem, którego zna od wielu lat.

- A jak doszło do tego, że zabawiałaś Amerykanina?

- Moja przyjaciółka, Oksana, jest ich tłumaczką.

- Oksana Martinowa?

Nadia pokiwała głową.

- Jasne. Znasz ją?

- Jak, u licha, poznałaś córkę obwodowego sekretarza?

- To zostało ukartowane. Paweł ustawił Promyczka, to taki karzeł od mokrej roboty, żeby przycisnął Oksanę w toalecie. Ja weszłam niby przypadkiem i uratowałam ją i jej znajomą. Później Oksana wpadła w prawdziwe kłopoty, czystym zbiegiem okoliczności. Wtedy, jako jej przyjaciółka, załatwiłam, że Paweł wyciągnął ją z szamba.

- Czemu ją wrobiłaś? Po co ci była potrzebna?

- Jej ojciec mógł wyciągnąć Japończyka z łagru, tak samo jak ty możesz zabrać mnie do Ameryki.

- To bardzo ważne. Mówiłem ci, zrobię wszystko, co tylko możliwe.

- Jeszcze jedna przysługa. Naprawdę jestem przyjaciółką Oksany. Proszę, powtórz jej to i powiedz, że przepraszam ją za wciągnięcie w to gówno.

- Zrobię to. No, a gdzie są te podrobione dolary?

- Japończyk i Paweł, numer drugi Japończyka, kazali mu wszystko stąd zabrać. Ja chciałam zgarnąć jeszcze parę ciuchów. I wtedy pojawiliście się wy. Najpierw dwa trupy, a potem Lis. Cholera.

Wrócił Nieczajew. Miał poważny wyraz twarzy.

- No, zmiękałaś trochę? - powiedział do Nadii. Obrzuciła go lodowatym spojrzeniem.

- Hej, Lisie - Peter położył rękę na jej ramieniu. - Ona naprawdę może nam pomóc. Mnóstwo wie. Traktuj ją przyzwoicie, dobrze?

Peter rzucił Nadii spojrzenie pełne otuchy i wyszedł za Nieczajewem do głównej hali, a stamtąd, po schodach, udał się na górę.

Z pomieszczenia wyniesiono meble, ciemniejsze łąty na starej tapecie wskazywały,

gdzie niegdyś stały. Pod ścianą, wsparci na rękach, klęczeli czterej mężczyźni. Pilnował ich milicjant z *Katasznikowem*. Wszyscy czterej mieli ręcznie robione wełniane skarpety. Podłogę zaściewał dywan zmiętych studolarówek. Peter, brodząc po kostki w walucie, zagwizdał z podziwem.

- Jak myślisz, ile tego? - zapytał Nieczajew.

Peter popatrzył na fałszywe banknoty, podniósł garść i przyjrzał im się z bliska.

- Doskonała jakość - mruknął. - Kiedy tropiłem pewien kartel kokainowy, nauczyłem się, że do jednego pudełka po butach może się zmieścić milion dolarów. Powiedziałbym, że tutaj mamy pół pudełka.

- Strzeliłem do jednego z tych chłopców, gdy wyciągnął broń - powiadomił z chichotem Nieczajew. - Kula z mojego *Makarowa* odbiła się rykoszetem od trzech paczek banknotów w kieszeni na jego piersiach. I jak tu wierzyć tym, którzy mówią, że pieniądze szczęścia nie dają.

Gdy szef detektywów i jego ludzie z Pietrowki wyszli na zewnątrz, Czeceńcy byli już skuci, a ambulans zabierał rannych milicjantów i poległego oficera do najbliższego szpitala.

Peter wyprowadził Nadię, teraz w eleganckiej tweedowej garsonce. Dwaj czeceńscy ochroniarze wpatrywali się z napięciem w prowadzoną do Mercedesa kobietę.

Petera zaalarmował malujący się na ich brodatych twarzach wyraz oczekiwania. Informacje przekazane przez Nadię mogłyby poważnie zaszkodzić fałszerskiej operacji. Jej wyjście bez kajdanek czy bicia powiedziało Czeceńcom, po której stronie stoi.

Nadia rozejrzała się po podwórku kołchozu.

- Zwinęliście całą ochronę?

- Wszystkich, którzy pilnowali tego miejsca - odparł Nieczajew.

Nagle rzuciła pytające spojrzenie na jednego z Czeceńców.

- A gdzie Misza?

- Kto to taki? - zapytał Peter.

- Człowiek Japończyka od mokrej roboty.

- Wyślemy paru ludzi na poszukiwania, chyba że ten facet był w samochodzie, którym uciekli Zekki i Red.

- Nie. Miał motocykl.

Peter wyraźnie zobaczył strach na twarzy Nadii. Jej oczy przeszukiwały pola i krzaki za domem.

Nieczajew w jednej chwili odwrócił się do Jurija Ugłanowa, który stał z ulubioną strzelbą w ramionach.

- Poszukaj jeszcze jednego zabójcy.

Jurij ledwo zdążył opuścić teren posesji, gdy z oddali dobiegł huk strzału. Nadia zatoczyła się na maskę Mercedesa. Powoli osunęła się na ziemię, na jej piersiach wykwitła czerwona plama.

38.

Borys i Peter stali przed mieszkaniem Oksany, pierwszy z butelką koniaku, drugi z bukietem czerwonych róż. To Peter nalegał na złożenie wizyty. Ktoś musiał przekazać dziewczynie, że jej przyjaciółka Nadia została zabita przez jednego z ludzi Japończyka. Sam nie mógł tego zrobić, ponieważ gdyby powiedział, że był w Zilisi z milicjantami, wysłoby na jaw, że jest jednym z nich. Poza tym chyba nadeszła pora na zacieśnienie stosunków z Oksaną Martinową.

Usłyszeli szcęk otwieranych zamków, a potem drzwi uchyliły się na długość łańcucha. Oksana wyjrzała, zobaczyła Borysa i zamknęła drzwi, żeby odpiąć łańcuch i wpuścić ich do środka. Weszli za nią, między sznurami paciorków zwieszających się z sufitu.

- Miło znów cię widzieć, Oksano - powiedział Peter, podając jej różę.

Borys wszedł do kuchni i znalazł trzy kieliszki. Nalał koniaku i zabrał je do bawialni.

- Zastanawiałam się, kiedy zadzwonicie. - Oksana wzięła różę. - Jak sobie radzisz bez tłumacza?

- Mój partner handlowy mówi po angielsku.

- Obaj wyglądacie na ponurych. Co się stało?

Borys podał im lampki z koniakiem.

- *Na zdrowie* - powiedział. Spełnili toast. - Oksano, wydarzyło się coś strasznego.

Na twarzy dziewczyny odmalowało się przerażenie.

- Co, Borysie? Mów.

- Twoja przyjaciółka Nadia... - zaczął.

- Co z nią? - Oksana odstawiła kieliszek.

- Wczoraj została zabita. Przykro mi.

- Och, nie - sapnęła. - Nie, nie Nadia. Co się stało?

- Wiesz, gdzie była? - zapytał Borys.

Rysy Oksany skamieniały.

Borys uśmiechnął się ponuro.

- Nie przyszedłem, żeby cię przesłuchiwać. Nadia zabawiała pewnego Amerykanina, Reda Rolfa, w Zilisi. Zekki Dekka też tam był. Wiesz, co robili? - Podniósł rękę, gdy zaczęła protestować. - To nie jest śledztwo, po prostu próbuję powiedzieć ci, co się stało.

- Nie rozumiem, co Borys mówi, Oksano - przypomniał Peter.
- Spróbuję przełożyć ci wszystko na angielski, gdy skończymy - odparła Oksana.
- Świetnie. - Peter wyszedł do kuchni i przyniósł koniak. Borys kontynuował:
- Przesłuchaliśmy w więzieniu Burłaka, który powiedział nam, gdzie znaleźć Zekkiego. Kiedy przybyliśmy do Zilisi tego ranka, zostaliśmy ostrzelani. Zekki i Rolf uciekli samochodem, kryci ogniem przez Czeceńców, którzy pilnowali fabryki. Dwaj nasi ludzie zginęli.

- A Nadia? - zapytała cicho Oksana.

- Znaleźliśmy ją w mieszkaniu, które zajmowała z Amerykaninem uczestniczącym w tej fałszerskiej operacji. Zgodziła się na współpracę i zabraliśmy ją do naszego samochodu. Ale ktoś ją zastrzelił.

Oksana przycisnęła dłoń do drżących ust.

- Wiesz, kto?

Borys powoli pokiwał głową.

- Jeden z ludzi Jakowlewa. Tuż przed tym wypadkiem Nadia zapytała o człowieka, którego bardzo się bała. O Miszę. Mówi ci to coś?

Oksana siedziała na sofie jak sparaliżowana. Po chwili sięgnęła po koniak i wypita długi łyk.

- Dlaczego ją zabił?

- Bez wątpienia po to, żeby nie mogła nam nic powiedzieć.

Borys stanął przy oknie, Oksana zaś przetłumaczyła treść rozmowy Peterowi.

- Dobrze się czujesz, Oksano? - zapytał Peter, gdy skończyła.

- Tak. Borys próbuje wykorzystać mnie od znalezienia Sławy Jakowlewa. Nie mam pojęcia, gdzie on jest ani co robi.

Borys wyszedł do holu, gdzie wisały liczne ubrania. Oglądał je przez chwilę. Oksana nerwowo śledziła jego poczynania.

- Wszystkie amerykańskie - mruknął. - Z GUM-u?

Potrząsnęła głową.

- To prezenty od Nadii.

- Wiesz, skąd je wzięła?

- Nie pytam, skąd pochodzą prezenty - odparła wyniośle.

- Drukarnia i mieszkanie w Zilisi, gdzie zginęła Nadia, były pełne ciuchów - mówił łagodnie Borys. - Wszystkie te ubrania pochodziły z kontenera, w którym Japończyk i jego ludzie przemycili sprzęt potrzebny do drukowania fałszywych pieniędzy.

Oksana w milczeniu wzruszyła ramionami.

- I jeszcze jedno. Nadia powiedziała nam o tobie coś, czego nawet ty nie wiesz. Wszystko od początku było ukartowane. Ten karzeł w toalecie... Paweł zainscenizował

tę scenkę, żeby Nadia mogła cię uratować i zostać twoją przyjaciółką. Japończyk potrzebował cię, żeby dotrzeć do twojego ojca. Tuż przed śmiercią Nadia poprosiła, aby ci powiedzieć, że jest jej przykro.

Oksana była zdruzgotana. Borys dodał:

- Ten karzeł nazywa się Promyczek.

- Możemy dać jej spokój? To wszystko jest dla niej bardzo stresujące - zapytał Borys po angielsku Peter.

Oksana przetłumaczyła odpowiedź Borysa.

- Borys zaprasza nas na kolację z pułkownikiem Nieczajewem.

- Wszystko zależy od ciebie, Oksano.

- Wolałabym nie. Mam tyle rzeczy do przemyślenia.

- A może kolacja we dwoje? - Kiedy ruchem głowy wyraziła zgodę, dodał: - Sama powiedz Borysowi.

- Powiem mu, że zamierzamy porozmawiać o tłumaczeniu dla ciebie, a potem zadzwonię po taksówkę i pojedziesz do hotelu „Rossija”. Tam się zatrzymałeś, prawda?

- Tak.

Borys wzruszył ramionami, gdy usłyszał jej pomysł, skinął na pożegnanie i ruszył do wyjścia. Oksana i Peter poszli za nim. Borys jeszcze raz rzucił okiem na ubrania wiszące w korytarzu, potem położył rękę na klamce.

- *Do swidanja*, Borysie - przynagliła go Oksana. - Przykro mi. - Otworzył drzwi i wyszedł. Oksana przekreśliła dwa zamki i odwróciła się. Zaczerpnęła powietrza i wypuściła je powoli, patrząc w sufit.

- Jeżeli chciałbyś coś zjeść, przygotuję kolację.

Peter milczał. Oboje podeszli do sofy i usiedli. Peter nalał koniaku.

- Nadia uratowała mi życie, gdy chciałam się zabić. Teraz wiem, dlaczego. Boże! Sława jest inny, niż myślałam. Cóż, przynajmniej KGB dostało za swoje.

- Tutaj powstaje nowy świat, Oksano. Mamy okres przejściowy. Czas wielkich zmian i okazji, dla Rosji, dla mnie, i dla ciebie. Kluczem jest znalezienie właściwych ludzi. - Uśmiechnął się z przekąsem. - Prawdę mówiąc, możliwe, że wejdziemy w interesy z Jakowlewem.

- Jakie? - zapytała Oksana, najwyraźniej zaciiekawiona, ale zarazem czujna.

- Kupujemy z moim wspólnikiem aluminium i sprzedajemy je z wielkim zyskiem w Finlandii. Teraz mam w Niemczech kupca na nieograniczoną ilość czerwonej rtęci. Jeżeli Jakowlew ma jakieś powiązania z zakładami nuklearnymi, prawdopodobnie mógłby nabyć ją po niższej cenie.

- Co to jest czerwona rtęć?

- Składnik potrzebny do produkcji małych bomb atomowych.

Oksana pokręciła głową.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Ale zapytam Sławę przy najbliższej okazji.

- Nie mogę nic na to poradzić, muszę cię pocałować - powiedział, pochylił się i musnął ustami jej policzek.

Oksana nie poruszyła się.

- Dlaczego to zrobisz?

- Bo naprawdę cię lubię.

Pocałował ją jeszcze raz, w usta, i ona oddała mu pocałunek. Objęli się powoli.

Żadne nie chciało przerwać, ale wreszcie Oksana odsunęła się z westchnieniem. Peter natychmiast opuścił ręce i podniósł dwie prawie puste lampki. Podał jedną Oksanie i dotknął krawędzi jej kieliszka swoim. - Od teraz razem będziemy stawiać czoło przyszłości.

- Przynajmniej dopóki nie wrócisz do Ameryki. - Oksana podniosła koniak do ust.

- Zabiorę cię z sobą, jeżeli zechcesz.

Dopili resztę koniaku. Oksana odstawiła kieliszek.

- Zawsze chciałam pojechać do Ameryki.

- Dobrze. Zatem uzgodnione. Jutro pójdziemy do ambasady i rozpoczniemy załatwianie wizy.

Bez słowa opuścili salonik, minęli kuchnię i aneks jadalny, i weszli do sypialni.

Kochali się dwa razy, ciesząc się zmysłową przyjemnością. Był późny ranek, gdy wreszcie wypili kawę i zjedli parę słodkich bułeczek, kupionych przez Oksanę dzień wcześniej w piekarni za rogiem.

Dzwonek telefonu wyrwał ich z letargu. Oksana podniosła słuchawkę.

- *Da.* - Słuchała chwilę, potem szybko zerknęła na Petera i powiedziała po rosyjsku: - Zadzwoń do ojca i poproszę go, żeby jak najszybciej umówił spotkanie w Krasnowie 86. - Zapadła długa przerwa. - Oddzwonię, gdy będę wiedziała. Na razie mam pracę tłumaczki, to potrwa pewien czas. Tak, Amerykanin. - Kolejna pauza. - No cóż, częściowo pieniądze. Ale to mój zawód. Lubię swoją pracę i lubię jego.

Słuchała jeszcze chwilę, po czym z oburzeniem powiedziała:

- Nie, on nie jest jednym z nich. Prawdę mówiąc, może sami wejdziecie z nim w interesy. Opowiem ci o nim później.

Gdy Oksana odłożyła słuchawkę, Peter, udając, że nie zrozumiał ani słowa, zapytał:

- O co chodzi?

- Sława chce, żeby mój ojciec pomógł mu załatwić coś na Syberii.

39.

Misza był ostatnim uciekinierem z nalotu na drukarnię w Zilisi, który przybył do opuszczonej fabryki na podupadłych wschodnich przedmieściach Moskwy. Zekki i Red Rolf już skierowali swoją załogę do ponownego uruchomienia drukarni.

Paweł wezwał Zekkiego, Miszę i Reda do pustego pokoju, którego Japończyk używał jako posterunku kontrolnego. Nie widzieli szefa od czasu, gdy rozkazał im przenieść tak doskonale funkcjonującą drukarnię.

- Ktoś został? - warknął Japończyk.

- Przeżyli tylko czeczeńscy strażnicy - odpowiedział Misza. - Nie sądzę, żeby Dimitrij uciekł.

- A co z Nadią? - zapytał Red.

- Uciekła - skłamał Misza.

Japończyk zerknął na niego i zrozumiał, że Misza wykonał swoją robotę. Nadia już niczego nie wygada. Przeszedł do spraw bieżących.

- Taki stan rzeczy wymusza na nas konieczność szybszego działania. Popelniliśmy ostatni dopuszczalny błąd. Następny... - po kolei zajrzał w oczy swoim ludziom - będzie miał fatalne konsekwencje, dla wszystkich zainteresowanych. Zostało niewiele czasu na zrealizowanie planu. Wrócimy do Krasnowa 86, gdy tylko załatwię *Antonowa*. - Po dłuższym milczeniu zwrócił się do Pawła: - Ale zanim to nastąpi, będziemy musieli usunąć jeden niebezpieczny punkt w naszej operacji.

- Mamy na Butyrkach odpowiednich facetów - powiedział Paweł, odgadując jego myśli.

Zgodnie z przewidywaniami Japończyka pułkownik Nieczajew nie zwlekał z drugim przesłuchaniem Burłaka. Generał Bodajew zadzwonił do naczelnika Butyrek i poprosił o dostarczenie więźnia na Pietrowkę następnego dnia rano o 7.30.

Burłak został obudzony o piątej. Wyprowadzono go na korytarz, gdzie założono mu kajdanki, a potem wpełchnięto do poczekalni i rozkazano położyć się na kamiennej posadzce. Dwaj strażnicy stanęli nad nim i wymierzili karabiny w jego plecy. Leżał tak przez prawie dwie godziny, do siódmej, do czasu przyjazdu więziennej karetki. Poderwano go wówczas na nogi, wyprowadzono na dziedziniec i wrzucono do wnętrza pojazdu. Nie pozwolono mu na skorzystanie z toalety. Dowódca eskorty, zaspany i ziewający, usiadł przed nim na ławce. Miejsca przy tylnych drzwiach zajęli dwaj

konwojenci. Przedział od kabiny kierowcy oddzielała metalowa siatka.

Burłak przez małe zakratowane okienko patrzył na czubki topoli i syczał z wściekłości. Miał pełen pęcherz i każdy wstrząs furgonetki przyprawiał go o męczarnie. W pewnej chwili oficer sięgnął do kieszeni i zaczął coś wyjmować. Dziwne, pomyślał Burłak, strażnikom więziennym nie wolno palić na służbie. Nagle poczuł pchnięcie w piersi. Poderwał głowę i zobaczył, że oficer wyciąga w jego stronę pistolet.

Oficer patrzył na niego bez zmruczenia oka. Strażnicy, ślepi i głusi, siedzieli nieruchomo po obu stronach tylnych drzwi. Furgonetka skręciła na Pietrowkę i zatrzymała się na czerwonym świetle.

- Weź to - powiedział oficer. - Wszystko załatwione.

Parcie na pęcherz stłumiło wszelkie podejrzenia. Burłak złapał pistolet w skute dłonie.

- Strzel w dach - przynaglił oficer. - Potem zwiewaj. Za furgonetką jedzie żółta taksówka. Są tam twoi. Wskocz. Oni zdejmą ci kajdanki. Powodzenia! - Strażnik otworzył drzwi.

Burłak nacisnął spust. Kula przebiła dach, huk strzału oddanego w małym pomieszczeniu na chwilę ogłuszył eskortę. Więzień strzelił jeszcze raz. Jeden ze strażników otworzył drzwi i Burłak bez namysłu wyskoczył. W jasnym porannym świetle zobaczył nadjeżdżającą taksówkę. Dopadł do niej jednym susem, ale nim sięgnął klamki, upuszczając na asfalt pistolet, taksówka nagle skoczyła do przodu, wyprzedziła furgonetkę i zniknęła w dali.

- Sukinsyny! - krzyknął Burłak. - Pieprzę was!

Zawirował i nie panując już nad pęcherzem zsiąkł się w spodnie. Rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu drogi ucieczki. Nagle zobaczył wycelowane w siebie trzy lufy.

W jednej chwili zdał sobie sprawę, że Japończyk skazał go na śmierć. Nim zdołał podnieść upuszczony pistolet, pociski wystrzelone z furgonetki rozdarły mu piersi i głowę, i rzuciły go w tył na stojące w korku samochody.

O 7.30 Nieczajew i Peter Nikhilov zamiast przestłuchiwać Burłaka, wypytywali dowódcę eskorty. Śmierć kolejnego, a prawdę powiedziawszy jedyne go głównego podejrzanego, doprowadziła Nieczajewa do furii.

Szef detektywów poświęcił niewiele uwagi usprawiedliwieniom oficera. Kapitan utrzymywał, że więzień jakimś sposobem przemycił pistolet i zmusił strażników do wypuszczenia go z furgonetki. Mimo wszystko udało im się go zastrzelić i zamiast nagany, powinni otrzymać pochwałę.

Nieczajew odprawił oficera.

- Ten beznadziejny dureń chce sobie postawić domek na wsi za pieniądze Japończyka. A w dodatku nic nie mogę mu udowodnić.
- Sprawdziliście rzecz Burłaka w więzieniu?
- To pierwsze, co zrobiliśmy po tym, jak go zauważyłeś - odparł Nieczajew. - Nic interesującego.
- Mogę jeszcze raz rzucić na nie okiem?
- Po co?
- Wiesz, jak mawiają proktolodzy: jeden palec jest dobry, ale trzy są lepsze. Nieczajew uśmiechnął się i sięgnął do telefonu.
- Zadzwoń do Matłowowa. Borys cię zawiezie.

Arkadij Matłowow zaprowadził Petera do więziennej przechowalni, wielkiej sali obstawionej tysiącami metalowych skrzynek. Strażnik już postawił pudełko z rzeczami Burłaka na jednym z wysokich stołów. Peter przerzucił ubrania i na dnie pojemnika znalazł portfel. Był w nim tylko mały notes. Przekartkował puste stronicy, pomiędzy których wypadła wizytówka. Podniósł ją i przeczytał. Należała do Azziza Al Faradiego, przedstawiciela Iraku przy ONZ. Na chwilę myśli Petera powędrowały do Hugh'a McDonalda, którego organizacja obserwowała misję Iraku przy ONZ. Oto miał kolejne ogniwo w łańcuchu łączącym Irak, dążący do zdobycia potencjału nuklearnego, z rosyjską mafią.

Na drugiej stronie wizytówki Peter zobaczył coś, co wyglądało na numer telefonu. ZD 291-37-17. Szybko schował wizytówkę do rękawa i odwrócił się do kapitana, który ziewał w kącie. Matłowow musiał być obecny przy tym całkowicie bezprawnym przeszukiwaniu przeprowadzanym przez cudzoziemskiego oficera policji.

- Skończyłem - powiedział Peter. - Bardzo dziękuję.

Ogarnięty euforią poszedł za Matłowowem do więziennej bramy, nawet słowem nie wspominając o swoim odkryciu. Najprawdopodobniej zdobył moskiewski numer telefonu Zekkiego. W drodze na Pietrowkę zapytał Borysa:

- Czy mając tylko numer telefonu można dowiedzieć się, gdzie mieszka abonent?
- Bez problemu.

Przy dłuższej i krętej ulicy Worowskiego, niedaleko centrum, stały liczne dziewiętnastowieczne posesje i ambasady, a między nimi wieżowce. Peter wszedł do przestronnego holu dziesięciopiętrowego bloku z jasnej cegły. Wokół panował popołudniowy spokój. Pojechał windą na ósme piętro, przemierzył korytarz i zatrzymał się przed obitymi czarną skórą drzwiami. W ciągu pięciu minut parę razy naciskał dzwonek i wreszcie jego cierpliwość została nagrodzona. Usłyszał człapanie bosych stóp po podłodze. Potem szczerknął zamek i drzwi stanęły otworem.

Z mrocznego wnętrza spojrzała na niego zaspana dziewczyna w luźnym szlafrocuku. Miała potargane brązowe włosy, szerokie kości policzkowe, zadarty nosek. Zdumione, okrągłe oczy i trzepocące powieki prowokowały do uszczypnięcia jej ciepłej, delikatnej skóry.

- Dzień dobry, ślicznotko - powitał ją Peter. - Gdzie Zekki?

- Cześć - powiedziała nieśmiało. - Kim jesteś?

- Mam na imię Paweł, jestem jego przyjacielem.

- Wchodź. Zrobię kawę.

Peter wszedł do mieszkania i zdjął prochowiec.

- Zekki wczoraj wyjechał. Nie mówił, dokąd. Nigdy nie mówi. - Kokieteryjnie odęła usta. - Nudzę się sama. I nie mogę zapraszać nikogo na wieczór, bo nigdy nie wiadomo, kiedy on wróci. Przywiózł mnie tutaj z Zilisi.

- Twoi rodzice nie mają nic przeciwko, że z nim mieszkasz?

- Dał im pieniądze i ubrania. Sama chciałam wybrać trochę tych zagranicznych ciuchów dla siebie. - Uśmiechnęła się ujmująco i klepnęła w pośladek. - Trudno cokolwiek dopasować na moja pupę. Chciałam schudnąć, ale Zekki lubi mnie taką, jaką jestem.

- Ile masz lat? - zaciekawiał się Peter.

- Wystarczająco - odparła. - Piętnaście. Czemu tak stoisz? Skoro i tak mnie obudziłeś, wejdź do kuchni i zaczekaj. Wezmę prysznic i ubiorę się. Jaką kawę lubisz najbardziej? - Odwróciła się do kuchenki. - Mnie też zrób.

Zniknęła w łazience i zamknęła za sobą drzwi. Peter ledwo mógł uwierzyć w ten potok informacji, jakie wylewała z siebie bez słowa zachęty. W przypadku tej pulchnej, naiwnej kobiety-dziecka, najwyraźniej znudzonej, wyrafinowane podchody nie były konieczne. Sama wszystko mówiła. Usłyszał plusk wody i zaczął się rozglądać po niewielkim mieszkaniu.

W salonie podszedł do biurka i przejrzał uważnie rozrzucone na nim papiery. Otworzywszy szufladę znalazł kopertę zaadresowaną do Azziza Al Faradiego. Nie była zaklejona, jak gdyby jeszcze coś miało zostać do niej włożone. Przewertował dokumenty i doszedł do kilku kartek podzielonych pionowymi liniami. Po prawej stronie widniało pismo arabskie, po lewej tekst rosyjski. Właśnie zaczynał uświadamiać sobie, do czego dążą Zekki i ludzie Japończyka, gdy ucichł szum wody w łazience. Szybko zgarnął kartki i wsunął je wraz z kopertą do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Wrócił do kuchni, nalał gorącej wody do filiżanki, wsypał pełną łyżkę rozpuszczalnej kawy i otworzył lodówkę. Była pełna napoczętych butelek alkoholu.

Młoda gospodyni wyszła z łazienki, odświeżona prysznicem, jeszcze bardziej różowa niż wcześniej. Jej bujne kształty spowijał biały jedwabny szlafrok. Peter właśnie

czegoś podobnego spodziewał się po takim starym rozpustniku jak Zekki.

- Jak ci na imię, kochanie?
- Helena. Czego chcesz do kawy?
- Może kropelkę koniaku?

Helena zrobiła sobie kawę i postawiła butelkę koniaku na stole.

- Jak myślisz, kiedy wróci Zekki? - zapytał.
- Nie wiem. Powiedział, że jedzie na Syberię, ale wydaje mi się, że żartował.
- I tęsknisz za nim.

- Nie powiedziała bym, że bardzo go lubię, ale Zekki ma forszę i nigdy się nie złości. Jest dużo lepszy od byle ruskiego pijaka, który leje cię na okrągło i gania po domu z kuchennym nożem. Mój pierwszy chłopak był bardzo podły. Zekki zabiera mnie do restauracji. Moja przyjaciółka Nadia, która była z amerykańskim przyjacielem Zekkiego, opowiedziała mi wiele o mężczyznach. - Zerknęła na Petera poządliwie. - Chciała bym znaleźć młodego fajnego faceta i robić z nim to, czego mnie nauczyła.

- Więc Zekki trzyma cię tylko dla siebie?

- Jest jeszcze ten Arab, Azziz, który pojawił się tuż przed wyjazdem Zekkiego. Zekki chyba chciał sprawić mu przyjemność. Aż się bałam na niego patrzeć, dosłownie pożerał mnie wzrokiem. Wolałabym nie mieć z nim do czynienia. Arabowie są dziwacznymi i roznoszą choroby.

- Masz na myśli tego dyplomatę? On z całą pewnością jest dziwaczny.

- Nadia powiedziała mi, że ten skurwiel jest z ONZ. Dał mi kwiaty, i czekoladki, i nawet chciał mi sprezentować diamentowy naszyjnik. Boję się, że Zekki odda mnie temu brudasowi. Wygląda na to, że chce coś od niego i gotów mnie za to coś wymienić.

- Słuchaj, ślicznotko, to wszystko jest bardzo fascynujące, ale Zekki musiał ci wspomnieć, że ma dla mnie paczkę.

- Nie, nic takiego nie mówił, zabrał tylko torbę i wyszedł.

Helena poprawiła się na krześle i skrzyżowała nogi tak, że rozchyliły się poły szlafrocza. - Już wychodzisz? - zapytała prowokująco.

- Nie można ci się oprzeć, kochanie, ale mam robotę. Dziękuję za kawę i koniak.

Gdy zbliżał się do drzwi, zawołała:

- Może wpadniesz później?

Uśmiechnął się do niej.

- Na pewno. Nie wychodź.

W czasie jazdy taksówką do hotelu „Inturist” na ulicy Gorkiego niedaleko Placu Czerwonego, Peter przeczytał dokumenty zabrane z mieszkania Zekkiego. Nie potrafił

rozgrzyźć arabskiego, ale założył, że tekst rosyjski jest wiernym tłumaczeniem. Przepchnął się przez tłum przy wejściu hotelu, minął pracowników ochrony i podszedł do kabin międzynarodowych w holu. Wsunął kartę Visa do szczeliny w aparacie i wkrótce uzyskał połączenie.

- Obserwowaliśmy Azziza przez cały czas - powiedział Hugh - od momentu opuszczenia misji Iraku do chwili powrotu. Musiał wynieść się cichcem, bo od tygodnia ślad po nim zaginął.

- Jest w Moskwie, Hugh. I ma zamiar doprowadzić do zakupu co najmniej jednej rakiety SS-25 na paliwo stałe, znanej jako *Sickle*, z głowicą jądrową o mocy pięciuset pięćdziesięciu kiloton. Zgodnie z charakterystykami, jakie właśnie wpadły mi w ręce, rakietka zamontowana na wyrzutni samojednej ma długość siedemnastu metrów.

- Boże! - zawołał Hugh. - W NEST przeczuwaliśmy, do czego zmierza: do wyekwipowania Saddama do nowej wojny, tym razem atomowej.

- *Sickle* - ciągnął Peter - może być wystrzelona w dowolnym miejscu; ma zasięg jedenastu tysięcy kilometrów.

W słuchawce wyraźnie zabrzmiał gwizd wstrząśniętego Hugh'a.

- Z takim pociskiem Saddam mógłby zagrozić każdemu na świecie. Masz jakieś pojęcie, skąd ma pochodzić?

- Z jakiegoś miejsca na Syberii, na razie dowiedziałem się tylko tyle. Jak rozumiem, nie chcą, żeby Azziz poznał źródło i nawiązał bezpośredni kontakt z dostawcą.

- I jest w to zamieszany Red Rolf - mruknął Hugh. - To wszystko pasuje do niego. Odkryłem, że tuż przed opuszczeniem CIA w 1989 roku, jego zadanie polegało na dopomaganiu Irakowi w zniszczeniu maszyny wojennej Iranu. Współpracował wówczas blisko z Azzizem.

- O ile wiem, prawdziwym szefem stojącym za tym przedsięwzięciem jest Jakowlew.

- Nie mamy nic na niego. Masz jakieś szczegóły odnośnie dostawy tej rakiety Saddamowi?

- Nic, poza ceną i tym, że zostanie dostarczona do Iraku przez sprzedających.

- Za ile?

- Dwadzieścia pięć milionów za sztukę z ruchomą wyrzutnią.

- Jeżeli Irak dostanie coś takiego, następny w kolejce będzie Iran, a potem...

- Poza tym handlują uranem po sto tysięcy dolarów za kilogram i plutonem 239 po milion.

- O mój Boże, Peter! Skąd masz te informacje?

- To długa historia, ale mam wrażenie, że dane są pewne.

- Co możemy zrobić w sytuacji, gdy Związek Radziecki ulega rozpadowi, a władza

centralna praktycznie nie istnieje?

- Z pomocą swojej tłumaczki spróbuję coś zrobić, żeby materiały nuklearne nie wpadły w ręce Arabów - obiecał Peter.

- Tłumaczki? Peter, po kiego licha ci tłumacz?

- Udaję amerykańskiego biznesmena, który chce szybko zarobić i nie mówi po rosyjsku. Poza tym, powinieneś ją zobaczyć. Zadzwoń jutro. Na razie! Pewien niecierpliwiony dżentelmen czeka na telefon.

Peter otworzył drzwi kabiny, skłonił się biznesmenowi przestępującemu z nogi na nogę, i natychmiast skierował się do hotelowego punktu kserograficznego na półpiętrze. Spokojnie, jakby to były zwyczajne notatki, skserował umowę na dostarczenie broni jądrowej oraz inne papiery zabrane z mieszkania Zekkiego. Potem zszedł po schodach do holu, wyszedł z hotelu, przepchnął się przez tłum i wszedł do taksówki. Podał kierowcy adres Zekkiego.

Helena otworzyła drzwi mieszkania z ponurą miną, ale na jego widok uśmiech rozchylił jej różowe wargi. Bujne ciało dziewczyny z trudem mieściło się w obcisłej bluzce i krótkiej spódniczce.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że wróciłeś - zawołała z radością. - Bałam się, że to znowu Azziz.

- Irakijczyk? Czego on chce? Poza tym, co oczywiste - zaśmiał się Peter.

- Podobno Zekki zostawił dla niego jakieś papiery. Ale niczego takiego nie znalazłam

- A co on na to?

- Powiedział, że to niemożliwe. Poszedł zadzwonić do Zekkiego, który jest gdzieś na Syberii.

- Nie wspomniawsz o mnie?

Energicznie pokręciła głową.

- Gdybym to zrobiła, on powiedziałby Zekkiemu, a Zekki mógłby mnie pobić.

- Może zrobisz mi kawy, nalejesz koniaku. Pogadamy. - Odprowadził wzrokiem jej prowokująco pulchną figurę. Gdy zniknęła w kuchni, otworzył szufladę mahoniowego biurka z blatem obitym zieloną skórą i umieścił w niej kopertę zaadresowaną do Azziza. Zamknął szufladę, wyprostował się i wszedł do kuchni, gdzie Helena gotowała wodę.

Dziewczyna odwróciła się i Peter poczuł dotyk jej pełnych piersi. Położył ręce na jej ramionach, pochylił się i cmoknął ją w czoło.

- Dokładnie szukałaś tych papierów, po które przyszedł Azziz?

- No chyba.

- Sprawdź jeszcze raz.

Helena wzruszyła ramionami i podeszła do biurka.

- Może są w szufladzie - podsunął Peter.

Otworzyła szufladę, zajrzała do środka i roześmiała się głośno.

- Nie mam pojęcia, jak mogłam nie zauważyć tej koperty.

- Słuchaj, Heleno. Wolę tu nie być, gdy przyjdzie Azziz. Zaczekam na zewnątrz.

- Wrócisz po jego wyjściu? - zapytała niespokojnie.

- Albo przynajmniej zadzwonię. - Peter obdarzył ją przyjacielskim pocałunkiem i pomaszerował do drzwi.

Dochodząc do windy usłyszał szum w szybie. Odsunął się i udawał, że wsuwa klucz do drzwi jakiegoś mieszkania, gdy winda zatrzymała się na piętrze. Ukradkowo zerknął na człowieka w czarnym garniturze z czerwonym krawatem.

Faktycznie przypominał Saddama Husajna. Azziz zapukał do drzwi mieszkania Ze-
kkiego, które natychmiast się otworzyły, wszedł i zamknął je za sobą.

40.

Lekko zdenerwowany Japończyk stał w nisko sklepionym, wąskim podziemiu. Na drugim końcu pomieszczenia na drewnianych słupkach wisiały dobrze oświetlone sylwetkowe tarcze strzelnicze. Japończyk przyglądał się Maksowi, który podniósł broń, pieszczotliwie pogładził wypolerowaną rękojeść i uśmiechnął się do niego i do Pawła.

- Absolutnie bezgłośna, cichsza od najdoskonalszego tłumika - powiedział Maks. - Zasięg dorównuje przeciętnemu pistoletowi. Wypróbujcie.

Paweł sięgnął po kuszę.

- Mokra robota to moja działka. Oczywiście nie po to się spotkaliśmy. Ale skoro już tu jesteśmy... - Spróbował zamocować magazynek z bełtami. Maks wyciągnął rękę i pomógł mu zrobić to prawidłowo. Miniaturowa kusza nadawała się do strzału.

Krepo zbudowany Maks był co najmniej piętnaście lat młodszy od Japończyka. Nośił ciemny garnitur. Miał krótko ostrzyżone włosy i małe, przenikliwe, głęboko osadzone oczy. Proste, niskie czoło przechodziło w płaski nos, a wąskie, drobne usta zdawały się być pozbawione warg. Dolną część twarzy porastała gęsta szczecina zarostu. Zdeformowane uszy i skrzywiony nos przypomniały, że Maks w młodości był bokse-rem.

- Cięciwa napina się automatycznie - wyjaśniał Maks, gdy Paweł wycelował i naciśnął spust. Bełt przeszył środek celu. Cięciwa zafurkotała i kolejny pocisk został przygotowany do wystrzelenia. Paweł strzelił do drugiej tarczy i trafił w głowę.

- Minął miesiąc od przewrotu, a ci już wyprzedają swoje zabawki - zauważył.

- KGB inwestuje w sektor prywatny? - zapytał z uśmiechem Japończyk.

- Wielu z nas jest tam od dawna - odparł filozoficznie Maks.

Japończyk wziął kuszę od Pawła, wycelował, naciśnął spust. Bełt poszybował prosto w środek piersi.

- Słuchaj, Maks, nie szukałem cię w celu kupienia średniowiecznej broni, chociaż jak widzę, jest skuteczna. - Położył kuszę na stole. - To był fascynujący pokaz, lecz czy możemy przejść do interesu, który sprowadził mnie do jaskini KGB?

- Oczywiście, Japończyk. Ale, jak pamiętam z dawnych czasów, zawsze interesowałeś się wszelkimi urządzeniami przeznaczonymi do zabijania czy okaleczania.

Japończyk zachichotał.

- To było jeszcze, zanim KGB poznało się na twoim talencie i ściągnęło cię do siebie.

- Miałem szczęście - przyznał Maks. - Zaproponowali mi wybór. Albo wstąpię do Wydziału A, albo zostanę przez ten wydział załatwiony.

- Jeżeli nie możesz kogoś pokonać, przyłącz się do niego - zgodził się Japończyk.

Maks podniósł kuszę, wycelował i wystrzelił trzy pozostałe w magazynku strzałki. Wszystkie utkwiły blisko siebie w czole sylwetki. Potem bez słowa odłożył broń.

- Jeżeli pójdziecie za mną, zabiorę was do jednego z naszych pokoiw przesłuchań, gdzie będziemy mogli pogadać.

Perspektywa znalezienia się w pokoju przesłuchań Sekcji Specjalnej KGB, mimo reform, jakim uległa agencja po nieudanym puczu, zmroziła im krew w żyłach, ale bez słowa wyszli za Maksem ze strzelnicy. Pokonali dwie kondygnacje i ruszyli pustymi korytarzami.

- Od czasu puczu sierpniowego, większość naszego personelu przeniosła się w bardziej gościnne okolice - wyjaśnił Maks.

Maks wprowadził swoich gości do pokoju, którego okno wychodziło na otwarty dziedziniec. Na środku stał stół, a na nim elegancko wypolerowana drewniana kasetka długa na ponad trzydzieści centymetrów i szeroka na dwadzieścia. Obok leżała gruba szara koperta i teczka do akt. Maks wysunął krzesło zza stołu, a gościom zaproponował dwa stojące po drugiej stronie.

Był ciepły, słoneczny poranek pod koniec września. Po zajęciu miejsc Japończyk i Paweł stwierdzili, że patrzą prosto w słońce. Maks, który siedział tyłem do okna, uśmiechnął się i otworzył teczkę.

- Japończyk, zawsze zastanawiałem się nad twoją przeszłością. Kiedy ku mojemu wielkiemu zdziwieniu skontaktowałeś się ze mną w zeszłym tygodniu, ściągnąłem twoje akta. - Postukał w leżącą na stole teczkę. - Domyślałem się, że nie przyszedłeś tu po to, by zobaczyć, jak były gangster, który niegdyś pomógł ci pogrzebać paru ludzi pod asfaltem, radzi sobie z KGB.

- Oczywiście, to prawda, Maks. My, generałowie, z zasady nigdy nie kontaktujemy się z czekistami. Ale w świetle nadzwyczajnych wypadków, wszystko uległo zmianie. Stare reguły już nie obowiązują. I jest coś, co może dla mnie zrobić oficer KGB ocalały z niedawnej czystki. Proszę o przysługę, za którą jestem gotów dobrze zapłacić, w rublach lub w dolarach, albo w jednym i drugim.

- Może się zdarzyć, że po prostu wymienimy przysługi. A tymczasem, skoro tu jesteś, zerknijmy na twój życiorys. Ostatecznie informacja jest najcenniejszym towarem.

Zajrzał do otwartej teczki.

- Jakowlew, Wiaczesław Kiryłowicz. Urodzony w 1936 w Dżekazganie, z rosyjsko-kazachskich rodziców, którzy w 1945 przenieśli się do Samarkandy.

- Biografia nie jest konieczna - wtrącił Paweł, ale Maks czytał dalej.

- Słynny handlarz narkotyków, Ali Mamatagdi zwany Szakalem, zabity dwoma strzałami z pistoletu. Sława i jego matka pojawiają się w Moskwie. W szkole średniej Sława uzyskuje marne oceny, ale zostaje zwycięzcą w bokserskim turnieju juniorów. Nie przyjęty do wojska z powodu kontuzji odniesionej na ringu, co jednak nie przeszkadza mu dalej uprawiać boks. Młodego i dzielnego sportowca spotyka Giennadij Korkow, ksywa Mongoł. Wkrótce Sława zostaje szefem gangu.

Wyliczanka trwała, mimo widocznego rozdrażnienia Japończyka. - Handlarze narkotyków torturowani żelazkami, dziewczynki nakłaniają bogatych rekieterów do płacenia haraczu do *obszaka* Japończyka... - Maks nagle podniósł głowę znad akt. - Aha, proszę, proszę. Jubiler Natan Sawicz, znaleziony martwy w swoim mieszkaniu, związany, z metalowym prętem w odbytnicy - kontynuował kwaśno. - Gmina żydowska bardzo poruszona. Wielki błąd. Ostatecznie syn Chruszczowa jest żonaty z Żydówką. Członkowie gangu aresztowani jeden po drugim. Sam Mongoł trafia za kratki...

- Bardzo interesujące - wszedł mu w słowo Paweł - ale mamy interes do obgadania. Maks zaśmiał się.

- Sława w jakiś sposób dochodzi do porozumienia z synami Izraela. Inwestuje w ich przedsięwzięcia. Inwestuje również w inne narodowości. *Wierchuszka* partii, milicjanci, oficerowie KGB i słynne osobistości, chirurg-okulista Fedorow na przykład, są jego dłużnikami.

Paweł wtrącił się w monolog:

- To wszystko przeszłość, Maks. Wiemy, że wiesz wszystko albo możesz dowiedzieć się wszystkiego o każdej osobie na świecie. Ale twoja firma straciła władzę. Już nie możecie zabijać otwarcie.

Maks milczał przez dłuższą chwilę.

- Racja. Zrobimy jeszcze porządek, lecz w tej chwili nasze ręce muszą pozostać czyste, a przynajmniej sprawiać takie wrażenie.

- Kogo mielibyśmy dla was wyeliminować? - zapytał czujnie Japończyk.

- Pewnych niebezpiecznych obwodowych sekretarzy partii i im podobnych. A czego ty chcesz ode mnie?

- Potrzebny mi samolot. Transportowiec *An-22*.

- To będzie trudne. Po co ci taka maszyna?

- Ja nie pytam, dlaczego chcesz kogoś załatwić. Spodziewam się podobnej rozwagi po tobie.

Maks skinął, przyznając rację.

- Zależy nam na sprawnej robocie, która wyglądałaby na samobójstwo.

- Będziemy w pogotowiu - odparł Japończyk. - Ale potrzebuję *An-22*. Przyszliśmy do ciebie, bo wiemy, że gdy zechcesz, potrafisz wszystko załatwić.

Targowali się przez kolejne pół godziny. Wreszcie Japończyk i Paweł wstali i przygotowali się do opuszczenia biura Wydziału Specjalnego A.

Maks podniósł szarą kopertę i wyciągnął ją w stronę gangstera.

- Wewnątrz są klucze i instrukcje, jak wejść i wyjść z mieszkania obiektu, który został wyznaczony szefowi Wydziału A przez najwyższe władze. Tymczasem ja zorientuję się w możliwościach zdobycia *Anteusza*.

Potem podniósł drewnianą kasetę i podał ją Pawłowi.

- Skoro kierujesz mokrymi operacjami w waszej organizacji, podaruję ci kuszę podobną do tej, jaką wypróbowałeś na strzelnicy.

Łatwo ją złożyć, i pewnego dnia może ci się przydać.

Edmund Kruczyna był okropnie przerażony, gdy rozmyślał o swoim życiu, które legło w gruzach w ciągu paru szalonych dni. Jego niegdyś nienaruszalne stanowisko dyrektora sekcji spraw wewnętrznych Komitetu Centralnego KPZR odeszło w przeszłość. Tego ranka wysłał żonę i dzieci do wiejskiej dachy.

W siedzibie partii jego podwładni gorączkowo niszczyli dokumenty, dopóki oddziały wojska i milicji wierne demokracji nie zapieczętowały drzwi. Obecnie tajemnica zdeponowania zdefraudowanych miliardów w złocie i obcej walucie spoczywała wyłącznie w jego głowie i osobistych papierach.

Kruczyna opróżnił prawie całą butelkę koniaku. Postanowił pospacerować po Prospekcie Lenina i odetchnąć nocnym powietrzem. Po półgodzinnej przechadzce, urozmaiconej oglądaniem witryn i pogawędką z pełniącym służbę milicjantem, poczuł się lepiej i wrócił do ciepłego, ciemnego, suchego mieszkania. Był w lepszym nastroju. Jeden wyjazd do Szwajcarii i położył ręce na milionach. Ale w chwili, gdy wszedł do gabinetu, zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Powoli uświadomił sobie, że w pokoju siedzi jakiś mężczyzna o skośnych, złowieszczych oczach.

Kruczyna mimowolnie cofnął się o krok i potknął o skraj perskiego dywanu, ale silne ręce, które złapały go od tyłu, zapobiegły upadkowi. Do jego twarzy przyłożono grubą chustkę nasączoną chloroformem. Japończyk otworzył francuskie okno. Kruczyna nie poczuł ani deszczu, ani podmuchów nocnego wiatru, ani zderzenia z zimnym wilgotnym metalem daleko w dole.

Paweł skończył fotografować dokumenty rozłożone na biurku Kruczyny.

- Hej, Japończyk, mam coś interesującego!

- Zrób zdjęcia i spadamy! - przynaglił Japończyk. - KGB może pokazać się w każdej chwili. Zależy im na tych dokumentach.

Kilka minut po wyrzuceniu Kruczyny przez okno, Japończyk i Paweł wsiadali do samochodu zaparkowanego na bocznej ulicy za blokiem.

Mimo późnej pory, wokół zwłok na prospekcie już gromadził się tłum. Widok był okropny. Ciało Kruczyny uderzyło w dach stojącego na ulicy samochodu, głowa i ramiona przebiły się do środka. Krew zalała całe wnętrze pojazdu. Nogi, wsparte o poszarpany skraj wyrwy, sterczały groteskowo nad dachem.

W samochodzie szybko odjeżdżającym z Prospektu Lenina, Japończyk zapytał:

- Jesteś pewien, że chloroform wyparuje?

- Po piętnastu minutach nie będzie śladu, nawet w płucach. Samobójstwo. Facet był pijany.

- Dobrze. Teraz Maks musi wykombinować nam samolot.

Paweł poklepał aparat.

- Te zdjęcia dokumentów Kruczyny pomogą przekonać go bez niepotrzebnej straty czasu.

Przez ostatnie dni września i w październiku 1991 roku Japończyk obserwował, jak Związek Radziecki popada w stan bliski anarchii. Były minister obrony Jazów siedział w więzieniu. W siłach zbrojnych panował totalny zamęt, dostawcy wojskowi nie wiedzieli, co robić. Chaos i galopująca inflacja były dla Japończyka niczym woda na młyn; na taką sprzyjającą chwilę czekał w czasie ostatniego roku w Tulun. Politycy, niektórzy będący dłużnikami jego hojności, i dyrektorzy najważniejszych zakładów przemysłowych, ściągali do Moskwy ze wszystkich części byłego Związku Radzieckiego, by wyjaśnić swój status.

W czasie, gdy na Kremlu dyskutowano o losie byłego supermocarstwa, cudzoziemcy i turyści byli przenoszeni z hoteli otaczających Plac Czerwony, by zrobić miejsce dla największego zjazdu radzieckich polityków i przemysłowców w historii Moskwy.

Nikołaj Martinow i Jewgienij Wołkow razem wyruszyli z Irkucka. Wołkow zatrzymał się w hotelu „Rossija”. Oksana z żalem musiała poprosić Petera, aby znalazł sobie jakieś lokum, bo do jej mieszkania wprowadził się ojciec. Przez dwa dni Martinow i Wołkow nie byli w stanie skontaktować się ani z ministrami, ani nawet z deputowanymi. Wraz z rozpadem Związku Radzieckiego i władzy centralnej Wołkow stał się praktycznie właścicielem Kopuły w tajnym mieście Krasnow 86, a Martinow był de facto władcą irkuckiego regionu Syberii.

Gdy najpotężniejsi dygnitarze i dyrektorzy największych zakładów przemysłowych zebrali się w Moskwie, by debatować nad przyszłym kształtem państwa, ambitny mer, Gawrił Popow, postanowił wydać w stolicy przyjęcie.

Dwudziestopiętrowy budynek Rady Pomocy Gospodarczej, obok siedziby Parlamentu Rosyjskiego, czyli tak zwanego Białego Domu, naprzeciwko hotelu „Ukraina” po drugiej stronie rzeki Moskwy, natychmiast po zakończeniu przewrotu został przez mera zaadaptowany na nową siedzibę władz miejskich. Pierwsze trzy kondygnacje i wielkie podziemia z przyległym kinoteatrem i garażem stanowiły rozległy teren dla uroczystości.

Sławy sceny i ekranu zmieszały się z nowo wzeszłymi gwiazdami polityki, administracji Jelcyna, aby nadać przyjęciu blasku nie mającego równych w czasie szybko gasnącej ery Gorbaczowa.

Rządy demokratów nad przemysłem kraju zależały od poparcia dyrektorów, którzy tymczasem panoszyli się jak suwerenni władcy. Zjednanie tych ludzi było niezwykle

ważne dla Borysa Jelcyna i jego zwolenników. Bankiet miał być elementem kampanii przejmowania władzy w nowej Rosji.

Oksana zaprosiła Petera Nikhilova na przyjęcie. Jej ojciec niedawno wyparł się wszelkich powiązań z KPZR i był honorowym gościem demokratów. Oksana promieniała, gdy zanurzyła się w wir uroczystego przyjęcia. Ubrana w długą ciemnoniebieską suknię, odstaniającą ramiona i rozciętą od połowy uda, przyciągała spojrzenia ze wszystkich stron sali. Amerykański biznesmen, Peter Nikhilov, stał się obiektem zazdrości wszystkich obecnych mężczyzn. Choć Oksana i Peter nie mogli mieszkać razem w czasie pobytu Nikołaja, dziewczyna na bieżąco informowała amerykańskiego kochanka o wydarzeniach na scenie politycznej i gospodarczej.

Przybyło ponad trzysta osób i liczba gości stale wzrastała, gdyż odzwierciadlała ograniczoną liczbę zaproszeń wysłanych deputowanym, przemysłowcom i demokratom Jelcyna, zaczęli honorować sturublowe banknoty.

Goście nie byli przyzwyczajeni do przyjęcia w stylu zachodnim, ale w miarę jak ubywało alkoholu, humory poprawiały się i języki rozwiązywały, rozbrzmiewał śmiech i zaczynały się gorące dyskusje.

W pewnym momencie Peter zauważył Azziza. Arab rozmawiał z ożywieniem z ciężko zbudowanym, puciołowatym mężczyzną w wymiętym brązowym garniturze i z niedbale zawiązanym krawatem.

- Znasz tych dwóch? - zapytał szeptem Oksanę, ruchem głowy wskazując Azziza.

- Tego podobnego do Saddama nie znam, ale ten drugi to Władimir Żyrinowski. Właśnie założył jakąś partię. Sława mówi, że to faszysta popierany przez nowych biznesmenów, którzy sponsorują jego kampanię wyborczą.

- Ciekaw jestem, co on robi z Azzizem - mruknął Peter.

- Z Azzizem? Słyszałam, jak Paweł wspominał to imię.

Nagle zacisnęła dłoń wspartą na jego ramieniu. Peter spojrzał w tę samą stronę co ona i na podstawie zdjęć, jakie oglądał na Pietrowce, poznał Japończyka.

- To twój przyjaciel Jakowlew, prawda?

- Zdaj się na niego, a zarobisz dużo pieniędzy.

- Czy on ma coś wspólnego z tym Irakijczykiem i politykiem?

- Wiem tylko, jak wszyscy, że Żyrinowski był w Iraku i spotkał się z Saddamem. W czasie operacji Pustynna Burza, kiedy mieliśmy stanąć po stronie Amerykanów, on oznajmił, że powinniśmy posłać Saddamowi broń, nawet głowice jądrowe do *Scudów*.

- Miejmy nadzieję, że ten Żyrinowski nigdy do niczego nie dojdzie. - Peter zobaczył, że polityk przyjaźnie klepnął Japończyka po ramieniu. Po chwili do gangstera podszedł człowiek o orientalnych rysach, który energicznie potrząsnął jego ręką.

- To Kim Tong Park z ambasady Korei Północnej. - Oksana roześmiała się wesoło.

- Zastanawiam się, czy Kim wie, że on i Amerykanin, Rolf, są szwagrami, jeśli można tak powiedzieć. Nadia wyznała mi, że Paweł dał ją Kimowi na tydzień przed przyjazdem Reda Rolfa.

- Widzę, że ojciec się za nami rozgląda - zauważył Peter. - Kim jest ten tłuścioch, który mu towarzyszy?

- To Jewgienij Wołkow, przyjaciel ojca. Człowiek, którego chciałbyś spotkać. Pamiętasz? Mówiłam ci, jest dyrektorem wielkiego systemu kopalń i fabryki w kraju mojego ojca.

- Poważnie? Twój ojciec ma swój kraj?

- On to tak nazywa - odparła ze śmiechem Oksana.

Peter z zainteresowaniem popatrzył na Wołkova.

- Wspomniałeś mi, że przyjechałem do Rosji, żeby kupić pewne materiały militarne dla klientów w Niemczech?

- Mówiłam, że chcesz kupić czerwoną rtęć.

- Co odpowiedział?

- Roześmiał się i rzucił coś takiego: „Co? Jeszcze jeden chce kupić czerwoną rtęć?”. Gdybyś chciał z nim porozmawiać, to pora jest odpowiednia. - W śmiechu Oksany zabrzmiała nutka pogardy. - Wszyscy w tej sali mają coś do sprzedania za twardą walutę. Amerykanie i Niemcy cieszą się największym powodzeniem.

Oksana podprowadziła Petera do ojca i Wołkova, którzy rozmawiali z szatynem w eleganckim lekkim garniturze.

- To Paweł, współpracownik Sławy Jakowlewa - powiedziała Oksana. - On też jest zainteresowany materiałami wojskowymi.

Dokonała prezentacji i Peter poczuł dreszcz podniecenia, gdy zrozumiał, że zbliża się do swojej ofiary. Widział zdjęcia i czytał akta ich wszystkich na Pietrowce. Zastanawiał się, czy Helena powiedziała Zeckiemu o człowieku, który podał się za Pawła. Prawdopodobnie nie, bo to mogłoby spowodować dalsze pytania jej opiekuna.

Oksana przedstawiła Petera Wołkowowi. Gdy Peter potrząsał wielką, mięsistą ręką, dyrektor popatrzył na niego podejrzliwie.

- Jesteście więc Rosjaninem, co? Jak to się stało, że nie mówicie po naszymu?

Oksana przetłumaczyła. Peter ze śmiechem powiedział:

- A jak to się stało, że pan nie mówi po angielsku?

- Oooh, wykrętny sukkinsyn, śliski jak piskorz. - Oksana postanowiła nie tłumaczyć komentarza. Wołkow czknął, sięgnął po następny kieliszek szampana i plasterek szynki, a potem przybrał urzędową pozę. - Oksana wspomniała mi o waszym zainteresowaniu jednym z naszych produktów. Chociaż to przyjęcie, możemy podyskutować o cenie, jaką bylibyście skłonni zapłacić za produkowaną przez nas czerwoną rtęć.

Oksana przetłumaczyła. Peter, zaskoczony otwartością handlu czymś, co powinno być zakazane, tylko pokiwał głową.

- Chciałbym również wiedzieć, kiedy odbierzecie towar z naszej fabryki i uregulujecie należność - mówił Wołkow. Zakładam, że macie sposób na przetransportowanie materiału do nabywcy.

- Mój kupiec i ja mamy załatwiony transport z Moskwy do Niemiec - powiedział Peter po wysłuchaniu tłumaczenia Oksany. - Jestem pewien, że znajdzie się jakiś sposób na przerzucenie materiału z fabryki do Moskwy. Jestem gotów zapłacić pięć tysięcy dolarów za kilogram.

Na twarzy Wołkova odmalowało się lekceważenie.

- Panie Nikhilov - powiedział po dłuższej chwili milczenia - na Zachodzie szacunkowa cena kilograma wzbogaconego uranu wynosi sto tysięcy dolarów i zgodnie z tymi samymi szacunkami kilogram plutonu 239 chodzi po dziesięć razy tyle.

- Ale ja mówię tylko o czerwonej rtęci, która, podobnie jak ciężka woda, jest zaledwie składnikiem używanym do detonowania materiałów rozszczepialnych - upierał się Peter. - Sama w sobie nie jest bronią.

Wołkow pokiwał głową do Pawła i Nikołaja.

- Zdaje się, że on wie, teoretycznie, do czego służy czerwona rtęć. - Po przetłumaczeniu podjął: - Zapoczątkowanie reakcji łańcuchowej w kilogramie plutonu używanego do celów wojskowych wymaga około kilograma czerwonej rtęci.

Odwrocił się do Petera.

- *Gaspadin* Nikhilov, nie wiem, z kim handlujecie, ale jeżeli są to poważni ludzie, dlaczego nie mieliby kupić również gotowego produktu? Mogę sprzedać, oczywiście, za waszym pośrednictwem, pluton 239.

- Skontaktuję się ze swoimi klientami - obiecał Peter. - O ile się orientuję, byłiby jak najbardziej zainteresowani nabyciem samego plutonu.

- Kiedy będziecie wiedzieli na pewno? Za dzień, najwyżej dwa, wyjeżdżam z Moskwy.

- Jutro otrzymam odpowiedź.

Gdy Oksana tłumaczyła, Wołkow zwrócił się do Pawła i Nikołaja.

- Wiecie, jeśli ten Amerykanin naprawdę ma kupca z pieniędzmi, mógłbym sprzedać mu coś poważnego. Taktyczna głowica jądrowa zawiera trzy do pięciu kilogramów plutonu 239. Głowica pocisku strategicznego, takiego jak 55-25, trzy czy cztery razy więcej. W magazynach Kopyły mamy plutonu za co najmniej miliard dolarów.

- Nie tłumacz tego, Oksano - nakazał Paweł.

- Racja - zmytygował się Wołkow. - Dowiedzmy się więcej o klientach Amerykanina.

- Oczywiście, będę musiał dostarczyć im dokładną charakterystykę promieniowania gamma ze źródła, taki „odcisk palca” głowicy, z której zostanie wyjęty pluton - powiedział Peter.

Wołkow roześmiał się gardłowo i wymienił szampana na lampkę koniaku, z której pociągnął długi łyk.

- A ty, człowieku, przychodzisz do mnie i mówisz o czerwonej rtęci!

Peter wzruszył ramionami.

- Od czegoś trzeba zacząć. Nigdy nie przypuszczałem, że omówienie transakcji zakupu plutonu jest możliwe w pięć minut, na przyjęciu. - Machnął ręką, wskazując na salę pełną gości.

- Po sierpniowym puczu wszystko jest możliwe i jak najbardziej prawdopodobne. Kto by pomyślał, że partia znajdzie się poza nawiasem i Rosja, z dnia na dzień, stanie się krajem wolnego handlu, w którym dyrektorzy fabryk nie muszą się nikomu opowiadać?

Na znak Wołkowa Oksana przetłumaczyła jego wypowiedź na angielski. Paweł wysłuchał i powiedział:

- Chciałbym zobaczyć te głowice, aby powiedzieć moim ludziom, że naprawdę są osiągalne.

- Oczywiście. Sam zabiorę cię na wycieczkę. Ale powiedz mi, czy ci twoi klienci naprawdę prosili cię o kupienie czerwonej rtęci?

- Jestem pewien, że gdyby uważali to za możliwe, poprosiliby o zakup plutonu 239.

Paweł zrozumiał, że Wołkow i Martinow mogą dojść do porozumienia z Nikhilem bez pośrednictwa Japończyka, dlatego wtrącił:

- Wszelkie tego rodzaju transakcje muszą być przeprowadzane tylko poprzez naszą organizację. Nasz szef ma monopol na pośrednictwo w handlu materiałami rozszczepialnymi z Kopyły. - Wskazał Japończyka pogrążonego w rozmowie z Arabem i Koreańczykiem. - Jeżeli Amerykanin ma nabywców, my pokierujemy sprzedażą.

Udając, że nie rozumie języka, Peter chłonął atmosferę gali mera Popowa. Aż zbyt dobrze rozumiał potworną degrengoladę narodu. W Rosji było dostępne wszystko, łącznie z pociskami i bronią jądrową, byle tylko chętny miał twardą walutę. Wydawało się, że na przyjęcie stawili się handlarze śmiercią z całego świata.

W tej chwili do Oksany podszedł mężczyzna i powiedział coś do niej cicho. Ona popatrzyła na drugi koniec sali i skinęła głową.

- O co chodzi? - zapytał Peter.

- Sława mnie woła. Widzę, że teraz jest z nim nie tylko Arab, ale i jego amerykański przyjaciel. Potrzebują tłumacza.

- Jak się domyślam, ten rudy Amerykanin to Red Rolf? - Oksana potwierdziła.

- Równie dobrze Sławę też możesz poznać. Wygląda na to, że będziesz robił interesy z nim i z Pawłem.

Oksana ruszyła z Peterem w kierunku Japończyka, gdy Paweł zastąpił im drogę.

- Zabieranie Amerykanina do szefa nie jest chyba zbyt rozsądne.

- Dlaczego? Niech Amerykanie się poznają.

- Za mało wiemy o tym, którego trzymasz pod rękę.

- Jest biznesmenem, jak ty.

Paweł pokręcił głową. Peter, markując konsternację, bezradnie przenosił spojrzenie z jednej osoby na drugą. Oksana pociągnęła go za sobą.

Po dokonaniu prezentacji Japończyk popatrzył na niego z zainteresowaniem. Peter zastanowił się, ile Oksana opowiedziała gangsterowi o ich stosunkach. Japończyk ujął jej ramię i z miną posiadacza przyciągnął dziewczynę do siebie. Szeptał jej coś do ucha, jakby bał się, że Peter mógłby zrozumieć.

Peter postanowił zagadnąć Rolfa.

- W czym robisz?

- Jestem konsultantem ekonomicznym, a w Rosji nastał dobry czas na robienie pieniędzy.

- Jak sobie radzisz z językiem?

- Wokół zawsze są tłumacze.

- A czym ty się zajmujesz?

- Pośredniczę. Rozumiesz, co oni mówią? - Ruchem głowy wskazał Japończyka i Oksanę.

- Niedokładnie, ale mam wrażenie, że zdaniem Jakowlewa wchodzisz na jego terytorium, jeśli chodzi o Oksanę.

- Masz jakiś układ z Japończykiem? - zapytał Peter.

Rolf uniósł brwi, słysząc pseudonim.

- Ze Sławą? Nie całkiem. Poznałem go przez wspólnego znajomego. Zaprosił mnie na to przyjęcie i powiedział, że dzisiaj będzie można ubić wiele interesów.

Peter zerknął na rozmawiającą parę i pożałował, że nie może złapać dziewczyny za rękę i pójść do domu. Gra stawiała się niebezpieczna. Wiedział, że nie dożyje rana, jeżeli Japończyk przeczuwa, iż on może orientować się w jego fałszerskim przedsięwzięciu i handlu bronią jądrową.

Ratunek nadszedł z niespodziewanej strony, w osobie Nikołaja. Martinow zbliżył się i poprosił, by córka przyłączyła się do niego. Grupa amerykańskich i niemieckich biznesmenów potrzebowała jej usług jako tłumaczki.

Peter z ulgą skinął mężczyznom na pożegnanie i odszedł z dziewczyną.

- Myślę, że powinniśmy wyrwać się stąd jak najszybciej - powiedział do Oksany.

- Ale to cudowne przyjęcie i nie mogę zostawić ojca. Poza tym, dokąd pójdziemy?
- Kiedy twój ojciec przyjechał do miasta, wynająłem małe mieszkanie od rosyjskiego współnika.

- Zostanemy jeszcze trochę. Wyjdziemy później, przy pierwszej okazji - obiecała.

Nagle Peter zmartwił. W tłumie niedaleko Japończyka zauważył znajomą twarz i figurę. Prążkowane spodnie, czarna marynarka ze srebrną lamówką, jedwabna kamizelka, wykładany kołnierzyk i podejrzenie podobne do peruki włosy mogły należeć wyłącznie do Zekkiego Dekki. U jego boku kroczyła ponętna Helena w obcisłej czarnej sukni.

Peter przeprosił spiesznie zdumioną Oksanę. Powiedział, że jego współnicy czekają na wieści w Ameryce i koniecznie musi do nich zatelefonować. Dziewczyna szybko otrząsnęła się i dała porwać ogólnemu szaleństwu; przecież za parę dni, po wyjeździe ojca, znów mieli być razem. Peter wyszedł, złapał taksówkę i pojechał do hotelu „Inturist” na ulicy Gorkiego. W barze i wysokiej na dwa piętra restauracji tłoczyli się klienci, przed kasynem stała kolejka chętnych. Wszędzie panował ruch i gwar. Między innymi dzięki tej ożywionej atmosferze w hotelach pierwszej klasy można było znaleźć bezpieczne aparaty do rozmów międzynarodowych. Szczególnie teraz, gdy KGB było w rozproszeniu, a milicja zbyt nieliczna i zajęta, aby podsłuchiwać rozmowy telefoniczne prowadzone przez turystów. Korzystanie z hotelowych kabin stanowiło najbezpieczniejszy sposób porozumiewania się z zagranicą.

- Hugh, twój stary kolega Red Rolf... - zaczął Peter.

- On już nie jest kolegą! - przerwał mu Hugh. - Jest zdrajcą jak Ed Wilson i...

- Zamkniesz się, kurwa, i posłuchasz? Rozmawiam z kabiny publicznego telefonu w Moskwie. Próbuję pomóc tobie i NEST.

- Przepraszam. Wal, Peter.

- Red i Zekki Dekka pracują z organizacją Japończyka nad sprzedażą pocisków, głowic jądrowych i plutonu 239 klientom na całym świecie.

- Skąd oni to biorą? - warknął Hugh.

- Od niejakiego Jewgienija Wołkowa, dyrektora jakiegoś kompleksu w pobliżu Irkucka na Syberii, który wytwarza oraz przechowuje pociski, wzbogacony uran i pluton 239.

- Kiedy planują przerzut?

- Nie wiadomo. Jest w to wmieszany jakiś dęty politykier, niejaki Władimir Żyrinowski. Sądzę, że jest osobistym przyjacielem Saddama. W każdym razie Wołkow zgodził się sprzedać mi trochę plutonu. Nie masz pojęcia, na jaką skalę odbywa się tu wyprzedaż za twardą walutę.

- Nie możemy nic zrobić na drodze oficjalnej.

- A co z tutejszą amerykańską ambasadą? Z pewnością mogą coś zrobić.

- Wykluczone! - krzyknął Hugh. - Nasza polityka polega teraz na zakazie jakiegokolwiek ingerencji w sprawy Moskwy, póki sytuacja się nie wyklaruje. CIA bezpośrednio z Waszyngtonu otrzymała rozkazy trzymania się jak najdalej.

- A tymczasem powstaje bazar nuklearny gotowy do zalania światowego rynku materiałami z jakiejś fabryki na Syberii. Każdy Arab-terrorysta z Bliskiego Wschodu będzie przemycał plutonowe koktajle do naszego kraju.

- Jesteś pomysłowym facetem. Wymyśl coś, żeby temu zaradzić.

- Sam?! - wrzasnął Peter. - Cytując mojego ulubionego autora, Hemingwaya, „człowiek sam, kurwa, nie ma szans”. - Peter opanował się i spojrzął przez szklane drzwi kabiny, żeby sprawdzić, czy nie zwrócił niczyjej uwagi. - Słuchaj, Hugh, zdobyłem kopię umowy między człowiekiem Japończyka, Zekkim, a Azzizem. Mogę poznać lokalizację tej fabryki, chyba nawet sam tam pojadę. Ciąg dalszy zależy od ciebie i NEST.

- Jeżeli zdołasz dostać się do środka, możesz zrobić coś ważnego dla świata. Masz swój chronometr.

- Mam też dziewczynę, którą zamierzam przywieźć do domu i poślubić. Chciałbym przeżyć, żeby to zrobić.

- Peter, prześpij się i zadzwoń do mnie jutro. Zobaczę, co da się zrobić.

- Na razie, Hugh.

KSIĘGA

TRZECIA

Tajne miasto

Maks był zobowiązany do dostarczenia największego samolotu transportowego w radzieckich siłach zbrojnych, An-22, jeżeli chciał, aby Japończyk wykonał dla niego kolejną robotę. A właśnie otrzymał rozkaz upozorowania samobójstwa Grigorija Siderowa, poprzednika Kruczyny w kierownictwie KPZR.

Na czele dywizji sił powietrznych, której podlegały wszystkie wojskowe samoloty transportowe okręgu moskiewskiego i leningradzkiego, stał pułkownik Wadim Hastowiec. Przez kilka dni Maks szukał jakiegoś punktu zaczepienia, który umożliwiłyby mu przejęcie kontroli nad dowódcą bazy. Na podstawie nagrań i akt KGB zorientował się w stanie anarchii, jaka ogarniała całe wojsko, a w szczególności będącą przedmiotem jego zainteresowania 55. Dywizję Transportu Powietrznego.

Hastowiec, krzepki mężczyzna po czterdziestce, zachowywał się jak kaczyk władający ogromną rzeszą niewolników. Mimo szerokiej twarzy, purpurowej od nadmiaru alkoholu, i typowej powierzchowności ukraińskiego chłopca, był człowiekiem inteligentnym i przebiegłym.

Maks zjrzał w akta KGB dotyczące zniknięcia aluminiowej pokrywy lądowiska dla helikopterów. Uzyskane informacje pozwoliły mu zorientować się, w jaki sposób może poradzić sobie z Hastowcem.

Spojrzenie pułkownika skierowane na stojącego przed nim kapitana, wyrażało dziwną mieszaninę nienawiści, pogardy i współczucia. Kapitan był chudy, jego błękitne wodniste oczy wpijały się potulnie w dowódcę.

- Towarzyszu kapitanie, kurwa wasza mać! - wybuchnął pułkownik. - Co się stało z tą cholerną aluminiową pokrywą lądowiska dla śmigłowców?

- Towarzyszu pułkowniku... Ja... Przysięgam, nie miałem zamiaru... ten cholerny dentysta wlał we mnie mnóstwo swego najlepszego towaru, a jak wiecie...

- Jak śmiecie, świnió, chlać w godzinach pracy? Kurwa mać, byliście na służbie!

- Ale ten spirytus był krystalicznie czysty, jak łyż Świętej Dziewicy. - Taka linia obrony przyjęta przez jednego pijaka w obliczu jeszcze większego pijaka, wydawała się dość rozsądna.

Kapitan przerwał na chwilę, by zyskać tym większe zrozumienie, po czym kontynuował:

- To nie była ta techniczna trucizna, którą ściągają z silników i która nie dość, że ma ohydny smak i wywołuje mdłości, to jeszcze na drugi dzień rano łeb od niej pęka. - Nie przestawał apelować do współczucia pułkownika. Wyjaśnił, że podły alkohol doprowadził do szału jego żonę, która zwróciła przeciw niemu swoje sto kilo żywej wagi i cisnęła w niego żelazkiem. Jak mógłby odrzucić propozycję dentysty? Dwa litry czystego spirytusu to doskonały sposób na zażegnanie rodzinnego konfliktu. Dlatego więc zgodził się, by dentysta przymocował linę do pasów błyszczącego metalu, który pokrywał ładowisko, ściągnął je i zabrał do furgonetki pełniącej rolę objazdowego gabinetu dentystycznego. Aluminiowa blacha z ładowiska była dokładnie tym, czego dentysta potrzebował na pokrycie dachu nowego domu.

- Towarzyszu pułkownika, znacie moje życie rodzinne - użalał się kapitan. - W imię świętego spokoju...

- Ile razy mam wam powtarzać? - ryknął pułkownik. - Żona nie jest krewną, to tylko dupą, z którą się sypia!

- Tak jest!

- Zamknij się, wieprzu! I co ja zrobię, gdy jakiemuś dupkowi ze sztabu zachce się przylecieć helikopterem i nie będzie miał gdzie wylądować? Wszyscy staniemy przed sądem wojskowym!

- Załatamy...

- Załatamy?! - wrzasnął pułkownik. - Nie potraficie nawet załatać cipy swojej córki! Żołnierze rzną ją, kiedy tylko mają ochotę. W biały dzień!

Kapitan w milczeniu wysłuchał pomstowania pułkownika, który zresztą mówił prawdę. Ale w kompleksie wojskowym, gdzie kwatery oficerów i żołnierskie baraki stały blisko siebie, takie incydenty były na porządku dziennym, we wszelkich możliwych wariacjach.

- Jeżeli ładowisko nie będzie gotowe za dwa dni... - Pułkownik zrobił złowieszczą przerwę. - Zróbcie wszystko, co trzeba; okradnijcie sąsiedni pułk, znajdźcie tego cholernego dentystę i zedrzyjcie mu dach z chałupy. Jeżeli ładowisko nie będzie gotowe, sami będziecie latać jak pieprzony helikopter. Przysięgam! Wetknę wam śmigło w dupę i będziecie latać! Jak Sojuz-Apollo! Czy to jest, kurwa, jasne?

- Tak jest!

- Wyjść! - ryknął pułkownik.

Hastowiec w rzeczywistości nie był zbyt zły na kapitana. Ostatecznie, sam często popijał w łaźni z dentystą, kiedy ten pojawiał się w pułku z porządnym zapasem czystego medycznego spirytusu. I nierzadko przyłączała się do nich jego asystentka,

aby „wymasować komendantowi plecy”. Hastowiec złapał telefon, żeby zadzwonić do dentysty. Jeżeli kapitan dostał dwa litry czystego alkoholu, to jemu, pułkownikowi przecież, należało się co najmniej dziesięć.

Tydzień po sprawie lądowiska w biurze pułkownika Hastowca pojawił się pułkowy oficer KGB, kapitan Jurij Makiezenko, w towarzystwie młodszego mężczyzny w lekkim szarym garniturze i białej koszuli z ciemnym krawatem. Cywil był gładko wygolony, miał krótkie włosy i czarne, głęboko osadzone oczy, które zdawały się przewiercać duszę pułkownika na wylot. Był to Maks.

Pułkownik chrząknął.

- Mogę zobaczyć wasze dokumenty? Musimy dbać o bezpieczeństwo - dodał prawie przepaszająco. Nawet młodszy oficerowie KGB, którzy ostali się po nieudanych puczu, częstokroć byli potężniejsi od generała.

Gość bez słowa pokazał małą czerwoną legitymację.

- Co mogę dla was zrobić?

- Moi przełożeni rozważają konieczność zalecenia waszej dywizji sprzedaży samolotu turbodrzutowego *Antonow An-22* pewnej spółce z udziałem kapitału zagranicznego, z którą współpracujemy. Skontaktuję was z przedstawicielami firmy. Transakcja powinna dojść do skutku w tym tygodniu. Dzisiaj jest poniedziałek.

Hastowiec był nieco zdumiony prośbą przybysza, ale nie okazał tego po sobie.

- Nie możemy sprzedać wam nowego *An-22*- odparł wymijająco pułkownik.

- Oni nie potrzebują samolotu prosto z fabryki.

- Dlaczego wasi szefowie nie skontaktowali się z naszymi w sztabie?

- Nie mogę tego wyjaśnić. Sam podlegam ścisłym rozkazom. Na zewnątrz czeka ekspert lotniczy spółki.

Hastowiec niespokojnie popatrzył na młodego oficera KGB w schludnym cywilnym garniturze.

- Wobec tego pokażę wam jeden ze starych *An-22*, jakie mamy w hangarze.

- Bylibyśmy niezmiernie zobowiązani, ja i moi zwierzchnicy.

Hastowiec podniósł słuchawkę.

- Przed hangarem będzie na was czekał szef personelu naziemnego, pułkownik Panin.

Pułkownik zabrał Maksa i eksperta z organizacji Japończyka do hangaru leżącego półtora kilometra od budynku dowództwa. Maks zobaczył największy transportowiec, jaki w życiu oglądał. Wezwany przez pułkownika szef mechaników, który zawsze

pragnął być w dobrych stosunkach z KGB, zaczął wychwalać zalety samolotu jak najęty.

Prawie tak, jakby dywizji zależało na jego sprzedaży, pomyślał Maks. Spodziewał się czegoś podobnego. Lojalność w tym nowym i głodnym społeczeństwie zależała wyłącznie od pieniędzy. Pułkownik Panin recytował cechy transportowca.

- Antonow An-22 może przenosić ładunek o masie osiemdziesięciu ton na odległość dwunastu tysięcy kilometrów z prędkością siedmiuset czterdziestu kilometrów na godzinę...

Maks podniósł rękę, by zatamować ten potok słów. Mechanik i ekspert Japończyka wspięli się po drabince do bocznego luku i po dwóch ciągach aluminiowych schodków przeszli z ładowni do kabiny pilotów. Tam stanęli i dyskutowali o wielkim samolocie przez pół godziny.

Maks zastanawiał się, po co Japończykowi taka maszyna. Hastowiec nie mógł powstrzymać ciekawości i zadał mu wiele pytań, z których najważniejsze brzmiało:

- Ile mają zamiar zapłacić?

Maks wzruszył ramionami.

- A ile chcecie?

- Dwa miliony rubli?

- Za dużo - warknął Maks.

- Zostałbym skrytykowany jako dowódca, gdybym zgodził się na niższą cenę.

Maks obojętnie wzruszył ramionami.

- Znajdziemy innego dowódcę.

Własny styl pułkownika polegał na demoralizowaniu i zastraszaniu wszystkich wokół siebie, więc taka odpowiedź przemówiła do jego instynktu samozachowawczego.

Mechanik i specjalista Japończyka wreszcie zakończyli drobiazgową inspekcję w brzuchu samolotu. Zapytany przez Maksa ekspert odpowiedział:

- Generalnie jest w porządku. Wydaje się wysłużony, ale godny zaufania. Poza tym, w przypadku starych samolotów wiadomo, czego się spodziewać. Nowe czasami sprawiają przykre niespodzianki.

- Wróćmy zatem do biura i uzgodnijmy wszystko od razu. - Hastowiec wreszcie przejął kontrolę. W budynku dowództwa zaprosił Maksa do siebie, innym zaś powiedział: - Towarzysze, wybaczcie. Mamy do omówienia bardzo poważną sprawę wagi państwowej, na osobności.

Na swoim prywatnym terenie śmiało poderwał głowę. Jego małe, rozbiegane oczka rozbłysły przebiegle pod krzaczastymi brwiami.

- Zawsze miło pogadać z naszymi drogimi kolegami z Czeka.
- Czeka dawno temu odeszła w przeszłość. Wkrótce nie będzie nawet KGB. - Maks zajął miejsce po drugiej stronie biurka. - Możemy przejść do interesów?
- No cóż, synku... Ile możecie dać za ten samolot?
- Nie wydaje mi się, abym miał zaszczyt być waszym krewnym, pułkowniku. Ile według was mielibyśmy zapłacić za ten przestarzały latający spodek?
- Hastowiec zaśmiał się, chciwość zatańczyła w jego oczkach.
- Wiesz, synku, może dokładniej sprawdzę twoje pełnomocnictwa.
- Maks ścisnął palcami grzbiet nosa.
- Chyba nie zdajecie sobie sprawy, pułkowniku, do kogo mówicie. To może mieć drastyczne konsekwencje.
- Ach, synku, nie straszmy starego wygi. - Pochylił się w jego stronę. - Po co ci samolot?
- Maks z westchnieniem wyjął z kieszeni plik dokumentów. Zaczął czytać rzeczowym tonem. Hastowiec słuchał przez chwilę, potem wybuchnął śmiechem.
- Zajrzałeś więc do mojej służbowej kartoteki. Standardowa procedura.
- Byliście dowódcą pułku powietrznego w Borysowie, gdy szeregowy Berisik popełnił samobójstwo w wyniku seksualnego wykorzystania przez czterech azerskich żołnierzy. Nasze akta jasno wskazują, że krewni gwałtocieli zapłacili dowódcy, pułkownikowi Hastowcowi, sto tysięcy rubli za wyciszenie sprawy i zniszczenie dowodów.
- Popatrzył w twarz pułkownika, nagle poszarzała i nieruchoma.
- W 1987 roku, krótko przed opuszczeniem Borysowa, pułkownik Hastowiec nielegalnie sprzedał dwóm obywatelom Gruzji dwa pojazdy opancerzone za cenę miliona rubli, a prócz tego sto karabinów *Kalasznikow*, dziesięć skrzynek granatów ręcznych...
- Maks uśmiechnął się ponuro do zdrętwiałego pułkownika - ...i przywłaszczył sobie dwie wojskowe ciężarówki, z których jedna została później sprzedana pewnemu obywatelowi Armenii, Aramowi Grigorianowi, za sto tysięcy rubli.
- Dość! - uciął chrapliwie Hastowiec. Sięgnął po karafkę z wodą.
- Wciąż chcecie obejrzeć moje pełnomocnictwa?
- Nie. - Pułkownik napił się łąpczywie, jego zęby zadzwoniły o krawędź szklanki. - Czego chcecie?
- Mówiłem. *An-22*. Sądząc po zaprezentowanych dokumentach, jesteście doświadczonym handlarzem, więc wybrałem was.
- Uważajcie samolot za sprzedany - stwierdził z rezygnacją Hastowiec. - Możecie zniszczyć akta?

- Tu mam tylko kopie, ale dam je wam jako przypomnienie, że każdy, kto popełnia błędy, musi za nie zapłacić. Czasami dużo później. Powiedzmy, że cena będzie wynosić milion rubli. Samolot jest stary.

Pułkownik skinął na zgodę.

- Jak zapłacicie?

- Nie rozumiecie, pułkowniku - rzekł z uśmiechem Maks. - Nie jestem gruzińskim mafioso.

- Więc na czym polega interes?

- Proponuję wam legalną operację, nie kradzież, do jakiej jesteście przyzwyczajeni. Wy sprzedacie samolot, ponieważ jest stary i wycofujecie go z użycia. Macie prawo. Podpiszecie dokumenty. My przelejemy pieniądze do banku na konto dywizji, osiemset tysięcy rubli. Dwieście tysięcy dostaniecie do ręki. Gotówką. Możecie trzymać je w skarpecie, możecie rozdzielić wśród oficerów, wasza wola. Przedstawiciele spółki przybędą jutro o dziewiątej. Przywiozą dokumenty i pieniądze. Podpiszecie papiery, przekażecie samolot. Maszyna musi być gotowa do lotu i zatankowana. Nasz nawigator i piloci ją zabiorą.

- A te dwieście tysięcy?

- Są wasze. Bawcie się dobrze.

Bar Hiszpański w hotelu „Moskwa” świecił pustkami, gdy Japończyk wolnym krokiem wszedł do środka. Było przed południem i kubański zespół jeszcze nie rozpoczął występu. Maks siedział sam i czytał poranną gazetę. Przed nim stała filiżanka czarnej kawy. Okno obok jego stolika wychodziło na plac Maneżowy, za którym wznosił się mur Kremla.

Na widok Japończyka Maks złożył gazetę i położył ją obok szarej teczki na stole. Japończyk zdjął biały prochowiec i przewiesił go przez rękę; jego kremowy lekki garnitur nie miał ani jednej zmarszczki. Skinął Maksowi na powitanie i zajął miejsce naprzeciwko. Maks wydawał się nie zmieniony; to samo ciemne ubranie, to samo odpychające i badawcze spojrzenie zimnych, szarych oczu.

- Miło cię widzieć, Maks. - Japończyk popatrzył na zmysłową blondynę, która zmateriałizowała się przy stoliku. - Kawę, czarną, bez cukru i śmietanki.

Po odejściu kelnerki Maks wyjął z teczki wycinek z gazety. Japończyk zerknął na nagłówek: **TAJEMNICZE SAMOBÓJSTWO PARTYJNEGO NOTABLA.**

- Zgrabna robota, wszyscy byliśmy pod wrażeniem - pochwalił Maks. Potem uśmiechnął się kwaśno. - A co myślisz o oświadczeniu na temat samobójstwa, które złożył poprzednik i sąsiad Kruczyny, Grigorij Siderow? - Przeczytał głośno fragment z wycinka. „Był to akt odwagi, na jaki ja osobiście nigdy bym się nie zdobył”.

Japończyk postukał palcem w teczkę.

- Następny obiekt?

- Tak. Siderow.

Japończyk popatrzył na teczkę, którą Maks pchnął w jego stronę.

- Czy on też, jak Kruczyna, brał udział w rozlokowaniu partyjnego złota po europejskich bankach?

- Co to znaczy? - warknął Maks.

- Aby się trochę zabezpieczyć, sfotografowałem najbardziej interesujące dokumenty Kruczyny. I wiedząc, że twoje zadanie polegało na ochronie pewnych najwyższych bossów bylej partii, potrafię zrozumieć, dlaczego Kruczyna musiał się zabić.

Maks zamarł. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Wreszcie, wpatrując się uważnie w nieodgadnioną twarz Japończyka, warknął: - Igrasz z ogniem.

- Obaj to robimy.

- Chcę mieć te zdjęcia.

- Nie odmawiam. Ale w naszym świecie tylko szybka śmierć przychodzi za darmo.
 - Czego chcesz?
 - *Anionowa An-22*, natychmiast. Czas działa na moją niekorzyść, a zabijanie partyjnych bossów, zanim zdążą zrobić swoich zwierzchników, nie leży w sferze moich zainteresowań.
 - Twój samolot jest gotów do odbioru. Milion rubli.
- Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Japończyka, nawet jego skośne oczy zdradzały satysfakcję.
- Dobra cena. Kiedy mogę go zabrać?
 - Zaraz po wykonaniu roboty. - Znacząco zawiesił głos. - I po dostarczeniu fotografii dokumentów Kruczyny.
- Japończyk odchylił się na krześle.
- Robota wkrótce zostanie wykonana. Ale dokumenty prześlemy po dostarczeniu samolotu.
 - Skąd będę wiedział, że nie zatrzymasz kopii?
 - Skąd będę wiedział, że nie zostanę zamordowany po wypełnieniu zadania?
- Maks patrzył przed siebie w milczeniu przez dłuższą chwilę.
- To interes. I koniec z fotografowaniem dokumentów.
 - Zgoda. - Japończyk podniósł teczkę. - Spodziewam się, że skontaktujesz się ze mną natychmiast po wykonaniu zlecenia.
- Gdy Japończyk wstał, z teczką w ręku, Maks zatrzymał go ruchem dłoni.
- Jest tam wszystko, czego potrzebujesz, plany, klucze. Będziemy obserwować.

Godzinę później Japończyk i Paweł zastanawiali się nad zadaniem, które, jak się okazało, nastroczało wiele trudności. Siderow zazwyczaj przebywał w otoczeniu rodziny.

- To robota dla Promyczka - oznajmił nagle Japończyk.
- Ten pokurcz już nie raz nam się przydał - zgodził się Paweł.
- Mamy poważny problem z czasem. Jeżeli milicja przekaże prasie wiadomość o tym, co znaleźli w Zilisi, Chomik nigdy nie zaufa naszym studolarówkom. Promycek musi odwalić tę robotę dziś w nocy, a za dwa dni odbierzemy samolot. Azziz mówi, że w ciągu tygodnia w Zurychu będą gotowe irackie akredytywy.

Grigorij Siderow, krępy mężczyzna o wielkim wystającym brzuchu, świadectwie lat życia w gnuśnym dobrobycie, siedział w swoim przestronnym gabinecie i patrzył z przyjemnością na fotografie przedstawiające jego i rodzinę. Najbardziej podobały mu się te z daczą na wybrzeżu Morza Czarnego. Okna jego moskiewskiego gabinetu,

wysokiego na dwie kondygnacje, wychodziły na trawnik oddzielający luksusowy blok dla prominentów od Prospektu Lenina.

Zwyczajnym ludziom gnieźdzącym się w blokach podzielonych na małe kłitki nigdy nie pozwolono by połączyć dwóch mieszkań w jedno, a tym bardziej urządzić w jednym z pokoi basenu z fontanną. Sama myśl o sprowadzeniu z Ameryki wyposażenia łazienki z prysznicem, wanną i sedesem byłaby uważana za herezję.

Sowieccy notable nie musieli płacić ani kopiejki brygadzie robotników, którzy przebudowywali ich apartamenty. Dzięki specjalnie zrobionym przejściom rodzina Siderowa, ciesząca się wraz z nim łaskami państwa, zajmowała odrębne, ale połączone mieszkania.

Promyczek, potężnie zbudowany karzeł mający niecały metr wysokości, był tajną bronią znaną tylko pewnym generałom *blatnych*, którzy płacili mu dobrze za robienie tego, co lubił najbardziej w świecie - skomplikowane zabójstwa. Japończyk pokazał mu plany mieszkania i podał dokładne wymiary mebli z gabinetu, w którym Siderow spędzał dużo czasu. Promyczek przestudiował plan gabinetu i zauważył, że znajduje się w nim ceglany kominek.

Syn Siderowa, Kirył, jego żona i dwoje małych dzieci, Igor i Helena, zajmowali własne mieszkanie połączone z pokojami Siderowa.

- Rozumiesz, najważniejsze, aby nie stało się nic, co mogłoby dać ekipie śledczej okazję do podejrzeń, że to nie było samobójstwo - powiedział z naciskiem Japończyk. - List, jaki masz zostawić na biurku, został podrobiony przez eksperta.

Promyczek skinął głową. Był profesjonalistą i w godzinę przyswoił sobie szczegółowe informacje dotyczące wnętrza i otoczenia mieszkania oraz ruchów strażników przed frontowym wejściem.

Tej nocy Japończyk i Paweł zawieźli Promyczka w okolice bloku przy Prospekcie Lenina. Niespokojnie patrzyli za nim, gdy wymknął się z samochodu i roztopił w ciemności, zmierzając do fasady luksusowego bloku z kamienia i cegły.

Promyczek cicho wspiął się po murze na ósme piętro. Jak przewidział, otaczała go kompletna ciemność, księżyc krył się za gęstymi chmurami. Dla niego wspinaczka po ceglany murze z licznymi występami i gzymsami była łatwa jak wchodzenie po drabinie. Wysokość nie wywierała na nim wrażenia; uodpornił się na lęk wysokości. Na plecach dźwigał bawełnianą torbę z pistoletem, długim sztyletem i mniejszym nożem o szerokim ostrzu. List w małej gumowej tubce, który Japończyk dał mu tuż przed opuszczeniem samochodu, schował w ustach pod prawym policzkiem.

Zręcznie sięgnął do wysokiego francuskiego okna gabinetu Siderowa i wsunął nóż w szczelinę między szprosami. Jak wywnioskował z planu, mógł szybko i bezgłośnie otworzyć ozdobne, ale pozbawione poważniejszego zabezpieczenia okno. Uzbrojeni

wartownicy na parterze zapewniali utytułowanym mieszkańcom fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Karzeł przecisnął się przez uchylone okno i zamknął je za sobą. Wpełzł do ciemnego pokoju, zlokalizował kominek i ogromną sofę pod ścianą. Czując pod dłońmi puszysty dywan, zniknął pod sofą jak tarantula w jamie.

Kiedy następnego dnia rano Siderow wyszedł z sypialni, by zjeść śniadanie, jego żona Lora, wnuk Igor i wnuczka Helen siedzieli już przy stole. Posiłek był obfity jak zwykle, ale Siderow zadowolili się tylko łykiem gorącej herbaty. Lora udawała, że nic nie zauważyła. W ciągu miesiący, jakie minęły od nieudanego puczu, apetyt stale mu się pogarszał. Przy stole pogawędzili o rodzinnych sprawach i Siderow poczuł się trochę lepiej. Pod koniec śniadania z uśmiechem wycofał się do gabinetu, żeby przejrzeć korespondencję.

Stanął przy biurku i przekładał papiery, gdy nagle zauważył kątem oka jakiś ruch. Odwróciwszy się zobaczył muskularną rękę zaciśniętą na rękojeści sztyletu. Długie ostrze ukuło go w brzuch. Niewiarygodne stworzenie dzierzące śmiercionośne narzędzie było małe, mniejsze niż dziesięcioletnie dziecko, ale zdumiewająco szerokie w ramionach. Miało wielką głowę porośniętą krótkimi, czarnymi włosami, płaską żółtawą twarz, złośliwy uśmiech i skośne oczy, w których błyszczało okrucieństwo. Długie przednie zęby wystawały spod górnej wargi jak u królika. Zdeformowany, kanciasty tułów wspierał się na krzywych, krótkich, ale bardzo pewnych nogach. Pokurcz w lewej ręce trzymał pistolet.

Siderow poczuł, że język przykleja mu się do podniebienia, nie był w stanie wydać żadnego dźwięku. Instykt podpowiadał mu, że kreatura nie zawaha się przed użyciem noża. Potem jego myśli powędrowały do Lory, Igora i ślicznej wnuczki, i poczuł się bliski omdlenia. Karzeł przywiódł mu na myśl kraba, którego wyłowił kiedyś z Morza Czernego.

- Ani słowa - syknął Promyczek - bo zakłuję.

Siderow mimowolnie podniósł rękę. Był dwa razy większy i dziesięć, może dwadzieścia razy cięższy, ale wiedział, że jest bezradny w obliczu tego brudnego robaka.

- Nie zamierzam cię skrzywdzić. - Głos karła był chrapliwy. - Po prostu chce ci coś pokazać. Wyjrzyj przez okno!

Siderow posłuchał. Czuł mdłości i ból żołądka. Serce waliło mu w piersiach. Nawet jasny blask słońca za oknem zdawał się złowieszczy. Czubek ostrza ukuł go w plecy na wysokości nerki.

- Ruszaj się! Podejdź do okna i otwórz.

W surrealistycznym świecie, nad którym nie miał najmniejszej kontroli, Siderow ruszył ostrożnie, jakby się bał, że wpadnie w jakąś dziurę. Potem zobaczył światelko nadziei. Ten sukinsyn czegoś chce, bo inaczej już by go zabił. Kurwa mać! Jak ten

mały diabeł dostał się do mieszkania? Co wyprawiają ci cholerni strażnicy? Dlaczego wpuścili do budynku taką ohydną szumowinę?

- Szybko! Otwieraj! - warknął karzeł, kłując Siderowa w żebra.

Siderow otworzył okno i popatrzył drętwo na znajome moskiewskie dachy. Miał je przed oczyma codziennie w czasie, gdy mieszkał w mieście, i nigdy nie poświęcał im zbytnej uwagi. Teraz widok nagle nabrał nowego znaczenia. Desperacko pragnął cieszyć się nim każdego poranka przez wiele przyszłych lat życia.

- Zdejmuj kaptcie. Szybko! - zaskrzeczał karzeł.

- Kaptcie? Po co? - Zrzucił pantofle, poczuł rozgrzany parapet pod bosymi stopami. Co dalej? Ludzie na dole. Dlaczego nie krzyknąć? Niemożliwe.

- Teraz popatrz w dół. Powiesz mi, co zobaczysz.

Pochylił się, wystawił głowę za okno i spojrzął w dół ośmiu pięter. Ogarnęło go przerażenie, gdy świeże powietrze owiało mu twarz i zburzyło rzadkie włosy na głowie. Przed wejściem stał strażnik. Nagły skurcz ścisnął mu żołądek. Nie widząc na dole niczego niezwykłego, natychmiast zrozumiał, na co się zanosi. Ostatnią rzeczą, jaką poczuł, była gorąca wilgoć płynąca po nogach i gołych stopach, gdy próbował się cofnąć. Potężne pchnięcie wyrzuciło go za okno w rześkie poranne powietrze. Wiatr poniosł daleko długie wycie, a zielona trawa otaczająca budynek pomknęła na spotkanie jego rozpostartego, spadającego głową w dół ciała.

Promycek cofnął się szybko, zręcznym ruchem schował sztylet do pochwy, a pistolet do kieszeni. Wyciągnął z ust gumową tubkę, wyjął list i rzucił go na biurko. Przygotował się do opuszczenia gabinetu i mieszkania, gdy z dołu dobiegły krzyki, potem usłyszał spieszne kroki tuż za drzwiami i krzyki na dole - niewątpliwie strażnik wzywał posiłki. Budynek wkrótce zostanie otoczony. Mógłby prawdopodobnie przeдрzeć się przez rodzinę Siderowa, ale nawet gdyby mu się udało, byłoby jasne, że ofiara została zamordowana. W takim przypadku Japończyk byłby bezlitosny.

Tak więc, niechętnie, Promycek został zmuszony do wprowadzenia w życie alternatywnego planu.

Na Pietrowce generał Bodajew otrzymał telefon parę minut po zderzeniu Siderowa z powierzchnią ziemi. Zerwał się zza biurka i pomaszerował do biura Nieczajewa, gdzie odbywała się codzienna odprawa.

- Najpierw Kruczyna, a teraz Siderow skończył na ulicy - w jego głosie pobrzmiwało oburzenie, jakby samobójstwa były afrontem wymierzonym w jego autorytet.

Nieczajew skoczył na nogi.

- Niech milicja otoczy budynek, chociaż już może być za późno na zatrzymanie tego specja od samobójstw. - Wyrwał z biura z Jurijem Uglanowem za plecami. Razem

zbiegli po schodach i wypadli za bramę, gdzie stał samochód. Nie czekając na kierowcę, wskoczyli do wozu i ruszyli na Prospekt Lenina.

Wysiedli przed wejściem okazałego gmachu. Zerknęli przelotnie na tłuste, bosa ciało w białej koszuli i ciemnych spodniach, leżące twarzą w dół na trawie. Niecierpliwie czekali, aż rozsuną się drzwi windy. Nieczajew wcisnął guzik ósmego piętra. Zaczynał doświadczać wrażenia *deja vu*, tylko że tym razem, w przeciwieństwie do „samobójstwa” Kruczyny, on pierwszy miał być na miejscu. Zerknął na zegarek - minęło zaledwie dziesięć minut od śmierci ofiary. W przypadku Kruczyny przed przybyciem milicji oficerowie KGB już przetrząsnęli mieszkanie w poszukiwaniu, jak powiedzieli, motywu samobójstwa. Nieczajew był pewien, że Kruczyna został zamordowany, ale wszelkie dowody, które mogły poprzeć jego domysły, musiały zostać usunięte.

Syn Siderowa i jego żona byli w gabinecie, przerażeni, z dala od okna. Nieczajew ostro zapytał, czy ktoś mógłby wymknąć się parę sekund po tym, jak Siderow wyskoczył - albo został wypchnięty. Syn Kirył, który wszedł do gabinetu z drugiego mieszkania, i żona Lora, która była przed drugimi drzwiami, jednogłośnie stwierdzili, że nikt nie mógł opuścić gabinetu niezauważony. Wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund - Siderow wypadł z okna, Kirył i Lora rzucili się biegiem do drzwi, otworzyli je i wpadli do środka.

- Czy byli tu już inni oficerowie śledczy? - zapytał Nieczajew. Oboje zaprzeczyli.

- Jakiś list?

Kirył wskazał stół. Pułkownik podszedł i popatrzył na skrawek papieru. Przeczytał lakoniczną wiadomość: TYLKO KREMACJA.

- Czy to jego charakter pisma?

Kirył i Lora pokiwali głowami.

Nieczajew podszedł do francuskiego okna i natychmiast wyczuł dowód strachu, jaki ogarnął Siderowa na parapecie. Wskazał człowiekowi z ekipy ekskrementy na podłodze pod oknem i ślady na parapecie.

Nieczajew na próżno szukał innych tropów. Nie wierzył, że Kruczyna i Siderow odebrali sobie życie, ale nie miał dowodów, że stało się inaczej, z wyjątkiem poszlak. Główna różnica w obu przypadkach polegała na tym, że Kruczyna był sam w mieszkaniu, natomiast Siderow przebywał w otoczeniu całej rodziny - lecz i tak nikt nic nie widział. Nieczajew daremnie badał gabinet i otwarte francuskie okno. Nawet zajrzał do kominka, lecz tylko dziecko mogłoby przecisnąć się przez przewód wentylacyjny. Wydawało się niemożliwe, by ktokolwiek mógł tu być w krytycznej chwili. A jednak Nieczajew żywo pamiętał stwierdzenie Siderowa po rzekomym samobójczym skoku Kruczyny. „Był to akt odwagi, na jaki ja osobiście nigdy bym się nie zdobył”.

Przez następne pół godziny Nieczajew i Ułanow drobiazgowo lustrowali papiery,

księgi rachunkowe i listy w nadziei, że natrafią na ślad, który mógł wpłynąć na samobójczą decyzję Siderowa. Potem pojawili się dwaj oficerowie KGB, zaprezentowali swoje pełnomocnictwa i obojętnie wypyтали Nieczajewa. KGB uległo drastycznej przemianie od czasu, gdy wielu szefów zaczęło trafiać do cel w więzieniu na Łubiance. Według dwóch oficerów KGB ekskrementy wcale nie oznaczały, że ofiara została siłą wyrzucona za okno. Upierali się, że często, szczególnie przed skokiem z dużej wysokości, oczekiwanie na upadek powoduje u samobójcy nagłe, nie dające się opanować ruchy jelit i wypróżnienie. Nieczajew był pewien, że właśnie tak uzasadnią ten przypadek w swoim raporcie. Ich wyjaśnienie kłóciło się z jego bogatym doświadczeniem.

Przez cały dzień oficerowie milicji i KGB kręcili się po mieszkaniu, ale nie znaleźli niczego, co wpłynęłoby na zmianę diagnozy. O zmroku rodzina została sama. Lora i Kirył zamknęli gabinet i, pogrążeni w smutku, zasiedli do kolacji. Posłuszny ostatniemu życzeniu ojca Kirył uzgodnił, że po obowiązkowej sekcji ciało zostanie skremowane.

Późną nocą Promyczek zsunął się z górnych partii przewodów wentylacyjnych i wszedł przez kominiek do gabinetu Siderowa. Tylko lata dyscypliny umożliwiły mu spędzenie tych wszystkich godzin w ciasnym przewodzie. Był czarny od sadzy i obolały. Kiedy wreszcie stanął na wyłożonej parkietem podłodze, z ulgą rozluźnił i wymasował zdrętwiałe muskuły.

Przemknął przez pokój i bezgłośnie otworzył okno. Stanął na parapecie, zamknął jedno skrzydło, potem wyszedł na zewnątrz i przyciągnął drugie. Zdawał sobie sprawę, że dokładne sprawdzenie następnego dnia może wykazać, że okno było otwierane; niestety, nie mógł zamknąć nożem klamki. Ale wnioskuje z tego, co usłyszał będąc w kominie i co powiedział Japończyk przed wyruszeniem na robotę, władze dojdą do wniosku, iż Siderow sam odebrał sobie życie.

Niczym pająk przesunął się na ścianę wychodzącą na boczną ulicę. Wkrótce znalazł się na chodniku, zasłonięty przed strażnikami przez róg budynku, i tak szybko, jak tylko pozwalały mu krótkie nogi, zniknął w labiryncie ulic za prominenckim bulwarem.

Jak zaplanowano, czekała na niego czarna Wołga. Drzwi stanęły otworem. Promyczek wdrapał się na fotel pasażera i zatrzasnął drzwi. Auto odjechało w noc.

44.

Peter Nikhilov sięgnął do kieszeni i wyjął swój chronometr, by sprawdzić różnicę czasu między Nowym Jorkiem, Moskwą i Irkuckiem. Pokój konferencyjny brygady kryminalnej był zdominowany przez plan Moskwy i mapę Związku Radzieckiego. Bodajew i pułkownik Nieczajew siedzieli przy stole po obu stronach Petera, zaś Borys Burienczuk ze wskaźnikiem w ręku stał przy ściennej mapie, wskazując Irkuck i Bajkał.

- Krasnow 86, jedno z naszych tajnych miast, leży mniej więcej tutaj. Jewgienij Wołkow, z którym rozmawiałeś na przyjęciu u mera, jest dyrektorem naczelnym - mówił Borys.

- Zaznajom nas z wszystkimi szczegółami, a obmyślimy plan akcji - dodał Bodajew.

Peter położył przed Bodajewem wizytówkę.

- Znalazłem ją w portfelu, gdy przeglądałem rzeczy Burłaka na Butyrkach. Należy do dyplomaty przydzielonego do irackiej misji przy ONZ w Nowym Jorku, Azziza Al Faradiego. Azziz dał ją Zekkiemu. Później Zekki zapisał na drugiej stronie swój moskiewski numer telefonu i dał wizytówkę Burłakowi.

- Skąd wiedziałeś, że to numer Zekkiego? - zapytał Nieczajew.

- Początkowo miałem tylko przecucie. Przed numerem widnieją jego inicjały. Byłem z Zekkim, gdy odsyłał Burłaka do Moskwy po zamordowaniu dwóch Gruzinów w Brighton Beach.

- Więc zadzwoniłeś pod ten numer i pogadałeś z nim?

Peter z szerokim uśmiechem pokręcił głową.

- Borys znalazł mi adres i odwiedziłem przytulne gniazdko Zekkiego. Wpuściła mnie jakaś nimfetka. Powiedziała, że Zekki wyjechał na Syberię. - Podał Bodajewowi złożone kartki. - To umowa między Zekkim a Azzizem. Po rosyjsku i arabsku. Przeczytaj i powiedz mi, co według ciebie Zekki sprzedaje Irakowi w imieniu jakiejś fikcyjnej firmy za dwadzieścia pięć milionów dolarów.

Bodajew złapał papiery i zaczął czytać.

- Potem, dwa dni później, Oksana zabrała mnie na interesujące przyjęcie - mówił Peter.

- Chodzi ci o fetę mera Moskwy? - zapytał Bodajew. - Miałem zaproszenie, ale nie poszedłem.

- No to żałuj. Azziz, Japończyk, jego pomagier Paweł, ojciec Oksany - wszyscy tam byli. Z pomocą Oksany dotarłem do Wołkowa, który zaproponował mi pluton 239 za połowę światowej ceny. Wołkow pracuje z ojcem Oksany i Japończykiem.

- Zgodziłeś się kupić? - spytał Bodajew.

- Tak. Ale nim mogłem coś sfinalizować, pokazał się Zekki ze swoją przyjaciółką i musiałem się zmyć.

Bodajew w trakcie relacji Petera czytał umowę między Zekkim a Irakijczykiem.

- Dwadzieścia pięć milionów dolarów płatne w Szwajcarii za dostarczenie do Iraku jednej rakiety międzykontynentalnej *SS-25 Sickle* z pięćsetkilotonową głowicą i ruchomą wyrzutnią! - wykrzyknął z rozdrażnieniem.

Zdusił niedopałek w popielniczce i natychmiast zapalił następnego papierosa. Bezradnie potrząsnął głową.

- I nadal nie możemy nic zrobić.

- Co?! - zawołał Peter.

- Nie mogę iść do prokuratora z twoimi podejrzeniami - powiedział żałośnie Bodajew. - Zekki jest obywatelem obcego państwa. Ma całkowite prawo do robienia interesów z innym cudzoziemcem w Nowym Jorku, w Moskwie czy na biegunie. Al Faraiego chroni immunitet dyplomatyczny. Nie ryzykowałbym aresztowania. Ale... - podniósł kopię umowy - to jest trop. Wiąże operację fałszerską z handlem materiałami rozszczepialnymi, inaczej Zekki nie brałby w tym udziału.

- Jewgienij Wołkow posiada dość materiału i pocisków, by za miliardy dolarów zadowolili wszystkich terrorystów od Korei Północnej po Afrykę - mruknął Peter.

Nieczajew wrzucił ramionami.

- Świadkowie, których aresztowaliśmy, stracili pamięć po śmierci Bułaka. Boją się nawet strażników, w każdej chwili spodziewają się kuli między łopatki. Z przyjemnością bym nad nimi popracował, ale już mam poważne kłopoty z przewodniczącym parlamentu Chasbułatowem. On jest z pochodzenia Czeceńcem i wszędzie trąbi, że Czeceńcy są bezprawnie aresztowani. Jelcyn daje popalić ministrowi spraw wewnętrznych, a ten daje kopa generałowi i jednostce do spraw przestępczości zorganizowanej.

- Czeceńcy w Zilisi strzelali do nas - zauważył Peter.

- Chasbułatow przedstawia naszą akcję jako przejaw rosyjskiego nacjonalizmu skierowanemu przeciwko muzułmańskiej grupie etnicznej - warknął Nieczajew. - Następnym razem wydam rozkaz strzelania do każdego uzbrojonego Czeceńca. Jak zwykł był mawiać Stalin: „gdzie jest człowiek, jest problem; nie ma ludzi - nie ma problemów”.

Bodajew trzasnął dłonią w przyniesione przez Petera dokumenty.

- Tak więc, gdy ten dyrektor Wołkow dowiedział się, że jesteś Amerykaninem, zaproponował ci pluton za pół ceny?

- Właśnie. I teraz ciąg dalszy zależy ode mnie.

- Założmy, że zgodzisz się kupić pluton - zasugerował Bodajew - i pojedziesz do Krasnowa 86. Zapłacisz mu połowę z góry i poprosisz, by wrócił z plutonem do Moskwy, gdzie otrzyma resztę pieniędzy. On przyjedzie. Po odebraniu pieniędzy tutaj, w zasięgu naszej jurysdykcji, dokonamy aresztowania. Oskarżenie będzie poważne, wyrok do kary śmierci włącznie. Wołkow zacznie sypać Japończyka, którego dzięki temu wpakujemy do obozu na resztę życia.

Peter uśmiechnął się z przekąsem.

- Na zapłacenie potrzeba ćwierć miliona dolarów. Pożyczymy je ze skarbu państwa?

- Mamy forszę - oznajmił triumfalnie Nieczajew. - Mamy dolce przejęte w Zilisi.

- W porządku. Kiedy dostanę te lewe pieniądze?

- Czekają nas pewne formalności - przestrzegł Bodajew. - Jak zarejestrowanie fałszywych numerów seryjnych na fałszywych banknotach i sumy skonfiskowanych pieniędzy, jakie wykorzystamy w operacji. Poza tym musimy przygotować raport dla prokuratury.

- I zaryzykować przeciek? Stawką jest moje życie. W ogóle nie powinienem tego robić. Czeka mnie pokonanie ponad sześciu tysięcy kilometrów na Syberię, dostanie się do tajnego miasta, załatwienie plutonu i wdanie się w interesy z Japończykiem, który kupuje rakiety dla Iraku. Dlaczego po prostu nie ściągnięcie wojska, nie uderzenie na Krasnow 86 i nie zgarniecie dyrektora i wszystkich innych handlarzy materiałami rozszczepialnymi?

Na twarzy Bodajewa odbił się szok. Nieczajew przełknął ślinę, kaszlnął i skinął na Borysa, by on wyjaśnił niuanse Peterowi.

- Nie wiemy, kto może stać za Wołkowem - oświadczył prosto z mostu Borys. - Ostatecznie, kiedy sprzedano do Iraku trzy tysiące nie zarejestrowanych *SK-14*, zyski czerpało całe Politbiuro razem z Gorbaczowem i innymi członkami rządu. Jeżeli ciche aresztowanie Wołkova w Moskwie okaże się błędem, zostaniemy o tym dyskretnie powiadomieni i incydent pójdzie w zapomnienie.

- Próbuje rozwiązać sprawę drugiego samobójstwa członka Komitetu Centralnego KPZR - dodał Nieczajew. - Kruczyna, a przed nim Siderow, kierowali partyjnymi finansami, ze sprzedażą *SK-14* włącznie. Jesteśmy przekonani, że zostali zamordowani, a jednak odgórnie kazano nam zamknąć dochodzenie. - Nieczajew zaśmiał się niewesoło. - Teraz przychodzą do nas inni, którzy boją się, że im też przytrafi się samobójstwo.

Bodajew ponuro pokiwał głową.

- Peter ma rację. Nikt spoza tego pokoju nie powinien wiedzieć, że przekazujemy mu fałszywe pieniądze. Jeżeli później pojawią się jakieś pytania, powiemy, że poprosiliśmy amerykańskiego policjanta o sprawdzenie podejrzonej waluty.

- Tylko pod tym warunkiem spróbuję dowiedzieć się jak najwięcej o Wołkowie i handlu materiałami rozszczepialnymi - powiedział Peter. - Dostarczanie takiego towaru bogatym w ropę państwom popierającym terroryzm szybko może się stać najbardziej dochodowym przedsięwzięciem świata.

45.

Przygnębienie po śmierci Nadii przerodziło się w strach, gdy Oksana przyjęła do wiadomości dwa fakty: że Sława Jakowlew rozkazał Miszy zamordować prostytutkę w przypadku, gdyby wpadła w ręce milicji, i że ona sama dostała się w jego układ dzięki Nadii i Promyczkowi.

Okazała zaufanie Peterowi, kiedy opowiedziała mu o gwałcie dokonanym przez ludzi z KGB i zemście dokonanej za pośrednictwem Pawła.

- I po tym wszystkim gang Pawła zamordował Nadię - podsumował Peter. Wreszcie zrozumiał przyczynę koszmarów, jakie ją nękały, gdy spała u jego boku. Zdarzało się, że budziła się roztrzęsiona; kochali się wówczas i dopiero wtedy zasypiała w jego ramionach.

Po spotkaniu na Pietrowce Peter zapytał Oksanę, czy umie posługiwać się pistoletem.

Popatrzyła na niego i Peter wyczytał w jej oczach zainteresowanie.

- Wychowałam się z bronią, w posiadłości w Irkucku.

- Masz pistolet?

Potrząsnęła głową.

- Po co miałabym nosić ze sobą kawał metalu? Mogłabym zostać aresztowana.

- Lepsze to, niż narażanie się na nieprzyjemną niespodziankę. Mógłbym załatwić ci coś naprawdę zgrabnego, wystarczająco małego, by z powodzeniem mieściło się w torebce, a zarazem wystarczająco dużego, żeby w razie potrzeby uratowało ci życie.

- Nigdy nie myślałam, że mogłabym czegoś takiego potrzebować. - Po chwili jednak dodała: - Czułabym się bezpieczniej, zwłaszcza w czasie podróży.

- A będziemy podróżować. Jestem gotów do wejścia w interesy z przyjacielem twojego ojca, Wołkowem. - Peter zamilkł, pochylił się ku niej, pocałował ją i dodał: - Taki układ mógłby okazać się bardzo korzystny, kiedy się pobierzemy.

- Kiedy się pobierzemy?!

- Tak. Proszę cię o rękę, Oksano. Wyjdiesz za mnie?

Poderwała głowę, przekrzywiła ją na chwilę, następnie zajrzała mu w oczy i powiedziała:

- Tak, Peterze Nikhilov. Wyjdę!

Przypieczętowali zgodę długim i namiętym pocałunkiem.

- Wiesz, że to oznacza nowe, wspólne życie w Ameryce - powiedział.

- Jestem zachwycona, Peter. - Po chwili dodała: - Chyba mój ojciec domyśla się, co zamierzamy mu powiedzieć w czasie wizyty w Irkucku. Zadawał mnóstwo pytań na twój temat.

- Co mu powiedziałaś?

- Zastanawiał się, dlaczego przyjechałeś do Moskwy. Powiedziałam mu, że chociaż nie mówisz po rosyjsku, pochodzisz stąd i chcesz tutaj robić interesy.

Peter z aprobatą pokiwał głową.

- Co jeszcze?

- Naturalnie zapytał, czy jesteś bogaty. Oczywiście powiedziałam, że tak, i że jestem szczęśliwa, mogąc dla ciebie tłumaczyć.

- Dobrze. Pojadę z Borysem na targowisko Dorogomiłow, gdzie podobno w piwnicach pod straganami z warzywami oferują najlepszy wybór pistoletów w świecie, i kupię ci zaręczynowy prezent.

- A ty nosisz pistolet, Peter?

- Nie w Moskwie. Moi przyjaciele z Pietrowki zaoszczędzili sobie kłopotu z wydawaniem mi licencji.

Oksana zadowolona się taką odpowiedzią.

- Mam coś, co pozostało mi z czasów służby w naszych Siłach Specjalnych, czymś w stylu waszego Specnazu. - Wyciągnął wielki metalowy chronometr. - Pokazuje czas wszędzie na świecie.

- Ciekawe - popatrzyła na zegarek. - Która godzina jest w Irkucku?

- Trzecia nad ranem.

- Na czym polega jego sekret?

- Powiem ci w dzień naszego ślubu. Mam nadzieję, że nigdy nie będę musiał wykorzystać jego wszystkich możliwości.

- Teraz naprawdę rozbudziłeś moją ciekawość.

- Chciałbym, żebyś na jutro załatwiła przelot do Irkucka i umówiła mnie z Wołkowem. Powiedz ojcu, że będę miał jakieś ćwierć miliona dolarów od moich niemieckich i amerykańskich klientów, żeby zapłacić Wołkowowi za towar, o którym rozmawialiśmy na przyjęciu u burmistrza.

- Wszyscy zastanawiali się, dokąd wtedy pobiegłeś - powiedziała Oksana.

- Dogadałem się z Wołkowem i musiałem natychmiast zatelefonować do moich klientów w Nowym Jorku i Hamburgu. Gdybym tego nie zrobił, nie miałbym gotówki i musielibyśmy odłożyć wyjazd.

W oczach Oksany rozbłysło podniecenie.

- Ledwo mogę się doczekać, kiedy powiemy tacie, że się pobieramy.

46.

W wielkiej sali konferencyjnej przylegającej do gabinetu dyrektora Jewgienija Wołkowa na szczycie Kopyły w tajnym mieście Krasnow 86, wiceminister finansów, jedyny członek rządu posiadający do pewnego stopnia wgląd w operację, otrzymywał pierwsze sprawozdanie, jakie Wołkow uznał za stosowne przedłożyć od czasów sierpniowego puczu. Rząd Federacji Rosyjskiej stopniowo przymierzał się do przejęcia władzy. Wołkow po raz pierwszy skontaktował się z nowym wiceministrem finansów w czasie ostatniej wizyty w Moskwie i wymógł na nim obietnicę zawitania do Kopyły w celu przedyskutowania ważnej sprawy. Wiceminister wyraził zgodę, kiedy Wołkow napomknął, że osobiście na tym skorzysta.

Wołkow zawsze unikał ujawniania swoich problemów operacyjnych biurokratom z ministerstw. Jednak, aby bezpiecznie lokować nieograniczoną ilość milionów dolarów na osobistym koncie, które przewidująco otworzył za granicą, musiał zapewnić sobie pewne upoważnienia z Ministerstwa Finansów.

- Do sierpnia 1991, do czasów nieudanego zamachu, zwykle rozmontowywaliśmy trzy tuziny przestarzałej broni miesięcznie - oznajmił Płotnikow, nowy zastępca Wołkowa. - Ale w zeszłym miesiącu daliśmy sobie radę ledwie z sześcioma egzemplarzami. Zapytacie, dlaczego? Odpowiedzią jest brak wykwalifikowanego personelu spowodowany strajkiem, do którego doszło, kiedy przestały napływać pieniądze z Moskwy. Setki kwalifikowanych robotników opuściły Krasnow 86. Musimy znaleźć nowych pełnoetatowych specjalistów i podwyższyć zarobki tym, którzy zostali. - Wszyscy zebrani wokół stołu konferencyjnego poważnie pokiwali głowami.

- Nasz problem sprowadza się do pieniędzy. Brakuje funduszy na pensje dla fachowej siły roboczej.

- Nie możecie po prostu zmniejszyć produkcji? - zapytał wiceminister.

Zebrani gremialnie pokręcili głowami.

- Stara, pozbawiona dozoru broń stanowi powszechne zagrożenie - odparł Wołkow.

- Rozmontowując broń niszczymy części zaklasyfikowane jako tajne, detonujemy materiały wybuchowe i odzyskujemy pluton 239. Potem musimy go magazynować i w tym kłopot. Szybko zaczyna brakować nam miejsca. Przechowanie jednego ładunku plutonu rozmiaru kuli do kręgla w stalowej powłoce wymaga oddzielnego dołu wielkości jednej trzeciej tej sali. Pluton musi być odizolowany od innych ładunków ścianami z granitu bądź betonu, wyłożonymi płytami ołowiu. Jest to niezmiernie istotne dla

uniknięcia powstania masy krytycznej w razie jakiegoś wypadku.

- Jakie jest prawdopodobieństwo takiego wypadku? - Prawdę mówiąc, wiceminister nie chciał znać odpowiedzi.

- Wyjaśnijcie, Płotnikow - polecił Wołkow.

- Mamy wiele pocisków pełnych płynnego paliwa z początków lat siedemdziesiątych, a nawet nowsze paliwo w stanie stałym jest lotne. Podczas ostatniej eksplozji zginął cały batalion.

- O jakim wypadku mówicie? - zapytał przedstawiciel ministerstwa skarbu.

- W dzień sierpniowego puczu mieliśmy eksplozję zbiorników paliwa - odparł Płotnikow.

- Próbowałem zameldować o zniszczeniu czterech rakiet samemu generałowi Jazowowi, ale... - Wołkow wzruszył ramionami.

- Rozumiem - uciął krótko wiceminister.

- Niebezpieczeństwo polega na potężnych falach uderzeniowych, które powstają w efekcie wybuchu, i z ogromnymi prędkościami przemieszczają się w skale góry - kontynuował Płotnikow. - Poszerzyliśmy tunele, żeby takie fale szybciej się rozpraszały, ale nigdy nic nie wiadomo.

Wołkow zobaczył, że wiceminister już ma stracha i postanowił powiększyć jego obawy.

- Gdyby podczas demontażu głowic plutonowych doszło do detonacji materiałów wybuchowych, rozprzestrzeniające się promieniowanie spowodowałoby śmierć setek osób personelu.

Złowieszczym słowom towarzyszyło drżenie i przerażone spojrzenia obecnych na zebraniu kierowników i inżynierów.

- Obecnie mamy sytuację tego typu - podjął posępnie Wołkow - że z powodu braku przestrzeni jedna głowica jest demontowana, a sześć innych czeka na stołach w tej samej hali. Ludzie robią się nerwowi.

Dyrektor wymownie wzruszył ramionami.

- Byle wypadek mógłby obrócić to miejsce we wrzącą kipiel promieniowania, przy której Czarnobyl to drobiazg. Musimy się liczyć z trzęsieniami ziemi, meteorytami, katastrofami lotniczymi, atakami terrorystycznymi. Zaistnienie jednego z tych czynników może doprowadzić do nieszczęścia. A prawdopodobieństwo jest wysokie.

- Co proponujecie? - zapytał wiceminister.

- Chciałbym zabrać was na wycieczkę na dół, poniżej jednego z naszych zakładów, do magazynu pocisków i paliwa, i pokazać wam proces odzyskiwania plutonu 239 z rozmontowanych głowic.

Wiceminister chrząknął nerwowo i zerknął na zegarek.

- Jak mówiłem, mój czas jest bardzo ograniczony. Muszę złapać popołudniowy samolot do Moskwy. Powiedzcie mi tylko, co zrobić w związku z tym problemem.

Wołkow pokiwał głową.

- Nie możemy zatrzymać nieprzerwanego potoku broni, która wymaga zdemontowania, ale możemy zwiększyć liczbę pracowników i skonstruować nowe doły poza kompleksem, bardzo proste, ale funkcjonalne. Potrzeba jedynie pieniędzy.

Wiceminister ściągnął brwi.

- Wiecie doskonale, że fundusze na wasz program zostały zredukowane.

Wołkow uśmiechnął się współczująco jak nauczyciel do opóźnionego ucznia, który nie potrafi przyswoić sobie lekcji.

- Nie prosimy o dodatkowe fundusze od rządu. Prosimy jedynie o pozwolenie na wykorzystanie tych, jakie mamy.

- Słucham?

Wołkow skinął w stronę Płotnikowa, który wyjął teczkę, otworzył ją i oznajmił:

- Przez dwa minione miesiące liczba zdemontowanych pocisków wyniosła pięćdziesiąt sztuk. Po demontażu pozostaje złoto odzyskane z obwodów elektrycznych każdej broni. Wartość złota z jednego pocisku wynosi nie mniej niż pięćdziesiąt tysięcy dolarów, w twardej walucie, co daje w sumie dwa miliony pięćset tysięcy dolarów.

Wołkow pozwolił, by wiceminister przez chwilę pomyślał o zawrotnej sumie.

- Wysyłamy to złoto ministerstwu co pół roku. Teraz prosimy o pozwolenie na sprzedaż go na rynku światowym, przeznaczenie zysku całkowicie na nasze operacje, a tym samym zapewnienie bezpieczeństwa w Krasnowie 86.

- Brzmi rozsądnie - powiedział wysoki urzędnik. - Jednakże, minister...

Wołkow wstał i skinął ręką na moskiewskiego dygnitarza.

- Proszę, przejdźmy do mojego prywatnego gabinetu. Chciałbym pokazać wam pewne akta. - Wiceminister podążył za Wołkowem do sąsiedniego pomieszczenia.

Dyrektor szybko nakreślił mu sytuację.

- Tutaj, w fabryce, możemy przetopić przemysłowe złoto odzyskane z obwodów rakiet w sztaby. Mam odpowiednie kontakty, by sprzedawać je w Szwajcarii za twardą walutę. W drodze powrotnej mogę wstępować do Moskwy, spotykać się z wami i dawać wam do ręki, powiedzmy, dziesięć procent zrealizowanej gotówki. Wy możecie zrobić, jak uważacie, zwrócić ją do skarbu państwa lub dyskretnie użyć gdzie trzeba. Nie będzie żadnych śladów w dokumentach, a my będziemy w stanie sfinansować wszystkie operacje w Kopule bez dodatkowych dotacji z ministerstwa.

Wiceminister, doświadczony komunista, zdobył się na tylko jeden komentarz.

- Myślę, że piętnaście procent jest liczbą bardziej rozsądną.

- Tak, oczywiście. Piętnaście procent dla was, do wykorzystania wedle uznania. To

dawałoby około stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów co sześć tygodni.

Liczba była astronomiczna, a w wyniku hiperinflacji dolar codziennie zyskiwał na wartości. Kwota, jaką wiceminister mógłby lokować na własnym koncie, przerastała jego wyobrażenia.

Wołkow położył rękę na jego ramieniu.

- No, wracajmy na zebranie i zakończmy ten interes.

Po powrocie do sali konferencyjnej Wołkow powiedział:

- Widzicie więc, że nie mówimy o wielkich pieniądzach, kiedy człowiek zastanowi się nad konsekwencjami zignorowania potencjalnej katastrofy nuklearnej.

Wiceminister podniósł rękę.

- Zrozumiałem powagę sytuacji. Udzielę wam zezwolenia na wykorzystanie odzyskanego złota, a tymczasem omówię sprawę z ministrem. Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia. Podpiszę zezwolenie na wywóz i sprzedaż waszego złota za twardą walutę. Kiedy minister usłyszycy, jakie mogłyby być koszty alternatywne, z pewnością wyrazi zgodę.

- Płotnikow - zawołał Wołkow - przynieście dokumenty.

Płotnikow zerwał się, podbiegł do wiceministra i położył przed nim papiery. W sali zapadła cisza, gdy członek rządu czytał prostą umowę oraz standardowe zezwolenie na sprzedaż złota na rynkach zagranicznych. Wołkow wyjął pióro z kieszeni marynarki i podał je wiceministrowi, który uroczyście złożył swój podpis.

Wołkow patrzył na zamykające się za gościem z Moskwy drzwi. Kiedy światelka wskazały, że kabina dotarła na powierzchnię, wydał triumfalny okrzyk.

Miał z głowy ostatnie ogniwo planu zostania jednym z najbogatszych ludzi w Rosji. Certyfikat dawał mu prawo podróżowania do Szwajcarii i po całej Europie z immunitetem dyplomatycznym, bez sprawdzania bagaży na granicach. Pieniądze ze sprzedaży złota - po złożeniu daniny wiceministrowi - rzeczywiście miały iść na rachunek Kopyły i zostać wykorzystane do jej utrzymania, ale nie to było najważniejsze.

Wołkow wyobraził sobie górę schludnych stosików studolarówek, które wkrótce miał mieć w sejfie, gotowe do przetrzucenia do Szwajcarii. W ciągu paru dni Japończyk stawi się po pierwszej rakietę *SS-25 Sickle* z ruchomą wyrzutnią. W czasie, gdy on będzie odbierał zapłatę w dolarach, najlepsza w świecie broń jądrowa zostanie załadowana do skombinowanego przez gangstera transportowca.

W dodatku Wołkow spodziewał się informacji od Nikołaja, że jego córka i Amerykanin wkrótce pojawią się z dalszymi paczkami dolarów. Wołkow zaśmiał się do siebie. Czerwona rtęć, powiedział Amerykanin. Ale dostanie prawdziwy pluton 239 dla

swoich klientów. Wołkow miał nadzieję, że przyszłe transakcje będzie prowadził bez jego pośrednictwa.

Późna jesień na szczycie Kopyły była mroźna i wokół leżał śnieg, miotany częstymi podmuchami wiatru. Strażnicy na posterunkach wokół lądowiska nosili ocieplacze i futrzane kołnierze.

Wiceminister finansów wsiadł do czekającego śmigłowca z poczuciem dobrze wykonanej roboty. W wyobraźni już pisał scenariusz, dotyczący rozwiązania poważnego problemu finansowego bez żadnych obciążeń rządu, jaki jutro zaprezentuje ministrowi.

Helikopter szybko wzbił się w powietrze, polerowany metal błysnął w słońcu. Była to specjalna maszyna dla VIP-ów, z której korzystał Wołkow, i którą latali ważni przedstawiciele rządu i specjalni goście. W przeciwieństwie do zwyczajnych była dobrze izolowana przed hałasem i zimnem. Pilot wziął kurs na Irkuck i zameldował przez radio swój plan lotu wieży kontrolnej na lotnisku.

Prawie równocześnie daleko na zachodnim horyzoncie zarysowała się druga ciemna sylwetka. Wkrótce pomruk silników przerodził się w ciężkie dudnienie. Wartownicy ciekawie zadarli głowy, przestępując dla rozgrzewki z nogi na nogę, gdy zielono-brązowy samolot transportowy *An-22* pojawił się w całej okazałości. Ryk silników przetaczał się ponad wzgórzami porośniętymi rzadkimi sosnami.

Szerokie, amortyzowane podwozie ogromnej maszyny zajęczało w kontakcie ze zmrożonym betonem i zostawiło na pasie smugi dymiącej gumy. Samolot powoli tracił prędkość, w końcu wykonał pełen wdzięku zwrot i podkołował do wylotu tunelu Kopyły, dziesięć poziomów poniżej gabinetu Wołkowa.

Peter Nikhilov nigdy w życiu nie widział czegoś równie zimnego i odpychającego jak rozciągający się u jego stóp syberyjski pejzaż.

Oksana przytulała się do niego w wygodnym wnętrzu dyrektorskiego śmigłowca Wołkowa. Naprzeciw nich siedział otulony futrem Płotnikow, a obok niego niedźwiedziowaty Nikołaj Martinow. Peter uśmiechał się w głębi duszy, gdy wspominał, jak widok dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów w gotówce wpłynął na zmianę postawy starego chciwego durnia.

Martinow ledwo tolerował kochanka swojej córki, gdy spotkał oboje w chylącym się ku ruinie budynku irkuckiego lotniska. Wylądowali rankiem po całonocnej podróży z Moskwy. Oksana jak zawsze cieszyła się z powrotu w rodzinne strony. Szofer ojca zawiózł ich do miasta leżącego pięćdziesiąt kilometrów od majestatycznego Bajkału.

Mieszkanie byłego obwodowego sekretarza miało iście królewskie rozmiary i było urządzone z odpowiednim przepychem. Obecnie władza Nikołaja była większa niż kiedykolwiek. Po puczu natychmiast zorientował się w nastrojach przeważających wśród zwycięskich demokratów. Po rozwiązaniu partii stał się zaprzysięgłym antykomunistą. Zorganizował wybory, w których jego poplecznicy wybrali go na deputowanego do Dumy, parlamentu Rosji.

Czas nabierał wielkiej wagi. Peter wiedział, że Japończyk lada dzień zakupi pociski i materiały rozszczepialne od Wołkowa i przerzuci je do Iraku, postanowił zatem jak najszybciej wkraść się w łaski przyszłego teścia. Nie trzeba było być prorokiem, żeby odgadnąć, co wywrze na nim największe wrażenie. Tak więc po sutej kolacji, przy koniaku, z pomocą tłumaczącej Oksany, Peter wyłożył Nikołajowi plan zakupu paru kilogramów plutonu 239.

- A kto będzie docelowym odbiorcą? - zapytał Nikołaj.

- Czy to ważne? Zysk dla moich klientów, dla mnie i... - mrugnął znacząco - tych, którzy mi pomogą, będzie pokaźny.

Nikołaj z chichotem poklepał Petera po kolanie. Nadeszła chwila, pomyślał Peter, wciągnięcia Nikołaja w spisek. Sięgnął po aktówkę, którą od czasu przybycia cały czas trzymał przy sobie (co wywoływało domyślne spojrzenia Nikołaja), położył ją na kolanach i otworzył. Po chwili obrócił ją lekko, ukazując swemu gospodarzowi starannie

obanderolowane i ułożone paczki studolarowych banknotów.

- Przywożem ćwierć miliona, które zostawię w depozycie u dyrektora Wołkowa na poczet dostawy jego produktów.

Nikołaj wlepił oczy w gotówkę jak zahipnotyzowany. Wreszcie wychrypiął:

- Cóż, mój synu, myślę, że będziesz mówił językiem zrozumiałym dla Chomika.

- Chomika?

- To przewisko Wołkowa znane tylko jego pewnym starym znajomym.

- Aha. Może przeliczyłbyś ze mną te pieniądze? Kiedy dojdzie do oglądania towaru i negocjacji powiesz Chomikowi, że nie przybyłem z pustymi rękoma.

- Tak. Synu, zrobię to z przyjemnością. I załatwię ci wycieczkę po Kopule z przewodnikiem. Poproszę Płotnikowa, który wie więcej niż każdy z zastępców Chomika. Klienci tacy jak ty i Jakowlew zasługują na najlepsze doradztwo. Niestety, za wiedzę trzeba płacić. - Nikołaj rzucił Peterowi pełne zastanowienia spojrzenie.

- Oczywiście - przyznał Peter. - Doceniam twoją troskę. Powiedz mi tylko, ile, i zabierzemy to stąd. - Wskazał na aktówkę.

Pełen wigoru przyszedł teść życzył zmęczonej parze dobrej nocy, oddając do dyspozycji sypialnię z podwójnym łóżem.

Jak się okazało, doradztwo Płotnikowa nie było tanie. Nikołaj odliczył sobie dziesięć tysięcy dolarów, wspominał ze śmiechem Peter, gdy helikopter niósł ich do punktu przeznaczenia. Mógł się tylko domyślać, ile z tej sumy zobaczy sam przewodnik.

- Zaraz będziemy na miejscu! - zawołał pilot przez ramię. Maszyna z gracją obniżyła lot i wkrótce stanęła na płycie lądowiska. Widać było, że dział operacji powietrznych w Kopule jest kierowany z wojskową precyzją przez doświadczony personel. Baraki strażników i oficerów oraz inne budynki i hangary stały w równych rzędach. Wzdłuż lądowiska przycupnęły wojskowe śmigłowce, jakże różniące się od dyrektorskiego, którym przylecieli. Peter wiedział, że służą one jako środki transportu dla zwyczajnych kierowników i gości Kopuły. Słyszał, jak Nikołaj w czasie rozmowy telefonicznej, prawdopodobnie z Wołkowem, upierał się, żeby przysłano po nich dyrektorski helikopter.

Wyszedł do nich oficer ochrony w grubym czarnym kombinezonie i futrzanej czapie. Zwrócił się do Martinowa w starym stylu:

- Dzień dobry, towarzyszu przewodniczący. Mamy dzisiaj gości, rozumiecie. - Ciekawie popatrzył na Petera i Oksanę. - Otrzymałem od dyrektora zezwolenie na przeprowadzenie was przez kontrolę i do windy.

Martinow był w duchu zadowolony do tego nawiązania do jego dni komunistycznej

chwały. Peter, z aktówką w lewej ręce, z Oksaną u boku, podążył za Martinowem i oficerem do wielkiej betonowej budowli znajdującej się na wierzchołku wzgórza. Martinow i oficer weszli do środka. Peter i Oksana zostali na zewnątrz, przytupując nogami z zimna.

Z lądowiska roztaczał się widok na leżącą osiemset metrów niżej równinę. Zajmowały ją przemysłowe budynki, hałdy ziemi i skał oraz płatanina torów połyskujących zimno w porannym słońcu jak cienka, stalowa sieć. Ciężarówki, lokomotywy i koparki wyglądały jak zabawki, między nimi wyrastały wieżyczki posterunków. Uwagę Petera zwróciła osmalona połać gruntu wiele kilometrów na prawo. Płotnikow wyjaśnił:

- To poligon silników raketowych.

Peter jeszcze raz zastanowił się, ile dolarów Nikołaj dał inżynierowi, gdy Oksana wskazała w inną stronę.

- Patrz, tam jest samolot. Ogromny.

Peter popatrzył w dół zbocza po lewej stronie. Widok ograniczały wystające skały i czubki drzew. Zobaczył coś, co wyglądało jak część długiego pasa startowego. Przy jego końcu stał olbrzymi samolot. Był to wojskowy transportowiec, większy od tych, jakie widywał w czasie służby w amerykańskich Siłach Specjalnych. W porównaniu z nim podjeżdżająca cysterna wydawała się maleńka.

- To *An-22 Anteusz* - wyjaśnił Płotnikow. - Może unieść osiemdziesiąt ton ładunku na odległość ponad piętnastu tysięcy kilometrów z prędkością siedmiuset dwudziestu kilometrów na godzinę.

- Co on tu robi? - zapytał Peter.

Płotnikow wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie zabierze jeden czy dwa pociski *SS-25 Sickle* do innego magazynu. Transport powietrzny jest najbezpieczniejszym sposobem przenoszenia rakiet. Nawet lekka naziemna kolizja mogłaby spowodować zapłon stałego paliwa, zwłaszcza gdy rakietka trzy czy cztery lata przebywała w magazynie.

Peter popatrzył na gigantyczny samolot.

- Dokąd poleci?

- To wie tylko dyrektor Wołkow.

Martinow wyszedł z budynku z oficerem i dwoma uzbrojonymi strażnikami.

- Mamy zezwolenie na przejście przez kontrolę i zjazd w głąb Kopyły - oznajmił. - Przepraszam, że kazałem wam czekać na mrozie.

- Widzieliśmy sporo interesujących rzeczy - powiedziała Oksana.

Martinow poprowadził Płotnikowa, Petera i Oksaną do budynku.

Wewnątrz było wielu uzbrojonych strażników. Na windy czekało może pięćdziesiąt

osób w białych spodniach i kurtkach, z kolorowymi identyfikatorami wskazującymi na strefy, w których pracowali.

- Przejdziecie przez rutynową kontrolę - poinstruował Martinow. - Potem zostaniecie zabrani do biura Wołkowa, gdzie Peter będzie mógł omówić swoją sprawę z dyrektorem.

- Ty nie idziesz, ojczy?

- Nie, dzięki Płotnikowowi jesteś w jak najlepszych rękach, a ja muszę odebrać na lotnisku ważnego partnera w interesach.

- Znam go? - zapytała Oksana.

Nikołaj obdarzył córkę tajemniczym uśmiechem.

- Niedługo zobaczysz. - Wyszedł z budynku i skierował się do helikoptera.

Gdy zbliżyli się do bramki, Oksana popatrzyła na Petera z przerażeniem. W torebce miała małego niklowanego *Walthera*, którego Peter kupił jej w Moskwie. Pistolet częściowo przywrócił jej poczucie bezpieczeństwa.

- Nie przejmuj się, kochanie - powiedział, rozumiejąc jej obawy.

- Po prostu zostaw torebkę w punkcie kontrolnym. Nie otwieraj jej.

To im wystarczy. Ostatecznie jesteś córką Martinowa.

Stało się tak, jak przewidział. Oksana podała torebkę młodemu strażnikowi, który schował ją do szuflady na przechowanie. Kontrola była podobna do tej, jaką przechodzi się na wszystkich lotniskach. Oksana minęła bramkę bez kłopotu, jednakże gdy Peter wszedł między wykrywacze metalu, rozległ się sygnał.

Peter sięgnął do kieszeni, wyjął gruby okrągły przyrząd i pokazał go oficerowi.

- To chronometr - wyjaśnił - podaje czas wszędzie na świecie. - Oksana przetłumaczyła. - Chciałby pan wiedzieć, która jest gdzieś godzina?

Paru innych strażników zbliżyło się, by popatrzeć. Oficer zerknął na własny zegarek.

- Wiem, która jest w Moskwie. Jaką godzinę wskazuje wasz czasomierz?

Peter popatrzył na gruby, ciężki instrument.

- Szósta rano.

- To prawda. A w Nowym Jorku?

- Jeszcze piją w barach. Jest jedenasta zeszłej nocy.

Oficer roześmiał się.

- Nie ma problemu. Zatrzymajcie swój czasomierz.

Peter schował zegarek do kieszeni.

Oksana i Peter zostali poprowadzeni do otwartych drzwi windy i wsiedli razem z Płotnikowem. Kabina o lustrzanych ścianach opadła szybem wykutym w granitowej

górze do biur administracji pod szczytem Kopuły. Zatrzymała się gładko i drzwi otworzyły się na przestronny gabinet. Za wielkim drewnianym biurkiem z szeregiem telefonów, z rękoma złożonymi na brzuchu, stał Jewgienij Wołkow.

- Witamy - zawołał radośnie. - W Płotnikowie macie najbardziej kompetentnego przewodnika, jaki jest w Kopule. - Wskazał im fotele przed biurkiem.

Oksana rozpięta płaszcz i usiadła, gotowa tłumaczyć. Peter zdjął z amerykańskiego prochowca futrzaną szubę i zajął sąsiednie krzesło. Płotnikow, nie poproszony o zajęcie miejsca, stanął za nimi.

Zza biurka popatrzyły na nich małe błyszczące oczka ukryte pod krzaczastymi brwiami.

- Nikołaj Martinow uprzedził mnie, że macie do omówienia ważny interes, i w celu zapewnienia dokładnego tłumaczenia przysłał swoją córkę. Wystucham was bardzo uważnie. Ale najpierw, dlaczego zniknęliście z przyjęcia u mera? Czułem, że właśnie dochodzimy do sedna.

- Skoro uzgodniliśmy, że pan mi sprzeda, aja kupię pluton 239, musiałem skontaktować się z moimi klientami w Nowym Jorku i Bonn... - przerwał znacząco - co spowodowało się do załatwienia znacznej sumy dolarów. Czas bardzo się liczył.

Wołkow skinął z zadowoleniem i jego oczy powędrowały do aktówki leżącej na kolanach Petera.

- Jak pan zasugerował - ciągnął Peter - nie jesteśmy naprawdę zainteresowani czerwoną rtęcią.

Wołkow zaśmiał się, lecz nie skomentował, czekając na ciąg dalszy.

- Jesteśmy zainteresowani materiałem rozszczepialnym, który może zostać wykorzystany w reaktorze.

- Technologia wykorzystania produktów klasy wojskowej w reaktorach jądrowych jeszcze nie została opracowana - stwierdził stanowczo Wołkow, wpatrując się w czubki palców.

- Ślicznie wyłożone - pochwalił Peter. - Ale wkrótce zostanie opracowana, co będzie dla wielu wielką niespodzianką. Posiadacz wzbogaconego materiału będzie całkowicie niezależny od fluktuacji światowego rynku naftowego.

- Nikołaj nadmienił, że przyjedziecie w ważnej sprawie. Nie interesuje mnie, po co wam materiał rozszczepialny. Możecie kupić ode mnie tyle wzbogaconego uranu i plutonu 239, ile chcecie. I za bardzo rozsądną cenę.

- To znaczy?

- Pół miliona dolarów za kilogram plutonu 239 i sto tysięcy za kilogram wzbogaconego uranu 235. Rozliczenie w gotówce. Wywóz towaru z kraju to wasza sprawa.

- Zauważyłem samolot transportowy *An-22* na pasie u stóp góry. Zakładam, że moi klienci chcieliby zagwarantować sobie możliwość skorzystania z lotniska. I oczywiście nie potrzebowaliby tak wielkiej maszyny.

- O ile nie mają na myśli poważniejszych zakupów - podsunął w zadumie Wołkow.

- Na przykład? - zachęcił go Peter.

- Płotnikow właśnie wybrał jeden z naszych najnowszych pocisków *SS-25*, wyposażony w głowicę, dla pewnego zagranicznego kupca, który prowadził negocjacje za pośrednictwem przyjaciela Oksany, Wiaczesława Jakowlewa.

- Za ile? - zapytał Peter, udając nagle zainteresowanie.

- Jedynie dwanaście milionów dolarów - z wyrzutnią. Peter przybrał obojętny wyraz twarzy.

- Słyszałem, że broń tego typu można kupić na Ukrainie.

- Bardzo możliwe. Ale nawet ci, którzy być może mogliby sprzedać wam raketę, nie zapewnią wam kodu startowego. Ja mogę dać wam kod, a wy podacie go kupującemu... po odebraniu akredytyw banków szwajcarskich, którymi zapłaci. Nigdzie indziej, poza drugim tajnym miastem, nie można przeprowadzić takiej transakcji. A nie ma drugiego tajnego miasta tak niezależnego, jak tutejsze.

- Więc, jak mówimy w Ameryce, jesteście jedynym graczem na boisku.

Wołkow roześmiał się po przetłumaczeniu.

- Faktycznie. Najwyższa władza w Kopule spoczywa w moich rękach. Przypuszczam, że pewnego dnia Moskwa doprowadzi swój rząd do ładu. Wtedy zacznę podlegać jakiemuś ministrowi, którego będę musiał przekabacić za pokaźną łapówkę, ale na razie wraz z Nikołajem Martinowem, ojcem waszej pięknej tłumaczki, sprawujemy w regionie irkuckim nieograniczoną władzę.

- Moglibyśmy otworzyć dla pana konto za granicą - zasugerował Peter.

- Żadnych kont. Każde konto można wytropić.

- Ale w Szwajcarii...

- Bywam za granicą, a zwłaszcza w Szwajcarii. Wkrótce tam lecę w sprawie wypłat dla moich kluczowych pracowników w Krasnowie 86. Będę co prawda w podróży służbowej, ale nauczyłem się, że podejmowanie pieniędzy z osobistego konta może człowieka skompromitować. Interesuje mnie wyłącznie gotówka. I robię wam łaskę, żądając tylko połowy ceny rynkowej, o ile w ogóle zdecydujecie się na zakup.

Peter z uśmiechem pokiwał głową.

- To brzmi sensownie. Na początek chciałbym dostać próbkę plutonu dla swojego klienta. Może pan przygotować, powiedzmy, sto gramów?

- Czy rozumiecie, jakie to niebezpieczne? Pod żadnym pozorem nie można wystawiać

plutonu na otwarte powietrze. Pali się w tlenie. A co do toksyczności...

- Jestem w pełni świadom tych niebezpiecznych właściwości. - Peter umilkł i położył aktówkę na biurku. Teatralnym gestem wcisnął oba zamki. Wieko odskoczyło, odsłaniając pliki studolarówek. - Pół miliona dolarów za kilogram plutonu. Tutaj jest ćwierć miliona. Reszta po odebraniu towaru. Być może po sprawdzeniu próbki moi ludzie zażyczą sobie trzy do pięciu kilogramów.

Peter pchnął aktówkę po blacie biurka.

- Niech pan przeliczy. Znajdzie pan dwieście czterdzieści tysięcy dolarów. Brakujące dziesięć tysięcy wczoraj poszło na opłaty na konsultacje. Żeby pokazać poważne zamiary.

Wołkow patrzył na gotówkę z otwartymi ustami.

- Ufacie mi do tego stopnia?

- To nowe podejście w handlu materiałami rozszczepialnymi i raketami. W przypadku, gdybyśmy zawiedli w jakimś punkcie, pan nic nie traci. Kupowanie plutonu od pana chroni moich ludzi przed robieniem interesów z niesolidnym dostawcą. Bynajmniej nie wynika z braku pieniędzy z ich strony.

- Mam nadzieję, że poznam tych dżentelmenów.

- Mogę umówić spotkanie w Moskwie. Wspomniał pan, że mógłby sprzedać im rakiety.

- Tak, mam wiele typów w magazynie, nawet te wystrzeliwane z okrętów podwodnych oraz 55-25 *Sickle*, nasz najnowszy produkt. Rakieta o masie trzydziestu pięciu ton jest dużo łatwiejsza do przewozu niż każda inna, jej zasięg wynosi trzysta do czterystu tysięcy kilometrów i może być wystrzelona z dowolnego miejsca.

- Mam pomysł - powiedział Peter, jakby coś nagle wpadło mu do głowy. - Moi klienci będą w Moskwie w przyszłym tygodniu. Jeżeli przywiezie pan pluton, zorganizuję spotkanie i od tej chwili będzie pan prowadził rozmowy bezpośrednio z nimi - a ja ze swoją tłumaczką wrócę do Ameryki.

Oksana obrzuciła Petera zaskoczonym spojrzeniem, ale przetłumaczyła jego słowa.

Wołkow ze smutkiem pokręcił głową.

- Nie mam bezpiecznego sposobu na przewiezienie kilograma plutonu do Moskwy. Minister daje mi kontrolę nad pociskami i materiałami rozszczepialnymi, ale ich przewożenie leży w gestii innego ministerstwa. Wasi ludzie muszą znaleźć samolot i przylecieć tutaj.

- Oczywiście, jest to do załatwienia. Powiedział pan, że jedzie do Szwajcarii. Niech pan zatrzyma się w Moskwie. Moi ludzie zapłacą panu za kilogram plutonu. Pan pojedzie z gotówką do Szwajcarii, oni zaś przygotowują się do odebrania dostawy. Jestem

przekonany, że to dla pana korzystny układ.

- A co wy będziecie z tego mieli?

- Za załatwienie wszystkiego otworzą mi konto na Karaibach i wpłacą procent, gdy dojdziecie do porozumienia.

Wołkow przez dłuższą chwilę wpatrywał się w pieniądze. Oferta wydawała się zbyt dobra, by mogła być prawdziwa. A jednak leżała przed nim pierwsza rata i, przyjmując zaliczkę na konto przyszłych dostaw, zawsze miały przewagę nad kupującymi.

Peter zobaczył, że Wołkow po prostu nie może się oprzeć pokusie i postanowił jeszcze bardziej ją osłodzić.

- I być może będą już przygotowani na zapłacenie za SS-25. Zabrałby pan do Szwajcarii trochę więcej gotówki. -Widząc wahanie Wołkowa, dodał: - Oczywiście, musiałbym zobaczyć rakiety, jakie macie w magazynie.

- Mogę umożliwić to od razu - zapewnił spieszenie Wołkow.

- Skoro Martinow umówił Płotnikowa jako doradcę, chciałbym, żeby on mi towarzyszył.

Wołkow roześmiał się z zadowoleniem.

- Oczywiście. Wygląda na to, że razem siedzimy w tym biznesie, a nikt nie zna laboratoriów i magazynów lepiej od Płotnikowa.

- Zatem mamy umowę, na której wszyscy się wzbogacimy - podsumował Peter.

Nie licząc pieniędzy od Japończyka, dodał w myślach Wołkow. Jedyne jego problemem sprowadzał się do tego, co zrobi z taką ilością szmalu.

Wołkow wysunął szufladę biurka, wyjął trzy czerwono-czarne plakietki i rozdał je obecnym.

- No tak - mruknął radośnie Wołkow. - Niech Płotnikow oprowadzi was po Kopule. Zrobiłbym to sam, ale spodziewam się paru ważnych wiadomości. - Podprowadził ich do rozsuwanych drzwi windy i wcisnął guzik. - Płotnikow, pokażcie naszemu amerykańskiemu przyjacielowi pociski SS-25, a potem zwiedzajcie poziom po poziomie.

Dyrektor zakładów jowialnie zwrócił się do Petera:

- Przez całe lata bałem się pierdnąć bez pozwolenia Gorbiego czy jakiegoś innego idioty z Politbiura. A teraz? - Wzruszył ramionami. - Sam sobie jestem panem.

- I sami wybieracie nabywców - dodał Peter.

Po przetłumaczeniu Wołkow wybuchnął gromkim śmiechem. Gdy drzwi windy rozsunęły się, gestem zaprosił swoich gości do środka.

- Zjedziemy dziewięć poziomów w dół, nad same laboratoria wzbogacania uranu - powiedział Płotnikow. - Niżej narazilibyśmy się na nadmierne dawki promieniowania.

Kabina windy zatrzymała się. Znaleźli się w oświetlonej jarzeniówkami ogromnej

grocie, która z powodu wyłożonej mozaikowymi płytkami posadzki przypominała główny poziom stacji metra przy placu Lenina. I, jak na zatłoczonej stacji, uwijały się w niej setki ludzi. Wszyscy mieli czepki na głowach i byli ubrani na biało, co upodobało ich do pracowników służby zdrowia. Płotnikow wskazał na rzędy stalowych półek z pociskami, długimi według Petera na około dwa metry

- Już tutaj jest dość rakiet, by jednocześnie dotarły do wszystkich głównych miast Ameryki. Nawet gdyby trzy czwarte zostało zniszczone przed osiągnięciem celu... - przerwał z zadumany wyrazem twarzy. - Interesujące byłoby przekonać się, kto wygra w takiej wymianie.

Na rzędy kadłubów rakiet spływały kaskady promieni ultrafioletowych. Płotnikow zaśmiał się, widząc zdumienie na twarzy Petera.

- Odkryliśmy, iż pewien typ bakterii żywi się celulozą będącą komponentem paliwa stałego, więc ustawiamy specjalne lampy, żeby magazyn był jak najbardziej sterylny. Poza tym utrzymujemy określoną temperaturę i niski poziom wilgotności oraz robimy wszystko, żeby ustrzec się przed gromadzeniem ładunków elektrostatycznych.

- Czy przechowywanie głowic z dala od pocisków nie byłoby bezpieczniejsze? - zapytał Peter.

- Próbowałem wdrożyć tę zasadę, ale kiedy zaczęło brakować nam miejsca, nie było innego wyjścia.

Oksana zadrzała, rozglądając się po podziemiu. Płotnikow roześmiał się.

- Tak, to prawda, że cała góra, tajne miasto Krasnow 86, może w każdej chwili wylecieć w powietrze. Ale pensje i warunki mieszkaniowe w tajnych miastach są najlepsze w całym Związku Radzieckim. Mamy doskonałą żywność i napoje, nie ma kolejek w sklepach, są pierwszorzędne szkoły dla dzieci. - Płotnikow wzruszył ramionami. - Wszyscy stajemy się fatalistami. Co ma być, to będzie.

- Kiedy zakłada się głowice?

- Powinno się to robić w miejscu wystrzelenia, jednakże najczęściej, szczególnie w przypadku rakiet na paliwo stałe, cały system jest przewożony w całości.

- A gdyby w wyniku jakiegoś wypadku rakietę wybuchła, czy doszłoby do zdetonowania głowicy jądrowej?

Płotnikow pokręcił głową.

- Mógłbym wdać się w długie wyjaśnienia, lecz powiem tylko, że jest to niemożliwe. I dodam, że zdarzały się incydenty, które potwierdzają ten punkt widzenia.

- Czy transportowiec An-22 może wziąć na pokład uzbrojoną i zatankowaną rakietę *Sickle*?

Płotnikow przytaknął.

- Swobodnie. Został zaprojektowany do przenoszenia naszych czołgów T-62 na odległość do trzynastu tysięcy kilometrów. Zabierze pocisk z zamontowaną głowicą. W Iraku jest niewiele osób, które poradziłyby sobie ze złożeniem broni.

A więc on wie, dokąd Japończyk sprzedaje pocisk, pomyślał Peter, patrząc z grozą na szeregi dwumetrowych głowic.

- A co Wołkow zamierza zrobić z tymi? - zapytał. - Chodzi mi o to, że Japończyk nie da rady ich wszystkich rozprowadzić.

Płotnikow uśmiechnął się.

- Oczywiście, dlatego Wołkow pokazuje wam coś, czego nigdy nie widział nikt spoza ścisłego kręgu naukowców i byłego kierownictwa partii. Chodźcie za mną, a pokażę wam raketę, którą wybrałem dla Japończyka. Przy okazji dopilnuję, żebyście też dostali jeden z najnowszych SS-25.

Ruszyli przez ogromną jaskinię o absurdalnym mozaikowym wystroju. Wokół głowic i raket krzątały się odziani w biel technicy. Dotarli do torów, które biegły tunelem do ogromnej hali.

Patrzyli, jak jakiś oficer kieruje przekładaniem *Sickle SS-25* na niską, specjalnie zaprojektowaną samojezdną wyrzutnię. Miała ona siedem par kół, każde wysokie na dwa metry i na metr szerokie, i prawie cztery metry szerokości - mogło ją wyrzucić jedynie zderzenie z ciężkim czołgiem.

Rozmiary transportera stanowiły dodatkową zaletę. Pojazd, miążdzący wszelkie niewielkie przeszkody, w terenie zapewniał jazdę równie płynną, co Mercedes na autostradzie.

Dwa dźwigi opuściły mierzący osiemnaście metrów kadłub rakiety wraz z przymocowaną głowicą na platformę ruchomej wyrzutni, która była tej samej długości. Głowica znalazła się wprost nad kabiną kierowcy.

- Następny przystanek: *An-22* - powiedział Płotnikow. - Gdy tylko dostaną od Wołkova polecenie.

- Ile czasu zajmie droga i załadunek do samolotu? - zapytał Peter.

- Co najmniej dwadzieścia minut tunelem na zewnątrz. Może łącznie półtorej godziny od telefonu Wołkova.

- A kiedy wystartuje transportowiec?

- To zależy od Wołkova i Japończyka. Moim zadaniem było sprawdzenie, czy klient dostanie najnowszy model. Po paru latach przechowywania paliwo stałe staje się niestabilne do tego stopnia, że gdyby dźwиг upuścił pocisk, mogłoby się zapalić.

Zadzwoił czerwony telefon. Oficer nadzorujący operację odebrał, słuchał przez chwilę, poczym skinął i krzyknął rozkaz do pracowników.

- Mówi „zabierać” - przetłumaczyła Oksana.

Technicy zarobili się wokół pocisku, niczym armia wielkich białych mrówek.

Gdy kierowca ruchomej wyrzutni zbliżył się do drzwi kabiny, Peter sięgnął do kieszeni po swój chronometr.

- W Moskwie jest ósma rano. Moi klienci czekają na wiadomości - zauważył. - Zaproponuję, by jak najszybciej spotkali się z Wołkowem i dodali rakiety do swojej listy zakupów. Przy okazji, Płotnikow, zanim ją zabiorą, czy mógłby mi pan pokazać, gdzie jest umieszczona tabliczka z datą produkcji rakiety?

- Dyrektor Wołkow kazał pomagać wam we wszystkim - zgodził się inżynier. Poprosił oficera o krótką zwłokę i podprowadził Petera do wyrzutni. Obok gigantycznego czternastokołowca nadal stała żelazna drabinka.

Płotnikow kazał robotnikowi przesunąć ją na tył rakiety.

- Prawdę powiedziawszy, i tak powinienem po raz ostatni rzucić okiem na tablicę kodową. Pierwsze SS-25, wdrażane w 1985, byłyby teraz niebezpiecznie niestabilne. Rakietę, którą wybrałem dla Jakowlewa, została wyprodukowana w 1990. Nie sądzę, by Wołkow podmienił pociski, żeby pozbyć się starego, ale...

Gdy Płotnikow wspiął się na drabinkę, a oczy wszystkich, nie wyłączając Oksany, powędrowały za nim, Peter ustawił zegar chronometru na trzy godziny - wystarczająco dużo czasu na załadowanie 55-25 do samolotu, ale dobrze przed startem. Wybuch trzydziestu czterech tysięcy kilogramów paliwa stałego poza Kopułą, powodując minimalne zniszczenia i ofiary w tajnym mieście, z pewnością unicestwił *Anteusza* wraz z rakieta. Taka eksplozja opóźni sprzedaż broni jądrowej przez skorumpowanych dyrektorów.

Peter przesunął bezpiecznik po raz pierwszy od czasu otrzymania chronometru z magazynu w Fort Bragg, kiedy przed sześciu laty był jeszcze oficerem rezerwy Zielonych Beretów. Kierowca właśnie wsiadał do kabiny samojazdnej wyrzutni, gdy Peter uruchomił zegar nastawiony na trzy godziny. Pracownicy Kopuły z pewnością będą mieli dość czasu na wprowadzenie wyrzutni do ładowni *An-22*, wyjście i bezpieczny powrót w obręb granitowych ścian. Peter był pewien, że wielki transportowiec nie wystartuje przed upływem trzech godzin. Eksplozja w powietrzu prawdopodobnie zniszczyłaby wszystko na ziemi poniżej.

Z nastawionym chronometrem Peter wspiął się po drabince do Płotnikowa. Zauważył tablicę znamionową. Bez pośrednictwa Oksany Płotnikow nie silił się na wyjaśnianie oznakowań. Peter skinął ręką, żeby inżynier zszedł pierwszy, sam zaś zlokalizował niklowane dysze raketowych silników pomocniczych, właściwe miejsce do zainicjowania reakcji, która miała spowodować zapłon całego paliwa rakiety. Przyłożył

magnetyczne urządzenie do wewnętrznej powierzchni jednej z dysz, zsunął się po drabinie i stanął obok Płotnikowa i Oksany.

W drodze do windy ponownie minęli rzędy uśpionych rakiet i głowic. Peter usłyszał dochodzący z tyłu warkot uruchamianego diesla samojazdnej wyrzutni. Uśmiechnął się, gdy wyobraził sobie minę Japończyka na wieść o zniszczeniu rakiety wartej dwadzieścia pięć milionów dolarów.

Ale katastrofa miała stanowić tylko chwilowe opóźnienie dla organizacji Japończyka, Wołkowa i tego starego łajdaka, jego przyszłego teścia.

48.

Płotnikow zaproponował wycieczkę po różnych poziomach Kopyły, ale Peter doskonale zdawał sobie sprawę z upływającego czasu. Do wybuchu pozostało mniej niż trzy godziny. Nie był do końca przekonany, czy jego stary pamiątkowy chronometr, mający co najmniej sześć lat, nadal jest sprawny jako detonator. Niewiadomo, jak długo leżał w magazynie Sił Specjalnych. Peter musiał jak najszybciej wrócić do Wołkowa i namówić go na późniejsze spotkanie w Moskwie - gdzie milicja z Pietrowki będzie mogła wciągnąć dyrektora w pułapkę - a potem uciekać z Oksaną z Kopyły, zanim dojdzie do eksplozji na pasie startowym.

Przy windach strażnik najpierw sprawdził ich identyfikatory, dopiero potem przywołał kabinę. Gdy wsiedli, wsunął klucz w zamek, który kontrolował dostęp do gabinetu Wołkowa i cofnął się, gdy drzwi zaczęły się zamykać. Ruszyli na najwyższy poziom Kopyły.

Wkrótce drzwi windy otworzyły się ponownie i weszli do pustego biura Wołkowa. Na biurku spoczywał mały ołowiany pojemnik. Peter założył, iż zawiera on próbkę plutonu, za którą zapłacił fałszywymi dolarami. Usłyszał niewyraźne głosy dochodzące z sąsiedniego pokoju konferencyjnego. Podszedł do biurka i podniósł ciężki pojemnik.

- Jest mój. Zabiorę go.

Płotnikow zerknął pytająco na Oksanę, która przetłumaczyła słowa Petera.

- Gdy tylko dyrektor wyrazi zgodę - odparł inżynier.

- To Sława - powiedziała Oksana po przysłuchaniu się głosom dobiegającym z przyległej sali.

Peter miał przeczucie, że zanosí się na coś złego, dlatego, mimo protestów Płotnikowa, schował pojemnik do aktówki.

- Powiedz mu, że nie wyniosę teczki bez pozwolenia Wołkowa - powiedział do Oksany. Płotnikow skinął głową.

Oksana zaczęła otwierać drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, ale Płotnikow obszedł biurko i położył rękę na jej ramieniu.

- Dyrektor powiedział, żebyście tutaj na niego poczekali.

W tej właśnie chwili do gabinetu wkroczył zadowolony Wołkow, a za nim Japończyk.

- Gratuluję, panie Jakowlew - powiedział Peter. - Jest pan właścicielem rakiety 55-25, pierwszej z wielu.

Po tłumaczeniu Oksany Japończyk oświadczył:

- Jak rozumiem, wy również macie klientów na pluton i najnowszy sprzęt z Kopyty. - Patrzył na Oksanę, gdy przekładała jego słowa na angielski.

- Jestem pewien, że pan Martinow poinformował was, że będziecie kupować za naszym pośrednictwem - powiedział Paweł od progu sali konferencyjnej. - Dzień dobry, Oksano.

Oksana skinęła mu na powitanie i przetłumaczyła.

- Powiedz Pawłowi, że mnie to odpowiada. Wszystko zależy od umowy z Wołkowem i... oczywiście Martinowem - dodał szybko i sięgnął po aktówkę. - Moje zadanie dobiegło końca.

Płotnikow zerknął pytająco na Wołkova, którego najwyraźniej rozsadzała radość - Japończyk przed chwilą zapłacił mu za właśnie dostarczany pocisk SS-25. Dyrektor z uśmiechem pokiwał głową.

- Tak, to jego.

W tej chwili, ku przerażeniu Petera, z sąsiedniego pokoju wyszedł Zekki Dekka, paplający beztrąsco o szwajcarskich akredytywach i amerykańskiej gotówce za dwie kolejne rakiety.

Zekki wlepił oczy w człowieka, który wyglądał jak jego nowojorska nemezis. To nie mógł być on. Niemożliwe.

Peter wolną ręką pociągnął Oksanę w kierunku windy.

- Kochanie, wychodzimy. Powiedz dyrektorowi, żeby kazał przygotować helikopter. Wracamy do mieszkania twojego ojca w Irkucku. Muszę zadzwonić do klientów w Moskwie i Bonn w sprawie dyrektora Wołkova.

Nim Oksana doszła do połowy tłumaczenia, Zekki, który patrzył na Petera z otwartymi ustami, wrzasnął tak, że wszyscy obecni drgnęli z przestachu.

Japończyk spojrział na niego.

- Hej, co ty wyprawiasz?

Peter cofał się ku windzie, z aktówka i szubą w jednej ręce, ciągnąc Oksanę drugą. Wcisnął guzik.

- Japończyk! - krzyknął Zekki. - Wiesz, kto to jest?

- Oczywiście. Amerykanin. Nie rycz, przestraszysz dyrektora.

- To ten pieprzony Nikhilov!

Teraz wszyscy popatrzyli na Petera, nawet Oksana.

- No i co z tego? - warknął z irytacją Japończyk.

- To glina!

Japończyk zerknął szybko na Petera. Wołkowowi szczęka opadła.

- To znaczy... milicjant?

- Nie, kurwa! Mówiącym po rosyjsku gliniarzem z Nowego Jorku!

- O co ci chodzi?

- To przykrywka, ty dupku - warknął po angielsku Peter. Potem po rosyjsku do Japończyka: - Jasne, jestem gliną w Nowym Jorku jeden czy dwa dni w tygodniu. Przez resztę czasu zarabiam pieniądze. Czy sam nie wykorzystujesz milicji do robienia szmalu dla organizacji?

Winda przyjechała i drzwi rozsunęły się. Peter wsunął między nie nogę.

- Oksana, chodź. Skontaktuję się z dyrektorem później.

- Nie! - ryknął Japończyk, ruszając w stronę windy. - Co tu się dzieje? Ani kroku!

Peter odpowiedział po rosyjsku.

- Skończyłem interes - oznajmił. - Wychodzimy. Chyba że chcesz, abym wyjaśnił dyrektorowi, co robi dla ciebie Zekki. - Wyszczrzył radośnie zęby, widząc zaskoczenie na twarzy Wołkowa.

Oksana sapnęła ze zdumienia. Oczy Japończyka wyrażały lodowatą mieszaninę szoku i gniewu.

- Więc on mówi po naszymu - powiedział gangster, natychmiast uświadamiając sobie, że zamiast zatrzymać Petera, musi go jak najszybciej wyprawić z Kopyły - byle najdalej od Wołkowa.

- Jasne! - ryknął Zekki. - Wcale nie potrzebuje tłumacza.

- Nie jesteśmy głusi, Zekki.

Peter zwrócił się do Japończyka: - Mówię po rosyjsku, to jeden z moich małych handlowych sekretów.

- Oszukałeś mnie! - krzyknęła ze złością Oksana.

- Kochanie, proszę. - Pchnął ją do windy. - O tym porozmawiamy później...

- Co to wszystko znaczy? - zapytał ostro Wołkow. Peter skinął głową na Japończyka.

- Ty wyjaśnisz gadkę Zekkiego, czyja mam to zrobić? Japończyk spiorunował wzrokiem fałszerza.

- Zekki, jeszcze trochę, a przekroczysz swoje kompetencje. Wołkow trzasnął pięścią w biurko.

- Mówicie, że to jakiś kawał? On zapłacił mi twardą walutą!

- Z Zilisi - dodał Peter.

Japończyk dumiał przez chwilę nad rozwojem sytuacji. Wraz z Pawłem byli zmuszeni zostawić swoją broń, nawet noże, przed przejściem przez wykrywacze metalu. Misza i inni ochroniarze zostali na górze. Nie mógł zabić Petera, zanim ten nie zacząłby gadać. Pośpiesznie wymyślił wyjaśnienie.

- Wiemy, że Amerykanin ma wiele wojskowych kontaktów na całym świecie. Jeżeli

jego praca w policji amerykańskiej jest przykrywką, to nie nasza sprawa. Zekki nie zrozumiał całości sytuacji. Niech Nikhilov i dziewczyna idą w swoją stronę, dyrektorze. - Rzucił ostrzegawcze spojrzenie Zekkiemu.

- Chciałbym, żeby na górze czekał na nas helikopter - powiedział Peter - i żeby Oksana mogła zadzwonić do ojca i uprzedzić go, że jesteśmy w drodze.

Wołkow popatrzył na Japończyka, który skinął głową. Dyrektor podniósł słuchawkę, połączył się z lądowiskiem i wydał niezbędne instrukcje. Kompletnie zbita z tropu Oksana pozwoliła Peterowi wprowadzić się do windy.

- Jesteś pewien, że powinniśmy go puścić, Japończyk? - zapytał Paweł, wskazując kciukiem na zamknięte drzwi kabiny. - I tę dziewczynę. Przykro mi z jej powodu. Kiedyś ją uratowaliśmy.

- Prawda, uratowaliśmy ją, lecz teraz zabijemy, razem z tym Amerykaninem - zdecydował Japończyk. - Milicja go nastąpiła. To jasne.

- Co teraz zrobimy? - Wołkow był wyraźnie przerażony.

- Możesz skontaktować się ze śmigłowcem. Rozkaż pilotowi, aby opóźnił lądowanie.

Wołkow złapał radiotelefon i nawiązał kontakt z pilotem śmigłowca podchodzącego do lądowania.

- Kapitanie Woronin, tu dyrektor. Latajcie poza widokiem z Kopyły, dopóki nie każę wam siadać.

- Tak jest, towarzyszu dyrektorze. Mogę krążyć tylko przez pół godziny, potem skończy mi się paliwo.

- Bądźcie w kontakcie.

Peter i oszołomiona Oksana wysiedli z windy na szczycie Kopyły. Po przejściu przez bramkę kontrolną, gdy strażnik oddał jej torebkę, dziewczyna zobaczyła przed sobą Miszę w czarnym, długim do kostek płaszczu, pod którym, jak wiedziała, chował *Kalasznikowa*. Skinęła ochroniarzowi i ruszyła za Peterem do biurka strażnika w kącie zimnego budynku.

- Zakładam, że to jeden z ludzi Japończyka. - Peter ruchem głowy wskazał na Miszę.

- Tak - odparła oschle.

- Zadzwoń do ojca z tego telefonu. Poproś go, żeby czekał na nas na lądowisku w Irkucku. Daj mu do zrozumienia, że jesteś w tarapatkach. Zwal winę na mnie, ale załatw, żeby stawił się z uzbrojoną ochroną. Zdecydujemy, co zrobić, kiedy będziemy razem.

Kapitan straży wskazał krzesło po drugiej stronie biurka i pchnął w jej stronę telefon. Oksana przyłożyła słuchawkę do ucha i zaczęła wybierać numer.

W gabinecie Wołkowa Japończyk, Paweł i Zekki przysłuchiwali się rozmowie dobiegającej z głośnika interkomu.

- Tato, potrzebuję pomocy. Szkoda, że cię tu nie ma.

- Jest wiele powodów, dla których nie mogę być świadkiem tego, co się tam dzieje.

W czym problem?

- Czekam z Peterem na helikopter, który ma nas zabrać do Irkucka. Peter mówi, że masz wyjechać po nas z uzbrojoną eskortą.

- Kiedy wyruszacie, Oksano? - W głosie Nikołaja zabrzmiała troska, wyraźna dla wszystkich słuchających.

- Nie wiem, tato. Na razie czekamy.

- Będę na lądowisku. Spróbuj zadzwonić do mnie przed startem.

- Spróbuję. Modlę się, żeby cię szybko zobaczyć.

Usłyszeli, jak Oksana odkłada słuchawkę. Japończyk powiedział do Wołkowa:

- Ciekaw jestem, dlaczego Martinow nie przyszedł z nami do tego gabinetu. Z pewnością chciałby zobaczyć pieniądze i dostać swój udział, ale z drugiej strony zależało mu na zachowaniu czystych rąk.

- Jedź do terminalu i powiedz Miszy, że kiedy helikopter wyląduje, ma wskoczyć na pokład - zwrócił się do Pawła. - Amerykanin i dziewczyna mają wypaść w czasie lotu. Żadnych kul.

- Cholera, Japończyk - wtrącił Wołkow - to córka Nikołaja.

- Tatuś wkrótce do niej dołączy. Już go nie potrzebujemy. - Japończyk zobaczył minę dyrektora i spiesznie dodał: - Twój udział bez niego jest dwa razy większy. - Roześmiał się. - Przestań się zamartwiać, idź do swojej sali konferencyjnej i przelicz forszę. Ale najpierw powiedz mi, jaki interes ubijeś z Peterem Nikhilovem.

- Chciał, żebym przywiózł do Moskwy pluton, za który zapłacił mi z góry. Zamierzał przedstawić mnie swoim klientom. Od tej chwili miałbym handlować bezpośrednio z nimi.

Wołkow terkotał jak karabin maszynowy.

- Mam oficjalne certyfikaty na wyjazd do Szwajcarii i sprzedaż złota odzyskanego z obwodów elektrycznych demontowanych pocisków. Wstąpienie do Moskwy byłoby wygodne.

- Dla milicji - dokończył zjadliwie Japończyk.

- Oczywiście, nie zgodziłem się na podróżowanie z plutonem.

- Ale miałbyś z sobą dolary, żeby ulokować je w szwajcarskich bankach.

- Tak.

- Tak, oczywiście - powtórzył Japończyk. Odetchnął głęboko. - Cóż, ten Amerykanin

nigdy nie zobaczy Moskwy, możesz więc zapomnieć o jego klientach. Ja pokieruję całym handlem produktami Kopuły.

Interkom na biurku Wołkowa znów ożył.

- Towarzyszu dyrektorze, tu wyrzutnia. Jesteśmy na zewnątrz i zmierzamy w stronę pasa.

- Zadzwońcie, kiedy dotrzecie do samolotu.

Japończyk złapał Wołkowa pod rękę i wprowadził go do sali konferencyjnej, gdzie na długim stole leżała sterta studolarowych banknotów.

Wołkow popatrzył na nie z zadowoleniem.- Skąd wzięliście taką kupę zielonych? - zapytał. Nadal nękała go nieufność rozbudzona konfrontacją Zekkiego z Peterem.

- Zrobiliśmy bank w Nowym Jorku - odparł z chichotem Paweł.

W tej chwili wszystkie przeszłe kłopoty i zmartwienia wydały się Wołkowowi nieważne. Japończyk z groźnego gangstera przemienił się w mądrego, dobrego przyjaciela rodziny.

Pozwolili Wołkowowi pobuszować w ciasno spakowanych banknotach. Dyrektor przesuwiał banderole i z rozkoszą wachlował się dolarami.

Po naradzie Japończyk powiedział:

- Paweł, jedź teraz do terminalu i wydaj Miszy instrukcje. I bądź przygotowany na plan numer dwa. - Potem zawołał w stronę sali konferencyjnej: - Chomiku, każ pilotowi lądować i zabrać pasażerów do Irkucka.

Peter obserwował, jak oficer dyżurny odebrał telefon, słuchał chwilę, po czym omiół przelotnym spojrzeniem jego i Oksanę. Oksana siedziała pośepnie, szczelnie otulona płaszczem. Peter postawił aktówkę obok krzesła i wyszedł z terminalu na mroźne syberyjskie powietrze. Słońce świeciło wysoko na błękitnym bezchmurnym niebie, lecz dawało ziemi niewiele ciepła.

Patrząc w dół na pas startowy, Peter zwrócił uwagę, jak precyzyjnie jest on dostosowany do wylotu tunelu. W pewnej odległości od ogromnego samolotu po wykruszonych betonowych płytach, zniszczonych przez generacje samolotów i pojazdów, leniwie toczyła się wyrzutnia z rakiętą *Sickle*. Peter zerknął na zegarek na ręce. Jego chronometr powinien wybuchnąć za godzinę czterdzieści minut - O ile, po tylu latach, w ogóle zadziała.

Dotarł do niego łopot wirnika nośnego. Śledził wzrokiem helikopter, który obniżył lot i usiadł na płozach. Prawie w tej samej chwili, gdy łopaty przestały się obracać, do śmigłowca podjechała cysterna. Wyskoczył z niej żołnierz, rozwinął wąż, zdjął nakrętkę i zaczął tankować paliwo.

W holu Oksana usłyszała metaliczny szcęk otwieranych drzwi windy i podniosła głowę. Paweł podszedł do Miszy, który stał ze swoim tłustym kompanem, i z ożywieniem zaczął mu coś klarować. Najwidoczniej zdał sobie sprawę, że dziewczyna na niego patrzy, gdyż odwrócił się i podszedł do niej z uśmiechem.

- Proszę, przekaz ode mnie wyrazy uszanowania swojemu ojcu. I uważaj na siebie, Oksano.

Peter wszedł do holu, skinął do Pawła i podniósł aktówkę. Drugą ręką złapał Oksanę za ramię i wyprowadził ją z budynku. Gdy tylko znaleźli się za drzwiami, Oksana z irytacją odrzuciła jego rękę i pomaszerowała do helikoptera. Nie była to dyrektorska maszyna, którą przylecieli rano z Nikołajem. Śmigłowiec był stary, wyraźnie widać było po nim długie lata służby.

Młody pilot odsunął drzwi po lewej stronie maszyny i opuścił schodki. Oksana nie przyjęła pomocy Petera, sama wspięła się do wnętrza i usiadła na płóciennej ławce za fotelami pilotów. Peter zajął miejsce obok i pojednawczo położył rękę na jej kolanie. Oksana zerwała się i przeniosła na ławkę naprzeciwko, gdzie skuliła się jak najdalej od niego.

- Oksano, zaufaj mi.
- Oszukałeś mnie, zrobiłeś ze mnie idiotkę.
- Po prostu chciałem być blisko ciebie.

Pilot, znacznie starszy od swego asystenta, odwrócił się i powiedział:

- Mamy dwóch dodatkowych pasażerów.

Peter i Oksana przypięli się pasami. Chwilę później zobaczyli dwie osoby wychodzące z terminalu.

- To Misza! - zawołała Oksana. - I ten tłusty dureń, którego nazywają Tatkiem.

Obaj ludzie Japończyka wskoczyli na pokład. Misza zajął miejsce obok Oksany, jego wielkie czarne oczy spjrzały poważnie na Petera; gruby Tatko z trudem przecisnął się między siedzącymi i usadowił naprzeciw dziewczyny.

Peter zapalił papierosa i wsunął go w usta. Potem odwrócił się do pierwszego pilota.

- Możecie nawiązać kontakt radiowy z dyrektorem? - zapytał.

- Tak. Kazał nam startować. Aha, znowu jest. - Pilot naciągnął drugą słuchawkę z powrotem na ucho. - Tak, cztery osoby. Trzej mężczyźni i kobieta. Do Irkucka. - Odwrócił się do Petera siedzącego wprost za jego plecami. - Zasuńcie drzwi, proszę.

Peter pochylił się, przybliżając twarz do Miszy, złapał uchwyt i zatrzaskał drzwi.

Wirnik zajęczał, silniki ryknęły, gdy helikopter poderwał się i skoczył do przodu, szybko nabierając wysokości. Peter zauważył, że maszyna okrąża Kopułę.

Tajne miasto jest na prawo, pomyślał. Tutaj nikt nie będzie szukał zwłok. Nie będą czekać, aż znajdziemy się w połowie drogi do Irkucka.

Oksana chyba wyczuła, co się święci, gdyż rzuciła Peterowi przerażone spojrzenie. Oczy Miszy zapłonęły niczym dwa węgle. Gdy helikopter wyrównał, Peter zobaczył oksydowaną lufę *Kałasznikowa*. Misza dostrzegł spojrzenie Petera i uśmiechnął się złośliwie. Odrzucił połę płaszcza, poderwał broń i wbił lufę w prawy bok Petera. Ogłuszający ryk silnika uniemożliwiał porozumiewanie się, ale intencje Miszy były zrozumiałe same przez się. Bandyta otworzył nogą boczne drzwi i skinął w ich kierunku, popychając Petera lufą pistoletu. Wiatr zaświstał w przedziale, papieros Petera sypnął iskrami.

- Kurwa mać, co jest grane?! - ryknął pilot, który odwrócił się po otwarciu drzwi.

Misza spojrział w jego stronę i Peter natychmiast wykorzystał tę chwilę nieuwagi. Wykręcił się, by zejść z linii ognia, i jednocześnie wcisnął rozżarzony papieros Miszy w nozdrze.

Misza zawył, przekrzykując hałas silnika. U boku Petera wybuchła ogłuszająca kaponada oślepiąco jasnych pocisków, od których zatliła się szuba. Pociski strzaskały

metalowe oparcie i przeorały ciało pilota. Krew zbryzgała podziurawioną szybę. Oksana wrzasnęła, gdy śmigłowiec zanurkował. Wszyscy pospadali na podłogę między siedzenia. Misza runął na Petera.

Nagle helikopter skoczył w górę i Misza upadł do tyłu. Peter kopnął go w brzuch i rzucił się na wstającego Tatkę. Na szczęście snajper miał niewielkie doświadczenie w walce wręcz.

Młody pilot, wrzeszcząc, ile sił w płucach, próbował zapanować nad maszyną i wyrównać lot. Tłusty bandzior, Tatko, przystąpił do ataku. Peter kątem oka dostrzegł błysk wielkiego ostrza w prawej ręce napastnika. Zrobił unik i nagle jego piersi i głowa znalazły się za otwartymi bocznymi drzwiami - nogi i stopy na szczęście były zaplątane we wnętrzu. Nie słyszał wrzasku, gdy bandyta z rozpędu wbił nóż w udo młodego pilota. Helikopter przechylił się na prawo, co uratowało Petera przed wypadnięciem na zewnątrz. Przechylił wrzucił go z powrotem do środka.

Maszyna znowu zanurkowała i Peter ujrzał kolbę *Katasznikowa* wystającą spomiędzy siedzeń. Złapał ją, ale Misza był szybszy i udało mu się odzyskać broń. Peter zdarł z pleców nadpalone lisie futro i cisnął je w twarz mordercy. Zdezorientował go na chwilę, ale zaraz potem lufa zwróciła się w jego stronę... ale nie pojawiły się płomienie wylotowe. Peter szybko poderwał głowę. Oksana przyciskała *Walthera* do skroni Gruzina. Misza przez chwilę trwał bez ruchu, po czym obrócił głowę - po to tylko, by zrobić kulę prosto między oczy.

Dym poszedł z tyłu głowy, dwa ciemnoczerwone strumyczki rzuciły się z nozdrzy, Misza zadygotał konwulsyjnie i zatoczył się do tyłu. Gdy helikopter zakolysał się, ciało zniknęło za bocznymi drzwiami.

Peter skoczył między siedzenia i spojrzał na plecy Tatki. Tłusty bandzior obejmował oparcie fotela, po lewej stronie jego pleców widniały dwie krwawe dziury. Oksana zastrzeliła najpierw jego, potem Miszę.

Ewolucje śmigłowca wprawiły w zdumienie małą widownię na szczycie Kopyły. Wszyscy gapili się w górę z rozdziawionymi ustami. Paweł, jego ludzie i dowódca straży stali jak zaczarowani.

- Co tam się dzieje, do kurwy nędzy? - mruknął oficer. Paweł nie odpowiedział. Oficer pobiegł na swój posterunek, by nawiązać łączność z pilotem, gdy z helikoptera wyłoniło coś niewyraźnego i w następnej chwili zniknęło.

Niedługo później z boku obracającej się maszyny wypadł człowiek.

- Załatwione - mruknął Paweł. Ciało z głośnym dudnieniem uderzyło o skraj lądowiska. - Kurwa! - zaklął Paweł. - Szybko, chłopcy, zepchnijcie trupa z urwiska.

Jego ludzie skoczyli spiesznie, on sam szedł spokojnym krokiem. Nie mógł się doczekać upadku drugiego ciała.

- Cholera! - mrucał pod nosem. - Gwałcą ją tam najpierw czy co? - Nie podobał mu się pomysł zabicia Oksany i chciał, żeby już było po wszystkim.

Z helikoptera wyleciało drugie ciało i poszybowało w kierunku skalistej równiny. Paweł patrzył na nie przez chwilę i nagle bluznął potokiem przekleństw. To były zwłoki Tatki.

Jego ludzie już machali rękoma nad pierwszą ofiarą - wysokim, chudym mężczyzną w płaszczu targanym wiatrem. Czarne oczy w zmiażdżonej głowie patrzyły pusto w niebo. Zlana krwią twarz niewątpliwie należała do Miszy. Po chwili ludzie Pawła drgnęli, wytrąceni z równowagi łoskotem drugiego ciała, które runęło na skały.

- O kurwa! - warknął jeden z nich. - To Tatko.

- Cholerne sukinsyny - warknął drugi. - Zapłacą za to.

Odwrócili się do Pawła i zamarli ze zdumienia. Na twarzy watażki widniał nieledwie czuły uśmiech.

- Szefie, co robimy?

Paweł, patrząc na helikopter nadal okrążający Kopułę, mruknął ledwie słyszalnie: - Zuch dziewczyna!

Teraz pozostawało mu jedno. Japończyk posiada zdumiewającą umiejętność przewidywania wszelkich nieprzewidzianych wypadków, pomyślał, sięgając do radiotelefonu przypiętego do pasa.

Helikopter nadal zataczał kręgi wokół Kopuły. Zimne powietrze wpadało do kabiny przez strzaskaną kulami szybę. Peter, znalazłszy pod przednim fotelem apteczkę pierwszej pomocy, zajmował się młodym pilotem. Zobaczył rękojeść wystającą z jego uda dopiero po wyrzuceniu Tatka z maszyny i zasunięciu bocznych drzwi. Oksana przywarła do oparcia fotela pilota, z pistoletem mocno zaciśniętym w ręku. Targane wiatrem włosy smagały ją po twarzy.

W kabynie było pełno krwi, chłopak jęczał głośno. Peter musiał odciągnąć ciało martwego pilota od tablicy przyrządów i ułożyć je między ławeczkami dla pasażerów. Potem sam zasiadł na fotelu i spróbował wyrównać lot maszyny.

- Oksana - zawołał ostro - pomóż mi przy tym chłopaku.

Jej twarz pojawiła się między nimi.

- Bardzo krwawi, Peter! - krzyknęła. - Zrób coś, bo zaraz straci przytomność.

- Wyciągnij pasek ze spodni pilota.

Peter skoncentrował się na wyrównaniu lotu śmigłowca rzucanego przez prądy konwekcyjne wznoszące się nad górą. Oksana zdjęła pas martwemu pilotowi i zaciśnęła go na udzie rannego.

- Możesz mu wyciągnąć ten nóż z nogi?! - krzyknęła.

Peter potrząsnął głową.

- To sprawiłoby mu okropny ból i powiększyło krwawienie.

Trzymając pewnie drążek sterowniczy między kolanami, przetrząsnął znaną apteczkę. Ze zdziwieniem i ulgą znalazł garść plastikowych jednorazowych strzykawek z etykietkami, PROMEDOL 1%. Był to skuteczny substytut morfiny. Peter natychmiast zdjął osłonkę z igły i wbił ją w odsłonięty nadgarstek chłopaka. Po chwili pilot odchylił się na oparcie fotela, jego skrzywiona z bólu i szoku twarz wygładziła się.

- Spokojnie, chłopcze - powiedział Peter. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął plik studolarówek przewiązany banderolą. Zachował je na wypadek, gdyby nagle potrzebował twardej waluty. Podsunął je chłopakowi pod nos.

- Otwórz usta i zagryź to w zębach. Mocno.

- Peter, co ty robisz?. - krzyknęła Oksana.

Chłopak zaciśnął banknoty w zębach, a Peter złapał oburącz rękojeść i wyszarpnął nóż, przewracając się na siedzenie pilota. Ranny wrzasnął, helikopter zadygotał i przechylił się. Minęli o parę metrów czubki sosen, ale po chwili maszyna znów się wzniosła.

Musieli wyrównać lot i wejść na kurs, więc Peter zdjął osłonkę z drugiej igły i zaaplikował pilotowi drugi zastrzyk.

- Jak skontaktować się z Wołkowem? - zapytał, przekrzykując hałas Peter.

- Przez radiotelefon. Załóż hełmofon. Jest nastawiony na częstotliwość Kopyły. Dyrektor powiedział, że będzie prowadził nasłuch przez całe popołudnie. Wybierz 321. Boże, ale chce mi się pić.

Wyrzutnia wioząca *Sickle* stanęła sto metrów od transportowca *An-22*. Pułkownik dowodzący załadunkiem przejrzał papiery podane mu przez kapitana załogi przejmującej. Były w porządku. Oficer złożył podpis i zwrócił dokumenty, zatrzymując jeden zestaw kopii. Odmaszerował do sztabowego samochodu, którym przyjechał za wyrzutnią do punktu przejścia, a teraz miał wrócić z powrotem do Kopyły.

- Zadzwoń do dyrektora i powiedz mu, że jesteśmy gotowi do wjazdu do ładowni - zakomenderował zastępca pułkownika.

Japończyk bawił się paczką banknotów, Płotnikow i Zekki siedzieli pod ścianą. Wszyscy czekali na powrót Pawła z lądowiska śmigłowców. Potem, po załadowaniu pocisku, mieli wydać rozkaz startu *An-22* nad Morze Kaspijskie i do punktu przeznaczenia w Iraku. Wołkow właśnie wydał zgodę na załadowanie *SS-25*, kiedy zabrzączał jego radiotelefon nastawiony na częstotliwość śmigłowca.

Śmigłowiec leciał prosto i równo. Pilot był co prawda półprzytomny, ale kontrolował maszynę.

Peter skoncentrował się na spiesźnie obmyślonym planie. Ze słuchawkami na uszach i mikrofonem przy ustach wybrał częstotliwość i prawie natychmiast usłyszał głos Wołkova.

- Słucham.

Peter najbardziej spokojnym tonem zaczął:

- Dyrektorze Wołkow, czy możemy rozmawiać swobodnie?

- Tak. - Przerwa. - Woronin... - głos dyrektora zdradzał napięcie - czy to wy?

- Słuchajcie, dyrektorze Wołkow. Nie zróbcie niczego, co wzbudziłoby podejrzenia Japończyka. Wiem, że on tam jest.

- Rozumiem.

- Tu Peter Nikhilov z helikoptera. W ciągu ostatniej godziny sporo się wydarzyło, ale nie będę zajmował wam cennego czasu. Wciśnijcie niezauważalnie guzik alarmowy na swoim biurku. Będziecie potrzebowali ochrony. I nazywajcie mnie Woroninem.

- Rozumiem, Woronin.

Wołkow był absolutnie przekonany, że musi wykonywać instrukcje Amerykanina podawane po rosyjsku, który mówił spokojnie, a jednak z ogromnym autorytetem.

Sięgnął po plik dokumentów i przysuwając je przycisnął guzik.

- Jaka jest wasza pozycja, Woronin?

- Jestem ponad Kopułą. Słuchaj uważnie. Pieniądze od Japończyka są fałszywe.

Szeroko otwarte oczy i drżąca broda Wołkowa w jednej chwili wzbudziły podejrzenia Japończyka. Przysunął się do biurka, próbując podsłuchać, czego dotyczy rozmowa. Instynktownie wyczuwał kłopoty.

- Wołkow. - Słowa Petera brzmiały wyraźnie w słuchawce, którą dyrektor szczerze przyciskał do ucha. - Dałem ci fałszywe pieniądze zgarnięte przez milicję w nalocie na drukarnię Japończyka. Sprawdź numery seryjne. Na jego dolarach znajdziesz ciąg je poprzedzający. Będą się powtarzać. Możesz się uratować przez...

Nagle Peter usłyszał głos Japończyka.

- Cześć, Woronin. Co tam się dzieje? - Najwyraźniej przestępca zdecydował, że coś idzie nie tak, i wyrwał słuchawkę dyrektorowi.

Peter nie odpowiedział. Usłyszał jakieś zamieszanie w biurze Wołkowa, potem połączenie zostało przerwane.

Czterej umundurowani strażnicy wpadli do gabinetu z bronią gotową do strzału.

- Do diabła, co jest, Chomiku? - krzyknął Japończyk. - Co ty wyprawiasz?

- Nie ruszać się. Muszę coś sprawdzić. Ale najpierw... - Wybrał numer na interkomie.

W tej samej chwili Japończyk dyskretnie podniósł miniaturowy nadajnik do ust i szybko powiedział:

- Plan numer dwa. Natychmiast!

- Realizacja planu numer dwa w toku - odparł Paweł.

Ruchoma wyrzutnia dotarła do rampy wiodącej do przepastnej ładowni An-22, kiedy zabrzęczał telefon na tablicy rozdzielczej w zaparkowanym z tyłu samochodzie sztabowym. Pułkownik odebrał i usłyszał podniesiony głos dyrektora.

- Pułkowniku, uważajcie operację za ćwiczenie. Zawracać. Natychmiast! Jak najszybciej chcę mieć raketę z powrotem w magazynie. Ile czasu to zajmie?

- Niecałą godzinę, dyrektorze.

- Zawracać!

Wołkow z hukiem odłożył słuchawkę i wpadł do sali konferencyjnej. Japończyk chciał pójść za nim, ale dyrektor dał znak ręką i strażnicy zatrzymali go w pół kroku. Wołkow zamknął za sobą drzwi i podszedł do sejfów, w którym trzymał ćwierć miliona dolarów od Petera Nikhilova. Rozłożył paczki banknotów na stole konferencyjnym. Po niecałych pięciu minutach doszedł do wniosku, że serie na banknotach są takie same,

a numery setek, które otrzymał od Japończyka, są kolejne w stosunku do tych od Amerykanina.

Może, łudził się, jest jeszcze jakaś nadzieja, jakieś sensowne wyjaśnienie. Nie potrafił stawić czoła przerażającej prawdzie.

Gorączkowo przerzucał pieniądze. Niezaprzeczalna rzeczywistość strzaskała iluzję natychmiastowego wzbogacenia się. Miał przed oczyma dwa banknoty o tym samym numerze seryjnym, dwie bliźniacze studolarówki, jedną od Japończyka i jedną od Amerykanina. Nawet gdyby jedna była prawdziwa, druga musiała być podróbką. Nic nie mogło zmienić tego faktu.

Opadł ciężko na skórzany fotel, z banknotami zaciśniętymi w dłoniach, z sercem bijącym jak oszalałe. Nagle wszystkie elementy zaczęły układać się w logiczną całość. Nad wyraz hojna oferta Japończyka, dziwna decyzja puszczenia Amerykanina... i jeśli o nim mowa, powierzenie w ciemno ćwierć miliona dolarów. Czy to możliwe, żeby takie stare wygi jak on i Martinow dały się zrobić w konia? Potem uderzyła go jeszcze jedna druzgocząca myśl. A może Martinow trzyma z Japończykiem? Nic dziwnego, że stary łajdak nie chciał być obecny w czasie dokonywania zapłaty! Przezornie usuwał się w cień, żeby móc się wyprzeć udziału w przestępstwie.

Musiał szybko zebrać myśli. Może, gdyby rozegrał to rozdanie właściwie, mógłby przechytrzyć Japończyka i wstać od stołu z prawdziwymi pieniędzmi. Przecież w jakimś punkcie transakcji Irakijczycy mieli zapłacić Japończykowi w gotówce i akredytywach. Może już dali zaliczkę. Dyrektor zerwał się od stołu z plikami banknotów w rękach i, jak rozjuszony niedźwiedź, pognął do gabinetu.

- Jak sobie radzisz? - zawołał Peter do siedzącego obok pilota, przekrzykując warkot silnika.

Ranny czuł się dużo lepiej po zastrzykach Prodemolu, które uśmierzyły ból w lewej nodze.

- Też jesteś pilotem? - zapytał.
- Nie całkiem. Mam za sobą pięć godzin kursu awaryjnego.
- Wystarczy, żeby wyciągnąć nas z kłopotów.

Wirnik helikoptera terkotał rytmicznie. Peter obrał kurs na Irkuck. Uśmiechnął się do Oksany, która spokojnie poprawiała fryzurę, uchylając się przed wiatrem wpadającym przez strzaskaną szybę. Serce przyśpieszyło mu na moment, gdy dziewczyna odpowiedziała ciepłym uśmiechem.

Popatrzył na zegarek. Za niecałe pół godziny mały, ale potężny ładunek kumulacyjny w postaci wielkiego kieszonkowego zegarka miał zdetonować trzydzieści dwie tony paliwa stałego, którego eksplozja z kolei miała zniszczyć samolot i wszystko w jego pobliżu - o ile chronometr Sił Specjalnych funkcjonuje właściwie.

- Ile czasu zajmie dotarcie do miasta? - zapytał.
- Około czterdziestu minut - odparł pilot.
- Pośpieszmy się - przynaglił Peter, oglądając się w stronę stojącego na pasie samolotu.

Na lądowisku na wierzchołku Kopyty Paweł mówił do telefonu, gdy ze zdziwieniem zobaczył, jak na dole, na pasie, wyrzutnia z raketą *Sickle* cofa się do tunelu. Zrozumiał, że coś musiało się stać w gabinecie Wołkowa, gdy Japończyk przerwał ciszę radiową i ogłosił alarm.

Na lądowisku było jeszcze paru ludzi Japończyka, ale Paweł uznał, że zostawianie ich na posterunku na zewnątrz nie byłoby zbyt rozsądne. Postanowił sprawdzić, co się dzieje na dole.

Japończyk na wszelki wypadek rozkazał, by w połowie drogi między Irkuckiem a tajnym miastem czekały dwa śmigłowce wsparcia. Były to wielozadaniowe *Mi-24* przeznaczone do przewożenia ośmiu żołnierzy. Karabiny maszynowe kalibru 12,7 mm i dwie wyrzutnie raket 57 mm zostały zdjęte dawno temu, ale na pokładzie obu maszyn znajdowali się doświadczeni strzelcy.

W terminalu Paweł zapytał dowódcę straży, co się stało. Kapitan popatrzył na niego dziwnie.

- Dyrektor wezwał straż. Od tamtej pory niczego nie słyszałem.

Coś na pewno było nie w porządku, w dodatku rakieta wracała do tunelu. Postanowił zaryzykować i wezwać Japończyka przez radiotelefon. Wcisnął klawisz.

- W czym problem, numer jeden?

- Zatrzymaj Nikhilova za wszelką cenę. Chomik zwariował i...

Połączenie zostało przerwane.

Paweł wyszedł na zimne powietrze. Zaciskając płaszcz mocno pod szyją podszedł do skraju wyrównanego lądowiska i zerknął na pas startowy u podnóża góry. Wyrzutnia obciążona swoim brzemieniem lada chwila miała zniknąć w tunelu. Popatrzył w górę i zobaczył helikopter oddalający się od tajnego miasta w kierunku Irkucka. Dzikie podskoki śmigłowca poprzedzające wypadnięcie albo wypchnięcie Miszy i Tatki świadczyły o rozgrywającej się wewnątrz zażartej walce, z której - nie wiadomo jakim cudem - zwycięsko wyszedł Amerykanin.

Paweł dał rozkaz, by oba helikoptery wsparcia ruszyły ku Kopule. Jeden miał krążyć nad samolotem transportowym na wypadek, gdyby strażnicy chcieli go opanować. Drugi, z Fofą, starym porucznikiem Japończyka z Tulun na pokładzie, miał przechwycić śmigłowca z Nikhilovem, zestrzelić go i upewnić się, że nikt nie przeżył.

Śmigłowca z Kopuły był na kursie do Irkucka, gdy pilot wyciągnął rękę przed siebie. Peter zobaczył nadlatujący od strony miasta wielki wojskowy helikopter. Nie poświęcili mu wiele uwagi; lekko zmienili kurs, by mieć więcej miejsca w czasie mijania. Ku zdziwieniu Petera wojskowa maszyna również skręciła, zachowując kurs kolizyjny.

- Nabierz wysokości - poradził Peter przez interkom.

Spróbował połączyć się z Wołkowem, ale bez skutku.

Pilot ściągnął drążek, zwiększył obroty i helikopter skoczył ku niebu. Z zaskoczeniem zobaczyli, że druga jednostka zrobiła to samo.

Obie maszyny szybko mknęły ku sobie. Boczne drzwi nadlatującego śmigłowca rozsunęły się, a z nich wyrzwały lufy dwóch karabinów maszynowych.

- Skręcaj, człowieku! - krzyknął Peter. - Wejdz w lot nurkowy, by nabrać prędkości, i wracaj do Kopuły!

Gdy pilot zawracał, ze śmigłowca posypał się grad kul. Peter w ostatniej chwili zsunął się z fotela, złapał Oksanę i rzucił się na podłogę obok ciała Woronina. Kilka pocisków przeszło burtę maszyny.

- W górę, człowieku! - krzyknął Peter. - Do Kopuły! Ich maszyna jest ciężka i powolna w manewrach. Tylko na otwartym niebie ma przewagę!

Śmigłowiec zawracał z pełną prędkością, znów nabierając wysokości. Wojskowy zatoczył szeroki krąg i ruszył w pościg.

- O cholera! - zaklął chłopak. - Czy to gówno się dzisiaj nie skończy?

- Dobry Boże - wyszeptała Oksana. - Umrzemy.

Peter zerknął na zegarek. Do detonacji chronometru zostało parę minut. Objął ręką plecy Oksany.

Ruchoma wyrzutnia powoli cofała się tunelem do komory ładunkowej. Była to operacja trudna i nużąca, kierowcy musieli korzystać z lusterek i wystawiać głowy przez okna, ale mimo wszystko łatwiejsza od zawracania ciężkim pojazdem na pasie.

Pułkownik, posłuszny rozkazom Wołkowa, zawrócił i teraz jechał przed wyrzutnią. Był zdruzony i ziewał jak najęty. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego rozkazano mu odstawić raketę z powrotem do Kopyły. W ciągu pięciu lat służby w Krasnowie 86 po raz pierwszy musieli wyprowadzić pocisk, podjechać do samolotu transportowego, a potem zawrócić. Mieli może dziesięć minut drogi do komory ładunkowej w głębi granitowej Kopyły, gdy na pułkowniku zemściło się długie przebywanie na zimnie. Ledwo panował nad pęcherzem; musiał sobie ulżyć.

W takich okolicznościach zaspokojenie potrzeby było nadzwyczaj proste. Znajdowali się niedaleko komory, ale poza zasięgiem wzroku personelu. W kamiennym podłożu wzdłuż ścian biegły głębokie rowki. Specjalna ekipa porządkowa codziennie zmywała posadzki w tunelach, laboratoriach, komorach i korytarzach. Woda spłukiwała cieniutkie warstewki radioaktywnego pyłu, który w przeciwnym wypadku narosłoby w śmiercionośny osad.

Personel Kopyły uważał te metody prewencyjne za zaproszenie do korzystania z tuneli jako wygodnych latryn. Takie postępowanie irytowało kierowników, którzy sami mieli prywatne ubikacje, i pracownicy Kopyły przyłapani na załatwianiu się w tunelach byli surowo karani. Ale natura nieuchronnie brała górę w walce z administracją.

Pułkownik zatrzymał wyrzutnię, wysiadł z samochodu i zszedł do rowu. Przyłączył się do niego kierowca z wyrzutni. W chwili, gdy rozpinali rozporki, usłyszeli ostry szczęk gdzieś na powierzchni pocisku *SS-25 Sickle*.

Ze swego stanowiska na lądowisku Paweł obserwował nagły odwrót śmigłowca z Peterem i Oksaną na pokładzie. Niedaleko za nim jeana z dwóch maszyn Japończyka próbowała zająć pozycję do strzału. Popatrzył na pas startowy i zobaczył, że w stronę samolotu kieruje się opancerzony transporter. Chomik musiał kompletnie zwariować, pomyślał, skoro wysłał oddział żołnierzy do samolotu Japończyka. Co mogło doprowadzić dyrektora do takiego szaleństwa? Nieważne; on, Paweł, miał pod sobą dwa

helikoptery pełne uzbrojonych ludzi i musiał przejąć kontrolę nad sytuacją, przynajmniej na pewien czas.

Połączył się z drugim helikopterem i kazał mu krążyć nad *Anteuszem*, kluczowym elementem w przedsięwzięciu Japończyka. Pierwszy, z Fofą dowodzącym strzelcami, z łatwością powinien rozprawić się z małym śmigłowcem.

Peter nigdy nie przypuszczał, że Japończyk okaże się taki pomysłowy. Dodatkowy helikopter z oddziałem strzelców na pokładzie stanowił przykrą niespodziankę. Młody pilot rzucał maszynę w ostry lot nurkowy za każdym razem, gdy *Mi-24* zrównywał się z nimi, a potem znów podrywał ją w górę.

Fofa i jego ludzie mieli własne trudności. Śmigłowiec był stary, jeszcze z Afganistanu, a jego uzbrojenie zostało zdemontowane. Zestrzelenie małej wazki wymagało zrównania się z nią i oddania strzałów w otwarte drzwi. Aby mieć swobodę strzałów z obu stron, otworzyli obie pary bocznych drzwi i teraz porywiste podmuchy szalały we wnętrzu, co utrudniało celowanie.

Byli gangsterami przyzwyczajonymi do prowadzenia walki na ulicach, nie z chybotliwego pokładu, ale mimo wszystko nie tracili animuszu. Grad kul sypał się w stronę uciekinierów. Znowu trafili, kule podziurawiły kadłub. Ranny pilot rzucił maszynę w głęboki skręt w lewo. W tej samej chwili Peter wypchnął na zewnątrz ciało Woronina, żeby odciążać śmigłowiec.

- Mamy jednego! - zawołał pilot-bandyta przez radiotelefon.

- Załatwcie wszystkich! - Paweł obserwował, jak niezdarny wojskowy helikopter ściga mniejszą maszynę, która skręciła w kierunku skalistego wierzchołka nad terminalem Kopyły.

- Zejdziemy w dół, okrążymy szczyt, a gdy znajdą się za nami, znowu skoczymy w górę! - krzyknął chłopak. Ale gangsterski pilot był równie pomysłowy. Skierował maszynę w drugą stronę, szerszym hakiem umożliwiającym zajęcie dogodnej pozycji strzeleckiej.

- Boże w Trójcy Jedynej! - zawołała Oksana. Na jej twarzy malowało się uniesienie wywołane przecuciem bliskiej śmierci. Peter przytulił ją do siebie, gdy pilot poderwał maszynę i wprowadził ją w zwrot, który miał ich oddalić od góry. Długie serie pocisków zapalających przemknęły tuż pod nimi.

Pułkownika ogarnęło przerażenie, gdy zobaczył jaskrawy błysk na rakiemie pomocniczej SS-25. Pęcherz odmówił mu posłuszeństwa, nim skończył rozpinać rozporek. Rakietą była hermetycznie zapieczętowana, jednakże budząca grozę czerwień rozlewała się wzdłuż spawów kontenera zawierającego siedemnaście ton paliwa. Czerwona

rana na boku rakiety powiększała się w niewiarygodnym tempie, warstwy stali łuszczyły się i odwijały na zewnątrz niczym płatki rozkwitającego metalowego kwiatu.

Purpurowy na twarzy, ciężko dyszący Wołkow stanął przed Japończykiem. Studolarówki zaścielały całą podłogę. Japończyk przyjął niedbałą pozę, z rękoma w kieszeniach, w prochowcu na jednym ramieniu. Ta szydercza postawa doprowadziła Wołkova do białej gorączki. Zekki siedział na krześle w kącie gabinetu, z rękoma zaciśniętymi między kolanami, przenosząc spojrzenie z będących jego dziełem dolarów na miotającego się dyrektora.

- Oto moja propozycja - syczał Wołkow. - Nie opuście Kopuły, dopóki należność za pocisk nie zostanie uregulowana w twardej walucie. Powiedzmy w ciągu dwóch czy trzech dni.

- Zdobycie dziesięciu milionów dolarów w tak krótkim czasie jest niemożliwe - odparł Japończyk. - A gdy moja nieobecność zacznie się przedłużać, zaczną się niepokoić.

- Kto?

Japończyk uśmiechnął się słodko.

- Moi ludzie.

Uśmiech Wołkova był równie przyjemny.

- Twoi ludzie są daleko. Moi strażnicy są na miejscu. Nie próbuj mnie zastraszyć!

Japończyk zachichotał.

- Najwyraźniej jesteś nowicjuszem w biznesie wymuszania. Najpierw trzeba wiedzieć, czy ofiara jest w stanie dać to, czego się od niej żąda.

- Ja siedzę na sprzęcie. Ty siedzisz na forsie. Tym samym powinniśmy dojść do porozumienia.

- Musiałbym być wolny, żeby skontaktować się z moimi współpracownikami w Bonn, Zurychu, Frankfurtach, w całej Europie.

- Możesz skorzystać z telefonu. - Wołkow wskazał na aparat.

Japończyk zaczął odwracać się plecami do biurka, a Wołkow miał właśnie wydać rozkaz strażnikom, gdy wszystkie meble w pokoju podskoczyły niczym kangury. Ciężkie biurko wykonało podobny manewr; po drodze przewróciło dyrektora i z trzaskiem uderzyło w przeciwną ścianę. Zekki wydał przesywający, kobiecy pisk, gdy podłoga wzniosła się prawie o pół metra i szarpnęła w bok. Wszyscy zostali zbici z nóg przez gigantyczną falę uderzeniową, która przebiegła przez lity granit. Strażnicy potoczyli się po drżącej posadzce jak ołowiane żołnierzyki, z góry sypnął się na nich gipsowy sufit.

Stałe paliwo napędowe rakiety składało się z kryształków utleniacza, sproszkowanego aluminium i lepiszcza z syntetycznej gumy, które uniemożliwiało kontakt ziaren

aluminium z powietrzem. Po wybuchu detonatora, który rozhermetyzował kadłub, małe ziarenka zapaliły się gwałtownie.

Paliwo raz zapalone nie przestawało płonąć, wytwarzając gorący gaz o temperaturze ponad 4.000°C. Taka temperatura w normalnych warunkach powoduje wzrost ciśnienia do 930 atmosfer, co umożliwia wyniesienie pocisku w niebo. Nie kontrolowana eksplozja całego paliwa raketowego podniosła ciśnienie do 600.000 atmosfer.

Ściana ognia wypełniła tunel, pułkownik i jego ludzie po prostu wyparowali. Ogień wdarł się do komory załadowniczej i przemienił ją w rozżarzony do białości piec; we wszystkie strony pryskały krople stopionego metalu. Czaszki zaskoczonych w komorze stu robotników eksplodowały, gdy zawarta w mózgu wilgoć przemieniła się w parę i rozdarła kości. W ułamku sekundy masa płomieni i stopione szczątki wpadły w kolisty tunel biegnący wokół podstawy Kopuły, szyny zwinęły się w rozżarzone do białości spirale i stopiły z sufitem. Przewody i kable na ścianach zapaliły się jak słoma, co spowodowało szereg zwarć i wyłączenie zasilania w całym kompleksie. .

Eksplozja siedemnastu tysięcy kilogramów stałego paliwa w tunelu nie zniszczyła głowicy pocisku; przeciwnie, została ona wystrzelona z gigantycznej rury w granitową górę niczym kula z lufy pistoletu. Głowica rozdarła na strzępy podwójną stalową bramę o masie trzydziestu ton. Rosnąca kula ognia, która towarzyszyła jej jak ogon komecie, w ułamku sekundy spopieliała strażników przy wejściu.

Ukośna błyskawica wystrzeliła z wyrwy u stóp Kopuły, przewracając cysterny jak zabawki i ścierając w pył opancerzony transporter przewożący oddział strażników. Jądro tej oszalałej komety tworzyła okaleczona głowica, wytracająca pęd, rozchybotała, ciągnąca za sobą smugę płomieni. Stopiona mieszanina aluminium przepaliła się przez kadłub samolotu i czerwone krople płynnego metalu wżarły się w zbiorniki z paliwem.

Nowa fala ognia wybuchła z kabiny, piloci wlecieli ponad szalejące niżej piekło w chmurze odłamków szkła i fragmentów kadłuba. Samolot podskoczył w miejscu jak żywy i zniknął w ognistej kuli, gdy eksplodowało paliwo. Resztki ogona, skrzydeł i silników wystrzeliły wysoko w powietrze i helikopter, który krążył nad samolotem, również zniknął w gigantycznym wybuchu.

Przez sekundy, które wydawały się wiecznością, Paweł z grozą obserwował pandemonium u podnóża Kopuły. Przez całe burzliwe życie nie był świadkiem takiej katastrofy. Strażnicy biegali w panice, kapitan próbował skontaktować się telefonicznie z dyrektorem. Paweł musiał w jakiś sposób znaleźć Japończyka. Podniósł głowę i zobaczył *Mi-24* zbliżający się do maszyny, w której lecieli Peter i Oksana, dwaj strzelcy celowali z otwartych drzwi.

Peter mocno obejmował Oksanę, gdy wielki wojskowy helikopter *Mi-24 D* zaczął swój morderczy pościg, zmuszając ich do odskoku ponad szczytem góry. Poprzedniego ataku uniknęli przez zanurkowanie blisko stromego zbocza. Wielki wojskowy śmigłowiec musiał skrócić, nabrać wysokości i odsunąć się od skalistej góry. Ale drapieżna jednostka znowu kierowała się na nich i tym razem zostało niewiele miejsca na zastosowanie uników.

Pilot odwrócił się i wrzasnął coś, wskazując w kierunku ziemi. Peter oderwał oczy od nieprzyjacielskiej maszyny i spojrzał w dół przez pleksiglasową taflę w zamkniętych drzwiach. Na chwilę zapomniał o ataku z powietrza, gdy zobaczył kulę ognia przemykającą przez lądowisko dla helikopterów.

Potem jego uwagę przyciągnęły błyski z luf szybko zbliżających się powietrznych zabójców. Spróbował pchnąć Oksanę za siebie.

Nagle silny prąd wstępujący, niczym pośpieszna winda, porwał obie maszyny w niebo.

Pilot przyciągnął drążek do piersi, by jeszcze bardziej poderwać śmigłowiec. Chmura czarnego, oleistego popiołu wznosiła się z dołu, za nią mknęły w górę fragmenty budynków. Ale *Mi-24 D* nie został uszkodzony.

Paweł patrzył w niebo przez dym wznoszący się z rykiem z głębi terminalu i przepelniający powietrze nad Kopułą. Nie było czasu na dalsze akrobacje, o ile on i Japończyk mieli wyjść z życiem z tego piekła.

Podniósł radio do ust i krzyknął:

- Tu Paweł. Fofa, natychmiast ląduj na Kopule.

- Wchodzimy na pozycję, szefie. Tym razem na pewno ich dorwiemy - odpowiedział Fofa.

- Pieprzyć pozycję. Siadajcie, natychmiast! To bezpośredni rozkaz Japończyka. Możesz załatwić śmigłowiec później. Ląduj, kurwa mać! Natychmiast! Słyszysz?!

- Rozkaz, szefie.

Paweł spróbował złapać Japończyka przez radiotelefon, ale w gabinecie Wołkowa czas na rozmowy dobiegł końca. Płotnikow przewracał oczyma w skrajnym przerażeniu, twarz miał bielszą niż gips osypujący się z sufitu, jego usta otwierały się i zamykały jak pysk ryby. Zaciskał dłoń na rękawie Japończyka.

Chomikowi udało się wcisnąć na czworaka pod biurko. Dwaj strażnicy nadal byli nieprzytomni. Dowódca straży, wspierając się o ścianę, próbował podnieść się na nogi.

Wreszcie zszokowane bębunki zaczęły reagować na dźwięki.

- Wiedziałem! - ryczał Płotnikow. - Wiedziałem, że ta chciwa świnia upiecze się tutaj pewnego dnia! Tam są pociski na paliwo płynne!

- Pociski? - powtórzył Japończyk.

- To dopiero początek. Jeżeli pójdą magazyny, wyrzuci nas na Księżyc!

Upierne wycie dotarło nawet do najbardziej nadwątłych uszu. Zekki rzucił się do windy, potknął się, upadł, wstał i wskoczył do kabiny, na oślep wciskając guziki. Drzwi, wypaczone przez wybuch, nie zamknęły się do końca. W następnej chwili za Zekkim wpadł do windy dowódca straży i jeden z żołnierzy.

Nawet przyzwyczajony do przemocy Japończyk był wstrząśnięty, gdy winda została dźwignięta przez kolumnę rozgrzanego do białości gazu. Lustra popękały i strzeliły odłamkami szkła do gabinetu, ściany zapadły się i cała bezkształtna masa, która ułamek sekundy wcześniej była kabiną windy, zniknęła w ognistej jamie.

Japończyk złapał Płotnikowa za kołnierz.

- Kurwa, jak stąd wyjść?! Gadaj!

Płotnikow bełkotał coś niezrozumiale przez parę sekund.

- Kopuła pod nami przemieniła się w piec, cały system zasilania uległ awarii. - Jego słowa rwały się i zlewały z sobą. - Cała zmiana, ponad tysiąc osób, została na zawsze zamknięta w komorach i korytarzach, upieczona żywcem albo spalona w unieruchomionych windach. Wszystkie systemy bezpieczeństwa i zamki magnetyczne uległy zniszczeniu.

- Wyprowadź nas! - ryknął Japończyk.

- Może jest jakieś wyjście. - Płotnikow, sterroryzowany dzikim instynktem samozachowawczym Japończyka, krzyczał chrapliwie. - Dopóki Wołkow nie wylał Mirkowa i nie wsadził mnie na jego miejsce, byłem inżynierem systemów wentylacyjnych.

- No to ruszamy!

- Za tym biurem jest korytarz wentylacyjny, który prowadzi do szybu czerpiącego powietrze z zewnątrz. To nasza jedyna szansa.

Ale drogę ucieczki zabarykadował Wołkow, który siedział na podłodze okryty grubą warstwą białego pyłu. Wyglądał jak piekarz i stanowiłby zabawny widok, gdyby nie trzymany niezdarnie *Katasznikow*. Ile sił w płucach wrzasnął:

- Nie ruszać się, dupki! Ani kroku!

- Dyrektorze - westchnął Japończyk. - Daj spokój. To nie jest zabawne. Kopuła wylatuje w powietrze!

Podłoga znów zadygotała, ściany zakołysały się. Ciężki żyrandol z brązu, który oparł się pierwszej fali wstrząsów, runął wraz z kawałem tynku na głowę i ramiona Wołkowa. Dyrektor stęknął i przewalił się na bok. Kolejny ryk z szybu windy przemienił się w grzmot, potem z otworu buchnęły białe płomienie, szybko wysysając powietrze z gabinetu.

Japończyk podniósł broń i zabrał dodatkowy magazynek z torby nieprzytomnego żołnierza. Blask białych płomieni i czerwonych mrugających świateł awaryjnych pełgał po jego wykrzywionej twarzy i rozczochranych czarnych włosach. Japończyk pobiegł za Płotnikowem do sali konferencyjnej. Wokół nich szalała zielona burza studolarówek porwanych przez prądy powietrza. Zanurzyli się w pełną dymu ciemność korytarza wentylacyjnego. Udało im się przebiec parę metrów, ale zatrzymały ich duszące wyziewy.

Oparli się o ścianę. Japończyk rzucił *Katasznikowa*, rozdarł marynarkę, zerwał koszulę i owinał nią twarz i głowę. Prymitywna maska gazowa przyniosła niewielką ulgę. Płotnikow próbował pójść za jego przykładem, lecz zaplątał się we własne ubranie.

Japończyk owinał mu głowę koszulą i zawiązał na karku węzeł tak ciasny, że mało brakowało, a udusiłby charczącego przewodnika. Płotnikow podniósł ręce w próbie poluzowania węzła.

- Chodź, człowieku! - krzyknął Japończyk, schylając się po karabin. - Ruszaj się, bo inaczej będą z nas szaszłyki!

Pomknęli pełnymi dymu, oświetlonymi czerwonymi lampkami korytarzami, desperacko zmiernając do szybu wychodzącego na powierzchnię. W paru miejscach stropy już się zarwały i musieli przedzierać się przez stosy gruzu, drutu i elementów konstrukcyjnych. Strumienie wody z popękanych rur litościwie spryskiwały materiał na twarzach, co lepiej chroniło przed dymem. Ryk i wstrząsy eksplozji dodawały im skrzydeł. Strugi potu ściekały po ich ciałach, czerwone i żółte kręgi tańczyły przed oczyma. Ani Japończykowi, ani jego przewodnikowi śmierć nigdy tak blisko nie deptała po piętach.

Dwa razy zostali powaleni przez potężne wstrząsy. W jednym korytarzu jęzor płomieni wytrysnął niespodzianie ze szczeliny w podłodze. Uskoczyli na bok, przyciskając wilgotne koszule do twarzy. Ale Japończyka ogarnęło uniesienie: ogień mógł wybuchnąć tylko tam, gdzie do szybów docierał tlen.

Wpadli do opuszczonego laboratorium. Potykając się o krzesła i sprzęt, przebiegli amfiladę pomieszczeń i znaleźli się w długiej hali. Na podłodze leżało kilka nadpalonych ciał, dwa zostały dosłownie wtopione w metalową ścianę. Skręciwszy za rogiem w korytarz wentylacyjny, wpadli na czterech okrytych sadzą ludzi w złachmanionych mundurach straży.

Mężczyźni szaleńczo tłukli w solidne żelazne sztaby zagradzające wejście do pionowego szybu wentylacyjnego. Japończyk wyczuł bliski ratunek, gdy Płotnikow zaczął bełkotać i wskazał na zamek w kracie. Dwaj ze strażników odwrócili się, krzycząc coś niezrozumiale. W pomieszczeniu za nimi otworzyła się szczelina i czarne, ruchliwe cienie obrysowały sylwetki pozostałych przy życiu.

W blasku migocących płomieni Japończyk poderwał lufę *Katasznikowa* i nacisnął spust. Trzej mężczyźni upadli od razu jak rażeni gromem, czwarty balansował chwilę, z dymiącym mundurem, potem runął na pozostałych. Płotnikow otworzył usta, z jego gardła wyrwało się dziwne chrapliwe zawodzenie.

Japończyk puścił serię w zamek i roztrzaskał go. Odciągnął kratę, zajrzał do szybu. Wysoko zobaczył małe białe światełko. Żelazne szczeble prymitywnej drabiny pięły się w nieskończoność ku powierzchni Kopyły. Przerzucił pas *Katasznikowa* przez ramię i ruszył w górę.

Na lądowisku dla helikopterów na szczycie Kopyły panowało piekło. Strażnicy miotali się bezcelowo, gdy kolejna potężna fala uderzeniowa dotarła z magazynów przez wydrążoną granitową górę. W hangarze personel naziemny zdzierał plandeki z dwóch wojskowych śmigłowców.

Oficer dyżurny porzucił swoje biurko i podbiegł do Pawła, który stał przed terminalem.

- Chcecie się stąd wydostać?

Paweł uśmiechnął się z przekąsem na widok wyprowadzanego z hangaru wojskowego helikoptera.

- Zwiewacie bez pozwolenia dyrektora?

Twarz oficera wykrzywiła się, usta zadrżały. Odskokzył od Pawła niczym od żmii i wymachując rękoma pobiegł do śmigłowca, zajmowanego w błyskawicznym tempie przez żołnierzy i techników, którym udało się wydostać na powierzchnię.

Paweł skoczył do terminalu i przypadł do biurka dowódcy straży. Próbował dozwonić się do gabinetu dyrektora. Szaleńczo trząsał widelkami, ale nikt się nie zgłaszał.

Za zamkniętymi drzwiami windy rozległ się złowróżbny ryk. Paweł instynktownie rzucił telefon i uciekł z terminalu. W tej samej chwili drzwi zostały wydarte z obudowy i rzucone w jezorze ognia na przeciwną ścianę. Przebiły ją, przeleciały nad pasem asfaltu i wpadły do hangaru, z którego chwilę wcześniej wyprowadzono drugi śmigłowiec. Potem dach hangaru wyleciał w powietrze, a płomienie rozszalały się w budynku, który po kilku sekundach strzelił w niebo jak ognisty gejzer.

Paweł i jego dwaj ludzie, stojący dość daleko od lądowiska, z grozą patrzyli na pożogę.

- O cholera! - wyszeptał jeden. - Gdzie jest Japończyk?

Paweł zacisnął zęby.

Ich uwagę przyciągnął warkot. Paweł patrzył, jak stary wojskowy helikopter siada na środku lądowiska, jak najdalej od płonących ruin terminalu. Z maszyny wyskoczyli Fofa i dwaj inni ludzie z karabinami maszynowymi. Podmuch wywołany przez cztery obracające się łopaty wirnika nośnego tarosił ich kurtki, gdy schyleni biegli do Pawła.

- Gdzie jest Japończyk? - zapytał Fofa.

- A skąd ja, kurwa, mogę wiedzieć? - Paweł machnął rękoma w stronę fontanny płomieni buchających ze szczytu szybu windy, który teraz wystawał z rumowiska.

- Co robimy?

- Kurwa, nigdzie nie pójdziemy bez Japończyka!

Inni członkowie załogi otaczający Pawła wyrazili wyraźne niezadowolenie z jego decyzji.

- Zwariowałeś?

- Widziałeś to piekło na dole?

- No i co, kurwa? - warknął Paweł. - Nie zostawimy go. Tym razem Fofa pomachał ręką.

- A jeśli nie żyje?

- Zczekamy jeszcze dziesięć minut! - zarządził Paweł.

- Cała góra się trzęsie! - krzyknął jeden z poruczników.

- Mam to w dupie! Czekamy! Powiedz pilotom, żeby wyłączyli silniki i przestali marnować paliwo.

Fofa pobiegł do helikoptera. Góra drżała niczym wulkan na chwilę przed wybuchem, z dołu dochodziły złowieszcze grzmoty i dudnienie. Myśl o setkach rakiet zmagazynowanych poniżej dosłownie paraliżowała; Paweł zmusił się do skoncentrowania na Japończyku.

Wirniki śmigłowca obracały się leniwie, gotowe do ruszenia z pełną prędkością. Paweł ze złością przyskoczył do maszyny.

Fofa użerał się z dwoma gangsterami przy otwartych drzwiach.

- Gównu nas to obchodzi! - usłyszał Paweł. - Żyje czy nie. Albo zaraz odlecimy, albo zginiemy!

Twarz Fofy wykrzywiła się jak pysk wściekłego psa. Złapał jednego ze strzelców za włosy i trzasnął jego głową o kadłub maszyny. Drugi podniósł karabin i na odlew uderzył go łufą w twarz. Fofa runął na ziemię, krew rzuciła mu się z nosa i rozciętych ust. Paweł wyciągnął pistolet i z bliska strzelił mężczyźnie w głowę, krew bluznęła na drzwi śmigłowca. Odwrócił się i posłał dwie kule drugiemu zdrajcy, a potem porwał z

ziemi karabin maszynowy i strzelił serią w otwarte drzwi. Ludzie rzucili się na podłogę, gdy gangster, wymachując bronią, wskoczył do środka.

- Wynocha! Wypierdalać! Piloci też. Wyłączyć silnik! - Kopniakiem otworzył drzwi prowadzące do kabiny. Ludzie wyskoczyli z helikoptera, silniki umilkły. Paweł wyskoczył za nimi i pomógł Fofie.

- Cholerne sukinsyny! - syknął Fofa i puścił kolejną serię nad ich głowami.

- Twarzą w dół! Na ziemię! Twarzą w dół! - ryknął Paweł.

- Co mamy zrobić, szefie? - wyskamdł jeden z ludzi.

- Twarzą w dół! Albo odlecimy stąd z Japończykiem, albo wszystkich nas szlag trafi! Twarzą do ziemi, mówię!

Mężczyźni nie mieli wyboru. Rozłożyli się na betonie obok ciał martwych towarzyszy. Z tunelu u podstawy Kopyły wzniosła się ściana dymu, z której, za każdym razem, gdy górą wstrząsała kolejna eksplozja, strzelały ogniste jęzory. Z szybu windy na szczycie trysnęła następna fontanna płomieni.

Paweł podniósł ręce do twarzy. Na dłoni zobaczył krew i sadzę. Stracił poczucie czasu.

- Co zrobimy, szefie? - zapytał jeden z leżących.

U boku Pawła stał Fofa, przeklinając siarczyście i plując krwawą śliną. Trzymał leżących na muszce.

- Czekamy. Kurwa, czekamy.

Z trzewi góry dobiegła kolejna eksplozja.

Pokonanie pierwszych dwustu szczebli było stosunkowo łatwe, ale po kilku minutach Japończyk zdał sobie sprawę, że ma za sobą zaledwie ułamek drogi na powierzchnię Kopyły. Przyzywający go mały, jasny otwór wydawał się nieosiągalny jak gwiazda. Zaczęły mu drętwieć ramiona, nadgarstki i nogi w kostkach.

Obaj z Płotnikowem zdarli koszule z głów. Japończyk zatrzymał się na chwilę, gdy poczuł strumień spływającego z góry zimnego powietrza. Ogień pochłaniający jądro Kopyły zasysał powietrze przez wszystkie otwory wentylacyjne i wychodzące na zewnątrz tunele. Przeciągi roznosiły płomienie po wszystkich magazynach i halach.

Japończyk miał wrażenie, że wspina się już sto lat. Gdzieś pod nim stękał Płotnikow. Zapomniał o jasnym, przyjaznym dziennym świetle wysoko nad głową. Myślał tylko o drętwocie ogarniającej jego ręce i nogi. Całe jego życie sprowadziło się do prostego ruchu, jeden-dwa, jeden-dwa, a instynkt samozachowawczy powtarzał mu głośno i wyraźnie, że kiedy ten monotony ruch ustanie, jego życie dobiegnie końca.

Potem coś uległo zmianie. Ciąg powietrza w szybie odwrócił się. Japończyk poczuł się tak, jakby szczęki zacisnęły się na jego gardle, a żołądek skurczył w twardą kulę. Z

dołu wznosił się czarny dym. Płotnikow zawył jak szalenciec, jego głowa trąciła nogi Japończyka. Czy po tym wszystkim miał zabić ich dym?

Inżynier był w dużo gorszym stanie, bo idący przed nim blokował napływ świeżego powietrza z powierzchni. Palce zdesperowanego człowieka zacisnęły się na spodniach Japończyka. Gangster wierzgał nogą na każdym kolejnym szczeblu, ale kopniakom brakowało siły - całą zużywał na wspinaczkę. Inżynier postawił swoje życie na próbę wyminięcia przeszkody i w jednym szokującym ruchu wbił zęby w jego goleń. Ostry ból wyzwolił w ofierze resztki energii. Wrzasnął i wymierzył potężnego kopniaka. Jego pięta zderzyła się z czołem Płotnikowa. Drugi kopniak napotkał tylko powietrze. Inżynier zniknął. Japończyk nie zwracał sobie głowy słuchaniem łoskotu objającego się o szczeble ciała.

Ruszył dalej. Dym z jakiegoś powodu stał się mniej gęsty, ale Japończyk był prawie nieprzytomny. Walczył z wizjami, jakie przyćmiewały mu umysł. Stary przygarbiony Szakal ze złotą skrą w kąci szeroko otwartych ust krążył wokół niego niczym drapieżny ptak. Potem zobaczył wyraźnie salę sądową w Moskwie i sędziego w czarnej todze, który oznajmił:

- Jesteś skazany na piętnaście lat wspinaczki.

Coś uderzyło go w głowę. Otworzył oczy. Znajdował się w stalowej kabinie z długimi szczelinami wentylacyjnymi w czterech ścianach. Widział przez nie pokryte śniegiem głązy. Wyciągnął zdrtwiałą rękę po *Kałasznikowa*. Wsunął lufę pod zamek klapy w dachu szybu. Jeszcze chwila - i pełzł na łokciach i kolanach w zimnym białym śniegu, roziskrzonym i chrzęszczącym. Podniósł głowę, zobaczył lądowisko; po paru minutach odpoczynku podniósł się ciężko i pobrnął w stronę helikoptera, jednego z dwóch, które zakupił dla wsparcia swojej operacji.

Żaden z poruczników, nawet Paweł, nie poznał człowieka, który pojawił się na skraju lądowiska. Był nagi do pasa, na karku wisały mu jakieś szmaty, tors miał zbiełały od mrozu, twarz czarną od sadzy, rozczochrane włosy. W prawej ręce trzymał pas wleczonego za sobą *Kałasznikowa*.

Rozpostarci na ziemi porucznicy ze zdumieniem wlepiali oczy w tę zjawę. Fofa zareagował pierwszy. Zdarł kozuch z zabitego buntownika, podbiegł do zbliżającego się mężczyzny i zarzucił mu okrycie na ramiona. Paweł nadal gapił się na niego w milczeniu, gdy leżący zaczęli poszeptywać:

- Japończyk, to Japończyk.

Japończyk ze zdumieniem ogarnął wzrokiem scenierię. Góra dygotała, z szybu windy strzelał gejzer ognia, z głębi Kopuły dobiegało dudnienie.

Uśmiechnął się szeroko i pomachał do leżących.

- Co was tu przywiodło? - zapytał.

Paweł odzyskał mowę.

- Ćwiczenia.

- Jakie ćwiczenia? - Japończyk łypnął na dwa trupy i zmasakrowaną twarz Fofy.

- Cierpliwości - odparł Fofa. - Było paru niecierpliwych, co wymusiło pewne represje.

Japończyk miał zamiar coś powiedzieć, ale powierzchnia Kopyły pod płonącym terminalem otworzyła się, kawały asfaltu wyleciały w powietrze i długa szczelina zygzakiem przecięła łądowisko. Kilku poruczników wrzasnęło, gdy z rozpadliny na szczycie wzniosła się kula ognia.

- Dobra, chłopcy - zawołał Japończyk. - Robi się gorąco. Czas zwiewać. Teraz, porządnie, jeden za drugim, udamy się do helikoptera. Paweł sprawdzi bilety.

Po trzech minutach śmigłowiec oderwał się od ziemi, przez pewien czas nabierał wysokości, by pomknąć na południowy wschód. Lecieli może dziesięć minut, gdy oślepił ich błysk. Wszyscy przycisnęli twarze do okien.

Kopułę przysłoniła potworna kolumna czarnych chmur. Paweł odwrócił poszarzałą twarz do szefa.

- Wyleciał w powietrze. Cały pieprzony plan. Kurwa jego mać!

- Hiroszima - mruknął obojętnie Japończyk. - Mimo wszystko, żadnych świadków. Wszystkie fałszywe dolary zostały zniszczone, łącznie z tymi przejętymi przez milicję.

Potał sobie łydkę.

- Jesteś ranny? - spytał Paweł.

- Pieprzony Płotnikow. Ale uratował mi życie.

- A Wołkow?

- Chyba straciliśmy naszego dzielnego towarzysza. Nieważne, znajdziemy następnego zachłannego wieprza. Są we wszystkich tajnych miastach, fabrykach, magazynach, silosach. Za parę tygodni znów będziemy w biznesie.

- Japończyk - zaczął poważnie Paweł. - Misza i Tatko nie żyją. Amerykanin i Oksana uciekli.

Japończyk wzruszył ramionami.

- No cóż, wobec tego mamy coś do załatwienia przed przystąpieniem do realizowania zamówień naszych klientów. Jestem pewien, że zaczekają cierpliwie, póki nie znajdziemy nowych źródeł zaopatrzenia.

Japończyk odchylił się na oparcie płóciennego siedzenia i, wsłuchując się w rytmiczny łopot wirnika, podniósł do ust podaną przez Pawła butelkę koniaku.

53.

Peter wymruczał dziękczynną modlitwę. Niezależnie od przyczyny wybuchu - uśmiechnął się ponuro na myśl o swoim chronometrze - w tej okropnej chwili, gdy czekała ich pewna śmierć, kataklizm w jakiś sposób uniemożliwił ostateczny atak wrogiego helikoptera. Razem z Oksaną patrzył z niedowierzaniem w środek ognia i dymu, który spowijał szczyt Kopyły.

Teraz przemykali nad skalistą równiną, oddalając się od fajerwerków szalejących nad Krasnowem 86.

- Chyba się udało, Oksano! - zawołał jej do ucha w ryku silnika i łopat.

- A już myślałam, że spotkam się z matką! - odrzyknęła Oksaną.

- Czeka nas przed tym wiele lat wspólnego życia. - Ich usta spotkały się; szum powietrza wpadającego przez dziury po kulach, łoskot łopat i zawroźnienie silnika na chwilę poszły w zapomnienie.

Pół godziny później zbliżali się do Irkucka. Po wylądowaniu Peter pomógł wyjść Oksanie z maszyny. Amerykanin wrócił do helikoptera, aby pomóc rannemu pilotowi wstać z fotela i wysiąść na ziemię. Podszedł do nich szef mechaników irkuckiego terminalu. Stał jak wryty na widok podziurawionego kulami kadłuba, strzaskanej szyby i zbryzganego krwią wnętrza.

- Do diabła, co wam się stało? Gdzie jest Woronin?

- Potrzebny lekarz, niech czeka w szpitalu - odpowiedział po rosyjsku Peter.

Nikołaj Martinow podbiegł do uszkodzonego helikoptera i wziął córkę w ramiona.

- Co się stało? Oboje wyglądacie okropnie!

Peter mrugnął do niego.

- To długa historia. Jestem pewien, że nie zobaczysz swoich drogich przyjaciół... dopóki wszyscy nie spotkacie się w piekle.

Martinow wytrzeszczył oczy.

- Co, jest, kurwa? To znaczy... przepraszam, Oksano. On mówi po rosyjsku?

Oksaną uśmiechnęła się promiennie, wyslizgnęła z ramion ojca i ujęła Petera pod ramię.

- Jak mówią w Ameryce, szybko się uczy.

Usłyszeli coś, co zabrzmiało jak odległy grzmot, i biała błyskawica pojawiła się na ciemniejącym przedwieczornym niebie. Ale o tej porze roku burza nie wchodziła w rachubę. Była późna jesień.

Peter wrócił do śmigłowca i spod siedzenia pilota wyjął swoją aktówkę. Niezłą pamiętkę przywozё chłopcom na Pietrowce, pomyślał.

- Chodźcie, samochód czeka - przynaglił Martinow. - Przyda wam się porządny drink, kolacja i długi wypoczynek.

- Co z naszym pilotem? - zapytał Peter.

- Ojcz - krzyknęła Oksana - nie możemy go tak zostawić. Jest dość miejsca w samochodzie, żeby zabrać go do szpitala.

Martinow popatrzył na żałośnie wyglądającego młodego człowieka, który opierał się o kadłub helikoptera, z paskiem zaciśniętym wokół skrwawionego uda. Skinął na swoich ludzi, którzy pomogli chłopakowi usadowić się na przednim fotelu luksusowego amerykańskiego pojazdu.

Tłum zbierający się na lądowisku domagał się wieści dotyczących wydarzeń w tajnym mieście Krasnow 86. Ludzie zaczepiali Petera i Oksanę, zasypywali ich pytaniami i wskazywali na czarny słup dymu podnoszący się na północnym zachodzie. Zapytani odpowiadali, że byli w powietrzu, w drodze do Irkucka, gdy doszło do eksplozji. Nie wiedzieli, ani co ją spowodowało, ani jak rozległe są zniszczenia.

Po zostawieniu rannego pilota w szpitalu pojechali do mieszkania Martinowa. Peter i Oksana wykąпали się, i zmienili ubrania. Opowiedzieli Nikołajowi wszystko, co wiedzieli o eksplozjach, jak dotąd niewyjaśnionych. Peter nie wspomniał o chronometrze, który zapoczątkował łańcuch wybuchów. Dla Nikołaja było jasne, że Japończyk i Paweł wydali rozkaz zamordowania Petera i Oksany. Namawiał Oksanę, by podporządkowała się instynktom Petera i jak najszybciej wyjechała z Irkucka, a potem z Rosji. Ludzie Japończyka byli wszędzie, inwigilowali rodzinę Wołkowa, a dwóch stawiło się już na terminalu w chwili przylotu Petera i Oksany. Inni czekali na dalsze rozkazy.

Nikołaj odwiózł ich na lotnisko na nocny lot do Moskwy.

- Opiekuj się moją córką - powiedział Peterowi, gdy wielki wóz zbliżał się do punktu przeznaczenia. - Będzie mi jej brakowało, kiedy zamieszka w Ameryce, ale w Moskwie nie byłaby bezpieczna. Nawet jeżeli Japończyk nie żyje, jego organizacja jest potężna.

- Zadzwoń do pułkownika Nieczajewa na Pietrowkę - poprosił Peter. - Niech policyjna eskorta wyjedzie nam na spotkanie. Pojedziemy prosto do ambasady amerykańskiej po wizę Oksany, a potem pierwszym samolotem polecimy na Zachód.

- Będę musiała spać w ubrania - zaprotestowała Oksana.

Peter i Nikołaj jednocześnie pokręcili głowami.

- Możemy kupić ci wszystko co potrzeba w Nowym Jorku - powiedział Peter.

- Jeżeli ludzie Japończyka cię szukają, mieszkanie będzie pierwszym miejscem, jakie odwiedzą - poparł go Nikołaj.

- Czy Sława mógłby wydostać się z Kopyły? - zapytała.
- To nie ma znaczenia - odparł jej ojciec. - Jeden telefon Pawła albo innego watażki do Moskwy wystarczy, by moskiewscy gangsterzy ruszyli na polowanie.

Na lotnisku w Irkucku panował bezprecedensowy chaos, wyrastający poza zwyczajne zamieszanie powodowane przez zbyt małą liczbę miejsc dla pasażerów, którzy nie chcą narażać się na pięciodniową podróż pociągiem do Moskwy. Wszystkie bilety już były wyprzedane, a pogłoski o katastrofie jądrowej sprawiły, że setki osób chciały opuścić zagrożoną okolicę. Tłum pasażerów bez biletów dojrzał do wzięcia samolotów szturmem.

Nikołaj Martinow, kierowca i dwóch ochroniarzy, którzy zawsze jeździli za jego samochodem, wpadli jak burza do biura rezerwacji, wzięli kierownika za kłapy i wyciągnęli go zza biurka. Po pięciu minutach „rozmowy” dostali dwa bilety. Choć dyrektor lotniska twierdził, że bilety są nieważne, i że wszystkie miejsca zostały wyprzedane na parę dni naprzód, Oksana i Peter przygotowali się do wejścia na pokład.

Eskortowani przez ludzi Martinowa przyłączyli się do wsiadających. Procedura bardziej przypominała zdobywanie wrogiej fortecy, niż załadunek pasażerów. Wydawało się, że z tyloma ludźmi na pokładzie oderwanie się maszyny Aeroflotu od ziemi jest niepodobieństwem.

Peter, z walizką i aktówką w rękach, ruszył po schodkach. Oksana przedzierała się tuż za jego plecami. Jakaś kobieta, taszcząca rondel z ciasno owiązaną pokrywką, próbowała ich wymanewrować, ale nie dali się wyprzedzić. Wszyscy wokół nich byli objuczeni bagażami i tobołkami z żywnością.

Czasy odlotów i numery lotów na biletach nie miały znaczenia dla nikogo. Drzwi zamykano dopiero wtedy, gdy samolot był pełen i dosłownie już nikt nie mógł się wcisnąć do środka. Pozostali musieli czekać na następny lot.

Peterowi anarchia panująca na lotnisku ułatwiła pewne rzeczy. Próbką plutonu spoczywała bezpiecznie w aktówce, a w panującym zamieszaniu nie mogło być mowy o normalnej kontroli. Następnego dnia miał dostarczyć ludziom z Pietrowki i władzom nowej Rosji bezsporny dowód, że zorganizowany świat przestępczy ma dostęp do radzieckich materiałów nuklearnych, które wkrótce powiększą arsenały państw popierających terroryzm.

Pochłonięty tymi myślami, z roztargnieniem odepchnął jędrę pomarszczoną jak suszona śliwka, która próbowała wpełznąć się przed Oksaną. Wiedźma bluznęła potokiem przekleństw i sięgnęła do rozpadającej się torby. Peter, z rękoma zajętymi przez bagaże, nie był przygotowany na atak. W ostatniej chwili zdążył uchylić głowę przed młotkiem, ale zarobił w lewy obojczyk. Krzyknął z bólu. Oksana w porę odepchnęła staruchę, zapobiegając drugiemu atakowi.

Podróźni na schodkach wrzasnęli wściekle na zajadłą *babuszkę*. Wielki mężczyzna puścił walizkę i uderzył wiedźmę pięścią w twarz. Kobieta zatoczyła się w tłum za plecami. Straciła swoją broń i zarobiła kilka dodatkowych kopniaków, gdy koziołkowała po schodkach na asfaltowy pas. Po chwili otrząsnęła się, pozbierała na nogi i na nowo rozpoczęła wspinaczkę do drzwi samolotu.

- Nic ci nie jest, przyjacielu? - zapytał uprzejmie mężczyzna. - Szkoda, że nie załtkłem tego ścierwa.

- Dzięki - mruknął Peter, masując obolały obojczyk. Nagle przyszło mu do głowy, że jeśli są tu bandyci Japończyka, mogą z łatwością załatwić jego i Oksanę. Stara jędrza z młotkiem w torbie na zakupy? Niemożliwe. .

Oksana wyjęła walizkę z bezwładnej ręki i pomogła mu wejść po schodkach. Przedarli się we wnętrzu już pełnego samolotu. Peter był bliski omdlenia. Widząc cierpienie wypisane na jego złanej potem, kredowobiałej twarzy głowa rodziny, krępy, szeroki w ramionach Sybirak ustąpił mu miejsca. Oksana podziękowała mu wylewnie.

- Nie ma sprawy - odparł radośnie mężczyzna. - Lot trwa sześć godzin. Przywykłem do dłuższego stania w kolejkach po chleb.

Przesadzono pięcioletniego chłopczyka na półkę nad ich głowami i Oksana też usiadła, biorąc na kolana trzyletnią dziewczynkę. Ludzie nadal napływali na pokład. Steward przy wejściu brał podwójną opłatę za każdy brakujący bilet.

Peter, odchyliwszy się w fotelu, zobaczył stado karaluchów buszujących po półce w poszukiwaniu jedzenia. Samolot najwyraźniej nie był czyszczony od miesięcy. Bagaże leżące w przejściach stanowiły tor przeszkód nie do pokonania. Stewardes nie zabrano na pokład; i tak nie mogłyby wykonywać swoich obowiązków.

Peter odwrócił się do Oksany.

- Przypuszczam, kochanie, że skorzystanie z ubikacji będzie możliwe dopiero w Moskwie.

Pokiwała głową.

- Jak twoje ramię?

- Świetnie - powiedział i w następnej chwili skrzywił się z bólu. - O Boże!

Krzepki mężczyzna ze współczuciem pokiwał głową, sięgnął do leżącej na podłodze torby i wyjął butelkę wódki. Odkorkował, nalał do szklanki, którą podała mu żona, i poczęstował Petera.

- Wypij. Pomoże.

- Dzięki. Chciałbym móc ci się zrewanżować.

- Śmiało, przyjacielu. Pij! Dobra wódka.

Napitek okazał się najmocniejszym samogonem, jakiego Peter w życiu próbował. Poczul, jak ogień płynie mu w żyłach, ale ból zniknął.

W całym samolocie pasażerowie popijali z butelek i szklanek, zakąszając jedzeniem z toreb i koszyków. Armia karaluchów szykowała się do następnego posiłku. Drzwi wreszcie zostały zatrzaśnięte, odgradzając tłum wewnątrz od tłumy na zewnątrz. Steward z nieskrywanym zadowoleniem liczył i układał garście wymiętych banknotów.

Dwóch osiłków, stojących wśród bagaży na tyle sekcji pierwszej klasy, uświadamiało wszystkich w zasięgu słuchu, że są „dzielnymi sokołami Żyrinowskiego”, że władzę w państwie sprawują żydowscy faszyci pod wodzą Jelcyna, i że oni lecą do Moskwy, by porąbać tych drani na kawałki. Ktoś poradził wrzaskliwym wieśniakom, żeby najpierw nauczyli się podcierać sobie tyłki. Bijatykę uniemożliwiło tylko to, że oponenci nie mogli się dosięgnąć.

Pomruk czterech silników samolotu, kaszlących kolejno i zaskakujących, został powitany okrzykami zadowolenia. Nikt nie zapiął pasów; prawdę mówiąc, niewiele było dostępnych. Gdy samolot ruszył gwałtownie w stronę pasa startowego, stojący pasażerowie runęli w tył na sterty bagaży. Poszła plotka, że z trzech toalet jest sprawna tylko jedna, a żadna nie ma drzwi. Tę wieść przebiło ogłoszenie pilota z pokładu załogi, że ci, którym skończyła się wódka, mogą nabyć ją za odpowiednią opłatą od stewarda.

Silniki ryczały przy zaciągniętych hamulcach.

Peter wyciągnął zdrową rękę i ujął dłoń Oksany.

- Kocham cię, Oksano. Jeżeli dotrzemy do domu, nigdy cię nie opuszczę.

- Ja też cię kocham, Peter - powiedziała nad podskakującą głową dziecka. - Jeżeli przeżyjemy resztę tego dnia i noc, zawsze będziemy razem. - Z powodu dziecka na kolanach Oksany i bólu pulsującego w obojczyku Petera, nie mogli przypieczętować obietnicy pocałunkiem.

Po nagłym zwolnieniu hamulców samolot wystrzelił do przodu. Połowa stojących wyrzuciła się, pociągając za sobą butelki, szklanki i jedzenie. Dzieci z wrzaskiem pospadały z półek na siedzących. W niezbadany sposób samolot, który był przewidziany dla stu dwudziestu sześciu pasażerów, a zabrał dobrze ponad trzy setki, po dotarciu do końca pasa oderwał się i wzbił w powietrze. Powoli nabierał wysokości; cztery silniki ciągnęły z maksymalną mocą długo po tym, jak powinny zostać przestawione na normalną. Peter i Oksana, z ciasno splecionymi rękoma, w każdej chwili spodziewali się, że przeciążona maszyna runie na ziemię.

Przywrócenie jakiegoś takiego porządku zabrało pół godziny, ale w końcu dobroczyńca Petera mógł mu nalać drugą kolejkę. Peter z wdzięcznością wychylił zawartość szklanki i znów ból złamanego obojczyka ustąpił.

Kiedy po godzinie desperackiej wspinaczki samolot osiągnął pułap rejsowy i wyrównał, Oksana i Peter odetchnęli z ulgą.

- Która godzina jest teraz z Moskwy? - zapytała. Peter wzruszył ramionami.
- A jaka jest różnica czasu między Moskwą a Irkuckiem?
- Gdzie twój chronometr? Obiecałeś zdradzić mi jego sekret.

Peter jeszcze raz wzruszył ramionami.

- Chyba zgubiłem go w helikopterze.
- Nie, nie zgubiłeś. Jesteś mi winien wyjaśnienie.
- W porządku. Zostawiłem go w tajnym mieście.
- Celowo?

Skinął bez słowa.

- Dlaczego? Tyle dla ciebie znaczył.
- Jak myślisz, od czego zaczęła się ta masakra?

Oksana pokiwała głową.

- Podejrzewałam, że to nie stało się samo z siebie.

Peter poważnie pokręcił głową.

- Nie, jasne, że nie.
- Ty to zrobiłeś? - sapnęła.
- Jak?

- Mój chronometr w rzeczywistości był miniaturowym ładunkiem kumulacyjnym.

- A co to takiego?

- Materiał wybuchowy, w kształcie wklęsłego zwierciadła, zapakowany w grubym na centymetr dysku wielkości dużego kieszonkowego zegarka.

Oksana złożyła dłonie w miseczkę.

- Tak?

- Dokładnie. Ta stosunkowo mała bomba ma siłę porównywalną z pociskiem raketowego granatnika przeciwpancernego. Zdetonowanie ładunku na zewnętrznym pancerzu rakiety spowoduje zapalenie paliwa. Widziałaś, co się stało w Kopule.

- Ty to zrobiłeś?

- Gdyby Chomik nie kazał wprowadzić *SS-25 Sickle* z powrotem do Kopuły, w powietrze wyleciałby tylko samolot Japończyka, a moje dowody zaprezentowane rządowi Rosji uniemożliwiłyby dalszą sprzedaż pocisków i materiałów rozszczepialnych państwu popierającym terroryzm, takim jak Irak.

54.

Osiem godzin po opuszczeniu Irkucka Peter i Oksana brnęli przez hol krajowego terminalu na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo I. Peter w zdrowej ręce niósł aktówkę ze śmiertcionośną próbką plutonu, Oksana dźwigała walizkę.

Nagle po obu stronach wyrosli Nieczajew i Borys Burienczuk. Borys wziął od Oksany walizkę, a Nieczajew wyciągnął rękę po dyplomatkę.

- Uważaj! - ostrzegł ostro Peter. - Jest w niej próbka plutonu 239, sto gram! Dość, by skazić całą Moskwę.

- Dobra, dobra - mruknął Lis, zabierając aktówkę.

- Dokąd idziemy? - zapytał Peter.

- O Boże! Do toalety - zajęczała Oksana. Rzuciła walizkę i pomknęła do łazienki.

- Wyprawiamy was z kraju - powiedział Nieczajew. - Po długiej pogawędce generał Bodajew dostał wizę Oksany z amerykańskiej ambasady. Mam ją przy sobie.

- A ja mam złamany obojczyk i też muszę skorzystać z ubikacji - jęknął Peter. Opowiedział pokrótce, co go spotkało w czasie wsiadania do samolotu w Irkucku.

Borys został z bagażem, troskliwie hołubiąc w ramionach aktówkę z plutonem, Nieczajew zaś zaprowadził Petera do biura milicji w terminalu. Gdy Peter wyszedł z toalety, czekał już na niego policyjny specjalista od udzielania pierwszej pomocy. Delikatnie obmacał obojczyk i oznajmił, że kość została złamana.

- Wytrzyma z prowizorycznym opatrunkiem drogę do Frankfurtu? - zapytał pułkownik.

- Wolałbym zabrać go do szpitala i zrobić to właściwie - odparł sanitariusz.

- Muszą jak najszybciej wyjechać - sprzeciwił się Nieczajew. Zwrócił się do Petera: - MWD będzie próbowało puścić w niepamięć incydent na Syberii, ale kiedy przedstawimy twoje dowody handlu materiałami nuklearnymi, zostalbyś zatrzymany. Proponuję, żebyś pocierpiał jeszcze parę godzin i stawił się w szpitalu we Frankfurcie.

- Dokładnie to zamierzam zrobić - powiedział Peter. - Poza tym prawdopodobnie ścigają nas ludzie Japończyka.

Lis podał Peterowi otwartą butelkę wódki. Peter pociągnął porządny łyk i skinął na sanitariusza, który zaczął bandażować bark.

Przed terminalem Oksana i Borys zostali zapakowani do milicyjnego Mercedesa.

- Pojedziemy na lotnisko międzynarodowe. Opowiedz mi po drodze, co się stało - poprosił Nieczajew.

Peter poklepał aktówkę na jego kolanach.

- Tutaj jest niepodważalny dowód, że szajka złożona z dyrektora Kopuły i Japończyka miała na sprzedaż pluton, rakiety i głowice jądrowe.

Peter darował sobie przyjemność wrobienia swojego przyszłego teścia.

- Czy to znaczy, że Japończyk nie żyje? - zapytał z nadzieją Nieczajew.

- Nie postawilibyśmy na to z Oksaną własnego życia, ale z tego, co widziałem, nie liczyłbym na spotkanie Jakowlewa na tym świecie.

- Ma potężną siatkę pomagierów. A co z Wołkowem?

- Był tylko zainteresowany setkami, jakie mu dałem z milicyjnego skarbcza.

- O tym ani słowa - warknął Nieczajew. - Co jeszcze się wydarzyło?

- Zaproponował mi pociski, głowice jądrowe i pluton 239 odzyskany ze starych głowic.

Peter znowu poklepał aktówkę.

- W trakcie zdobywania tego dowodu byliśmy z Oksaną tak blisko śmierci, jak jeszcze nigdy.

- Dobrze go wykorzystam. - Po chwili Nieczajew obrzucił Oksaną długim spojrzeniem. - Myślisz, że twój ojciec może posiadać informacje, które mogłyby nam pomóc w zrozumieniu, co spowodowało kataklizm w jego regionie?

Oksaną wzruszyła ramionami.

- Możecie go zapytać.

- Nie było go w Kopule w dzień wybuchu - powiedział Peter.

- Rząd oszaleje, gdy napłynie raport o katastrofie, którą trzeba będzie zatuszować. Na szczęście wyjedziecie i nie będzie można przesłuchać was w sprawie tego wypadku. - Popatrzył na Petera podejrziwie. - O ile to był wypadek.

- Przyjedź kiedyś do Nowego Jorku i zajrzyj z wizytą - powiedział Peter. - Może będę mógł ci powiedzieć, jak było naprawdę.

Z Nieczajewem i Borysem u boku, Peter i Oksaną szybko przeszli przez odprawę celną. Przy ladzie odprawy przestraszył ich nagły świst, po którym nastąpił głuchy odgłos. W barierze utkwiała wystrzelona w ich stronę stalowa strzała. Nieczajew zawrócił i wyciągnął pistolet z podramienniej kabury. Rozepchnął przestraszonych pasażerów i rzucił się w pościg za mężczyzną umykającym z terminalu.

Peter odwrócił się w stronę drewnianej lady, za którą zniknął dokonujący odprawy urzędnik. Z bariery wystawał cienki stalowy pręt z trzema lotkami na końcu. Wokół śmiertelności pocisku wystrzelonego z kuszy była owinięta karteczka. Ściągnął ją i schował do kieszeni, jednocześnie przeczesując wzrokiem teren w poszukiwaniu nastpnika.

Borys przyskoczył do nich i osłonił Oksanę własnym ciałem. Ujął dziewczynę za łokieć i zaprowadził za murek oddzielający stanowisko odprawy od holu terminalu. Peter, rozglądając się czujnie, pośpieszył za nimi.

- Dziękuję, Borysie - wydyszał. - I powodzenia w przyszłych wojnach z mafią. - Do poblądłej Oksany powiedział: - Chodź, kochanie, wynośmy się stąd.

Wrócił Nieczajew.

- Ktokolwiek strzelił, zniknął w tłumie. Rozumiesz coś z tego, Peter?

Peter sięgnął do kieszeni i wyjął karteczkę, która była owinięta wokół bełtu. Nieczajew przeczytał wiadomość i pokręcił głową.

- *Głaza odkrytoje*, Peter.

- Tak, miejmy oczy szeroko otwarte - zgodził się Peter.

Oksana, popijająca szampana na pokładzie samolotu Pan American w drodze z Moskwy do Frankfurtu, zerknęła nad ramieniem Petera i po raz dziesiąty przeczytała wiadomość.

A potem żyli długo i szczęśliwie? Nie wiercie w bajki.

Zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Jestem już dużą dziewczynką i umiem posługiwać się pistoletem. Pamiętasz?

- Tak. Masz już dwa nacięcia na kolbie.

- A jakie nacięcie dostanę za ustrzelenie ciebie?

- To będzie pochodziło od Tiffany'ego.

KONIEC

Od Autora

Zaprezentowane w tej powieści wydarzenia historyczne mogą się wydać trudne do uwierzenia - ale uwierzcie w nie, rozegrały się naprawdę, chociaż w większości przypadków zostały skutecznie wymazane z oficjalnych dokumentów.

10 sierpnia 1994 we Frankfurcie aresztowano trzech kurierów, którzy wysiedli z samolotu Lufthansy lecącego z Moskwy. Przewozili ponad pół kilograma plutonu wartego ćwierć miliona dolarów do państw popierających terroryzm. Czy obecność Wiktora Sidorenki, rosyjskiego wiceministra energii atomowej, na pokładzie tego samego samolotu była tylko zbiegiem okoliczności?